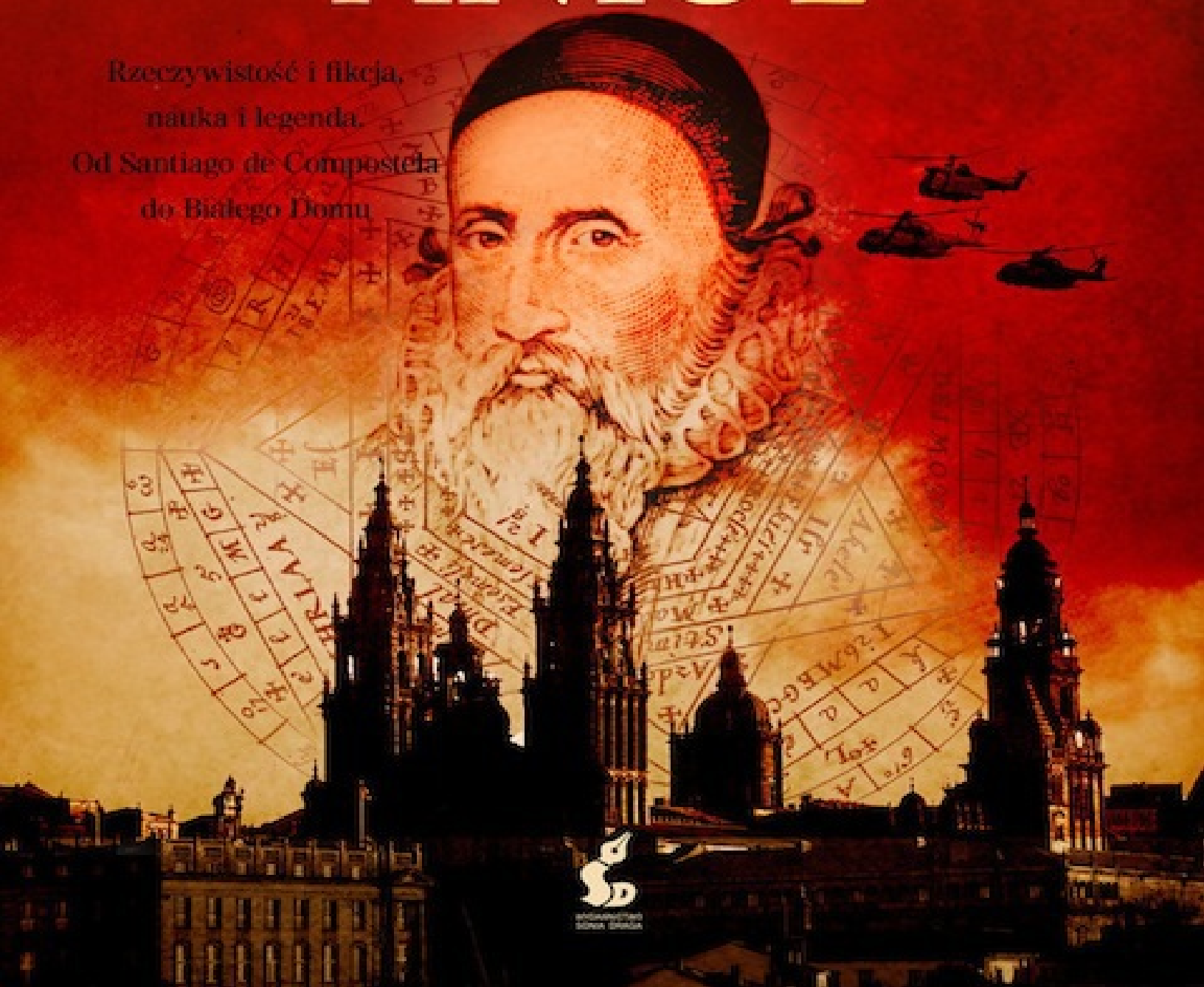


JAVIER SIERRA

# UPADŁY ANIOŁ

Rzeczywistość i fikcja,  
nauka i legenda.

Od Santiago de Compostela  
do Białego Domu



JAVIER SIERRA

# UPADŁY ANIOŁ

Z języka hiszpańskiego przełożyła  
Bożena Sęk



Dla Ewy, Martína i Sofii.  
Moich aniołów stróżów.

*Synowie Boga, widząc, że córki człowiecze są  
piękne,  
brali je sobie za żony, wszystkie, jakie im się  
tylko podobały.  
Wtedy Bóg rzekł: Nie może pozostawać duch  
mój w człowieku  
na zawsze, gdyż człowiek jest istotą cielesną;  
niechaj więc żyje tylko sto dwadzieścia lat.*

KSIEGA RODZAJU, 6, 2–3

*Qui non intelligit, aut taceat, aut discat.*  
(Kto nie rozumie, niechaj milczy albo się uczy).

JOHN DEE (1527–1608)

## DWANAŚCIE GODZIN WCZEŚNIEJ

W biurze dyrektora Agencji Bezpieczeństwa Narodowego ogromny ekran plazmowy rozjaśniał się stopniowo, równocześnie z cichym szumem elektryczne żaluzje zaciemniały pomieszczenie. Za mahoniowym stołem siedział nieskazitelnie ubrany mężczyzna, czekając, aż wszechwładny Michael Owen wyjaśni mu, dlaczego w takim pośpiechu ściągnął go z Nowego Jorku.

– Dziękuję, Allen – zaczął chrapliwym głosem potężnie zbudowany czarnoskóry dyrektor – że tak szybko się pan zjawił.

– Raczej nie miałem wyboru.

Nicholas L. Allen był wytrawnym agentem. Od dwudziestu lat dość zgrabnie się poruszał w biurokratycznym gąszczu Waszyngtonu, lecz na palcach u jednej ręki mógł policzyć swoje wizyty w tym biurze. Skoro zatem dyrektor Owen wezwał go do swojego szanca w Fort Meade w stanie Maryland, znaczyło to, że sytuacja jest podbramkowa. I to mocno. Nie pozostało mu więc nic innego, jak przyjechać niezwłocznie.

– Otóż, pułkowniku – ciągnął Owen z powagą w oczach – sześć godzin temu nasza ambasada w Ankarze przesłała nam nagranie wideo, które chcę wam pokazać. Proszę, żebyście się skupili na szczegółach i podzielili potem wrażeniami. Zrobicie to?

– Oczywiście, dyrektorze.

W tym także Nick Allen był zaprawiony. W bezwzględnym posłuszeństwie wobec przełożonych. Miał wygląd żołnierza doskonałego: mocna budowa, prawie metr osiemdziesiąt pięć

wzrostu, kwadratowa twarz naznaczona paroma brzydkimi śladami po walkach i błękitne oczy, które potrafiły wyrażać całą paletę uczuć – od nieskończonej dobroci po nieludzką wściekłość. Posłusznie nachylił się w fotelu i czekał, aż z ekranu znikną kolorowe pasy i pojawi się pierwsze ujęcie.

Drgnął mocno, kiedy je zobaczył.

W pomieszczeniu o obłazących z tynku poplamionych ścianach siedział mężczyzna skuty kajdankami, w worku na głowie. Ubrany był w pomarańczowy kombinezon, taki, jakie noszą skazańcy w amerykańskich więzieniach federalnych. Jednakże ludzie kręcący się koło niego raczej nie wyglądali na Amerykanów. Allen widział dwóch, może trzech facetów w galabijach i czarnych kominiarkach. „Granica turecko-irańska – uznał w duchu. – Może Irak”.

W obiektywie kamery dostrzegł napisy na murze chyba po kurdyjsku, co się potwierdziło, kiedy usłyszał rozmowę. Wideo było niezłej jakości, chociaż nakręcone kamerą amatorską. Albo i telefonem komórkowym. Kolejne zdanie wypowiedziane przez któregoś z mężczyzn ostatecznie pozwoliło mu zidentyfikować miejsce. „Granica armeńska”, stwierdził. W dodatku dwaj mężczyźni mieli na ramieniu kałasznikowy, a u pasa duże zakrzywione noże typowe dla tego regionu. Niespecjalnie go zdziwiło, że obsługujący kamerę dyryguje sceną. Ani że mówi do zakładnika po angielsku z ciężkim akcentem, który tyle razy słyszał w północno-wschodniej Turcji.

„No gadaj, co kazałem” – polecił.

Więzień się wzdrygnął, kiedy poczuł, że silne ręce chwytają go za szyję i szarpnięciem odwracają w stronę obiektywu, zrywając z głowy worek.

„Gadaj!”

Zakładnik się wahał. Nie wyglądał dobrze: był zarośnięty, rozczochrany, brudny na twarzy, wymizerowany, skórę miał spaloną słońcem. Nicka Allena zastanowiło, że na nagraniu nie widać go wyraźniej. Światło było słabe. Prawdopodobnie pochodziło z jednej tylko żarówki. Mimo to wydawał mu się znajomy.

„W imieniu Ludowej Armii Wyzwolenia Kurdystanu... żądam, by rząd Stanów Zjednoczonych przestał wspierać tureckiego najeźdźcę” – powiedział bezbłędnie po angielsku. Za nim podniosła się wrzawa, ktoś krzyknął: „Mów dalej, psie!”. Nieszczęśnik zadygotał. Allen nadal nie potrafił go zidentyfikować, chociaż bacznie obserwował każdy jego gest. Zakładnik wychylił się do przodu, wystawiając do kamery skrępowane ręce. Niektóre palce miał poczerniałe, być może odmrożone. Wydawało się, że ściska w dłoniach jakiś mały przedmiot. Allen wytrzeszczył oczy na widok czegoś w rodzaju ciemnego wisiora o nieregularnym kształcie, niezbyt ładnego. „Jeśli chcecie, żebym uszedł z życiem, zróbcie, czego żądają – ciągnął zakładnik z ogromnym smutkiem w głosie. – Moje... moje życie w zamian za wycofanie oddziałów NATO z terenów w promieniu dwustu kilometrów od Araratu”.

– Chodzi tylko o Ararat? I to wszystko? Nie żądają okupu? – zdumiał się Allen.

Na nagraniu stojący za zakładnikiem znowu zaczęli pokrzykiwać po kurdyjsku. Wydawali się bardzo podnieceni. Jeden dobył nawet noża i przystawił go więźniowi do gardła.

– Teraz niech pan uważa – szepnął Owen.

Pułkownik potarł nos i skupił się na dalszym ciągu nagrania.

„Powiedz, jak się nazywasz!”

Kolejne polecenie obsługującego kamerę nie zaskoczyło Allena. Tyle razy już oglądał podobne sceny, że wiedział, co teraz nastąpi.

Najpierw każą zakładnikowi podać nazwę swojej jednostki, stopień albo miejsce urodzenia, po czym zrobią zbliżenie, tak aby jego tożsamość nie budziła wątpliwości. Jeżeli w tym momencie więzień nie miał już dla nich wartości, pozwalali mu chwilę płakać i rozpaczać, gdy zegnał się z rodziną, następnie zmuszali go, by spuścił głowę, i podrzynali mu gardło. Agonię największych szczęściarzy kończył strzał łaski. Pozostali, dusząc się, wykrwawiali się na śmierć.

Jednakże ten człowiek musiał mieć wielką wartość. Michael Owen nie wzywałby Allena, gdyby było inaczej. W końcu Nick był ekspertem w dziedzinie operacji specjalnych. Miał na swoim koncie misje odbijania zakładników w Libii, Uzbekistanie i Armenii, był członkiem najtajniejszej jednostki w NSA. Czy tego właśnie oczekiwał od niego dyrektor? Żeby sprowadził tego człowieka do Stanów?

„Nie słyszałeś? – huknął nagrywający. – Gadaj, jak się nazywasz!”

Więzień podniósł wzrok – pod oczami miał paskudne fioletowe worki, czoło pobrużdżone.

„Nazywam się Martin Faber. Jestem naukowcem...”

Wszechwładny Michael Owen zatrzymał wideo. Tak jak się spodziewał, Allen oniemiał ze zdziwienia.

– Teraz rozumiecie mój pośpiech, pułkowniku?

– Martin Faber! – mruknął Nick niedowierzająco, z przejęcia poruszając zuchwą. – No jasne!

– A to nie wszystko. – Owen w powietrzu obwiodł pilotem fragment zatrzymanego obrazu. – Widzicie, co on trzyma w rękach?

– Czy to...? – Wojskowy gestem wyraził głęboki niepokój. – Czy to to, co myślę, szefie?



– Zgadza się.

Nick Allen zacisnął usta, jakby nie dowierzał własnym oczom. Przysunął się jak najbliżej ekranu i wpatrzył w przedmiot.

– Jeśli się nie mylę, to jeden z kamieni, których szukamy.

Oczy wielkoluda kierującego najpotężniejszą na świecie służbą wywiadowczą zabłyśły złośliwie.

– Macie słuszość, pułkowniku. – Uśmiechnął się. – Dobra wiadomość jest taka, że to nagranie mimowolnie wskazuje nam miejsce, gdzie jest brakujący kamień.

– Czyżby?

– Przyjrzyjcie się dobrze.

Owen pilotem puścił dalszy ciąg nagrania. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wymizerowana twarz Martina Fabera zaczęła się poruszać. Błękitne oczy wyraźnie mu zwilgotniały, jakby lada chwila miał wybuchnąć płaczem.

„Julio... – wyszeptał. – Może więcej się nie zobaczymy...”

– Julio?

Sądząc po minie, dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego był usatysfakcjonowany. Nagranie jeszcze się nie skończyło, a rozkaz już się wyrył w mózgu jego najlepszego agenta, zajmując pierwsze miejsce na liście priorytetów.

– Julia Álvarez – uzupełnił Owen niekompletną informację. – Proszę się z nią zobaczyć, pułkowniku. Niezwłocznie.

# ROZDZIAŁ 1

Z jakiegoś dziwnego powodu przywykłam do myśli, że po śmierci moja dusza oddzieli się od ciała i nie mając obciążenia, wzleci ku niebiosom. Byłam pewna, że kiedy już się tam znajdę, wiedziona nieodpartym przyciąganiem dotrę przed oblicze Boga i będę mogła spojrzeć Mu w oczy. I wtedy zrozumieję wszystko. Swoje miejsce we wszechświecie. Skąd się na nim wzięłam. Swoje przeznaczenie. I nawet to, dlaczego moje postrzeganie rzeczy jest takie... szczególne. Tak mi wytłumaczyła to matka, gdy zapytałam o śmierć. A także ksiądz z mojej parafii. Oboje wiedzieli, jak uspokoić moją katolicką duszę. Godna pozazdrosczenia była determinacja, z jaką bronili wszystkiego, co dotyczyło zaświatów, życia pozaziemskiego czy dusz pokutujących. A teraz zaczynałam rozumieć, dlaczego to robili.

Tej pierwszej listopadowej nocy, ma się rozumieć, jeszcze nie umarłam. Miałam natomiast wizję, która uparcie się mnie trzymała: wielgaśne pogodne oblicze siedzącej istoty mierzącej blisko pięć metrów, wpatrzony w moje oczy, kiedy się unosiłam o kilka cali od jej policzków.

– Niech pani tu nie siedzi za długo.

Manuel Mira, szef ochrony katedry w Santiago de Compostela, wyrwał mnie z zamyślenia, krzycząc z dołu. Pilnował mnie całe

popołudnie, kiedy montowałam rusztowanie przed Chrystusem na majestacie przy wejściu głównym, Portyku Chwały, w zachodniej fasadzie świątyni, a teraz, gdy kończył dyżur, poczuł pewnie wyrzuty sumienia, że zostawia mnie samą na łasce lin i haków, na których w ogóle się nie znał.

W gruncie rzeczy nie miał się co martwić. Byłam w znakomitej formie fizycznej, uważałam się za aż nadto doświadczoną w technikach wspinaczkowych, a czujniki obsługujące tę część katedry za każdym razem wszczynały fałszywy alarm, kiedy w okolicach północy schodziłam z rusztowania.

– Nie powinna pani pracować, jak nikogo tu nie ma.

Strażnik marudził mocno podniesionym głosem, żebym go słyszała.

– Bez przesady. Nic mi nie będzie – odparłam z uśmiechem, nie odrywając oczu od tego, co właśnie robiłam.

– Oj, pani Julio, taka pani nieostrożna! Jak kiedyś noga się powinie albo uprząż obluzuje, poleży pani na posadzce do siódmej rano. O tym trzeba pomyśleć.

– Zaryzykuję. To nie Mount Everest, przecież pan wie. Poza tym mam komórkę.

– Wiem, wiem, pewnie, że wiem – mruknął. – Ale proszę uważać. Dobranoc.

Manuel, który był starszy ode mnie o jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat i miał córkę w moim wieku, wcisnął czapkę na głowę, mamrocząc, że jestem niemożliwa. Wiedział, że lepiej mi nie przeszkadzać, kiedy wiszę na wysokości drugiego piętra w roboczym białym kombinezonie, w kasku z logo Fundacji Pedra Barriego de la Maza, plastikowych goglach, wieńcu ledowym na głowie oraz z nylonową rurką podłączoną jednym końcem do

palmtopa, a drugim do igły ze stopu metali białej w prawy bok Chrystusa. Moja praca wymagała chirurgicznej precyzji i absolutnego skupienia.

– Dobranoc – odpowiedziałam wdzięczna za troskę.

– I niech pani uważa na duchy – dorzucił bez krzty wesołości. – Dziś Zaduszki, a one zawsze się tu kręcą. Lubią to miejsce.

Nawet się nie uśmiechnęłam. Trzymałam w rękach endoskop za trzydzieści tysięcy euro zaprojektowany w Szwajcarii specjalnie do tej roboty. Zmarli, pomijając wspomnienie o nich, które przed chwilą miałam, niespecjalnie mnie obchodzili.

Choć może i nie.

Po miesiącach pisania na temat konserwacji arcydzieł sztuki romańskiej wiedziałam, że jestem o krok od wyjaśnienia postępującego niszczenia jednego z najcenniejszych na świecie zespołów rzeźb. Zabytku, który od pokoleń oddziaływał na ludzi, przypominając, że po życiu doczesnym czeka nas inne, lepsze. Co mnie obchodziło, że były akurat Zaduszki? W gruncie rzeczy był to całkiem dogodny zbieg okoliczności. Rzeźby, które miałam badać, od wieków witały przybywających tu Szlakiem Świętego Jakuba, najstarszą i najbardziej uczęszczaną trasą pielgrzymkową w Europie, ożywiającą wiarę pątników i przypominającą, że przekroczenie progu tej katedry symbolicznie kończy dotychczasowe grzeszne życie i stanowi początek nowego, wznioślejszego. Stąd nazwa bramy. Portyk Chwały. Ponad dwieście widniejących na nim postaci należało zatem uznać za prawdziwie nieśmiertelne. Armia ponadczasowa, niepoddająca się ludzkim lękom. Tymczasem od 2000 roku trapiła ją jakaś dziwna choroba. Na przykład Izajasz i Daniel się łuszczyli, równocześnie niektórzy z grajków strojących instrumenty nieco wyżej zaczęli się

odchyłać od pionu, czemu należało koniecznie zapobiec, aby nie runęli. Aniołowie z trąbami, postacie z Księgi Rodzaju, grzesznicy i potępieni wyraźnie ciemnieli. Nie mówiąc o postępującym odbarwianiu całego zespołu.

Od czasów wypraw krzyżowych nikt nie badał tych figur z tak bliska i równie dokładnie jak ja. W Fundacji Barriego uważano, że zaatakowała je wilgoć albo jakieś bakterie, ja jednak nie byłam tego taka pewna. Dlatego właśnie tu przychodziłam po zamknięciu katedry dla zwiedzających, gdy nie było gapiących się na mnie turystów ani pielgrzymów dopytujących, dlaczego najwspanialsze dzieło na szlaku ukrywamy za rusztowaniem z prawie nieprzezroczystymi osłonami. Ani oczywiście innych konserwatorów, którzy mogliby kwestionować moje pomysły.

Aczkolwiek miałam jeszcze jeden powód.

W moim mniemaniu niezwykle ważny, lecz przysparzający mi tylko problemów.

Z całej naszej ekipy ja jedna urodziłam się niedaleko stąd, w wiosce położonej na Costa da Morte, Wybrzeżu Śmierci, i wiedziałam – a właściwie czułam – że oprócz porostów i kwasów istnieją także mniej doczesne przyczyny sprawiające, że kamień niszczeje. W odróżnieniu od moich kolegów nie pozwalałam, aby wykształcenie wykluczało rozważanie ewentualności mniej konwencjonalnych. Ilekroć poważnie rozpatrywałam pomysły takie, jak wpływ sił tellurycznych albo natury czy promieniowania, wszyscy pokładali się ze śmiechu i natrzęsali ze mnie. „W żadnej pracy o tym nie piszą”, przypominali. Na szczęście mogłam liczyć na czyjeś wsparcie – mianowicie dziekana katedry, starego raptusa, za którym, w przeciwieństwie do reszty, przepadałam. Wszyscy mówili na niego „ojciec Fornés” albo „ksiądz Fornés”, ja

wolałam go nazywać po imieniu – Benigno, z łaciny Łagodny. Pewnie dlatego, że bardzo mnie bawił kontrast między imieniem a charakterem księdza. W zasadzie tylko on zawsze brał moją stronę w fundacji i zachęcał, żebym nie dawała za wygraną. „Wcześniej czy później – mawiał – wyprowadzisz ich z błędu”.

Wierzyłam, że przyjdzie taki dzień.

Dość długo już wprowadzałam endoskop w każdą z dziewięciu szczelin wybranych przez nasz zespół, wreszcie jakieś dwadzieścia minut przed pierwszą palmtop zapiszczał trzy razy, powiadamiając, że przekazał już pierwsze dane do komputera zainstalowanego na wprost wejścia. Westchnęłam lekko. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z przewidywaniami, nazajutrz w Katedrze Mineralogii Wydziału Nauk Geologicznych Uniwersytetu w Santiago zacznie się przetwarzanie moich danych, tak że za jakieś półtora dnia będziemy mogli omówić pierwsze wyniki.

Zmęczona, lecz pełna nadziei, opuściłam się w uprzęży na dół, aby sprawdzić, czy przesył danych z endoskopu przebiegł prawidłowo. Nie mogłam sobie pozwolić na najdrobniejszy błąd. Twardy dysk o pojemności pięciu terabajtów mruczał jak zadowolony kot, napełniając pomieszczenie szmerami, które wprowadziły mnie w dobry humor. Maszyna kończyła spasowywać profile mikrotopograficzne każdej szczeliny, analizy spektograficzne, a także archiwalne nagrania, którymi dokumentowałam każde swoje badanie wnętrza kamienia. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku, toteż uspokojona, ale i zadowolona z dobrze wykonanej roboty zaczęłam się wypinać z uprzęży zabezpieczającej i zbierać swoje rzeczy. Potrzebny był mi porządny prysznic, nasmarowanie ciała

balsamem nawilżającym, ciepły posiłek i poczytanie czegoś dla rozrywki.

Zasłużyłam na to.

Jednakże los zawsze ma własne priorytety i akurat na tę noc przyszykował mi coś, czego się nie spodziewałam. Coś... strasznego.

Właśnie odłączałam ledowy wieniec i zdejmowałam kask, kiedy usłyszałam niespodziewany o tej porze ruch w głębi katedry. Wzdrygnęłam się. Odniosłam wrażenie, że naraz atmosfera zrobiła się jakaś naelektryzowana. Całą nawę – dziewięćdziesiąt sześć metrów długości i sto osiemnaście łuków balkonu – jakby wypełniła czyjaś... obecność. Starłam się myśleć racjonalnie. Wydało mi się, że w głębi dojrzałam krótki błysk. Ulotną iskrę. Bezdźwięczną. Na pozór niegroźne światełko, które wyłoniło się przy ziemi i jakby przesuwało ku transeptowi odległemu o jakieś dziesięć, dwanaście metrów od miejsca, gdzie się znajdowałam.

„Nie jestem tu sama” – to pierwsze przyszło mi na myśl. Serce zabiło mi mocniej.

– Hej! Kto tu jest?

Usłyszałam tylko swoje słowa zwielokrotnione przez echo.

– Słyszysz?... Kto tam?... Hej!

Cisza.

Starłam się zachować spokój. Znałam katedrę jak własną kieszeń. Wiedziałam, gdzie w razie potrzeby uciekać. Poza tym miałam komórkę i klucze do drzwi wychodzących na plaza del Obradoiro. Nic mi się nie mogło stać. W końcu powiedziałam sobie, że pewnie to było przywidzenie spowodowane kontrastem między oświetloną strefą laboratoryjną po wschodniej stronie i mrokiem spowijającym resztę świątyni. Czasami taka różnica w natężeniu światła powoduje tego rodzaju urojenia. Mimo to nie czułam się

przekonana. To nie był refleks światła w pełnym tego słowa znaczeniu. Ani świecenie owada. Ani odbicie ognia świeczki na kamieniu.

– Hej tam!...

Znowu tylko cisza mi odpowiedziała.

Wpatrując się tak w nawę, czułam się, jakbym zaglądała w gardziel gigantycznego wieloryba. Oświetlenie ewakuacyjne ledwie znaczyło dojście do niektórych kaplic, nie dając bladego nawet pojęcia o rozmiarach potwora. Bez normalnego światła trudno było wyczuć, gdzie jest nastawa ołtarzowa. I wejście do krypty. A złocenia ołtarza głównego czy popiersie apostoła Jakuba z polichromowanego drewna całkowicie pochłonęła ciemność.

Zadzwoić pod sto dwanaście? – zastanawiałam się, drżącymi rękami szukając komórki w torebce. – A jeśli się wygłupię?... A jeśli to dusza pokutująca?

Ostatni pomysł odrzuciłam jako absurdalny. Twardo walczyłam, by nie poddać się strachowi. Mimo to serce waliło mi jak oszalałe.

Pragnąc ostatecznie rozwiązać obawy, wzięłam anorak, torebkę i wieniec ledowy i pomaszerowałam w stronę miejsca, gdzie jak mi się wydawało, zobaczyłam błysk. „Zjawy znikają, kiedy stawiasz im czoło”, przypomniałam sobie. Rozdygotana ze strachu szłam prawą nawą boczną w kierunku transeptu, modląc się, by nikogo tam nie było. Powtarzałam Zdrowaś Mario, zdecydowanie idąc naprzód, aż dotarłam do drzwi południowych, zwanych Drzwiami Złotników, które o tej porze naturalnie były zamknięte.

I wtedy go zobaczyłam.

Właściwie prawie na niego wpadłam.

I chociaż był tak blisko, wciąż nie dowierzałam.

– Boże drogi!



Była to postać bez twarzy, okryta czarną szatą jak mnisi habit. Zdawało się, że gmera w czymś, co złożyła u stóp jedyne w katedrze współczesnego posągu: rzeźby Jesúsa Leóna Vázquez przedstawiającej *campus stellae*, pole gwiazd. Intruz zachowywał się, dzięki Bogu, dziwnie, lecz nie agresywnie, jakby znalazłszy się w kościele, nie bardzo wiedział, gdzie trafił.

Wiem, że powinnam była uciec stamtąd czym prędzej i powiadomić policję, ale instynkt – a może to, że w ostatniej chwili nasze spojrzenia się skrzyżowały – sprawił, że postanowiłam go zagadnąć.

– Co pan tu robi?

Tak mi się wyrwało.

– Nie słyszał pan? Kto panu pozwolił zostać w katedrze?

Złodziej – bo ostatecznie uznałam, że z kimś takim mam do czynienia – przerwał to, co robił, nie zważając na moje pytanie. Usłyszałam, że zasuwa zamek błyskawiczny nylonowej torby, równocześnie obrócił się do mnie, na pozór zupełnie niespeszony, że go znalazłam. Co więcej, gdy teraz na niego patrzyłam, odnosiłam wrażenie, że ukrył się tutaj i czekał na mnie. Niestety słabe światło nie pozwalało mi go rozpoznać. Odgadłam, że pod habitem ma jakieś obcisłe ubranie i że jest silnym mężczyzną. Odezwał się w końcu w języku, którego nie rozpoznałam, po czym postąpił krok do przodu, szeptem zadając pytanie, które mocno mnie stropiło:

– U-la Lirez?

– Proszę?

„Mnich” przestąpił z nogi na nogę, wyraźnie zastanawiając się, jak wyrazić to, co chciał powiedzieć.

– U-lia Alirez?

Widząc niezrozumienie na mojej twarzy, raz jeszcze powtórzył

pytanie – teraz pojęłam, co mówi, aczkolwiek nadal byłam zaskoczona.

– Ju-lia Ál-varez?... To... pani?

## ROZDZIAŁ 2

W Santiago De Compostela padało. Na takie opady miejscowi mówią *orballo*, kapuśniaczek. Typowy dla północnej Hiszpanii deszcz, który niepostrzeżenie potrafi przemoczyć wszystko. Bruk na plaza del Obradoiro, należący do najbardziej wysłużonych na świecie, o tej porze nie był w stanie wchłonąć więcej wody. Toteż kiedy eleganckie kombi koloru bordowego przejechało przez najśłynniejszy plac Galicji i zatrzymało się przed Hostal de los Reyes Católicos, spod kół trysnęły strugi wody, zalewając ścianę budynku.

W środku dyżurny recepcjonista zerknął przez najbliższe okno i wyłączył telewizor. Przyjechali ostatni goście. Skwapliwie wybiegł na ulicę akurat w chwili, gdy dzwon katedralny wybijał północ. Równocześnie kierowca mercedesa zgasił silnik i reflektory, po czym nastawił zegarek z bransoletką, jakby stanowiło to część rytuału.

– Jesteśmy, kotku. Compostela.

Kobieta, która siedziała na miejscu pasażera, odpięła pas i otworzyła drzwi. Z ulgą stwierdziła, że recepcjonista wychodzi im naprzeciw z wielkim czarnym parasolem.

– Dobry wieczór państwu – powiedział doskonałą angielszczyzną. Woń mokrej ziemi wdarła się do wypucowanego wnętrza

wynajętego samochodu. – Uprzedzono nas, że dotrą państwo późno.

– Znakomicie.

– Odprowadzę państwa do hotelu. Nasi ludzie zaparkują samochód i jak najszybciej przyniosą bagaże do pokoju. –

Uśmiechnął się. – Zostawiliśmy w apartamencie owoce. Kuchnia jest już zamknięta.

Mężczyzna rozejrzał się po pustym placu. Lubił atmosferę, którą kamienie nadawały tej okolicy. Nie do wiary, że tak harmonijnie udało się połączyć w jednym miejscu katedrę z barokową fasadą, piętnastowieczną budowlę, w której mieścił się jego apartament, i widoczny naprzeciwko pałac neoklasycystyczny.

– Powiedz no mi, przyjacielu – rzekł, podając recepcjoniście klucz do mercedesa i dziesięć euro w banknocie – nie skończyli jeszcze konserwacji Portyku Chwały?

Recepcjonista zerknął przelotnie na fasadę katedry. Nie podobało mu się, że rusztowania tak ją szpecą, zniechęcając turystów z klasą jak ci tutaj.

– Obawiam się, że nie. – Westchnął. – W gazetach piszą, że konserwatorzy nie mogą się dogadać co do faktycznego stanu katedry. Prace na pewno jeszcze długo potrwać.

– Myśli pan? – Gość niedowierzająco pokręcił głową. – W takim razie dlaczego pracują na okrągło?

Powiedział to, zauważywszy, że dwa ogromne okna w głównych drzwiach katedry, poniżej posągu pielgrzymującego apostoła, zapłonęły nagle jasnym światłem, lekko pomarańczowym, pulsującym wewnątrz jakoś złowieszczo.

Recepcjonista zmienił się na twarzy.

Nie wyglądało mu to na oświetlenie używane przy pracach konserwatorskich. Światło migotało i słało pomarańczowe iskry,

które nie wróżyły nic dobrego. Musi powiadomić policję. I to natychmiast.

## ROZDZIAŁ 3

– Ju-lia Ál-varez?

Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że ten niby-mnich wypowiedział moje imię i nazwisko. Było oczywiste, że nie zna hiszpańskiego. Nie wyglądało też na to, by posługiwał się francuskim bądź angielskim. Na domiar złego nie udało mi się również porozumieć z nim na migi. Nie mam pojęcia dlaczego. Możecie to nazwać instynktem. W każdym razie z jego zachowania, na poły bojaźliwego, na poły zrezygnowanego, wywnioskowałam, że człowiek po prostu się zgubił i nie zamierza mnie skrzywdzić. Nie pierwszy raz pielgrzym dałby się zamknąć w katedrze. Niektórzy przybysze z dalekich krajów nie rozumieli wywieszek informacyjnych dla turystów. Od czasu do czasu po południu jedna czy dwie osoby, pogrążone w modlitwie w krypcie z relikwiami apostoła albo w jednej z dwudziestu pięciu kaplic, zagapiły się, a kiedy uświadamiały sobie w końcu, że znalazły się w pułapce, było już po godzinach zwiedzania, nie mogły więc wyjść ani nijak powiadomić kogoś... póki nie włączył się alarm.

Niemniej w tym człowieku było coś, czego do końca nie łąpałam. Jego bliskość działała na mnie irytująco. W ogóle było to dziwne. Niepokoiło mnie też – choć nie za bardzo – że zna moje nazwisko i powtarza je, ilekroć zadaję mu pytanie.

Kiedy wpadłam na to, że mogę go sobie obejrzeć w świetle wieńca ledowego, ujrzałam wysokiego młodego faceta o smagłej cerze i jasnych oczach, wyglądającego na człowieka ze Wschodu. Miał pod prawym okiem wytatuowanego malutkiego węża i minę bardzo, ale to bardzo poważną. Był mniej więcej mojego wzrostu, mocno zbudowany. Powiedziałabym, że w zachowaniu ma coś z wojskowego. Co było nawet pociągające.

Skończywszy oględziny, wzruszyłam ramionami.

– Przykro mi. Nie może pan tu zostać. Musi pan wyjść.

Ale również na te słowa nie doczekałam się odzewu z wyjątkiem powtórnego po raz czwarty pytania:

– Ju-lia Ál-varez?

Sytuacja była kłopotliwa. Nie tracąc spokoju, postanowiłam, że podprowadzę go do mojego laboratorium i stamtąd przy odrobinie szczęścia może uda mi się wyprosić go na ulicę. Wskazałam na posadzkę, by zabrał swoje rzeczy, i na migi dałam mu do zrozumienia, że ma iść ze mną, lecz zdaje się, że tylko go zdenerwowałam.

– Chodźmy. Proszę ze mną – rzekłam, ujmując go pod rękę.

I to był błąd.

Facet się szarpnął, jakbym go zaatakowała, i złapał swoją torbę z krzykiem. Który zabrzmiał tak jakoś jak „Amrak!”. A mnie włos się zjeżył na głowie.

W tej chwili bowiem przyszła mi do głowy straszna myśl. A jeśli on ukrywa w torbie jakiś skradziony przedmiot? Słabo mi się zrobiło. Jeśli to coś cennego?... Na przykład ze skarbcza katedralnego? A jeśli tak, to jak się gość teraz zachowa?

– Spokojnie. Już dobrze – powiedziałam, wyjmując komórkę z torebki. – Zadzwońię po pomoc, niech nas stąd wypuszczą.

Rozumie pan?

Facet wstrzymał oddech. Przypominał osaczone zwierzę.

– Ju-lia Ál-varez? – powtórzył znowu.

Zignorowałam pytanie.

– No dobrze, nigdzie nie idziemy. Wybiorę numer alarmowy... O, widzi pan? I zaraz pana stąd zabiorą.

Minęło kilka sekund, lecz cholerny telefon nie mógł nawiązać połączenia.

Spróbowałam ponownie. I jeszcze raz. Bez efektu. Facet zaś obserwował mnie ze strachem na twarzy, tuląc torbę w objęciach. Kiedy jednak po raz czwarty usiłowałam się połączyć, on, nie ruszając się z miejsca, postawił torbę na posadzce i wskazał ją ręką.

– Co tam jest? – zapytałam.

Znowu nie zrozumiałam, co powiedział, uśmiechnął się więc, po czym dodał coś, czego w życiu bym się nie spodziewała. Mianowicie inne imię i nazwisko. Które oczywiście doskonale znałam:

– Mar-tin Faber.



## ROZDZIAŁ 4

Dwa radiowozy lokalnej policji, furgonetka Straży Obywatelskiej i beczkowóz straży pożarnej wpadły na Quintana dos Mortos. Wjechały od calle Fonseca zgodnie ze wskazówkami patrolu, który w tej chwili obserwował światła we wnętrzu katedry. Podobno otrzymano zgłoszenie pożaru z Hostal de los Reyes Católicos – odebrał je dyżurny dyspozytor, który przeciągał się jak niedźwiedź wyrwany z zimowego snu.

– Nie wygląda mi to na pożar, inspektorze – mruknął policjant, który przemókł na wylot, tkwiąc od kilku minut przy Drzwiach Złotników ze wzrokiem wlepionym w dach kościoła.

Inspektor Figueiras, gburowaty gość zahartowany w walce z handlarzami narkotyków na galisyjskich ulicach, spojrział nieufnie na funkcjonariusza. Niczego chyba nie cierpiał bardziej niż wystawania na deszczu z zachlapanymi okularami. Był zatem w pieskim nastroju.

– A niby jak doszedłeś do tego wniosku?

– Zauważyłem przyczajoną mysz i nigdzie nie widać dymu. Poza tym – dodał – nie czuć spalenizny. A jak wiadomo, w katedrze jest pełno rzeczy łatwopalnych.

– Dał ktoś znać do biskupstwa?

To pytanie Antonio Figueiras zadał z wyraźną niechęcią.

Potwornie nie lubił mieć do czynienia z kuria.

– Tak. Są w drodze. Ale uprzedzili, że konserwatorzy często pracują po godzinach i to mogą być ich światła. Wchodzimy?

Figueiras pokręcił głową. Jeśli jego człowiek miał słuszość i nie było innych oznak pożaru prócz błysków, które pojawiały się od czasu do czasu w oknach, włamywanie się do kościoła tylko by im przysporzyło problemów. „Inspektor komunista profanuje katedrę w Santiago” – takie tytuły mógłby ujrzeć nazajutrz w dzienniku „La Voz de Galicia”. Na szczęście zanim podjął decyzję, dołączył do nich człowiek w niebieskim kombinezonie strażackim.

– I jak? – powitał go pytaniem Figueiras. – Co mi powiedzą strażacy?

– Pana człowiek ma rację, inspektorze. Nie wygląda to na pożar. – Podoficer dowodzący zastępem straży pożarnej, zdecydowany facet o krzaczastych brwiach i kocich oczach, wygłaszał opinię profesjonalnym tonem. – Alarm pożarowy się nie włączył, a sprawdzaliśmy go miesiąc temu.

– Czyli co?

– To na pewno jakieś przerwy w dostawie energii. Od mniej więcej pół godziny sieć w tym rejonie jest przeciążona.

Ta informacja zaintrygowała inspektora.

– Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

– Pomyślałem, że sam pan do tego dojdzie – rzekł strażak bez cienia uszczypliwości. Zatoczył ręką koło. – Już dobrą chwilę nie działają latarnie uliczne. Światło się pali tylko w budynkach, które mają własne generatory, a katedra do nich należy.

Antonio Figueiras zdjął okulary, by przetrzeć je irchą, złorzecząc przy tym pod nosem. Dał plamę, jeśli chodzi o zmysł obserwacji. Założył okulary, rozejrzał się po placu i faktycznie stwierdził, że

oświetlają go jedynie reflektory radiowozów. W sąsiednich budynkach nigdzie nie paliło się światło i tylko przy wieży zegarowej pojawiało się to dziwne migotanie. W nieregularnych odstępach czasu. Wyglądało zupełnie jak burzowe błyskawice.

– Jakaś większa awaria? – szepnął.

– Najpewniej.

Mimo deszczu i słabej widoczności Figueiras dostrzegł mężczyznę, który szybkim krokiem podszedł do Drzwi Złotników i stanął przed nimi, jakby zamierzał sforsować zamek.

– A to kto? – zapytał na głos Antonio.

Podinspektor Jiménez, którego miał obok, uśmiechnął się w mroku.

– A, ten... Zapomniałem powiedzieć. Przyleciał dziś po południu ze Stanów. Zjawił się na komisariacie z listem polecającym. Podobno pracuje nad jakąś sprawą i musi odnaleźć kobietę, która mieszka w Santiago.

– I czego tutaj szuka?

– No... – Jiménez się zawahał. – Tak się składa, że ta kobieta pracuje dla Fundacji Barriégo i dziś ma nockę w katedrze. Jak się dowiedział o pożarze, przyjechał za naszymi.

– Po co?

Jiménez spokojnie, jakby to było całkowicie oczywiste, odpowiedział:

– Nie widzisz? Żeby wejść do środka.

## ROZDZIAŁ 5

– Stać i ręce do góry! – zagrzmiało w katedrze, a ja aż się potknęłam, rąbnęłam kolanami o marmurowe płyty i równocześnie poczułam powiew zimnego powietrza przepływający przez nawę.

– Nie ruszać się! Jestem uzbrojony!

Głos dobiegał skądś za plecami intruza w czarnej szacie, jakby nowo przybyły dostał się do katedry przez Drzwi Złotników i teraz miał nas oboje jak na dłoni. Nie wiem, co bardziej mną wstrząsnęło: ten okrzyk wygłoszony po angielsku czy zdumienie, w jakie mnie wprowadziło nazwisko wymówione moment wcześniej przez faceta z wężem wytatuowanym na policzku. Nazwisko Martina. Mojego męża. Nie miałam jednak czasu na roztrząsanie tego.

Instynktownie wypuściłam torebkę i wieniec ledowy i podniosłam ręce nad głowę. Facet z tatuażem nie poszedł za moim przykładem.

Wszystko odbyło się błyskawicznie.

„Mnich” okręcił się wokół własnej osi, równocześnie pozbywając się habitu, i rzucił się między ławki po prawej. Pod szatą, jak wcześniej wyczułam, miał elastyczny strój sportowy. W rękach trzymał coś, co nie od razu rozpoznałam.

Zaskoczyła mnie jego reakcja, ale jeszcze bardziej seria stłumionych strzałów, które trafiły w oparcia ławek, rozsiewając

chmurę odłamków drewna.

– Julia Álvarez?

Ten sam człowiek, który kazał nam podnieść ręce, wypowiedział teraz moje nazwisko. Wymowę miał o wiele lepszą niż „mnich”. Głos dobiegł zza moich pleców, lecz byłam tak zaskoczona strzałami, że z niejakim opóźnieniem uświadomiłam sobie, że tej nocy wszyscy wiedzą, jak się nazywam.

– Na ziemię!

O Boże!

Znowu padłam na posadzkę katedry. Zdołałam jakoś się doczołgać do jedyne go konfesjonału ustawionego pod ścianą. W katedrze zagrzmiały trzy czy cztery strzały, którym towarzyszyły rozbłyski. Ale tym razem strzelał facet z tatuażem! On także miał broń!

Na kilka sekund ustały wszelkie dźwięki.

W katedrze zapadła śmiertelna cisza. Siedziałam skulona jak dziecko, niemożliwie przerażona, nie śmiąc oddychać, z sercem walącym tak, że omal nie wyskoczyło mi z piersi. Chciało mi się płakać, ale strach – strach przepełniający każdy atom mojego ciała, rozdzierający, strach, jakiego nigdy nie czułam – dławił mnie w gardle, hamując łzy. Co tu się dzieje? Dlaczego ci dwaj obcy strzelają do siebie w kościele pełnym... Jezu drogi... pełnym unikatowych dzieł?

I wtedy, gdy na sklepieniu szukałam dla wzroku jakiegoś punktu zaczepienia, który pomógłby mi się wziąć w garść, zobaczyłam to. Niełatwo to opisać. W samym centrum katedry, snując się niczym opar wzdłuż nawy poprzecznej tuż pod zwornikiem sklepienia ozdobionego okiem opatrności, eteryczna substancja przejrzysta jak welon unosiła się na wysokość około dwudziestu metrów,

rzucając snopy światła pomarańczowej barwy. W życiu czegoś takiego nie widziałam. Nigdzie. Ten jakby dym przypominał chmurę burzową, która próbowała zawisnąć dokładnie nad grobem apostoła.

Martinowi to by się spodobało, zauważyłam w duchu.

Jednakże instynkt przetrwania natychmiast kazał mi wyrzucić z głowy tę myśl i na nowo się skupić na tym, jak się z tego wykaraskać.

Już miałam opuścić obecną kryjówkę i przeczołgać się pod kamienną kolumnę, która byłaby lepszą osłoną, gdy potężna dłoń opadła mi na plecy, przytrzymując mnie rozpląszczoną na brzuchu.

– Nie podnoś się! – rzekł człowiek, który miażdżył mi teraz żebra. Skamieniałam z przerażenia.

– Nicholas Allen – przedstawił się. – Pułkownik armii amerykańskiej. Jestem tu, żeby cię uwolnić.

Uwolnić?... Czy ja dobrze usłyszałam?...

Uzmysłowiłam sobie naraz, że ów Allen wydaje wszystkie polecenia po angielsku. Z miękkim akcentem z Południa. Jak Martin.

Martin!...

Zanim jednak zdążyłam zażądać wyjaśnień, seria pocisków przebiła górną część konfesjonału i utkwiała w kamiennym murze.

– Ten bydlak ma automat – odkrywczco rzekł pułkownik cichym głosem, jakbym sama tego nie zauważyła. – Musimy się stąd wydostać. I to szybko.

## ROZDZIAŁ 6

Zaniedbana twarz antonia Figueirasa pobladła.

– Czy to strzały? – Nikt nie zaprzeczył. – Jasny gwint, pewnie, że strzały!

Stojący z nim policjanci i funkcjonariusze Straży Obywatelskiej spojrzeli po sobie stropieni, jakby nie dowierzali, że donośne dźwięki, które do nich dotarły, istotnie pochodzą z broni palnej.

– I proszę, ten sukinsyn wdał się w strzelaninę w katedrze – rzekł inspektor, patrząc na Jiménezę, jakby on ponosił za to odpowiedzialność. Dobył broń służbową, kompaktowego dziewięciomilimetrowego hecklera & kocha, którego nosił w kaburze pod płaszczem, i dodał stanowczo: – Trzeba to zakończyć.

Podinspektor skulił ramiona.

– Będziesz się tłumaczył z tego faceta – pogroził mu Figueiras. – Za mną!

Czterej ludzie ruszyli za nim. Ostrożnie podeszli do prawego skrzydła Drzwi Złotników, uważając, by z wewnątrz przypadkiem ich nie zauważono i nie ostrzelano. Pozostali trzej strzegli ich tyłów, obserwując okolice Świętych Drzwi i boczne wejścia do katedry. Przekłęty deszcz lał tak gęsto, że ledwie było widać kremowe zasłony w sklepie jubilerskim Otero. Na dokładkę brak

oświetlenia ulicznego nadawał najstarszemu nadprożu katedry bardzo niepokojący wygląd. Posępny. Sceny ze Starego Testamentu na tympanonie również nie zwiastowały nic dobrego. Widniało tam przedstawienie cudzołożnicy dobrze znane pielgrzymom: kobieta trzyma odrąbaną głowę kochanka, co ma służyć jako ostrzeżenie, że sprawiedliwość Boża jest surowa. Wypędzenie Adama i Ewy z raju. A w rogach nad łukami lśniły mokre trąby aniołów apokalipsy.

– Mówiłeś, że jak się ten drań nazywa? – szepnął Figueiras do Jiméneza, przywierając do jednej ze żłobionych kolumn przy wejściu.

– Nicholas Allen. Przyleciał z Waszyngtonu prywatnym samolotem prosto na lotnisko w Santiago.

– I straż graniczna go przepuściła z gnatem?

– Jak widać, szefie.

– I widzisz, jak pięknie nas urządzili? Leć do radia i wezwij posiłki. Niech przyślą karetkę... i śmigłowiec! Niech wyląduje na placu i osłania to wejście. I niech jeden oddział poślą do wejścia północnego. Ruchy, ruchy!

Jiménez wycofał się do radiowozu. Plan Figueirasa – pod warunkiem że sprawy się nie komplikują – był prosty: zaczekać, aż Amerykanin wyjdzie na zewnątrz, i wtedy go ująć. I lepiej, żeby więcej broni palnej nie używano.

Tak się jednak nie stało.

Przyczajonych policjantów zaskoczyły trzy głośnie strzały, które poszły kilka metrów wyżej. Dokładnie nad tak zwaną Fasadą Skarbu, która się rozciąga od Drzwi Złotników do Fontanny Koni, okno rozprysło się na tysiąc kawałków, zasypując ich potłuczonym szkłem.

– Co jest...?



Figueiras ledwie zdążył poderwać głowę. Spadające szkło zniekształciło mu pole widzenia, mimo to dostrzegł coś, co wprawiło go w zdumienie: szczupły mężczyzna o zwinnych ruchach, który zdawał się mieć włosy splecione w warkocz i coś trzymał pod pachą, biegł po liczącym pięć wieków dachu, a za nim ciągnęła się dziwna chmura świetlistego pyłu.

Inspektor Figueiras, ateista, syn republikanów, od osiemnastego roku życia członek partii komunistycznej, pobił jak ściana. I zdołał jedynie wydusić z siebie w języku swojej matki:

– *O demo!*

Diabeł.

## ROZDZIAŁ 7

Kiedy w końcu udało mi się wyjść z katedry, powitała mnie dosłownie ściana wody. Nadciągnęła burza, pogrążając ulice w ciemności, i tylko światło błyskawic wydobywało z mroku kształty schodów i drzwi wejściowych w okolicznych budynkach. Byłam trochę ogłuszona, miałam wrażenie, że straciłam słuch w lewym uchu, i nie potrafiłam zapanować nad dygotaniem rąk i nóg, które na szczęście z wolna ustępowało. Toteż gdy ulewa mnie w jednej chwili przemoczyła, poczułam się lepiej. Ziąb przypomniiał mi, że nadal chodzę po tym świecie... i że jeszcze coś przeżyję. Toteż instynktownie wciągnęłam nosem mieszaninę woni przenikającą powietrze: mchu, mokrej ziemi, dymu palonego drewna... Zapachy i bębnienie deszczu o kamienie pomogły mojemu sercu zwolnić i przywróciły mi równowagę ducha.

    Nie wszyscy mieli tyle szczęścia.

    Nie szukając daleko – facet, który mnie wy dostał z katedry, wyglądał na wkurzonego do nieprzytomności. Wybiegłam pierwsza z kościoła i nie bardzo na niego zważałam, ale wydawało mi się, że słyszę, jak się kłóci z jakimiś ludźmi, którzy zasypali go gradem niezbyt miłych słów, ledwie wyszedł na zewnątrz. Następnie oddzielili mnie od niego. Zajęli się mną dwaj strażacy. Zaraz mnie zaprowadzili pod najbliższe zadaszanie, bym nie stała na deszczu,

i okryli kocem.

– Patrz! – zawołał jeden, gdy pobliska latarnia zamrugała. – Włączyli światło.

Troskliwi strażacy przynieśli mi plastikowe krzesło i butelkę wody, którą wypiałam duszkiem.

– Pani się nie martwi, dojdzie pani do siebie – pocieszył mnie jeden.

Dojdę do siebie?

Jego ton dał mi do myślenia. Ostatnie dramatyczne wydarzenia w połączeniu z dziewięcioma godzinami pracy właściwie bez przerwy niewątpliwie przysporzą mi zmarszczek. Wiem, że może to wyglądać na pustotę, ale odruchowo rozejrzałam się w poszukiwaniu czegoś, w czym mogłabym się przejrzyć i ocenić spustoszenia na twarzy. W gruncie rzeczy chodziło o to, żeby odwrócić myśli od fałszywych mnichów, strzałów i świetlistych chmur. I przez kilka chwil to działało. Szklane drzwi kawiarni, jedynej czynnej o tej porze przy placu, pozwoliły mi stwierdzić, jak żałośnie się prezentują. Zobaczyłam w nich rozczochraną dziewczynę zupełnie odstającą od tego miejsca. W świetle latarni rude włosy odrobinę tylko połyskiwały, a zielone oczy pociemniały, ujrawszy na policzkach bruzdy, które naprawdę mnie zgnębiły. W coś ty się wpakowała, Julio?, zadałam sobie pytanie. Najbardziej jednak martwiło mnie to, czego nie pokazywało odbicie. Czyli obrażenia fizyczne. Musiałam porządnie o coś przyrąbać, ponieważ górna część pleców bolała mnie, jakbym zleciała z rusztowania.

Rusztowanie... Masz ci los!

Przesądnie skrzyżowałam palce, modląc się, by strzały go nie uszkodziły. Sprzęt stał pod rusztowaniem, a na twardym dysku komputera zapisane były wszystkie dane z moich badań.

– Policja chce za chwilę z panią porozmawiać – oznajmił pogodniejszy strażak. – Proszę tu poczekać.

I faktycznie nie minęła minuta, jak podszedł do mnie mocno rozzłoszczony facet wciśnięty w beżowy prochowiec, z twarzą ociekającą wodą, w zamglonych okularach z odważnymi białymi oprawkami z plastiku. Z odrazą wytarł ręce w podszewkę płaszcza i z wystudiowaną uprzejmością podał mi dłoń.

– Dobry wieczór – zaczął. – Jestem inspektor Antonio Figueiras z policji Santiago. Dobrze się pani czuje?

Przytaknęłam.

– Cóż... – zawahał się. – To dla nas dość kłopotliwa sytuacja. Człowiek, który wyprowadził panią z katedry, twierdzi, że została pani wciągnięta w zasadzkę. Słabo mówi po hiszpańsku, ale powiedział, że nazywa się pani Julia Álvarez. Czy to prawda? – Znowu przytaknęłam, a inspektor ciągnął: – Mam obowiązek jak najszybciej panią przesłuchać, ten człowiek jednak, funkcjonariusz amerykańskich służb bezpieczeństwa, koniecznie chce pani zakomunikować coś ważnego.

– Pułkownik?

Na twarzy inspektora odmalowało się zaskoczenie, jakby się nie spodziewał, że wspomnę choćby słowem o Nicholasie Allenie. Skoro to jednak zrobiłam, kiwnął głową.

– Zgadza się, pułkownik. Ma pani coś przeciwko rozmowie z nim w pierwszej kolejności? Jeśli tak, to...

– Nie, nie, w porządku. Właściwie ja też chciałabym mu zadać kilka pytań.

Inspektor kazał przywołać pułkownika.

Zdziwiłam się, ujrawszy pierwszy raz Nicholasa Allena w świetle. Miał około pięćdziesiątki, jakieś metr osiemdziesiąt

wzrostu, wysportowaną sylwetkę. Wierzchnie ubranie lekko mu się nadwerężyło w starciu, które przeżyliśmy, lecz markowy krawat i wykrochmalona koszula zachowały niemal całą świetność. Allen wyłonił się z samochodu zaparkowanego na skraju placu, kiedy inspektor Figueiras zezwolił. Przyniósł ze sobą skórzaną walizeczkę i drugie krzesło, na którym zasiadł obok mnie.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że zdążyłem cię znaleźć – powiedział, ściskając mi ręce i wzdychając z ulgą.

– Czy my... czy my się znamy?

Pułkownik wznosił ogorzałą twarz ku niebu, jakby oczekiwał błogosławieństwa. Nie otrzymał go jednak. Patrząc na niego z bliska, zauważyłam brzydką szramę, która przecinała mu czoło od łuku brwiowego i ginęła w gęstej czuprynie przetykanej już siwizną.

– Ja ciebie znam – odparł. – Byłem kolegą twojego męża. Pracowaliśmy razem przy różnych projektach rządowych, zanim cię poznał. Później... powiedzmy, że miałem was na oku.

Zaskoczyło mnie to wyznanie. Martin nigdy mi nie mówił o kimś takim jak pułkownik. Przez chwilę rozważałam, czy nie powinnam mu wyznać, że „mnich” wymienił nazwisko Martina, zanim rozpętał strzelaninę, lecz ostatecznie postanowiłam najpierw wysłuchać, co Allen ma mi do powiedzenia.

– Muszę ci zadać kilka pytań – oznajmił. – Jeśli pozwolisz, wolałbym, żebyśmy odbyli tę rozmowę bez świadków. – Tu zerknął z ukosa na inspektora Figueirasa, który stał kilka metrów dalej.

Wzruszyłam ramionami.

– Jak wolisz.

– W takim razie wystarczy, że poprosisz o to inspektora. – Uśmiechnął się.

Zawahałam się, lecz ciekawość była silniejsza. Podniosłam się z krzesła, by podejść do inspektora, który wyglądał jak siedem nieszczęść, i poprosić o chwilkę sam na sam z Allenem. I chociaż wyraźnie poczuł się urażony, bez oporu oddalił się z komórką przy uchu, udając, że w ogóle się tym nie przejął.

– Dzięki – szepnął pułkownik.

Schroniliśmy się w kawiarni La Quintana, gdzie jeszcze się nie pozbierali po awarii elektryczności. Kawiarka ogłuszająco dudniła za barem. Zbliżała się godzina zamknięcia lokalu, toteż jedyny kelner krzątał się, przygotowując wszystko na następny dzień. Widząc, że jeszcze trochę mu zejdzie, zasiedliśmy przy stoliku w głębi.

– Julio... – Każdą wypowiedź rozpoczynał jakby z namysłem. – Wiem, że poznaliście się z Martinem w dwutysięcznym roku, kiedy przyszedł tu z pielgrzymką Szlakiem Świętego Jakuba. Że dla ciebie zostawił wszystko. Pracę. Rodziców. I że wzięliście ślub pod Londynem, i...

– Momencik – przerwałam mu. – Będiesz mi mówił o Martinie po tym, co tu się stało?

– Owszem. Bo jestem tu z jego powodu. I z powodu tego człowieka, przed którym cię uratowałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pozwolisz, że zadam ci kilka pytań?

Choć zaskoczona, zgodziłam się. Tymczasem przyniesiono nam kawę.

– Powiedz, proszę – ciągnął – kiedy ostatnio widziałaś męża?

– Miesiąc temu. Mniej więcej.

– Miesiąc temu? Aż tak dawno?

– A co cię to obchodzi? – zdenerwowałam się.

– Pewnie, to nie moja sprawa. Rozumiem.

Dla złagodzenia tego wybuchu dodałam:

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, był w górzystych okolicach Turcji. Zbierał dane do badań nad zmianami klimatycznymi.

– W rejonie Araratu, prawda?

Nie spodobała mi się ta jego dokładność.

– Skąd wiesz?

– Wiem dużo więcej – odparł, wyjmując z walizeczki iPada, którego włączył i podstawił mi pod nos. Wyświetlacz rozjaśnił się w okamgnieniu. – Twój mąż jest w poważnym niebezpieczeństwie. Został uprowadzony.

## ROZDZIAŁ 8

– I na co czekasz? Prześlij mi zaraz informacje!

Inspektor Figueiras nie był człowiekiem, który lubi czekać z założonymi rękami. Zniecierpliwiony przerwał połączenie. Nie mógł znieść, że zagraniczny fachowiec przesłuchuje jedyne go świadka strzelaniny w katedrze, wymusiwszy niejako pierwszeństwo na inspektorze. Nieprzyjemna wymiana zdań z dziekanem kościoła, kiedy badali uszkodzenia we wnętrzu świątyni, a jego ludzie zbierali łuski po nabojach, pozwoliły mu uświadomić sobie, kim jest Julia Álvarez. Ojciec Fornés opisał ją jako kobietę upartą, może nawet za bardzo, niechętnie podporządkowującą się dyscyplinie kościelnej i jego zdaniem zarażoną pogańskimi ideami. „Celtowie, New Age i tym podobne”, wyjaśnił w porywie szczerości, o którą nikt go nie prosił. Figueirasa to akurat nie obchodziło. „Ale jest najlepsza w swojej robocie. Głowę daję, że kiedyś nas zaskoczy jakimś doniosłym odkryciem. Uratuje portyk przed zniszczeniem. Zobacz pan”, oświadczył.

W całej tej tyradzie jeden szczegół naprawdę zaskoczył inspektora: według dziekana Julia Álvarez była żoną obywatela amerykańskiego.

Właśnie dlatego zadzwonił na komendę i zażądał, żeby mu przesłano wszystko, co się znajdzie na temat tej pary.



Figueiras siedział skupiony przed komputerem w radiowozie, gdy poczuł falowanie wilgotnego powietrza. Łopaty śmigłowca przemieszały je na całym placu, niemalże wprawiając bruk w drżenie. Inspektor zdążył zapomnieć o własnym rozkazie, którego efektem był brawurowy lot maszyny w deszczu nad miastem. Nie miał jednak czasu robić sobie wyrzutów. Zadzwoiła komórka, skutecznie odwracając jego uwagę.

– Figueiras, słucham.

– Inspektorze?...

Rozpoznał głos komendanta.

– Tak, słucham.

– Mamy gotowe informacje, o które prosiłeś. Przede wszystkim nie prowadzimy żadnego postępowania przeciwko Julii Álvarez. Wcześniej też nic nie było, nawet mandatu za wykroczenie drogowe. Nic. Wiemy tylko, że jest doktorem historii sztuki i autorką książki o Szlaku Świętego Jakuba. „Droga inicjacyjna”, taki ma tytuł. Trochę za bardzo ezoteryczna jak na mój gust. I to wszystko.

– Jak zebrałeś te informacje? Wygugłałeś?

– Zważaj na słowa, inspektorze – upomniał go rozdrażniony komendant.

– Przepraszam – zreflektował się Figueiras. – Mów dalej.

– Za to dużo ciekawszy okazuje się jej mąż.

– Wyobrażam sobie.

– Martin Faber jest klimatologiem. I to jednym z najlepszych, Figueiras. Zasadniczo nie bardzo wiadomo, czym się zajmuje tutaj. W dwa tysiące szóstym wydał pracę na temat topnienia lodowców w najważniejszych górach Europy i Azji i dostał za nią nagrodę Narodów Zjednoczonych. Wygląda na to, że jego przewidywania

sprawdzają się co do joty. Cieszy się wielkim prestiżem.

A najciekawsze, Antonio... Otóż zdaje się, że skończył Harvard i został zwerbowany do amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, w której był zatrudniony, póki nie ożenił się z Julią i nie przeniósł tutaj.

– Jej mąż jest szpiegiem?

– Formalnie tak. – Naczelnik zniżył głos. – Gorzej, bo reszta jego akt jest utajniona.

– Bardzo wygodne – sarknął Figueiras.

Oczy mu zabłysły za okularami w białych plastikowych oprawkach. Uznał za osobliwy zbieg okoliczności, że facet, który rozmawia w tej chwili z jego świadkiem, i mąż owego świadka pracują dla tej samej agencji wywiadowczej. „Coś mi tu śmierdzi”, rzekł do siebie.

– Wiadomo, kiedy się pobrali? – zapytał komendanta.

– W aktach urzędu stanu cywilnego nie figurują. Za to po aktach rezydentów amerykańskich w Hiszpanii doszliśmy, że ślub wzięli w Wielkiej Brytanii. I wiesz co? W archiwum służb celnych jest bardzo ciekawy dokument...

– Mówże, bo jajko tu zniosę!

– Wygląda na to, że państwo Faberowie mieszkali przez rok w Londynie i zajmowali się czymś zupełnie niezwiązanym z wykształceniem żadnego z nich. Mianowicie handlem antykami. Ale przed przeprowadzką tutaj sprzedali wszystko. Zostawili sobie tylko dwa kamienie z epoki elżbietañskiej, które zgłosili urzędowo.

– Dwa kamienie?

– Dwa stare talizmany. Rzadkość, prawda?

## ROZDZIAŁ 9

Obrazy, które zaczęły mi się przewijać przed oczami, były kompletnie nierealne. Wyglądały jak wyjęte z wiadomości telewizyjnych albo, co gorsza, z marnego filmu o wojnie w Zatoce. Właściwie odwróciłabym wzrok od wyświetlanego materiału, gdybym nagle nie zobaczyła mężczyzny w pomarańczowych łachmanach widocznego w centrum ekranu. Boże drogi! Rozpoznawszy kanciaste rysy twarzy, kształt głowy, duże silne dłonie skute kajdankami i zmartwioną minę, którą przybierał, ilekroć sprawy szły nie po jego myśli, zrozumiałam, że na więcej nie jestem przygotowana.

– Co... co to jest? – wykrztusiłam.

Pułkownik Allen zatrzymał odtwarzanie nagrania.

– Dowód życia. Powstał w zeszłym tygodniu gdzieś w tureckiej części północno-wschodniej Anatolii. Jak widzisz, pokazuje...

– Mojego męża, zauważyłam – przerwałam mu, czując, jak w gardle rośnie mi wielka gęsia skórka. Zaczęłam obracać na palcu złotą obrączkę, niewiele brakowało, żebym wybuchnęła płaczem. – Ale jak to możliwe? Kto go uprowadził? Dlaczego? I czego od niego chcą?

– Spokojnie...

– Spokojnie? Niby jak mam być spokojna?

Kelner zerknął przelotnie w stronę naszego stolika, kiedy poniosły mnie nerwy. Wykrzyczałam to ze łzami w oczach, nie mogąc zaczerpnąć powietrza. Pułkownik wziął mnie za rękę i jakoś niejednoznacznie kiwnął kelnerowi głową. Nie wiedziałam, czy daje mu znak, by zajął się swoją robotą, czy też po prostu uspokaja go, że nic się nie dzieje; w każdym razie facet wycofał się na drugi koniec lokalu.

I zaraz Allen skupił się na mnie.

– Odpowiem na wszystkie pytania po kolei. Przynajmniej na tyle, na ile ja i mój rząd będziemy mogli. Ale w zamian proszę, żebyś odpowiedziała na moje. Rozumiesz?

Słowa nie mogłam z siebie wydusić. Nie potrafiłam oderwać oczu od zastygłego obrazu Martina. Zmienił się nie do poznania: zarośnięty, ze skołtunionymi włosami, pokryty jakąś wysypką. Zalała mnie fala wyrzutów sumienia. Jak mogłam być taka głupia? Dlaczego pozwoliłam, żeby sam pojechał w tę podróż? Przez głowę przemykały mi wspomnienia naszej ostatniej rozmowy. Wpadł na pomysł, że polecą samolotem do Wanu niedaleko Araratu. Rzuciłam mu wtedy w twarz, że od pięciu lat wykorzystuje mnie do swoich eksperymentów, ale koniec, w żadnym więcej nie wezmę udziału. „Nawet z miłości?”, zapytał zaskoczony moim wybuchem. „Jasne, że nie!” Teraz zaczynałam żałować, że tak gwałtownie zareagowałam. Czy przeze mnie znalazł się w takim położeniu?

– Przede wszystkim musisz wiedzieć, że pewne ugrupowanie terrorystyczne przyznało się do uprowadzenia go – wyjaśnił Allen nieświadom moich rozterek. – To Partia Pracujących Kurdystanu, nielegalna lewicowa organizacja polityczna, która od dziesięcioleci walczy z władzami tureckimi. Dobra wiadomość – uśmiechnął się – jest taka, że mają długą historię uprowadzeń alpinistów, których

większość została uwolniona. Gorzej natomiast, że w tym wypadku działali zaskakująco perfekcyjnie. Nie zostawili żadnych śladów. Nawet nasze satelity nie były w stanie ich zlokalizować.

– Sate... lity? – wyjąkałam, tłumiąc szloch. Naprawdę nie mogło mi się to pomieścić w głowie.

– Mój rząd zwraca się do ciebie jako do ostatniej deski ratunku. – Pułkownik znowu przywołał na twarz lekki uśmiech. – Zanim Martin cię poznał, pracował przy paru projektach ważnych dla naszego kraju. Jest w posiadaniu wrażliwych danych, które nie mogą wpaść w niepowołane ręce. Dlatego tu jestem. Żeby pomóc ci go odzyskać, ale też żeby chronić mój kraj. Rozumiesz?

– Nie... nie jestem pewna.

Znowu opadła mnie lawina myśli. Martin nigdy nie opowiadał o latach, które spędził w Waszyngtonie. Ledwie napomykał niekiedy o tym etapie swojego życia, tak jakby było w nim coś, co mu się nie podobało. Tamte czasy były niczym dawne dziewczyny, których lepiej nie wspominać przy żonie.

Nicholas Allen powiedział wtedy coś, co mnie jeszcze bardziej stropiło:

– Obejrzyj nagranie do końca.

– Co?

– Nie proszę o to, żeby cię dręczyć, naprawdę. Chodzi o to, żebyś pomogła nam odczytać wiadomość, która jest adresowana do ciebie.

– Do mnie?... W tym nagraniu?...

Ręce znowu zaczęły mi lekko drżeć.

– Do ciebie. Nie chcesz tego zobaczyć?

Wyświetlacz ipada rozbłysł na nowo, rozsiewając niebieską poświatę w tym kąciku kawiarni. Allen wgniół i przytrzymał klawisz przewijania, aż nagranie dotarło do siódmej minuty.

Czekałam z obiema rękami przyciśniętymi do brzucha, jakbym w ten sposób łatwiej mogła zapanować nad emocjami. Ostrość obrazu ustawiona była na maksimum. Kiedy znowu pojawiła się wycieńczona twarz mojego męża siedzącego bez ruchu, przygotowałam się na najgorsze.

Najpierw usłyszałam męski głos mówiący po angielsku z twardym akcentem.

„Powiedz, jak się nazywasz!”

Ton był gniewny, mówiący znajdował się poza zasięgiem kamery.

„Nie słyszałeś? – ponaglił. – Gadaj, jak się nazywasz!”

Martin podniósł wzrok, jakby w końcu polecenie do niego dotarło.

„Nazywam się Martin Faber. Jestem naukowcem...”

„Chcesz coś przekazać swoim bliskim?”

Mój mąż przytaknął. Jego rozmówca wymawiał głoski „h” z przydechem i „s” niczym Rosjanin żywcem wyjęty z „Polowania na Czerwony Październik”. Martin wpatrzył się znowu w obiektyw kamery i powiedział tak, jakby ten fragment był nagrywany tylko dla mnie:

„Julio, może więcej się nie zobaczymy... Jeśli nie wyjdę z tego, chcę, żebyś mnie zapamiętała jako człowieka szczęśliwego, który w tobie znalazł swoją drugą połowę...”

Samotna łza wymknęła mi się spod powieki. Widziałam, jak Martin ściska w dłoni dowód naszej miłości. Przedmiot, za którego sprawą życie nabrało – przynajmniej dla mnie – nieoczekiwanego sensu. Martin głosem drżącym, lekko zniekształcanym przez zakłócenia dźwięku, ciągnął:

„Jeśli zmarnujesz czas, wszystko przepadnie. Wszystkie odkrycia, których dokonaliśmy wspólnie. Świat, który się przed nami otworzył. Wszystko. Walcz dla mnie. Wykorzystaj swój dar.

I pamiętaj, że chociaż będą cię ścigali, żeby ci odebrać to, co należy do nas, ścieżka wiodąca do ponownego spotkania będzie dla ciebie widoczna”.

I na tym nagraniu nieoczekiwanie się urwało.

– Nie ma nic więcej? – spytałam, jakby mnie pozbawiono powietrza, którym oddychałam.

– Nie.

Byłam stropiona. Zdezorientowana. Allen, który przez cały czas trzymał moje ręce w swoich, ścisnął je teraz mocniej.

– Przykro mi – szepnął. – Naprawdę bardzo mi przykro. – Po czym pchnięty ciekawością, której jeszcze nie pojmowałam, zadał pytanie zupełnie niespodziewane: – Co to za dar?

## ROZDZIAŁ 10

Miguel Pazos i Santiago Mirás ledwie od roku byli funkcjonariuszami policji w Santiago de Compostela. Studia w akademii policyjnej skończyli ze znakomitym wynikiem i cieszyli się pracą w mieście takim jak to – w którym nie działo się nic godnego wzmianki, mimo że było siedzibą władz regionu i przyjmowało największy odsetek ludności napływowej w północnej Hiszpanii.

Inspektor Figueiras polecił im pilnować schodów prowadzących do głównego wejścia katedry i do Portyku Chwały. Z ożywieniem snuli spekulacje na temat tego, co się tu wydarzyło. Obaj byli rozluźnieni. Strzały, które postawiły na nogi ich jednostkę, ustały, w kościele dzięki Bogu nie wybuchł pożar i wyglądało na to, że nawet nikt nie został ranny w strzelaninie. Mimo to kazano im tu czuwać i podnieść alarm, gdyby spostrzegli coś podejrzanego. Uzbrojony człowiek zbiegł z miejsca wydarzeń i krążył gdzieś po uliczkach wychodzących z imponującego plaza del Obradoiro – priorytetowym zadaniem policji było go zatrzymać.

Okolice wejścia do Hostal de Los Reyes Católicos wydawały się spokojne. Jak zwykle o tej porze hotel był zamknięty na cztery spusty, włączone na nowo oświetlenie uliczne znów ukazywało naznaczoną zębem czasu katedrę i fasadę pałacu Rajoya. Poza tym



sprzyjał im deszcz. Zmusił ich, aby się schronili w wozie patrolowym zaparkowanym na rogu calle San Francisco, dzięki czemu punkt obserwacyjny mieli w suchym i ciepłym miejscu, z którego na pewno zobaczą każdego, kto wejdzie na plac.

Żaden z nich nie spodziewał się, że około czterdziestu minut po północy ziemia zacznie drżeć.

Najpierw poczuli słaby wstrząs, jakby deszcz się wzmógł na tyle, że wprawiał w wibracje nissana x-traila. Policjanci popatrzyli po sobie bez słowa. Ale kiedy nad nimi rozległ się przenikliwy szum, poruszyli się niespokojnie.

– Co, do diabła...? – mruknął Pazos.

– Pewnie śmigłowiec, którego zażądał inspektor. Nie ma co się martwić – uspokoił go kolega.

– Ano tak.

– Goście muszą mieć jaja, żeby latać w taką noc.

– Nooo... – zgodził się Pazos.

Szum wzmógł się tak bardzo, że woda, która się zgromadziła w zagłębieniach bruku na placu, zaczęła się wznosić drobnymi wirami.

– Jezu... – Funkcjonariusz Pazos siedział z nosem przyklejonym do przedniej szyby, obserwując śmigłowiec, który zniżał się nad nimi. – To nasz?

Piętnastometrowa maszyna pomalowana na czarno miała dwa wirniki współosiowe i trzeci na ogonie, jak łódź motorowa.

Wylądowała tak blisko policjantów, że ich prawie dwutonowa terenówka przesunęła się kawałek na bruku.

Kiedy wirniki przestały się obracać, rozległ się wysoki dźwięk tak przenikliwy, że musieli zatkać sobie uszy.

– Kto ich tu wezwał? – mruknął Pazos z widoczną niechęcią.

Kolega go nie słuchał.

Wpatrywał się w gościa o jasnej twarzy, z włosami związanymi w koński ogon i z rzucającym się w oczy tatuażem pod prawym okiem. Facet stukał w jego okno. Funkcjonariusz Mirás opuścił szybę.

– Dobry wieczór. Co...

Nie zdążył dokończyć pytania.

W gasnącym wizgu śmigłowca utonęły dwa suche strzały, odrzucając głowy obydwu policjantów na zagłówek siedzeń. Pociski z sig-sauera najnowszej generacji, którego facet trzymał w ręce, trafiły tak pewnie, że policjanci nawet nie wiedzieli, iż odchodzą ze świata żywych. Nie usłyszeli także, jak zabójca mamrocze coś w dziwnym języku – coś w rodzaju litanii brzmiącej jak „*Nerir nranc, Ter, jew ko hirkn endhuni!*” – ani nie widzieli, jak zaraz potem się żegna i oddala.

## ROZDZIAŁ 11

– To długa historia, pułkowniku. I nie wiem, czy powinnam ją opowiadać. – Przełknęłam ślinę.

Nicholas Allen z powagą na twarzy pociągnął porządny łyk kawy, następnie odchylił się na oparcie krzesła i położył duże dłonie na stoliku.

– W porządku. Ale najpierw coś ci powiem i chciałbym, żebyś wzięła to pod uwagę, zanim zaczniesz opowiadać. Otóż twój mąż wykorzystał dowód życia nagrany przez porywaczy, żeby przesłać ci wiadomość. I równocześnie ostrzeżenie. Sądzę, że już to sobie uświadomiłaś, prawda?

Kiwnęłam głową, chociaż już niczego nie byłam pewna.

– Kiedy parę godzin temu zobaczyłem to nagranie w Waszyngtonie – ciągnął, gładząc iPada – zrozumiałem, że aluzja do kogoś, kto może wam odebrać waszą własność, zawiera ostrzeżenie. Macie coś cennego, czego należałoby pilnować?

Allen zadał to pytanie tak, jakby z góry znał odpowiedź. W gruncie rzeczy nawet nie liczył, że otworzę usta.

– Jedno jest oczywiste – mówił dalej. – Martin się nie mylił, uważając, że ty także jesteś w niebezpieczeństwie.

W moich oczach zabłysnął strach.

– Myślisz, że ten „mnich” w katedrze chciał...?

– Cóż, może nie? Przyszedł po ciebie. Tego jestem pewny. Zdążył z tobą porozmawiać? Powiedział coś?

– Wspomniał Martina...

– Jaki słów użył?

– Nie wiem... – straciłam cierpliwość. – Nie mogłam go zrozumieć!

– W porządku. Nie denerwuj się. Powoli do wszystkiego dojdziemy. Chciałbym, żebyś odpowiedziała na moje pierwsze pytanie, jeśli łaska.

Wracaliśmy zatem do początku.

– Wspaniale – westchnęłam.

– O jakim darze mówił twój mąż w nagraniu?

– Mam dar widzenia.

Powiedziałam to bez zastanowienia, jakbym zrzucała z siebie brzemię. Powiedziałam nieoczekiwanie. Bez słowa wstępu. I tak jak myślałam, na twarzy Nicholasa Allena pojawiło się niezrozumienie. Zareagował jak wszyscy inni.

– A więc to ma być ta długa historia... – rzekł i wzruszył ramionami.

Zanim coś jeszcze dodał, czym prędzej zabrałam głos.

– Wiesz, to rzadko spotykana dziedziczna zdolność. Sądzę, że wrodzona. Miała ją moja matka. I ciotka. Właściwie w rodzinie mojej matki miały ją wszystkie kobiety, które pamiętam. Czasami myślałam, że to coś w rodzaju wady genetycznej. Próbowałam ją zdusić lekami, ale nie pomogły. Nie wiem, jakim cudem Martin to zrozumiał, ledwie mnie zobaczył, i pomagał mi z tym żyć.

– Na czym ta zdolność polega?

– Trudno to wytłumaczyć – odparłam, biorąc serwetkę, by owijać ją wokół palców, jak zawsze gdy byłam zdenerwowana. –

W zasadzie nigdy się tym nie chwaliłam, a tym bardziej nie korzystałam z daru publicznie. Rzecz w tym, że Martin od razu odgadł, że mam taką zdolność. Na przykład wiedział, że mogę wziąć jakikolwiek przedmiot w ręce i zobaczyć jego historię. Mogę powiedzieć, gdzie był wcześniej i do kogo należał. Wiesz, że Martin mi wytłumaczył, że niektórzy naukowcy nazywają tę zdolność psychometrią? Ale w pewnych okolicznościach potrafię też zapomnieć język ojczysty i mówić innymi. Kiedyś w czasie transu, w który wprawiła mnie babcia, posłużyłam się bezbłędną łaciną. To się nazywa ksenoglosja. Dar języków. Martinowi zawdzięczam, że daję radę z tym żyć i przestałam się bać swoich zdolności.

Jeśli pułkownika zdumiały moje wyjaśnienia, nie okazał tego.

– Jak do tego doszło? – zapytał.

– Do czego? Do naszego spotkania?

Allen kiwnął głową.

– Czy to ważne?

– Niewykluczone.

– No dobrze. – Znowu westchnęłam. – Parę lat temu Martin przybył do mojego miasteczka, idąc pielgrzymim Szlakiem Świętego Jakuba. Pracowałam wtedy jako przewodniczka w kościele w Noii na Costa da Morte. Koniecznie chciał go zwiedzić. Gawędziliśmy miło, przypadliśmy sobie do gustu od pierwszej chwili. W końcu zaczął mi mówić o różnych rzeczach dotyczących mojego życia. O sprawach osobistych, o pracy, przyjaciółach... Pomyślałam, że to jakaś jego sztuczka, która ma robić wrażenie na dziewczynach, a on mnie zwyczajnie podrywa. Ale ciągnęliśmy ten temat. Powiedział mi, że ja też mogłabym robić takie rzeczy. Że mam wrodzony talent do tego. Obiecał, że wytłumaczy mi, co mogę z tym robić... I tak powoli w ciągu tych dni, które spędził

w miasteczku, zakochał się we mnie. Zwyczajnie.

Zauważyłam, że przez oczy Allena przemknęła mgiełka niepokoju. Nieraz już taką widziałam, ilekroć opowiadałam tę historię. Mimo wszystko jednak postanowiłam kontynuować.

– Chcę, żebyś uwolnił Martina, pułkownika. Jeśli obiecasz, że go odzyskam, wyjaśnię ci szczegółowo, na czym polega mój dar. Ale pomóż mi!

Po raz pierwszy w jego spojrzeniu dostrzegłam współczucie. Życzliwość nawet. Uniósł krzaczaste brwi z pojednawczą miną.

– Obiecuję – rzekł. – Po to tu jestem. – I całkowicie niewinnym głosem, jakiego dotąd u niego nie słyszałam, dodał: –

Przypuszczam, że wszystko to jest powiązane z tym jakby wisiorkiem, który Martin ma w rękach na nagraniu. Mam rację?

– Owszem. Ale pozwól, że opowiem to po swoim.

– Jasne. Od czego zaczniemy?

– Od daru widzenia.

– Aha.

– Wiesz, bardzo przypomina to, co ludzie nazywają jasnowidzeniem, ale jednak się różni. Jak się domyślasz, w takich sprawach powinno się zachowywać maksymalną dyskrecję. Ja na przykład przez całe studia ukrywałam przed kolegami i profesorami, czego doświadczam. Ilekroć byłam w muzeum albo w jakimś zabytkowym budynku, doznawałam wizji. Najpierw czułam coś na skórze. Przeczuwałam, że coś się stanie. Że obrazy wyszeptają mi tajemnice swoich autorów, modeli, swoich czasów... I w głowie odtwarzały mi się pełne sceny z udziałem ludzi, których nigdy w życiu nie widziałam. Rozumiałam napisy w językach egzotycznych albo przesłanie rzeźby, ledwie ją zobaczyłam. Wyobrażasz sobie, jak to boli, kiedy człowiek dzieli się taką wiedzą

z innymi i nikt mu nie wierzy? Co w świecie kartezjańskim, którym rządzą rozum i materia, oznacza, że jeden człowiek jest do tego zdolny, a wszyscy pozostali nie? Dar sprawiał, że zawsze czułam się inna. Mądra, ale inna. I miałam świadomość, że jeśli nie będę go jakoś tłumiała, doprowadzi mnie w końcu do szaleństwa.

– Czy twój dar interesował Martina?

– Bardzo.

– Wiesz dlaczego?

– T... tak – wyjąkałam.

– Proszę – powiedział, wyczuwając moje niezdecydowanie – niczego przede mną nie ukrywaj. Dałem słowo, że pomogę uwolnić Martina, ale potrzebna mi twoja współpraca.

– To ma związek z sekretem rodzinnym.

– Kolejny sekret?

– Faberów.

– Mianowicie?

– Kamień, który Martin trzyma na nagraniu, ma potężną moc.

Niemal jak energia jądrowa.

Allen spojrzał na mnie surowo, lecz zachował stoicki spokój.

– Dowiedziałam się o nim dzień przed naszym ślubem. Wiesz, to naprawdę skomplikowana historia... Na opowieści z wyjaśnieniami może nam zejść do rana.

– Nie szkodzi. Bardzo chcę posłuchać.

## ROZDZIAŁ 12

Mimo tak późnej pory inspektor Antonio Figueiras postanowił wstąpić na komendę, aby sporządzić raport z wydarzeń i rozesłać polecenie wszczęcia poszukiwań i ujęcia człowieka, który zbiegł z katedry. Z włączonym kogutem peugeota 307 wjechał pod prąd w calle Fonseca, nakazawszy przedtem policjantom z patrolu, by nie spuszczała z oka kawiarni La Quintana. Poprosił funkcjonariuszy o przywiezienie świadka do swojego biura, jak tylko Amerykanin zakończy spotkanie. „Niech się prześpi w celi, jeśli będzie trzeba – zapowiedział. – Muszę mieć ją pod strażą, póki mi nie wyjaśni, co tu się, do ciężkiej cholery, działo”.

Zanim Figueiras oddalił się z miejsca, skąd widział rysujące się iglice katedry, zauważył potężny obły kształt ustawiony pośrodku placu. Patrząc w lusterko wsteczne przez tylną szybę omiotaną miarowo wycieraczką, doszedł do wniosku, że to śmigłowiec, którego zażądał. Przy takiej ulewie załoga zdecydowała się pewnie wylądować i poczekać, aż warunki pozwolą znowu na lot.

I dobrze, pomyślał beztrąsko.

Kiedy zjechał z avenida Rodrigo de Padrón, znalazł się poza zabytkowym centrum miasta i ustawił samochód na podziemnym parkingu komendy głównej, w głowie miał jedną myśl: zbadać, jaką rolę w tej historii odgrywają talizmany Faberów. Wyczuwał



bowiem, że jakąś odgrywają na pewno. Skoro ktoś wdał się w strzelaninę z doktor Álvarez, nasuwało się jedno wytłumaczenie: chciał zabrać jej coś cennego. Coś, dedukował inspektor, co warte jest więcej niż życie. A dokładnie mówiąc, warte jest dwa miliony funtów zgodnie z deklaracją celną Faberów.

– Cenne szesnastowieczne kamienie? – Głos w słuchawce jednoznacznie dowodził, że jego właściciela wyciągnięto z łóżka, by zasięgnąć porady profesjonalisty.

– No właśnie, Marcelo. Elżbietańskie. Czyli angielskie.

Marcelo Muñiz był najsłynniejszym jubilerem w Santiago. Jeśli w Galicji przedmiotem transakcji był jakiś niecodzienny kamień, zawsze przechodził przez jego ręce.

– Nie przypominam sobie, żebym coś takiego widział – rzekł tonem znawcy. – Znasz nazwisko właściciela?

Figueiras podał mu je.

Muñiz włączył laptop i sprawdził w swojej bazie danych, po czym odezwał się kilka minut później:

– Przykro mi, Antonio. Ręczę, że u nas takie kamienie się nie pojawiły. W każdym razie nikt ich nie sprzedał...

– To możliwe – zgodził się Figueiras. – Ale powiedz mi coś: gdybyś przeprowadzał się z Anglii do Hiszpanii i miał w dobytku coś takiego, wpisałbyś to do deklaracji celnej? A jeśli tak, to po co?

– Ależ ze względu na ubezpieczenie – odparł Marcelo bez wahania. – Jeśli mają dużą wartość i chcesz, żeby ubezpieczenie obejmowało je również poza domem, musisz mieć dokument, który je uwiarygodnia.

– Gdybyś miał coś takiego, pracowałbyś dalej? Wstawiałbyś co rano i szedł do roboty? Żyłbyś normalnie jak dotąd?

– Cóż... – Muñiz się zawahał. – Może właściciele nie chcą za

bardzo zwracać na siebie uwagi. Może dla nich wartość przedmiotu to nie tylko pieniądze. Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, czym się niektórzy kierują, gromadząc drogocenne kamienie i płacąc za nie czasem znacznie powyżej wartości rynkowej.

– Może... – westchnął zawiedziony Figueiras. Zmęczenie zaczynało dawać mu się we znaki. – Tego dowiem się jutro.

I zakończył połączenie.

## ROZDZIAŁ 13

To była długa opowieść. Uprzedzałam. Ale Nicholas Allen postanowił jej wysłuchać, zamówiwszy przedtem jeszcze jedną mocną kawę i jakieś wyroby cukiernicze, które zostały w kuchni. Zrezygnowany kelner pogodził się z sytuacją. Ostatecznie to była sprawa policyjna. Przy drzwiach wartowali mu ludzie ze Straży Obywatelskiej i policja, tak że nie miał innego wyjścia – musiał tkwić za barem, póki będzie trzeba.

– No to zaczynaj – ponaglił mnie Allen. – Od czego wolisz.

– Zacznę od dnia, kiedy pierwszy raz zobaczyłam kamienie. Może być?

– Proszę bardzo.

– To było w przeddzień naszego ślubu...

Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby mój narzeczony był taki podekscytowany jak tamtego ranka w początkach lata. To było ostatniego czerwca 2005 roku. Przyjechaliśmy do hotelu w West Endzie trochę wcześniej, żeby odpocząć przed uroczystością. Miała się odbyć w normańskim kościółku w hrabstwie Wiltshire.

Cudowne miejsce. Ślub chcieliśmy skromny, z garstką gości i bez cudów. Udzielić go nam miał ksiądz zaprzyjaźniony z rodziną Martina, powiadomiony telefonicznie o naszych planach.

Kochałam Martina do szaleństwa.

Wszystko mu się udawało. Mniej więcej. Jak garncarzowi umiemy modelować świat na miarę naszych potrzeb.

Martin kilka tygodni wcześniej namówił mnie, żebym związała się z nim, rzuciła wszystko: wycofała się z konkursu na rządowe stanowisko głównego konserwatora w Galicji, zostawiła rodziców, koleżanki, kamienny domek na Costa da Morte, a nawet moją kolekcję legend celtyckich. Wszystko! I był szczęśliwy, że uległam!

Może wyda ci się to głupie, pułkowniku, ale niedługo przed tym, jak go poznałam, przeczytałam gdzieś, że powinnam pisemnie przedstawić światu, czego spodziewam się od życia. Wyrażenie czegoś takiego na piśmie wymusza uporządkowanie myśli. Spisałam swoje oczekiwania w dniu dwudziestych dziewiętych urodzin. Pragnęłam pokochać mężczyznę. Dobrego człowieka. Towarzysza przygód. Wypichciłam trzy strony i zdałam sobie sprawę, kogo szukam: człowieka, który uszanuje moją wolność i będzie szczery, czuły, wielkoduszny, skromny i czarujący; mężczyzny honorowego, zdolnego porozumieć się ze mną wzrokiem; osoby o czystym sercu, która słowami wprawi mnie w uniesienie. Pamiętam, że poskładałam te kartki i włożyłam do szkatułki z drewna sandałowego, którą ukryłam pod szafą, po czym zaraz o niej zapomniałam. Wtedy Martin zjawił się w Noii. A ja go zobaczyłam. Człowiek w pielgrzymich łachach miał najpromienniejszy, najbardziej wyrazisty uśmiech na świecie. Przyciągał spojrzenie, był doskonały, a mnie nawet przez myśl nie przeszło, że idealnie pasuje do tego, którego sobie opisałam.

Nie ma co kryć – z nim wszystko poszło bardzo szybko, tak że dziesięć miesięcy później zśliśmy do ołtarza. Martin rzucił pracę w Stanach, a mnie, prawdę powiedziawszy, także nie zależało na mojej.

Dzień przed ślubem w samolocie z Santiago do Londynu narzeczony pokazał mi parę zdjęć miejsca, które wybrał na ceremonię. Wszystko załatwił w tajemnicy. I jak można się było spodziewać, jego wybór wydał mi się idealny: kamienny kościółek o murach obrośniętych wiciokrzewem, skromny cmentarzyk przekształcony w ogród, gdzie zaplanował przyjęcie. Nawet zajazd, w którym mieliśmy spędzić noc poślubną, był całkiem jak przeniesiony z Santiago. Martin niczego nie pozostawił przypadkowi. Pragnął, żebym będąc daleko od Galicji, czuła się jak w domu.

Tamtego popołudnia w Londynie pojechaliśmy taksówką na południe miasta, ponieważ Martin miał mi coś ważnego do powiedzenia. Kiedy znaleźliśmy się na niezbyt zatłoczonych ulicach podmiejskich, polecił kierowcy, żeby nas zawiózł na Mortlake Street w Richmond-upon-Thames. Minęliśmy dzielnicę irańską, chińską i indyjską, a gdy dotarliśmy na miejsce – przed czteropiętrowy nowoczesny apartamentowiec z czerwonej cegły licowej na spokojnym osiedlu – poczułam się lekko zawiedziona. Wyobrażałam sobie, że zaprosi mnie na kolację w jakimś romantycznym miejscu i będziemy snuli plany na przyszłość. Ale tamtego popołudnia Martinowi co innego chodziło po głowie.

– Słyszałaś może o Johnie Dee? – spytał zniecierpliwiony, kiedy byliśmy w połowie ulicy.

– To twój krewny?

– Nie, skądże! – roześmiał się. – Wydawało mi się, że Hiszpanka tak wykształcona jak ty powinna go znać.

– Przecież nie...

– Nieważne. – Zniżył głos, jakby się bał, że ktoś nas usłyszy: – Dee był magiem i osobistym astrologiem królowej Elżbiety

Pierwszej. Uchodził za najsłynniejszego znawcę nauk okultystycznych swoich czasów. W gruncie rzeczy sławą dorównywał mu tylko Nostradamus, który żył mniej więcej wtedy. John Dee miał taki sam dar jak ty.

– Znowu będziesz mi opowiadał o magach? – mruknęłam niechętnie. – Myślałam, że...

– Muszę. To najlepsza chwila.

– Taaa... – westchnęłam.

Jedyne, o co spieraliśmy się czasem z Martinem, to ta jego obsesja na tle okultyzmu. Pasjonował się tym w sposób, który zupełnie mi nie odpowiadał. Wtedy jeszcze nawet nie myślałam o książce na temat symboli ezoterycznych na Szlaku Świętego Jakuba, a wszystko, co się wiązało z kwestiami nadprzyrodzonymi, napawało mnie strachem. Z powodu pewnych przykrych doświadczeń z dzieciństwa nie dopuszczałam do siebie myśli, że istnieją zjawiska, które się wymykają prawom fizyki. W ogóle czegoś takiego nie brałam pod uwagę. W tamtym czasie uważałam, że pogrzebałam swój dar na zawsze. A tak naprawdę wolałam po prostu wierzyć, że tego rodzaju rzeczy to zwykłe przesady i oszukańcze wymysły. Przypuszczam, że takie nastawienie było naturalną reakcją na wszystko, co latami słyszałam w domu. A tu człowiek o umyśle naukowca, z doktoratem obronionym na Harvardzie, bezkrytycznie wierzy w jasnowidztwo, alchemię, astrologię i zdolności mediumiczne. Martin twierdził, że ta wiedza była podstawą „nauki przed nauką”. Że na przykład alchemicy badali budowę atomu na długo przed naszymi fizykami jądrowymi, ukrywając swoje odkrycia w metaforach i kalamburach, które gwarantowały, że osoby niepowołane ich nie odczytają. Ja się z takim podejściem nie zgadzałam.

– Proszę, żebyś mnie wysłuchała, Julio – powiedział, biorąc mnie w ramiona na ulicy. Pierwszy raz widziałam go tak niespokojnego.

– Tylko ten jeden raz.

– Niech ci będzie.

– Zanim wejdziemy do tego budynku, musisz się czegoś dowiedzieć o Johnie Dee. Był liczącym się szesnastowiecznym matematykiem, kartografem i filozofem. I jako dobry katolik, równie sceptycznie jak ty odnosił się do wszystkiego co nadprzyrodzone. Przełożył Euklidesa na angielski. Jako pierwszy zastosował geometrię w żeglarstwie, oddając nieocenioną przysługę marynarce Jej Królewskiej Mości. W pewnym sensie uczynił z Anglii imperium.

– Czemu tak cię obchodzi mag, który od setek lat nie żyje?

– Zafascynował mnie pewien aspekt jego działalności – mówił dalej, nie odpowiadawszy na moje pytanie. – Dee opracował system komunikacji z aniołami, którego dotąd nie udało się rozgryźć.

Zaniemówiłam ze zdumienia. Co chciał mi powiedzieć człowiek, który za kilka godzin miał zostać moim mężem?

– Musisz w to uwierzyć, Julio. A przynajmniej dopuścić, że to jest możliwe – prosił. – W roku tysiąc pięćset osiemdziesiątym pierwszym anioł z krwi i kości, istota, której byś nie zauważyła, gdyby stanęła teraz przy tobie, odwiedziła Johna Dee i wyjaśniła mu, jak może się twarzą w twarz porozumiewać z bytami podobnymi do niej. Po tym spotkaniu Dee stale widywał się z aniołami i dowiadywał od nich niesamowitych rzeczy. Rzeczy, które odmieniły naukę i historię, a w końcu doprowadziły do późniejszej rewolucji technicznej.

Kiedy Martin snuł swój wywód, oczy błyszczały mu z

podniecenia. Nie było mowy, żeby mu przerwać.

– Nie wiesz o czymś, bo to tajemnica, którą w mojej rodzinie wyjawia się tylko jej członkom. Otóż po śmierci Johna Dee moi przodkowie odziedziczyli jego książki i magiczne formuły, chociaż utraciliśmy sporą część jego zdolności przywoływania tych istot.

– Twoja rodzina przywołuje anioły? – spytałam coraz mocniej przestraszona. – Nie mówisz tego poważnie, prawda?

– Poznasz ludzi, którzy jeszcze więcej potrafią, *chérie*. I dowiesz się, dlaczego chciałem, żebyś ich zobaczyła. Błagam cię tylko o odrobinę cierpliwości... i wiary.



## ROZDZIAŁ 14

Śmigłowiec, który wylądował na plaza del Obradoiro, nie był maszyną zwyczajną, lecz eksperymentalną, na razie istniejącą tylko w trzech prototypowych egzemplarzach, wyposażoną w urządzenia pozwalające latać w najgorszych warunkach atmosferycznych. Miał ponadto opancerzony kadłub i wypasione uzbrojenie. Ale rzecz jasna dysponował także innymi właściwościami, które bardziej się liczyły. Mógł osiągnąć pułap pięciu tysięcy metrów, co w przypadku wszystkich innych wiroplatów było nie do pomyślenia, prędkość przelotową pięciuset kilometrów na godzinę oraz spędzić w powietrzu do dwunastu godzin. Kadłub pokryto specjalnym stopem, który czynił go odpornym na ekstremalne temperatury, maszynę wyposażono poza tym w jeden z najnowocześniejszych systemów nawigacyjnych.

Ten „potwór” nie miał planu lotu. Ani znaków rejestracyjnych. Oficjalnie w ogóle nie istniał. A w dodatku nikt się go nie spodziewał w Galicji. Wyłonił się znikąd, przebył całą Europę, poczekał w ukryciu na mało uczęszczanym lotnisku niedaleko zapory Fervenza i stamtąd właśnie teraz przyleciał.

Z cichym szumem silniczka elektrycznego otworzyły się boczne drzwi i ociekający wodą młody człowiek, który na placu pozbawił życia dwóch policjantów, wskoczył do środka, mocząc wszystko

dokoła. Drzwi zaraz się zamknęły.

– Co się stało?

Pytanie to zadał facet w średnim wieku, ciemnooki, o żywym spojrzeniu, ogorzałej twarzy i sumiastych wypiełgnowanych wąsach. Wpatrywał się w niego surowo, a emanowała z niego taka władczość, że nowo przybyły opuścił broń i z pokorą padł mu do stóp.

– *Cawum e*. Musiałem to zrobić, mistrzu – powiedział niemal szeptem w swoim ojczystym języku, ormiańskim.

Milczenie.

– Gdybym ich nie zlikwidował, zatrzymaliby mnie i cała operacja by wzięła w łeb. Wybacz, mistrzu.

– No dobrze... – rzekł wąsaty, kładąc tamtemu rękę na głowie, jakby go błogosławił. – A w kościele? Jak ci poszło w kościele? Czy... widziałeś ją?

Oczy młodego zwilgotniały.

– Miałeś rację, mistrzu – odparł ze wzrokiem wlepionym w ziemię, wciąż jeszcze oddychając urywanie. – To ona. Ta kobieta może aktywować kasetę. Zrobiła to w katedrze zupełnie nieświadomie.

– Nieświadomie?

– Ma naprawdę potężną moc, mistrzu.

Szajch patrzył na niego stropiony. Co by na to powiedzieli jego przodkowie? Jak by przyjęli wieść, że cudzoziemka może oddziaływać na jedną z ich największych świętości? Na szczęście on nie był podobny do antenatów. Zachowywał się raczej jak lekarz, który z niecierpliwością wypatruje efektów trudnej terapii, a nie jak przywódca jednego z najmniej znanych, a zarazem najstarszych wyznań na ziemi.

– A kamień? – zapytał, nie podnosząc głosu. – Sprawdziłeś, czy go ma?

– *Votsh*. Nie udało mi się. Zjawili się, zanim zdążyłem to zrobić.

– To byli oni? – W oczach wąsacza pojawił się cień niepokoju. – Jesteś pewny?

Młody kiwnął głową.

– Amerykanie...

Szajch zdjął rękę z głowy chłopaka i zmusił go, by podniósł na niego wzrok. Jego twarz była teraz całkowicie przeobrażona. Oczy miał szeroko otwarte, źrenice mocno poszerzone.

– A zatem, bracie, nie zostawiają nam wyboru – powiedział z powagą. – Musimy działać, zanim zło się dokona. Przygotujmy się.

## ROZDZIAŁ 15

– I co było potem? Nie powiesz chyba, że wtedy po raz pierwszy zobaczyłaś kamienie?

Kolejne pytanie Nicholas Allen zadał z niepokojem. Jakby dla jego dochodzenia najistotniejsze było ustalenie, jak dokładnie prezentowała się moja więź z kamieniami.

– Wszystkiego się dowiesz – odparłam, mimo woli podnosząc napięcie. – Ale jeśli mam ci powiedzieć, muszę to zrobić krok po kroku.

– Jasne – zgodził się. – Mów dalej.

Martin po wykładzie na temat Johna Dee podprowadził mnie do białych aluminiowych drzwi, które wiodły do lokalu numer dziewięć przy Mortlake Street 17. Jakież było moje zdumienie, kiedy na nadprożu ujrzałam metalową tabliczkę z białymi literami na niebieskim tle obwieszczającą: „John Dee House”.

– To tutaj – powiedział.

– Dom Johna Dee?

Figlarny uśmieszek przewinął się przez anielską twarz Martina. Tamtego dnia był w znakomitym humorze, co poznawałam po dołeczkach, kiedy się uśmiechał, i po tym, jak na mnie patrzył.

– Wchodź! Na co czekasz? – ponaglił mnie.

Szliśmy po dwa stopnie schodami prowadzącymi na piętro.

Ulżyło mi, kiedy zobaczyłam, że korytarze są tam przestronne, jasne i wywietrzone. Może i niegdyś stał tu dom nekromanty, lecz dziś śladu po nim nie zostało. Właśnie miałam to skomentować, gdy otworzyły się drzwi jednego z mieszkań i zobaczyłam w nich kobietę około sześćdziesiątki, o półdługich ciemnych włosach, starannie umalowaną, w czarnej tunice i sandałkach ozdobionych kamykami.

– Martin! Chłopcze drogi!... – Uściskała go. – Czekaliśmy na ciebie.

– Witaj, Sheilo. Boże, tyle czasu! Wspaniale wyglądasz!

Martin ścisnął się i ścisnął z Sheilą Graham – przeczytałam jej nazwisko na złotej tabliczce z dwoma aniołkami na drzwiach.

– A to na pewno...

– ...Julia – dokończył Martin skwapliwie. – Od jutra nowa olśniewająca pani Faber.

– Ależ piękna ruda czupryna – zachwyciła się, taksującym wzrokiem obrzucając moją sukienkę z tkaniny z nadrukiem i świeżo wydepilowane nogi. – Masz gust, chłopcze!

Doprawdy była dla mnie bardzo łaskawa. A wypowiedziała te słowa jak strażnik Graala w filmie *Indiana Jones i ostatnia krucjata*, zanim Harrison Ford znalazł kielich. I tak jak w filmie obdarzyła mnie porozumiewawczym uśmiechem, po czym poprowadziła nas przez szeroki mroczny przedpokój.

Mieszkanie miała niezwykle. Mijaliśmy regały uginające się pod ciężarem starych książek, aż znaleźliśmy się w skromnie urządzonym jasnym saloniku z oknem wychodzącym na ulicę. Tam rozparty w starym fotelu z bocznymi oparciami siedział człowiek prezentujący się dość młodo, wysoki, przy kości, o rumianej cerze, kręconych włosach i brodzie.

Na nasz widok podniósł głowę znad czytanej książki.

– Cześć – przywitał mnie swobodnie. – Usiądź, gdzie ci wygodnie, kotku.

Zdumiałam się. Kotku?...

„Strażniczka Graala” przedstawiła nas sobie. Namiastka lwa morskiego przyspawanego do fotela nazywała się Daniel. „Jak prorok”, zaznaczyła Sheila. Daniel Knight.

– A jeżeli sądzisz, że stara wiedźma wzięła sobie kochanka dwadzieścia lat młodszego, to grubo się mylisz, skarbie.

Właśnie tak pomyślałam, toteż zrobiło mi się głupio po jej słowach. Zawstydzona starałam się zaprowadzić jakiś ład w myślach, a tymczasem Martin z Sheilą poszli innym korytarzem, by przynieść coś do picia.

Usiadłszy niedaleko Daniela, który na powrót wetknął nos w książkę, rozejrzałam się po pokoju. Miał około dwudziestu metrów kwadratowych i podzielony został na dwie części: jadalną i salonową. Duży stół otoczony krzesłami o wysokich oparciach w „północnym skrzydle” pozwalał przypuszczać, że odbywają się tu ciekawe przyjęcia. Zaintrygował mnie – jakżeby inaczej! – kredens naprzeciwko okna. Za szklanymi drzwiczkami widać było kolekcję różnych drobiazgów. Zauważyłam fletnię Pana, szklaną kulę, coś w rodzaju długiej fajki z głową Beduina, jakieś spore płytki ułożone w stosik w jednym końcu i trzy czy cztery gipsowe figurki pociągnięte czarną laką...

Ale tak naprawdę moją uwagę przykuł przeciwny kąt pokoju. Ściany obwieszono tam starymi grawiurami i fotografiami. Na niektórych rozpoznałam Sheilę, tyle że młodszą. Była niezwykle atrakcyjną kobietą. Na zdjęciach pozowała w historycznych miejscach Wielkiej Brytanii znanych nawet cudzoziemce jak ja.

Rozpoznałam kształt baszty w Glastonbury, która pojawia się często na okładkach książek na temat króla Artura, front British Museum, monolity w Stonehenge, a nawet łagodne wzgórza w Wiltshire z geoglifem – białym koniem widocznym na ziemi. Na tym właśnie zdjęciu Sheila była z grupą uśmiechających się do obiektywu hipisów wystrojonych w białe tuniki, z dziwacznymi laskami w rękach.

– To druidzi, kotku – mruknął Daniel, kiedy podeszłam bliżej, aby przyjrzeć się fotografii. – Jednym z nich jest John Michell.

– Druidzi, jasne – zgodziłam się, nie mając pojęcia, o kim mówi. – Mogę spytać, czym się zajmuje Sheila?

Daniel podniósł wzrok znad książki.

– Narzeczony ci nie powiedział?

Pokręciłam głową.

– Jesteśmy okultystami, kotku.

– Okultystami? – Staralam się nie okazać zaskoczenia, równocześnie gorączkowo się zastanawiałam, czy przypadkiem nie powiedział „okulistami”. Czasami moja znajomość angielskiego płała mi paskudne figle.

– Okultystami – powtórzył. – I to jednymi z najlepszych.

Daniel spodziewał się, że jego słowa wywołają jakąś reakcję. I chociaż moja mina pewnie błagała o wyjaśnienia, skubaniec nie pisnął słowa więcej. Dopiero Martin, który wkroczył, balansując talerzem z ciasteczkami, wyjawiał mi, kim dokładnie są goszczący nas ludzie.

– Julio, Daniel Knight zarabia na życie w Królewskim Obserwatorium Astronomicznym w Greenwich. Jest astronomem. Ale też największym współczesnym znawcą Johna Dee. Niedługo ukaze się książka Daniela, w której objaśnia jego metody

porozumiewania się z aniołami. W tej chwili bada język, którego używał Dee. Masz ochotę na bakławę?

– Czy nie ustaliliśmy przypadkiem, że Dee był uczonym? – zagadnęłam ironicznie, częstując się smakowicie wyglądającym ciastkiem.

– Ależ był! I to jednym z największych! Musisz wiedzieć, że w okresie odrodzenia pojmowanie nauki różniło się od naszego. Alchemikom z tamtych czasów zawdzięczamy najważniejsze odkrycia. Paracelsus na przykład wprowadził do medycyny metody eksperymentalne. Robert Fludd, słynny siedemnastowieczny pisarz, różokrzyżowiec, wynalazł barometr, a inny alchemik, Holender Jan Baptista van Helmont, ukuł słowo „elektryczność”, prowadząc badania nad magnesem...

– Co do tego nie ma wątpliwości – potwierdził brodac.

– Daniel, no weź ją przekonaj. Julia mi nie wierzy, że istnieje okultystyczna historia świata, równie ważna jak historia, której uczymy się w szkole, a może nawet ważniejsza.

Pierwszy raz zobaczyłam, jak astronomowi zabłyśły oczy.

– Pewnie, kotku – z radością podjął wyzwanie. – Spróbuję. Po pierwsze, musisz wiedzieć, że aż do rewolucji przemysłowej każdy, kto w tym kraju uprawiał naukę, skupiał się bardziej na kwestiach duchowych niż materialnych. Nie szukając daleko: Izaak Newton całą swoją wiedzę służył dziełu odbudowy świątyni Salomona. Jego pisma ujawniają, jak bardzo mu zależało na odtworzeniu jedyne w starożytności miejsca świętego, w którym człowiek mógł się spotkać z Bogiem „twarzą w twarz”. Jego „Principia mathematica”, które przeszły do historii nauki, dla niego nie miały większego znaczenia. Były tylko środkiem pozwalającym mu osiągnąć wyższy cel. Bo Newton uważał, że język Boga sprowadza się do liczb,



w związku z czym należy studiować matematykę, jeśli chce się z Nim rozmawiać.

– Naprawdę chciał odbudować świątynię Salomona? – spytałam, usiłując wcisnąć w siebie ciastko, które okazało się bombą kaloryczną złożoną z miodu i orzechów.

– Nawet o tym pisał – powiedział Daniel. – Zachowały się jego notatki. Wszyscy próbowali swoich sił w nawiązaniu kontaktu z wielkim budowniczym wszechświata. Dla Newtona świątynia Salomona musiała być czymś w rodzaju centrali telefonicznej, z której można się połączyć z Bogiem.

– Z tego co mówi Martin, wynika, że Dee był bliżej celu niż sam Newton. Przynajmniej gadał z aniołami. – Uśmiechnęłam się.

– Słuszna uwaga, Julio, z tym że sir Izaak Newton bardziej niż inni wierzył w anioły.

Oblałam się rumieńcem.

– Nie chciałam urazić...

– Mnie nie uraziłaś – mruknął Daniel. – Wielu ludzi oddało życie za to, że badało tę tajemnicę. Koniec końców wielkie tajemnice ludzkości zawsze się wiązały z bezpośrednim porozumieniem z Bogiem. Czym były Arka Przymierza, Święty Graal czy Al-Kaba? Narzędziem, które pozwalało się z Nim skomunikować. Musisz wiedzieć, że mistrz Dee był ostatnią postacią historyczną, która posiadała tę zdolność. Dzięki kontaktom ze sferami niebieskimi cieszył się w Anglii ogromnym rozgłosem. A wszystkiego dokonał na ziemi, na której stoimy. Dlatego Sheila przeprowadziła się tutaj.

– Ziemia jest taka ważna?

– Zazwyczaj tak. Nigdy do końca nie zrozumiano, jak Johnowi Dee udawało się otwierać most łączący nasz świat ze światem anielskim. Dlatego pilnujemy miejsc, które nasi przodkowie

wybierali do nawiązywania kontaktu.

– I wy naprawdę wierzycie, że John Dee rozmawiał z aniołami?

Daniel poprawił się w fotelu. Martin obserwował nas z rozbawieniem.

– Istnieje pewien dowód, który w moim przekonaniu świadczy o tym ponad wszelką wątpliwość – oznajmił Daniel, jakby się poczuł osobiście urażony. – Te szlachetne istoty powiadały go o przyszłych wydarzeniach. Aniołowie, z którymi nawiązywał kontakt, mogli się poruszać w czasie, w przeszłość i w przyszłość. Szczególnie ceniła to królowa Elżbieta, która nawet była kilka razy w tym domu, żeby skorzystać ze zdolności profetycznych Johna Dee.

– I co? Zgadł?

– Nie wiem, czy to właściwy czasownik.

– No dobrze – ustąpiłam. – Trafnie przepowiedział?

– Oceń sama, mała. Dee przewidział ścięcie królowej Marii Szkockiej, śmierć Filipa Drugiego Hiszpańskiego, cesarza Rudolfa Drugiego, a nawet samej królowej. Tak, tak. Powiedziałbym, że był nadzwyczajnym wróżem.

– Widzisz, Julio – wtrącił Martin, sadowiac się obok mnie, jakby chciał mnie chronić przed humorami swojego uczonego przyjaciela. – Dwadzieścia lat temu moi rodzice zwrócili się do Daniela i Sheili, żeby dogłębnie zbadali życie Johna Dee, a przede wszystkim opracowane przez niego sposoby nawiązywania kontaktu z aniołami. Rodzice przenieśli się do Stanów, a Daniel i Sheila mieszkali w Londynie, pomyśleli więc, że będzie im łatwiej do czegoś dojść. Wiedzieliśmy, że Dee zwerbował co najmniej dwie osoby z darem jasnowidzenia zdolne posługiwać się przedmiotami, które otrzymał od aniołów, ale nie mieliśmy pojęcia, jaką wartość

miało to, co ujrzano za ich pośrednictwem. Zdaje się, że było to coś niezwykłego...

Martin milczał przez chwilę, po czym podjął:

– Dzisiaj wyobrażamy sobie te przedmioty jako coś w rodzaju telefonów satelitarnych, które łączą różne czasy. Z wierzchu wyglądają jak zwykłe kamienie, ale mają potężną moc. Dzięki nim Dee poznał podstawy optyki, geometrii, medycyny... Jego wiedza zrewolucjonizowała ówczesną epokę. Sam Dee, absolutnie przekonany, że kamienie są bezcenne, cały swój majątek przeznaczył na zbudowanie „stolika wezwań”, w który je wprawiono. Kupił zwierciadło z obsydianu przywiezione przez Hiszpanów z Meksyku, a nawet zgromadził niewielką kolekcję kamieni, żeby jego media mogły nawiązywać częściej i lepsze kontakty z aniołami. Co do joty zastosował się do instrukcji, zwłaszcza do tych, które otrzymał od archanioła imieniem Uriel, i stworzył linię komunikacyjną z niebem, jakiej nie było od starożytności.

– A dlaczego twoi rodzice interesowali się tym? – Coraz trudniej było mi uwierzyć w to, czego słuchałam. Mój narzeczony od dłuższej chwili już się nie uśmiechał, wyraźnie spoważniał. Ba, był jakby uroczysty. – Czy wy, Faberowie, kolekcjonujecie tego rodzaju przedmioty?

Sheila nie pozwoliła Martinowi odpowiedzieć. Weszła z dzbankiem gorącej herbaty pachnącej miętą i postawiła go przed nami, wyraźnie nie zamierzając się ruszyć z pokoju.

– Moja droga – zaczęła – teraz tak naprawdę liczy się to, że mamy obydwa kamienie, których używał Dee w kontaktach z aniołami. W obiegu jest jeszcze kilka podobnych, są nawet wystawione w British Museum w dziale zabytków

średniowiecznych. Ale żaden nie ma takiej mocy jak nasze. Jedyne w swoim rodzaju prawdziwe adamanty Johna Dee są w naszym posiadaniu.

– Ada... co?

– No nie, Martin! – Sheila z rozbawieniem klepnęła w ramię mojego narzeczonego. – Przyprowadziłeś ją tutaj i nic jej wcześniej nie powiedziałeś?

– Obiecałem ci, że nie pisnę słowa.

– Grzeczny chłopiec – pochwaliła z uśmiechem.

Kiedy napełniała aromatyczną herbatą filizanki wyglądające na arabskie, odezwał się znowu Daniel:

– Zaraz jej to wytłumaczę. – Upił łyk herbaty, przełknął kęs bakławy i mówił dalej: – Widzisz, Julio, z tych niewielu wzmianek, które Dee zostawił na temat kamieni, wynika, że był to najwspanialszy prezent od aniołów. O niebiańskim pochodzeniu. Te kamienie są unikatowe jak skały, które NASA ma z Księżyca. A zanim Dee je otrzymał, dowiedział się od aniołów, że zostały zabrane z ziemskiego raju. Z edenu.

Teraz już byłam bezgranicznie zdumiona.

– Oczywiście możesz w to wierzyć albo nie, ale odkąd przekazał nam je ojciec Martina, nie przestają nas zadziwiać.

– Ach tak?...

– No... Nigdy się nie zachowywały tak, jak stoi w zapiskach Johna Dee, ale czasami dzieje się z nimi coś dziwnego. Zmienia się ich ciężar i kolor, pojawiają się na nich znaki, które później znikają, i w ogóle są takie twarde, że nawet diament ich nie przetnie.

– A co to ma wspólnego z porozumiewaniem się z aniołami?

– Rzecz w tym, że daliśmy je jasnowidzom cieszącym się znakomitą opinią, tak jak zrobił Dee w szesnastym wieku, i okazało

się, że czasami wydają dźwięki i rzucają światło.

– Co na to gemmolog? Nie zasięgnęliście porady eksperta?

– To osobny temat. – Daniel uśmiechnął się enigmatycznie, gładząc kędzierzawą brodę. – Powiedzmy, że wszystkie próby racjonalnego wyjaśnienia tajemnic kamieni spaliły na panewce. Poznaliśmy je trochę lepiej wyłącznie dzięki osobom o swoistych zdolnościach psychicznych. I tego także oczekivalibyśmy od ciebie, kotku. Prawda, Martin? – Źrenice Daniela mocno się poszerzyły, kiedy wypowiadał następane słowa: – Martin uważa, że jesteś jedną z takich osób. Jasnowidzką.

– Ja?

Serce skoczyło mi w piersi. A cóż to jest? Pułapka? Spojrzałam pytająco na Martina. Wiedział, że od lat uciekałam przed takimi rzeczami. Jak mógł mi zrobić coś takiego, i to akurat na dzień przed ślubem?

– Uwierz mi, Julio – powiedział niewzruszony – że przyszła chwila, żebyś zobaczyła te kamienie i pokazała nam, co jesteś w stanie z nimi zrobić.

## ROZDZIAŁ 16

– Krótko mówiąc – przerwał mi Nicholas Allen, nie mogąc dłużej hamować niecierpliwości – zakochałaś się w człowieku, który przybył do twojego rodzinnego miasta Szlakiem Świętego Jakuba, poderwał cię i niemal od razu odkrył twój najpilniej strzeżony sekret. Dar widzenia. Ale póki nie zdecydowałaś się wyjść za niego, nie miałaś pojęcia, że on też skrywa tajemnicę.

– Zgadza się – przyznałam. – Kamienie Johna Dee.

– Jak to się stało, że wyjątkowa zdolność, którą masz, nie pomogła w odkryciu tego?

– Nie akceptowałam daru, a tym bardziej nie korzystałam z niego! Staralam się go ukrywać. Latami się modliłam, żeby go stracić, a jeśli przypadkiem coś przeczuwałam dzięki tej swoistej intuicji, nigdy nie zwracałam na to uwagi. Czy tak trudno to zrozumieć? Dopóki w moim życiu nie pojawił się Martin, chciałam tylko być normalną osobą. Dziewczyną jak inne.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– W całą tę historię trudno uwierzyć! – oburzyłam się. – Także w to, że ty przyjechałeś tutaj i wdałeś się w strzelaninę z obcym człowiekiem, który nic mi nie zrobił!

– Ale zrobiłby. To pewne.

Opanowanie pułkownika przyhamowało mnie.

– Myślisz, że to, co ci opowiadam, pomoże Martinowi?

– Na sto procent.

– No to muszę dokończyć. To, co się stało tamtego dnia z adamantami, było ledwie początkiem. Chyba właśnie wtedy pogodziłam się ze swoim darem. Chociaż nie powinnam była...

– Poważnie?

– Jak najbardziej.

– Mów dalej, proszę.

## ROZDZIAŁ 17

Sheila podeszła do kredensu, który wcześniej tak mnie zaciekał, otworzyła go i wyjęła efektownie ozdobioną drewnianą szkatułkę. Kiedy ją postawiła koło serwisu do herbaty, sądziłam, że się pomyliła. Może i myślałam, że zobaczę jakieś dwa okazałe szmaragdy, ale nic z tego. W szkatułce na czerwonym aksamicie spoczywały dwa zupełnie zwyczajne czarne kamyki, które wyglądały, jakby przed chwilą wyjęto je z rzeki. Nie wydawały się wartościowe. W zasadzie nie były klejnotami w potocznym rozumieniu tego słowa: gładkie, cienkie, nieoszlifowane, raczej pospolite, w kształcie nerki.

– Weź, który chcesz, i przybliź go do okna, kochanie.

Zrobiłam, o co prosiła Sheila. Wzięłam ten, który na oko był większy, i podeszłam do okna.

– Teraz popatrz na kamień pod światło.

Posłuchałam. A Sheila ciągnęła:

– Niektóre osoby o zdolnościach mediumicznych twierdzą, że kamień tego rodzaju aktywuje się pod wpływem światła słonecznego i kiedy obraca się go zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara. W pewnej chwili promieniowanie słoneczne zmienia jego strukturę molekularną i uruchamia coś w środku.

– Czyżby?



Cały czas sceptycznie nastawiona, obracałam kamień w palcach, ale nie zauważałam nic niezwykłego. Ten, który wybrałam, był matowy. Ciężki. I tak samo pozbawiony oznak życia jak każdy inny.

– Wpatrz się w niego – nalegała Sheila. – Postaraj się wyrównać oddech i obracaj go cały czas, kochanie.

Im dłużej patrzyłam na kamień, tym mocniej byłam przekonana, że to zwyczajny kawałek skały, a przyjaciele Martina są najnormalniej w świecie stuknięci.

– Może się zdarzyć jedno z trzech – oznajmiła Sheila z powagą. – Albo nic nie poczujesz, bo twój umysł nie jest gotowy na obcowanie z talizmanem, albo kamień się aktywuje i jego siła tak wpłynie na umysł, że na jakiś czas stracisz zdolność pojmowania, albo... zabije cię.

– To coś... może mnie zabić?

Pytanie zadałam czysto kurtuazyjnie z głupim uśmiechem na ustach. Chociaż kamień był najmniej groźnym przedmiotem, jaki w życiu widziałam, Sheila skomentowała moje słowa tonem tak ostrzegawczym, że siłą rzeczy wzbudziła we mnie niepokój.

– Na pewno znasz historię Uzzy – powiedziała.

– Uzzy?...

– Według Starego Testamentu Uzza był jednym z tych, którzy eskortowali Arkę Przymierza. Niestety nie wiedział o niej tego, co wiedzieli lewici, którzy wielokrotnie go przestrzegali, żeby pod żadnym pozorem nie dotykał skrzyni. I pewnego dnia Uzza się zapomniał. Stało się to, kiedy wóz z Arką szarpnął i przechylił się, a Uzza odruchowo chciał ją podtrzymać, by nie spadła.

– Przypominam sobie – rzuciłam, nie odrywając oczu od kamienia. – Umarł rażony piorunem, prawda?

– Tak. Ale nie Arka go zabiła.

– Nie?

– W Arce znajdowały się Tablice Prawa. Przykazania Boże wyryte w kamieniu. Tablice z tekstem Dekalogu były z tego samego materiału, który trzymasz teraz w rękach. Dlatego powiedziałam, że może cię zabić.

Aż mnie ciarki przeszły, kiedy to usłyszałam. Akurat zamierzałam odłożyć kamień do szkatułki, kiedy coś w nim sprawiło, że drgnęłam. Nie potrafiłabym dokładnie opisać, co to było. Wydało mi, że spostrzegłam jakiś ulotny błysk, refleks, taki jaki widać, kiedy promień słońca padnie na pryzmat. Tyle że kamień był nieprzejrzysty, bez żyłek czy połyskliwych cząstek, które mogłyby odbić światło. Nic nie powiedziawszy, zaintrygowana znowu podniosłam go na wysokość oczu. I wtedy odkryłam coś jeszcze. Kamień nadal wyglądał pospolicie i niegroźnie, lecz miał pewną właściwość, na którą dotąd nie zwróciłam uwagi: jeśli światło padło na niego ukośnie, kawałeczek jego powierzchni jaśniał, przez co ciemna barwa przybierała odcień zielonkawy. Czyste wariactwo, ale wtedy odniosłam wrażenie, że adamant Johna Dee jest pokryty jakby skórką. Cieniutką błonką, która jeśli się na nią właściwie popatrzyło, pozwalała dojrzeć jakiś kształt w środku. Przypominający pestkę daktyla.

– Coś zobaczyłaś, skarbie?

Kiwnęłam głową oniemiała.

– A wy nie?

Zahipnotyzowana tym odkryciem wstrzymałam się z odłożeniem kamienia do szkatułki. Obracałam nim, żeby słońce oświetlało go pod różnymi kątami, i próbowałam sobie wmówić, że ten efekt przejrzystości nie może być rzeczywisty. Przywidziało mi się.

Zdałam sobie sprawę, że naraz przestałam widzieć zwykły kamyk – teraz oglądałam go, jakby był diamentem.

Siedzący za moimi plecami Daniel, Martin i Sheila obserwowali mnie zadowoleni.

– Zobaczyłaś, prawda?

Znowu kiwnęłam głową.

Martin nie skrywał emocji. Odstawił swoją filiżankę z herbatą i z trzaskiem wyłamywał sobie po kolei palce, jak zawsze, kiedy był zdenerwowany.

– A nie mówiłem? – powiedział. – Julia ma dar.

– Zdaje się, że tak – przyznała Sheila, nie przestając mnie obserwować. – Gratuluję...

Zanim jednak skończyła zdanie, coś się stało. Trwało króciutko i było jeszcze dziwniejsze niż tamto wcześniej. To coś, czego w tamtej chwili nie potrafiłam oszacować, zmieniło moje życie na zawsze, chociaż wtedy nie miałam o tym pojęcia: przeświecający kamień z czymś w środku zadrżał mi w palcach jak żywy. To było takie nagłe drgnięcie, jak kiedy telefon komórkowy zaczyna wibrować. Zobaczyłam zdumioną minę Daniela. I Martina. Ale ten dreszcz stanowił dopiero wstęp do czegoś innego. Bo adamant zaczął się nagle unosić nad moimi palcami. Równocześnie promieniował pulsującymi krótkimi błyskami, które rzucały nasze cienie na ścianę.

– La... lata? – wyjąkałam.

– Rany boskie! – ryknął Daniel Knight. – Co ty wyczyniasz, kotku?

Jeszcze dobrze nie skończył, a kamień wrócił do mojej ręki. Był ciepły. Nieruchomy. Znowu martwy.

– Nie wiem! – krzyknęłam. – To się ruszało!

Sheila utkwiała we mnie przenikliwe spojrzenie, pozwalając sobie równocześnie na szeroki uśmiech satysfakcji.

– Ma właściwości antygravitacyjne – szepnął Daniel.

– No, Martin, muszę ci naprawdę powinszować. – Sheila była uszczęśliwiona. – Właśnie kogoś takiego potrzebowaliśmy. Nie ma cienia wątpliwości. – Zwróciła się do mnie: – Możesz zatrzymać ten adamant, kochanie. Widać jak na dłoni, że kamień jest ci posłuszny. Odtąd będzie twoim talizmanem.

## ROZDZIAŁ 18

Minęło pół godziny od śmierci funkcjonariuszy Pazosa i Mirása, gdy radiostacja w samochodzie po raz pierwszy odezwała się kontrolnie, czy wszystko w porządku. Tyle że wydała jeden trzask i zgasła. Policjant z krótkofalówką robiący obchód znalazł się naprzeciw kawiarni La Quintana akurat w chwili, gdy powtórnie w tę deszczową noc w całej okolicy zaczęły gasnąć światła.

– Niech to jasny szlag!... – burknął ewidentnie zniesmaczony.

Z jakiegoś powodu zupełnie dlań niezrozumiałego jego radio także przestało działać. Potrząsnął nim kilkakrotnie, licząc, że usłyszy przynajmniej jakieś trzaski, lecz na darmo. Patrząc na milczący aparat, w którym nie paliła się nawet kontrolka baterii, przypomniał sobie, że to Zaduszki.

– Sprawka wieźm... – mruknął, otrząsając się i na wszelki wypadek czyniąc znak krzyża.

Niedaleko od niego, w miejscu, gdzie kończył się gruby mur otaczający benedyktyński klasztor San Paio de Antealtares, naprzeciwko restauracji O Galo d'Ouro przy calle de Conga, trzech niewidoczni w mroku ludzie próbowali zaplanować swój następny krok. Nie spuszczaali z oka stojących przed ich celem dwóch wozów z uzbrojonymi funkcjonariuszami.

– Tym razem nie możemy dać plamy – szepnął człowiek o

śpiewnym głósie. – Musimy dopaść kobietę.

– A jeśli nie ma przy sobie kamienia?

Przywódca odparł surowo:

– Nieważne. Musimy mieć i ją, i kamień. Bez niej kamień będzie na nic. A teraz tylko ją mamy w zasięgu ręki.

– Tak jest.

– Pamiętaj, że nasz brat godzinę temu wszedł do katedry z kasetą i zaraz się uaktywniła. Takie rzeczy dzieją się wtedy, gdy katalizator ludzki albo adamant, albo obydwa elementy spotkają się z kasetą i oddziałują na siebie. Są tylko dwie możliwości: albo tam jest wszystko, czego szukamy, albo nie ma – wyjaśnił przywódca, wskazując wejście do kawiarni. – Jeśli jest, będzie to więcej, niż mieliśmy dotąd.

– A jeśli zostawiła swój kamień w katedrze?

Przez krótką chwilę panowało milczenie.

– Nie – rzekł wreszcie ten o śpiewnym akcencie. – Jeśli go ma, na pewno nosi przy sobie.

– Dziwi mnie, żeś taki pewny.

– Pomyśl o tym, co się stało – upierał się przywódca. – Ledwie przybliżyliśmy się do niej, zaraz pojawiły się błyski. Ilekroć kasetą wykryje pośrednika o dużej mocy, wchłania energię z jego aury, żeby móc funkcjonować.

– Patrzcie. Tam jest kolejny dowód, że szajch ma słuszość – odezwał się trzeci z przyczajonych.

Palcem celował do góry. Nie było przyjemnie patrzeć w niebo, czując na skórze tysiące rozbijających się kropelek deszczu, oni jednak dzielnie to znieśli. Jakieś pięć metrów nad ich głowami, tuż nad gzymsami okolicznych budynków, nie było burzowych chmur, lecz bezkształtny lekko fluorescencyjny cień, który zdawał się

rozlewać we wszystkich kierunkach.

– Uaktywnimy kasetę?

Szajch kiwnął głową.

– Tylko w ten sposób wyzbędziemy się wątpliwości... I módlmy się, żeby tym razem nie trzeba było nikogo zabijać.

## ROZDZIAŁ 19

Zaskoczyła nas powtórna awaria elektryczności. Nicholas Allen włączył wyświetlacz iPada, abyśmy mieli od niego odrobinę światła. Niestety, iPad ledwie zapał. Ostatnie jego podrygi na szczęście wykorzystał kelner, który piorunem wyjął spod kontuaru świeczki i pudełko zapalek.

– Masz go?

Zważywszy na sytuację, pytanie Amerykanina mocno mnie zaskoczyło.

– Niby co?

– No adamant.

Nie spodobała mi się jego natarczywość. Kelner postawił między nami świeczkę.

– A gdybym miała?

– Cóż... – uśmiechnął się ironicznie. – Mogłabyś go wykorzystać i załatwić nam trochę światła, nie?

– Nabijasz się ze mnie?

– Nie obrażaj się – przeprosił. – Przejechałem kawał drogi, żeby z tobą porozmawiać. Wiem, że istnieją kamienie o niezwykłych właściwościach. Mój rząd także to wie. Ale zanim zrobię następny krok, muszę mieć pewność, że masz taki kamień. Na nagraniu Martin mówił o ścieżce do spotkania. Odebrałem to jako aluzję do



was obojga. I do adamantów. Miał na myśli, że ukrył je w pewnym miejscu?

Robiło się niefajnie. Pułkownik zaczynał wyciągać wnioski, a winna temu byłam ja. Zanim więc wyrobił sobie fałszywą opinię na temat tego, co wiedziałam, musiałam mu coś wyjawić. Nie sądziłam, że kiedykolwiek komuś o tym powiem. O tym, o czym Martin przed wyjazdem zakazał mi mówić.

– Przykro mi, że cię rozczaruję, ale nie mam kamienia, którego szukasz.

Spoglądał na mnie tak inkwizytorskim wzrokiem, że poczułam się zmuszona wyjaśnić:

– Wiele się wydarzyło po tym, jak Sheila Graham dała mi adamant. Za dużo, żeby teraz o tym mówić. Wystarczy chyba, jeśli powiem, że w czasie treningu, któremu poddał mnie Martin i jego przyjaciele, odkryłam, że kamień jest potężnym źródłem energii.

– To znaczy?

– Nie bardzo wiem, jak to wyrazić... Kamień jest jak bardzo silny, a zarazem delikatny wodotrysk. Nawet mojego męża przeraziła jego moc.

– Czy... wykorzystaliście ją? Udało wam się przywołać anioły?

– A pewnie, próbowaliśmy. Wiele razy. Aż zmęczyła mnie ta zabawa.

– Zmęczyła cię?

Wypiłam resztkę kawy, którą jeszcze miałam w filiżance, zanim odpowiedziałam. Ciągle miałam wątpliwości, czy mogę zaufać temu człowiekowi.

– Owszem, zmęczyła mnie. Martin i reszta towarzystwa całymi dniami mnie gnębili, próbując dociec, gdzie można by użyć kamieni, żeby nawiązać łączność z drugą stroną. Spędziłam kilka miesięcy

w mieszkaniu wpatrzona w adamanty, wskazując to, co nazywali „wrotami”. Czyli miejsca, z których najlepiej się połączyć z boskością. Wyobrażasz sobie, jakie to było dla mnie frustrujące? Czułam się jak królik doświadczalny! Więźniarka własnego męża! Jak tylko podałam jakieś współrzędne geograficzne, zaraz jechaliśmy tam. Zjeździliśmy całą Europę, po czym wróciliśmy do Santiago.

– I wtedy dopadło cię zmęczenie.

– Owszem – przyznałam. – Z tym że dołożył się do tego jeszcze jeden drobiazg.

– Mianowicie?

– Martin wychował się w niezbyt religijnym środowisku protestanckim, ja natomiast pochodzę z tradycyjnej katolickiej rodziny. Po ślubie zaczęłam się w końcu bać tych spotkań, których celem było aktywowanie kamieni, tak żeby się poruszały albo dawały sygnały. Bałam się starań Martina, żebyśmy wchodziła przy adamantach w trans. Jego natarczywość ostatecznie odbierałam jako diabelską sprawkę. Igraliśmy przecież z niezbadanymi aspektami natury. I w rezultacie... – zająknęłam się – ...niedługo przed jego wyjazdem do Turcji, czyli po pięciu latach nieprzerwanej pracy z adamantami, pokłóciliśmy się.

– O kamienie?

– Oświadczyłam, że mam dość tych jego czarów i nigdy więcej mu nie pomogę. Że koniec z eksperymentowaniem. Przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Czułam się wykorzystywana przez męża. I było to bardzo nieprzyjemne.

– Domyślam się, że twoja odmowa rozzłościła Martina?

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo – przyznałam. – Kiedy zdał sobie sprawę, że moja decyzja jest nieodwołalna, zażądał,

żebym dla bezpieczeństwa nie miała kontaktu z kamieniami. Mój adamant ukrył, ale nie powiedział mi gdzie. A swój postanowił zabrać do Turcji w jedno z miejsc wskazanych podczas seansów. Jego również zamierzał ukryć. Obiecał mi, że to ostatni raz, potem z kamieniami koniec, nigdy więcej ich nie tknie ani nie wykorzysta podczas żadnych rytuałów. Uprowadził mnie równocześnie, że musimy być ostrożni. Miał obsesję, dążył do tego, by z wyjątkiem jego i jego rodziny nikt w przyszłości nie dostał adamantów do ręki. Dlatego rozdzielił kamienie.

– A teraz przydałby się nam twój kamień, żeby odnaleźć Martina.

– Przydałby się nam? – zdumiałam się słowami pułkownika. – Czemu uważasz, że kamień będzie potrzebny, by odbić Martina? Niech diabli wezmą to cholerstwo!

– Jesteś w błędzie.

– Nie sądzę.

– Spróbuję tak to wytłumaczyć, żebyś bez problemu zrozumiała: jeśli te talizmany są takie, jak mówisz, prawdopodobnie mamy do czynienia ze skałami pochodzenia pozaziemskiego zdolnymi emitować promieniowanie elektromagnetyczne o wysokiej częstotliwości, identycznej w obu kamieniach. Martin na pewno o tym wie. Gdyby udało się nam zdobyć twój kamień, ten, który Martin ukrył przed wyjazdem, i zbadać go w naszych laboratoriach, ustalilibyśmy dokładnie częstotliwość emisji i moglibyśmy podjąć próbę namierzenia źródła o identycznych cechach w rejonie Araratu, czyli tam, gdzie przetrzymywany jest twój mąż. Potem za pośrednictwem satelity zlokalizowalibyśmy miejsce i wysłalibyśmy oddział specjalny, żeby odbił Martina.

– Ależ to kompletne science fiction!

– Twój mąż doskonale zna tę terminologię. On wie, że wyłącznie

w ten sposób można go zlokalizować. Dlatego przesłał ci tę zaszyfrowaną wiadomość.

– Jesteś pewien?

– Nic nie stracisz, próbując, prawda?

Zastanowiłam się chwilę.

– No dobrze – powiedziałam w końcu. – Tylko że nawet gdybym chciała zweryfikować twoją teorię, nie wiem, gdzie jest mój adamant.

Allen z zagadkowym uśmiechem poklikał w klawisze iPada. Aparat znowu zaczął dawać oznaki życia.

– A może się mylisz? Nie sądzisz, że Martin mógł w swojej wiadomości zawrzeć wskazówkę?

## ROZDZIAŁ 20

Inspektor Figueiras aż podskoczył, kiedy jeden z jego ludzi bez pukania wpadł do biura z krzykiem:

– Pobudka!

Antonio Figueiras zdrzemnął się w fotelu, licząc, że w ten sposób szybciej mu przeleci te pięć czy sześć godzin do czasu, aż będzie mógł zadzwonić tam, gdzie zaplanował. Przeliczył się.

– Co się dzieje?

– Szef od dłuższego czasu próbuje cię złapać przez komórkę, ale nie odbierasz. – Policjant wyglądał na zdenerwowanego. – Mówi, że to pilne.

– Cholera!... – mruknął Figueiras. – Która jest właściwie godzina?

– Wpół do czwartej.

– Rano?

Inspektor niedowierzającym wzrokiem popatrzył w okno. Na zewnątrz wciąż panowały ciemności i padał ulewny deszcz. Niechętnie sięgnął do kieszeni płaszcza w poszukiwaniu komórki i dopiero wtedy przypomniał sobie, że ją wyłączył. Szorstko odprawił funkcjonariusza, wpisał PIN i zaraz wybrał numer komendanta, który głos miał dużo przytomniejszy. I napięty.

– Gdzieś ty się, do diabła, podziewał, Figueiras?

- Przepraszam. Telefon mi się rozładował – skłamał.
- Dajże spokój! Mam informacje w związku z twoją sprawą.
- Tą z katedry?
- Tak. Pół godziny temu dzwonili do mnie z naszej ambasady w Waszyngtonie. Prosiłem, żeby kanałami dyplomatycznymi dowiedzieli się czegoś o tym amerykańskim szpiegu, za którego wyszła nasza krajanka.
- I?...
- Nie uwierzysz: Martina Fabera wprowadziła turecka grupa niepodległościowa, terroryści z PKK. Gdzieś na północno-wschodnich rubieżach kraju. NSA już przedsięwzięła międzynarodową operację poszukiwawczą, żeby go odbić.
- Został porwany? Jesteś pewien?
- Na sto procent. Ci z PKK to banda lewicowych radykałów, którzy od lat sieją zamęt w kurdyjskich rejonach Turcji. Nie czytasz gazet? – Figueiras się skrzywił, a jego szef ciągnął: – Ta strzelanina nie była przypadkowa, słyszysz? Wyraźnie ktoś się przymierza do porwania również twojego świadka. Musisz chronić Julię Álvarez. Od zaraz.
- Tak jest, szefie.

## ROZDZIAŁ 21

– Chyba nie wiesz pewnych rzeczy o mężu...

Mówiąc te słowa, Nick Allen dowiedział, że jego dotychczasowa życzliwość była tylko fasadą. Jak miałam na to zareagować? Rozmawialiśmy od blisko godziny i naraz ten człowiek sprawił, że poczułam się jak wyrzucony na plażę wieloryb, którego widziałam w dzieciństwie: żył, lecz patrzył na otoczenie zdziwiony, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Na przykład? – spytałam.

– Martin pracował dla NSA.

– Dla NSA?

– Naszej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Amerykańskiej instytucji rządowej, która kontroluje całą światową łączność i dostarcza Departamentowi Obrony informacji o naszych wrogach.

Prychnęłam.

– Ale nie martw się. Martin nie był kimś takim jak ja. Nie pracował w wydziale operacyjnym, tylko w naukowym.

– Nigdy mi o tym nie wspomniał – mruknęłam zmartwiona.

– Na pewno miał ku temu dobry powód: własne bezpieczeństwo. Agencja działa uczciwie i legalnie, ale jest największą wywiadownią na świecie, dlatego od każdego, kto do niej przychodzi, wymaga się dwóch rzeczy. Po pierwsze, absolutnej

dyskrecji. Na temat tego, co się robi, widzi albo czego się dowiaduje podczas pracy w agencji, nie wolno pisać słowa osobom trzecim. A ty byłaś spoza biura. Uczą nas, że każda, choćby najmniejsza niedyskrecja może narazić operacje bardzo ważne dla kraju i kosztować życie niewinnych ludzi, którzy wiedzą o naszej misji.

– A druga rzecz?

– Praca w NSA pociąga za sobą pewne ryzyko. Jeśli wróg odkryje, gdzie się jest zatrudnionym, będzie próbował wyciągnąć z człowieka wszystko, najdrobniejsze szczegóły dotyczące pracy. Czasami przeciwnik może wykorzystać nawet zwykły opis wnętrza biura, bo na jego podstawie się dowie, jak się poruszamy albo myślimy. Dlatego wszystkich pracowników, jako potencjalne ofiary, uczy się ukrywać wezwania o pomoc w zdaniach na pozór niewinnych. Przemyślenie czegoś takiego w zwyczajnej rozmowie telefonicznej może uratować życie.

Spojrzałam zaskoczona na pułkownika.

– Martin potrafi to zrobić?

Allen kiwnął głową.

– Nie zauważyłaś nic niezwykłego w nagraniu? Nie zwróciłaś uwagi na przykład na ostatnie zdanie?

Znowu na iPadzie puścił wideo. Wymizerowany Martin całkiem poprawnie wysławiał się po hiszpańsku. Znowu jego jasne oczy zalśniły na malutkim wyświetlaczu dotykowym: „...choć będą cię ścigali, żeby ci odebrać to, co należy do nas, ścieżka wiodąca do ponownego spotkania będzie dla ciebie widoczna”.

Tym razem na jego widok ogarnęły mnie złe przeczucia.

– Powiem ci, co o tym myślę, Julio. Moim zdaniem kluczowe są cztery ostatnie słowa. „Będzie dla ciebie widoczna”, *se te da visionada* – powtórzył po hiszpańsku. – Mówią ci coś? Spróbuj sobie



przypomnieć, czy kiedyś wcześniej Martin ich użył. Może było to w jakimś szczególnym miejscu albo chwili? Może to wskazówka, gdzie ukrył twój kamień?

– Poważnie pytasz? – zdziwiłam się.

– Jasne. Budowa tego zdania sugeruje, że jest w nim ukryta wskazówka. Martin zdaje się mówić, że jeśli chcesz go jeszcze zobaczyć, musisz pójść drogą, ścieżką, która „będzie dla ciebie widoczna”.

– Może chodzi mu o mój dar.

– Za proste.

– A jeżeli to gra słów? Martin jest miłośnikiem kalamburów.

– Niewykluczone. Chcesz kartkę i długopis, żeby się pobawić w zgadywanke? – zapytał, sięgając do czarnej teczki i wyciągając plik kartek oraz pisak.

Zanim zdążyłam je wziąć, włączono elektryczność i ożyły kawiarniane urządzenia. Automat z papierosami przy wejściu rozblił światłkami. Zawarczał młynek do kawy. Zamruczały z ulgą chłodziarki. Trwało to jednak ledwie chwilę i w następnej wszystko na powrót zgasło i ucichło, a my znowu znaleźliśmy się w ciemnościach, które rozjaśniał tylko blask wyświetlacza iPada.

## ROZDZIAŁ 22

Coś się działo z fosforyzującą chmurą, która zawisała nad trzema cudzoziemcami. Najmłodszy z grupki patrzył na nią oszołomiony, zdumiony, że zaczęła się zmieniać, ledwie szajch polecił otworzyć nylonową torbę, którą przynieśli na plecach, i jej zawartość wchłonęła nieco wilgoci z powietrza. „Aktywujemy kasetę” – tylko tyle powiedział.

Niemal natychmiast to, co się unosiło nad starym Santiago de Compostela, jęło gęstnieć, poszerzać się i poruszać w rytmie spazmatycznych skurczów, jakby skrywało w sobie jakąś żywą istotę walczącą o uwolnienie po długim zamknięciu. Istotę, która reagowała na zawartość torby. A kiedy chłopak zobaczył, że światła na plaza de Platerías po raz drugi się zapalają i zaraz gasną, był pewien, że to także jest sprawką „potwora”. Wiedział, że chmura wykorzysta wszelką możliwą energię, aby się uaktywnić. Wyssa ją nawet z niego, jeśli będzie jej potrzebowała.

– Gotowi? – zapytał szajch, któremu takie obawy były obce.

Młody, noszący imię Wasfi, syn jednego z najznamienitszych rodów ormiańskich, kiwnął głową. Przytaknął także jego towarzysz, zawodowy żołnierz zaprawiony w niezliczonych bojach, odkąd sowiecki moloch zdjął but z jego ojczyzny.

Szajch rozpoczął zatem osobliwy rytuał. Nie przesuwając torby

ani o centymetr, wyciągnął nad nią rękę i przysunął blisko twarz.

Momentalnie zaleciał go ze środka subtelny zapach, owiał podmuch zawsze poprzedzający nawiązanie kontaktu z jestestwem przedmiotu, z którym tak delikatnie się obchodził. Wydawało mu się, że jeśli umieści go tak blisko Julii Álvarez, pomoże mu to zamknąć pradawny krąg. Że amrak, jak nazywał swoją świętość, wreszcie pokaże, na co go stać.

Nie czekając na polecenie, towarzyszący mu mężczyźni ustawili się w równej odległości od niego i z zamkniętymi ustami zaintonowali jednostajne monotonne murmurando.

Mmmmmmmmmmm. Szajch nauczył ich, jak się posługiwać dźwiękami wydobywanymi z klatki piersiowej, by obudzić amrak. Pomysł wcale nie był tak dziwny, jak by się wydawało. W gruncie rzeczy miał solidne naukowe podstawy. Otóż amrak był z minerału, którego atomy tworzyły idealnie sześciokątne struktury geometryczne. Jeśli działała na nie fala dźwiękowa odpowiedniej długości, mogły rezonować i wpływać na jądro atomowe. To samo się dzieje, kiedy tenor przed kryształowym kielichem wyda wysoki dźwięk: energia jego głosu wnika w strukturę kryształu i rozbija go od środka.

Tajemnicza świętość, którą mieli w torbie, aż tak nie reagowała. Niemniej po chwili zaczęła cichutko buceć. Początkowo dźwięk był ledwie słyszalny, zaczynał jednak powoli coraz mocniej wibrować, napędzając ich odwagą, której potrzebowali.

Szajch z ufnością trwał w niezmienionej pozycji, nie odwracając oczu od torby, aż uznał, że nadeszła chwila, by wygłosić do niej ciąg niezrozumiałych słów. Niemal widział obłoczki dymu poprzedzające chwilę, gdy osiągnął uniesienie. Szybko poczuje moc amraka. Niewidzialną potężną siłę, która zwali z nóg każdego, kto nie

będzie chroniony odzieniem z włókna ołowianego, jak to, które on i jego ludzie mieli na sobie.

Obaj bojownicy nie za bardzo wiedzieli, co się dzieje, gdy po ciełe z góry na dół zaczęło im przebiegać dziwne łaskotanie. Nie było bolesne. Ani przykre. Gdyby mieli je do czegoś porównać, powiedzieliby, że przypomina nieszkodliwe wyładowania elektryczne.

– *Zacar od zamran; odo cicle qaa...*

Osobliwe słowa szajcha zmusiły ich do skupienia uwagi. Musieli je powtarzać. Takie otrzymali polecenie.

– *...Zorge lap sirdo noco Mad...*

Znowu przebiegły ich dreszcze. To nie były słowa po ormiańsku, lecz w jakimś innym języku, brzmiały zagadkowo i tajemniczo.

– *...Zorge nap sidun...*

Gdyby ktoś ich wtedy zobaczył, w życiu by nie zrozumiał, co robią trzech odziani na czarno mężczyźni otaczający na deszczu torbę postawioną na ziemi. Nikt by także nie uwierzył, że odprawiany przez nich rytuał jest pradawną inwokacją do Istoty Najwyższej, Osi Świata, ani że jego skutki znacznie wykraczają poza obszar wiary czy sugestii. Frazy, które w kółko powtarzali, były częścią starożytnego wezwania wrytego w zapomnianym niezrozumiałym dzisiaj języku – przywoływali na pomoc kasetę, amrak. Przedmiot, który mieli u stóp.

– *...Hoath Iada.*

Było pięć po wpół do czwartej nad ranem, kiedy stare miasto pociemniało po raz trzeci. Wydawało się, że chmura opiera się teraz na szczytach dachów. Wolniutko przesuwawała się ku środkowi placu oddzielającego ich od katedry.

Widząc, co się z nią dzieje, szajch się zachwyił. „Moc Boża”.

„Niszczycielski ogień”. „Chwała Jahwe”. Pod tymi i innymi jeszcze nazwami znana była ta siła. Energia, którą mało kto zdołałby wzbudzić w starej świętości służącej im teraz jako broń. Właściwie przywódca tej grupki znał tylko jednego człowieka zdolnego ją uaktywnić. Błyskotliwego naukowca, który mu wytłumaczył, w jaki sposób specyficzna kombinacja naturalnej energii elektromagnetycznej pochodzącej z różnych źródeł – z warstw skalnych, wód gruntowych, wyładowań atmosferycznych, a nawet z burz słonecznych – mogłaby wzbudzić niemal nadprzyrodzoną siłę amraka i przemienić ją w strumień o niewyczerpanej mocy. Albo w niewiarygodnie potężny sygnał. Nazywał ją „energiją geoplazmiczną”. I właśnie tego człowieka szajch zamierzał uratować, czyniąc to, co czynił.

Ów człowiek nazywał się Martin Faber.

## ROZDZIAŁ 23

Kiedy światło się zapaliło i zaraz zgasło, poczułam się niedobrze.

Niepokój zrodzony gdzieś w żołądku podszedł mi aż do gardła i napełnił usta goryczą. Nie mogłam się skupić na zagadce, którą zdaniem pułkownika Allena skrywały słowa „będzie dla ciebie widoczna”. *Se te da visionada*. Wczepiłam się w brzeg stołu, próbując nie zemdleć. Tak się złożyło, że wbiłam wzrok w Amerykanina i w słabym blasku bijącym od wyświetlacza iPada zauważyłam, że z nim także coś się dzieje. Twarz mu się pomarszczyła, przez co szrama na czole wyglądała jeszcze gorzej, chwiał się mocno na krześle, ledwie się na nim utrzymując. Ale naprawdę ogarnął mnie strach, gdy dojrzałam cień paniki w jego jasnych oczach. Ulotny. Jak refleks światła. I naraz nabrałam pewności, że ten żołnierz, który przyjechał, aby mnie chronić przed Bóg wie kim, zorientował się, co się z nami dzieje, i jest przerażony.

Nie mogłam zapytać dlaczego.

Nie miałam możliwości.

Siły opuściły mnie całkowicie, zanim minęło to, co na nas oddziaływało.

Nie mogłam oddychać. Płuca mnie nie słuchały, nie chciały nabierać powietrza. Mięśnie miałam zupełnie bezwładne, równocześnie cały świat zewnętrzny przestał się dla mnie liczyć,

choć wcale tego nie chciałam. Boże, co to jest? Co się dzieje?...

A już szczytem absurdu był odległy ból, który nagle postrzegłam. Szczególne uczucie gorącej kawy wsiąkającej w ubranie. Ale i wtedy nawet instynktownie nie byłam zdolna wykonać żadnego ruchu. Ani spojrzeć gdzie indziej, ani przesłać do rąk sygnału, że mają mnie przytrzymać, abym nie spadła na podłogę. To było po prostu niemożliwe. I już. Na szczęście upadek na dębową podłogę także nie zabolął.

W końcu na ułamek sekundy przed tym, jak ogarnęły mnie ciemności, doznałam przebłysku świadomości. Straszego, mimo to odczułam go jako wyzwolenie.

Umarłam. Na sto procent.

Wszystko się dla mnie skończyło.

## ROZDZIAŁ 24

Mieszkanie ojca Benigna Fornésa wychodziło na północną fasadę katedry. Mieściło się w budynku wyższego seminarium duchownego San Martín Pinario i obejmowało również zabudowany balkon. Z okien widać było pałac biskupa Gelmíreza i plaza de la Inmaculada. Fornés z domu mógł mieć oko na katedrę i dokładnie wiedzieć, co się tam dzieje. Być może właśnie ów szczególny widok nie pozwolił mu zmrużyć oka po strzelaninie. Dziekan katedry był nad wyraz zaniepokojony. Mimo napływającego z zewnątrz chłodu nie zamykał okna, nie wyłączył też komórki. Jeżeli ktoś znowu spróbuje naruszyć odwieczny spokój jego katedry, on pierwszy się o tym dowie.

Miał złe przeczucia. Wychował się w pobliżu tych murów, toteż wiedział, kiedy zanoszą się na coś niedobrego. Czuł to przez skórę, chociaż nie potrafił wyrazić słowami. Dlatego gdy nad ranem seria drobnych zdarzeń wyrwała go z półsnu, nie zdziwił się zbytnio.

Najpierw dwa razy nastąpiła przerwa w dostawie prądu. Dziekan wstał, zauważywszy, że latarnie uliczne zgasły, zapaliły się na parę sekund i znowu zgasły. Liczący siedemdziesiąt jeden lat duchowny, człowiek o wysokiej inteligencji i nieufny jak chyba wszyscy z jego pokolenia, postanowił udać się na miejsce. Uczynił to ostrożnie. I bezszelestnie. Nie mógł mu wyjść z głowy tamten



falszowy pożar w katedrze, ubrał się zatem, wziął płaszcz i latarkę i na palcach przemknął przez tę część budynku, gdzie mieściły się sypialnie kleryków. Kiedy podążał do kościoła, przecinając calle de la Azabachería, modlił się, żeby tę awarię wytrzymały stare przewody elektryczne.

– Obym się mylił, Boże – szeptał. – Obym się mylił...

Przy drzwiach katedry Fornés wprowadził sześciocyfrowy kod na elektronicznym panelu, wyłączając alarm. Przeżegnał się, zamoczywszy kościste palce w niedużej misce z wodą święconą po lewej, i po omacku wszedł w pierwszy korytarz, szukając jakichś odstępstw od normy.

Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się w porządku.

Nie było żadnych pomarańczowych błysków, które wcześniej zaalarmowały sąsiedztwo. Nawet po ciemku czuło się tu imponująco podniosłą atmosferę. W blasku dopalających się świeczek najświętsze zakątki katedry wydawały się większe. Baptysterium czy kaplica Santa María de Corticela jaśniały pośród mroku spowijającego resztę kościoła. Na ten widok staremu dziekanowi serce się ścisnęło. Doskonale pamiętał, jak było tu kiedyś – ta świątynia o powierzchni ponad ośmiu tysięcy metrów kwadratowych stała otworem dla wiernych na okrągło. Ale to były zupełnie inne czasy. W tamtej epoce pielgrzymi z całego świata chrześcijańskiego całymi nocami czuwali przy relikwiach „Syna Gromu”, pamiętając, że apostoł Jakub odziedziczył po Piotrze przywództwo w pierwotnym Kościele, był także świadkiem Przemienienia Pańskiego oraz Wniebowstąpienia. Niestety, nowoczesny świat zupełnie to zmienił. I zdarzenia takie jak tego wieczoru wcale nie wpłyną na poprawę obecnego stanu rzeczy.

Posmutniały dziekan skierował światło latarki na Drzwi

Złotników, a potem w głąb nawy głównej. Rozbłyśki widziane w tamtych rejonach nie pozostawiły żadnych osmalonych śladów na ścianach.

„A jeśli to był znak niebios?”

Pytanie, które dziekan zadał swojemu arcybiskupowi, kiedy z ust tego bezbożnika Figueirasa dowiedział się, co tu zaszło, było czymś więcej niż samym tylko powątpiewaniem. Było sugestią.

Ostrzeżeniem. Jednakże zwierzchnik Kościoła katolickiego w Santiago po raz kolejny wcale się tym nie przejął. Ten młody teolog, który zaledwie przed rokiem objął stolec biskupi, nie był zdolny pojąć aluzji Fornésa. Ponieważ był podszyty tchórzem, bardziej się zainteresował strzelaniną niż fałszywym pożarem. Właściwie tego można się było po nim spodziewać. Jego ekscelencja Juan Martos należał do średniego pokolenia duszpasterzy diecezjalnych, którzy gdyby im zabrać sutannę i pierścień biskupi, mogliby uchodzić za dyrektorów pierwszego lepszego koncernu. Był nijaki z wyglądu, o nienagannych manierach, chłodny i, co najgorsze zdaniem dziekana, bardziej zainteresowany światowym życiem niż kwestiami duchowymi.

„Znak niebios, mówi ksiądz? – powtórzył arcybiskup ze zdziwieniem. – Co ksiądz przez to dokładnie rozumie?”

„Ekscelencjo, proszę pamiętać, że ta świątynia powstała w dziewiątym wieku, kiedy cudowny deszcz gwiazd wskazał eremicie Pelayowi, że w tym miejscu jest jakaś świętość. Wedle tradycji on właśnie powiadomił o wszystkim sławnego poprzednika waszej ekscelencji, biskupa Teodomira, który zlecił zbadanie sprawy. I znaleziono wtedy jeden z największych skarbów wiary chrześcijańskiej”.

„Kamienny grobowiec ze szczątkami apostoła Jakuba” – uściślił

bez entuzjazmu w głosie jego ekscelencja Juan Martos.

„Istotnie, ekscelencjo. Proszę pamiętać, że czasami taki rodzaj światła to znak od Boga. Wezwanie dla nas, ludzi, abyśmy się przebudzili”.

Arcybiskup niechętnie przyjął to do wiadomości. Był za młody, zbyt obce mu było Santiago de Compostela i jego tysiącletnia historia, aby zrozumiał, co ksiądz Benigno Fornés ma na myśli. I dziekan uświadomił sobie wtedy, że jego biskup nie dba o duchową funkcję katedry w Santiago. Że nie jest „człowiekiem tradycji”. W przeciwnym razie nie kazałby mu zamknąć kościoła i zakazać wszystkim wstępu, dopóki policja nie skończy swojej roboty.

Być może dlatego dziekan, zazdrośnie strzegąc swej funkcji strażnika sekretów świątyni i pragnąc pokazać przełożonemu, że za nic ma jego polecenie, postanowił na własne oczy wszystko zobaczyć. Ostatecznie ten Dom Boży opatrzność powierzyła jego pieczy i nikt mu nie przeszkodzi w pełnieniu tego obowiązku. Nawet sam arcybiskup.

W kościele panował spokój.

Najciemniej było przy Portyku Chwały, toteż Fornés właśnie tam postanowił zacząć obchód. Rusztowania zasłaniały większy fragment obu części, psując widok foliowymi płachtami, komputerami i stołami zastawionymi chemikaliami. Jednakże w tym świętym miejscu wszystko zdawało się poukładane tak, jak to zostawiła Julia Álvarez, ulubienica dziekana.

Uważał, że Julia jest wyjątkową dziewczyną. Wiedział to od pierwszego wejrzenia. Nie tylko ze względu na przebieg kariery zawodowej – skądinąd wspaniałej – lecz także z powodu determinacji i otwartości umysłu, jaką okazywała podczas zebrań z

odpowiedzialnymi za restaurację tych rzeźb. Kiedy zasugerowała, że zauważone w ostatnim czasie pogarszanie się stanu murów i rzeźb jest wynikiem działania jakiejś siły tellurycznej, podziemnej, niewidocznej, nieświadomie przybliżyła się do sekretu Santiago, którego strzegł dziekan.

Gdy snop światła latarki zahaczył o biały ramiak portyku, Fornés otrząsnął się z tych myśli. Musiał kontynuować obchód. Chociaż mało kto o tym wiedział, w tych kamieniach zawierała się cała racja istnienia Composteli. Chodziło o kolumnę pokrytą rzeźbami, małutkimi figurkami ludzi, którzy zdawali się wspinać po drzewie genealogicznym Jezusa, poczynając od tajemniczej brodatej postaci umieszczonej przy samej ziemi i przydeptującej dwa wyszczerzone lwy. Niczym pnącze kolumna wznosiła się spiralnie jak pierwotne DNA ku apostołowi Jakubowi i wyżej, aż do Jezusa zmartwychwstałego.

Wszystko tu było jak należy. Dzięki Bogu żaden pocisk nie trafił w ten cud.

Spokojniejszy już stary kapłan przebył odległość dzielącą go od nawy poprzecznej i wkroczył na teren, gdzie odbyła się strzelanina. Policja odgrodziła to miejsce taśmami, lecz dla Fornésa to nie stanowiło przeszkody. Podniósł taśmę i przeszedł pod nią, po czym ostrożnie zaczął krążyć między drewnianymi ławkami. Niebawem światło latarki ukazało mu rozmiary szkód. Pociski podziurawiły wiele podłokietników, które przetrwały tyle wieków, posadzka usiana była drzazgami. Część opatrzone numerami, podobnie jak jeszcze niezbrane metalowe łuski po pociskach, na ławkach leżały przybory do pobierania odcisków i dowodów. Niewątpliwie nazajutrz policja wznowi pracę. Dziekan przeszedł tamtędy jak najostrożniej i skierował się ku miejscu, które go interesowało.

I wtedy dostrzegł coś jeszcze.

Znow policyjne taśmy odgradzały przestrzeń, choć mniejszą niż tamta. W pobliżu Drzwi Złotników, tuż powyżej *campus stellae*. Czyli – o czym Fornés wiedział najlepiej – najstarszą część katedry. Najwięksi nawet erudyci przyznawali, że tutaj narodziła się świątynia chrześcijańska ustępująca rangą jedynie rzymskiej Bazylice Świętego Piotra, a znacznie mniej osób zgadzało się, że ten kawałek ziemi był miejscem, gdzie zdarzyły się niezliczone cuda. Przede wszystkim jednak tu właśnie Bernardo el Viejo, *magister admirabilis*, wedle tradycji kierowany przez anioły, około roku 1075 położył kamień węgielny pod budowlę.

Dlatego też gdy Fornés ujrzał taśmy policyjne otaczające ten sektor, serce raz jeszcze zabiło mu mocniej.

– O wszyscy święci!...

Z kamiennego muru wystawał pocisk.

Strzał uszkodził blok, w który trafił, tak że część jego powierzchni przypominała kopczyk mąki. Na ten widok Fornés się przeżegnał. „Trzeba zwrócić uwagę konserwatorom”, pomyślał. Ale to nie wszystko. Kiedy pocisk uszkodził kamień, naruszając sąsiednie bloki, odsłonił także dziwny cień. Wyglądający na inskrypcję. Kawałek starego malowidła. Być może wyjątkowo duży znak kamieniarza. W każdym razie cokolwiek to było, sprawiło, że stare serce Fornésa znowu ruszyło galopem.

Miało taki oto kształt: 

Zaciekawiony dziekan podszedł bliżej. Oświetlił znak latarką i pogładził czubkiem palców. Wyglądał na całkiem świeży. I chociaż był tylko nieznacznie wklęsły, odcinał się wyraźnie na starym granicie, ponieważ odbite w nim światło mieniło się barwami, rzucało złote refleksy. Przejęty ojciec Fornés miał wrażenie, że

jeszcze jest ciepły.

„Chryste Jezu!... – pomyślał. – Muszę natychmiast powiadomić Jego Ekszelencję!”

## ROZDZIAŁ 25

Mówią, że kiedy ktoś umiera, jego dusza zostaje poddana najcięższej próbie. Twierdzą, że tuż przed przejściem w wyższy wymiar musi stanąć przed czymś w rodzaju „czarnej skrzynki”, pojemnika bez kształtów, w którym zgromadzono wszystko, czego dokonała w ciele od dnia, gdy przecięto pępowinę i płuca po raz pierwszy zaczerpnęły powietrza. To, czego dusza doświadcza, znalazłszy się przed owym pojemnikiem, przerasta wszelkie zmysłowe doznania. Naraz świadomość zanurza się jakby w błogostanie, z którego może oglądać siebie z zewnątrz i oceniać się z punktu widzenia innych. Wbrew temu, co twierdzą główne religie świata, na tym etapie nie ma sędziów. Ani sądu. Ani oczu, które by nas zmuszały do zaakceptowania albo nie tego, co widzą. Niczego takiego nie potrzeba. Dusza pozwala wypłynąć zamieszkującej ją czystej energii i jest w stanie samodzielnie ocenić wszystko, czego dokonała, przebywając w ciele. Przejrzawszy to, co przeżyła, podąży następnie drogą, którą uzna za najodpowiedniejszą do jej stanu wibracji.

Za dobre w tym należy uznać jedynie odkrycie, że dalej także jest jakaś ścieżka. W górę albo w dół, to zależy. A niebo lub piekło są w sumie owocem tego wewnętrznego podsumowania, stanem duchowym, w którym pozostajemy, oceniwszy, czy w naszym życiu

więcej było sukcesów czy porażek, uczynków dobrych czy złych, przeważały sprawy wzniosłe albo przyziemne.

Wszyscy niezależnie od wyznania słyszeliśmy o tej chwili. I chociaż przywódcy religijni straszili nas surowymi sądami, wielkim rozgrzeszaniem, a nawet zmartwychwstaniem ciał, ja mogę potwierdzić jedynie, że prawdziwy jest etap „przejścia”.

Dowiedziałam się tego wtedy nad ranem w kawiarni La Quintana, gdy leżąc twarzą do ziemi w odległości kilku centymetrów od nieruchomego pułkownika Allena, pomyślałam, że przysłała na mnie chwila rozliczenia.

Zaskoczyło mnie, że tak łatwo się umiera. To, co początkowo wzięłam za bezbolesne omdlenie, szybko się przemieniło w chemiczny strumień odczuć i dawnych wspomnień. Nie wiem, czemu uznałam, że straciłam życie z powodu wyładowania elektrycznego jak Uzza, który transportował Arkę Przymierza. Dziesięć tysięcy woltów wystarczyłoby, żeby zatrzymać mi serce i wypalić mózg. Być może to tłumaczy, dlaczego poczułam się wyrzucona poza czas, ciśnięta w morze obrazów, które teraz mnie zalewały.

Potwornie się wysilałam, pragnąc zrozumieć. Dlaczego nie poczułam bólu, kiedy padłam na podłogę? Gdzie się podziała kawiarnia, Nick Allen?... A kelner?

Dobrą chwilę nic się nie działo.

Zupełnie nic.

A ze mną było tak, jakbym bez strachu rozpływała się wolniutko w błogostanie. Przestało mi być zimno i pomału nabierałam pewności, że gasnę.

Kiedy ogarnął mnie całkowity spokój, coś w moim wnętrzu zapłonęło. Usłyszałam głosy. I jakimś cudem pod zamkniętymi



oczami zaczęły mi się przewijać obrazy z innego czasu.

Muszę o tym opowiedzieć. I zrobię to.

Pierwsze wspomnienie uderzyło z całą mocą.

Było to w dniu mojego ślubu i przez chwilę sądziłam, że przytomnieję, ponieważ pułkownik Allen poruszał się w moich odczuciach jeszcze na sekundę przed moją śmiercią.

Zobaczyłam, jak Martin i ja przyjeżdżamy do hrabstwa Wiltshire opanowani wrażeniem, że życie każdego z nas wchłonął wir. Był wczesny niedzielny poranek, dzień po moim pierwszym spotkaniu z adamantami Johna Dee. Musieliśmy wstać naprawdę skoro świt, by zdążyć ze wszystkim. Niewątpliwie oboje byliśmy potwornie spięci. W nocy nie zmrużyliśmy oka. Sprzeczaaliśmy się nawet.

Prawie o tym zapomniałam.

Sprzecзка wykluła się już wieczorem, po spotkaniu z Sheilą i Danielem. A powodem były te nieszczęsne kamienie. Z obydwoma działo się coś dziwnego, odkąd mi je wręczono. Martin i tamci dwoje cieszyli się jak dzieci, kiedy jeden świecił, wibrował, obracał się dokoła, wskazując różne przedmioty na stole, albo cichutko pogwizdywał jak parowóz. „Przesuń go w tym kierunku”, „Połóż go na tej piramidzie”, „Podnieś go małymi palcami”, rozkazywali. W końcu zmęczyła mnie ta zabawa. Jeśli nie położymy się spać, ceremonia następnego dnia będzie katastrofą.

Zaraz po powrocie do hotelu po raz pierwszy zaiskrzyło.

– Czy przeżyłaś kiedyś bardziej niesamowity dzień? – zapytał Martin, zanim położył się do łóżka.

– Gadanie! – odparłam tak cierpko, że bardziej nie można. – Dowiedziałam się, że wiesz o mnie dużo więcej, niż mi się wydawało.

– Och! Mówisz to, żeby...

– Owszem. Właśnie dlatego – przerwałam mu. – Czyli poderwałeś mnie, bo wierzyłeś, że mam dar widzenia, tak? Czemu nie powiedziałeś mi wcześniej?

Martin patrzył na mnie, jakbym spadła z księżyca.

– A nie masz?

– Nie! Jasne, że nie!

– Jesteś pewna? – odparował ostro. – Sama mi opowiadałaś, że rozmawiałaś z nieżyjącą prababcią. Że twoja matka w domu widywała nieraz procesję dusz pokutujących, tych... jak je nazywasz?

– Święta Kompania.

– Właśnie. Święta Kompania. I może ja wymyśliłem, że wywodzisz się z rodu galisyjskich wiedźm, które wiedzą wszystko o ziołach? Przecież sama pędzisz rum na artretyzm!

To był już szczyt wszystkiego. Martin zamierzał rozmydlić podstawową kwestię. Nie mogłam na to pozwolić.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi o kamieniach? – Każde moje słowo przepełnione było złością.

– No tak... – stropił się. – Wiesz, *chérie*, dotąd to było coś w rodzaju rodzinnej tajemnicy. Ale skoro od jutra będziesz należała do rodziny, uznałem, że powinnaś poznać nasz sekret. Nie podobała ci się niespodzianka?

– Niespodzianka?... Czułam się jak królik doświadczalny! Jak... jak jarmarczna atrakcja! Skąd tyś wytrzasnął tych... tych...

– Przyjaciół? Daniel to naukowiec. A Sheila jest... trochę taka jak ty.

– Co masz na myśli?

– Do tej pory ona jedna potrafiła uaktywnić kamienie. Chociaż nie tak jak ty. Jak to zobaczyłem, wiedziałem, że nie pomyliłem się

co do ciebie. Sprawiasz, że adamanty przemawiają! Masz dar!

– Sprawiam, że przemawiają?... Do diabła, Martin! Naprawdę wierzysz, że kamienie mówią?

Wyskoczył z łóżka i stanął przede mną.

– Wierzę!

– Jak możesz tak mówić?

– Julio, w ciągu dwudziestu lat nigdy nie widziałem, żeby adamanty zachowywały się tak jak dzisiaj. Wydawały się żywe! Gdybyś widziała minę Sheili!... Masz dar – powtórzył. – Taki sam jak Edward Kelly, ulubiony jasnowidz Johna Dee. Gdybyś chciała, mogłabyś przez nie widzieć i wprawiać je w wibracje. Jesteś ich medium!

W oczach mi się zamgliło. Człowiek, za którego nazajutrz miałam wyjść za mąż, mówił do mnie jak do obcej.

– Zaczynam się ciebie bać, wiesz? – powiedziałam ze łzami w oczach. – Myślałam, że jesteś naukowcem. Człowiekiem racjonalnym... Oddałam życie w twoje ręce i teraz cię nie poznaję!

– Julio, proszę... Wystraszyłaś się – szepnął – ale naprawdę nie masz się czego bać.

– Nie jestem taka pewna.

– Po ślubie będziesz miała czas, żeby się nauczyć posługiwać kamieniami, *chérie*, i przekonasz się, że jestem naukowcem, w którym się zakochałaś. Zbadamy je wspólnie. Obiecuję. Ty je ożywisz, a ja zinterpretuję.

Nic nie odpowiedziałam.

– Zrozumiesz wszystko. Zobaczysz, że chociaż teraz wydaje ci się to magiczną sztuczką, wszystko, co się działo, da się naprawdę prosto wytłumaczyć. Sheila i Daniel też chcą, żebyś wzięła kamienie.

– A jeśli straciłam do ciebie zaufanie? – Popatrzyłam na niego z całą surowością, na jaką było mnie stać. – Czuję się oszukana, wykorzystana. Zrozumże to!

– Nie mówisz poważnie.

– Nie... – Spuściłam wzrok. Silnymi dłońmi ścisnął teraz moje ręce, próbując mi przywrócić stracone właśnie poczucie bezpieczeństwa. A ja miałam mętlik w głowie. – Jasne, że nie...

## ROZDZIAŁ 26

Działy się tu rzeczy dziwne.

Przy tylu przeciwnościach Antonio Figueiras nijak nie mógł zorganizować skutecznej ochrony świadkowi. Brak światła, sygnału radiowego, a na koniec zanik zasięgu wszystkich operatorów telefonii komórkowej pozbawiły go niezbędnych do tego narzędzi. Dlatego inspektor długo się nie zastanawiał: wsiadł do własnego samochodu i czym prędzej udał się najkrótszą drogą na plaza de la Quintana. Julia Álvarez na pewno jeszcze gada z tym Amerykaninem. Całe szczęście, że zostawił na miejscu paru zaufanych ludzi, ściągnięto też śmigłowiec, nie wypuszczą jej zatem stamtąd. Nie wierzył, żeby w tej sytuacji jakikolwiek terrorysta kurdyjski, choćby najzuchwalszy, odważył się uprowadzić Julię.

Deszcz – „Na szczęście”, pomyślał – odpuścił trochę. Nie lało już jak z cebra, za barokowymi wieżami katedry lśniło nawet nieśmiałe światło brzasku.

Gdyby Figueiras zerknął na zegar wbudowany w deskę rozdzielczą samochodu, uświadomiłby sobie, że to nie może być blask słońca.

Nie zrobił tego jednak.

## ROZDZIAŁ 27

Moje drugie wspomnienie *post mortem* przyszło bez ostrzeżenia.

Ubrany na szaro człowiek o twarzy zmęczonej, pomarszczonej z zimna i starości, obserwował nas beznamytnie. Dotarliśmy właśnie z Martinem do Biddlestone, miejscowości, w której mieliśmy wziąć ślub, i ojciec James Graham, miejscowy wikary, nie mógł uwierzyć w to, co miał przed oczami.

– To bardzo ważna decyzja – szepnął. – Jesteście pewni, że chcecie to zrobić?

Przytaknęliśmy oboje. Przyjechaliśmy wcześniej do miasteczka, opuściwszy hotel bladym świtem po nieprzespanej nocy.

– A kiedy podjęliście decyzję?

– Ona się dowiedziała wczoraj – odparł Martin z lekkim uśmiechem.

– No pięknie...

Chociaż duchowny powiedział to z wyrzutem w głosie, nic więcej nie dodał. Usiadł z nami i zaprosił nas, żebyśmy coś przekąsili.

Jego obecność działała krzepiąco. Później zrozumiałam dlaczego.

– Ile to czasu nie widzieliśmy się, synu? – zapytał Martina.

– Od mojej pierwszej komunii. Przeszło trzydzieści lat!

– A tak, jasne. Tak samo długo nie widziałem twoich rodziców.

– Ano tak... Coś mocno się spóźniają.

– A wiesz? W zasadzie pochlebia mi, że ich nie ma. Dlatego, że ciągle wierzą w moją pracę – rzekł ojciec James, jakby chciał zbagatelizować ten szczegół. Martin także się nie przejmował. – A powiedz, synu, nadal upierasz się przy tym czytaniu głównym? Zmartwił mnie twój wczorajszy telefon. Nieczęsto się odbywają ceremonie tej klasy. Zwłaszcza w świątyni chrześcijańskiej.

– Zgadza się – przyznał Martin, biorąc mnie za rękę. – Ale nie będzie z tym problemu, prawda?

– Nie. Jeśli ona nie ma nic przeciwko...

– A czemu miałabym mieć? – Uśmiechnęłam się, sądząc, że to taki żart między dwójkiem starych znajomych. – To mój ślub!

– Córko, twój narzeczony nalega, żeby do ceremonii włączyć czytanie tekstu, który nie jest z Pisma Świętego. Wiedziałaś o tym?

– Prawdę mówiąc, nie.

Martin wzruszył ramionami, jakby chodziło o jego kolejną niespodziankę.

– Uparł się jak muł – ciągnął ojciec James. – Chce, żeby uwzględnić w ceremonii jedną ze starych przypowieści, w których kobiety nie wypadają za dobrze. Dlatego się zastanawiam, czy przypadkiem pani jako Hiszpanka, podejrzewam, że z temperamentem, chciałyby...

– To prawda? – Popatrzyłam na Martina rozbawiona, zamykając usta ojcu Grahamowi.

– Z wyjątkiem tego, że wypadacie nie najlepiej – zaśmiał się.

– Mimo wszystko – zauważył duchowny – zgodzisz się ze mną, Martin, że tekst nie jest zwyczajny. Trochę niestosowny na ślub.

– Niestosowny? – spytałam, umierając z ciekawości. – Dlaczego niestosowny?

– Och, nie zwracaj na to uwagi, *chérie*. – Martin usiłował

zbagatelizować wypowiedź ojca Grahama. – Ten człowiek od pokoleń udziela ślubu członkom mojej rodziny i zawsze tak samo gdera. Chyba próbuje zniszczyć naszą tradycję – dodał, puszczając do mnie oko.

– Dowiem się w końcu, o jakie czytanie chodzi? – wróciłam do sedna.

– To bardzo stary tekst, z pewnością wartościowy, ale niezbyt kanoniczny. Moim obowiązkiem jest uprzedzić panią o tym. Martin mówił, że jest pani historyczką i konserwatorką sztuki. Ciekawe. Pokażę pani tekst, sama pani oceni.

Wstał od stołu i podszedłszy do ustawionej w kuchni etażerki, pełnej starych ksiąg oprawnych w skórę, wyjął jedną, cienką, za to dużego formatu.

– Księga Rodzaju wspomina mimochodem te same wydarzenia, o których opowiada ten tekst w szóstym rozdziale – wyjaśnił, wążąc w ręce oprawiony w cielejącą skórę wolumin, który oceniałam jako bardzo stary. – Niestety, w Biblii informacje są tylko cząstkowe, skrótowe, jakby chciano pominąć drastyczne szczegóły, które tutaj przedstawione są jak najdokładniej.

– Co to za tekst?

– Księga Henocha. A pani przyszły mąż życzy sobie, żeby odczytać rozdziały szósty i siódmy.

– Księga Henocha? Nie przypominam sobie, żebym o niej słyszała.

Martin poruszył się na krześle. Przypuszczałam, że sprawia mu przyjemność moje zainteresowanie szczegółami rytuału, później jednak zdałam sobie sprawę, że wcale tak nie było. Kiedy ojciec Graham wdał się w wyjaśnienia, Martin się wiercił, nie mogąc się zdecydować, czy nam przerwać czy nie.



– Księga Henocha – ciągnął duchowny, trzymając w rękach wolumin w oprawie pozbawionej wszelkich napisów i znaków – jest dziełem prorockim, które opowiada historię i przyszłość ludzkości w jej początkach na świecie. Najstarsze egzemplarze pochodzą z Abisynii, czyli dzisiejszej Etiopii.

– Bardzo ciekawe – pochwaliłam ku rozpaczy Martina. – A cóż jest w niej tak krępującego dla kobiety?

– Cierpliwości, wszystkiego się pani dowie – mruknął ojciec Graham. – Ogólnie mówiąc, jest tu opowiedziane, co się działo z ludźmi po wypędzeniu z raju. Co się stało niedługo przed drugim upadkiem człowieka.

– Drugim upadkiem?

– Hm... Według Pisma Świętego ludzkość dwa razy o mało nie wymarła. Pierwszy raz, kiedy Adam i Ewa zostali wypędzeni z raju i skazani na życie w świecie, w którym istniała śmierć. Czyli Bóg zezłościł się na naszych prarodziców, ale ostatecznie im wybaczył. A oni zaadaptowali się do nowego otoczenia i bardzo szybko zaczęli się rozmnażać.

– A do drugiego upadku doszło, kiedy...

– Kiedy ich potomkowie wymarli w czasie potopu – wyjaśnił.

Zafascynowana słuchałam, jak ojciec Graham opowiada mi o Stworzeniu z werwą godną reportera „National Geographic”. Postanowiłam włączyć się w tę zabawę.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę. Chce ksiądz powiedzieć, że Księga Henocha jest sprzed potopu?

– Niezupełnie. Jej autor opowiada o tym, co się działo przed potopem. To znaczy relacjonuje wydarzenia między pierwszym a drugim upadkiem. Niestety zupełnie nie wiadomo, jak stary jest ten tekst. W ogóle nie wspomina się w nim o Adamie i Ewie, co jest

zaskakujące, wyjaśnia natomiast szczegółowo, dlaczego Bóg zesłał na nas potop. I wiarygodnie, bo źródłem informacji jest prorok Henoch we własnej osobie.

– Henoch...

Ojciec Graham nie słuchał moich westchnień zachwyty.

– Henocha kilka razy się wymienia w Biblii. Był niepiśmiennym pasterzem, który dostąpił niewiarygodnego szczęścia: oglądał mianowicie na własne oczy Królestwo Niebieskie. Musi pani wiedzieć, że należał do nielicznych śmiertelników, których Bóg zabrał do raju w śmiertelnym ciele. Został uniesiony wiatrem do nieba i mógł wrócić na ziemię, żeby o wszystkim nam opowiedzieć i uprzedzić nas o gniewie Wszechmocnego.

– I o tym wszystkim jest mowa w Księdze Henocha? – wyszeptałam.

– Nie tylko o tym. Wygląda na to, że kiedy Henoch przebywał w raju, udało mu się znaleźć odpowiedzi na wszelkie zgrzyoty dręczące ludzi. Obecne, przeszłe i przyszłe. Dlatego po powrocie stał się kimś w rodzaju wieszczki dotkniętego palcem Stwórcy. I istotą nieśmiertelną. Jak starożytni bogowie.

Usłyszałam, jak Martin coś mamrocze w kącie kuchni.

– A proszę mi powiedzieć – rzekłam, zerkając na narzeczonego z ukosa – dlaczego zdaniem księdza Martin chce, żeby w czasie naszego ślubu przeczytać tekst z tej właśnie księgi? Jest w nim mowa o miłości?

James Graham wbił we mnie spojrzenie swych znużonych niebieskich oczu, jakby ostrzegał przed zagrożeniem, którego jeszcze nie byłam świadoma.

– Pani narzeczonego chce włączyć do ceremonii fragment z samego początku księgi, córko... Proszę go przejrzeć, żeby rozwiązać

wątpliwości. Ja nie potrafię powiedzieć, czy tam jest mowa o miłości czy nie.

Podał mi księgę, którą dotąd trzymał otwartą w rękach, i gestem zachęcił mnie, żeby ją przejrzała. Bez trudu znalazłam właściwy fragment. Był zaznaczony niebieską jedwabną tasiemką elegancko poskładaną.

Ładny inicjał widniał na czele krótkiego tekstu podzielonego jeszcze na niewielkie akapity. Tekst wydrukowano czcionką gotycką, w której mieszały się czarne i czerwone litery, i ozdobiono ilustracjami związanymi z treścią. Z szacunkiem pochyliłam się nad kartą i na głos przeczytałam: „Księga Czuwających. Historia upadku aniołów. Grzech aniołów. Wstawiennictwo archaniołów na rzecz ludzi. Zapowiedź ukarania zbuntowanych aniołów. Wizja pałacu Bożego. Boski wyrok na zbuntowanych aniołów”.

Zupełnie mnie to zbiło z pantałyku. W zasadzie nie bardzo widziałam tu związek ze ślubem. Spostrzegłszy jednak, że udało mi się uciszyć Martina i ojca Grahama, przeczytałam resztę głośno i szybko zmieniałam zdanie:

*Kiedy ludzie rozmnożyli się, urodziły im się w owych dniach ładne i piękne córki.*

*Ujrzeni je synowie nieba, aniołowie, i zapragnęli ich. Jeden drugiemu powiedział: „Chodźmy, wybierzmy sobie żony z córek ludzkich i spłodźmy sobie dzieci”.*

Aha! Tu mamy miłość, pomyślałam.

Czytałam dalej:

*Szemihaza, który był ich dowódcą, powiedział do nich: „Obawiam się, że może nie zechcecie tego zrobić i że tylko ja sam poniosę karę za ten wielki grzech”.*

*Wszyscy, odpowiadając mu, rzekli: „Przysięgnijmy wszyscy i zwiążmy się przekleństwami, że nie zmienimy tego planu, ale doprowadzimy zamiar do skutku”.*

*Następnie wszyscy razem przysięgli i związali się wzajemnie przekleństwami.*

*Było ich wszystkich dwustu. Zstąpili na Ardis, szczyt góry Hermon. Nazwali ją górą Hermon, albowiem na niej przysięgali i związali się wzajemnie przekleństwami.*

– Niech pani otworzy na drugiej zakładce. Zielonej – polecił ojciec Graham, wskazując tasiemkę. – Proszę przeczytać całą tę stronę.

– Ta część nie będzie czytana w kościele – zaprotestował Martin, wracając do nas.

– Nie, ale dobrze by było, gdyby twoja narzeczona ją знаła. Julio – dotknął mojej ręki – proszę czytać.

Posłusznie zaczęłam:

*Wzięli sobie żony, każdy po jednej. Zaczęli do nich chodzić i przestawać z nimi. Nauczyli je czarów i zaklęć i pokazali im, jak wycinać korzenie i drzewa.*

*Zaszły one w ciążę i zrodziły wielkich gigantów. Ich wysokość wynosiła trzy tysiące łokci.*

*Požerali oni wszelki znój ludzki, a ludzie nie potrafili ich utrzymać.*

*Giganci obrócili się przeciwko ludziom, aby ich pożreć. I grzeszyli przeciw ptakom, zwierzętom, gadom i rydom. Pożerali mięso jedni*

*drugich i pili zeń krew.*

*Wtedy ziemia poskarżyła się na nieprawych.*

Przez chwilę milczeliśmy wszyscy troje. Również ojciec Graham. Ogarnął mnie strach. Koniec końców wyglądało mi to na opis grzesznych związków – zrodziło się z nich ohydne plemię, które zdusić mogła tylko kara spadająca na wszystkich.

– Chodźmy, Julio. Już wiesz – przerwał ciszę Martin. I dla dodania wszystkim ducha dorzucił: – To tylko stara opowieść o miłości. Właściwie starsza od niej jest tylko historia Adama i Ewy.

Ojciec Graham się skrzywił.

– To opowieść o zakazanej miłości, Martin. Która nigdy nie powinna była się zdarzyć.

– Ale przecież – sprzeciwił się Martin – dzięki tej miłości „synowie nieba”, specyficzna klasa aniołów stojących wyżej niż rodzaj ludzki, zdecydowali się podzielić swoją wiedzę z naszymi przodkami wypędzonymi z raju. Jeżeli prawdą jest to, o czym opowiada ta księga, zrobili to dlatego, że związali się z kobietami na ziemi i udoskonalili nasz rodzaj. Cóż w tym złego? Ich plemię przysłużyło się ludzkości. To były pierwsze w historii małżeństwa! Święte małżeństwa! Hierofaniczne. Związki bogów i ludzi.

– Nieczyste małżeństwa, Martin! – Na moment w głosie duchownego pojawiła się groźba, lecz ojciec Graham dalej mówił już spokojnie: – Ściągnęły na nas niełaskę. Bóg nigdy nie patrzył życzliwie na potomstwo zrodzone z tych związków, toteż aby je zniszczyć, postanowił zesłać potop. Dlatego właśnie nie wydaje mi się słuszne przypominanie tej historii w dniu waszego ślubu.

– Przepraszam – wtrąciłam się, próbując przywrócić nieco lżejszy

ton tej rozmowie – powiedział ksiądz przedtem, że kobiety nie wypadają za dobrze w Księdze Henocha...

Mój podstęp zadziałał częściowo. James Graham wyluzował nieco, ale w jego słowach nadal była surowość.

– Według Henocha – wyjaśnił – „ludzkie córki” zawsze stoją niżej od „synów nieba”, którzy wykorzystują ich naiwność, płodzą z nimi potworne potomstwo, bezkształtnych gigantów, a na dodatek zrzucają na kobiety winę za skalanie nowego plemienia. To straszna opowieść.

Uśmiechnęłam się.

– Ale skoro to wszystko mit...

Niepotrzebnie to powiedziałam.

Ojciec Graham wstał z taboretu, na którym przysiadł, i obcesowo wyrwał mi księgę z rąk. O ile dotąd jego twarz nie odzwierciedlała żadnych emocji, o tyle teraz jakby spadła z niej maska.

– Mit? – fuknął. – Daj Boże, żeby wszystko było takie proste! W tej księdze zgromadzono wszystko, co przetrwało z początków naszej cywilizacji. Wszystko, co się wydarzyło przed potopem, przed chwilą, kiedy historia zaczęła się toczyć od zera. Nie ma kroniki naszych dziejów równie dokładnej jak ta.

– Ale przecież potop to też opowieść mityczna – upierałam się.

– Zaraz, zaraz! – przerwał nam Martin. – Pamiętasz, Julio, naszą wczorajszą wizytę?

Przytaknęłam zdziwiona. Miałam ją świeżo w pamięci.

– A pamiętasz, co ci powiedziałem o mojej rodzinie i o Johnie Dee?

– Że ten człowiek to obsesja Faberów? O to ci chodzi?

– Właśnie. – Westchnął. – Pozwól, że jeszcze coś ci powiem. Otóż Dee był na Zachodzie pierwszym człowiekiem, który zapoznał się

z Księgą Henocha i dzięki niej zainteresował się od strony naukowej skutkami potopu. Ten epizod, zarówno jako fenomen lokalny obejmujący rejon Mezopotamii, jak i globalny, związany ze zmianami klimatycznymi, rzeczywiście miał miejsce. I to nie raz, a co najmniej dwa razy. Ostatnio jakieś osiem, dziewięć tysięcy lat temu. John Dee pierwszy wysnuł taki wniosek na podstawie tekstu, który przeczytałaś.

– Naprawdę wierzysz, że było coś takiego jak potop? – spytałam niedowierzająco.

– No pewnie.

– A czemu chcesz to przypomnieć w czasie naszego ślubu?

– Moja rodzina od pokoleń interesuje się wszystkim, co się wiąże z Johnem Dee, Henochem i początkami ludzkości. Matka studiowała języki martwe tylko dlatego, że chciała czytać Księgę Henocha w oryginale. Ojciec został fizykiem, żeby przełożyć na język nauki metafory Henocha dotyczące raju i podróży proroka opisanych w dalszych częściach. A ja jestem biologiem i klimatologiem, by potwierdzić, że to, co relacjonuje prorok, faktycznie się wydarzyło między pierwszym a drugim zatopieniem świata, czyli mniej więcej między dwunastym a dziewiątym tysiącleciem przed naszą erą. To... to jakby hołd, który składam swoim praprzodkom.

– Jesteście rodziną Potwornickich.

Martin nie docenił mojego żartu.

– Poza tym... – zająknął się. – W pewnym sensie moi rodzice i ja jesteśmy ostatnimi z długiego łańcucha stróżów tego dziedzictwa.

– Poważnie? – Zaśmiałam się.

– Może mu pani wierzyć – wtrącił ojciec Graham, machając rękami, jakby odganiał wspomnienia przywołane słowami Martina.

– John Dee był jednym z ogniw tego łańcucha. I Roger Bacon, dwunastowieczny franciszkanin o umyśle nieustępującym Leonardowi. I Paracelsus, lekarz. I mistyk Emanuel Swedenborg. A także Newton. I wielu innych, którzy na zawsze pozostaną anonimowi.

– Patrz, Julio, dwieście lat przed odkryciem Księgi Henocha przez szkockiego poszukiwacza, niejakiego Jamesa Bruce’a, nasz John Dee już znał na pamięć jej najważniejsze ustępy. I tak dogłębnie przestudiował opisane w niej spotkania proroka z aniołami, że w końcu wynalazł sposób przywoływania ich za pośrednictwem świętych przedmiotów sprzed potopu.

– Adamantów!

– Właśnie. – Twarz Martina pojaśniała, wykwitł na niej szczerzy uśmiech. – John Dee używał ich, bo chciał odtworzyć prawdziwą historię naszego rodzaju. Odkrył, że w naszych żyłach nadal płynie boska krew z winy aniołów, którzy okazali nieposłuszeństwo Jahwe i wymieszali się z naszymi praprzodkami. I doszedł jeszcze do czegoś: otóż Bogu wcale nie minął gniew po wypędzeniu Adama i Ewy z raju. Ani nawet później, po potopie.

– Jak to? Co masz na myśli?

– Adamanty powiedziały Johnowi o trzecim upadku. Henoch także go zapowiedział. Wcześniej czy później dojdzie do niego za sprawą ognia. Nasz rodzaj znowu jest zagrożony, Julio. Dlatego chcę o tym przypomnieć w dniu naszego ślubu. Może kiedyś uda nam się razem uratować ludzkość...



## ROZDZIAŁ 28

W świecie realnym rzeczy przybierały aspekt jeszcze dziwniejszy, jeśli to w ogóle możliwe.

Fosforyzująca chmura, która kilka minut wcześniej unosiła się nad katedrą, zszedłszy nad samą ziemię, sunęła niczym gęsta mgła między kolumnami. Zaczęło się od niewielkich strzępków zmieniających się z jakiegoś powodu, aż utworzyły plastyczny opar, który osiadał na granitowym bruku, oblepiając wszystko.

Kiedy opar się rozprzestrzenił, zaczął wywierać zaskakujący wpływ na ludzi i przedmioty. Ta geoplazma niosła w sobie ładunek elektryczny zdolny przemienić każde urządzenie w szerokozakresowe radio oraz porazić układ nerwowy ssaków i ptaków. Niejaką ochronę przed nią zapewniał jedynie specjalny strój – taki jak ten, który mieli na sobie pasażerowie śmigłowca stojącego na plaza del Obradoiro. Uszyty został z tkaniny przenoszącej ładunki elektryczne do ziemi na zasadzie podobnej do konwencjonalnego uziemienia.

– Ruszamy!

Szajch wiedział, co należy zrobić, kiedy kasetę się uaktywni. Poleciał swoim ludziom, by umocowali na broni specjalne latarki z pokrowcem z tkaniny takiej jak ich stroje i jak najszybciej dotarli do jedynej na placu budynku strzeżonego przez policję. Było

oczywiste, że tam właśnie przebywa Julia Álvarez.

Mężczyźni zwinnie ominęli nieruchome ciała funkcjonariuszy w mundurach, którzy padli dosłownie w drzwiach kawiarni. Oczy mieli otwarte, szkliste, zapatrzone w dal. Oczywiście w ogóle nie zareagowali na wtargnięcie trzech intruzów. Nie zareagował również kelner, który z groteskową miną siedział na podłodze w otoczeniu sterty potłuczonych talerzy.

– Jak długo potrwa efekt amraka, mistrzu?

Pytanie Wasfiego, chłopaka z warkoczem i wytatuowanym wężem, sprawiło, że szajch się obejrzał.

– Nieważne, ile potrwa, ważne, jak podziała na ludzi. Może być i tak, że niektórzy nigdy już się nie obudzą, bracie. Taką ma moc.

Kiedy światła ich latarek omiały nienaruszone wnętrza kawiarni, szajch zagadnął:

– Widziałeś żonę Martina w katedrze. Rozpoznałbyś ją, gdybyś ją zobaczył?

– *Aho*. Na pewno.

W milczeniu doszli do końca kawiarnianej sali. Wszystkie stoliki były puste z wyjątkiem jednego, przy którym leżało na podłodze dwoje ludzi. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna runął na twarz jak długi. Drugą osobą była kobieta. Straciła równowagę i opadła na kolana. Klęczała teraz wyprostowana z głową zwieszoną na piersi – wyglądała niczym dłoń złamana w nadgarstku.

Wasfi ujął ją za podbródek i podniósł jej głowę.

To była ona. Julia. Miała taką minę, jakby śmierć – czy co tam wywołała kaseta – przerwała jej rozmowę w pół zdania. „Ma piękne zielone oczy”, pomyślał.

Kiedy światło latarki Wasfiego padło na jej twarz, źrenice Julii się zwężyły.

Ormianin się uśmiechnął.

– Tu jest – powiedział, nie ruszając się z miejsca.

Szajch ledwie zwrócił na to uwagę. Przykucnął koło zwałistego mężczyzny w czarnym ubraniu i próbował go odwrócić, by zobaczyć jego twarz.

Gdy wreszcie mu się udało, spochmurniał.

– Co się stało? – zaniepokoił się Wasfi.

Mistrz zmartwiony pokiwał głową.

– Miałeś rację, Wasfi. Są na tropie Martina. Znam tego człowieka...

## ROZDZIAŁ 29

Od najmłodszych lat słyszałam, że kiedy umierasz, najpierw widzisz na końcu tunelu wielkie oślepiające światło, które przemożnie cię do siebie wabi. Słyszałam również, że w tej chwili zmarli wcześniej krewni i przyjaciele są przy tobie, uspokajają cię i pomagają ci przejść przez to światło, przez które z powrotem nie przeszedł nikt – może z wyjątkiem Henocha.

Cóż, kiedy je zobaczyłam, poczułam się potwornie sama. Tunel, w którym błądził mój umysł, pozostawał pusty. Cichy. Pozbawiony ruchu. Zauważyłam tylko, że to upragnione światło zaczyna mi palić trzewia żywym ogniem pożerającym je niczym wiązkę słomy. W jednej chwili każdy nerw we mnie skręcił się z bólu. I chociaż to uczucie trwało ledwie mgnienie, wyczerpało mnie do cna. Wykończyło. Jakby resztką sił, które jeszcze miałam, rozwiała się definitywnie i nieodwracalnie.

I wtedy strumień wspomnień, który przepływał mi przed oczami, wezbrał i zalał mnie znowu burzliwą falą.

„Umarłam – powtórzyłam sobie zrezygnowana, nie widząc nic dziwnego w tym, że ciągle jeszcze jestem w stanie myśleć. – Teraz już czeka mnie tylko ciemność”.

Oczywiście myliłam się.

Owładnęło mną kolejne wspomnienie. Czułam się skołowana.

Zawsze wierzyłam, że przy przechodzeniu na drugą stronę pamięć zaczyna odtwarzać drogę życiową od najmłodszych lat. Tymczasem okazywało się, że byłam w błędzie. Resztki świadomości pokazały mi bowiem Martina, który wyciągał z mojej torebki jeden z nieszczęsnych kamieni i rzucał go na stół w kuchni ojca Grahama.

– Proszę! – powiedział.

Mój narzeczony minę miał tak jednoznaczną, że czym prędzej położyłam swój kamień obok tamtego. Przeżywałam oto znowu chwile poprzedzające nasz ślub.

Zdziwiony proboszcz parafii Biddlestone zafascynowanym wzrokiem patrzył na nasze talizmany.

– Martin, czy to jest to, co myślę? – zapytał.

– Dwa kamienie Johna Dee.

– Adamanty? – upewnił się.

Martin przytaknął.

– Dużo słyszałem o nich od twojej matki. Nie tak je sobie wyobrażałem.

– Wszyscy spodziewają się wypolerowanej skały, większej i mocno obrobionej – przyznał. – Czegoś takiego jak „przydymione zwierciadło” Johna Dee.

– Przydymione zwierciadło? A cóż to jest, u diabła?

Moje pytanie rozbawiło ich obu.

– Och, Julio, ty nic nie wiesz! – Martin rzekł to z leciutkim wyrzutem, który nie sprawił mi przykrości. – Po śmierci Johna Dee duża część jego biblioteki i kolekcji różnych urządzeń dostała się w ręce brytyjskiego antykwariusza, niejakiego Eliasa Ashmole’a. Był jednym z założycieli Royal Society w Londynie, orędownikiem nowoczesnej nauki. Co nie przeszkadzało, że równocześnie wyznawał sekretną wiarę: zaliczał się do tych, którzy wierzyli, że

jest możliwe, a nawet zalecane nawiązywanie kontaktu z aniołami. Obsesyjnie szukając sposobów takiej komunikacji, odkrył wśród rupieci Johna Dee „przydymione zwierciadło” i próbował je wykorzystać dla własnych celów. W rzeczywistości był to mocno wypolerowany kawałek obsydianu, niewątpliwie pochodzenia azteckiego. Teraz jest przechowywany w British Museum.

– Tamto zwierciadło wygląda przynajmniej oryginalnie, a te kamienie – burknął ojciec Graham, wążąc je w dłoniach – wydają się takie pospolite.

– Ma ojciec słuszość. Dla kogoś, kto nie zna ich pochodzenia, są zupełnie niepozorne. Dopóki się nie uaktywnią. Dlatego ilekroć przewozimy je z kraju do kraju, są zgłaszane przy odprawie, żeby został po nich ślad na wypadek, gdyby coś się przytrafiło osobie, u której akurat są.

– Zamierzasz wywieźć je z Anglii?

– Może.

– A powiedz, synu... Sprawdziliście, czy one są ziemskiego pochodzenia?

Pytanie księdza mocno mnie zaskoczyło, a jeszcze bardziej odpowiedź Martina:

– Wyglądają jak zwykle ziemskie kamyki – odparł. – Ale pewnie mama mówiła ojcu, że w żadnej kolekcji skał na świecie nie znalazła nic podobnego.

Ojciec Graham łakomie obmacywał jeden z kamieni.

– Skąd ona je wyciągnęła? – zapytał.

– Były przy starym egzemplarzu Księgi Henocha, który należał do rodziny. Wprawione w okładkę. W dawnych czasach często zdobiono oprawy ksiązek kamieniami szlachetnymi.

– A wiadomo, czy w innych egzemplarzach księgi też były

wstawione podobne kamienie? – wtrąciłam.

– Nie. A jeśli były, myśmy nie trafili na nie. Rodzice latami szukali innych adamantów, ale skończyło się tylko na znalezieniu odniesień. Wiesz, takich tam napomknien w podaniach, kronikach konkwistadorów i innych tego rodzaju tekstach. W folklorze amerykańskim to stosunkowo częsty temat.

– W Ameryce?

Ojciec Graham, który słuchał, bawiąc się kamieniami, włączył się do rozmowy, położywszy je przed Martinem.

– Wzmianki o adamantach – wyjaśnił – są tak samo powszechne jak o potopie, moja droga. Wiesz coś na temat opowieści o Naymlapie? W Peru jest dość znana.

– Te rzeczy raczej Julii nie interesują – wtrącił Martin.

– A właśnie że mnie interesują.

– Od kiedy? Nigdy nie słyszałem, żebyś rozmawiała o mitologii.

– Kiedyś trzeba zacząć – oświadczyłam z uporem.

Zadowolony ksiądz Graham mówił zatem dalej:

– Naymlap był tajemniczym żeglarzem prekolumbijskim, którego do wybrzeży Peru doprowadził kamień tego rodzaju. Tubylcom powiedział, że dzięki niemu mógł słuchać instrukcji swoich bogów i nigdy nie zboczył z kursu.

– Ciekawe. A orientuje się ksiądz, jaka jest najstarsza wzmianka o kamieniach?

– To akurat dokładnie wiadomo. – Uśmiechnął się. – Tu pierwsi byli Sumerowie. Najbardziej znany jest Adapa, odpowiednik naszego Adama. W jego przybyciu do świata bogów jest tyle podobieństw do przeżyć Henocha, że można prawie na pewno założyć, że byli jedną i tą samą osobą. – Milczał przez chwilę, jakby porządkował myśli, po czym kontynuował: – W starożytnych

tekstach jest mnóstwo paralelizmów tego typu. Niezależnie od kultury i szerokości geograficznej bohaterowie powieści wykonują podobne zadania i często podobne świętości. Przed laty napisałem na ten temat pracę, w której dowodziłem, że nasz rodzaj od tysięcy lat skupia się na tych samych fundamentalnych kwestiach: śmierć, kontakt z Bogiem i w mniejszym stopniu miłość oraz to, co się z nią wiąże.

– Coś podobnego! A co dokładnie ksiądz badał?

– Zajmowałem się mitologią porównawczą.

– I co ksiądz porównywał?

– No właśnie mity na temat potopu.

– Proszę mówić dalej.

– Moja droga, historia potopu jest najbardziej znaną na świecie starożytną opowieścią. I najbardziej jednorodną. Wszystkie jej wersje, czy to babilońska, czy środkowoamerykańska, opisują w zasadzie to samo i są odzwierciedleniem powszechnego atawistycznego strachu. Na przykład sumeryjski Utnapisztim mógłby być bliźniaczym bratem naszego Noego. Podobnie grecki Deukalion. Albo Manu, bohater hinduskiej „Rygwedy”, który osadził swój statek na szczycie góry, kiedy wezbrane wody zaczęły opadać. Oni wszyscy przeżyli potop, ponieważ Bóg ich uprzedził o kataklizmie i poprosił każdego, by zbudował łódź o konkretnych wymiarach. Na niej właśnie się uratowali.

– Ta łódź była wszędzie identyczna! – podkreślił Martin. – W spisanych na glinianych tabliczkach sumeryjskim „Eposie o Gilgameszu”, w którym opowiedziana jest ta historia, podane są dokładnie takie same wymiary łodzi jak w Piśmie Świętym. Obydwie opowieści różnią się tylko tym, że sumeryjska jest częścią innej: o tym, jak król Gilgamesz odwiedził Utnapisztima, jedyne



człowieka ocalałego ze świata sprzed potopu.

Pewnie brali mnie za kretynkę. Albo co gorsza, za osobę niedouczonej. Oczywiście słyszałam o „Eposie o Gilgameszu”, tyle że czasy jego powstania – około czwartego tysiąclecia przed naszą erą – były bardzo odległe od epok stanowiących przedmiot moich zainteresowań.

– Mów dalej – zachęciłam Martina.

– To bardzo ciekawa historia. Odyseja śmiertelnika Gilgamesza skłóconego z bogami, ponieważ skazali go na starzenie się i śmierć. Gilgamesz postanawia odszukać jedyne człowieka ocalałego z potopu. Okazuje się, że niejaki Utnapisztim jest tajemniczym królem, który żył kilka wieków wcześniej. Obsesyjne dążenie Gilgamesza, żeby dotrzeć do tego nieśmiertelnego i wyciągnąć z niego sekret wiecznego życia, walki z bogami i ich strasznymi stworzeniami sprawią, że w nagrodę nasz bohater dostąpi spotkania z Utnapisztimem w raju. I wtedy właśnie Utnapisztim opowiada mu o potopie jako o chwili, gdy runęły ludzkie nadzieje na życie z powodu zepsucia szerzącego się wśród mieszkańców ziemi. Według moich wyliczeń to odchylenie genetyczne musiało wystąpić mnie więcej jedenaście, dwanaście tysięcy lat po skrzyżowaniu się ludzkości z jakąś toksyczną rasą.

– Z „synami nieba”, o których mówi Henoch w księdze?

– Na pewno.

Zaskoczyło mnie, że Martin jest taki oblatany w mitach sumeryjskich. Nie sądziłam, że tak się rozwinie dzięki literaturze czytanej w wolnych chwilach.

– A w jaki sposób datowałeś te wydarzenia? – spytałam zakłopotana.

– Och, z paleoklimatologicznego punktu widzenia to żaden

problem osadzić katastrofę naturalną, jaką był potop.

– Czemu tak cię to interesuje? Nie jesteś przecież historykiem. Ani genetykiem.

– Kobieto – uśmiechnął się – przecież we wszystkich tych mitach odnotowana jest kronika pierwszej globalnej zmiany klimatycznej, jaką przeżyła ludzkość.

– I tylko dlatego się tym zajmujesz?

– Popatrz: Utnapisztim w trakcie spotkania wyjawiał Gilgameszowi, że w rzeczywistości ludzkość przed wyginięciem w wodzie uratował bóg Enki.

– To już nic nie rozumiem. Skoro bóg uratował ludzi, kto ich w takim razie skazał?

– Do tego zmierzam, *chérie*. Sumerowie opisywali Enkiego jako brata i odwiecznego rywala bóstwa, które chciało nas zniszczyć. Nazywali je Enlil. A kiedy Żydzi skopiowali tę opowieść w czasie wygnania do Mezopotamii, zmienili jego imię na Jahwe.

– No, to wcale nie jest pewne... – zaprotestował ksiądz Graham, marszcząc brwi.

– Ale najbardziej prawdopodobne. Zarówno Jahwe, jak i Enlil byli bogami zaborczymi i okrutnymi. Enlil poza tym miał obsesję na punkcie naszego rodzaju. Uważał nas za podłe hałaśliwe stworzenia i postanowił z nami skończyć tak samo jak biblijny Jahwe. Na szczęście jego brat Enki nie zgadzał się z nim i wpadł na pomysł, żeby Utnapisztim zbudował łódź, która przetrwa przygotowaną przez Enlila pułapkę. Musiała to być duża łódź w kształcie skrzyni, hermetyczna, mocna, żeby wytrzymała napór wody. Enki wyposażył ją w dwa kamienie, dzięki którym można się było z nim porozumiewać.

– Dwa kamienie... – szepnęłam.

– Gilgamesz wspomina o nich pod koniec opowieści, kiedy dopada wreszcie w raj Utnapisztima, który jak stwierdza, jest nie tylko żywy, ale także ciągle młody.

– A kamienie? – przypomniałam.

– Nie były naturalne, zostały wykonane przez bogów. Jako fizyczny dowód ich istnienia – dodał Martin szeptem. – Gilgamesz mówi, że tylko one mają moc przyzywania bogów. Dlatego używano ich wyłącznie podczas najświętszych ceremonii, kiedy moc tego, któremu oddawano cześć, wypełniała je specjalną energią, dzięki czemu były w stanie dosięgnąć niebios.

– Masz zamiar ich dzisiaj użyć? W czasie naszego ślubu? – zapytałam, widząc, do czego to wszystko zmierza.

Martin kiwnął głową.

– Zgadza się, *chérie*.

## ROZDZIAŁ 30

Benigno Fornés dokonał wielkiego wysiłku, biegiem pokonując odległość dzielącą go od mieszkalnej części pałacu arcybiskupiego. Bez tchu dopadł drzwi sekretarza arcybiskupa i łomotał w nie, póki ów poczciwiec mu nie otworzył. Dziekan na pewno nie zrobił na nim dobrego wrażenia: spocony, z latarką w garści i oczami wychodzącymi z orbit. Sekretarz przez chwilę myślał nawet, że stary kapłan postradał rozum. Fornés musiał się zaklinać, że obudził go z ważnego powodu. Wyglądał na mocno zdenerwowanego. Bez przerwy powtarzał, że jego ekscelencja bezwzględnie musi się o czymś dowiedzieć. I to jak najszybciej.

– O tej porze? – wymamrotał sekretarz.

– Błagam!... To sprawa między jego ekscelencją a mną.

Niesłuchanie ważna – odparł Fornés.

– Ważna? A dla kogo niby?

– Dla Kościoła.

Na to sekretarz się zawahał i ostatecznie ustąpił.

– Lepiej, żeby faktycznie tak było – ostrzegł. – Zadzwonię do jego ekscelencji, ale proszę pamiętać, że ksiądz ponosi całą odpowiedzialność za to naruszenie spokoju.

– Proszę się pospieszyć, błagam.

Było kilka minut przed czwartą rano, kiedy w końcu blady i

zaskoczony arcybiskup zjawił się w mieszkaniu swojego sekretarza. Juan Martos wolał to rozwiązanie. W pośpiechu przywdział ciemny strój i dopinał jeszcze koloratkę, kiedy z pytającą miną przywitał dziekana. Stary ksiądz wyglądał jak kłębek nerwów, gdy krążył tam i z powrotem po korytarzu ze złożonymi rękami, jakby pociechy szukał w modlitwie.

– O co chodzi? Cóż tak ważnego ma mi ojciec do powiedzenia?

– Proszę o wybaczenie, ekscelencjo – wyjąkał Fornés. – Szkoda czasu na gadanie. Muszę coś pokazać waszej ekscelencji.

– Pokazać? Co? Gdzie?

– W katedrze.

– Chyba jasno ojcu powiedziałem, że ma być zamknięta, dopóki nie skończy się postępowanie policyjne.

Fornés zignorował jego słowa.

– Pamięta ekscelencja znak, o którym rozmawialiśmy?

Martosowi to się nie spodobało. Wyobrażał sobie, że ojciec Benigno, oddany strażnik katedry, przyszedł z jakimś bardziej doczesnym problemem. Może z czymś związanym z nocną strzelaniną.

– Pamiętam, pamiętam... – mruknął zaskoczony. – A nie moglibyśmy poczekać do śniadania z rozmową o legendach?

„O legendach?”, pomyślał Fornés i skrzywił się.

– Niemożliwe, ekscelencjo – odparł. – Wasza ekscelencja dopiero trzy lata jest w naszej diecezji. Ja ponad czterdzieści. Muszę o czymś ekscelencji powiedzieć, natychmiast, zanim wytłumaczę, co tu się stało. Ten incydent w kościele nie był przypadkowy. Teraz wiem to na pewno...

Zaintrygowany arcybiskup podążył za starym wariatem do kościoła. Poszli tym samym korytarzem, który dziekan już

dwukrotnie przebył tej nocy, i skierowali się prosto do zaplombowanych Drzwi Złotników. Zostawiwszy za sobą ołtarz główny i minawszy transept, Fornés dotarł do miejsca, które chciał pokazać zwierzchnikowi.

– Czterdzieści lat temu, ekscelencjo, mój poprzednik opowiedział mi osobliwą historię – zaczął. – Wyjaśnił, że przez co najmniej pięćset lat ta katedra była chrześcijańskim sanktuarium położonym najdalej na zachodzie i z racji tego uważano ją za kościół na końcu świata.

Arcybiskup nic nie powiedział. Stał, słuchając uważnie. Fornés ciągnął:

– W dwunastym wieku kuria była tak przekonana, że Compostela będzie pierwszym miejscem, gdzie zostanie zauważone nadejście Królestwa Niebieskiego, że w tajemnicy postanowiono upiększyć katedrę stosownie do jej funkcji. Usunięto dotychczasowe zdobienia romańskie i zastąpiono je innymi, pasującymi do apokaliptycznej misji kościoła. I tym sposobem Portyk Chwały, ekscelencjo, stał się kwintesencją tego projektu. Z tego co wiem, przedstawione tu obrazy zapowiadają nadejście Nowego Jeruzalem, niebiańskiego miasta, które narzuci światu nowy porządek.

– No i?

– Wierzono, ekscelencjo, że ten porządek zostanie ujawniony, kiedy dojdzie do przełamania siedmiu pieczęci na tajemniczej księdze, o której mówi Apokalipsa świętego Jana. Księdze zawierającej instrukcje dla hierarchów, którzy poprowadzą nas do Królestwa Niebieskiego, gdy nadejdzie kres czasów. Oczywiście aby do tych instrukcji dotrzeć, najpierw trzeba znaleźć pieczęcie.

Arcybiskup zamrugał niedowierzająco.

– I ksiądz wierzy, że to jedna z nich?

– Ekscelencjo, to nie jest kwestia wiary. Faktem jest, że pojawiła się w naszej katedrze. I właśnie to chcę ekscelencji pokazać.

– Ależ...

– Proszę nic nie mówić. Proszę tylko spojrzeć. Ma to ekscelencja przed sobą.

Juan Martos nachylił się ku miejscu wskazywanemu przez dziekana, choć ani myślał uwierzyć w jedno choćby jego słowo. Istotnie coś tam było: równiutkie ciemne wyżłobienie, wycięte lub wypalone – nie potrafił powiedzieć – tak perfekcyjnie, że nie mogło wyjść spod ręki średniowiecznego kamieniarza. Miało kształt odwróconej litery L wielkości kartki formatu A4. Arcybiskup z całą powagą przesunął palcami po żłobieniu. I chociaż dziekan wyraźnie oczekiwał komentarza, Martos na razie wolał się nie wypowiadać. Zastanawiał się tylko, z jakiego alfabetu ten znak może pochodzić.

– To celtycka litera? – strzelił.

– Nie. Hebrajska też nie, ekscelencjo – odparł Fornés, uprzedzając jego następne pytanie. – Ani z żadnego innego alfabetu używanego przez człowieka.

– Wie ksiądz, co to jest?

Dziekan pokręcił głową bez słowa.

– Idę o zakład, że człowiek, który dziś strzelał w katedrze, mógłby odpowiedzieć na to pytanie. Według policji jedna z konserwatorek zaskoczyła go w tym miejscu na klęczkach, jakby się modlił albo czegoś szukał.

– Tego?

Dziekan przytaknął.

– Wie ekscelencja, co myślę? Że ktoś postanowił przełamać pieczęcie, o których mówi Apokalipsa, i pierwszą znalazł w naszej katedrze. Dlatego policja musi jak najszybciej złapać tego człowieka

i natychmiast przyprowadzić do nas. Trzeba koniecznie z nim porozmawiać.

Martos z nieskończonym smutkiem w oczach popatrzył na ojca Fornésa. „Biedaczysko – pomyślał. – Postradał rozum”.



## ROZDZIAŁ 31

– Drodzy moi, myślę, że powinienem na początek przytoczyć pewną opowieść.

W samo południe pięknego czerwcowego dnia ksiądz Graham zaczął nabożeństwo, w czasie którego miał nam udzielić ślubu. Staruszek jakby zapomniał o wymianie zdań z Martinem i ze mną i czułam, że szykuje się do poprowadzenia niezwykłej ceremonii. Wzrokiem drapieżnego ptaka powiódł po nielicznych gościach, którzy zdecydowali się przyjechać. Wszyscy siedzieli w trzech pierwszych rzędach ławek blisko ołtarza, o krok od krzeseł, które zajmowaliśmy z Martinem w centralnym miejscu kościoła. Z głębin mojej wyobraźni wychyły wyraźnie ich twarze, ubrania, a nawet miny.

– Lubię opowieści, wiecie? – Uśmiechnął się do nas. – Zwłaszcza stare. Ta, którą dzisiaj przygotowałem, pomoże nam zrozumieć, dlaczego zebraliśmy się właśnie tutaj. Nieszczęśliwie mało kto pamięta, że kiedy pierwsi chrześcijanie przybyli do Anglii około szóstego wieku, sądzili, że dotarli ni mniej, ni więcej tylko do ruin ziemskiego raju. Człowiekiem, który coś takiego wymyślił, był Grzegorz Wielki, jeden z czterech wielkich doktorów Kościoła, biskup Rzymu i uczyony wielkiego formatu. Jego pragnienie, żeby nawrócić Anglię, zrodziło się przypadkowo. Jako papież święty

Grzegorz często spacerował po Rzymie. W Watykanie jeszcze nie było wtedy luksusów ani wyrafinowania, to przyszło później, a papież mógł normalnie chodzić sobie w tłumie. Pewnego dnia odwiedził jeden z miejscowych targów niewolników, gdzie natknął się na grupę dzieci, które miano właśnie licytować. Wszystkie były olśniewająco piękne. Jasnowłose niebieskookie efeby o przyjemnych manierach zdawały się promienieć najczystszą dobrocią. Zaciekawiony papież podszedł do nich i zapytał, skąd pochodzą. „Jesteśmy Anglami”, odpowiedziały. On jednak zrozumiał „aniołami” i to nieporozumienie... choć może nieporozumienia wcale nie było... w każdym razie zmieniło to bieg naszej historii. Ustaliwszy mianowicie, skąd dzieci przywieziono, święty Grzegorz kupił wszystkie, wyzwolił je i postanowił, że nawróci ich ojczyznę na wiarę Chrystusową. Podjąwszy tę decyzję, posłał świętego Augustyna, żeby nauczył nas prawdziwej wiary, i zapowiedział, że odtąd te ziemie otrzymują miano Angeland. Stąd dzisiaj mamy England. Ziemia Aniołów. Otóż, drodzy moi, potomkami tamtych pierwszych Anglików jest dwoje naszych przyjaciół, których proszę teraz o zabranie głosu.

Ksiądz Graham spojrzał na obecnych znad okularów, zatrzymując przez chwilę wzrok na Sheili i Danielu, którzy siedzieli niedaleko ode mnie po lewej.

– Ci państwo – dodał – chcą coś wręczyć narzeczonemu w imieniu rodziny pana młodego. Zapraszam – ponaglił ich. – Tu, przed ołtarz.

Sheila, wystrojona w efektowny słomkowy kapelusz ozdobiony żółtymi kwiatkami, podniosła się pierwsza. Wyglądała wspaniale. Czarna suknia na ramiączkach przybrana pajetkami podkreślała biel skóry, która jaśniała w świetle padającym przez wąskie okna

kościółka. Towarzyszyła jej mgiełka zapachu perfum. Daniel podążył tuż za nią. Wiecznie rozczochrany wielkolud wbił się w tweedowy garnitur, był pod krawatem starannie dobranym do stroju, przez co wygląd miał jeszcze bardziej profesorski niż poprzedniego dnia. I ku mojemu zdziwieniu właśnie on zabrał głos.

– Ojczy, szanowni zebrani... – Odchrząknął, spoglądając po kolei na każdego. – Obawiam się, że dzisiaj także trudno odróżnić anioła od Anglika.

Roześmialiśmy się z żartu.

– Nie, nie. – Pomachał rękami przed zaróżowioną błyszczącą twarzą. – Proszę nie traktować tego jako dowcip. Jedną z najstarszych tradycji Faberów każe odczytać podczas ślubu członka rodziny fragment Księgi Henocha, w którym jest mowa o tym, jak trudno było rozpoznać anioła w pradawnych czasach. W przeciwieństwie do tego, w co niektórzy wierzą, aniołowie wcale nie są istotami z naiwnych wyobrażeń: skrzydlatymi, fruującymi jak wróble nad naszymi głowami. Nie tak jest, chłopcze?

Siedzący obok mnie Martin kiwnął głową z szerokim uśmiechem. Daniel ciągnął swój wywód.

– Co to znaczy? – szepnęłam stropiona. – Ten facet będzie nam teraz robił wykład?

– Myślałem, że lubisz mity – odparł z niejaką ironią, nie odwracając oczu od ołtarza. – Wybacz, ale poprosiłem, żeby zrobili nam małą prelekcję z zakresu angelologii.

– Ależ Martin!...

– Ciii. Posłuchajmy, *chérie*, dobrze?

Daniel spojrzał na nas, nie przerywając wystąpienia:

– Pozwolą państwo, że wyjaśnię, jaki był oryginalny wygląd aniołów. – Podniósł głos. – W ostatnich rozdziałach Księgi Henocha

opowiedziana jest przygoda Lamecha, ojca Noego, który jak wszyscy z jego rodu odczuwał wielki lęk wobec tych jasnowłosych pięknych istot potrafiących niepostrzeżenie poruszać się między ludźmi. Lamech nazywał ich Czuwającymi, ponieważ jak wierzył, po wypędzeniu Adama i Ewy z raju Bóg posłał ich na ziemię: mieli zadbać, żebyśmy już nigdy nie popadli w niełaskę. Ci szpiedzy Boga patrolowali miasta, targi i szkoły, sprawdzając, czy wszystko jest w należyтым porządku. Napominali tych, którzy łamali prawa Boże albo naruszali porządek społeczny. Krótko mówiąc, byli czymś w rodzaju tajnej policji. Szanowano ich powszechnie, póki pewnego dnia nie rozeszła się na ich temat straszna pogłoska. – Daniel uniósł krzaczaste brwi, wzmagając jeszcze rosnące zainteresowanie tym, co mówił. – Podobno niektórzy Czuwający przestawali z ludzkimi kobietami i spółdzili z nimi dzieci podobne do siebie. Toteż kiedy żona Lamecha wydała na świat syna o jasnych oczach i włosach, jej mąż zaczął coś podejrzewać. Nazwał chłopca Noe, co znaczy „pocieszenie”, i uważnie go obserwował. Lamech umarł, nie wiedząc, że Bóg wybrał tego hybrydowego chłopca i jego rodzinę do konkretnego celu: mieli uratować nas przed potopem. I Noe to uczynił, ponieważ będąc człowiekiem, rozwinął w sobie także zdolność słuchania głosu Boga. Porozumiewania się z Nim. Jak medium...

– Tak, tak – wtrącił ksiądz Graham za jego plecami, pragnąc znowu rozbawić gości i mnie i ująć nieco powagi tej mowie. – Wszystko pięknie ładnie, ale musimy odprawić ceremonię, a jeszcze nie powiedział pan o Henochu i jego księdze.

– Ano tak. Już do tego przechodzę.

Daniel Knight na sekundę zatrzymał wzrok na Martinie, jakby oczekiwał jego pozwolenia. A kiedy uznał, że je otrzymał, mówił

dalej:

– Ojciec Graham słusznie zwrócił mi uwagę. Noe ze swoimi zdolnościami mediumicznymi miał słynnego poprzednika, mianowicie patriarchę Henocha. Henoch należał do nielicznych ludzi, którzy przed wielką powodzią nawiązali bezpośredni kontakt z Czuwającymi i wiele się od nich dowiedzieli. Chociaż był prostym wieśniakiem, potrafił pozyskać ich przyjaźń. Poznał ich dziwny język, stał się ich ludzkim powiernikiem i w nagrodę znalazł się w niebie, chociaż ani nie umarł, ani nawet nie był stary. A tyle się od nich nauczył, że kiedy wrócił z tej podróży, dysponował niezwykłą wiedzą. Opowiadał, że nad ziemią wisi straszna katastrofa. Że zostało niewiele czasu, aby się do niej przygotować. Ale współcześni ignorowali jego ostrzeżenia. Właściwie nikt nie brał serio słów Henocha, póki do tematu nie wrócił jego wnuk Noe. A i wtedy, jak państwo wiedzą, nie dawano mu wiary.

– Przepraszam bardzo – przerwał mu znowu ksiądz Graham – ale mógłby pan wyjaśnić państwu, kim był Henoch i czy naprawdę istniał?

– Oczywiście. – Daniel chusteczką otarł pot, który perlił mu się na czole. – Wraz z moją koleżanką Sheilą od dawna badamy tę postać, pracujemy też nad szczególnymi kamieniami, które podobno posiadał, a przyniósł je z tej podróży do nieba. I odkryliśmy, że jego opowieść jest skopiowana z opowieści innego bohatera, który urodził się w pierwszej wielkiej cywilizacji postdyluwialnej. Mianowicie w Sumerze. W krainie, gdzie człowiek wynalazł koło i pismo, po raz pierwszy ustanowił prawo, uprawiał astronomię i matematykę. W tej historii po raz pierwszy jest mowa o aniołach. Opisywani są ze skrzydłami, ale nie dlatego, że je mają, tylko symbolicznie, na znak ich niebiańskiego pochodzenia. I tam

również oskarża się ich, że pozbawili ludzi najcenniejszego skarbu: daru nieśmiertelności. Tym bohaterem, którego rzeczywiste istnienie poświadcza znacznie więcej śladów niż w odniesieniu do Henocha, był król imieniem Gilgamesz. Podobnie jak patriarcha z tradycji hebrajskiej, on także rozmawiał bezpośrednio z bogami i przebywał w Królestwie Niebieskim z pominięciem przykrego epizodu, jakim jest śmierć. Pozwolą państwo, że pokrótce nakreślę jego wędrówkę tak, jak przedstawiona została pismem klinowym na najstarszych znanych tabliczkach.

## EPOS O GILGAMESZU

Wszystko się wydarzyło około pięciu tysięcy lat temu, w czasach po potopie.

Gilgamesz – imię jego znaczy „ten, który wejrzał w głąb” – został koronowany na króla Uruku. Jego miasto było olśniewające. Wznosiło się na wschodnim brzegu Eufratu. Ruiny Uruku odkryto w roku tysiąc osiemset czterdziestym czwartym około dwustu kilometrów na południowy wschód od dzisiejszego Bagdadu. Wykopaliska potwierdziły, że ten władca faktycznie istniał. Dziś wiemy, że był nie tylko wielkim wojownikiem, ale także filozofem. Widział, jak umierali jego rodzice i niektórzy przyjaciele, i przez to zaczęło do niego docierać, że spustoszenia czynione przez upływający czas są bardziej nieubłagane od wojny. Wszyscy bowiem, bogaci i biedni, wojownicy i chłopci, zostaną w końcu złożeni w grobie. On także. I ta świadomość przeraziła go okropnie.

Pewnego dnia postanowił się zwierzyć ze swoich obaw Szamaszowi, swojemu protektorowi. Roztropny odpowiedzialny Szamasz ulitował się nad nim. „Synu – powiedział – kiedy bogowie stworzyli ludzi, przeznaczili im śmierć, czyniąc ich nie tylko

niedoskonałymi, ale też łatwymi do manipulowania. Życie zostawili dla siebie, i tego, niestety, nie da się zmienić”. Szamasz taktownie poradził następnie Gilgameszowi, żeby o tym zapomniał i tymczasem radował się wszystkim, co przynosi mu los. „Żyj wesoło w dzień i w nocy – taka była jego jedyna rada. – Używaj, ile się da. Będziesz miał to, co sam weźmiesz”.

Nie mając innego wyjścia, Gilgamesz zastosował się dosłownie do rady i zaczął wprowadzać w królestwie prawa, które stawiały go ponad poddanyymi. Najbardziej kontrowersyjne było prawo pierwszej nocy, które pozwalało mu pojąć każdą kobietę wydawaną za męża na ziemiach będących pod jego zwierzchnością. Nie będę mówił, jak bardzo rozgniewało to lud, w każdym razie protesty poddanych zwróciły uwagę bogów, którzy po raz pierwszy skierowali wzrok na Gilgamesza, postanawiając dać mu nauczkę. Posłali na ziemię sztucznego człowieka, istotę o spizowych ścięgnach i mięśniach twardości „kamienia spadłego z nieba”, z poleceniem, by stanął z królem do walki i ukrócił jego rządy. Nazwali tę istotę Enkidu. Tymczasem wbrew wszelkim przewidywaniom Enkidu i Gilgamesz się zaprzyjaźnili. Zgodzili się, że obaj są wielkimi wojownikami, i ku zdziwieniu bogów potrafili się dogadać.

Pewnej nocy pod gwiazdami na dowód świeżo nawiązanej przyjaźni Gilgamesz zwierzył się towarzyszowi ze strachu, jaki budzi w nim śmierć. I wyjawiał mu swoje plany: w sekrecie postanowił się udać do królestwa Anu, krainy stwórców ludzkości, z zamiarem domagania się nieśmiertelności, którą według przekazów sprzed potopu miał kiedyś nasz rodzaj. Wspominano w nich imię jedyne go człowieka, który na nią zasłużył, mianowicie króla znanego pod dziwnym imieniem Utnapisztim. Gilgamesz był

przekonany, że Utnapisztim podzieli się z nim formułą życia wiecznego.

I poprzysięgli sobie obydwaj, że odnajdą Utnapisztima. Wyruszyli na wędrowkę po terytoriach, gdzie ludzie nie mieli wstępu, walczyli ze strasznymi bestiami, uniknęli niezliczonych pokus i pułapek, które bogowie stawiali im na drodze. Ale nie łudźmy się. Nie zdołaliby zrobić ani kroku w głąb tych ziem, gdyby Gilgamesz nie uzyskał dyskretnej pomocy boga Enkiego, który porozumiewał się z nim za pośrednictwem takich kamieni, jakie Julia i Martin mają teraz.

Na te słowa aż się wzdrygnęłam i dotknęłam zawieszanej na szyi malutkiej tiulowej sakiewki z moim adamantem. Jeśli Daniel chciał mnie poruszyć, w zupełności mu się to udało.

– Dzięki tym kamieniom – ciągnął, patrząc na mnie – Gilgamesz pomyślnie przeszedł przez najstraszliwsze próby. Własnoręcznie pokonał stworzenia w pancerzach, plemię ludzi skorpionów, dwa gigantyczne lwy, których śmierć przekształciła się w symbol najlepiej to objaśniający: człowiek w uścisku dwóch drapieżników pobitych siłą mięśni. Kiedy w końcu Gilgamesz dotarł do Utnapisztima w sztucznym ogrodzie w jakimś zakątku po drugiej stronie życia, starzec liczący pięć tysięcy lat zgodził się wysłuchać jego prośbę. Gilgamesz wyczerpany, niemal bez tchu, znalazł siłę, by zadać jedno tylko pytanie. Pytanie, które na jedenastej tabliczce eposu przedstawiono i na które Utnapisztim zgodził się odpowiedzieć, choć nie bez wątpliwości: „W jaki sposób uzyskałeś życie wieczne?”... Chcą państwo wiedzieć, jak brzmiała odpowiedź?



## ROZDZIAŁ 32

– Naprawdę znasz tego człowieka, mistrzu? – zapytał z niejakim lękiem chłopak, którego policzek zdobił tatuaż.

Człowiek z bujnym wąsem kiwnął głową. Wyglądał, jakby się dusił w ciasnej kawiarni La Quintana. Widać było, że próbuje zapanować nad falą emocji i wspomnień wywołanych bliskością tego faceta leżącego bez ruchu. Wasfi słusznie go uprzedzał, że jego starzy wrogowie są w mieście.

– Nazywa się Nicholas Allen, bracie – wyszeptał z wysiłkiem. – Od lat rywalizujemy, szukając czarnych kamieni.

Młody Wasfi zerknął znowu na nieprzytomnego człowieka. Wyładowanie elektromagnetyczne kasety wprowadziło go w stan katatonii, który bywał nieodwracalny. Próbował sobie wyobrazić, jakiej klasy przeciwnikiem byłby dla niego, gdyby nie uniknął starcia w katedrze. Facet skórę miał pobrużdżoną, czoło przecięte szramą, a teraz dodatkowo pod nosem brzydką ciemną plamę. Straciwszy przytomność, musiał porządnie rąbnąć o posadzkę, aż puściła mu się krew, mimo to wyglądał tak samo przerażająco jak wcześniej.

– A ona? – Szajch wyrwał go z zamyślenia, wskazując bezwładną dziewczynę, którą chłopak trzymał w ramionach. Rude włosy opadły jej na twarz, tak że trudno było ją dojrzeć przy tak słabym

świetle, jakim dysponowali. – Wasfi, na pewno ją widziałeś w katedrze?

Chłopak kiwnął głową.

– To ona, mistrzu. – I dodał: – Nie mogę zrozumieć, jak do niej dotarł przed nami...

– Poszedł tym samym tropem – wyjaśnił szajch niechętnie. – Obawiam się, że nagranie Martina Fabera nie dawało wielu innych możliwości.

– Mam z nim skończyć?

Wasfiemu twarz stwardniała. Dla niego Allen był odwiecznym strasznym wrogiem. W górach, przez które płynie Hrazdan, uczono Wasfię, że takich jak ten Amerykanin należy się wystrzegać jeszcze bardziej niż samych Stanów Zjednoczonych. Ze szkół młody Ormianin wyniósł przekonanie, że ludzie pokroju Allena są wcieleniem zła. Dlatego z przyjemnością nacisnąłby na spust i wykończył jednego z nich.

Ale szajch go powstrzymał.

– Nie – powiedział. – Niech kasetka zadecyduje o jego losie. Najwięksi przeciwnicy zasługują na godną śmierć.

Żołnierz powściągnął gniew i skierował wzrok na dziewczynę, którą wciąż trzymał w ramionach.

– A co zrobimy z nią, mistrzu?

– Sprawdź ją – polecił. – Nie chcę niespodzianek.

Wasfi posłusznie ułożył dziewczynę na podłodze. Zrewidował ją, szukając broni i niebezpiecznych przedmiotów, szajch tymczasem próbował uruchomić iPada pułkownika Allena. Na darmo. Impuls elektromagnetyczny, który wyszedł z chmury, unieruchomił cały sprzęt, toteż i urządzenia Allena nie dało się włączyć.

Przyświecając sobie latarką owiniętą pokrowcem z włókien

ołowiano-tytanowych, chłopak bez pośpiechu obmacał Julii nogi, tułów, szyję i ręce, lecz nie znalazł nic podejrzanego. Doktor Julia Álvarez była niegroźna. Z metalowych przedmiotów miała przy sobie tylko na szyi łańcuszek z krzyżykiem i płaskim wisiorkiem, które po dokładnym obejrzeniu uznał za zupełnie niewinne. Następnie wysypał wszystko z jej torebki, ułożył rzeczy według wielkości – nic z tego nie mogłoby posłużyć jako broń.

– Jest czysta – oznajmił.

– Na pewno?

– Na sto procent.

Szajch z ciekawością popatrzył na nieruchomą Julię i na rzeczy, które obejrzał jego podwładny.

– A wisiorek?

– Nic ciekawego, mistrzu.

– Pokaż.

Chłopak podał mu go bez wahania. Była to malutka srebrna płytką z wypukłym rysunkiem. Przedstawiał łódź, nad którą unosił się ptak, a dookoła biegł enigmatyczny napis: „Początek i koniec”.

Na ten widok z jakiegoś powodu twarz mistrza pojaśniała.



– Musisz się jeszcze dużo nauczyć, synu – szepnął, odsłaniając zęby w niepokojącym uśmiechu.

Wasfi spuścił pokornie głowę.

– Wiesz, co to jest?

Młody żołnierz podniósł wzrok na wisiorek, kręcąc głową.

– To wskazówka, która mówi, gdzie jest kamień – oznajmił szajch odrobinę szelmowsko. – Szkoda, że poganie nie potrafią jej odczytać.

## ROZDZIAŁ 33

W mojej podróży do krainy zmarłych coś mnie mocno zaskoczyło. Drobiazg, na który się nie natknęłam w żadnym tekście ani nawet w żadnym z dzieł sztuki opowiadających o tym, co jest po drugiej stronie, a tego typu prace od dziecka dziwnie mnie fascynowały. Chodziło mi o to, aby zobaczyć, jak się postrzega wspomnienia w świecie, w którym mózg już nie funkcjonuje i wszystkie fizyczne punkty odniesienia zniknęły. Teraz odbywało się to inaczej niż w pamięci żywych: przede mną nie przesuwwały się odległe mniej lub bardziej wyraźne wspomnienia głównych wydarzeń w moim życiu. Nie. Ja widziałam samo życie, życie tętniące i bliskie temu, które straciłam, aczkolwiek z drobną, lecz zasadniczą różnicą sprowadzającą się do perspektywy. Otóż naraz jakbym miała możliwość oglądać swoją przeszłość z innego punktu widzenia. Dokładniej. Wyraźniej. Jak gdybym przekroczywszy próg śmierci, zyskała nową ostrość widzenia i świat, w którym dotąd toczyło się moje życie, stawał się wreszcie zrozumiały, kiedy go oglądałam świeżym spojrzeniem.

Być może z tego właśnie powodu moja dusza postanowiła raz jeszcze popatrzeć na to, co zaszło podczas naszego ślubu. Chciałam wierzyć, że skoro dobiegła kresu moja egzystencja w świecie materialnym, dana mi została sposobność do prześledzenia

kluczowych chwil z mojej przeszłości, obejrzenia ich niczym nagrania z ukrytej kamery, nagrania doskonałej jakości i wiernego. „Jak oczami Boga”, pomyślałam. Tak właśnie zobaczyłam to, co teraz opowiem. To, co się stało, kiedy Daniel skończył swój zagmatwany wykład na temat Gilgamesza i Utnapisztima i jeden z naszych gości zerwał się z miejsca, po czym wybiegł z kościółka w Biddlestone.

Potulnie dałam się ponieść temu wspomnieniu.

Człowiek, który opuścił kościół, nazywał się Artemi Duchok. Był starym przyjacielem Martina przybyłym z Armenii i jak się dowiedziałam, większościowym udziałowcem dużego przedsiębiorstwa zajmującego się eksportem technologii. Oczywiście nie miałam pojęcia, że jego zdjęcie pojawiło się w prasie w dniach poprzedzających nasz ślub. „Człowiek z końca świata”, krzyczały tytuły. Wyglądało na to, że pan Duchok współtworzył osobliwy projekt nazwany Globalnym Bankiem Nasion – miał to być odporny na różne kataklizmy bunkier zbudowany w Norwegii w celu zachowania różnorodności ziemskich roślin. Martin mi wyjaśnił, że jego plan polega na wydrążeniu w wiecznej zmarzlinie archipelagu Svalbard czegoś w rodzaju „przechowalni Noego”, gdzie w temperaturze poniżej zera będzie można przetrzymywać dwa miliardy pięćset milionów nasion z pięciu kontynentów, chroniąc je w ten sposób przed ewentualną globalną katastrofą.

Przedsiębiorstwo Artemiego Duchoka miało być wykonawcą zabezpieczeń i kontroli elektronicznej tego wielkiego spichrza, chociaż w tych samych artykułach zarzucano, że firma uczestniczy także w projektach inżynierii wojskowej i nowoczesnego uzbrojenia, co zdaniem dziennikarzy kłóci się z wizerunkiem dobroczyńcy.

Pierwsze, co pomyślałam, kiedy się z nim przywitałam, to że

ubiór multimilionera geniusza nie pasuje do zasobności portfela. Pan Duchok mianowicie skrywał się za wystudiowanym wizerunkiem szaraczka. Twardo trzymał się tej roli, tak że zamienił tylko parę zdawkowych słów z resztą gości. Może czuł się odmienny od reszty.

Przyjechał sam, bez szofera ani ochroniarzy. I może z powodu smagłej cery albo sumiastych wąsów wolał się trzymać z tyłu, nie zwracając na siebie nadmiernej uwagi, ze wzrokiem wlepionym w wyświetlacz telefonu komórkowego.

Nikt zatem nie zauważył, że kiedy Daniel zakończył swoją przemowę, Artemi Duchok złapał komórkę i ukradkiem wyniósł się z kościoła. Ku mojemu zdumieniu w stanie *post mortem* mogłam bez przeszkód go podglądać – nigdy by mi nie przyszło do głowy, co będzie się działo.

Otóż dyskretnie opuściwszy kościół, Duchok skręcił na cmentarzyk i z telefonem w kieszeni udał się na parking. Migacze jego bmw rozbłysły, kiedy otrzymały sygnał z pilota. Po otwarciu klapy bagażnika ukazała się jego zawartość – mocno pospolita jak na wóz wart pięćdziesiąt tysięcy funtów: sfatygowany kilof i łopata oblepione błotem oraz beżowa torba sportowa, którą Ormianin zdecydowanym ruchem zarzucił na ramię. Minutę później zdjął płaszcz, marynarkę i krawat i w samej koszuli powiódł wzrokiem dokoła, jakby się upewniał, że nikt go nie śledzi. Był jednak sam. Z siedmiu sąsiadujących z kościołem domów o murach obrośniętych wiciokrzewem nie dochodził żaden znak życia. Wszystkie miały pozamykane okiennice, w pobliżu nie było żywego ducha.

Co on wyczynia? – zaniepokoiłam się.

Ledwie znalazł się przed zewnętrzną ścianą absydy, zrobił coś dziwnego: postawił torbę na ziemi i zaczął z niej wyciągać różne

elementy stroju roboczego. Najpierw nałożył sobie na twarz maseczkę, następnie na ubranie naciągnął granatowy kombinezon bez żadnych napisów ani symboli, poplamiony za to błotem. Upewnił się, że gumki, które włożył, dobrze przylegają do spodni, wziął rozkładaną łopatkę, jakiej używają wspinacze wysokogórscy, i zerknął na zegarek. Miała wrażenie, że mu się spieszy. Przed nim rozwierał się dół o boku metra i równie głęboki – skądś wiedziała, że został wykopany ubiegłej nocy. Dziwne. Ściany miał nierówne, pokryte wilgotnym błotem i kamieniste. I akurat w trakcie swojego ślubu, za plecami wszystkich, łącznie ze swoim przyjacielem Martinem, Duchok zamierzał dokończyć kopanie, jakby szukał czegoś bardzo ważnego i musiał to robić akurat teraz.

Nie namęczył się, aby dotrzeć do tego, co tam było zakopane. Wystarczyło pięć czy sześć ruchów łopata. I z całą pewnością nie był zaskoczony tym, co odsłonił. Na pierwsze zgrzytnięcie metalu o metal w ogóle nie zareagował. Jakby wiedział, co tam się znajduje.

Najpierw pomagając sobie łopata, następnie rękami, Artemi Duchok odsłonił boki ołowianej skrzynki wielkości szuflady kuchennej. Na metalu, z którego ją wykonano, widniały plamy i nierówności, nadając jej wygląd zdecydowanie stary. Ze swojego punktu obserwacyjnego mogła stwierdzić, że nie ma żadnych zawiasów, zamka ani niczego, co by pozwalało ją otworzyć. Nie widziała również zdobień ani napisów, w ogóle odnosiła wrażenie, że ten, kto ją zrobił, pieczołowicie zadbał o to, aby wilgoć nie zaszkodziła zawartości.

Jednakże przed wyjęciem skarbu z dołka Duchok się zawahał. Zmienił rękawice z gumowych na inne, jakby powleczone metalem, mocniejsze, i okręcił skrzynkę elastycznymi taśmami. Kiedy się



upewnił, że znalezisko nie spadnie, ostrożnie wydobył je na powierzchnię i postawił na ziemi.

To, co następnie zobaczyłam, zdumiało mnie ogromnie. Jeszcze się zastanawiałam, dlaczego akurat to wszystko oglądam po śmierci, kiedy ujrzałam, jak Artemi Duchok podważa dłutem górną część skrzynki. Gdy wieko ustąpiło, rozszedł się tak silny zapach amoniaku, że Duchok musiał zakryć sobie twarz dłonią. Ze skrzynki zaczął się wzbijać ku niebu ledwie widoczny słup oparów. Ormianin mruknął coś niezrozumiale, lecz nie sprawiał wrażenia wystraszonego. Zajrzał do skrzynki i zadowolony odjął rękę od twarzy – wtedy spostrzegłam, że wąsy unoszą mu się w uśmiechu.

Niestety, nie udało mi się przybliżyć na tyle, by zobaczyć, co go tak ucieszyło. Ledwie się domyślałam nieregularnych zarysów ciemnej chropowatej powierzchni. Czegoś w rodzaju płyty tej wielkości co skrzynka, pokrytej żłobieniami, które chyba tworzyły część jakiegoś rysunku geometrycznego. I niewiele więcej zdołałam dojrzeć. Zasłaniające mi widok plecy Duchoka, który czym prędzej przeniósł skrzynkę pod środkowe okno absydy, nie pozwoliły mi zaobserwować, jak się obchodzi z tym czymś. Ale byłam pewna jednego: ten facet wiedział, jak to robić.

– *Sobra zol ror i ta nazpsad!* – wyszeptał naraz w języku, którego nie rozpoznałam. – *Graa ta malprag!*

Pan Artemi Duchok przestał być szaraczkiem, którego dopiero co poznałam. Zrzucił maskę pospolitości, teraz oczy mu błyszczały iście nieludzkim światłem.

– *Sobra zol ror i ta nazpsad!* – powtórzył. Jego głos zadudnił w całej okolicy.

I wówczas coś się stało. Kiedy po raz drugi wypowiedział te słowa, wydało mi się, że wewnątrz skrzynki pojaśniało i ku niebu

wystrzeliła krótka smuga blasku. Jak błyskawica. Mocna i trwająca mgnienie oka – wygięła się w łuk nad ołowianą skrzynką zawierającą źródło tego światła, po czym skierowała się ku witrażowi, za którym znajdował się ołtarz, a przed nim my, Martin i ja, czekający, aż kapłan udzieli nam ślubu.

Przełknęłam ślinę. Przez chwilę miałam wrażenie, że facet przebudził to coś w skrzynce. Że uczynił to, wypowiadając stare zaklęcie. Coś w rodzaju „hokus-pokus”, które wlało energię w nieożywioną materię niewiedzącą, że może ożyć. Nigdy – z wyjątkiem tamtego wieczoru z Sheilą Graham przed uroczystością w Biddlestone – nie widziałam, żeby ktoś coś takiego zrobił.

Kim jest, do diabła, Artemi Duchok?

## ROZDZIAŁ 34

Kiedy inspektor Figueiras wcisnął pedał gazu swojego peugeota 307, by wjechać na ostatnią pochyłość dzielącą go od plaza de la Quintana, poczuł, że dziewięćdziesięciokonny silnik traci moc i przestaje ciągnąć.

– Co jest, do ciężkiej cholery? – warknął, waląc ręką w kierownicę.

Obroty jeszcze raz się zwiększyły, po czym silnik zarzęził i szarpnął, jakby chciał się przypodobać kierowcy, lecz ostatecznie zgasł.

Na szczęście przestało padać.

Inspektor zaparkował wóz przy chodniku i resztę drogi postanowił pokonać pieszo. Miał naprawdę kupę roboty. Tego amerykańskiego szpiega. Może nawet dwóch. Kamienie wielkiej wartości. Strzelaninę w katedrze i kobietę, której groziło niebezpieczeństwo. Jeżeli komendant się nie mylił, dziewczyna, która przeżyła incydent w katedrze, powinna natychmiast otrzymać ochronę policyjną, przynajmniej dopóki nie zostanie wyjaśnione to zamieszanie. I jakby nie dość było przeszkód, doszła jeszcze ta przeklęta burza. Prawdopodobnie jej ładunek elektryczny rozrzedził powietrze nad Santiago, ponieważ od dobrej chwili z ludźmi, których zostawił do pilnowania konserwatorce, nie mógł

się połączyć, a i prądu jakoś ciągle nie było.

Figueiras z odrazą poprawił na nosie krzykliwe okulary, ruszając w drogę. Ostatni odcinek zdecydował się przebyć ulicą, przy której mieścił się wydział medyczny, zostawiając za sobą malowniczy łuk pałacu arcybiskupiego i zamknięte o tej porze sklepiki z pamiątkami. Szedł tak zaabsorbowany problemami i skupiony na tym, by nie zasnąć, że w ogóle nie zwrócił uwagi na śmigłowiec, który wciąż stał na placu przed katedrą. Ale gdy skręcił na plaza de la Inmaculada, zmęczenie nagle mu przeszło jak ręką odjął. Oto dwaj odziani na czarno ludzie wyszli właśnie z katedry drzwiami od strony calle de la Azabacherí a i oddalali się zwawym krokiem. Mimo pory i ciemności panujących w tej części miasta rozpoznał ich natychmiast.

– Proszę księdza! Ekscelencjo! – zawołał. – Coś się dzieje? Co księża robią na ulicy o tej porze?

Arcybiskup Martos rozpromienił się na jego widok.

– Pan inspektor! – Uśmiechnął się. – Jak dobrze się składa, że pan tu jest.

– Naprawdę?

– Jakby pana niebiosa zesłały. Ksiądz dziekan wyciągnął mnie właśnie z łóżka, żeby mi pokazać coś, co pańscy ludzie znajdą w pobliżu miejsca strzelaniny. Nikt z nas wcześniej tego tam nie widział. Prawda, ojcze? – zwrócił się do księdza Fornésa.

Szczupła twarz Benigna Fornésa jeszcze mocniej się ściągnęła, jakby duchowny chciał zniknąć. Nigdy nie przepadał za inspektorem Figueirasem.

– O co konkretnie chodzi? – zwrócił się do niego policjant.

– No więc... – Dziekan się zawahał. – Pamięta pan, gdzie się zaczęła strzelanina?

– Pamiętam, koło *campus stellae*. I co?

– Otóż jeden z bloków tej ściany został uszkodzony i...

– Weszli księży na teren odgradzony przez moich ludzi?

Pytanie inspektora sprawiło, że obydwaj poczerwienieli.

– Ojciec Fornés próbuje panu powiedzieć, że na tym murze coś się pojawiło – wyjaśnił arcybiskup. – Znak. Drogi ksiądz dziekan zauważył go chwilę temu podczas obchodu katedry i uważa, że ma to związek z wieczornym incydem.

– Znak? – Antonio Figueiras nie wyglądał na szczególnie poruszonego tą informacją. – Sądzą księży, że pociski zostawiły ślady na murze?

– Nie, to nie tak... – wtrącił dziekan nieprzyjemnym tonem. – Uważam, że człowiek, który wtargnął do katedry, szukał czegoś konkretnego. Takiego znaku nie da się zrobić ot, tak. Uważam, że ten człowiek go odsłonił i musiał zostawić odkryty. Nie miał czasu, żeby na powrót go zamaskować.

– Poważnie? Jeśli ksiądz chce, załatwię księdzu odznakę i poprowadzi ksiądz za mnie dochodzenie – burknął inspektor.

Fornés już otwierał usta, by odpowiedzieć, lecz ugryzł się w język.

– A nie sądzi ksiądz – ciągnął Figueiras – że intruz mógł poszukać tego znaku w godzinach, kiedy katedra jest otwarta dla zwiedzających? Że nie musiał robić takiego rabanu?

Pytanie zabrzmiało co najmniej impertynencko.

– Pan nie jest człowiekiem wiary – odparł dziekan. – Nigdy pan tego nie zrozumie.

– Czego nigdy nie zrozumie?

Figueirasowi zabłysły oczy. W mieście tak podporządkowanym sprawom religijnym jak Santiago de Compostela dyskusja

z przedstawicielami kurii arcybiskupiej sprawiało mu osobliwą przyjemność.

– Ten znak nie wyszedł spod ręki człowieka.

– Ach tak!... No to jesteśmy w domu.

– To znak aniołów apokalipsy. A człowiek, który go odsłonił, wzywał ich w naszym kościele.

– Ojcie Benigno – napomniał go arcybiskup. – Niechże ojciec da spokój.

Inspektorowi pojaśniała twarz.

– Aniołów apokalipsy, powiedział ksiądz?

Benigno Fornés zacisnął pięści, wyczuwając szyderstwo.

– Może pan sobie myśleć, co chce – fuknął. – Ale jak ziemia zadrży, zobaczy pan więcej takich znaków. Antychryst zjawi się na ziemi, a ogon bestii strąci z nieba gwiazdy. Pan już wtedy nie będzie żył.

– Ojcie! – powściągnął go arcybiskup teraz już wystraszony. – Proszę zamilknąć.

Dziekan wygłosił ostrzeżenie z takim przekonaniem, że inspektor cofnął się o krok. Uśmiech znikł mu z ust, choć w gruncie rzeczy Figueiras nie przejął się pogroźkami starego kapłana. Naraz jednak poczuł, że ziemia drży mu pod nogami. I wcale nie było to dziełem wyobraźni. Szum najpierw słaby, potem mocniejszy, w końcu ogłuszający wzbił się z ulicznego bruku w niebo, wprawiając w osłupienie trzech mężczyzn o świtaniu.

Rozzłoszczony inspektor uśmiechnął się, kiedy zidentyfikował ten dźwięk.

Śmigłowiec!, pomyślał, szukając go wzrokiem między wieżami katedry.

## ROZDZIAŁ 35

Kiedy Artemi Duchok wrócił do kościoła, ksiądz Graham skończył czytanie z kontrowersyjnej Księgi Henocha i oddawał właśnie głos naszym gościom. Przyszła kolej na Sheilę. „Strażniczka Graala” zdawała się niecierpliwie czekać na chwilę, gdy będzie mogła wygłosić mowę przygotowaną na polecenie Martina. I przystrojona w ten swój niesamowity kapelusz podsumowała opowieść z „Eposu o Gilgameszu”, wyjaśniając, że spisany na tabliczkach tekst z całą pewnością zainspirował główne passusy Henocha. Obydwa teksty razem należy uważać za jakby najstarszą kronikę naukową świata.

– Żeby ją zrozumieć, trzeba się wczuć w alegoryczny sposób myślenia naszych praprzodków – oznajmiła. – W świecie pozbawionym języka technicznego jedynym instrumentem, który pozwalał opisać rzeczywistość, były metafory.

Siedzący obok mnie Martin był jak w ekstazie. Zachwycony, że własny ślub przeobraził w coś na kształt pouczającej lekcji starożytnej mitologii. Angelologii, jak powiedział.

– Tak... – ciągnęła Sheila, wodząc po gościach stanowczym wzrokiem i zatrzymując go na nowo przybyłym. – Domyślam się, że chcieliby się państwo dowiedzieć, co Utnapisztim odpowiedział Gilgameszowi na pytanie, czy on także mógłby zyskać nieśmiertelność. Mam słusność?

Przytaknęliśmy wszyscy.

– Streszczę państwu sumeryjską wersję mitu – zaczęła Sheila modulowanym głosem jak prawdziwa profesjonalistka.

## OPOWIEŚĆ UTNAPISZTIMA

Wiele wieków przed przyjściem na świat Gilgamesza Utnapisztim rządził innym dużym miastem, Szuruppakiem, którego rzeczywiste istnienie potwierdziły wykopaliska. W okresie jego największej świetności istniały już pierwsze cywilizacje w Afryce i Azji. W tamtych czasach, przed potopem, bóg Enlil postanowił zrealizować swój plan: wykończyć nasz rodzaj. Był rozczarowany ludzkością, która zesła ze słusznej drogi. Jak biblijny Jahwe. I nie bez racji: byliśmy nieposłuszni, nie poddawaliśmy się jego woli, a przede wszystkim Enlil uważał, że jesteśmy równie hałaśliwi jak nieustępliwi.

Aby nas zniszczyć, Enlil wykombinował tak okrutny sposób, że kazał innym bogom przysiąc, iż nie wyjawią tego żadnemu śmiertelnikowi. Dla niego sednem problemu były związki bogów i „synów człowieczych”. Takie wymieszanie, twierdził, doprowadziło do zepsucia naszego rodzaju. Staliśmy się przez to ambitni, nieposłuszni i co najgorsze, rosła nasza siła i inteligencja. Zaczynaliśmy za bardzo przypominać jego plemię, toteż najpierwszy wśród bogów, pan nieba, wiatru i burz, postanowił zapobiec tak groźnemu awansowi genetycznemu. Rozwiązanie przyjął radykalne: zamierzał zesłać na świat globalny kataklizm, który miał nas unicestwić na zawsze.

Tylko jeden bóg sprzeciwił się temu planowi: Enki, brat Enlila. Ten bóg miał o nas lepsze mniemanie. Po części jemu zawdzięczaliśmy ekspansję na ziemi. Właśnie Enki posłał do nas



Czuwających i upoważnił ich do płodzenia potomstwa z naszymi kobietami. Pragnął udoskonalić nasz rodzaj i wyedukować nas. Ale kiedy stały się widoczne pierwsze efekty tego i pojawiły się złożone społeczeństwa ludzkie, Enlil uznał, że należy nas zniszczyć. Widział w nas potencjalnych wrogów. Istoty inteligentne, które wcześniej czy później zaczną jemu dorównywać.

Enki wpadł w rozpacz. Jak zapobiec zniszczeniu ludzkości, nie zdradzając własnego brata, pierwszego wśród bogów? Jak wystąpić przeciw swojemu plemieniu, nie szkodząc mu?

Niedługo przed godziną W, kiedy w atmosferze ziemskiej dawały się już wyczuć pierwsze symptomy rozregulowania, łaskawy Enki znalazł rozwiązanie. Wiedział, że nie może otwarcie ostrzec Utnapisztima, złamałby bowiem przysięgę. Ale co by było, gdyby człowiek „przypadkiem” dowiedział się o planach jego brata? Jak pomyślał, tak zrobił. Nasz dobroczyńca wybrał najwyższy mur w centrum miasta i przyczaił się za nim w nadziei, że król będzie tamtędy przechodził. Kiedy faktycznie się zjawił, Enki odegrał rozmowę, która zaalarmowała Utnapisztima:

– Chatko, chatko, ścianko trzciniowa – zaczął donośnie Enki pod ścianą. – Niech Utnapisztim dom swój rozbierze i korab zbuduje. Niech porzuci mienie i szuka życia. Niech znienawidzi bogactwo, a ratuje życie. Niech zabierze na korab nasiona wszystkiego, co żyje na ziemi...

Utnapisztim natychmiast rozpoznał głos boga i zrozumiał, że powinien go posłuchać. Wypytał go, jak ma zbudować łódź, bo nigdy tego nie robił, po czym wrócił do pałacu. W krótkim czasie wybudował ogromną łódź bez dziobu i rufy, bez pokładu i masztów, za to obitą metalem, a na głębokiej wodzie unoszącą się jak skrzynia. Na dwunastej tabliczce „Eposu o Gilgameszu” niewiele

się pisze o późniejszym strachu, jest natomiast mowa o burzy trwającej wiele nocy i dni. Wody zalały wtedy królestwo Szuruppaku, a załogę monarchy wprawiły w skrajną rozpacz. Gorszy los spotkał tych, którzy nie znaleźli się w łodzi. Wszyscy się utopili, gdy ziemia znalazła się pod wodą.

Kiedy minęło najgorsze, skrzynia z uratowanymi osiadła na szczycie góry. Podobno wisiała tuż nad przepaścią, kołysząc się nad pustką. I tak przez siedem dni czekali, nie mając odwagi postawić nogi na szczycie, aż w końcu król Utnapisztim rozkazał opuścić korab i zaludnić ziemię, kiedy się odsłoniła. Wtedy zaczął się rodzić, a raczej odradzać nasz rodzaj.

Sheila popatrzyła na Martina i na mnie.

– Właściwie ta opowieść jest prezentem dla państwa – rzekła do gości tonem niemalże kapłanki. – Para, która dzisiaj się połączy węzłem małżeńskim, to potomkowie tamtego żeglarza i jego rodziny. Oboje są dziedzicami wymieszanej krwi ludzi i bogów. I dzisiaj, stosując się do tamtego nakazu, gotują się do kontynuowania zamierzenia Enkiego. Oby nigdy nie brakło ludzi na powierzchni ziemi. Przyczyniajcie się do trwania kodu genetycznego Czuwających.

– Nadeszła teraz pora, by przypieczętować wasz związek – odezwał się podekscytowany Daniel, który cały czas stał koło księdza Grahama. – Macie kamienie?

Przytaknęliśmy oboje.

Daniel czekał, aż je wymienimy, kiedy z Martinem podawaliśmy sobie ręce.

– Musicie wiedzieć, że synowie nieba wręczali swoim połowicom kamienie takie jak te – powiedział okultysta, podnosząc je, aby wszyscy mogli zobaczyć. – Były symbolem związku ich świata, raj,

ze światem, w którym chcieli mieszkać.

– W Piśmie Świętym często są wzmianki o tych kamieniach. – Stary ksiądz dość gwałtownie wszedł Danielowi w słowo. – Mojżesz otrzymał dekalog wyryty na dwóch dużych płytach. Nawet patriarcha Jakub zasnął na kamieniu, dzięki czemu zobaczył drabinę, którą aniołowie wędrują z nieba na ziemię i z powrotem. Wasze kamienie pochodzą więc z tamtych odległych czasów i nadal pełnią symboliczną funkcję łącznika między tym, co jest na górze, i naszym światem.

– Pamięta ksiądz, co powiedział Jakub, kiedy zobaczył tę drabinę? – wtrącił Daniel tonem pytającym, lecz sam udzielił odpowiedzi: – „Jest to dom Boga i brama nieba”. Co oznacza, że kamień otworzył niewidzialną dotąd granicę, która oddzielała Królestwo Ojca i nasz świat.

Sheila dodała uroczyście:

– Wasze kamienie są kluczami pozwalającymi wejść do tego Domu. Zawsze o tym pamiętajcie i chroncie je choćby za cenę własnego życia, jeśli będzie trzeba.

Ksiądz Graham wyszedł przed Sheilę i Daniela, którzy wciąż byli z nim przy ołtarzu, i podniósłszy ręce nad głowę, poprosił, żebyśmy wstali. Czułam, że nie ma ochoty usłyszeć już ani słowa.

– Nadeszła chwila – rzekł, przejmując znowu kontrolę nad przebiegiem ceremonii. – Martinie Faber, powiedz przed swoim kamieniem ślubnym, czy chcesz pojąć za żonę Julię Álvarez, ludzką córkę, i przyrzekasz chronić ją przed biedą i hańbą, póki nie dopełni się wasz los?

Niebieskie oczy Martina rozbliły przy formule użytej przez Grahama. Powiedział „tak”.

– A ty, Julio, czy przed kamieniem świętego związku

małżeńskiego bierzesz sobie za męża Martina Fabera, syna Ojca Wiecznego, i przyrzekasz trwać u jego boku nawet w obliczu wrogów światła, wspierać go i pocieszać w mrocznych dniach, które nadchodzą?

Po plecach przebiegł mi dreszcz.

Zauważyłam drapieżny wzrok księdza za szklami okularów.

– Przyrzekasz? – ponaglił mnie.

– Przyrzekam.

– W takim razie – powiedział, wzięwszy adamanty z rąk Daniela i trzymając je nad naszymi dłońmi – biorę na świadków te przedwieczne kamienie. *Lap zirdo noko Mad, hoath Iaida*. Będą potwierdzały, że idziecie właściwą drogą. – Mówiąc to, uroczyście nam je wręczył.

To była kulminacyjna chwila tego dnia.

Kiedy poczułam kamień na dłoni, serce zabiło mi szybciej. Był ciepły i poruszał się jak owad, który rozpaczliwie pragnie odfrunąć. Boże drogi – pomyślałam. – Uaktywnił go! Nic się jednak nie wydarzyło.

Mój adamant przestał się wiercić, kiedy zacisnęłam na nim palce. Tyle że zaraz subtelnie, prawie niezauważalnie zaczął mi świecić w dłoni. Rozświetlał ją leciutko od środka, co nie było nieprzyjemne, wydzielał jakby rozbłyski ze swego jądra, pulsujące w równych odstępach czasu i o zmiennym natężeniu, by nas nie oślepić. Oszołomiona po chwili odkryłam coś jeszcze. Coś, czego poprzedniego wieczoru u Sheili nie widziałam i sądząc po zdumionej minie Martina, przysięgłabym, że i on oglądał to po raz pierwszy: ilekroć kamień rozbłyскиwał, pod jego powierzchnią pojawiał się jakby cień o niezmiennym kształcie. Przypominał literę. Coś w rodzaju M, tylko bardziej zaokrąglone od góry.

Wyglądało to mniej więcej tak: M.

– *Zakar, uniglag od imwamat pugo plapli ananael kaan.* Odtąd jesteście mężem i żoną – wygłosił ksiądz Graham nieświadom cudu.

Od tamtego dnia nigdy już nie zobaczyłam żadnego znaku na adamencie.

## ROZDZIAŁ 36

Nagle Nicholas Allen otworzył oczy.

– Duszę się!... – wykrztusił. – Powietrza...

Przebudzenie nie było przyjemne.

Pułkownik instynktownie uniósł ręce do piersi i uderzył się mocno, by zmusić płuca do pracy. Gwałtowny ruch wywołał nieopisany ból. W jednej sekundzie panika w nim wzrosła. W okolicy serca poczuł jakby spazmatyczny skurcz. Pomacał sobie tę część klatki piersiowej, szukając krwawiącej rany. Nie znalazł jej. Koszulę miał suchą. Resztę ubrania także. Kaszlnął. Złapał się za brzuch i wyraźnie cierpiąc, z nadludzkim wysiłkiem zdołał usiąść.

Najpierw się zdziwił.

– Boże!

Ktoś ułożył go na podłodze, rozbroił – swoją broń widział w pobliżu – i zostawił jak zepsutą zabawkę na zimnych płytach posadzki. Nie pamiętał, gdzie jest, przypomniał sobie, dopiero gdy w mroku rozejrzał się dokoła i zobaczył nieruchomego kelnera.

– Co... co się stało?

W niedużym lokalu panowała cisza. Tylko blade oświetlenie wskazujące wyjście ewakuacyjne rozpraszało ciemność i pozwalało rozróżnić zarysy sprzętów. I chociaż coś mu mówiło, że są z

kelnerem sami i nie ma już tego, co ich powaliło, mimowolnie mięśnie mu się napięły. Podobnie jak nerwy twarzy, kiedy powtórzyło się drzenie, które go obudziło. Było tak silne, że gdyby akurat w tej samej chwili nie włożył ręki do wewnętrznej kieszeni marynarki, przesyłoby mu chyba klatkę piersiową.

Dopiero kiedy poczuł gładki dotyk swojej komórki, uspokoił się. Jak mogłem być taki głupi?

I niewiele myśląc, odebrał połączenie.

– Allen?... Słyszysz mnie pan?

Pułkownikowi zakręciło się w głowie. Aż się zachwiał.

Odnótował, że kości ma zeszytywniałe z zimna. Telefon także był bardzo zimny.

Jak długo był nieprzytomny?

– Pułkowniku Allen!... Odezwijcie się!

Słyszając po raz drugi swoje nazwisko, potężny mężczyzna wreszcie zareagował. Zacisnął mocniej palce na wypasionym irydium 9555 z możliwością połączeń satelitarnych i odchrząknął, próbując odzyskać głos.

– Tu Nick Allen... – wykrztusił.

– To wy, pułkowniku?

– Tak jest – potwierdził, krzywiąc się z bólu.

W końcu znalazł drobne uszkodzenie ciała. Na lewym przedramieniu. Miał krwiak. Miarowe popiskiwanie uświadomiło mu, że bateria telefonu nie wytrzyma długo.

– No nareszcie! Mówi Owen. Gdzie się pętacie? Co tam się dzieje? Już godzinę próbuję się dodzwonić. Godzinę!... Mieliście wyłączoną komórkę. Satelity nie mogą was namierzyć. Co z wami?

W porządku?

– Tak jest. Myślę...

Niemal czuł na twarzy urywany oddech Michaela Owena naprężonego za biurkiem, czerwonego ze złości, zaciskającego palce na telefonie.

– Na pewno? – W głosie dyrektora zabrzmiała nieufność. – Gdzie jesteście?

Allen powiódł wzrokiem dokoła, starając się przypomnieć sobie, co do diabła się stało. Obudził się na podłodze kawiarni La Quintana z łupaniem w całym ciele łącznie z głową, która dosłownie mu pękała. Z wysiłkiem wziął się w garść i sięgnął po broń leżącą niedaleko. Wtedy potwierdziły się jego najgorsze obawy: kiedy leżał nieprzytomny, ktoś tu był. Opróżnił magazynek i grzebał w portfelu. Po iPadzie nie było śladu, a zawartość skórzanej walizeczki leżała porozrzucana na podłodze, jakby gruntownie wszystko przetrząśnięto.

I coś jeszcze zauważył. Coś, co go dobiło.

Julia Álvarez zniknęła.

– Która... która godzina? – jęknął.

– Godzina?... Do cholery, pułkowniku! W Hiszpanii prawie wpół do szóstej rano. A wiecie, która jest w Waszyngtonie?

Pułkownik przełknął ślinę.

– Wpół do dwunastej w nocy! – huknął Owen. – Allen, gdzieście się podziewali przez ostatnie godziny?

Nick nie odpowiedział. Był zdrętwiały. Sponiewierany.

I w ustach miał Saharę.

– Podajcie swoje koordynaty, pułkowniku. Zaraz mam zebranie i muszę wiedzieć, gdzie jesteście.

– Kurwa mać... – mruknął Allen, szukając punktu podparcia.

Lewa ręka ugięła się, gdy spróbował się na niej wesprzeć. – Zdaje się, że nam ją zwinęli.



– Co?... – Na kilka sekund głos po drugiej stronie zamilkł. – Co chcecie powiedzieć, pułkowniku?

Nick się wyprostował, walcząc z falą mdłości, która podeszła mu do gardła. Zamiast żołądka miał węzeł, bolała go stara blizna na czole, w głowie mu się mąciło i co najdziwniejsze, wszystko to wydawało mu się dziwnie znajome.

– Pana... przyjaciele, szefie – wybełkotał, okraszając te słowa ironicznym prychnięciem, co nie przeszło niezauważone. – Byli tu pana starzy przyjaciele. I zabrali żonę Fabera.

– Ale ki diab...

Owen nie zdążył dokończyć zdania. Litowa bateria komórki jego agenta w Hiszpanii wyczerpała się do cna. Jednakże dyrektor największej agencji wywiadowczej na świecie wiedział, co ma zrobić: powiadomić swoich ludzi w ambasadzie w Madrycie. Już oni odnajdą Allena. I uwiną się z tym raz-dwa.

## ROZDZIAŁ 37

Nigdy się nie dowiem, jak długo przebywałam po tamtej stronie. Ani dlaczego powtórnie trafiłam w otchłań ze światłem, przez które raz już przeszłam. Wiem tylko – i to wspomnienie będzie mi towarzyszyć do końca moich dni – że kiedy wróciłam do swojego ciała, czułam się źle. Bardzo źle. Nagle błogostan, którego doświadczałam, rozwiązał się bez śladu. Wyparowała moja władza nad czasem. Zdawało mi się, że mózg, bez którego już się obchodziłam, będący częścią mojej dawnej powłoki fizycznej, ponownie otworzył się na przepływ prądu i uruchomił wszystkie zakończenia nerwowe przewodzące ból.

Pierwsze sekundy były naznaczone nieopisanym strachem.

W głowie mi huknęło. Myślę, że przez to właśnie rozpoczął się mój powrót do życia. Przez całe ciało przebiegły mi jakby dźgnięcia, od których wszystkie mięśnie się napięły. To jednak był dopiero początek. Zaraz bowiem poczułam miliony szpilek kłujących mnie w regularnych odstępach czasu, jakby lodowych igiełek, które wbijały się coraz głębiej. Boże!... Potem przyszła kolej na płuca. Napełniały się powietrzem coraz bardziej, a ja nic nie mogłam na to poradzić. I każdy wdech powodował, że paliły żywym ogniem.

Zapragnęłam ponownie umrzeć. Żeby dłużej tego nie czuć. Ale mojemu życzeniu nie stało się zadość.

Nie wiem, jak długo trwała ta męczarnia. Pewna jestem co do jednego: zanim się skończyła, wiedziałam, że żyję. Że wróciłam. I że przyjdzie mi znowu walczyć.

W tamtych chwilach różne głupie myśli kłębiły mi się w głowie, lecz tylko jedna nie znikwała: ostatni obraz, jaki zarejestrowałam, zanim się „wyłączyłam”. Ten, który widziałam dokładnie w momencie, gdy umarłam i wpadłam w objęcia wspomnień. Mianowicie profil mężczyzny, który przyjechał do Santiago wyłącznie po to, aby mi powiedzieć, że Martin został uprowadzony w Turcji i jego porywacze dybią teraz na mnie. Jego zdaniem zamierzali odebrać mi coś, co gdzieś było, lecz ja nie wiedziałam gdzie.

Kamień Johna Dee.

Cholera jasna.

Kamień, który przyzywa anioły.

Otumaniona, nie mogąc nawet otworzyć oczu, wsunęłam ręce we włosy i przeciągnęłam przez nie palcami. Ten gest odziedziczyłam po babci. Czochranie się i przeczesywanie włosów palcami zwykle pozwalało mi odzyskać panowanie nad sobą. Tylko że tym razem nie na wiele się to zdało. Będę potrzebowała prysznic i porządnego śniadania, by zacząć jasno myśleć. Już pragnęłam jednego i drugiego.

No to weź się w garść, rozkazałam sobie. I otworzyłam oczy.

Wielkie nieba.

Nie potrafiłabym powiedzieć, co mnie bardziej przestraszyło: stwierdzenie, że nie jestem w La Quintanie, czy odkrycie, że ktoś mnie posadził prosto i przypiął do oparcia fotela, z którego widziałam jedynie ścianę ciemnych skłębionych chmur.

Przed moimi oczami przesunęła się czyjaś ręka.

– Dobrze się czujesz? Masz mdłości? – odezwała się zjawa.

Wydawało mi się, że trzyma w ręce małą strzykawkę.

I mówiła jakimś takim stłumionym głosem. Jakby syntetycznym.

Kiedy przestałam się na tym koncentrować, zauważyłam, że zjawa po prostu ma na głowie biały kask; siedziała naprzeciw mnie i robiła dziwne miny, dotykając się na wysokości uszu. Patrzyłam bezradnie, lecz w końcu pojęłam, o co chodzi. Zjawa chciała, żebym zrobiła to samo co ona. Pomyślałam, że podano mi jakiś narkotyk czy coś w tym guście i jeszcze jestem pod jego wpływem. Ale kiedy znowu zaczęła wykonywać te same gesty, coś mi zaświtało w głowie. Zrobiłam co trzeba – dotknęłam swoich uszu. I tu niespodzianka: miałam na nich miękkie nauszники z małą antenką. Zaintrygowana zdjęłam je, żeby im się przyjrzeć, i wtedy donośny ryk niemal mnie ogłuszył.

– Możesz mnie wysłuchać? – Człowiek naprzeciwko próbował przekrzyczeć hałas. I nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – Bez obaw. Jesteś na pokładzie śmigłowca. Naprawdę nie masz się czego bać. Zaaplikowaliśmy ci dawkę lidokainy, żeby cię ocucić. Mdłości zaraz przejdą. Przy fotelu masz słuchawki. Nałóż je i przez nie będziemy rozmawiali.

– Śmigłowiec?... Lidokaina?... Ocucić?...

Mężczyzna kiwnął głową, ja tymczasem oszołomiona mierzyłam go wzrokiem z góry na dół, dochodząc z wolna do wniosku, że faktycznie nie kłamie.

Głowa zaczynała mi pękać. Do diabła, co ja robię w śmigłowcu? I kim jest ten facet?

W moich słuchawkach rozległy się trzaski i zaraz potem głos tego gościa, teraz czysty i uspokajający.

– Witam na pokładzie, Julio – rzekł po angielsku z dość

egzotycznym akcentem.

– Gdzie... gdzie ja jestem?

Próbowałam niepewnie wstać, walcząc z pasem bezpieczeństwa.

– Nie forsuj się. Powinnaś odpocząć. Jesteśmy przyjaciółmi.

Uratowaliśmy ci życie.

Gdzieś widziałam już tego człowieka i choć bardzo się starałam, nie mogłam sobie przypomnieć, skąd go znam. W każdym razie zwracał się do mnie dość poufale. W katedrze pułkownik Allen przywitał mnie podobną formułką, ale teraz to nie był on. Nawet się rozejrzałam za nim po maszynie, lecz na darmo – jedynym efektem było to, że siedzący przede mną facet z bujnym wąsem uśmiechnął się rozbawiony. W jego ruchach dawało się wyczuć nieskrywaną dumę. Towarzyszący mu dwaj dużo młodszy od niego goście też mi nie pomogli do niczego dojść. Spoglądali na mnie z ciekawością entomologa oglądającego interesujący okaz owada. W rękach trzymali karabiny z celownikami teleskopowymi. Kiedy lepiej im się przyjrzałam, odkryłam coś niezwykłego: jeden z nich, ten bliżej kabiny, miał na policzku wytatuowanego węża!

Czując, że go rozpoznałam, chłopak bez słowa tylko na mnie popatrzył.

– Ależ... – Wierciłam się w fotelu, próbując się wypiąć z upręży, która mnie przytrzymała. – Przecież to...

– Uspokój się, Julio. Proszę.

– Ale ja widziałam tamtego chłopaka!

Wąsacz spoglądał na mnie z rozbawieniem.

– Kim jesteście? – krzyknęłam. – Czego ode mnie chcecie?

– Och!... – Zrobił teatralną minę. – Już zapomniałaś?

– Czy... czy ja pana znam?

Jeśli chciał mnie speszyć, udało mu się w stu procentach.

– Łamiesz mi serce. – Uśmiechnął się znowu. – Nazywam się Artemi Duchok. I nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę, że w porę cię odnalazłem.

– Artemi Duchok?

Cholera.

Minęło pięć lat, odkąd po raz pierwszy i ostatni widziałam tego faceta, ale w moim oszołomionym umyśle jakoś nie mogło się to poukładać. Przecież oglądałam go dopiero co „po śmierci”, z której właśnie się ocknęłam!

Zdziwiona i jednocześnie zaciekawiona przyglądałam mu się z urazą. Owszem. To był on.

– Artemi Duchok... – powtórzyłam. – Faktycznie, pamiętam. Ale...

– Cieszę się. Byłem na waszym ślubie w Wiltshire. Jestem przyjacielem Martina.

– Martin!... O Boże! – Oczy mi się rozszerzyły strachem. – Wiesz, co...

Duchok podał mi chusteczkę higieniczną.

– Wiem wszystko. Staraj się zachować spokój. Wiem, przez co dziś przeszłaś. Przez ponad dwadzieścia minut byłaś w śpiączce. Każdy, kto został poddany bombardowaniu falami delta, powinien unikać większego wysiłku.

– Czego ode mnie chcesz? – powiedziałam, w ogóle nie zważając na jego przemowę. – Czemu jesteśmy w śmigłowcu? Policja mówiła, że Martin został porwany!

– Właśnie o tym chciałbym z tobą porozmawiać. Widziałaś dowód życia, który przesłali porywacze?

– To nagranie wideo?

Duchok kiwnął głową.

– Odkryłem, co Martin chciał ci powiedzieć.

Oślupiałam.

– Twój mąż bardzo pomysłowo przemyślił zaszyfrowaną wiadomość. Tylko ktoś, kto go zna tak dobrze jak żona, mógł ją odczytać...

– Ktoś...? Może ktoś taki jak ty? – odparłam z lekką ironią. – Pułkownik Allen też mówił, że dobrze zna Martina, kiedyś razem pracowali. Gdzie on jest?

Duchok zignorował moje pytanie.

– Owszem, ktoś taki jak ja. Przyjaciel. Musisz wiedzieć, że jesteś w posiadaniu kamienia, który wiele osób chciałoby zdobyć. I że razem go odnajdziemy i wydostaniemy twojego męża z rąk porywaczy.

– Wiesz, gdzie jest kamień?

Śmigłowcem zakołysało lekko, kiedy wleciał w chmurę.

– Za parę minut będziemy na miejscu – powiedział Duchok. – Trzymaj się fotela.

## ROZDZIAŁ 38

Takiego rozkazu Antonio Figueras nie wydał. Na pewno.

Dlatego kiedy ujrzał ciemną sylwetkę śmigłowca wiszącą w powietrzu kilka metrów od katedry, wiedział, że znowu coś mu się wymknęło spod kontroli.

– Ekscelencjo, proszę o wybaczenie. – Zdenerwowany uściśnął pośpiesznie rękę arcybiskupowi Martosowi. – Księżda także – rzekł do ojca Fornésa. – Zadzwonię później w sprawie zeznania.

I ruszył biegiem, nie oglądając się na nich. A tego nie znosił najbardziej na świecie. Nie tego, że zostawił kogoś w pół słowa, lecz takich nagłych wysiłków fizycznych, które potwornie go męczyły. Nie te lata. I płuca też nie te. Ale jeśli chciał zdążyć, by zobaczyć twarz pilota i dowiedzieć się, co tu się dzieje, musiał się naprawdę wysilić.

– Komuś się dzisiaj oberwie – wymamrotał. – Daję słowo.

Jak wichur zbiegł po pochyłości, która kończyła się przy katedrze. A kiedy zdyszany i zlany potem dotarł do plaza del Obradoiro, odkrył, że to nie jest maszyna policyjna. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Śmigłowiec, który kilkanaście metrów od niego wznosił się coraz wyżej, był dwa albo i trzy razy większy od tego, którym inspektor mógł dysponować. Miał poza tym dziwne wirniki – Figueiras w życiu takich nie widział: na kadłubie dwa potężne,



o przeciwnych kierunkach obrotu, trzeci na ogonie. Maszyna była bez znaków rejestracyjnych, bez żadnych napisów – przynajmniej inspektor żadnych nie widział – w całości pomalowana na czarno.

Pokonując powiew idący od wirników, jakoś zdołał dotrzeć do patrolu, który zostawił tu na straży.

– Oż kurwa!... – zaklął, instynktownie sięgając po broń.

Zatkało go na widok tego, co zobaczył. Dwaj jego ludzie siedzieli w wozie bez ruchu, opierając zakrwawione głowy o zagłówki. Każdy miał w czole dziurę po pocisku, a sądząc po pozycji ciał, było oczywiste, że zostali zaskoczeni. Figueiras wyjął pistolet i wycelował w górę, lecz maszyna była już poza zasięgiem strzału. Gotów był się założyć o swoją roczną pensję, że zabójcą jest uciekinier, którego szukali i mieli zatrzymać, a teraz cholernik zwiął mu sprzed nosa śmigłowcem.

Z adrenaliną buzującą w żyłach i oddechem jeszcze urywanym po biegu wyjął komórkę, by zadzwonić na komisariat i wezwać posiłki. W tejże chwili pojaśniał wyświetlacz aparatu. Ktoś do niego telefonował.

– Figueiras, słucham.

– Cześć, Antonio, mówi Marcel Muñiz. Nie przeszkadzam?

– Nie mogę teraz rozmawiać – warknął, słysząc głos przyjaciela jubilera, gdy w kucki oglądał z zewnątrz wóz patrolowy. – Zadzwonię później.

– Jak chcesz – odparł ulegle Marcel.

– Poza tym jest piąta rano!

– Tak, tak, wiem, ale cóż, to przez ciebie. Całą noc ślęczałem nad tymi kamieniami, o które pytałeś.

Inspektor nie chciał tracić ani minuty. Mimo to nie mógł się zdecydować, by przerwać połączenie. Ale też nie zamierzał czekać

jak na rozżarzonych węglach. Skoro Muñiz dzwonił o tej porze, musiał mieć ważny powód.

– Gadaj! – ponaglił go.

– Doszedłem do tego, czym one są. Nie uwierzysz!

## ROZDZIAŁ 39

Nie mogłam przywyknąć do lekkiego kołysania śmigłowca. na szczęście kiedy supermaszyna kontynuowała wznoszenie, mój żołądek wrócił na swoje miejsce, a skóra zaczęła odzyskiwać normalny kolor. Nie było wyjścia, musiałam się odprężyć. Strach i zmieszanie nie wyciągną mnie z tarapatów, toteż odetchnęłam głęboko i rozluźniłam mięśnie, rozciągając nogi i ręce, jak mnie uczono na kursie jogi. Podziałało na pięćdziesiąt procent. Ciągle jeszcze czułam pulsowanie w skroniach, do oczu napływały mi łzy żalu i bólu z powodu powrotu do świata żywych.

W tamtej chwili wolałabym, aby to się nie stało. Odkryłam, że śmierć jest łagodnym przejściem. Bezbolesnym. Całkowitym przeciwieństwem tego, co akurat czułam.

Co miał na myśli Duchok, gdy powiedział, że zostałam poddana temu jakiemuś bombardowaniu falami? Nagle ten szczegół rozmowy do mnie dotarł.

Dlaczego brał na siebie sprawę uwolnienia Martina za plecami faceta z ambasady, z którym rozmawiałam, zanim ocknęłam się przypięta do fotela w śmigłowcu?

Siedząc naprzeciwko w fotelu z wysokim skórzanym oparciem, Artemi Duchok wpatrywał się we mnie bez mrugnięcia. Zaproponował mi coś do picia, kiedy wszyscy na pokładzie

próbowali utrzymać równowagę, ilekroć wlatywaliśmy w chmurę.

– Powiedz, Julio... czy mąż wyjawiał ci, po co pojechał do Turcji? – spytał Duchok, kiedy z trudem dopijałam napój izotoniczny.

– Mniej więcej... – Staralam się udzielić odpowiedzi neutralnej. – Mówił, że chce dokończyć badania związane z topnieniem lodowców. A ponieważ miałam być mocno zajęta przy restauracji katedry, uznał, że to najlepsza chwila na wyjazd.

– A więc nie powiedział...

– Co masz na myśli? – wybełkotałam, bo akurat przełykałam napój.

– Martin udał się na górę Ararat, żeby zwrócić swój adamant. Kamień właśnie stamtąd pochodzi. Wiedziałaś?

– Hm... to wiedziałam, jasne – skłamałam, przełykając ślinę.

– Posłuchaj, od lat pracujemy razem z twoim mężem. Próbujemy zgromadzić nieliczne adamanty rozproszone po świecie. Tak jak twój. Wiemy, jakie są niezwykle, ale nie wyobrażasz sobie nawet, co mogą wygenerować razem. Otóż odkryliśmy znaki świadczące, że niedługo będziemy potrzebowali całej ich mocy, żeby uchronić świat przed czymś, co wygląda na globalny kataklizm. Cios w biosferę, którego twój mąż jest więcej niż pewien. Dlatego bardzo mi zależy, żebyśmy współpracowali i byli wobec siebie szczerzy. Rozumiesz?

Duchok rzekł to bardzo poważnie, bez cienia patosu czy szalbierstwa.

– O co ci chodzi? O nastraszenie mnie?

– Skądże! Chcę tylko powiedzieć, że Martin jest wmieszany w operację najwyższej rangi i dotąd nie zostałaś wprowadzona w jej szczegóły tylko dlatego, że chciał cię chronić. A teraz on jest w niebezpieczeństwie. Sytuacja się zmieniła i oboje mamy moralny obowiązek przyjść mu z pomocą. Potrzebne mi twoje zaufanie.

Wiem, że ledwie się znamy, ale daję słowo, że cię nie zawiodę.

– Pomożesz mi oswobodzić męża?

Wąsacz kiwnął głową.

– Oczywiście. Ale do tego potrzebny nam twój kamień.

Pamiętasz, kiedy o niego poprosił? Kiedy go ukrył?

– Mniej więcej miesiąc temu... – Westchnęłam. – Tuż przed wyjazdem. Właściwie posprzeczaaliśmy się i Martin go po prostu zabrał.

Artemi Duchok kiwnął głową, jakby o tym wiedział.

– Czyli schował go w pewnym miejscu – rzekł, jakby rozmyślał na głos. – W specjalnej kryjówce, w miejscu o dużej mocy energetycznej, gdzie nie dość, że jest bezpieczny, to jeszcze porządnie się naładuje.

– Czyżby?

Moje pytanie zabrzmiało podejrzliwie.

– Ale przede wszystkim chodziło mu o to, żeby ludzie tacy jak ten, który z tobą przed chwilą rozmawiał, nie dostali go w swoje ręce.

– On chciał mi zabrać kamień? Pułkownik Allen? – Wzruszyłam ramionami.

– Owszem. Wierz mi, tylko to go interesowało. Gdybyś mu oddała kamień, może nie dożyłabyś do naszego spotkania...

W tej chwili śmigłowiec przechylił się na bok, aż krew mi uderzyła do głowy. Na zewnątrz niebo zaczynało jaśnieć, zwiastując rychły świt. Ormianin do tej pory mi nie powiedział, dokąd lecimy.

– A skąd mam wiedzieć, że tobie mogę ufać?

– Dowiodę tego. – Uśmiechnął się. – To tylko kwestia czasu.

Martin dużo mi opowiadał o was i o tym, co zrobicie z adamantami.

Nawet prosił, żebym się tobą zaopiekował, gdyby coś mu się

przytrafiło w czasie którejś misji. Bał się o ciebie, rozumiesz? Dlatego wiem o waszych małżeńskich sprawach, których może nawet nie pamiętasz...

– Poważnie?

– A jakże! – Zacisnął usta, unosząc kąciki w uśmiechu raczej cierpkim. – Na przykład czy Martin ci wyjaśnił, dlaczego wzięliście ślub w Biddlestone? Albo czy wiesz, dlaczego zaprosił mnie na uroczystość?

Popatrzyłam Artemiemu Duchokowi w oczy. Było jasne, że ten wąsacz o rycerskich manierach próbuje zdobyć moje zaufanie. Orzechowe spojrzenie miał głębokie i tajemnicze. Niedawno, w innym świecie, widziałam, jak w tych oczach płonął ogień, toteż nie miałam wątpliwości, że to te same.

– To ostatnie chyba wiem... – odparłam. – Przyjechałeś do Biddlestone, żeby coś zabrać – mówiłam, wspominając, co widziałam tuż przed przebudzeniem w jego śmigłowcu. – Kiedy braliśmy ślub, ty coś ukradkiem wykopałeś, prawda?

Źrenice mu się zwężyły, jakby zaświecił w nie promień słońca.

– No, no... – mruknął. – Prawda, a jakże. Mogę spytać, kto ci powiedział?

– Widziałam wszystko.

– Poważnie? – Zmarszczył brwi.

– Tuż przed tym, jak mnie tutaj obudziłeś.

– To... – wyszeptał z zadowoleniem, uroczyście przeciągając odpowiedź – ...doskonale. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że nadal masz swój dar. Używałaś go kiedyś?

Ile ten facet o mnie wie?

– Może – odparłam, spuszcżając wzrok.

– W porządku – zgodził się. – Rozumiem twoją nieufność. Ale

liczę, że się jej wyzbędziesz, kiedy wyjaśnię, co zaszło podczas waszego ślubu. Przyjechaliście do Biddlestone, żeby się pobrać według pradawnego rytuału anielskiego. Ceremonia odbyła się z czytaniem Księgi Henocha zamiast Pisma Świętego, a ślubowaliście sobie, używając tych samych kamieni, z których po raz ostatni korzystał w szesnastym wieku John Dee, żeby się porozumieć z istotami niebiańskimi.

– Będziesz mi teraz opowiadał o aniołach? – odezwałam się z wyraźną niechęcią.

Duchok wcale się tym nie przejął.

– John Dee, jak Martin ci opowiadał, był ostatnim człowiekiem Zachodu, któremu się udało nawiązać z nimi kontakt. On, tak jak ty, nie był w zasadzie mistykiem. Nie wpadał w trans ani nic w tym stylu. Był raczej człowiekiem nauki, a jego komunikowanie się z aniołami można nazwać racjonalnym. Aby do niego doszło, potrzebował trzech elementów: kamieni o potężnej mocy, medium nazwiskiem Edward Kelly, który potrafił jakby widzieć przez adamanty i z ich wnętrza pozyskiwać informacje, oraz specjalnego blatu czy płyty z wyrytymi znakami, która wraz z resztą otwierała łączność z niebem, tak że ostatecznie aniołowie pojawiali się przed jego oczami. Trzeba było właściwej daty i miejsca, żeby całe to oprzyrządowanie zadziało, a Dee wymyślał różne połączenia poszczególnych części składowych i sprawdzał je.

– Wszystko pięknie, ale co to ma wspólnego z twoim przyjazdem do kościoła, w którym braliśmy ślub? – przypomniałam mu.

– Łatwo to zrozumieć.

– Mam nadzieję. Słucham.

– Pod koniec życia John Dee i Edward Kelly popadli w niełaskę i byli prześladowani przez współczesnych. Zawinili w tym, że

zrobili zły użytek ze swoich narzędzi. Kelly na przykład zmienił się w aroganta. Uważał się za spadkobiercę tradycji prorockiej zainicjowanej przez Henocha i kontynuowanej przez Eliasza, a nawet samego świętego Jana. Ale w odróżnieniu od nich chciał się wzbogacić na przepowiedniach aniołów. Kwestią czasu było, kiedy to się obróci przeciwko niemu. Dlatego w końcu rozstali się z Johnem Dee, który zdecydował wtedy tak schować kamienie i tablicę, żeby znowu nie wpadły w niepowołane ręce. Kamienie ukrył w egzemplarzu Księgi Henocha, którą Faberowie przechowują od pokoleń. Tablica natomiast została zakopana w Biddlestone koło absydy kościółka. Rozumie pani teraz? Dee wybrał to miejsce z powodów magicznych, ale również dlatego, że w starym dialekcie Wiltshire słowo Biddlestone znaczy „Kamienna Biblia”. Bo tak właśnie postrzegał to narzędzie. Jako prawdziwą Biblię, nośnik słowa Bożego.

– Skąd wiedziałeś, że tablica tam jest?

– Martin to odkrył, badając ostatnie zapiski Johna Dee przechowywane w Ashmolean Museum w Oxfordzie. Znalazł tę informację niedługo przed tym, jak poznał ciebie. I wtedy uznał, że jest predestynowany do odbudowania instrumentarium przywoławczego Johna Dee. Miał kamienie. Wiedział, gdzie jest tablica, a w czasie pielgrzymki Szlakiem Świętego Jakuba natknął się w Hiszpanii na ciebie i zdał sobie sprawę, że masz potrzebny mu dar mediumiczny. Wiesz, *second sight*, jasnowidzenie, o którym tyle mówili angielscy spirytyści w dziewiętnastym wieku.

Odetchnął głęboko i mówił dalej:

– Nic dziwnego, że mając trzy elementy, myślał o wydobyciu tablicy, gdy adamanty będą w pobliżu. Po czterech wiekach rozdzielenia znowu znajdą się razem i udzielą błogosławieństwa



jego związkowi małżeńskiemu. We dwójkę moglibyście otworzyć bezpośrednie połączenie z niebem!

– A dlaczego ściągnął ciebie?

– Poznałem Martina w Armenii, kiedy jeszcze pracował dla rządu amerykańskiego...

– Tego już się dzisiaj dowiedziałam.

– W porządku. Chodzi o to, że wtedy go przekonałem, żeby przestał poszukiwać kamieni dla swojego kraju. Jego rząd na pewno by ich nie wykorzystał w celach pokojowych, poza tym uważam, że Amerykanie nie potrafiliby się posługiwać nimi jak należy. Ale kiedy Martin się rozstał z Agencją Bezpieczeństwa Narodowego, zaczęły się problemy. Dlatego właśnie mniej więcej rok temu postanowił rozdzielić adamanty i powierzyć mi tablicę. Zamierzał trzymać każdy element instrumentarium osobno. Aż do teraz. Twój mąż miał powód, żeby na powrót je połączyć i spróbować nawiązać kontakt z aniołami Johna Dee.

– Powód? Jaki?

– Kamienie reagują wibracjami na bodźce dźwiękowe, na ultradźwięki i na fale elektromagnetyczne o określonej częstotliwości. W tych dniach Słońce wykazuje ogromną aktywność. Plamy na jego powierzchni świadczą o licznych burzach słonecznych, a większych niż teraz wybuchów helu nie odnotowano w ciągu ostatnich stu lat. Wystarczy, żeby porządny podmuch wiatru słonecznego niosącego tryliony elektronów uderzył w Ziemię, a w kamieniach, tablicy, czyli ich katalizatorze, oraz w tobie będzie dość energii, żeby nawiązać łączność z niebem. Najgorsze jest to, moja droga – dodał ponuro – że o tym wie niewiele osób i obawiam się, że uwięziono Martina, aby zachować kontrolę nad połączeniem.

Śmigłowcem dwa, trzy razy mocno rzuciło, jakby jechał po wyboistej drodze, byłam jednak tak zaabsorbowana tym, co mówił Duchok, że w ogóle nie zwróciłam na to uwagi.

– Czyli nie wierzysz, że został uprowadzony przez terrorystów kurdyjskich?

– Wątpię. – Odkaszlnął zakłopotany. – Rzecz w tym, że dawni szefowie Martina chcą ci to wmówić, żebyś nie zadawała więcej pytań.

– Ależ w nagraniu jest o tym mowa!

– To fałszywka. Ten, kto zorganizował całą operację, jest dużo potężniejszy niż Partia Pracujących Kurdystanu. Przy nim PKK jest równie groźna jak komar.

– I kto by to miał być twoim zdaniem?

– Nie mogę o tym mówić... Nie teraz.

– To może przynajmniej powiesz mi, dokąd lecimy?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się i ujął w rękę wisiorek, który miałam na szyi. – Tam, gdzie wszystko się dla was zaczęło...

Zawiesił głos, jakby się spodziewał, że to podchwycę. Czego jednak nie uczyniłam.

– Ostatnie słowa Martina na nagraniu... Pamiętasz? *La senda para el reencuentro siempre se te da visionada.* – Kiwnęłam głową z uśmiechem, gdy nieporadnie wypowiedział to po hiszpańsku. – Specjalnie powtórzyłem po hiszpańsku, bo adresował je do ciebie. Wiesz, o jakie miejsce chodzi?

– Nie.

– Gdzieście się zobaczyli pierwszy raz? Gdzieście się poznali?

– W Noii. Mieszkałam tam. Na samym końcu Szlaku Świętego Jakuba.

– A to jest herb tej miejscowości, prawda? – rzekł, dotykając

awersu wisiorka, który nosiłam na szyi. Widniała na nim łódź z unoszącym się nad nią ptakiem. – No więc właśnie tam lecimy. Na spotkanie z twoim mężem.

## ROZDZIAŁ 40

O piątej czterdzieści pięć rano półmrok spowijał salę konferencyjną 603B na szóstym piętrze kompleksu biurowego Ambasady Stanów Zjednoczonych w Madrycie. Chmura dymu tytoniowego unosiła się przed obrazem, który projektor Full HD marki Sony rzucał na ścianę. W całym budynku tylko w tym miejscu można jeszcze było palić bez obaw o sankcje, chociaż prawdę powiedziawszy, tym akurat Rick Hale w tej chwili najmniej się przejmował. Attaché do spraw wywiadu przy konsulacie skończył rozmowę telefoniczną z jednym z agentów ze swojej grupy, której niezupełnie powiodła się operacja.

Musiał załatwić tę odprawę jak należy.

– To Julia Álvarez. Hiszpanka. Trzydzieści pięć lat. Od niedawna w separacji z Martinem Faberem, człowiekiem, którego PKK uprowadziła niedawno na granicy turecko-armeńskiej – zaczął profesorskim tonem przed zrobioną teleobiektywem kolorową fotografią rudowłosej kobiety, niewątpliwie atrakcyjnej. – Kolejne zdjęcia wykonano wczoraj wieczorem w Santiago de Compostela, na północnym zachodzie Półwyspu Iberyjskiego.

Attaché mówił po angielsku z południowym akcentem, takim, jaki mają piosenkarze country. Obnosił smętną minę, przez co wyglądał na nieszczęśliwego. I pewnie tak się czuł. Albowiem ów

niziutki łyсы człowieczek, z natury podejrzliwy, niezbyt był zachwycony porannym spotkaniem z dwojgiem urzędników świeżo przybyłych z Waszyngtonu. Zwłaszcza że wezwano go w trakcie innej delikatnej operacji wywiadowczej.

– Wczoraj wieczorem pułkownik Allen spotkał się z panią Faber, żeby ją poinformować o porwaniu męża. Zgodnie z regulaminem dotyczącym przypadków wycieku tajemnic państwowych prześwieltiliśmy prywatne życie Martina Fabera, żeby coś znaleźć. No wiecie, coś, co potwierdzi nasze przypuszczenia.

– Powiedz konkretnie o tych przypuszczeniach, Hale. Na granicy armeńskiej twojego dawnego agenta zaczęto podejrzewać?

Pytanie zadał Tom Jenkins, doradca prezydenta. Rzadko się zdarzało, żeby człowiek na jego stanowisku zajmował się robotą operacyjną, przyjechał jednak do Madrytu ledwie pół godziny wcześniej z wyraźnym poleceniem, aby się wywiedzieć o przypadku Fabera, i ani chwili nie zwlekał z przybyciem do ambasady, gdzie natychmiast zażądał tego spotkania.

– Właściwie Faber nie pracuje dla nas od dwa tysiące pierwszego – wyjaśnił attaché.

– Nie pracuje dla NSA od dwa tysiące pierwszego – sprostował Jenkins.

Hale przełknął ten przytyk, Jenkins tymczasem, jasnowłosy niczym mormoński kaznodzieja, o zimnych niebieskich oczach, mówił dalej na inny temat:

– Widzisz, Hale, kiedy w Biurze Prezydenta zajrzeliśmy do akt agenta Fabera, znaleźliśmy coś ciekawego. Ledwie się podjął wyjazdu na tereny kurdyjskie między Armenią a Turcją, poprosił Langley o różne poufne informacje.

– O informacje?

– Ściśle mówiąc, o zdjęcia.

Richard Hale wzruszył ramionami.

– Zamieniam się w słuch.

– Pomogę ci ogarnąć problem: tuż przed odejściem z NSA Faber poprosił, żeby pocztą dyplomatyczną przesłano mu do Erywanii zestaw starych zdjęć lotniczych strefy, w której pracował. Zdjęć zrobionych w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt do siedemdziesiąt jeden. Wykonano je potajemnie z samolotów szpiegowskich U2 i SR-71 oraz z naszego satelity KH-4. Wszystkie przedstawiają rejon góry Ararat. Właśnie ten, w którym teraz zniknął. Nie wydaje ci się, że to dziwny zbieg okoliczności?

– KH-4? – podchwycił Hale. – Przecież to szmelc z epoki Kennedy’ego! Od lat z niego nie korzystamy.

– Nieistotne – zbył go prezydencki doradca. – Ujęcia z orbity czwartej serii KeyHole’ów, o które prosił Faber, swego czasu uważano za materiały bardzo wrażliwe. Nie zapominaj, że góra Ararat była wtedy naturalną granicą między Turcją a Związkiem Sowieckim, toteż szpiegowanie tego rejonu mogło wywołać poważny incydent dyplomatyczny. Może nawet wojnę.

– Pewnie teraz się dowiem, co tak interesowało Fabera na tych zdjęciach.

– Owszem. I proszę, żebyś w zamian powiedział nam, co wiesz. Otóż na tych zdjęciach na wysokości około pięciu tysięcy metrów widoczne było coś, co Wydziałowi Analiz CIA dało zajęcie na lata. Nazywano to „anomalią Araratu” i chociaż z początku podejrzewano, że to sowiecki punkt szpiegowski i przerzutowy, ostatecznie z niczym znanym nie udało się zidentyfikować struktury w kształcie prostokąta, o wyraźnie zaznaczonych bokach, umieszczonej na krawędzi jednego z lodowców najbliższych szczytu.

Jenkins stanął z pilotem projektora i wycelował nim w swój laptop. Pojawiło się czarno-białe zdjęcie trójkątnego szczytu góry. Pod cienką warstwą śniegu, zakreślone na czerwono, widniało coś wielkości atomowego okrętu podwodnego, o podłużnym kształcie i prostych bokach. Było czarne i zdawało się błyszczeć w słońcu.

– A to nie jest sowiecki bunkier? – zaryzykował Hale.

– Wiesz, że nie, równie dobrze jak ja – zdecydowanie odparł Tom Jenkins. – Starzy fachowcy jak ty znają tę historię – ciągnął. – I wiedzą, że w Langley ostatecznie wywnioskowano, że to coś ukryte pod lodowcem Parrota może być tylko arką Noego. Nie tak jest?

– Problem w tym, że jestem ateistą. Nie wierzę w chińskie bajki – zaznaczył Hale.

– Raczej w hebrajskie, jeśli już – dobiegło z głębi sali. Oparta o gaśnicę przy drzwiach stała tam młoda kobieta, mniej więcej w wieku Jenkinsa. Powiedziała to bez cienia ironii.

– Niech będzie, że hebrajskie – zgodził się attaché.

Kobieta była smagłą pięknoscią. Każdy jej gest wyraźnie dowodził, że długo służyła w armii.

– A ściśle mówiąc – ciągnęła – chodzi o mit sumeryjski.

– Sumeryjski?

Rick Hale nie miał pojęcia, jak z tego wybrnąć.

– Mit o potopie jest pochodzenia sumeryjskiego. Każdy student historii starożytnej wie, że Sumerowie pierwsi spisali kronikę wielkiej powodzi, w której pojawia się zbawczy korab.

– Przepraszam, kim jesteś?

– Ellen Watson – przedstawiła się, podchodząc z wyciągniętą szeroką twardą dłonią. – Ja też pracuję w Biurze Wykonawczym Prezydenta. Możemy wrócić do sprawy?

– Z przyjemnością. – Hale z uśmiechem wyłączył projektor i

zapalił światło w sali.

– Świetnie. Proszę nam opowiedzieć o projekcie Eliaz, przy którym pracował Martin Faber.

Attaché do spraw wywiadu żołądek wywrócił się na drugą stronę. Skąd do diabła...?

– Chodzi ci o operację Eliaz?

– Ty to powiedziałaś.

Rick Hale przełknął ślinę.

– Nie mogę ujawnić żadnych szczegółów, póki nie sprawdzę, jaki masz poziom dostępu do spraw tajnych. To kwestia bezpieczeństwa państwa.

– Mam poziom dostępu Białego Domu – odparła.

– Przykro mi. To nie wystarczy. Nie w tym wypadku.

– A więc nie powiesz mi o Eliazu? – Jej twarz spochmurniała.

– Nie powiem bez polecenia na piśmie podpisanego przez dyrektora NSA, Michaela Owena. Znasz go, prawda?

– Szkoda – prychnęła Watson. – Ale chyba możesz mi przynajmniej zdradzić, co żona Martina Fabera powiedziała agentowi NSA, który z nią rozmawiał? Czy mówiła o arce? Wyjawiała coś na temat obsesji męża związanej z tym biblijnym reliktem?

Hale puścił mimo uszu lekką ironię, która pobrzmiwała w pytaniach Ellen Watson. Miał świadomość, że jeśli nie udzieli przekonującej odpowiedzi, będzie tylko gorzej.

– Obawiam się, że ich rozmowa była bardziej prozaiczna, niż ci się wydaje – odrzekł wreszcie.

– Prozaiczna?

– Mój agent nie zdążył przegadać z nią wszystkiego. Spotkała go drobna... – urwał, szukając słowa w miarę neutralnego. – Drobna



przeciwność.

– Jakiego rodzaju?

Jenkinsowi zabłysły oczy.

– W tej chwili dysponuję tylko częściowymi niezrozumiałymi informacjami – wyznał niechętnie Hale. – Niedługo przed spotkaniem z wami zadzwonił do mnie agent, którego wysłałem do Santiago, pułkownik Nicholas Allen. Nie przekazał dobrych wieści.

– Jaśniej proszę – zażądała Ellen.

– Nie wiecie, że tej nocy pułkownik Allen w ostatniej chwili włączył się do strzelaniny, w której, jak się zdaje, miała zginąć Julia Faber?

– Ktoś chciał zlikwidować Julię Álvarez?

– Spokojnie, nikomu nic się nie stało. Rzecz w tym, że kiedy Álvarez była pod pieczęią naszego człowieka... cóż... jedyne pewne, co mogę powiedzieć, to że w trakcie ich rozmowy oboje padli ofiarami ataku klasy EM. Allen na godzinę został wyłączony z akcji, a kobieta w tym czasie zniknęła. Właśnie otrzymałem rozkaz, żeby ją odszukać.

– Atak EM? Elektromagnetyczny? – Tom Jenkins nie posiadał się ze zdumienia. – W strefie zamieszkaney w Hiszpanii? Jesteś pewien? Przecież to jakby oskarżyć Rosjan, że zrzucili małą bombę jądrową na supermarket w New Hampshire!

– Rozumiem, że was to dziwi. Użycie broni elektromagnetycznej jest ograniczone do poligonów doświadczalnych Departamentu Obrony, ale różne wrogie kraje znają podstawową zasadę jej działania. Gdybyś poszukał w Internecie, odniósłbyś wrażenie, że ta wiedza należy do domeny publicznej.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz – zaprotestowała Ellen, nie odrywając od niego oczu.

– NSA uważa, że jakiś wróg Stanów wypichcił coś niedozwolonego za naszymi plecami – mruknął attaché. – I narobił niezłego pasztetu.

– Zdradzisz kolejną tajemnicę państwową, jeśli coś więcej powiesz o tym urojonym wrogu? – ironicznie spytała Watson.

Konusowaty nieprzyjemny w obejściu attaché nerwowym ruchem pogładził sobie łysinę.

– To, co powiem, nie może wyjść poza tę salę – ostrzegł surowo. – Zrozumiano?

– Jasne – uśmiechnęła się Ellen.

– Postaram się to wyjaśnić jak najprościej. Moje biuro uważa, że w Turcji i Armenii siły, które są w stanie używać przenośnej broni EM, zainteresowały się Faberem. Nasuwa się taki scenariusz: najpierw Fabera wyłączono z obiegu, a teraz to samo zrobiono z jego żoną.

– Uważasz, że ma to jakiś związek z „anomalią Araratu”? – wtrącił Jenkins.

– Tego nie wiemy.

– Czy zdaniem NSA tym dobrze uzbrojonym wrogiem jest... PKK? – dopytywała Watson. – Tylko się nie złości!

Zlany potem Richard Hale wskazał teczki z pieczęcią CIA, które położył na stole, zanim spotkanie się rozpoczęło.

– To wszystko, co w tej chwili mogę wam dać – odparł. – W tych dokumentach znajdziecie pełne informacje na temat okoliczności, w jakich doszło do zniknięcia agenta Fabera. Chociaż wydaje się mało prawdopodobne, by porywacze wiedzieli o wywiadowczej przeszłości Fabera, wszystko przemawia za tym, że to sprawka PKK.

– Chcesz nam wmówić, że grupka separatystów kurdyjskich,

których ledwie stać na zakup amunicji do kałasznikowów, dysponuje bronią tak zaawansowaną technologicznie?

Uwaga Jenkinsa jeszcze bardziej speszyła Hale'a.

– Nie powinniśmy ich lekceważyć.

– Może za PKK ukrywa się ktoś dysponujący dużo wyższym poziomem taktycznym i technologicznym?

– Poczytajcie te kwity – zachęcił Hale. – Znajdziecie w nich coś... hm... co mogłoby potwierdzić takie założenie. Martin Faber został uprowadzony w trakcie gigantycznego zatoru na drodze, która łączy Bazargan w Armenii z przejściem granicznym w Gürbulaku. To górzysty region, trudno dostępny, usiany wioskami i przysiółkami, ale słabo zaludniony. Granica oficjalnie jest zamknięta od dziewięćdziesiątego czwartego.

– I?

– Nasze źródła donoszą, że w dniu zniknięcia Fabera w całym tym regionie zabrakło energii bez szczególnego powodu.

– W całym regionie nie było prądu? – Niebieskie oczy prezydenckiego doradcy zabłysły w świetle zapalniczki.

– Tu nie chodziło o zwykłe wyłączenie elektryczności – uściślił Hale. – Korek powstał, bo coś unieruchomiło silniki wszelkich pojazdów w promieniu trzydziestu kilometrów. To samo się stało z przekaźnikami telefonii komórkowej, łącznie z tymi, które zaopatrzone w zasilanie awaryjne. I co jest już absolutnie wyjątkowe: nie działały połączenia satelitarne, radia policyjne i straży pożarnej, służb medycznych i nawet wieża kontroli na lotnisku w Igdirze w Turcji. Wyglądało to tak, jakby nad terytorium o powierzchni pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych rozpostarto parasol elektromagnetyczny, który na kilka godzin kompletnie zatrzymał przepływ energii elektrycznej.

– Chcesz powiedzieć, że to było coś podobnego do „efektu Racheli”? – szepnęła Ellen na ucho Hale’owi. – Słyszałeś o tym, prawda?

Richarda zatkało. Ci ludzie wiedzieli dużo więcej, niż sądził.

– Słyszałaś o efekcie Racheli? – wykrztusił.

Termin ten nawiązywał do starej historii z czasów drugiej wojny światowej. I należało założyć, że właśnie Hale wie o tym więcej niż reszta kolegów, ponieważ przed laty w piśmie branżowym opublikował artykuł na ten temat. Otóż w roku 1936 Rachele Mussolini, żona włoskiego dyktatora, wybrała się na kilka dni do Ostii niedaleko Rzymu. W drodze służbowy wóz zgasł i utknął w potężnym korku. Wcześniej, zanim Rachele wyszła z pałacu rządowego, jej mąż rzucił pół żartem, pół serio: „Nie zdziwiłbym się, kochanie, gdyby cię spotkała duża niespodzianka w czasie dzisiejszej wycieczki”. I spotkała ją. Starania szofera, by uruchomić silnik, nic nie dawały.

Przymusowy postój trwał około godziny – jej samochodu i wszystkich pojazdów, które akurat znalazły się w pobliżu. I nie do wiary: wszystkie silniki w pewnym momencie ruszyły wraz. W późniejszym komunikacie, który wydał duce, stało, że ów fenomen należy przypisać eksperymentom, które właśnie wtedy w tym rejonie przeprowadzał Guglielmo Marconi. Rzecz w tym, że kiedy ojciec radia badał częstotliwości emitowania fal dalekiego zasięgu, natrafił przypadkiem na „promień śmierci”, który najpierw Mussolini, a potem administracja prezydenta Trumana chcieli wykorzystać do celów wojskowych. Chodziło o zwykłe pasmo przenoszenia zdolne interferować z każdym silnikiem spalinowym wojskowym bądź cywilnym maszyny lądowej, wodnej albo powietrznej. Wśród aliantów uważano, że ten „promień” był także

przyczyną śmierci setek małych i dużych zwierząt w okolicach posiadłości Marconiego. Zwierzęta mają dużo czulszy słuch niż ludzie, toteż odebrały sygnał, który je zdezorientował i doprowadził do śmierci z powodu wylewu krwi do mózgu. Ten skutek uboczny wywarł na Marconim takie wrażenie, że fizyk zaniechał dalszych doświadczeń.

– Efekt Racheli... – Hale pokiwał głową. – Od lat nikt o tym nie wspominał. Ale skoro już ten termin padł, owszem, coś takiego mogło być przyczyną tego, co się stało w Santiago de Compostela, i zatoru w Bazarganie.

– Mogło... – powtórzyła Watson. – Szkoda, że niespecjalnie starasz się nam pomóc, Hale. W tej sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak zbadać sprawę na własną rękę. I możesz być pewien, że prezydenta nie powstrzyma tajemniczość NSA.

– Ani operacja Eliasza – zaznaczył Jenkins.

## ROZDZIAŁ 41

Pierwsze promienie słońca liznęły rozległy nieregularny kobierzec zieleni, który się ciągnął aż do ujścia rzeki Tambre, pokrywając go złotymi rozbłyskami. Siedząc w śmigłowcu Artemiego Duchoka – prototypie eksperymentalnej maszyny noszącej nazwę Sikorsky X-4, jak mi wyjaśnił – dostrzegłam urządzenia dwóch hydroelektrowni należących do grupy Unión Fenosa, zarysy lasów sosnowych i dębowych. Rozpoznałam mosty na rzece, hodowle mięczaków, wzgórza upstrzone kamiennymi domami, a nawet dzwonniczki kościołów z mojego dzieciństwa. Świętego Marcina. Najświętszej Marii Panny. Świętego Jana. Wszystkie elementy tej kompozycji w połączeniu z kamiennymi płytami pozieleniałymi od mchu, jeszcze ukrytymi w cieniu pod niebem wstającego dopiero dnia, wytwarzały specyficzną atmosferę, która zawsze mnie fascynowała, atmosferę zrodzoną ze zderzenia wiejskich okolic z nowoczesnością.

– Dobrze się czujesz? – rozległ się w moich słuchawkach głos Ormianina, wyrywając mnie z zamyślenia.

– Tak, oczywiście... Tylko nigdy nie widziałam mojego miasta z lotu ptaka.

– Wiesz już, do której części Noii mamy się udać?

– Hm... – zawahałam się. – Ty jesteś specem od zagadek.

Zdaniem Allena w wiadomości od Martina kryje się zaszyfrowana wskazówka. Aluzja do miejsca, gdzie przed wyjazdem ukrył mój adamant.

– Nicholasa Allena?

Duchok z odrazą wymówił nazwisko Amerykanina.

– Wygląda na to, że on też dobrze zna Martina – zauważyłam, wiedząc, że go prowokuję.

– Wiem.

– A ty odczytałeś jego wiadomość? Wiesz, co chciał powiedzieć naprawdę na tym nagraniu? – Patrzyłam na niego pytająco.

– Zaraz zobaczysz.

Obojętność Duchoka pierzchła, kiedy pilot zwolnił, jakby szukał miejsca odpowiedniego, by posadzić maszynę.

– Powiem ci, co zrobimy – oznajmił Ormianin. – Wylądujemy w Noii i ja poszukam kamienia, który Martin tu ukrył. Kiedy będziemy mieli adamant, aktywujemy go. Rozumiesz?

Po plecach przebiegł mi dreszcz. Wcale mi się nie podobało budzenie kamienia bez Martina albo Sheili w pobliżu. Wiedziałam, że gdy się uaktywni, skutki jego działania będą nie do przewidzenia.

Jednakże Artemi Duchok był zdeterminowany.

– To nie mój kaprys, moja droga. Kamień nam powie, gdzie jest ten drugi, bliźniaczy. Wiesz, ten, który Martin trzyma w ręce na nagraniu. One funkcjonują na zasadzie rezonansu i potrafią się komunikować na odległość wielu tysięcy kilometrów dzięki temu, że emitują fale o wysokiej częstotliwości.

– To samo powiedział mi pułkownik Allen.

– Tym sobie nie zaprzataj głowy. Ani Allenem, ani kamieniem. Znowu mi wywróciło żołądek.

– Oczywiście znasz dobrze legendę o założeniu Noii? – Duchok zmienił temat, jakby wyczuł moje obawy i chciał, żebym na co innego skierowała uwagę w ostatnich chwilach przed lądowaniem.

– Masz na myśli podanie o tym, jak Noe wylądował tutaj po potopie? No nie! – zaśmiałam się nerwowo. Przez maszynę przebiegło drżenie. – Nie sądziłam, że taki jesteś naiwny. Chyba w to nie wierzysz?

Wąsy mu się zakołysały z góry na dół, gdy podwozie śmigłowca otarło się o ziemię. Nawet nie zauważyłam, kiedy zeszliśmy tak nisko. Pilot starał się posadzić maszynę w pobliżu rzeki, na terenach przeznaczonych do naprawiania łodzi rybackich, z dala od linii wysokiego napięcia i drzew.

– Cóż, pewnie cię rozczaruję, ale to bajki, które się opowiada dzieciom... – mruknęłam, kątem oka zerkając przez okno. – Sam zresztą powiedziałeś, że to legenda. Jedna z wielu historii wymyślonych w średniowieczu, żeby podnieść rangę konkretnego miejsca. Sprawić, by stało się interesujące.

– Nie zgadzam się! – Uruchomił elektryczne otwieranie drzwi i szykował się do wyjścia z maszyny. – Od przeszło trzydziestu lat badam legendy takie jak ta. Armenia, moja droga, to kraina Noego. I interesuje mnie wszystko, co się wiąże z jego życiem, potopem i tym, czego Pismo Święte nie mówi na temat początków naszej cywilizacji. Choćby się znajdowało na drugim końcu świata. Twojego męża zresztą też.

– Nie ma zakazu interesować się legendami – zauważyłam.

Zdziwiło mnie, że ludzie Duchoka – łącznie z pilotem – opuścili śmigłowiec, jakbyśmy się znajdowali w strefie działań wojennych: zeskoczyli na ziemię, kiedy wirniki jeszcze pracowały.

– A wiesz? – mówiłam, patrząc, jak Duchok wstaje i wyciąga



rękę, aby mi pomóc wstać z fotela. – Mnie też pociągają takie opowieści. Wywierają wpływ na sztukę i na wyobraźnię mieszkańców. Ale przezornie nigdy ich nie rozumiem dosłownie.

Duchok zeskoczył na ziemię i skinął na mnie, żebym zrobiła to samo.

– Nie doceniasz ich siły! – zawołał. – Pomyśl, że legendy są jak rosyjskie matrioszkki: kiedy wejrzeć w jedną, okazuje się, że powstała na bazie innych, starszych. Badanie ich to jak poszukiwanie skarbu. Każda kolejna, którą rozkładasz na czynniki pierwsze, doprowadza bliżej źródła. Bliżej prawdziwego DNA. Wszystkie ukrywają coś rzeczywistego. Coś, co przed tysiącami lat opowiedziano inaczej, a potem zostało to zapomniane. Dlatego kiedy docierasz do najstarszej wersji, odkrywasz, że właśnie w niej zawarte są najcenniejsze informacje.

– Do czego zmierzasz?

– Zaprzyjaźniliśmy się z Martinem, dyskutując o tego rodzaju przekazach. Pamiętasz, jak go poznałaś?

– No tak... Dotarł do Noii, idąc Szlakiem Świętego Jakuba.

– Właśnie. Tyle że nie był zwykłym pielgrzymem. Polował na pierwotne opowieści jak ta o Noem...

– Och, przestań żartować – przerwałam mu. – Szlakiem pątnicy przybywali do grobu świętego Jakuba Apostoła. Który nie ma nic wspólnego z Noem!

Duchok nie zwrócił uwagi na moje zniecierpliwienie.

– Czyżby?... No to dlaczego na godle twojego miasta widnieje arka? Dlaczego najwyższe wzniesienie nazywa się Aro? Dlaczego nosisz symbol Noego na srebrnym wisiorku?

Wyglądał na mocno rozbawionego. Poleciał swoim ludziom, aby włożyli czarne okrycia podobne do tego, które parę godzin wcześniej

widziałam na jednym z nich w katedrze, i dodał:

– Szlak jest o wiele starszy od tej historyjki o apostoła, którą masz w głowie. Jest uczęszczany od ponad czterech tysięcy lat.

– Historyjki, mówisz?

– Nie zauważyłaś? Tak zwany Szlak Świętego Jakuba biegnie przez obszary, na których aż się roi od nazw miejscowych nawiązujących do Noego. To nie tylko Noia, ale też Noain w Nawarze, Noja w Santanderze, Noenles w La Coruñi, rzeka Noallo w Orense... A to tylko przykłady z północnej Hiszpanii. Jeszcze dalej na północ, we Francji i Wielkiej Brytanii, jest wiele bardzo podobnych nazw i bliźniaczych legend. Dziś mało kto je zna. Nawet na uczelniach nie nadaje im się takiego znaczenia, na jakie zasługują.

Sama już nie wiedziałam, co o tym myśleć.

– Ale jak widzę, ty je doceniasz.

– Owszem. – Skinął, żebym poszła za nim. – Martin też. I właśnie podążał „szlakiem Noego”, a nie świętego Jakuba, kiedy cię poznał. Wiedział, że toponimy odwołujące się do Noego łączą odcinki „tajemnej drogi”, która prowadzi w szczególne miejsce powiązane z tureckim Araratem.

– Tutaj? W Noii?

– A tak. Szlak Świętego Jakuba kończy się przy grobie apostoła, szlak Noego natomiast...

– Przy grobie Noego???

## ROZDZIAŁ 42

Ellen Watson nie znalazła lepszego miejsca, żeby zadzwonić. Opuściła Ambasadę Amerykańską w Madrycie wyjściem prowadzącym na calle Serrano i rozejrzała się za spokojnym zakątkiem, z dala od wścibskich spojrzeń. O tak wczesnej porze ruchu w mieście prawie nie było. Dzielnica sklepów z towarami luksusowymi świeciła pustką, z rzadka tylko przejeżdżała przez nią wolna taksówka i pojedyncze samochody dostawcze. Mimo to prezydenckiej doradczynie ten spokój nie wystarczał. Musiała uruchomić telefon satelitarny z szyfrowanym połączeniem. I powinna była zrobić to tak, by nie zwrócić niczyjej uwagi. Szpetny kościół Jezuitów po drugiej stronie ulicy, otwarty już dla wiernych, którzy za pół godziny zaczną się schodzić na mszę o siódmej, wydał jej się idealnym miejscem.

Zgodnie z jej przewidywaniami świątynia była jeszcze pusta. Stukając obcasami, podeszła w pobliże okna i rozejrzawszy się dokoła, wybrała szesnaście cyfr zaszyfrowanego numeru w Waszyngtonie.

Po drugim sygnale połączenie odebrano.

– Mówi Ellen. Hasło: Belzoni – rzekła przyciszonym głosem.

Człowiek, który się odezwał, mówił życzliwie, nie skrywając jednak przejęcia.

– Odzew: Jadoo. Czekałem na twój telefon. Dowiedziałaś się czegoś?

Ellen ulżyło, gdy usłyszała ten głos.

– Mniej więcej – odparła. – Miał pan rację: stało się tu coś niezwykłego. Wczoraj wieczorem nasz człowiek z tajnych służb odnalazł żonę byłego agenta NSA, którego uprowadzono w Turcji. Facet twierdzi, że w czasie spotkania z nią zostali zaatakowani bronią elektromagnetyczną.

– To możliwe?

– Z tego co nam powiedziano, wynika, że tak.

Połączenie zostało przerwane na moment i zaraz płynnie przywrócone. To program zabezpieczający przeskanował je, szukając intruza. Niczego nie znalazł.

– Myślisz, że to porwanie ma związek z operacją Elias?

– Na pewno. Byli zaskoczeni, że zjawiliśmy się tak szybko z żądaniem wyjaśnień.

– Ale w zasadzie nic ci nie powiedzieli...

– Jak zwykle. Argumentują, że nie mamy odpowiednich uprawnień dostępu do informacji niejawnych.

– Normalka. – W głosie rozmówcy zza Atlantyku słychać było zrezygnowanie.

Ellen zastanowiła się, czy to odpowiednia chwila, by wyznaczyć, co pomyślała, usłyszawszy o porwaniu Martina Fabera, w końcu jednak zdecydowała się wstrzymać. Wiedziała, że zagrałaby va banque. Gdyby trafiła w dziesiątkę, w jej misji być może nastąpiłby przełom, ale w razie porażki mogłaby wypaść z gry.

– Zostało nam tylko jedno wyjście – powiedziała ostatecznie.

– Jakie?

– Pan sam zażąda wyjaśnień.

– Co takiego?

– Zażąda pan dostępu do akt Eliasza. Proszę zrozumieć, tylko panu nie mogą tego odmówić. – Odetchnęła głęboko, po czym ciągnęła: – Przykro mi, że to mówię, ale może teraz właśnie jest chwila, żeby zaryzykować. Projekt Eliasz został wznowiony, żeby zdobyć jeden z tych kamieni, i po raz pierwszy od lat natknięto się na problemy. Gdyby nie porwanie Fabera, nigdy byśmy się nie dowiedzieli o tej operacji. Dlatego uważam, że powinniśmy wykorzystać ten incydent, żeby się włączyć i uzmysłwić im, że znamy ich ruchy.

Wyrzuciwszy to z siebie, Ellen zacisnęła kciuki. Po drugiej stronie linii jej rozmówca przetrwał, co powiedziała.

– Zastanowię się – rzekł wreszcie. – Obiecuję. Co mówi Tom?

– Zdziwiło go, że przedstawiciel NSA w Madrycie ani słówkiem nie pisał o kamieniach. Bo na pewno wypytywali o nie żonę Martina Fabera. A przynajmniej o jeden.

Mężczyzna w Waszyngtonie znowu chwilę milczał.

– Posłuchaj uważnie, Ellen. – Chociaż mówił łagodnym tonem, pobrzmiwały w nim nuty świadczące o tym, że przywykł rozkazywać. – Jeśli zdobędziecie z Tomem ten kamień, zanim dorwie go NSA, zyskamy przewagę. Będziemy mogli ich przycisnąć i wywiedzieć się, co zaszło. Musicie się postarać.

– Jasne. Już nad tym pracujemy.

– Ja tymczasem może zrobię to, o czym mówiłaś. Będę cię informował na bieżąco.

Twarz Ellen Watson pojaśniała.

– Jeszcze...

– Ellen... – Tym razem człowiek zza Atlantyku wymówił jej imię jakby poważniej niż zwykle. – Wiem, że sobie poradzicie.

Ellen natychmiast wyczuła zmianę tonu. Rozmówca wiedział, jak wzbudzić w jej piersi patriotyczny żar i sprawić, by zapragnęła wzbić się w powietrze, byle wykonać zadanie. Poza tym ze słów „Wiem, że sobie poradzicie” wynikało coś dla niej bardzo cennego: że otrzyma wszelkie potrzebne jej wsparcie. I dlatego ogarnęło ją szczęście. Tylko garstka osób na świecie dostępowała przywileju, jakim było codzienne ładowanie taką energią, odczuwanie całym jestestwem pełnego zaufania prezydenta Stanów Zjednoczonych. I ona, Ellen Watson, zaliczała się do nich.

– Dziękuję, panie prezydencie. Jeśli ta kobieta jeszcze ma kamień, na pewno go zdobędziemy i dostarczymy do Waszyngtonu.

## ROZDZIAŁ 43

Było wpół do siódmej rano, kiedy Artemi Duchok, okryty czarną kapotą, pod którą schował lekki chromowany pistolet maszynowy, wreszcie mi pokazał, dokąd zmierzamy. W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć. Ani on, ani jego ludzie nie pisnęli słowa na temat naszego celu. Ormianin nie wyjaśnił mi także, jak z dowodu życia nagranego po hiszpańsku – a więc w języku, którego najwyraźniej nie znał – wydedukował miejsce, gdzie Martin ukrył mój adamant. Ale kiedy we trzech poprowadzili mnie w kierunku kościoła Świętego Marcina, właściwie wyzbyłam się wątpliwości co do przebiegłości obydwu panów. Duchoka, który przywiódł nas tutaj, i Martina, który wybrał to miejsce na kryjówkę... Jeśli oczywiście ukrył kamień!

Kiedy minęliśmy teatr w Noii i stanęliśmy na skrzyżowaniu trzech dróg, które przecinają miasteczko, głos Duchoka wybił się ponad narastający wrzask mew. Ten dźwięk jest nierozzerwalnie związany z położonym nad rzeką miasteczkiem, w którym tyle dobrego mnie spotkało.

– Martin opowiadał, że poznaliście się w bardzo szczególnym kościele.

Nie zaskoczyły mnie jego słowa. Pogodziłam się już z tym, że ten facet wie o takich rzeczach z mojego życia prywatnego, o jakich

nigdy bym nikomu nie powiedziała, toteż po prostu kiwnęłam głową.

– W kościele Najświętszej Marii Panny Nowej – ciągnął. – Santa María la Nueva – dodał po hiszpańsku. – Tu, w Galicji, mówią na niego po prostu „Nowy”, „A Nova”, prawda?

– Owszem – szepnęłam.

Boże. Szliśmy w stronę tego kościoła!

– Martin dużo mi o nim opowiadał – kontynuował. – Właśnie ta świątynia wywarła na nim największe wrażenie na całym szlaku. Większe nawet niż katedra w Santiago.

– Ale nie powiesz chyba, że tu jest grób Noego?

Duchok przystanął.

– Och, nie żartuj. Wiem, że w tym kościele ujrzeliście się z Martinem po raz pierwszy. Pracowałaś wtedy przy jego konserwacji i posłużyłaś mu za przewodnika. I lepiej niż wszyscy powinnaś wiedzieć, że w Santa María a Nova jest grób Noego, nie sądzisz? Dla twojego i Martina dobra mam nadzieję, że nie pogrywasz ze mną. Nie mamy dużo czasu.

– Ależ ja nic nie wiem o żadnym grobie Noego w tym kościele! – zaprotestowałam.

– To się okaże. Chodźmy!

Ścisnęło mnie w żołądku. Tak mocno, aż w ustach poczułam gorycz i rozwiała się ta odrobina radości, której zaznałam, przybывая do Noii. Przez chwilę dotrzymywałam kroku Duchokowi i jego pomagierom, zanim jednak doszliśmy do końca ulicy i skręcili w stronę kościoła Santa María a Nova, doszłam do wniosku, że powinnam się jeszcze czegoś dowiedzieć.

– Przepraszam bardzo – rzekłam, zatrzymując się na środku ulicy – ale zanim wejdziemy do środka, musisz mi coś wyjaśnić.



Zaskoczony Ormianin także przystanął.

– W porządku. Co chcesz wiedzieć?

– Jak na podstawie nagrania Martina odgadłeś, gdzie mamy się udać? Nie mówisz po hiszpańsku...

*Touché.*

Duchok zmienił się na twarzy. Rozwiała się naraz cała szorstkość spowodowana pośpiechem, pociemniały śniade policzki częściowo zasłonięte wąsami. A oczy zwęziły się w szparki, gdy Ormianin wybuchnął gromkim śmiechem.

– To jest to pytanie? – rzekł, nie przestając rechotać.

– Tak.

Wydał jakieś polecenie jednemu ze swoich chłopaków. Temu z tatuażem na policzku, którego spotkałam w katedrze. Wołał na niego Wasfi i w swoim języku kazał mu coś wyjąć z plecaczka, który chłopak niósł. Mianowicie urządzenie z logo jabłka na tylnej części, identyczne jak to, które miał pułkownik Allen. Być może jemu zabrane. Czarne, ze srebrnymi brzegami, gładkie jak stół.

– Już widziałas nagranie – rzekł Duchok z uśmiechem, uruchamiając odtwarzanie wideo widocznego na wyświetlaczu.

Obraz Martina odzianego na pomarańczowo, w otoczeniu porywaczy, wyłonił się z ciemnych czeluści urządzenia i zajął cały ekran. Przełknęłam ślinę. Jego głos, chociaż przytłumiony, brzmiał dźwięcznie:

„Julio, może więcej się nie zobaczymy... Jeśli nie wyjdę z tego, chcę, żebyś mnie zapamiętała jako człowieka szczęśliwego, który w tobie znalazł swoją drugą połowę... Jeśli zmarnujesz czas, wszystko przepadnie. Wszystkie odkrycia, których dokonaliśmy wspólnie. Świat, który się przed nami otworzył. Wszystko. Walcz dla mnie. Wykorzystaj swój dar. I pamiętaj, że chociaż będą cię

ścigali, żeby ci odebrać to, co należy do nas, ścieżka wiodąca do ponownego spotkania będzie dla ciebie widoczna”.

Wpatrywałam się w wyświetlacz jak sroka w gnat.

– I co? – zagadnął Duchok. – Nic nie zauważyłaś?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć.

– A co tu jest do zauważania?

Ormianin poprosił, abym się skupiła na słowach Martina. Podał mi też słuchawki, żebym lepiej słyszała, i zażądał jeszcze czegoś, nie wiedziałam jednak, czy to mi się uda.

– Zapomnij o obrazie – rzekł mianowicie. – Maksymalnie się zdystansuj i wsłuchaj w słowa, czy nie ma w nich czegoś dziwnego. Czegokolwiek. Jakiegoś wyrazu w nieodpowiednim miejscu. Szczególnej intonacji. Wszystko może być ważne.

Zaskoczona nałożyłam słuchawki i powtórnie wysłuchałam nagrania z zamkniętymi oczami.

– I jak? Zauważyłaś? – ponaglił mnie Duchok z uśmiechem, jakby rozwiązanie było dziecinną igraszką.

– Nie wiem, czy o to chodzi – zaczęłam powoli – ale wydaje mi się, że coś tu jest nie tak z dźwiękiem. W dwóch miejscach jest głośniejszy, jakby Martin podnosił głos.

– Zgadza się.

– Zgadza się? I niby co to znaczy?

Duchok schował iPada do plecaka gościa z tatuażem i popatrzył na mnie z wyższością.

– Możesz powtórzyć te słowa, które Martin wymówił głośniej?

– Po hiszpańsku?

– Ależ tak. No!

– Najpierw to było... – Wytężyłam pamięć. – *Si el tiempo dilapidas*. I potem na końcu: *se te da visionada*.

– Bardzo dobrze. Wszystko masz. Nie rozumiesz jeszcze?

Patrzyłam na niego stropiona. Facetowi chyba odbiło. Żadne z tych słów nie zawierało najodleglejszej nawet aluzji do kościoła Najświętszej Marii Panny w Noii.

– No dobrze – zlitował się w końcu nade mną i przystąpił do wyjaśnień. – Martin, podobnie jak parę wieków temu podziwiany przez niego John Dee, jest mistrzem w sztuce przemykania w zwyczajnych słowach ukrytych treści. W NSA szkolili go w tej dziedzinie i proszę mi wierzyć, należał do najlepszych. Dlatego kiedy porywacze kazali mu nagrać dowód życia, uciekł się do techniki szyfrowania prostej, ale niezauważalnej dla tego, kto jej nie zna. W średniowieczu nazywano ją „kabałą fonetyczną”. Słyszałaś o niej?

Pokręciłam głową.

– Tak myślałem. – Uśmiechnął się znowu. – Jak mówiłem, łatwo ją wykryć, jeśli się ją zna. Ten dział kryptologii szczególnie się rozwinął we Francji, bo tam język mówiony i pisany znacznie bardziej się różni niż wiele innych i łatwiej o dwuznaczność. Jeśli na przykład powiesz na głos „par la Savoie”, czyli „przez Sabaudię”, słuchacz może to zrozumieć jako „parla sa voix”, czyli „powiedział jego głos”, bo te dwie frazy identycznie się wymawia. John Dee wykorzystywał takie sztuczki językowe w niektórych swoich wykładach w Europie i w ten sposób na oczach całego audytorium przemycał informacje dla ambasadorów królowej Izabeli Pierwszej. Martina zauroczyła ta umiejętność, dlatego ćwiczył ją w czasach, kiedy pracował dla NSA, bawiąc się brzmieniem słów angielskich i hiszpańskich.

– Nie miałam o tym pojęcia – wyszeptałam.

– Homofonia, bo tak dzisiaj się mówi na tego rodzaju zabawy

językowe, lepiej się sprawdza, kiedy słuchacz nie zna języka, w którym jest wyrażana. Jeżeli do Hiszpana powiesz: *el tiempo dilapidas* – powiedział Duchok z silnym obcym akcentem – usłyszy to, co faktycznie te słowa znaczą. Ale człowiek, który nie zna hiszpańskiego i jest biegły w takich gierkach, może usłyszeć coś zupełnie innego. To, co naprawdę te słowa znaczą.

– A co według ciebie znaczy *el tiempo dilapidas*?

– No właśnie wskazuje miejsce, do którego idziemy. –

Uśmiechnął się. – Kościół Santa María a Nova.

– Nie rozumiem.

– Jeśli się nie mylę, na kościół Santa María a Nova mówicie także „kościół nagrobków”, *el templo de las lápidas* – rzekł po hiszpańsku. – *El tiempo di-lápidas*.

I to ma być kabała fonetyczna? – burknęłam w duchu.

Wspomniałam jedną ze swoich dziecięcych gier, które uprawiałam w szkole podczas przerw między lekcjami. Wymyślaliśmy zdania o podwójnym znaczeniu, typu: „My jemy jabłka”, które mogło także znaczyć: „Myjemy jabłka”. Ale nic nie powiedziałam. Bo faktem jest, że Santa María a Nova to czternastowieczny kościół cechujący się pewną osobliwością, która sprawia, że nie ma drugiego takiego: mieści się w nim bowiem największa w całej Europie kolekcja starych płyt nagrobnych. Słusznie zatem bywa nazywany „kościółem nagrobków”.

Jeżeli jedna z tych płyt nakrywała grób, którego szukaliśmy, przypuszczałam, że Ormianin pomoże mi ją odnaleźć.

– W takim razie powiedz, co znaczy „*se te da visionada*”? – zapytałam.

Tajemniczy uśmiech przewinął się przez usta Duchoka.

– Cierpliwości. Właśnie te słowa doprowadzą nas do właściwego

grobū.

## ROZDZIAŁ 44

Roger Castle był pewien, że odkąd zasiadł w gabinecie Ovalnym, ktoś z wszechmocnej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego pogrywa sobie z nim w ciuciubabkę. Nie znaczy to, że miał kiedykolwiek dobre mniemanie o tajnych służbach. Prawdę powiedziawszy, podczas ostatniej kampanii wyborczej zapowiadał ograniczenie dziesięciocyfrowej kwoty wydawanej na nie co roku z publicznej kasy, czym narobił sobie wrogów w łonie służb. Jednakże w tych okolicznościach, po dwóch latach sprawowania rządów, dla Castle'a było oczywiste, że ich nie doceniał. Obietnice wyborcze nie wystarczą, żeby wyważyć te drzwi. Przynajmniej nie drzwi do tego, co „ściśle tajne”.

Ściśle tajne.

To pojęcie zdawało się żywcem wyjęte ze scenariusza hollywoodzkiego. Z filmu klasy B o istotach pozaziemskich zamrożonych gdzieś na pustyni na południowym zachodzie kraju. Tyle że pod tą etykietką kryło się coś naprawdę poważnego. I wcześniej czy później na jakimś wycinku życia publicznego słowa te wychyną i postawią prezydenta w sytuacji nader niewygodnej. „Nigdy o tym nie słyszałem”, skłamał, kiedy go o to zapytali. Roger Castle musiał wtedy skłamać. Uosabiał w Stanach Zjednoczonych najwyższy autorytet i szczerze mówiąc, wkurzyło go, że nie

wiedział, o czym mówią. Przez jakiś czas puszczał wszystko mimo uszu, sądząc, że pewnie chodzi o czysty żart na wewnętrzny użytek środowiska wywiadu. „Ściśle tajne znaczy, że nic w tym tajnego” – tak chciał wierzyć. Jednakże puszczenie czegoś mimo uszu nie znaczyło, że o tym zapomniał.

Castle wiedział lepiej niż ktokolwiek, że to zbyt stara historia, aby ją ignorować.

Po raz pierwszy usłyszał o niej na forum oficjalnym w Santa Fe, kiedy jeszcze był gubernatorem Nowego Meksyku, podczas przyjęcia z Indianami Hopi. Rdzennych Amerykanów zamieszkujących rezerwaty w północnej części stanu martwiły wtedy zmiany klimatyczne. Z powodu bardzo niskich opadów poziom wody w Río Grande spadł o piętnaście procent. „Wszystko zapowiada wielką katastrofę, sir” – powiedzieli. „Kto wie, kiedy nadejdzie i w jaki sposób oraz jak się do niej przygotować, ten jest w posiadaniu wielkiej tajemnicy” – oznajmił człowiek mówiący w ich imieniu, blisko dziewięćdziesięcioletni wódz o plemiennym imieniu Biały Niedźwiedź. I dodał: „Biali od jakiegoś czasu ukrywają przed nami szczegóły o tym dniu wielkim i strasznym”. „O dniu wielkim i strasznym? – Gubernator Castle uśmiechnął się lekceważąco. – Myślałem, że już był. Kiedy zbombardowano Hiroszimę”.

Ponownie Roger Castle pomyślał o tej sprawie dopiero miesiąc później. W dniu śmierci swojego ojca, Williama Castle’a II. Odziedziczył po nim wszystko: majątek, inteligencję, wygląd Johna Wayne’a w „Alamo”, a zwłaszcza sceptycyzm. Dla niego wiara w coś, czego nie da się zważyć, zmierzyć albo obrócić w zysk, była niewybaczalną stratą czasu.

W czasie drugiej wojny światowej William Castle II należał do

zespołu matematyków i fizyków teoretycznych z Institute for Advanced Study w Princeton, którzy weryfikowali obliczenia w projekcie Manhattan. Mało kto jednak wiedział, że po zakończeniu wojny w Europie, kiedy sfinalizowano konstruowanie pierwszych bomb jądrowych, większość członków zespołu nadal dyskretnie się spotykała. Nazywano ich *the jasons*. Przekształcili się w coś na kształt nieformalnego organu doradczego wojska – wymyślali na przykład rozwiązania problemu Kambodży i Wietnamu. I chociaż w środowiskach pacyfistycznych byli zdyskredytowani, niektórzy – jak ojciec Rogera Castle’a – zdołali uratować swoją reputację jako naukowcy.

W dzieciństwie przez trzy albo cztery lata w miesiącach wakacyjnych Roger pętał się między uczonymi, kiedy snuli swoje nudne rozważania. Podczas niekończących się biesiad w domu rodzinnym jego ojciec już wtedy rozprawiał o tarczach antyrakietowych, wojnie elektronicznej, internecie – choć oczywiście nie tak to wszystko nazywał – a nawet o satelitach szpiegowskich. Dlatego gdy William Castle II na łożu śmierci poprosił syna o minutę rozmowy sam na sam i wspomniał o „dniu wielkim i strasznym”, Roger przeżył szok, z którego już się nie otrząsnął.

– Niedawno przedstawiciele Indian Hopi mówili mi o grupie naukowców, którzy trzymają to w tajemnicy – powiedział, nie posiadając się ze zdumienia.

– Chodziło o nas, synu.

– Wierzysz w to, tato? – spytał Roger ze łzami w oczach.

– Nie wierzę. Pamiętaj, że jestem naukowcem.

– I co w związku z tym?

– Ja to wiem, synu. Wiem.



Konający na raka trzustki najstarszy członek rodziny Castle'ów powiedział mu wtedy więcej: że tajne służby w ramach operacji Eliasz usiłują ustalić, kiedy nadejdzie ta chwila w nieodległej przyszłości. Chociaż Castle senior od dawna nie brał udziału w spotkaniach *the ja sons*, był pewien, że gdzieś zapisano dzień W. Agencja Bezpieczeństwa Narodowego od dawna ściągała interesujące ją materiały ze wszystkich instytucji federalnych, od NASA poczynając, a kończąc na NOAA, Narodowej Agencji do spraw Oceanów i Atmosfery. Skoro od lat analizowano dane na temat ruchów tektonicznych, radioaktywności, promieniowania kosmicznego czy poziomu naładowania atmosfery, jego zdaniem udało się już ustalić konkretną datę.

– Ale te gnojki, Roger, swoje ustalenia przekazują tylko zbrojeniówce – powiedział. – W dupie mają demokrację. Wiedzą, że dokładna informacja na temat przyszłości planety zapewni im pełnię władzy. Dlatego tak jej strzegą. Nawet prezydent o niczym nie wie. W czasach chaosu demokracja, którą reprezentuje, nie będzie funta kłaków warta.

– Żaden prezydent nie wie? Żadnemu nie powiedzieli?

Jego ojciec skrzywił się boleśnie.

– Ten projekt jest tak tajny, że naprawdę mało kto o nim wie. Prezydenci przychodzą i odchodzą, synu. Są politykami. A ci od projektu zostają. Na dodatek ponieważ nikt ich o to nie pytał, nie zrobili nic, żeby upowszechnić tę wiadomość. Rozumiesz? Dlatego jeżeli kiedyś dotrzesz tak wysoko, ty będziesz musiał zrobić pierwszy krok i zadać pytanie.

Ellen powiedziała mu dokładnie to samo. Oboje mieli słuszość. Postanowił, że tak właśnie zrobi. Teraz był już pewien.

Przyszła chwila, żeby postawić wszystko na jedną kartę, jak

zasugerowała mu wierna doradczyni.

Roger Castle, czterdziesty piąty sukcesor urzędu Jerzego Waszyngtona, dużo słyszał o Eliaszu. Swym źródłom mógł wierzyć w stu procentach, on zaś był przywódcą narodu gotowym zgłębić tę sprawę do końca.

Teraz albo nigdy, pomyślał.

## ROZDZIAŁ 45

Rozległ się huk. Suchy. Metaliczny.

Pod osłoną ostatnich chwil nocnych ciemności drugi człowiek Duchoka – ten, na którego Ormianin wołał Janos i który wydawał się niemy – bez wahania zrobił, co trzeba. Przyłożył mianowicie coś przypominającego miniaturową lutownicę do zamka kraty zamykającej wejście do Santa María a Nova, gruchnęło i droga stała przed nami otworem. Tylko ja się wystraszyłam.

Jak pchnięci sprężyną weszliśmy całą piątką za ogrodzenie i pośród zieleni pomaszerowaliśmy wąską ścieżką prowadzącą do kościoła. Żwir nieprzyjemnie chrzęścił nam pod nogami, znacząc każdy krok swoim szeptem. Zdałam sobie wtedy sprawę, jak bardzo spięci są towarzyszący mi ludzie. Dobry humor Duchoka rozwiął się bez śladu, ustępując instynktownemu zwierzęcemu niepokojowi, który natychmiast wyczułam. Janos mruknął po ormiańsku coś, czego oczywiście nie zrozumiałam. Spierali się przez moment nad nylonową torbą, którą jeden dźwigał na plecach. A przynajmniej sądziłam, że się spierają. Ostatecznie przeważył autorytet Duchoka. Widziałam wyraźnie, że ci ludzie czegoś się boją. Wyjęli broń: cztery izraelskie uzi z celownikiem teleskopowym. Jeden miał ponadto przy pasie sig-sauera. Rozglądali się czujnie na wszystkie strony, jakby lada chwila ktoś miał się na nas rzucić.

Tylko kto by się ważył na coś takiego?

Jak własną kieszeń znalazłam Santa María a Nova, spokojny kościół w centrum miasteczka, w którym nigdy nic się nie dzieje. Ogrodzony teren otaczały bloki mieszkalne. Świątynia stała pośrodku parceli wciąż wykorzystywanej jako cmentarz. Po lewej znajdowały się najstarsze kwatery. Kamienne grobowce zdawały się tam ginąć w bujnych chwastach. Po prawej natomiast widniały olśniewające białe płyty nagrobne przystrojone kwiatami. Obydwa sektory łączyły wielkie granitowe płyty ułożone między nimi. Pochodziły z zamierzchłych czasów, ongiś znaczyły miejsce pochówku rzemieślników, kanoników, a nawet pielgrzymów. Wszyscy już dawno obrócili się w proch, pozostały tylko płyty – i od nich właśnie wzięło się ponure miano budowli: „kościół nagrobków”.

Nigdy to miejsce nie budziło we mnie strachu. Chociaż tyle było tu grobów, nie czułam nawet cienia obawy.

Wszystko dokoła tchnęło spokojem.

– Czemu wyjęliście broń? – szepnęłam do Duchoka, kiedy nadarzyła się sposobność.

Ormianin z marsem na twarzy wysłuchał pytania, jakby wyczuwał, że coś pójdzie nie tak. Zauważyłam, że odpowiedzi udzielił niechętnie.

– Już nie pamiętasz, co się stało w Santiago? – burknął.

Stanęliśmy oboje pod niewielkim portykiem, który osłaniał wejście do kościoła. Tu znajdowała się rzeźba Pokłon Trzech Króli, którą osobiście konserwowałam. Wśród umieszczonych nad drzwiami figur w stylu romańskim była toporna podobizna klęczącego biskupa Berengara z Landoiry zapatrzonego w dal. Janos nawet nie podniósł wzroku, by spojrzeć na zabytek. Miał teraz na głowie ważniejsze rzeczy. Kolejny zamek do sforsowania,

inaczej nie przeszlibyśmy dalej. Ten był stary. Na wielki klucz otwierający drewniane drzwi. Sprawił mu więcej problemów, gdy majstrował przy nim – jak zauważyłam – malutkim laserem jonowym.

– Naprzód! – zarządził Duchok, kiedy ustąpiła ostatnia przeszkoda. – Nie ma czasu do stracenia.

Do kościoła weszłam tylko ja z Duchokiem. Janos, Haci – pilot śmigłowca – i Wasfi zostali na zewnątrz, pilnując, by nikt nam nie przeszkodził. W środku głęboki głos Ormianina odbił się echem ze wszystkich stron.

– No? Gdzie ten najstarszy grób?

– Przecież są ich tu setki! – jęknęłam, patrząc na płyty nagrobne pod nogami. – Nikt nie wie, który jest najstarszy.

Duchok podszedł do skrzynki z włącznikami, którą odkrył przy drzwiach, i zapalił światła. Wnętrze pojaśniało jak za dotknięciem magicznej różdżki. Od razu atmosfera zrobiła się cieplejsza. Rozproszone oświetlenie i nowoczesne reflektorki halogenowe wydobyły z mroku przed nami imponującą kolekcję płyt nagrobnych. Pięły się pionowo zawieszane na stalowych stelażach. Miały najróżniejsze rozmiary i kształty. Były tam kamienne płyty z pątnikami zaopatrzonymi w kostur i laskę z muszlą świętego Jakuba; na innych widniały nieczytelne znaki, podobne teraz do oczu albo pazurów, albo nożyce, krosna, ostrogi, a nawet kapelusze. Nigdzie jednak nie dostrzegłam żadnej inskrypcji.

– Ty jesteś specem – powiedział Duchok, rozglądając się dokoła. – Martin poznał cię tutaj pięć lat temu, a przed miesiącem wrócił, żeby ukryć ślubny talizman. Gdzie mógł go zostawić?

Uważnie patrząc, szłam przez kościół. Bardzo się zmienił, odkąd widziałam go po raz ostatni: stara nawa była teraz nowoczesną

salą wystawową. Nie poznawałam tego wnętrza. Oczywiście to co najważniejsze pozostało, jakie było. Posadzkę na przykład tworzyło około pięciuset anonimowych płyt nagrobnych podobnych do tych, które wystawiono na stelażach. Ozdobiono je przed wiekami prymitywnymi płaskorzeźbami w kształcie młotów, kotwic, podeszew i narzędzi wskazujących, czym za życia się parął nieboszczyk, którego miejsce pochówku ongiś oznaczały. Zniknęły natomiast ze świątyni ławki, konfesjonały, ołtarze, które swego czasu ją zapełniały.

– No więc? – ponaglił mnie Ormianin. – Od czego zaczynamy?

– Myślę, że nie ma sensu szukać tutaj tysiącletniego grobu.

Najstarsze mają najwyżej siedemset lat – oznajmiłam z przekonaniem.

– A mogłabyś wysilić trochę pamięć? I spróbować sobie przypomnieć, co najbardziej przykuło uwagę Martina, kiedy się tu znalazł pierwszy raz?

Owszem, to był jakiś pomysł.

– Nie wiem, czy to nam pomoże.

– Spróbuj. Nie wyjdziemy stąd bez kamienia. Jest nam potrzebny, żeby odnaleźć Martina.

– W porządku – westchnęłam. – Kiedy poznałam Martina, zachowywał się jak facet, któremu się zdaje, że wszystkie rozumy pozjadał. Nie mogłam znieść jego widoku. Wszedł tamtymi drzwiami – powiedziałam, wskazując południową stronę kościoła. – Przyszedł z Santiago na piechotę, bo jak twierdził, nie można mówić o prawdziwej pielgrzymce, jeśli po katedrze w Composteli nie pokona się jeszcze trasy stamtąd tutaj na własnych nogach.

– Dlaczego tak twierdził?

– Cóż... nie on pierwszy przybył do Noii z takich właśnie

pobudek. Wiele osób, które idą Szlakiem Jakubowym, utrzymuje, że po Santiago de Compostela pozostaje jeszcze jeden etap. Dodatkowy dzień marszu, na który się decydują tylko prawdziwi wtajemniczeni. Tymczasem ten zwyczaj wywodzi się z czasów jeszcze przedchrześcijańskich. Jest naprawdę stary. Trzeba dotrzeć do wybrzeża i zobaczyć słońce kryjące się na zachodzie, by zrozumieć, że ta ziemia to koniec świata. *La terra dos mortos*, jak tutaj mówią. Ziemia umarłych. Rzymska *finis terrae*, koniec ziemi, miejsce, gdzie kończy się stały ląd i zaczyna Mare Tenebrosum, Morze Ciemności. Słowem, w tym miejscu zanoszenie modłów do bogów z prośbą o protekcję było łatwiejsze niż gdzie indziej na świecie.

– I to jest właśnie sens istnienia adamantu...

– Owszem – przyznałam – masz słuszość. Tylko że wtedy o niczym jeszcze nie wiedziałam. Poza tym Martin miał jakieś swoje zapatrywania na to wszystko. Obsesyjnie szukał znaków kamieniarza na ścianach kościoła i kopiował je do notesu.

– Znaków? Jakich znaków?

– Takich jak ten – wyjaśniłam, wskazując miejsce na jednym z łuków podtrzymujących sklepienie. – Widzisz?

Był to wizerunek węgielnicy – prostej, wyrytej w kamieniu bardzo precyzyjnie.

– Jest ich tu setki – dodałam.

– Na coś jeszcze zwracał uwagę?

– Na wiele rzeczy... Właśnie dlatego chciał porozmawiać z kimś, kto dobrze zna ten kościół. Ujął mnie tą swoją ciekawością. – Uśmiechnęłam się. – Chyba bardzo go zainteresowała informacja, że te mury stoją na ziemi przywiezionej z Jerozolimy. Krzyżowcy zwozili ją tonami i wysypywali na terenie, gdzie stanęły

fundamenty Santa María, i na przykościelnym cmentarzu.

Duchok szeroko otworzył oczy.

– No proszę...

– To się da wytłumaczyć – mówiłam. – Miejscowi wierzyli, że kiedy przyjdzie czas apokalipsy, Zbawiciel zstąpi w pierwszej kolejności na świętą ziemię jerozolimską. Powiadali, że kto zostanie w niej pogrzebany, będzie miał zagwarantowane powstanie z martwych. A ponieważ mieli pewność, że tutaj będzie ostatni chrześcijański kościół na samym końcu świata, zbudowali go na ziemi jerozolimskiej, żeby był jeszcze świętszy.

– Hm... Tu chodzi o coś całkiem innego – mruknął Duchok.

Pomyślałam, że nieuważnie słuchał.

– O coś innego? – powtórzyłam. – Niby o co?

Ormianin pokręcił głową.

– Gleba jerozolimska ma wyjątkowy skład mineralny – rzekł poważnie. – Zwłaszcza Wzgórze Świątynne, na którym stoi Kopała na Skale. Zawartość żelaza jest w niej znacznie wyższa niż na okolicznych terenach, dzięki czemu grunt jest nadzwyczajnym przewodnikiem. To by zresztą tłumaczyło na przykład, że starożytni zdejmowali buty przed wejściem na świętą ziemię. Jakimś cudem mieli świadomość, że jeśli nie zakłócą jej naturalnych prądów, nic im nie grozi. Gdyby jednak do tego doszło, mogliby zostać śmiertelnie porażeni.

– Poważnie?

– Przypomnij sobie tych, którzy bez pozwolenia dotykali Arki Przymierza.

A tak! – uświadomiłam sobie. – Sheila o tym mówiła.

– Ale przecież to by znaczyło, że wiele wieków przed Voltą znano elektryczność!



– Bo znano, moja droga! Starożytni Egipcjanie galwanizowali metalowe przedmioty, wykorzystując słabe wyładowania elektryczne. W Muzeum Archeologicznym w Bagdadzie do czasu amerykańskiej inwazji przechowywano naczynie liczące ponad dwa tysiące lat, które służyło do wytwarzania prądu o niskim napięciu. Adamanty także kumulują elektryczność, żeby rozwijać swoje funkcje. Trzeba umieć dostrzec naukę w metaforach religijnych, nie sądzisz?

– A twoim zdaniem Martin miał tę umiejętność, tak? Potrafił „czytać” tego rodzaju wskazówki?

– No właśnie! – Uśmiechnął się. – Jest taka prawidłowość, że im bardziej cofamy się w przeszłość, tym więcej takich niespodzianek znajdujemy. Sumerowie na przykład mieli asfaltowe drogi, ale na długo o tym zapomniano, dopiero w dwudziestym wieku znowu zaczęto je tak budować. Martina właśnie takie rzeczy fascynowały, nie dziwi mnie więc, że jego uwagę zwróciły dane o składzie tej gleby. Twój mąż wiedział, że w dziejach ludzkości był okres niewiarygodnego postępu dzięki temu, że człowiek nawiązywał kontakt z bogami. Wiedział też, że działa się to zawsze na terenach o silnie naładowanym podglebiu. Niestety, ten kontakt uległ zerwaniu, a nam z tamtych czasów zostały tylko nieliczne pamiątki. No i zapomnieliśmy, jak ich używać. Tak jest z adamantami, które muszą być aktywowane w enklawach przygotowanych jak ta.

Duchok postąpił kilka kroków w głąb kościoła, po czym zapytał:

– Co jeszcze interesowało tutaj Martina?

– Cóż... dłuższą chwilę krążył sam po kościele. A wiesz? Od pierwszego wejrzenia wydał mi się dobrym człowiekiem. Ponieważ zjawił się w porze przerwy śniadaniowej, pozwoliłam mu rozglądać

się do woli, kiedy poszłam zjeść... Pamiętam – dodałam – że jak wróciłam, był bardzo skupiony. Rysował najstłynniejszy grób.

– Najstłynniejszy grób?

– Tamten – powiedziałam, wskazując całkiem dobrze zachowany grobowiec w odległości niecałych trzech metrów od nas. Był to kamienny sarkofag z pokrywą w kształcie ludzkiej postaci. – Nie wymieniałam go, bo akurat o tym zabytku wiemy wszystko ze szczegółami. I głowę daję, że nie ma związku z żadnym Noem.

Duchok podszedł do sarkofagu. Wspaniałego renesansowego pomnika nagrobnego w jednej z wnęk kościoła. Sarkofag ozdobiono starannie wykonanymi aniołami, herbami rodowymi, a nawet sporych rozmiarów medalionem z bykiem i krową pasącymi się pod rzędem cyprysów.

– Z którego jest wieku? Wygląda na młodszego niż reszta.

– Bo jest młodszy. Postać wyrzeźbiona na wieku ma ubranie szesnastowieczne. Wysoki beret, głowa na poduszkach, watowania, bufy, plisowana szuba to typowy strój kupca z epoki renesansu.

– A wiadomo, kim był?

– Oczywiście – przytaknęłam. – Znamy jego nazwisko i co nieco o nim wiemy. Jeśli spojrzysz na górną część, sam przeczytasz na wyrzeźbionej wstędze. Stoi tam: Ioan d'Estivadas. Jan z Estivadas. Co ciekawe, napisano to wspak. Jak w zagadce. Widzisz?

– Sad-av-itse-d-na-oi. Io-an d-Esti-va-das... – powtórzył Duchok, przesuwając palcami po inskrypcji.

Ormianin milczał przez chwilę, gładząc opuszkami litery. Odniosłam wrażenie, że coś tam sobie kalkuluje. Zabębnił palcami w inskrypcję. Powiódł po niej wzrokiem z prawa na lewo i na odwrót. Dmuchnął nawet na nią, wzbijając obłoczek kurzu. A kiedy skończył, na jego twarzy widniało zadowolenie.

– Julio... – zaczął uroczyście, odchrząknąwszy. – Już wiem, co chciał powiedzieć twój mąż w drugiej części wiadomości.

## ROZDZIAŁ 46

Prezydent podjął decyzję krótko przed północą.

Właśnie wtedy, z dala od czujnych oczu dziennikarzy, służbowa limuzyna dowiozła go do siedziby NSA w Fort George Meade, kawałek na północ od Waszyngtonu.

– Dobry wieczór, panie prezydencie.

Funkcjonariusz o marsowym obliczu otworzył drzwi limuzyny. Czterej goryle z tajnych służb weszli pierwsi. Osobisty sekretarz i szef gabinetu podążyli za POTUS-em – takim określali go skrótem, od *President Of The United States* – kiedy obstawa dała znać, że wszystko w porządku. Ostatni raport przysłany z Madrytu przez jego doradców zwiastował burzę.

– Dyrektor Owen oczekuje pana, panie prezydencie.

– To zaszczyt gościć pana tutaj, panie prezydencie.

– Witamy w NSA, panie prezydencie.

W labiryncie biur, sal konferencyjnych i pomieszczeń o wysokich zabezpieczeniach co krok rozbrzmiewały miłe słowa powitania.

Tylko Michael Owen, Afroamerykanin o niezglębionym spojrzeniu i nienaganych manierach, czekający w wykwintnie urządzonej części budynku na ostatnim piętrze, wydawał się zakłopotany tą wizytą.

Owen, doberman strzegący tajemnic państwowych, nigdy nie był

w dobrym humorze. Zdaniem podwładnych dlatego, że zrezygnował z wędrowek po agencji ze względu na protezę nogi, jednakże nie to stanowiło powód. W każdym razie nie tej nocy. Nie mógł się bowiem udać na spoczynek z winy jednego ze swoich agentów wysłanych do Hiszpanii. A jakby tego było mało, jeszcze prezydent się zjawił zupełnie nie w porę. „O święci pańscy! – jęknął Owen, krążąc wokół stołu. – Czy oni wszyscy dzisiaj się zmówili?”

Kiedy prezydent Castle stanął w drzwiach, zaprosił go do środka i po przywitaniu wskazał mu miejsce na jednej z sof, zaproponował mocną kawę, po czym nastawił się na najgorsze.

Castle wypowiedział tylko dwa słowa. Dwa słowa, które obsesyjnie go dręczyły.

„Wielka tajemnica”.

Owen przełknął ślinę.

– I co, Michael? – zagaił prezydent, nie kosztując nawet kawy. – Mam nadzieję, że przygotowałeś dokumenty, o które prosiłem.

– Dał mi pan na to ledwie godzinę.

– To i tak więcej, niż potrzebowałeś! Chcę wiedzieć, na jakim etapie jest ta... jak ją nazywasz?... Operacja Eliasza? – Wzrok POTUS- a stał się wyzywający. To spojrzenie rozślawił „The New York Times”, publikując stosowne zdjęcie, ilekroć pojawiała się sytuacja kryzysowa. – Tak trudno ci wykonać proste polecenie? Myślałem, że po zamachach w Czeczenii jasno określiłem, czego oczekuję po tej agencji.

– Panie prezydencie, w tej chwili ledwie się da...

– Popatrz, Michael – przerwał mu Castle z udawaną łagodnością – od dwóch lat z hakiem czytam codziennie te twoje cholerne raporty na temat bezpieczeństwa narodowego. Wszystkie są bardzo dokładne. Docierają do mojego biura skoro świt. Są syntetyczne.

Nawet pouczające. Mówiłeś w nich o finansach, broni jądrowej, bioterroryzmie, a nawet o załogowych misjach na Księżyc. Nigdy jednak ani słowem nie wspomniałeś o tej operacji.

– Nie, ale...

– Dyrektorze – przerwał mu znowu – zanim okłamiesz prezydenta, musisz wiedzieć, że Biały Dom spełnił swój obowiązek. Wczoraj wysłałem dwoje ludzi do Hiszpanii, żeby zbadali sprawę zniknięcia jednego z twoich byłych agentów. Z moich informacji wynika, że ten człowiek uczestniczył w przedsięwzięciu o kryptonimie Elias. – Castle z upodobaniem obserwował, jak na twarzy rozmówcy pojawia się zmieszanie. – Tegoż obywatela Stanów wprowadzono w Turcji, toteż pomyślałem, że jego żona, która mieszka w Europie, mogłaby nam udzielić jakichś istotnych informacji. I tu ciekawostka: twoi ludzie nas wyprzedzili jak wygłodniałe psy. A najgorsze jest to – ciągnął – że NSA nie powiadomiło mnie o porwaniu obywatela amerykańskiego. Tę wiadomość musiałem uzyskać kanałami nieoficjalnymi. I na dodatek niecałą godzinę temu dotarła do mnie wieść, że żona tego agenta także zniknęła. Do diabła, co tu się dzieje, Michael? Czego jeszcze mi nie powiedziałeś, chociaż powinienesz?

Twarz dyrektora Owena stwardniała. Przelotnie obrzucił spojrzeniem dwie osoby towarzyszące prezydentowi, dając do zrozumienia, że ich obecność nie jest mu na rękę.

– Rozumiem. Chcesz mówić bez świadków, tak? – zapytał Castle.

– Jeśli to możliwe...

– Nie lubię mieć tajemnic przed moimi ludźmi, Michael. Dobrze o tym wiesz.

– Pewnie mi pan nie uwierzy, ale ja też tego nie lubię. Tyle że ta sprawa tego wymaga. – Dyrektor NSA urwał na chwilę. – Bardzo

proszę, panie prezydencie.

Roger Castle się zgodził.

Kiedy chwilę później znaleźli się sami, zdziwiło go, że szef największej organizacji wywiadowczej na świecie wstał z sofy, by przynieść opasłą Biblię w czerwonej okładce, którą wcześniej odłożył na biurko.

– Muszę pana poprosić o coś jeszcze, sir. – I uroczystym tonem, trzymając Pismo Święte przed prezydentem, powiedział coś, czego Castle naprawdę się nie spodziewał: – Z racji sprawowanego urzędu, sir, błagam, aby pan przysiągł, że nie wyjawisz osobom trzecim żadnej informacji, którą usłyszysz ode mnie.

Roger Castle popatrzył na niego zaskoczony.

– No co ty? Przecież składałem przysięgę, kiedy obejmowałem urząd.

– Przykro mi, sir. Może wydaje się to panu niestosowne, ale jeżeli mamy mówić o operacji Eliasza, musi pan się podporządkować protokołom, które obowiązują prezydenta sprawującego urząd. Dość starym, to fakt, ale koniec końców ktoś je kiedyś opracował.

– Starym?

– Operacja, która pana interesuje, rozpoczęła się za prezydentury Chestera Arthura. Była pierwszą, którą wszczęto w naszym kraju, i dostęp do szczegółów można mieć tylko po złożeniu specjalnej przysięgi.

– Za Chestera Arthura?... Do diabła, przecież to było ponad sto lat temu!

Michael Owen kiwnął głową.

– Mało który z lokatorów Białego Domu domagał się dostępu do Eliasza, sir. Może się panu wydawać, że to kompletna ramotka, ale ta operacja zainicjowała działania na szeroką skalę naszych

tajnych służb. Dlatego nadano jej szczególny status. Dotąd udawało się ją chronić przed skutkami obowiązywania Ustawy o swobodnym dostępie do informacji, tak że naprawdę niewiele osób w ogóle o niej wie. Tylko Eisenhower w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim i George Bush senior w dziewięćdziesiątym pierwszym domagali się informacji. I obaj dopełnili tej formalności.

Owen czekał, aż Roger Castle zdecyduje, jak ma postąpić. W końcu rosły Afroamerykanin ze spojrzeniem wbitym w Biblię rzekł z naciskiem:

– To konieczne, sir.

– Czy potem stanę się współnikiem czegoś nielegalnego?

Stojący przed prezydentem dyrektor NSA przestąpił z nogi na nogę, kręcąc głową.

– Oczywiście, że nie.

Roger Castle niechętnie położył dłoń na Biblii i przysiągł, że zatrzyma dla siebie wszystko, co tutaj usłyszy. Zaraz potem Owen podsunął mu dokument, w którym wymieniano prawne skutki niedotrzymania tajemnicy, i prezydent złożył pod nim podpis.

– Mam nadzieję, że warto było – mruknął, chowając pióro.

– To już pan sam oceni. A swoją drogą, co pan wie o prezydencie Arthurze?

Owen zadał to pytanie jakby specjalnie po to, by zmniejszyć napięcie między nimi. Castle docenił zawieszenie broni i przez ułamek sekundy usiłował sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słyszał o dwudziestym pierwszym prezydencie Stanów Zjednoczonych.

– Podejrzewam, że wiem o Arthurze tyle samo co wszyscy. – Uśmiechnął się. – Nie można powiedzieć, że należał do najpopularniejszych prezydentów. W Waszyngtonie mówili na



niego „szef elegant”. Z tego co wiem, jemu zawdzięczam wspaniałą wystrój Białego Domu. Moją sypialnię zaprojektował Tiffany na jego zlecenie. Jemu też zawdzięczam budżet na oficjalne przyjęcia!

– Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że za tą fasadą skrywał się człowiek wcale nie taki frywolny, jak by się wydawało, sir. Chester Arthur był piątym synem irlandzkiego kaznodziei Kościoła baptystów. Po ojcu odziedziczył zamiłowanie do Pisma Świętego. Jak pan się domyśla, pielęgnował to zacięcie na gruncie prywatnym i bardzo się pilnował, żeby się nie wydało. Nawet jego żona o niczym nie wiedziała. Być może pan nie wie, że w Archiwum Państwowym przechowywane są trzy rolki mikrofilmów z jego osobistymi notatkami, w których też nie da się zauważyć żadnych śladów tego zamiłowania...

– Trzy rolki?

Owen kiwnął głową.

– Resztę papierów zabrał ze sobą, jak ustępował z urzędu.

– To były inne czasy – westchnął Castle. – Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdybym ja tak zrobił? Mów dalej, proszę.

– W czasie sprawowania urzędu Arthur zrobił coś, co niemal anegdotycznie ujawniało jego prawdziwą naturę: otóż powołał Biuro Wywiadu Marynarki Wojennej, naszą pierwszą tajną służbę. I z różnymi jej szefami rozmawiał o konieczności znalezienia dowodów na coś, co było jego obsesją. Domyśla się pan, o co mu chodziło?

Prezydent pokręcił głową.

– O potop, sir.

– Proszę dalej.

– Wszystko to trzeba rozpatrywać w kontekście tamtych czasów. W drugim roku urzędowania Arthura człowiek, który wcześniej

z ramienia jego partii sprawował funkcję zastępcy gubernatora Minnesoty, niejaki Ignatius Donnelly, wydał książkę „Atlantyda, świat przed potopem”. Cieszyła się wielkim wzięciem. Donnelly miesiącami przesiadywał w Bibliotece Kongresu, szukając dowodów, że Atlantyda, o której Platon wspomina w swoich dialogach, faktycznie istniała i została zniszczona w czasie potopu. Donnelly do dziś jest uważany za jednego z najbardziej świątłych członków w całej historii Izby Reprezentantów. Nic więc dziwnego, że lektura jego książki wstrząsnęła erudytą pokroju Arthura. Tym bardziej że akurat wtedy do Białego Domu nadeszły pierwsze informacje o wybuchu Krakatau. Proszę sobie wyobrazić: ten wulkan zmiotł z powierzchni ziemi cały archipeląg wybuchem o sile dziesięć razy większej niż moc bomby zrzuconej na Hiroszimę, tak że powstała wysoka na czterdzieści metrów fala tsunami, która zmyła dziesiątki miejscowości.

– To było w czasie jego prezydentury?

– Owszem. W tych okolicznościach można zrozumieć, dlaczego Arthur zobowiązał marynarkę wojenną do gromadzenia informacji na temat potopu i ustalenia, czy coś takiego może się powtórzyć wcześniej czy później.

Castle nadal spozierał na Owena z niejaką nieufnością.

– Mam nadzieję, że to wszystko prawda...

– Jak najbardziej, sir.

– W takim razie – podjął Castle z powagą – skoro polecenie odnosiło się do badania potopu, dlaczego prezydent Arthur ochrzcił te działania imieniem Eliasza, a nie Noego?

Na twarz Owena wypląnął uśmiech. Ten facet wciąż miał to samo wyczucie, które go wyniosło do Białego Domu.

– Jeszcze panu nie powiedziałem czegoś istotnego – odparł

dyrektor NSA. – Otóż Chesterowi Arthurowi nie zależało na tym, by znaleźć dowody, że w czasach Noego faktycznie był potop. To dla niego nie ulegało wątpliwości. Chciał natomiast się dowiedzieć, czy coś podobnego może się wydarzyć w trakcie jego prezydentury.

– A miał powody do takich obaw?

– W Biblii, panie prezydencie, o kolejnym potopie, późniejszym niż kataklizm z czasów Noego, można wyczytać w Księdze Malachiasza, która zamyka Stary Testament. Proszę. Niech pan zerknie na to.

Podał Castle'owi Pismo Święte w czerwonej okładce, tym razem otwarte na trzecim i ostatnim rozdziale Księgi Malachiasza: „Oto Ja pošlę wam proroka Eliasza przed nadejściem dnia Pańskiego, dnia wielkiego i straszego”.

– Widzi pan? „Dzień wielki i straszny” łączy się z powrotem Eliasza. To oczywiście wierzenie, ale jest ciągle żywe wśród żydów, którzy czekają na proroka w każdą Paschę, rezerwując nawet dla niego miejsce przy stole. Wyobraża pan sobie? Chester Arthur był tym opętany. Stąd właśnie nazwanie operacji imieniem proroka, który ma zwiastować nadejście przyszłej apokalipsy. I zapewniam pana, sir, że ustalenie jej dnia stało się priorytetem jego administracji. Aby osiągnąć ten cel, zaangażował marynarkę wojenną, ale też naukowców z bardzo różnych dziedzin w projekt, którego do tej pory nikt z uczestniczących w nim nie ośmielił się zakończyć.

– A dopięli swego? – Castle'owi nigdy nawet przez myśl nie przeszło, że słowa o „dniu wielkim i strasznym” wypowiedziane przez umierającego ojca mogą pochodzić z Biblii. – Ustalili, kiedy ten dzień nastąpi?

– Powiedzmy, że ostatecznie wszyscy ci mózgowcy doszli do

wniosku co najmniej dziwnego.

– No słucham, słucham.

– Wczytując się w teksty biblijne, zdali sobie sprawę, że zarówno w przypadku Noego, jak i Eliasza informacja o katastrofie nie wynika z ich umiejętności obserwowania natury. Przeciwnie, ani jeden, ani drugi nie byli w stanie sami określić daty końca świata. Została im objawiona bezpośrednio przez Siłę Wyższą. – Owen zamrugał nerwowo. – Przez Najwyższą Mądrość. Wielkiego Budowniczego. Przez Boga. Rozumie pan?

– Przez Boga, jasne – powtórzył Castle niedowierzająco. – No i?

– Chyba pan nie załapał, sir: celem operacji jest otwarcie kanału komunikacyjnego z Nim, żeby nas uprzedził, jeśli będzie się zanosilo na powtórkę kataklizmu. Chcemy mieć taką samą pewność przeżycia jak Noe. Proste.

– Proszę?

– Operacja Eliasz to poszukiwanie kanału, który pozwoli nam się porozumieć z Bogiem, sir. Dlatego NSA ją prowadzi. Bo przecież nasza misja polega na chronieniu łączności rządu, prawda?

– Żartujesz, tak? Trudno mi sobie wyobrazić kółko różańcowe w łonie wywiadu wojskowego tego kraju.

– To nie jest kółko różańcowe, panie prezydencie – sprostował Owen. – To grupa łącznościowa.

Castle'owi oczy o mało nie wyszły z orbit.

– Chcesz powiedzieć, że od ponad stu lat najpierw w ONI, a później w NSA realizowany jest bez przerwy tajny program, który ma doprowadzić do bezpośredniej rozmowy z Bogiem?

– To wszystko jest dużo bardziej racjonalne, niż się wydaje, sir. Lata prezydentury Arthura były czasem spirytyzmu. Zwykli ludzie wierzyli, że dzięki niemu można się porozumieć z innym światem.

Poza tym wydawało się, że postęp w dziedzinie elektryczności i telefonii będzie rósł wykładniczo, toteż powszechnie uważano za bardzo prawdopodobne, że pewnego dnia uda nam się pogadać z drugą stroną. A mówiąc dokładnie, z niebem.

Na twarzy prezydenta pojawiło się lekkie zakłopotanie.

– Powiedz, Owen, ile nas to kosztowało?

– Eliasz nie ma przyznanego budżetu. Jeśli potrzebne są informacje albo fundusze, uzyskujemy je za pośrednictwem którejś agencji.

– Dlaczego dotąd nikt nie zakończył tego wariactwa? Dlaczego to trwa?

Owen obrzucił go surowym spojrzeniem, podniósł się i pokuśtykał do okna.

– Przypominam, że program Apollo też był wariactwem, sir.

Mimo to w sumie dwunastu Amerykanów stanęło na Księżycu. Operacji Eliasz dotąd nie zakończono, ponieważ w ostatnim czasie uzyskano ciekawe wyniki.

– Kolejny żart?

Po raz trzeci w ciągu ostatnich kilku minut prezydent nie dawał wiary temu, co słyszał.

– Operacja Eliasz przeszła ewolucję od czasów Chestera Arthura. Teraz są możliwości poszukiwania istot rozumnych w przestrzeni kosmicznej zgodnie z filozofią bardzo podobną do tej, jaka Eliaszowi przyświecała od początku.

– Jasne – zgodził się Roger Castle. – W tysiąc osiemset osiemdziesiątym drugim nie dysponowaliśmy radioteleskopami...

– Dlatego powstał zespół mający odnaleźć radia, które starożytnym służyły do porozumiewania się z Bogiem, i uruchomić je znowu. Pracuje nad tym grupa naukowców, w której trwa ciągła

wymiana kadr. Prowadzą pracę stricte naukową, ale na fundamentach tak odległych od nauki i z tak pomyślnymi wynikami, że gdyby podać je do wiadomości publicznej, wyglądałoby to na magię.

– Zaraz, zaraz... Powiedziałeś: radia?

Castle nie posiadał się ze zdumienia.

– Pamięta pan dawne radia kryształkowe?

– Mój dziadek miał takie.

– Te prymitywne radioodbiorniki działały dzięki galenowi, minerałowi złożonemu z siarki i ołowiu. Sam minerał był w stanie wykrywać zmiany w otaczającym polu elektromagnetycznym. Nie potrzebował baterii, energię czerpał z własnych fal radiowych, a schemat działania miał prościutki. W urządzeniu odbiorczym podłączonym do odpowiedniej anteny jeden taki kamień mógł bez problemu przetwarzać fale średnie.

– I to znali w czasach Noego?

– Wierzymy, że tak. Wiemy, że nasi przodkowie używali kamieni, żeby rozmawiać z Bogiem. Minerałów tak zmodyfikowanych elektromagnetycznie, że były w stanie odbierać na częstotliwościach komunikacyjnych. Nie da się tego długo utrzymać w tajemnicy. Wspominają o nich wszystkie święte księgi: hebrajskie tablice praw, muzułmańska Al-Kaba, kamień Jakubowy, szkocki kamień przeznaczenia, „szeptanie” wyrocni delfickiej, irlandzki Lia Fáil... Znali je nawet rdzenni mieszkańcy Australii. Mówili na nie „kamienie ducha” albo czuringa.

Kamienie!...

Prezydentowi zaiskrzyło w zwojach mózgowych – przypomniał sobie obietnicę złożoną przez Ellen Watson: że zdobędzie taki kamień.

– Świetnie, Michael. A teraz posłuchaj: chcę wiedzieć wszystko o tym projekcie. Jaki jest jego program. Kto przy nim pracuje. Co zamierzacie zrobić, żeby osiągnąć cel. A także – dodał, starając się zajrzeć w oczy Owenowi, który stał przy oknie – dlaczego zniknęły dwie osoby mające związek z kamieniami.

– Nie ma sprawy, sir. Aczkolwiek muszę wyznać, że zadaje pan pytania akurat w chwili bardzo delikatnej dla operacji Eliasza.

– Co masz na myśli?

– Po raz pierwszy w ciągu ponad wieku pojawił się poważny konkurent.

– Proszę?

– Ktoś wykorzystał wiedzę starożytnych w zakresie tej technologii, żeby otworzyć kanał komunikacyjny, zanim myśmy to zrobili. I za sprawą tego kogoś zniknęły osoby, o które pan pyta. Ale już jesteśmy na ich tropie, sir.

– Do cholery, czyja to sprawka?

Owen odszedł od okna, z którego rozciągał się widok na oświetlony Washington Memorial wyglądający jak ognisty słup w ciemnościach nocy, i wytrzymał wzrok prezydenta.

– Abym odpowiedział na to pytanie, musielibyśmy wyjść z tego budynku, sir. Podejrzewam, że pańska limuzyna czeka?

– Oczywiście.

– Jeżeli pan rozkaże, żeby nam oczyszczono drogę, o tej porze w czterdzieści minut dojedziemy do NRO.

– Do Narodowego Biura Rozpoznania? Teraz?

Owen kiwnął głową.

– Musi pan coś zobaczyć. To ważne.

## ROZDZIAŁ 47

– „Będzie dla ciebie widoczna”, *se te da visionada*. ioan d’Estivadas. Sadavitsed Naoi... Nie widzisz?

Pokręciłam głową, czując się wyautowana. Ormianin patrzył na mnie byстрыm wzrokiem tak, jakby z trudem mógł się pogodzić z faktami: nasze umysły nie pracowały na tych samych falach.

– To anagram! – zawołał. – Widać jak na dłoni!

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Przekaz Martina na nagraniu to anagram nazwiska, które jest na tym nagrobku. Nie widzisz? Użył tych samych liter, ale w innym porządku. Martin nie mógł otwarcie powiedzieć, gdzie masz szukać kamienia, ale zaszyfrował informację, że musisz przyjść do tego kościoła i zainteresować się tym grobem. Twój kamień jest tutaj.

– Dziwi mnie twoja pewność siebie.

– Znam sposób myślenia Martina, moja droga. Posłużył się jedną z najstarszych metod szyfrowania. Jeśli litery tego nazwiska ułożysz we właściwym porządku, odczytasz dokładnie zdanie, które przesłał Martin. Pamiętasz jego ostatnie słowa z nagrania?

– Tak... jasne... – wyjąkałam. – „Ścieżka wiodąca do ponownego spotkania będzie dla ciebie widoczna”. – I powtórzyłam to po hiszpańsku: *La senda para el reencuentro siempre se te da*



*visionada.*

– No. I jeśli je rozumieć, jak ja proponuję, sens bije po oczach: słowa „ścieżka wiodąca do ponownego spotkania” mówią o miejscu, którym jest „będzie dla ciebie widoczna”, *se te da visionada*. Czyli Jan z Estivadas. Rozumiesz już? „Ioan d’Estivadas” i „se te da visionada” składają się z tych samych liter. Dokładnie z tych samych.

Podrapałam się po głowie mocno stropiona.

– Wiesz, nie bardzo rozumiem, co Estivadas ma wspólnego z Noem.

– O to ja powinienem zapytać. Powiedziałaś, że wszystko wiesz o Estivadasie.

– Prawie wszystko – uściśliłam. – W Noii jest nawet ulica nazwana jego imieniem. Był właścicielem piwnic winnych w wiosce. Urodził się w czasach panowania Królów Katolickich, niedługo przed odkryciem Ameryki, za żonę wziął sobie kobietę z dobrej rodziny, niejaką Marię Oanes. To najistotniejsze fakty z jego biografii. Sam rozumiesz, że człowiek, który żył w szesnastym wieku, nie jest dobrym kandydatem na drugiego Noego...

– Tak sądzisz? – Duchok się uśmiechnął. – Zastanów się. Jeśli się skupisz, zobaczysz, że wszystko jest w datach, które właśnie wymieniłaś.

– Skupiam się, ale dalej nic z tego nie rozumiem...

– Ależ to łatwe. Mógłbym dać głowę, że ten Estivadas w ogóle nie istniał. Że był symbolem. Zajęcie miał pokrewne do tego, co robił Noe: Estivadas był właścicielem piwnic winnych, a Noe uprawiał winną latorośl. Nawet rodowe nazwisko jego żony wyraźnie nawiązuje do czasów sprzed potopu. Babilończycy boga Enki

nazywali Oannes. Znasz *Epos o Gilgameszu*?

Drgnęłam.

– No pewnie.

– Więc nie muszę ci wyjaśniać, że Enki ostrzegł mezopotamskiego Noego, Utnapisztima, przed wielką powodzią. Poza tym – dodał Duchok, klepiąc płytę nagrobną – tutaj widnieje imię Estivadasa, Ioan, a wspan Naoi. Noe. Bez dwóch zdań właśnie tego grobu szukamy.

Patrzyłam na niego zdumiona, nie wiedząc, co powiedzieć.

– No! – ponaglił mnie. – Powiedz, co jest w tym grobowcu.

– Niczego nie ma... z tego co wiem. Był pusty, już kiedy go przenoszono z pierwotnego miejsca, to znaczy z kościoła San Martiño.

– Czyli bardzo prawdopodobne, że teraz coś w nim jest. Pomożesz mi odsunąć pokrywę?

## ROZDZIAŁ 48

Ten jeden raz Antonio Figueiras snuł marzenie bezprecedensowe jak na marksistę: pragnął mieć zdolność rozdwojenia jak święty Marcin de Porrès. Znalezienie się równocześnie w dwóch miejscach oszczędziłoby inspektorowi podejmowania trudnej decyzji: podążyc tropem śmigłowca, który zwiął mu sprzed nosa wraz z mordercą dwóch policjantów na plaza del Obradoiro, czy pognać do Marcela Muñiza, aby wysłuchać, czego przyjaciel się doszukał na temat kamieni Faberów.

Jego komisariat już się skontaktował z radarem wojskowym w górach Barbanzy na Costa da Morte, aby sprawdzić plan lotu maszyny, tak że w czasie gdy jego ludzie będą szukali tej informacji, on postanowił się udać do Marcela.

Muñiz mieszkał zaraz za kościołem Santa María Salomé, przy ciasno zabudowanej wąskiej uliczce, gdzie mieściły się sklep, skromny hotel i restauracje nieznane zgiełkliwym tłumom turystów i pielgrzymów. Jubiler odnowił jeden z najstarszych budynków w Santiago, przekształcając go w prywatne muzeum. Dom był jak marzenie. Zapełniały go zabytkowe przedmioty, książki i wspomnienia z podróży, wydawało się, że na tych półkach można znaleźć odpowiedź na każde pytanie. A tego właśnie Figueiras bardzo potrzebował. Odpowiedzi. Pierwsze szacunkowe

analizy ekspertów potwierdziły jego najgorsze obawy: łuski znalezione przy zamordowanych policjantach były takie same jak zebrane przez dochodzeniowców w katedrze. Ta wieść, zamiast go pobudzić, wywołała jeszcze większą frustrację. Gdyby minutę wcześniej dotarł na plac, tylko minutę, zatrzymałby zabójcę i być może uratowałby życie swoim ludziom.

– Mówisz, że uciekli śmigłowcem? Jesteś pewien?

Muñiz przygotował kawę i ciasteczka, gustownie nakrył stół w salonie. Siedząc na jego końcu w koszuli z zakasnymi rękawami, lecz w nieodłącznej muszce, ze świeżo wygoloną łysiejącą głową, patrzył na inspektora zdumiony.

– Widziałem na własne oczy, Marcelo. To wszystko jakaś grubsza sprawa.

Figueiras prezentował się smętnie. W porównaniu z nienagannie wyglądającym Muñizem sprawiał wrażenie włóczęgi. Mimo okularów widać było po oczach, że ma za sobą zdecydowanie za długą noc. Wargi miał spierzchnięte, koszulę wygniecioną, brudne włosy rozczochrane.

– No dobra... Może będę mógł ci pomóc – powiedział Marcel, nalewając kawy i przysuwając mu filiżankę, po czym sam się napił i z uśmiechem od ucha do ucha dodał: – Wiem, dlaczego kamienie, które wwieźli tu Faberowie, są takie cenne.

Inspektor podniósł wzrok znad kawy i spojrzał na niego wyczekująco.

– No to wal, na co czekasz?

– Pierwszy trop sam mi dałeś, jak powiedziałeś o deklaracji celnej. Pamiętasz? Zacząłem od tego. Pogrzebałem w internecie i znalazłem coś dziwnego. Te kamienie, przyjacielu, nie pochodzą z Ziemi.

– No co ty, stary?

– Wcale nie żartuję – odparł Muñiz poważnie. Znikł szelmowski błysk w jego oczach. – Prześledziłem ich dzieje dzięki numerowi rejestrowemu i chyba to coś dało. Otóż zanim Faberowie przywieźli je do Hiszpanii, przez jakiś czas były w laboratorium British Museum. Nie ma raportu z badań. Szkoda. Ale w bazie danych muzeum znalazłem datę przyjęcia i wydania kamieni i pewien bardzo osobliwy szczegół.

– Litości, Marcel... Nie mam na to całego dnia.

– Z rejestru wynika, że kamienie do muzeum oddał nie Martin Faber, tylko The Betilum Company. TBC. Mówi ci to coś?

Figueiras trochę sennie pokręcił głową.

– Przeszukałem całą sieć i niczego nie udało mi się o niej znaleźć. To jakaś firma widmo. Ale kiedy już miałem się poddać, coś mi przyszło na myśl...

– Mianowicie?

Muñiz co prawda cieszył się niejaką renomą geniusza informatycznego, niemniej jego obszerne wyjaśnienia zaczynały przerastać oczekiwania inspektora.

– Szukałem tej nazwy na najczęściej odwiedzanych stronach antykwarycznych. Nic nie znalazłem. Za to kiedy zerknąłem na wykazy klientów rangi VIP, którzy kupują książki na dużych aukcjach, trafiłem w dziesiątkę! Złapałem ślad.

– Jaki ślad? – zniecierpliwił się Figueiras.

– Ta firma, The Betilum Company, od jakiegoś czasu skupuje przez sieć rzadkie książki. Drogie książki. Wszystkie związane z magią, astrologią, apokryfami itepe. Ostatnio nabyła „Monas Hieroglyphica”, tekst wydany w Holandii w tysiąc pięćset sześćdziesiątym czwartym roku. Po łacinie. Autorem był niejaki

Ioannes Dee Londinensis.

– Wiesz, o czym jest ta książka?

– Właśnie to jest najciekawsze! To traktat na temat symbolu, który zdaniem autora właściwie użyty, mógłby zagwarantować panowanie nad wszechświatem. Dee twierdzi, że ten rysunek zawiera fundamentalne zasady całego stworzenia. Jest czymś w rodzaju uniwersalnego klucza, dzięki któremu można w pełni kontrolować naturę. Słowem, można być jak Bóg.

– Traktat o symbolu, powiadasz?... – rzekł w zamyśleniu Figueiras. Muñiz był drugą osobą, która tej nocy wspominała o symbolu.

– Właśnie. Chcesz go zobaczyć? To ten.

Inspektor wyjął z kieszeni notes i mniej więcej dokładnie przekopiował rysunek. Trudny nie był.



– Mówi ci coś? – spytał Marcelo.

– Niestety nie.

– Mam jeszcze jedną informację, która cię ucieszy – ciągnął Muñiz. – Ten John Dee zasłynął dzięki umiejętności posługiwania się magicznymi kamieniami w epoce elżbietańskiej. A kamienie Faberów są skatalogowane jako pochodzące właśnie z tych czasów.

Dee miał kamienie wróżebne, bardzo rzadkie. Służyły do przepowiadania przyszłości, rozmów z duchami itepe...

W większości były meteorytami. Dlatego mówię, że są pochodzenia pozaziemskiego. I moim zdaniem – dodał podekscytowanym głosem – właśnie te egzemplarze Faberowie przywieźli do Hiszpanii, kiedy się tu przeprowadzali.

– Jesteś pewien?

Marcelo zabrał ze stołu filiżanki i cukierniczkę i rozłożył na blacie fotokopie stron ze starej książki. Tekst był po łacinie. Na sam ten widok Figueirasowi wzrok się zmącił.

– Zerknij na to. To strony z „Monas Hieroglyphica” – mówił Muñiz z podnieceniem. – Kolega z Los Angeles zeskanował mi je jakiś czas temu i przesłał pocztą elektroniczną. Patrz tutaj. We wstępie do pracy dedykowanej cesarzowi Maksymilianowi Habsburgowi, miłośnikowi nauki, ale też magii, Dee wyjaśnia, że ten symbol jest rodzajem matematycznego klucza pozwalającego nawiązać kontakt z niebem. Dość zawile tłumaczy, że kto odczyta znaki pradawnego zapomnianego pisma, mając „kamienie Adamowe”, czyli odrobinę boskiej materii, ten będzie mógł przywołać Boga i rozmawiać z nim.

– Kamienie Adamowe? A cóż to jest, do diabła?

– Kamienie Adamowe. Adamanty. Różnie je nazywają, Antonio, ale zawsze są opisywane jako minerały zabrane z raju. Kamienie, które spadły na ziemię i czczone są jako święte. Można przez nie jak w telewizorze oglądać rzeczy bardzo odległe... Oczywiście to pewien rodzaj meteorytów, które można było uaktywnić za pomocą właściwego rytuału magicznego. Patrz – polecił, popychając go ku jednej z kartek. – Tutaj zostało to wyraźnie powiedziane: kto je posiada, „*aerean omnem et igneam regionem explorabit*”. Pozna

wszelkie rejonu nieziemskie i ogniste.

Figueiras wodził palcem po kartce, szukając tego fragmentu.

PRAEFATIO AD REGEM

- Primus Ipse abibit: Rarefimeque, potest, Mortalium conspicietur oculis. Haec, O Rex Optime, Vera est, toties decantata ( & sine Scelere ) MAGORVM INVISIBILITAS: Quae ( ut Posteriores fatebuntur Magi ) nostra est MONADIS concessa Theorij. Expertissimus*
11. *MEDICVS, etiam ex eisdem, facillimè Hippocratis Myelicam assequetur voluntatem. Sciet enim, QUID, CUI, ADDENDVM ET AUFERENDVM sit: ut, ipsam Artē sub maximo MONADIS nostra Compendio, & MEDICINAM ipsam contineri, Lubens deinde futuri*
12. *Velit. BERYLLISTICVS, hic, in Lamina Chrystallina, omnia quae sub Caelo LVNÆ, in Terra vel Aquis versantur, exactissimè videre potest: & in Carbunculo siue*  
*Ἐρικ Lapidē, Aëream omnem & Ignēam Regionem explorabit. Et, si VOARCHADVMICO, nostra Hieroglyphica MONADIS, Theoria vigesima prima, satisfaciāt, Ipsique, VOARCH BETH ADVMOETH, Speculandum ministret: Ad Indos vel Americos, non illi esse Philosophandi gratia, peregrinandum, fatebitur.*
14. *Trinque de ADEPTIVO genere, ( quicquid vel ARIOTON Ars subministrare, vel polliceri possit, vel viginti Annorum maximi Hermetis labores sunt affecuti ) licet ad Parisienses, sua MONADE peculiari ( Anagogica Apodixi illustratum ) aliās scripserimus: Vestrae tamen Maiestatī Regiæ, constanter asserimus, LD. OMNE, Analogico nostra MONADIS Hieroglyphica Opere, ita ad vivū exprimi, ut Similius aliud Exemplum, humano generi non possit*

– I zwróć uwagę na to, co poprzedza te słowa – rzekł Muñiz, stojąc mu za plecami. – Trzy nieco zamazane hebrajskie litery



przed słowem „lapide”, kamień.

– Nie znam hebrajskiego – zaprotestował Figueiras.

– To alef, dalet i mem. אָדָם. Spółgłoski imienia Adam. *Adam lapide* znaczy kamienie Adamowe, adamanty, kamienie z raju.

– I uważasz, że kamienie Faberów są właśnie tego rodzaju? – szepnął inspektor, znalazłszy wreszcie w tekście fragment zdania, który o nich mówił.

– Nie tego rodzaju. To są te same kamienie – oznajmił Marcelo.

– Oczywiście wiesz, co znaczy „betilum”?

Figueiras pokręcił głową. W kieszeni poczuł niepokojące wibrowanie – na komórkę przyszedł esemes.

– Tak sądziłem. – Muñiz się uśmiechnął. – To słowo pochodzenia biblijnego. Betel. Tak Jakub nazwał miejsce, gdzie miał wizję drabiny prowadzącej do nieba. Doznał jej, kiedy ułożył się do snu, opierając głowę na czarnym kamieniu. Na jednym z adamantów. Nazwa Betel znaczy Dom Boga, a od średniowiecza terminem „betyl” nazywano meteoryty o pewnych właściwościach.

– Ile coś takiego jest warte? – spytał Figueiras, otwierając esemes otrzymany tak wczesną porą.

Muñiza zdumiała ignorancja i nieczułość przyjaciela.

– To zależy.

– Zależy?

– Tak. Od właściwości kamienia, jego wieku, dziejów... Kamienie powiązane jakoś z Johnem Dee mogłyby kosztować fortunę. A jeśli w dodatku otwierają bramy nieba, są bezcenne.

– Wierzysz, że niebo ma bramy?

– Jestem wierzący. Nie tak jak ty...

Ale Antonio Figueiras nie zwracał już na niego uwagi. Esemes

był od komendanta, który bezskutecznie próbował się do niego dodzwonić i ostatecznie w ten sposób przesłał mu rozkazy. Miał się zająć „bardzo specjalnymi” posiłkami, które właśnie lądowały na lotnisku w Lavacolli. I to niezwłocznie.

## ROZDZIAŁ 49

Na pokrywie sarkofagu Jana z Estivadas widniało wiele uszkodzeń. Twarz jakiś wandal porył ostrym narzędziem, dziurę z boku skrzyni niedbale załatano cementem. Artemi Duchok przejechał palcami po skazach, lecz nic nie powiedział. Nie skomentował również tego, że dwa z siedmiu herbów zniknęły, osłabiając strukturę skrzyni, tak że mogła się rozpaść przy poruszeniu pokrywy.

– Nie stój tak! – ponaglił mnie Duchok, wyczuwając moje obiekcje w związku ze stanem zabytku. – Przesuniemy ją tylko o parę centymetrów, zerkniemy do środka i nakryjemy z powrotem.

– Ma pięćset lat... – szepnęłam.

– Nikt niczego nie zauważy. Słowo.

Stanęliśmy w nogach sarkofagu Jana z Estivadas i chwyciliśmy pokrywę z obu stron. Pierwsza próba nic nie dała. Albo wieko ważyło więcej, niż nam się zdawało, albo co gorsza, zostało zacementowane. Za drugim razem płyta drgnęła. W nawie rozbrzmiał zgrzyt kamienia trącego o kamień i ujrzelśmy czarną szparę.

Chociaż ze skrzyni zaleciało kwaśnym smrodem, ja pierwsza zajrzałam do środka.

I ogarnął mnie wielki zawód.

Sarkofag był pusty. Puściuteńki.

– Tu nic nie ma. – Rozczarowanie słychać było w każdym z tych słów.

– Na pewno?

Stojący naprzeciw mnie Duchok wyjął z kieszeni latarkę i snopem światła omiółł wnętrze skrzyni. W głębi zamigotały tylko drobinki kurzu i nieliczne pajęczyny. W środku sarkofag był w jeszcze gorszym stanie niż na zewnątrz. Ścianki miał całe podziurawione, jakby wygryzione przez robaki w miękkim porowatym wapieniu. Dno pokrywała co najmniej centymetrowa warstwa szarego wyschniętego pyłu. Szczęśliwie światło latarki Duchoka wydobyło z ciemności coś, co natychmiast zwróciło naszą uwagę: jakby ślad. Ślad palców, którymi ktoś przesunął po wierzchu warstwy kurzu. Zaczynał się z prawej strony i ginął w głowach skrzyni, w rogu po stronie, po której ja stałam.

– Jest! – mruknął Ormianin z satysfakcją, oświetlając latarką tę część sarkofagu. – Schyl się. Jest tam, tuż koło ciebie.

Zrobiłam, o co prosił – nachyliłam się nad wnętrzem skrzyni.

Ormianin miał słuszność: na wyciągnięcie ręki zobaczyłam małe płócienne zawiniątko, które mogło skrywać mój kamień. Obwiązano je złotym sznureczkiem i starannie umieszczono w zagłębieniu niewidocznym dla tego, kto by przypadkiem zajrzał do sarkofagu.

Podenerwowana wyobraziłam sobie, jak Martin szykuje zawiniątko swoimi dużymi dłońmi i ukradkiem chowa je tutaj. Może dlatego wzięłam je do ręki, nie bardzo wiedząc, co dalej z nim począć.

– Odwiń!

Rozsuplałam jakoś sznureczek i rozdygotana odeszłam kilka

kroków od sarkofagu, szukając miejsca, gdzie w lepszym świetle mogłabym obejrzeć zawartość szmatki. Zaraz wszystko będzie jasne.

Tak jak przypuszczaliśmy, był w środku. Doskonały. Wprawiony w srebrny pierścień, żeby można go nosić na szyi. Już poddawałam się fali emocji i wspomnień wywołanej przez kamień, gdy za moimi plecami Artemi Duchok zagrzmiał cierpko:

– Na co czekasz? Musimy go natychmiast aktywować!

## ROZDZIAŁ 50

Roger Castle doskonale pamiętał, kiedy po raz pierwszy pozwolono mu publicznie powiedzieć o NRO, Narodowym Biurze Rozpoznania. Było to we wrześniu 1992 roku. Właśnie został wybrany na senatora w Nowym Meksyku, a ten podlegający armii urząd był jeszcze jedną z najlepiej strzeżonych tajemnic państwowych. Tego roku zwrot w wojnie w Zatoce i konieczność ukazania światu wizerunku silnego państwa zmusiły prezydenta Busha do ujawnienia NRO – otworzył tym samym puszkę Pandory, której gromy i błyskawice raziły połowę stacji telewizyjnych na ziemi. Przed tą historyczną decyzją patrioci pokroju Rogera Castle’ a ograniczali się tylko do żartowania na temat tego, co wiedzieli o biurze: jego skrótu. Mówili, że NRO znaczy *Not Referred to Openly*, „niewymieniane otwarcie”, zdając sobie sprawę, że nigdy nie poznają jego budżetu, który już wtedy opiewał na kwotę sześciu miliardów dolarów rocznie, a tym bardziej się nie dowiedzą, czym właściwie się zajmuje.

Od końca ery Busha Castle marzył o tym, by zobaczyć zaawansowane technologicznie urządzenia NRO i przeznaczyć je do czego innego – miałyby służyć podatnikom. „Oczy i uszy narodu w przestrzeni kosmicznej” w nieodległej przyszłości zamierzał oddać ku pożytkowi wszystkich – w tym ekipy swoich doradców – a nie

tylko wojskowych. Obecny prezydent wiedział zatem, że niebawem wkroczy na teren, na którym nie cieszył się popularnością.

Michael Owen i Roger Castle szybko dotarli do siedziby NRO w Chantilly w Virginii skrywającej się w dyskretnym budynku koloru łososiowego bez żadnych napisów informacyjnych na zewnątrz. Skromny konwój z prezydencką limuzyną wjechał na parking na tyłach i zanim zegary wybiły pierwszą po północy, obaj siedzieli wygodnie w biurze, z którego mieli widok na salę kontroli satelitów. Tutaj pracowano dwadzieścia cztery godziny na dobę trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku.

– Jestem Edgar Scott, panie prezydencie. To zaszczyt gościć pana u nas.

Castle uścisnął dłoń mężczyźnie około pięćdziesiątki, w grubych okularach w plastikowych oprawkach. Bez wątpienia dwadzieścia minut wcześniej wyciągnęli go z łóżka, nie starczyło mu nawet czasu, aby się ogolić. Nie grzeszył posturą, miał ulizane szpakowate włosy otaczające wianuszkami łysy czubek czaszki, żółknięte zęby i głębokie zmarszczki na czole. Z całą pewnością w takiej sytuacji jeszcze nigdy nie był: stał przed najpotężniejszym człowiekiem na ziemi, zachodząc w głowę, dlaczego jakiś błahy incydent sprowadził prezydenta do jego biura.

A może wcale nie był błahy?, przemknęło mu przez myśl, gdy próbował cokolwiek wyczytać z nieprzeniknionej twarzy Michaela Owena.

– Pan Scott – dopełnił prezentacji szef NSA – jest dyrektorem Narodowego Biura Rozpoznania i koordynatorem prac zespołu naukowców zaangażowanych przy operacji Elias. Jest na bieżąco z wszystkim i odpowie na każde pana pytanie.

Castle zmierzył go wzrokiem. Natychmiast zauważył, że Scott

jest mocno speszony koniecznością omawiania tematu tabu. Owen tymczasem posunął się jeszcze dalej w swych żądaniach, mówiąc:

– Proszę pokazać panu prezydentowi to, co w Hiszpanii dwie godziny temu, o piątej dwadzieścia trzy czasu lokalnego, przechwyciło jedno z naszych „oczu”.

– Z przyjemnością, dyrektorze. – Scott ulegle przejął pałeczkę od Owena. – Nie wiem, na ile jest pan obeznany z naszą technologią skanowania powierzchni Ziemi, sir.

Castle postanowił, że będzie uprzejmy. Uśmiechnął się.

– Proszę mi ją przybliżyć.

– Dysponujemy na wyłączność blisko pięćdziesięcioma satelitami orbitalnymi zaopatrzonymi w aparaturę o najwyższej rozdzielczości – zaczął Scott z nieskrywaną dumą. – NSA, CIA, wywiad sił powietrznych i marynarki wojennej codziennie korzystają z naszych danych. Jednym z najcenniejszych urządzeń są detektory emisji energii elektromagnetycznej. Każdy z naszych satelitów jest w stanie wykryć najmniejsze nawet zmiany w polu elektromagnetycznym Ziemi. Potrafilibyśmy na przykład określić temperaturę zupy z raków w sali jadalnej Białego Domu i jej skład. Wystarczyłoby zbadać różnice w otaczającym ją polu elektromagnetycznym, żeby uzyskać jej skład chemiczny.

– A ja sądziłem, że budujemy sztuczne satelity, żeby czytać „Prawdę”, którą Władimir Putin co rano otwiera w swoim biurze! – zażartował Castle.

– To też jest możliwe, sir. Ale z całym szacunkiem, to ostatni z naszych priorytetów.

– W porządku. W przyszłości będę jadał tylko zupę krem vichyssoise – rzekł prezydent nadal żartobliwie. – A cóż takiego satelity wypatrzyły tej nocy w Hiszpanii?



– W życiu czegoś takiego nie widziałem, sir. Zaalarmował nas satelita najnowszej generacji, tak skalibrowany, żeby ostrzegał przy każdej niecodziennej aktywności energetycznej na terytorium Iranu, Iraku i Indii. Prowadził rutynową obserwację Bliskiego Wschodu ze stałej wysokości czterystu kilometrów, ale kiedy przeskanował zachodnią część Półwyspu Iberyjskiego, wykrył coś przypadkowo. – Edgar Scott wyjął z czarnej tuby zrolowane arkusze i rozpostarł je na stole. – Wytłumaczę dokładnie – ciągnął. – Tutaj widzi pan obraz uzyskany jakieś czterdzieści osiem godzin temu z wysokości stu tysięcy stóp. Jaśniejsze plamy widoczne tu i tu – wskazał dwa punkty na północ od Portugalii – to miasta La Coruña i Vigo na zachodnim wybrzeżu Hiszpanii. I proszę spojrzeć na tę ciemną strefę tutaj. W głębi lądu, jakieś czterdzieści kilometrów w linii prostej od morza, leży miasto Santiago de Compostela. Widzi pan? Są tu raptem dwa czy trzy punkty światła.

Prezydent kiwnął głową.

– A teraz proszę popatrzeć na to zdjęcie zrobione przez tego samego satelitę dziś w nocy, krótko przed lokalnym wschodem słońca.

Castle skupił uwagę na drugim zdjęciu tej samej wielkości co poprzednie. Zostało świeżo wydrukowane, bił od niego zapach tuszu.

– Dlaczego Santiago jest teraz takie jasne? – zapytał, spostrzegłszy, że w miejscu, gdzie leży miasto, po czerni nie pozostał ślad.

– Dobrze pan zauważył, sir. Cieszę się. HMBB podniósł alarm, kiedy wykrył tę zmianę. Trwała jakieś piętnaście minut. W tym czasie pole elektromagnetyczne na tym terenie miało siłę, jakiej nie odnotowaliśmy nigdy dotąd.

– Nikt więcej tego nie wykrył? Chińczycy? Rosjanie?

– Nie sądzę. Gdybyśmy mieli do czynienia na przykład z bombą magnetyczną, detonacja pochłonęłaby całą energię miasta i blask trwałby dłużej. W takim wypadku wykryłby to byle satelita. Tutaj natomiast działanie impulsu było skoncentrowane na dość ograniczonej powierzchni. Widać to na powiększeniu zdjęcia tej strefy – rzekł Scott, rozwijając kolejne zdjęcie satelitarne, na którym można było zobaczyć zarysy paru oświetlonych latarniami ulic na obrzeżach Santiago. – Widać wyraźnie. Fala elektromagnetyczna pograżyła w ciemności obszar o powierzchni dwóch kilometrów kwadratowych wokół tej dużej budowli tutaj.

Zaciekawiony Castle pochylił się nad zdjęciem. Dostrzegł kształt krzyża w szarościach.

– Co to?

– Katedra, panie prezydencie. Fala rozeszła się od niej, chociaż nie udało nam się ustalić, czy powstała w katedrze czy w którymś z okolicznych budynków. – Szef NRO poluzował krawat, jakby wiele go kosztowało wygłoszenie następnych słów, które cisnęły mu się na usta: – Właściwie nie muszę chyba dodawać, że w tym rejonie nie ma żadnych laboratoriów badawczych, poligonów doświadczalnych ani instalacji zdolnych wygenerować impuls o takiej sile. Niepokoi nas za to, że...

– Tak?

– Otóż uważamy, że kierowano go w górne warstwy atmosfery.

– W górne warstwy atmosfery?

– Już wyjaśniam, o co chodzi – podjął Scott. – W północno-zachodniej Hiszpanii ktoś wysłał silny sygnał w przestrzeń. A my nie wiemy ani kto to zrobił, ani jak, ani oczywiście co sygnał zawierał. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie znamy

urządzenia, które byłoby zdolne wygenerować tak potężną emisję. Nie ma czegoś takiego. Z wyjątkiem może tych reliktyw, które w ramach operacji Eliasza próbujemy monitorować, ilekroć gdzieś na świecie wykryjemy ich działalność.

– A najciekawsze, sir – wtrącił Owen – jest to, że żona byłego współpracownika przy Eliaszu, o którą pan pytał u mnie w biurze, przebywała tam w chwili emisji sygnału. Później zniknęła.

– Poważnie?

– Rozumie pan teraz, dlaczego wysłałem jednego z moich najlepszych ludzi, żeby z nią pogadał? Rozumie pan, z jaką delikatną sytuacją mamy do czynienia? – Twarz dyrektora NSA spochmurniała. – Taki nadajnik nie powinien pozostawać poza naszą kontrolą.

Roger Castle znowu się nachylił nad zdjęciem satelitarnym, które uchwyciło wiązkę elektromagnetyczną.

– Satelita nie wykrył, kto ją wprowadził? – zapytał prezydent Michaela Owena.

– Nie. Ale na pewno ta anomalia miała miejsce równocześnie z wprowadzeniem. Mówi to panu coś?

Castle pokręcił głową.

– A mnie owszem – ciągnął Owen ponuro. – Jest pan strategiem, panie prezydencie. Proszę połączyć fakty, z którymi mamy do czynienia: ktoś niezidentyfikowany wprowadził byłego agenta zaangażowanego w operację Eliasza; potem ścigał jego bliską osobę i wie, jak używać „radiowych kamieni” zgodnie z techniką, z której nie korzystano od czasów biblijnych... Czy tamta strona może dążyć do czegoś innego niż my?

– Chcą rozmawiać z Bogiem? – wymamrotał niedowierzająco Castle.

– Panie prezydencie, jeśli pan pozwoli, w ramach operacji Eliazs ciągle jeszcze możemy pierwsi odebrać ten telefon. Proszę się zgodzić, żebyśmy dalej działali.

## ROZDZIAŁ 51

– Kurde, jak się aktywuje kamień?

Duchok popatrzył na mnie jak na idiotkę.

– Tak jak zawsze – odparł. – Nie przekazano ci, że kamienie się włącza za pomocą pewnych wibrujących dźwięków? Mąż ci nie powiedział, że niektóre dźwięki wydawane przez ludzkie struny głosowe są w stanie zmienić strukturę materii?

Po raz kolejny Ormianin miał słuszość. Wiedziałam o tym. Przynajmniej teoretycznie. Jednakże byłam tak podenerwowana tym, co się wokół mnie działo w ostatnich godzinach, że mój umysł zepchnął zasoby pamięci na drugi plan. Najwyraźniej pragnąc odzyskać cudowny kamień i jak najszybciej rozpocząć poszukiwanie Martina, zapomniałam o najważniejszym: jeśli nie wypowiem odpowiedniej inwokacji, jeśli nie wygłoszę poprawnie zamawiań Johna Dee, które ożywiają jego talizmany, kamienie pozostaną pospolitymi minerałami.

– Kiedy ten kamień się włączy – wyjaśnił mi Ormianin – kamień Martina odpowie tak samo. To właśnie filozofowie przyrody, tacy jak John Dee czy Roger Bacon, nazywali *speculum unitatis*, lustrzaną jednością, a współcześni fizycy określają jako splątanie kwantowe. Wyobraź to sobie: dwie cząstki pochodzące od tej samej „matki” działają zawsze identycznie niezależnie od odległości, która

je dzieli.

– I w ten sposób się dowiemy, gdzie jest Martin? – spytałam niedowierzająco.

– Owszem. Mamy przyrządy, które wykryją każdą emisję elektromagnetyczną tego typu co wysyłana przez kamienie, gdziekolwiek do niej dojdzie. Jeżeli kamień Martina odpowie na ten kamień po aktywacji, uzyskamy jego koordynaty właściwie w czasie realnym. Ty zrób swoje. Ja zajmę się resztą...

– A jeżeli się nie uaktywni? – spytałam niespokojnie, nie mając pojęcia, jak daleko mogą sięgnąć macki mojego towarzysza. – Jeśli to nie zadziała?

– Masz dar. Skup się na kamieniu i rób, co należy. To wszystko. Nie miałam wyboru.

Drżąc, wzięłam kamień w ręce i wydobyłam ze srebrnego pierścienia, w którym wyglądał jak wisiołek. Artemi Duchok tymczasem wyjął telefon komórkowy i wpisał adres w przeglądarce internetowej. Powiedział, że na stronie amerykańskiej Narodowej Agencji do spraw Oceanów i Atmosfery musi sprawdzić, jak się przedstawiają warunki magnetyczne na Słońcu w ostatnich godzinach. Dzięki pracy Martina jako klimatologa wiedziałam, że ta witryna udostępnia na bieżąco zdjęcia Słońca, pomiary promieniowania X, prognozowane mapy zórz polarnych oraz ostrzeżenia o burzach magnetycznych łącznie ze wskazaniem zakłóceń fal radiowych spowodowanych wybuchami. Jeszcze nie tak dawno naukowcy bagatelizowali wpływ gwiazdy na klimat na Ziemi, a nawet na jej aktywność sejsmiczną, lecz ciągle przybywało takich, którzy doceniali rolę Słońca. Duchok najwyraźniej zaliczał się do tej grupy.

Obejrzawszy zdjęcie Słońca, zielonego kręgu upstrzonego

czarnymi plamkami, Ormianin odchrząknął z zadowoleniem.

– Znakomita chwila – oznajmił. – Przez atmosferę Ziemi przechodzi właśnie wiatr słoneczny. Warunki ci sprzyjają.

Nie chciałam się dłużej zastanawiać nad tym, co robiłam. Ta dziwaczna kombinacja najnowszej technologii i średniowiecznej magii przyprawiała mnie o ciarki na grzbiecie. Wolałam nie wiedzieć, co się dzieje na zewnątrz, i skupić się tylko na kamieniu, który trzymałam w rękach. Pogładziłam go czubkami palców i z zamkniętymi oczami uniosłam. Następnie wyrzuciwszy z głowy obawy i pośpiech, zaczęłam recytować pierwsze słowa z księgi inwokacji Johna Dee:

– *Ol sonf vors g, gohó Iad Balt, lansh calz vonpho...*

Nigdy tego nie robiłam. Nigdy nie odważyłam się wypowiedzieć tej formuły bez swoich instruktorów. I chociaż Sheila zmusiła mnie, abym się wyuczyła jej na pamięć, mówiła bowiem, że powinnam ją znać na wypadek wyjątkowych okoliczności, strach, jaki we mnie budziły kamienie, zawsze był większy od ciekawości. Przynajmniej do tego dnia.

Nie potrafiłam sobie jednak wyobrazić, że w miarę jak te sekretne słowa będą wychodziły z moich ust, zniknie mi przed oczu cały świat – kościół Santa María, jego posadzka z płyt nagrobnych, a nawet nieodłączny Artemi Duchok.

I tak się stało. Naprawdę tak się stało!

Naraz wszystko poczerniało.

I poczułam się, jakby ktoś obcy przejął nade mną kontrolę.

## ROZDZIAŁ 52

Coś jest nie tak.

Nicholas Allen bezskutecznie próbował otworzyć oczy. Nie wiedział, gdzie jest. Uszy miał zatkane, stracił poczucie równowagi, rozcięcie na czole boleśnie pulsowało. Gdyby go zapytano, w jakiej pozycji się znajduje, powiedziałby, że wisi głową w dół, ale sama taka myśl wydawała mu się cudaczna. Nie tylko oczy za nic go nie słuchały. Ręce i nogi miał sztywne jak z drewna, w piersiach czuł ucisk, przez co musiał łapać powietrze krótkimi bolesnymi haustami. Ostatnie, co pamiętał, to rozmowa telefoniczna z Michaelem Owenem z jednego z czterech placów otaczających katedrę w Santiago de Compostela. Powiadał go o zniknięciu Julii Álvarez i nagle połączenie zostało przerwane.

Później, wydedukował, musiał stracić przytomność... Drugi raz!

Jeśli się nie mylił, wszystko to było skutkiem ubocznym czegoś, co na nieszczęście pułkownik Allen doskonale już poznał z bliska.

Mdłości, dreszcze, majaki, utrata świadomości... Wszystko się zgadzało.

– *Mister! Mister!* – wyrwał go z rozmyślań czyjś głos. Mówił łamaną angielszczyzną i dochodził jakby z drugiego końca grubej rury. – Wiem, że mnie słyszysz... Jesteś na oddziale intensywnej opieki medycznej szpitala Nuestra Señora de la Esperanza. Dziś



jest... hm... jeden listopad... Nie widać świeżych ran, ale miałeś kilka ataków padaczki. Jesteś przywiązany do łóżka. Nie szarp się, proszę. Zawiadomiliśmy twoją ambasadę, gdzie jesteś.

Choć jedna dobra wiadomość, pomyślał.

– Lekarze mówią, że nic ci już nie grozi. Odpoczywaj, a my spróbujemy ustalić, co było powodem.

Ja wiem, co było powodem! – chciał zawołać. – To skutek działania pól elektromagnetycznych o wysokiej częstotliwości!

Tyle że struny głosowe także odmówiły mu posłuszeństwa.

Ci lekarze nie mogli wiedzieć, że ich pacjent był kiedyś ochotnikiem w amerykańskim tajnym programie wojskowym, w którym prowadzono badania nad polem elektromagnetycznym, w skrócie zwanym polem EM, i że lepiej niż ktokolwiek zna skutki jego działania. Zdawał sobie sprawę, że jeśli żywa istota znajdzie się w zasięgu takiego odpowiednio silnego pola, ucierpią różne jej narządy, czego właśnie doświadczał. Skutki dłuższego pozostawania pod jego wpływem zostały udokumentowane przez programy badawcze prowadzone na poziomie tajności podobnym jak projekt Manhattan. W rządowych dokumentach używano dwuznacznego określenia „interakcja biologiczna”, stwierdzano także jasno, że „urazy elektromagnetyczne” występują głównie w narządach słuchu i wzroku. NSA i DARPA, Agencja Zaawansowanych Obronnych Projektów Badawczych, odkryły, jak skierować pole EM na pojedynczą osobę wybraną z tłumu. Naukowcy pracujący na rzecz tych agencji wymyślili też „pociski akustyczne” o głośności stu czterdziestu pięciu decybeli wystrzeliwane z precyzyjnej broni sonicznej. Dzięki nim można unieszkodliwić – albo zabić – konkretnego człowieka w otoczeniu ludzi, którzy nic szczególnego w pobliżu nie zauważą. Najgorsze

zaś, że nie pozostanie żaden ślad wskazujący na przyczynę śmierci. Jeśli ofiara nie zdąży się w porę oddalić od pocisku sonicznego, jej kości zaczną wibrować, a drżenie kości czaszki spowoduje taki wzrost ciśnienia krwi w mózgu, że w kilka sekund dojdzie do wylewu. Przy odrobinie szczęścia natomiast, jeżeli zastosowany zostanie pocisk o mniejszej sile, nie śmiertelnej, delikwent będzie pamiętał jedynie bzyczenie podobne do tego, jakie można usłyszeć pod słupem wysokiego napięcia.

Bzyczenie takie, jakie pamiętał też Nicholas Allen.

Teraz nasuwało się pytanie, kto oprócz jego rządu dysponuje zabawką o takich parametrach. Jeśli o to chodzi, pułkownik Allen miał pewne domysły.

„Są tu twoi starzy przyjaciele”, powiedział mu dyrektor jego agencji.

Zapomniał jednak nadmienić, że on również doskonale zna tych „przyjaciół”. Allen miał z nimi do czynienia przed laty, podczas misji, której do końca życia nie wymaże z pamięci.

Było to w górach Armenii. Na kompletnym zadupiu.

I z jakiegoś powodu te wspomnienia wróciły do niego teraz.

*Zachodnie rejony Armenii,*

*11 sierpnia 1999 roku*

Stojąc przed katedrą w Eczmiadzynie, „ormiańskim Watykanie”, Nick Allen sądził, że wszystko przewidział. W Paryżu było teraz południe i zaczynało się pełne zaćmienie Słońca, okrywając mrokiem połowę Europy. Za to na szesnastym stopniu szerokości geograficznej północnej zegar wskazywał trzecią po południu, gwiazda dzienna świeciła pełnym blaskiem i nie było stacji, która by w wiadomościach nie transmitowała bezpośredniej relacji z tego

wydarzenia astronomicznego. Każda też nadawała najbardziej apokaliptyczne komentarze. „Kreator mody Paco Rabanne przepowiedział, że dzisiaj rosyjska stacja kosmiczna Mir spadnie na stolicę Francji, powodując co najmniej milion ofiar”, mówiono w którymś z kanałów. „Dzisiejsze zaćmienie Nostradamus w jednej ze swoich przepowiedni nazwał «królem strachu»”. W Narek TV blondynka siedząca na tle wieży Eiffła pytała swojego gościa: „Czy ma to coś wspólnego z tak zwanym problemem roku 2000? Wie pan, chodzi o programy komputerowe i pluskwę milenijną, która może sparaliżować komputery w noc sylwestrową. – Oczywiście. Przecież wszystko jest połączone w jedną sieć! To, co obserwujemy teraz w Paryżu, jest początkiem naszego końca, proszę pani”.

Nowy dowódca operacyjny Allena nie mógł wybrać lepszego momentu na jego misję. Katedra wraz z przyległościami świeciła pustką. Nawet najstarsi duchowni siedzieli przed telewizorami.

Bez pośpiechu ubrany na czarno Nick, z wiernym szesnastostrzałowym pistoletem u pasa, wkroczył do świątyni, mijając ikony mistrza Ownataniana. Tylko w tej części świata można było podziwiać jego słynne portrety apostołów. Wszędzie dokoła migotały świece intencyjne, mocno pachniało kadzidłem. Na nim nie robiło to wrażenia. Dla człowieka takiego jak on, nawykłego do działań ofensywnych, liczyło się jedynie to, że miejsce jest tak słabo zabezpieczone. Nie widział nawet jednej kamery monitorującej ani oczywiście śladu uzbrojonej ochrony czy detektorów metalu. Miał do czynienia z ufnym ludkiem... I paradoksalnie to go niepokoiło.

– Jak tam, Nick?

Towarzyszące słowom leciutkie wibrowanie w prawym uchu potwierdzało, że Martin Faber, dowódca operacji, troszczy się

o niego, siedząc w furgonetce marki Łada zaparkowanej dwieście metrów od katedry. Martin przyjechał tydzień wcześniej do Erywania, aby wszystko przygotować. Zjawił się ze szczegółowymi instrukcjami pod pachą i nieskalaną reputacją „komputera w ludzkiej skórze”. Na Allenie takie opinie nie robiły wrażenia – wolał ludzi czynu od teoretyków – ale wiedział przynajmniej, że Faber go nie zostawi.

– W porządku. Katedra jest pusta – odpowiedział.

– Świetnie. Satelita odbiera cię bez zakłóceń. Czujniki termiczne wskazują, że jesteś koło ołtarza głównego. Zgadza się?

– Zgadza.

– Sądząc po kolorach, jakie mi pokazuje monitor, powiedziałbym, że się boisz.

Głos Fabera zabrzmiał żartobliwie.

– Pieprzenie!... – burknął Allen. – Jestem rozgrzany, a tutaj lodownia. To nie nerwy... Kurwa, jeszcze złapię zapalenie płuc w środku lata!

– Wyluzuj, stary. Oko z nieba potwierdza, że teren masz czysty.

– Poza tym nie lubię kościołów – dodał Allen ni w pięć, ni w dziewięć.

Starał się iść cicho, kierując się na tył ołtarza. Minął umieszczony po prawej portret Grzegorza Oświeciciela, po czym znalazł się w pomieszczeniu, o które mu chodziło: w muzeum katedralnym.

– Powinieneś wiedzieć – szepnął Faber – że w tej katedrze przechowują parę najstarszych świętości chrześcijaństwa. Szkoda, że nie lubisz świątyń, Nick. Kościół ormiański jest starszy nawet od rzymskokatolickiego. Mają tu naprawdę cenne eksponaty.

– Gadanie...

– Wiem, że to cię nie obchodzi – westchnął Faber w interfonie. – Ale skoro masz jakiś czas spędzić w tym kraju, powinieneś wiedzieć, że przyjęto tutaj chrześcijaństwo już w czwartym wieku i że...

– Mógłbyś się zamknąć? – warknął Allen. – Próbuję się skupić, do kurwy nędzy!

– Jesteś na miejscu?

Pytanie wkurzyło Allena.

– Jestem. Satelita ci nie pokazuje?

Od dwudziestu sekund Martin Faber walczył z dwoma monitorami, na które przychodziły dane termograficzne z KH-11. Chociaż o tej właśnie porze Agencja Bezpieczeństwa Narodowego umieściła satelitę dokładnie nad nimi i sygnał powinien być idealny, obydwa ekrany świeciły bielą. Klepał i stukał w nie wytrwale, licząc, że zaskoczą.

– Pewnie coś z anteną – tłumaczył się. – Nie widzę cię.

– Nieważne. Wystarczy, że mnie słyszysz. Jest spokojnie.

– W porządku. Opisz, gdzie jesteś.

– Wszedłem do muzeum – posłusznie wyszeptał Allen. – Nie wygląda mi na to, żeby zachodziło tu dużo ludzi. Wszystko jest szare, stare, brzydkie... – Dwie sekundy później ciągnął: – Teraz stoję przed przeszkloną gablotą. Na środku pomieszczenia. Są w niej otwarte książki i monety. Po bokach widzę różne... Nie wiem, jak to opisać... jakby małe skrzynki zawieszane na ścianach.

– To relikwiarze, Nick – przerwał mu rozbawiony Martin. – Podejdź do ściany po prawej. To, czego szukamy, jest pośrodku.

– Zawieszane?

– Zobaczysz. Powinieneś mieć to już przed sobą.

– Przed sobą... pośrodku... – powtórzył Nick. – Widzę dwie takie

skrzyneczki. Wyglądają na stare.

– Podejdz do nich.

– Zdaje się, że jedna jest złota. Podłużna. Wielkości dużej książki.

W dolnej części ma szybkę i dookoła aniołki.

– To relikwiarz Korony Cierniowej – wyjaśnił Martin z miażdżącą pewnością w głosie. – A druga?

– Korony Chrystusa? Wkręcasz mnie?

– Nick, druga skrzynka – upomniał go Martin. – Widzisz ją?

– Momencik... Skoro już tu byłeś, czemu sam nie wykonałeś tej roboty?

Martin puścił to mimo uszu. Nie mógł mu powiedzieć, że już trzy razy przyjeżdżał tutaj w tym samym celu i nigdy mu się nie udało. Dlatego postanowił się zwrócić do profesjonalisty.

– Skupmy się, Nick – polecił. – Jeśli widzisz coś w rodzaju tabernakulum zakończonego jakby płatkami, ze złotym krzyżem z kamieniami szlachetnymi osadzonym w drewnianej postawie, osiągnąłeś cel.

– Właśnie na coś takiego patrzę – przyznał Nick. – Co to jest?

– Skamieniałe drewno z arki Noego.

– Eee, tam... Wygląda na świeżutkie...

– Ale nie jest. Podobno oglądał to święty Jakub w sześćset siedemdziesiątym ósmym roku, jak był z pielgrzymką na górze Ararat.

– Ludzie pielgrzymowali na Ararat? – zdumiał się Allen. – Przecież to ponad pięć tysięcy metrów nad poziomem morza!

– Kiedyś pielgrzymowali, chociaż mało kto docierał na szczyt. Ta góra nie jest zbyt przyjazna. Święty Jakub przespał się w połowie drogi i podobno dla zachęty Bóg osobiście położył mu belkę z arki na kolanach.

- Fiuuu... – gwizdnął Nick. – Gadasz jak encyklopedia.
- Staram się tylko dokumentować cele.
- No to przykro mi, ale to nie jest belka. Tylko deska.
- Masz ją w rękach?
- Potwierdzam.
- Dobra... – Faber się zawahał. – Może pocięli belkę i rozdali do innych kościołów. Weź narzędzia i wyjmij ją. Pamiętaj, drewno nas nie interesuje, chodzi tylko o ten kamień w kształcie nerki.
- Ooo... Nie chcesz drzazgi z arki?
- Nie. Tylko kamień.
- Taki czarny?
- Właśnie. To starożytny heliogabalus, „słoneczny kamień”.

Wyjmij go ostrożnie z zagłębienia i zastąp fałszywym, który masz z narzędziami.

Amerykanin obmacał mur, aby się upewnić, że eksponat nie jest podłączony do żadnego alarmu. Dokładnie obejrzał również relikwiarz, sprawdzając, czy da się zdjąć, po czym wyjął z kieszeni zegarmistrzowski punktak i zaczął nim robić dziurkę przy górnej części pierścienia, który przytrzymał kamień. Wwierciwszy się na kilka milimetrów, podważył obręcz i bez problemu wyjął kamień. Schował go, następnie kapnął kleju do zagłębienia po nim i wcisnął w to miejsce podróbkę, którą Martin przywiózł z Londynu. Pasowała co do milimetra. Nick się uśmiechnął. Miną miesiąc, zanim ktoś zda sobie sprawę z zamiany.

- Gotowe – zameldował.
- Świetnie. – W głosie Martina Fabera zabrzmiał triumf. – Zawieś relikwiarz i spadaj stamtąd.

– Ta-jes!... – rozległ się w furgonetce głos Nicka. – Powiesz mi, czemu sam tego nie zrobiłeś? Nie potrzebowałeś do tego pomocnika.

Tym razem jednak Faber nie odpowiedział.

Bo nie mógł.

Drzwi jego laboratorium na kółkach otworzył brodaty mnich i wycelował do niego z automatu. Bez słowa kazał mu wyłączyć radio, odejść od komputerów i z rękami założonymi za głowę pomaszerować na pusty plac przed katedrą. Wtedy też z ogrodów Matki Kościołów wyłoniły się trzy postacie kierujące się ku głównemu wejściu. Ci ludzie szli po Nicka. Ustawili się przy grobie patriarchy ter Aleksandra i czekali, aż pułkownik Allen wyjdzie z kościoła nieświadom ich obecności. Chociaż wszyscy mieli na sobie długie do kostek habity i spore krzyże zawieszane na szyi, poruszali się jak zawodowi żołnierze.

Zanim pułkownik się zorientował, że coś jest nie tak, otoczyli go, mierząc do niego z broni i odcinając mu drogę ucieczki.

Człowiek wyglądający na dowódcę drużyny postąpił krok do przodu.

– Nie jesteś osobą mile widzianą w Eczmiadynie, pułkowniku – rzekł sarkastycznie doskonałą angielszczyzną, uśmiechając się ponuro pod płowym wąsem. Wzrost Amerykanina wyraźnie nie robił na nim żadnego wrażenia. – Czekaliśmy na ciebie.

– Czyżby?

– Ależ tak. Pułkownik Nicholas J. Allen. Urodzony w sierpniu pięćdziesiątego pierwszego w Lubbock w Teksasie. Dyplom z wyróżnieniem. Pracuje w Armenii dla Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i przyjechał do naszej stolicy po coś, co do niego nie należy. Nie należy też do tradycji pułkownika, który nie ma w tym żadnego rozeznania.

Amerykaninowi zabłyśły oczy.

– Do diabła, coś ty za jeden?



– Stary wróg twojego kraju, pułkowniku.

Nick nie odpowiedział.

– Wy, Amerykanie, nie macie pojęcia, co to za ziemia – ciągnął Ormianin. – Wydaje wam się, że po przeczytaniu paru stron na temat Armenii w „CIA Factbook” znacie wystarczająco naszą kulturę. Szkoda. Was jeszcze nie było jako narodu, kiedy my mieliśmy za sobą cztery tysiące lat cywilizacji.

– Czego chcecie? – Allen szedł z rękami do góry, patrząc na plac przed sobą i czując, jak chłód świątyni powoli z niego uchodzi. – Coście zrobili z moim kolegą? Wiecie, na co się narażacie, więząc nas?

– Nie martw się, pułkowniku. Kolega nam nie przeszkodzi. – Znowu uśmiechnął się cynicznie. – Skoro tak ci do niego spieszno, wystarczy oddać to, coś zabrał. To chyba dobra transakcja, nie?

– Nie wiem, o czym mowa.

– Nie zgrywaj głupiego. – Teraz zabłyśły oczy Ormianina. – Przyjechałeś tu, żeby zrabować coś, co jest chlubą tego narodu. Przed wami próbowali inni i przypłacili to życiem. Świątość, jeśli nie wiadomo, jak się z nią obchodzić, zabija. Nie powiedzieli ci tego?

– Jeśli chodzi o relikwiarze, wszystkie są na miejscu...

Wąsacz klasnął trzykrotnie językiem, kręcąc głową.

– Relikwiarze to pryszcz. Chcemy kamień, który wyjąłeś. To oryginalny przedmiot z arki Noego i dla nas jest bezcenny.

– Hm... Naprawdę wierzycie, że to z arki?

– Nieszczęśliwy, kto w nic nie wierzy, powiedział Wiktor Hugo – wyrecytował Duchok. – Wiesz to równie dobrze jak ja.

– Czyli wierzycie...

– Pozwól, że ci przybliżę sytuację. Może dotrze do ciebie, co

próbuję powiedzieć. Wiesz, dlaczego my, Ormianie, nazywamy naszą ojczyznę Hajastanem? Powiem ci: Hajastan znaczy „ziemia Haika”, syna Togarmy, wnuka Gomera, prawnuka Jafeta i praprawnuka Noego. Oni wszyscy zaludnili na nowo te góry po potopie i zadbali o ochronę świętości. Ararat, szczyt, na którym osiadła arka, leży raptem sześćdziesiąt pięć kilometrów stąd. Mój lud jest nauczony strzec zarówno jego, jak i jego cennych skarbów. W nas nie ma wiary. W nas jest absolutna pewność, że arka istnieje, i poczucie obowiązku, które każe nam o nią dbać. – I dodał surowo: – Z drugiej strony, pułkowniku, muszę ci powiedzieć, że w Armenii kradzież świętości Noego jest zniewagą, za którą płaci się życiem.

– Zaraz, zaraz. – Nick się zaniepokoił. – Jestem Amerykaninem. Nie możecie...

Ormianin się zaśmiał. Lufy automatów jego dwóch towarzyszy niepokojąco drgnęły, popychając go dalej, poza przykatedralne ogrody.

– Kim wy jesteście? Pracujecie dla Kościoła ormiańskiego?

– Nazywam się Artemi Duchok, pułkowniku. I Bóg mi przyznał nieograniczone środki, żebym bronił tego, co do Niego należy. A teraz proszę mi zwrócić kamień.

Amerykanin się domyślił, dokąd go zabierają. Niedaleko ogrodów otaczających katedrę zaczynała się wąska uliczka, która zdawała się prowadzić donikąd. Ciemna. W dodatku zauważył tam dwóch ludzi Duchoka, którzy zmusili Martina Fabera, by ukląkł twarzą do muru, i celowali do niego z automatów.

Rozstrzelają nas, pomyślał.

– I co, pułkowniku? Wolisz, żebyśmy odebrali kamień siłą?

Allen uznał, że nalegania Duchoka nastręczą mu okazję, żeby się

z tego wykaraskać. Tak mu się przynajmniej wydawało. Opuściwszy ręce, by wyjąć kamień z kieszeni, wykonał obrót i z rozmachem wymierzył mu cios w szczękę. Rozległ się suchy trzask jakby pękającego drewna. Kiedy Duchok się osuwał z oszołomioną miną i krwią ciekącą z rozbitych ust, Allenowi zagwizdały koło głowy kule. Padł na ziemię. Ciężar ciała przeniósł na ręce i kopniakiem w okolicy kolan zdążył powalić pierwszego faceta z eskorty Duchoka. Żołnierz runął na twarz z okrzykiem bólu, drugi tymczasem, jeszcze przy samej katedrze, puścił serię z automatu. Na szczęście niecelnie.

– Zatrzymać go! – wybełkotał Duchok, pocierając obolałą twarz.

Allen w miarę odzyskał oddech, tylko w skroniach mu jeszcze pulsowało. Poczęstował znowu kopniakiem tego, którego powalił, złapał go pod pachy, poderwał i cisnął nim w drugiego. Tamten odruchowo opuścił broń.

Wynik walki był jednak z góry przesądzony.

Kiedy pierwsze zaskoczenie minęło, Duchok błyskawicznym ruchem wyjął zza pleców nóż o prostym ostrzu i rzucił, celując w twarz Allena. Nawet nie bardzo zabolalo, ostrze tylko się o nią otarło. Rozcięło natomiast skórę głowy tak głęboko, że odsłoniło tkanki. Popłynęła gęsta krew, zalewając mu oczy.

Zanim wiedziony instynktem zdążył przyłożyć ręce do rany, zobaczył coś, czego miał nigdy nie zapomnieć: wąż chwycił jakby duży szkaplerz, który mu wisiał na szyi, i wycelował nim w głowę Allena.

– Jesteś głupszy, niż sądziłem, pułkowniku. – Z niesmakiem zlizął z warg własną krew.

I wtedy głuche brzęczenie jakby miliona rozwścieczonych owadów, którym zniszczono gniazdo, wydobyło się z czarnego

puzderka, zamykając Allena w przerażającym uścisku. Coś takiego słyszał pierwszy raz w życiu. Były to fale o bardzo wysokiej częstotliwości.

## ROZDZIAŁ 53

Kiedy otworzyłam oczy, głowę ścisnął mi potworny ból i mdłości podchodziły do gardła.

– Dobrze się czujesz?

Ujrzałam twarz Artemiego Duchoka nadspodziewanie blisko swojej. Natychmiast zrozumiałam, że leżę na posadzce kościoła Santa María, Ormianin zaś próbuje mnie ocucić. Z jego miny wywnioskowałam jednak, że nic wielkiego się nie dzieje. I to mnie uspokoiło.

– Co... co się stało? – wyjąkałam.

– Winszuję. Udało ci się aktywować kamienie – odparł z uśmiechem.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nagle wszystko wokoło zniknęło – wydusiłam z siebie. – Zrobiło się ciemno. I myślałam... myślałam...

– Spokojnie. Nic się nie stało. Po prostu straciłaś przytomność w zetknięciu z tak silnym polem elektromagnetycznym. To się zdarza. Ale jak się podniesiesz i napijesz czegoś, zaraz dojdiesz do siebie.

Jednakże w tej chwili wcale nie obchodziło mnie własne zdrowie.

– I co teraz? – zapytałam.

– Nic takiego. Twój kamień pomoże nam osiągnąć to, czego każdy wierzący szuka w takim kościele jak ten – oznajmił. – Pomówić z Bogiem.

Skrzywiłam się niechętnie, co nie uszło jego uwagi.

– Myślałam, że szukamy kontaktu z Martinem – zaprotestowałam.

– Bóg jest wszystkim, moja droga. Również twoim mężem. Dlatego dzięki darowi, w który zostałaś wyposażona, wyślemy mu sygnał.

– Sygnał? – Zbladłam. – Bogu?

– I kamieniowi Martina oczywiście.

## ROZDZIAŁ 54

– Doktorze Scott! Musi pan to natychmiast zobaczyć! Jacyś kretyni nie chcą mnie do pana wpuścić!

Wbudowany w blat wyświetlacz wideotelefonu Edwarda Scotta zapłonął nagle, aż wzdrygnęli się trzej mężczyźni wpatrzeni uważnie w zdjęcia satelitarne północnych rejonów Hiszpanii. Bezpieczeństwa tego pomieszczenia Narodowego Biura Rozpoznania z oczywistych względów strzegło czterech nieugiętych agentów tajnych służb, nie dopuszczając nikogo na odległość mniejszą niż piętnaście metrów. Nie dano im jednak czasu, aby odłączyli, a przynajmniej kontrolowali połączenia telefoniczne między tą salą i resztą budynku.

– HMBB wykrył kolejną emisję X! – z rozpaczą w głosie krzyknął rozmówca.

– Emisję X? – Michael Owen podniósł głowę znad stołu z twarzą wyglądającą jak jeden wielki znak zapytania.

Rozpłomienione pośpiechem oblicze pracownika NRO, który zdołał się wdrzeć do wewnętrznego systemu łączności, widniało na wyświetlaczu interkomu.

– W porządku, Mills – powiedział spokojnie dyrektor biura. – Już idę.

Szef Agencji Bezpieczeństwa Narodowego powstrzymał go

gestem.

– Momencik – powiedział. – Co to znowu za emisja X, do diabła?  
I gdzie pan się wybiera?

– Tak nazywamy sygnał, który przechwyciliśmy ostatnio w Santiago. Jeżeli to, na co właśnie moi ludzie natrafili, jest sygnałem tego samego rodzaju i potrwa równie krótko, lepiej pójść jak najszybciej do sali kontroli i obejrzeć sobie zdjęcia. Mogą panowie iść ze mną albo poczekać tutaj, jak panowie wolą.

– Jeśli panu prezydentowi nie przeszkadza... – zaczął Owen.  
Roger Castle już szedł za Scottem.

– Idziemy – ponaglił ich.

Przeszli po metalowej kładce, która oddzielała strefę administracyjną od pomieszczeń technicznych. Scott przystanął przed czytnikiem siatkówki oka umieszczonym przy opancerzonych drzwiach. Po identyfikacji rozległo się ciche buczenie, drzwi się otworzyły i wkroczyli do pomieszczenia, w którym królował wielki ekran plazmowy. Światła były tam przytłumione, w powietrzu wisiał zapach świeżo zaparzonej kawy. Noc zapowiadała się na długą. Przy panelach kontrolnych siedziało może z dziesięć osób, dzięki czemu prezydent poczuł się dość komfortowo. Przy odrobinie szczęścia nikt nawet nie zauważył jego obecności.

Tak się jednak nie stało. Puciołowaty facet, którego chwilę wcześniej widzieli na wyświetlaczu wideotelefonu, podbiegł do nich natychmiast i stanął jak wryty, rozpoznawszy Rogera Castle'a.

– Panie prezydencie... – urwał, widząc jego niechętną minę.

– To Jack Mills, sir, szef monitoringu – powiedział doktor Scott, wybawiając go z kłopotu.

– Jestem zaszczycony, panie prezydencie!

– Proszę mówić ciszej i zachować dyskrecję – rzekł Castle.



– Oczywiście, panie prezydencie.

W tej chwili na ogromnym ekranie pokazała się mapa świata z zaznaczonymi różnymi kolorami ponumerowanymi orbitami satelitów geostacjonarnych, a poniżej na mapie rozmaite znaki, które Owen i Castle zinterpretowali jako cele do śledzenia.

– Gdzie jest emisja X? – zapytał Castle, zwracając się do Millsa.

– Śledzimy sygnał od jakichś sześciu minut, sir. Lepiej go pan zobaczy na małych monitorach.

We czterech pochylili się nad jedną z konsol w sali, w której obserwowano w czasie realnym obraz Półwyspu Iberyjskiego. Mills odsunął resztki swojej kanapki i na klawiaturze wstukał jakieś polecenia. Obraz zaczął się powoli przesuwać, a wybrana strefa bardzo precyzyjnie powiększać.

– Znowu Santiago? – zapytał Castle, widząc, gdzie przesuwiają się kursory.

– Nie – zaprzeczył Mills. – Teraz wykryliśmy dwa sygnały niemal równoczesne. Jeden namierzył HMBB na północy Hiszpanii w miejscowości Noia. O piątej czterdzieści siedem naszego czasu. Sześć minut temu.

– Noia?

– Leży jakieś czterdzieści kilometrów na zachód od miejsca, skąd docierał poprzedni sygnał.

– A drugi?

– Zaczął się dwadzieścia sekund później. Inne nasze „oko”, KH-19, wykryło go w pobliżu góry Ararat. Ustalamy właśnie koordynaty. Wskazują na okolice granicy turecko-irańskiej.

– Czy nie tam wprowadzono...?

– Niedaleko, sir – przerwał mu Owen, starając się utrzymać w tajemnicy informację, która nie powinna była wyjść poza

środowisko kontrolowane przez niego.

Castle zrozumiał jego motyw.

– A wiadomo, kto może emitować te sygnały?

Na to pytanie prezydenta Jack Mills wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeproszająco. Bardzo chętnie by przypisał jakieś nazwisko i twarz przeciwnikowi w operacji Eliaz, lecz to nie było łatwe.

– Nie mamy pojęcia, sir.

– Rosjanie? Irańczycy?...

– Nie wiemy – powtórzył Mills.

Roger Castle odwrócił się do szefa Agencji Bezpieczeństwa Narodowego i surowo zapytał:

– Proszę o rzeczową odpowiedź, dyrektorze. Jakie jest prawdopodobieństwo, że tę anomalię wywołały kamienie, których szukacie w ramach operacji Eliaz?

– Bardzo duże, sir.

– A mamy jakiś plan, żeby je zdobyć?

– Oczywiście. NRO jest podłączone do naszych baz danych i z jednostką szybkiego reagowania marynarki wojennej. W tej chwili, jeśli wszystko idzie zgodnie z protokołem, oddziały znajdujące się najbliżej obu rejonów już powinny otrzymać rozkaz przeszukania tych terenów.

Roger Castle z zamyśloną miną odszedł od monitora i skierował się ku drzwiom, prosząc Michaela Owena, by podszedł do niego. Musiał go jeszcze o coś zapytać; o coś, co go nurtowało od ostatniej rozmowy telefonicznej z doradczynią Ellen Watson przebywającą w Madrycie, a więc stosunkowo blisko okolic, w których wykryto śledzoną wiązkę elektromagnetyczną.

– Michael, przez te kamienie zniknęły już dwie osoby. Jedna

z nich jest obywatelem USA. Liczę, że podejmiesz jakieś kroki, a nie będziesz tylko przesuwał satelity na orbitach i przesyłał mi zdjęcia do Gabinetu Ovalnego.

– Oczywiście, sir.

– Proszę mnie informować na bieżąco. A jeśli chodzi o panów – powiedział głośniej, zwracając się do naukowców obecnych w pomieszczeniu – liczę, że potrafią panowie utrzymać w tajemnicy moją wizytę... Muszę teraz zadzwonić do paru osób.

## ROZDZIAŁ 55

– Dobra robota – pochwalił mnie Artemi Duchok, zrzucając plecak z ramion.

Wyjął notebook, uruchomił go i zaczął szukać sieci, do której mógłby się podłączyć. Wydawał się dużo bardziej ożywiony niż dotąd. Broń oparł o sarkofag Jana z Estivadas, na pokrywie położył kamień.

Który świecił.

– Wiesz? Kapitalnie, że aby przekazać nam wiadomość, twój mąż wykorzystał zdanie tak niewinne jak „będzie dla ciebie widoczna”. Zresztą w jakimś sensie – dodał – właśnie za sprawą twojej zdolności widzenia kontakt z kamieniami jest zawsze taki wyjątkowy. Podobnie było z ich poprzednim właścicielem...

– Z Johnem Dee?

Ormianin w pośpiechu wprowadzał polecenia do komputera, lecz na moment oderwał wzrok od monitora i popatrzył na mnie.

– Z Johnem Dee?... Skądże!

Tym razem ja się zdumiałam.

– Nie?

– Ostatnia wzmianka o kamieniach pochodzi z roku tysiąc osiemset dwudziestego siódmego – wyjaśnił, znów pracowicie stukając w klawiaturę. – Pewien młody Amerykanin z Vermont

w stanie Virginia twierdził, że miał z nimi do czynienia.

Z obydwoma. Jego opowieść w wielu punktach przypomina historię Johna Dee. A już za szczyt zbiegu okoliczności trzeba uznać zapewnienia chłopaka, że otrzymał kamienie od jakiejś istoty anielskiej. W dodatku razem z księgą o kartach ze złotych płytek zapisaną w dziwnym języku. Tekst udało mu się przetłumaczyć dzięki pomocy aniołów.

– W życiu o czymś takim nie słyszałam...

– Dziwne, bo to bardzo znany epizod. Zwłaszcza w Stanach, skąd pochodzi twój mąż.

– Ach tak?

– Może jak wymienię nazwisko chłopaka, który otrzymał kamienie, skojarzysz fakty – dodał tajemniczo. – Joseph Smith.

– Joseph Smith?

– Założyciel Kościoła mormonów. – Uśmiechnął się, nie podnosząc wzroku znad monitora. – A dokładniej obecnego Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich.

– Poważnie?

– Smith był jego założycielem i prorokiem. I zanim księga o złotych kartach zniknęła, widziało ją wielu świadków, którzy przed notariuszem przysięgali, że istniała.

– Mormoni mają coś wspólnego z adamantami?

Muszę przyznać, że właściwie nic nie wiedziałam o mormonach. Urodziłam się w kraju katolickim, toteż wszelkie nowoczesne ruchy chrześcijańskie były mi dość obce. Ponieważ jednak pracowałam przy konserwacji wielu kościołów w Galicji, wiedziałam, że mormoni od lat sporządzają mikrofilmy aktów chrztu i zgonu, aby dostarczyć je do Utah w Stanach Zjednoczonych przed „końcem dni”. Wierzą – tak przynajmniej mówili mi księża, równie jak ja

zdumieni ich obsesją związaną z księgami parafialnymi – że prawdziwego życia wiecznego dostąpią tylko ci, których drzewo genealogiczne znajdzie się w archiwum w specjalnym bunkrze zbudowanym w Salt Lake City.

– Smith nie tylko wszedł w posiadanie adamantów – zauważył Duchok, wrywając mnie z zamyślenia – ale też przywrócił im miano, pod jakim zasłynęły w starożytności. Kiedy je poznasz, może wyżej ocenisz ich ogromną wartość.

– Jeszcze wyżej?

– O tak – potwierdził. – Widzisz, Joseph Smith otrzymał objawienia wraz z kamieniami, które przed nim miał między innymi Abraham. Musiał je odziedziczyć po potomkach Noego. Mówiono na nie urim i tummim.

– Urim i co...?

– Tummim. Co znaczy „światło” i „doskonałość” w starożytnym hebrajskim. Oczywiście patriarcha używał ich w celach proroczych i komunikacyjnych w Ur w pobliżu dzisiejszego miasta Nasirijja w Iraku, gdzie odnaleziono również gliniane tabliczki z siedemnastego wieku przed Chrystusem z fragmentami „Eposu o Gilgameszu”.

– A więc Abraham miał te kamienie...

– Owszem. W ogóle robi wrażenie lista znanych osób, które je miały przed rokiem tysiąc osiemset dwudziestym siódmym. Od Mojżesza i Salomona, który trzymał je razem ze skarbami świątyni, przez cesarzy rzymskich, papieży, królów, finansistów, polityków...

– A co ze Smithem?

– Zwariował – odparł Duchok z powagą na twarzy, w skupieniu wpatrzony teraz w grafikę, która się pojawiła na monitorze. – Tak się przejął swoją rolą ostatniego proroka posłanego przez Jezusa,

żeby nas odkupił, że założył swój Kościół i wiele lat później umarł zlinchowany przez wrogów w Illinois. A urim i tummim zniknęły w zamieszaniu. Już nigdy więcej o nich nie mówiono... Przynajmniej publicznie.

Duchok uniósł jedną brew, jakby chciał podkreślić istnienie podtekstu swoich słów.

– Publicznie? Co masz na myśli?

– Przez czterdzieści lat kamienie były gdzieś ukryte, aż za czasów administracji Chestera Arthura odnalazły się na południowym zachodzie Stanów. Strzegli ich Indianie Hopi, z którymi Arthur negocjował, aby mu je przekazali. Później w pierwszych laboratoriach marynarki wojennej odkryto, że mają cechy zupełnie niespotykane wśród materii nieożywionej.

Równocześnie obydwóm zmieniały się barwa, ciężar i temperatura, jakby się komunikowały albo reagowały na sygnały z zewnątrz.

– I liczysz, że to właśnie stanie się teraz?

– Ja nie liczę – odparł, wskazując na komputer. – Bo to już się stało. Popatrz!

## ROZDZIAŁ 56

Pi-bip. Pi-bip. Pi-bip.

Trzy nowe wiadomości przyszły na smartfon Ellen Watson. Asystentka prezydenta otworzyła je, kiedy samolot, którym leciała, wylądował na lotnisku w Lavacolli, szesnaście kilometrów na wschód od Santiago de Compostela, i jego antena znalazła się w zasięgu najbliższych przekaźników. Wszystkie trzy maile oznaczono jako priorytetowe.

Pierwszy był od tego kretyna Richarda Hale'a, który w Madrycie zrobił na niej takie złe wrażenie. Zawierała załącznik, aktualne zdjęcie Julii Álvarez – „To Twój cel. Od pięciu lat zona Martina Fabera, byłego agenta NSA” – i krótkie streszczenie rozmowy, którą Julia odbyła z Nickiem Allenem, zanim zniknęła z Santiago. „Inspektor Antonio Figueiras udzieli Wam wszelkiej pomocy. Wszystko załatwi z miejscową policją”. I Hale podał numer jego telefonu komórkowego.

Ellen zapamiętała informacje, zerknęła na zdjęcie i jednym naciśnięciem kciuka zamknęła dokument. „Pomówić z pułkownikiem Allenem”, zanotowała.

Druga wiadomość, bardziej tajemnicza, przyszła z jej waszyngtońskiego biura. Zdumiała ją. Kiedy ostatnio rozmawiała z biurem przez telefon, jedna z koleżanek przekazała jej polecenie,



że ma wsiąść w pierwszy samolot do Galicii. „Kamień, którego szukamy, wykryto właśnie tam – oznajmiła. – Drugi ujawnił się pięć tysięcy pięćset dziewięćdziesiąt cztery kilometry na wschód, na terytorium Turcji”. Wiadomość otrzymana teraz nakazywała jej zapoznać się pilnie z najnowszymi zdjęciami z satelity HMBB przedstawiającymi ujście rzeki w Noii i skupić się na kamieniu, który ma bliżej. Ellen paroma kliknięciami weszła do sieci na stronę Narodowego Biura Rozpoznania, na której się zalogowała, aby uzyskać dostęp do bazy danych. Obejrzawszy fotografie, zrozumiała, dlaczego Białemu Domowi tak pilno. „Pospiesz się. Eliasz już za nią ruszył – przeczytała w mailu. – Te zdjęcia o świcie przesłano na USS Texas. Miej oczy szeroko otwarte”.

„USS Texas? – Wzdrygnęła się. – Jakim cudem tak szybko przysłali tu okręt podwodny?”

Trzecia wiadomość okazała się najdziwniejsza. Pochodziła od prezydenckiego doradcy naukowego i zawierała porównanie informacji pozyskanych za pomocą HMBB oraz z prywatnego satelity liczącego siedem lat – prawdziwego staruszka w kategoriach eksploracji kosmosu – zwanego GRACE od Gravity Recovery and Climate Experiment. Wynikał stąd zaskakujący wniosek: pole grawitacyjne w strefie, ku której zmierzali, osłabło o dwa procent wyłącznie z powodu emisji elektromagnetycznej wykrytej przez HMBB.

– Widziałeś to, Tom?

Thomas Jenkins, człowiek w prążkowanym krawacie od Saksa, przeglądał prasę dla zabicia czasu. Podniósł wzrok znad strony z informacjami sportowymi i popatrzył na wyświetlacz, który podsuwała mu Ellen. To, co zobaczył, najwyraźniej wcale go nie uszczęśliwiło.

– Obawiam się, że będziemy musieli się rozdzielić – powiedział. – Jak tylko wyjdziemy z lotniska, wynajmiesz samochód i pojedziesz do Noii. Tam jest adamant Julii Álvarez. Zajmij się tym.

– A ty?

– Ja się spotkam z pułkownikiem Allenem i polecimy do Turcji. Odszukam Martina Fabera i zdobędę jego kamień. Zobaczymy się w Waszyngtonie za trzy dni, najdalej za cztery, jeśli sprawy się przeciągną.

– Jesteś pewien, że tak będzie dobrze?

– Na sto procent.

Wkładając marynarkę i szykując się do rychłego zejścia z pokładu samolotu, Jenkins zaskoczył koleżankę pytaniem. Znowu wystawiał ją na próbę.

– Wiedziałaś, że Martin Faber jest klimatologiem? – zagadnął, zerkając na nią spod oka.

– Tak – odparła. – Przejrzałam jego akta, kiedy prezydent kazał go odnaleźć.

– Klimatolog, Ellen, ma zupełnie inny profil niż meteorolog. Z punktu widzenia obrony narodowej logiczne jest, że NSA ma na liście płac meteorologów, którzy oceniają, czy dany dzień jest dobry na wystrzelenie rakiety balistycznej albo wykonanie próby w wysokich warstwach atmosfery. Klimatolog natomiast nie stawia prognoz krótkoterminowych. Studiuje klimat całościowo, a jego przewidywania, jeśli w ogóle je snuje, są niedokładne i dotyczą co najmniej dziesięcioleci. – Jenkins urwał na chwilę, aby Ellen przetrawiła jego wyjaśnienia, po czym zadał następne pytanie: – Jak myślisz, po co NSA zatrudnia kogoś takiego?

Tom Jenkins nigdy po próżnicy nie strzepił języka. Przystawanie z nim było jak poruszanie się po szachownicy. Zmuszał do uwagi

przy najdrobniejszym swoim ruchu i do zważania na wszystko, co mówisz albo robisz, jeśli nie chcesz wypaść z gry. Toteż Ellen dobrze się zastanowiła, zanim odpowiedziała:

– A jeśli projekt Eliasza wiąże się w gruncie rzeczy z klimatem? Nie po raz pierwszy NSA prowadziła badania, jak zmodyfikować ekosystem regionu, żeby go zdestabilizować politycznie. Pamiętasz HAARP, High Frequency Active Auroral Research Program? Badano wtedy jonosferę. Chodziło o ustalenie, jak wpływa na nią magnetyzm ziemski albo słoneczny, żeby wywoływać dowolne zmiany w atmosferze. W niektórych publikacjach szkoleniowych wywiadu te projekty omawiane są jako wstęp do opracowania broni przyszłości. Bardziej zaawansowanej niż termojądrowa...

– Świetnie, Ellen, masz nosa – mruknął Jenkins, dopijając kawę i oddając filiżankę stewardesie. – Gdyby NSA potrzebowała tylko informacji pogodowych, wystarczyłyby jej dane ze stacji meteorologicznej przygotowane na podstawie specyfikacji. Tymczasem jasno widać, że projekt Eliasza to coś więcej. No i powiedz, co mają z nim wspólnego te stare kamienie? Dlaczego twoim zdaniem tak ich interesują? Sądzisz, że mogą służyć do modyfikacji klimatu?

– Dotąd wiedzieliśmy, że emitują fale elektromagnetyczne zdolne wyjść poza atmosferę ziemską – zauważyła Ellen. – Teraz wygląda na to, że mogą też wpływać na siłę grawitacji w rejonach, gdzie są aktywowane. Tak czy owak to nie są zwyczajne kamienie.

– Tak uważasz?

– Może w ogóle to nie są kamienie w ścisłym znaczeniu słowa. Może to jakiś kompozyt stworzony w przeszłości. Kryształ z Atlantydy. Kawalek kryptonitu... czy ja wiem?

Jenkinsa rozśmieszyły jej pomysły.

– I co by miał wspólnego z klimatem?

Ellen było nie w smak, że kolega tak ją zasypuje pytaniami. Uchodził za specja od wywierania wpływu na ludzi. W Waszyngtonie otaczała go zła sława. W biurze Castle'a ludzie powiadali, że „zimny blondyn” potrafi subtelnie tak przekabacić cały zespół, że wszyscy będą myśleli, jak on zechce, a potem ów zespół bez litości rozwiązać, konfrontując go z innym. Mówiono na Jenkinsa „mściciel”.

– Kamienie i klimat... – Wbrew sobie Ellen skupiła się jednak na problemie. – Może... może fale, które emitują te minerały, mogą uciszać albo wywoływać burze, może wpływają na grubość warstwy ozonowej – snuła przypuszczenia. – W rejonach aktywnych sejsmicznie zmiana pola grawitacyjnego mogłaby spowodować...

– Poczekaj moment! – przerwał jej Jenkins, wprawiając ją w zdumienie. – Prezydent uważa, że Elias to program, który ma umożliwić niesłychanie precyzyjne przewidywanie globalnych kataklizmów. – Twarz mu nagle pojaśniała, jakby sobie uświadomił coś, co dotąd mu umykało. – Nie przyszło mu do głowy, że to wszystko bazuje na kamieniu, który modyfikuje klimat! Niemniej...

– Niemniej?

– Jeśli uruchomiono ten projekt, żeby zapobiec kataklizmowi na skalę światową, klimatolog byłby tu elementem kluczowym i usprawiedliwiałoby to wszelkie koszty.

– Zaraz, zaraz, z całym szacunkiem... Nie rozumiem, dlaczego człowiek pokroju Martina Fabera miałby porzucać zadanie tak priorytetowe.

Kiedy Jenkins otworzył usta, aby odpowiedzieć, poczuł, jak samolot uderzył kołami w ziemię, lądując.

– Według NSA – podjął, gdy warkot silników nieco przycichł –

Faber zwolnił się niedługo po powrocie z Armenii pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego.

– Wiadomo dlaczego?

– W wypowiedzeniu dość mętnie to wyjaśnia. Twierdzi, że odnalazł w tym kraju prawdziwą wiarę. Początkowo nie przywiązywałem do tego wagi. W tajnych służbach większość ludzi odchodzi z powodu kobiety albo nawrócenia. W obu wypadkach wyrzuty sumienia tak ciężą agentowi, że nie wytrzymuje presji. Ale teraz, kiedy jeszcze raz zastanowiłem się nad sprawą Martina Fabera, widzę, że w jego wypadku to coś innego. Nie miał dylematów moralnych. Wręcz przeciwnie: stwierdził, że wyznawcy najstarszej religii świata udzielili mu odpowiedzi na wszystkie pytania. I dlatego odchodzi z NSA.

– Najstarszej... religii?

– W agencji dotąd pamiętają jego wypowiedzenie. Było bardzo oryginalne. Wyobraź sobie na przykład, że widnieje na nim rok sześć tysięcy siedemset czterdziesty ósmy według kalendarza jego nowej wiary. Mówił, że tyle właśnie czasu upłynęło od ostatniego potopu.

– Że jak? – Ellen szeroko otworzyła oczy. Odruchowo podniosła rękę do gwiazdy Dawida, którą nosiła na łańcuszku. – Ich kalendarz jest starszy niż hebrajski?

– No właśnie. Słyszałaś kiedyś o jazydach, Ellen?

## ROZDZIAŁ 57

Na monitorze notebooka Artemiego Duchoka wyświetlała się mapa świata w intensywnych barwach. Prawą część ekranu wypełniały bardzo szybko zmieniające się cyfry w trzech kolorach, u góry zaś i u dołu przesuwał się kursor wskazujący współrzędne geograficzne i niezrozumiałe skróty.

– Ta aplikacja pobiera dane z całej sieci satelitów na niskiej orbicie okołozemskiej. Ma narzędzia, które pozwalają zmierzyć ziemskie pole magnetyczne – wyjaśnił Ormianin, nie odrywając oczu od monitora. – Jeśli dochodzi do zmiany powyżej zero siedem gaussa, włącza się alarm i odpowiednia strefa zostaje zaznaczona na grafice na czerwono. Widzisz?

Podeszłam bliżej i przyjrzałam się, żeby mieć jakieś pojęcie, lecz niewiele z tego zrozumiałam.

– Jeśli powiększymy obszar Półwyspu Iberyjskiego – mówił Duchok, wklepując szybko polecenia – zobaczysz, że ujście rzeki w Noii jest zaznaczone na czerwono. O tu, widzisz?

– I to zrobił kamień?

– Nie. To robi kamień – podkreślił. – Cały czas wysyła sygnał.

– A nawiązał łączność z kamieniem Martina?

– Program właśnie przetwarza informacje... Bliźniaczy sygnał wyszedł z miejsca oddalonego o kilkanaście kilometrów od granicy

turecko-irańskiej, z obszaru pozostającego pod wpływem góry Ararat.

– I tam właśnie jest mój mąż? – Przełknęłam ślinę.

– Prawdopodobnie.

– Czy do tej informacji... – Zawahałam się, czy powinnam o to pytać. – Czy ktoś jeszcze ma do niej dostęp? Na przykład pułkownik Allen?

– Pułkownik Allen, moja droga, najpewniej nie żyje.

– Nie żyje?

– Kiedy ratowaliśmy cię w Santiago, uwolniliśmy wyładowanie geoplazmy o natężeniu jednej tesli, czyli dziesięciu tysięcy gausów. Dlatego straciłaś przytomność. On też, ale nie pierwszy raz. A wierz mi, naprawdę niewiele żywych organizmów może przetrwać takie wyładowania.

## ROZDZIAŁ 58

Pacjent z pokoju 616 nadal nie reagował, chociaż jego parametry życiowe – temperatura ciała, puls, częstość oddechu, ciśnienie tętnicze – wskazywały, że nic mu nie zagraża. Zastrzyki adrenaliny nie przywracały go do przytomności. Ruchy gałek ocznych dowodziły, że Nicholas Allen jest pogrążony w nienormalnie długiej fazie REM. Może właśnie dlatego lekarze w szpitalu Nuestra Señora de la Esperanza nie bardzo wiedzieli, jak sprawy się rozwiną w najbliższych godzinach.

– Możliwe, że wkrótce się wybudzi... – zauważył szef OIOM- u na pierwszej odprawie personelu o szóstej rano. – Ale może być i tak, że śpiączka wywoła trwałe uszkodzenie systemu nerwowego.

– Możemy mu jakoś pomóc? – zapytał ktoś.

– Nie bardzo. Moim zdaniem nie powinniśmy stosować żadnego leczenia, póki się nie dowiemy, co dokładnie się stało.

– Ale on od paru godzin jest nieprzytomny – wtrąciła jedna z pielęgniarek.

– Nie zmieniam zdania. Póki jest stabilny, nie interweniujemy. Lepiej czekać, aż się ocknie, i szukać w tym czasie, co go wprowadziło w ten stan.

Żadnemu z lekarzy w najśmielszych nawet marzeniach nie przyszło do głowy, że mózg potężnego mężczyzny pracuje w tej



chwili nad rozwiązaniem problemu. Jego zwoje dokonywały szczegółowego przeglądu wydarzeń, w trakcie których poprzednio nieokreślona nieludzka siła dokonała zamachu na jego ciało.

W pamięci komórkowej Allena wyryło się to trwale.

*Między Armenią a Turcją*

*11 sierpnia 1999 roku*

Wszystko się wydarzyło w godzinach po nieudanej kradzieży w katedrze eczmiadzyńskiej zwanej Matką Kościołów.

Nicka Allena, rannego w czoło, rozbrojonego i obezwładnionego przez goryli Duchoka, wywieziono z miasta w chłodni i przemycono na drugą stronę granicy z Turcją. Wraz z nim jechał skrupowany ten patałach Martin Faber. Nick głowę by dał, że gdyby Ormianie nie zaskoczyli Fabera w jego prowizorycznym centrum dowodzenia w pobliżu katedry, sprawy potoczyłyby się inaczej. Tylko co tu da biadolenie? Pewne było jedno: leżący obok niego młody urzędas prezentował się znacznie lepiej niż on. Allen nie widział na nim śladów po uderzeniach ani ran i chociaż miał tylko usta zaklejone taśmą, wydawał się przerażony i niezdolny do działania. Z Nickiem natomiast sprawy przedstawiały się o wiele gorzej. Stracił sporo krwi, nie czuł się na siłach uciekać, ręce i nogi miał związane i był świadom, że jego przeżycie zależy od tego, ile energii zaoszczędzi, zanim go dowiozą do szpitala. Jeśli oczywiście tam jechali.

Przez siedem ciągnących się godzin bez wody i świeżego powietrza żaden z nich nie podjął próby porozumienia.

Jazda trwała dłużej, niż się spodziewali. Jeżeli fałszywy mnich z Eczmiadzyna próbował w ten sposób utrudnić ludziom z NSA ewentualne odbicie jeńców, to spisał się znakomicie. Raz-dwa usunięto ich z okolic katedry i wywieziono na niegościnną równinę,

kompletne odludzie, którego sam widok wywoływał ciarki na grzbiecie. Nie byli już w górzystej Armenii, lecz na rozpościerającym się jak okiem sięgnąć płaskowyzu, którego horyzont zamykały w oddali szczyty. Powoli znikало za nimi słońce.

Obaj z Faberem natychmiast zauważyli budynek, który wyrósł jakieś sto metrów przed nimi. Stał po drugiej stronie potężnego ciemnego zagłębienia, a kilka kroków dalej odcinało się coś w rodzaju minaretu o okrągłej podstawie, szerszego w dolnej części niż u szczytu, na oko dość starego i przypominającego palec wycelowany w niebo. Częściowo zasłaniała go ceglana wieża, jakby z jakiegoś powodu komuś zależało na tym, aby ukryć budowlę przed niedyskretnym wzrokiem.

– Gdzie... gdzie jesteśmy? – wybełkotał Nick, którego rana przestała krwawić.

– To wolny Kurdystan, pułkowniku – oznajmił uroczyście Artemi Duchok, rozkładając ramiona ku rozpadlinie, która oddzielała ich od budynków. – Święta ziemia potomków Noego.

Martin wciągnął głęboko powietrze.

Ormianin nie kłamał. Musieli przejechać chyba ze czterysta kilometrów. Widoczne stąd ośnieżone szczyty Araratu błyszczały w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Faber doszedł do wniosku, że znajdują się w pobliżu jego południowych zboczy, w miejscu położonym w równej odległości od granic Armenii, Turcji i Iranu.

– Co tu robimy? – wykrztusił Allen, tupiąc z odrazą w ziemię, jakby to miało mu pomóc w odzyskaniu znamionującego się sposobu mówienia. – Nie możecie przetrzymywać obywateli amerykańskich!

Wąsacz i jego ludzie uśmiechnęli się półgębkiem.

– Ależ pułkowniku! Nie poznajesz tego miejsca?

– Ja poznaję – wtrącił się Martin, wskazując głową horyzont. – To Agri Dagi, „Góra Bólu” po turecku. Albo Urartu, „Drzwi w Górę” po ormiańsku.

– Bardzo dobrze, Faber. Dowiesz się dzisiaj, dlaczego Turcy tak ją nazywają.

– A więc taki jest plan? – mruknął Martin. – Zostawicie nas tutaj? W górach? Strącicie nas w przepaść?

– Nie, nie, nic z tych rzeczy. – Duchok znowu miał na twarzy ten dziwny uśmiech, który prawie nie schodził mu z ust. – To by wam dało niezасłużoną szansę na uniknięcie tego, co jest wam pisane. Otóż my sobie życzymy, żeby was bolało. A wierzcie mi, my, jazydzi, rzetelnie robimy, co do nas należy.

– Jazydzi?

Usłyszawszy to słowo, Martin z jakiegoś powodu mocno drgnął. Z zaskoczoną miną młody wysłannik NSA patrzył na Ormianina, który tymczasem podszedł na skraj rozpadliny i przyglądał się jej z niepokojącym zadowoleniem. Chociaż była połowa sierpnia, wraz z zachodem słońca zaczął wiać zimny północny wiatr, który nie ucieszył więźniów.

– Wiesz, kim oni są? – szepnął Allen do Fabera, kiedy Duchok się oddalił.

– Jasne – skwapliwie odpowiedział półgębkiem Martin. – Ojciec dużo mi o nich mówił. Przed laty badał te okolice i dziwne rzeczy opowiadał o tych ludziach. Tutaj uważa się ich za czcicieli diabła, ale w rzeczywistości są wyznawcami jedyne go na świecie kultu aniołów. Ich mnisi nigdy nie golą wąsów. Popatrz na nich. Wierzą w reinkarnację. Nie jedzą sałaty. Nie noszą niebieskich ubrań. Uważają się za potomków ludzi ocalałych z paru potopów i z tego

tytułu za jedynych prawowitych strażników relikwii takich jak te, które są w Eczmiadynie w Matce Kościołów.

– Fanatycy... – mruknął Allen niechętnie.

– Ale nie mordercy.

– O mało mnie nie wykończyli w katedrze!

Faber nie znalazł na to odpowiedzi. Niewiele by dało tłumaczenie człowiekowi ranionemu jazydzkim nożem, jak bardzo ci ludzie fascynują jego rodzinę. Rodzice Martina od lat interesowali się ich osobliwą wiarą i uznawali jazydów za pacyfistów. Aczkolwiek mogły ich zaślepić subtelne więzy, które łączyły jazydów z Johnem Dee. I jazydzi, i następcy angielskiego maga twierdzili, że nawiązali łączność z wyższymi inteligencjami, a nawet widzieli „księgi” i „tablice niebiańskie”, które umożliwiły im bezpośredni dostęp do Stwórcy.

I właśnie dlatego Martin, zainspirowany przez ojca, ale w ramach projektu, przy którym pracował, przybył do Armenii.

– A wiesz co, Faber? – Artemi Duchok obrócił się na pięcie, przerywając poszeptywania więźniów. Jego wzrok spoczął na młodym Martinie. – Nie powinienem się dziwić, że odziedziczyłeś ambicje po ojcu.

Faber drgnął.

– Znasz mojego ojca?

– Chłopcze, wzrusza mnie twoja naiwność. Znam wszystkich zamieszanych w projekt Eliasza. Swego czasu ja też przy nim pracowałem. Jeszcze zanim ty nauczyłeś się korzystać z rozumu. Ale skończyłem z tym, kiedy poznałem prawdziwe zamiary twojego kraju.

– Pracowałeś przy Eliaszu?

Ormianinowi zabłyśły oczy. Martinowi także.

– Owszem. I jak widzę, jego kierownictwo nadal za wszelką cenę chce mieć monopol na kamienie.

Nicholas Allen słuchał oszołomiony. Nie mógł pojąć, o czym ci dwaj mówią. Jazydzi znali rodziców Fabera? Do ciężkiej cholery, cóż to jest ten projekt Eliasza? I dlaczego odnosił naraz wrażenie, że agencja zafundowała mu kłopoty, nie raczywszy go poinformować choćby o tym, że mogą się pojawić?

– Jednego nie bardzo rozumiem – rzekł Martin nieświadom rozmyślań skołowanego kolegi. – Czemuście nas zaciągnęli aż tutaj, do jednej z tych waszych słynnych wież?

Duchok podszedł do więźniów z rękami założonymi za plecy.

– Cieszę się, że rozpoznałeś miejsce. Przynajmniej tego się po tobie spodziewałem.

– Czytałem o wieżach w książkach Williama Seabrooka. I u Gurdzijewa.

„Wieże?... – Allen czuł się coraz bardziej dezorientowany. – Gurdzijew?... Seabrook?...”

– A nie czytałeś przypadkiem, co mówili o nas Puszkina czy Lovecrafta? – Ormianin uśmiechnął się złośliwie. – Może to wiesz, ale czuję się zobowiązany powiedzieć jasno, że wszyscy kłamią. Gurdzijew, najsłynniejszy mistyk mojego kraju, nigdy nawet nie widział wież. Ale w Europie cieszył się niezasłużoną sławą tylko dlatego, że publikował swoje dyrdymały po francusku.

– Ale William Seabrook odkrył twój sekret, prawda?

– Seabrook tak – przyznał Duchok.

– Był okultystą i reporterem, który pracował dla „New York Timesa” w początkach dwudziestego wieku...

– Wiem, kim był Seabrook – przerwał mu Ormianin. – On pierwszy szczegółowo opisał te budowle. – Wskazał ogromną iglicę

ukrytą za ścianami z cegły i plastiku. – Najdziwniejsze, że nazwał je „wieżami zła”, bo wierzył, że wydzielają wibracje, dzięki którym Szatan panuje nad światem. Ale jak już o nich napisał, nijak nie mógł udowodnić, że istnieją naprawdę. Większość zburzono, a w najlepszym razie zostały ukryte za innymi konstrukcjami.

– Czytałem jego „Adventures in Arabia” – powiedział Martin zadowolony, że odwrócił uwagę Ormianina. – I skłamałbym, mówiąc, że podawał dokładną lokalizację...

– Na oczy ich nie widział. Dlatego nie wdawał się w szczegóły położenia. Nie pokazał mu ich żaden z jazydzkich szajchów, z którymi rozmawiał w latach dwudziestych. Musiał więc ograniczyć się do przypuszczeń, że ktoś odpowiednio przygotowany rozmieścił wieże w zamierzonych czasach na całym kontynencie, a my je odwiedzamy od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy działają.

– I to jedna z tych wież?

– Zgadza się – przyznał Ormianin. – Moja rodzina czuła się w obowiązku ukryć ją w czasach Seabrooka z powodu tego, co pisał. Jego książka napiętnowała mój lud jako zaprzędany diabłu i upowszechniła opinię, że te wieże są pod kontrolą Zła.

– A nie jest tak? Nie jesteście satanistami? – wtrącił Nick z powątpiewaniem i znużeniem w głosie. Nogi się pod nim ugiwały, oddychał z coraz większym trudem. Zaczynał pragnąć, żeby cokolwiek ma się z nimi stać, stało się szybko.

– Jasne, że nie!

– No to czemu chcecie nas złożyć w ofierze? – spytał Nick i zakaszał. Czuł się coraz gorzej. Zranione miejsce obejmowała gorączka. Zimny pot na czole nie zwiastował nic dobrego. – Nie tak robią czciciele Zła? Nie składają ludzi w ofierze?

Duchok podszedł do Tekszańczyka i nachylił się do niego.

– A wiesz, pułkowniku, co w tym jest ciekawe? – szepnął. – Ano to, że nie ja wykonam egzekucję. Nie chcę własnych rąk plamić krwią. Na szczęście za kradzież świętej relikwii zasłużyliście na ordalia. Wiesz, co to jest?

Nick Allen nie miał bladego pojęcia. Nigdy nie słyszał tego słowa. Toteż Duchok, który się tego domyślił, czym prędzej go oświecił:

– To sąd Boży, pułkowniku – syknął. – Sprawiedliwość w najczystszej postaci wymierzana przez Wszechmocnego. Wyrok nieubłagany. Natychmiastowy. Dokładny. To On zdecyduje o pańskim losie. Zrozumiano?

– Tyś oszalał, człowieku...

Podmuch lodowatego wiatru z północy, może odprysku burzy szalejącej na niższym szczycie Araratu, zakończył tę wymianę zdań.

– Nie ma czasu do stracenia – oznajmił Ormianin, puszczając mimo uszu obraźliwe słowa Amerykanina.

Na znak Duchoka dwaj jego ludzie popchnęli Allena i Fabera na sam skraj ciemnego zapadliska. Pęknięcie w skale było potworne: u ich stóp otwierała się pionowa czeluść, dziura jak wycięta nożycami – o dziwo, kiedy nad nią stanęli, uderzył w nich powiew ciepłego powietrza. Czy Duchok zamierzał ich tam zepchnąć? Na tym miały polegać ordalia?

Faber doskonale znał ten termin.

Ukuła go Święta Inkwizycja w średniowiecznej Europie, a używany był przez trybunały rozpatrujące sprawy o czarostwo i herezję. Rezygnowano ze zwyczajowego przesłuchania, podejrzany zaś miał dowieść swojej niewinności, poddając się próbie ognia albo wody, do której wrzucano go ze związanymi rękami i nogami w obecności duchownych. Martin nie wierzył, żeby Ormianie

strącili ich w przepaść. Ordalia z założenia dawały delikwentowi niewielką szansę wyjścia cało z próby. A nie sądził, żeby skok w taką czeluść mógł się zakończyć inaczej niż śmiercią.

– Co chcecie z nami zrobić, Duchok? – spytał niespokojnie, widząc, że kończy mu się ziemia pod nogami.

– Poddamy was próbie wiary.

Ujął w obydwie ręce relikwię z Eczmiadzynia i podniósł ją nad głowę. Kamień w kształcie nerki zapłonął diamentowym błyskiem. Najwyraźniej jarzył się własnym blaskiem, ponieważ już się zupełnie ściemniło, nie mógł zatem odbijać żadnego światła.

– Wiesz już, dlaczego nazywamy te świętości słonecznymi kamieniami? – zwrócił się do Fabera.

Martin nie spodziewał się tego pytania. Trzymając nadal kamień nad głową, Duchok ciągnął:

– Heliogabalus to wyjątkowy minerał. Reaguje tylko pod wpływem pewnych bodźców naszej gwiazdy. Kilka godzin temu całkowite zaćmienie Słońca spowiło ciemnością tereny nie tak bardzo odległe od nas. Widoczna była jedynie część jego korony zbudowana z plazmy. Chociaż nie zauważyliście tego, ta energia uderzyła w Ziemię i sprawiła, że na kilka godzin uaktywniło się siedem wież anielskich rozrzuconych po świecie. Jeśli teraz w pobliżu wieży znajdzie się taki kamień, przejmie tę energię i zainicjuje ciekawą reakcję.

– Jaką reakcję?

– My ją nazywamy Chwałą Boga. – Uśmiechnął się. – Biblia hebrajska nazywa ją kabod. To blask Ojca Przedwiecznego. Ten sam ogień, który Mojżesz ujrzał na górze Synaj. Ten sam, którym gorzał krzew ciernisty, lecz nie spłonął od niego, i który sprawił, że za jego pośrednictwem przemówił Niewysłowiony... W gruncie



rzeczy to nasz najstarszy kanał do rozmów z Bogiem. Tyle że jeśli wy nie macie daru nieodzownego do przyjęcia tego światła, zginiecie.

– John Dee widział ten ogień i nie umarł – zauważył Martin wyzywająco.

– Był wyjątkiem. Korzystał z mediów mających dar i z zaklęć, które go chroniły.

– W takim razie – uśmiechnął się z kolei Martin, wspominając lata studiów nad magicznymi formułami Johna Dee – chętnie zobaczę tę Chwałę Boga.

Światło kamienia rozjaśniało wykrzywioną w złośliwym grymasie twarz jazydy.

– Wedle życzenia, panowie.

## ROZDZIAŁ 59

**39° 25' 34" n.**

**44° 24' 19" E.**

W bocznej części monitora zapaliły się jasno cyfry arabskie, oświetlając twarz Ormianina.

– Mamy! – zawołał, zupełnie nie zważając, że tyle już czasu siedzi na twardej zimnej posadzce w kościele Santa María a Nova.

Artemi Duchok bowiem zupełnie co innego miał na głowie. Może jego największą troską było dopilnowanie, abym nie odkryła oszustwa, w które mnie wciągał. A mnie, głupiej naiwniaczce, nawet przez myśl nie przeszło, co jeszcze mi szykuje.

W skupieniu zaraz wprowadził współrzędne do ogólnie dostępnego programu kartograficznego w Google, po czym czekał, aż kula ziemską przestanie się obracać wokół własnej osi i kursor wskaże szukane miejsce.

Oboje wstrzymaliśmy oddech. Mieliśmy nadzieję, że dane pobrane z satelitów wreszcie naprowadzą nas na ślad Martina. Zdjęcia satelitarne, na których pracowała ta aplikacja, za parę chwil miały nam dać wyobrażenie o tym, gdzie przebywa mój mąż z drugim adamantem.

Mapa się przesuwała coraz dalej na wschód, zostawiając w tyle Europę z Bałkanami i Grecją, i dwie sekundy później wskaźnik

zatrzymał się w punkcie przecięcia koordynatów – między granicami Armenii, Iranu i Turcji. Na 39. stopniu szerokości geograficznej północnej mapa zaczęła zwalniać i stopniowo powiększać się na monitorze.

Kiedy całkowicie znieruchomiała, naszym oczom ukazał się widok naprawdę posępny.

– Czy... czy to tutaj? – spytałam niedowierzająco.

Duchok kiwnął głową.

Patrzyliśmy na płaski teren w kolorze ochry zupełnie pozbawiony drzew. Monotonny kamienisty teren ciągnął się jak okiem sięgnąć, gdzieś tam tylko widniały niewielkie skupiska nędznych chat rozrzucone na nagich łagodnych zboczach.

– Ten program nie pokazuje współrzędnych ze stuprocentową dokładnością – wyjaśnił przepraszająco Duchok, przeciągając zdjęcie z góry na dół. – Przepatrzymy okolice, może trafimy na coś interesującego.

Fotografia przesuwiała się posłusznie, lecz widoki wcale nie były bardziej zachęcające. Jedyłą na tym obszarze drogę przecinały ślady opon dużych pojazdów, może wyładowanych ciężarówek, biegnąc w obu kierunkach w najbliższym sąsiedztwie przejścia granicznego w Gürbulaku. Teren był płaski. Bez żadnych wzniesień ani osad ludzkich czy zabudowań godnych zainteresowania. Ale w końcu, w odległości zaledwie kilometra od nędznej wioski zwanej Hallaç, w obrębie ogrodzonej strefy wojskowej zauważyliśmy coś ciekawego. Chyba jedyny element, który nie pasował do tej okolicy: nowiuteńki dach ogromnego budynku i pas ubitej ziemi, który mógł służyć jako lądowisko dla małych awionetek. Po jednej stronie wielkimi literami wypisano słowo widoczne z orbity: *Turkiye*. Turcja. A na początku pasa startowego, jakieś sto metrów dalej na

południe, ze zdjęcia satelitarne usunięto jakiś budynek lub instalację.

Wiedziałam, że takie wycinanie tego i owego z software'u Google Earth to normalka. Kiedyś chciałam skorzystać z tego programu, by zbadać ustawienie niektórych kościołów chrześcijańskich w Jerozolimie w Starym Mieście, i okazało się, że pousuwano wszystko „ze względów bezpieczeństwa” i planu miasta po prostu obejrzyć się nie da. To samo spotkało wrażliwe instalacje wojskowe w Gibraltarze, Chinach, na Kubie i w wielu innych miejscach. Ale co chciano ukryć w Hallaçu?

Prowadząc kursor wzdłuż pasa startowego do samego końca, natrafiliśmy na kolejną niespodziankę. Chyba jeszcze dziwniejszą niż strefa ocenzurowana: na wielki okrągłutki dół, ogromną studnię o średnicy około czterdziestu metrów wydrążoną w jałowej ziemi.

Duchok zatrzymał kursor i zaczął tę strefę powiększać.

– Co to jest? – zapytałam.

Nie zwrócił uwagi na moje pytanie. Zobaczyłam, że notuje dane peryferyjne podawane przez program. Wysokość: 4746 stóp, 39° 25' 14" szerokości północnej, 44° 24' 06" długości wschodniej. I wyliczenie jeszcze czegoś: odległości od bliźniaczych szczytów Araratu. Znajdowały się bardzo blisko. O jakieś trzydzieści kilometrów w linii prostej.

Ormianin w skupieniu zaczął obracać zdjęcie, by obejrzyć je pod każdym możliwym kątem.

– Co to jest? – powtórzyłam.

Duchok nie odrywał oczu od osobliwej dziury w ziemi. Wyglądała tak, jakby dokładnie w to miejsce trafił pocisk, po którym został niezwykle lej określonej wielkości.

W końcu Ormianin się uśmiechnął.

– Martin jest tutaj – oznajmił pewnym głosem.

## ROZDZIAŁ 60

Minęły lata, a Nick Allen nie znalazł właściwych słów, by opowiedzieć o tym, co się stało przy iglicy w pobliżu Araratu latem roku 1999. W raporcie dla agencji potrafił tylko napisać, że coś w rodzaju gigantycznego bębna, cylindra rozmiarów sześciopiętrowego bloku, wynurzyło się z głębi rozpadliny, okręciło wokół własnej osi i zawisło w odległości kilku metrów od spiczastej wieży i ich grupki.

W pierwszej chwili z powodu podmuchu, który towarzyszył wyłonieniu się tego czegoś, pomyśleli, że to samolot pionowego startu. Ale prawda jest taka, że w żaden sposób to coś nie przypominało samolotu. W słownictwie Allena zabrakło wyrażenia na określenie tego. Zwłaszcza gdy znalazło się blisko i stwierdził, że zrobione jest z czegoś, co nie wygląda na metal. Ta rura – czy co to tam, do diabła, było – wyglądała jak pępowina zbudowana z oślepiających wodnych ścian. I jakby tego było mało, emitowała całą gamę częstotliwości akustycznych i chromatycznych, które mocno podziały mu na zmysły.

Najpierw wzrok zaczął mu przesyłać błędne informacje. Sylwetki jazydzkich partyzantów, którzy tamtej nocy trzymali ich na muszce w pobliżu granicy turecko-armeńskiej, pofalowały się naraz i jęły rozpływać jak podgrzewane masło.

To nie jest prawda – rzekł sobie Allen i w duchu powtórzył te słowa kilkakrotnie. – Nie dzieje się naprawdę. To halucynacje. Naraz jednak potwornie zaschło mu w ustach, odnosił wrażenie, że język ma przyspawany do podniebienia.

Słuch także nie działał jak należy – Nick słyszał jedynie echo zdań wypowiedzianych przez porywaczy w jego ojczystym języku.

– Oto Chwała Boga! – dochodziło do niego z oddali przytłumione przenikliwym dźwiękiem wydawanym przez to coś.

– Chwała! – powtórzyli chórem inni.

Wówczas Allen dokonał niemożliwego, pragnąc paść na ziemię. Stracił bowiem poczucie siły ciężenia. Wiedział, że stoi na skraju przepaści i że wystarczy jeden nieostrożny krok, a spadnie w nią. Dlatego chociaż z wielkim wysiłkiem przychodziło mu rozglądać się za odpowiednim miejscem, szukał go z samozaparciem. A to coś unosiło się o kilka cali od jego głowy. Przesuwało się tam, gdzie stali obaj z Martinem, wirując jak szalone i wciągając kamyki i rośliny, które znalazły się na jego drodze. Jeśli czegoś nie zrobią, ich także zaraz wchłonie.

Wtedy Nick zobaczył, że jeden z bojowników się przechyla.

A Duchok przemienia się w cienką poziomą kreskę w jakimś punkcie jego pola widzenia.

I kiedy świat wyparowywał, obracający się wokół własnej osi ogromny cylinder oświetlił okolicę, jakby na nowo nastał dzień.

Z jakiegoś jednak powodu Chwała Boga nie zabiła Nicka.

Co więcej, kiedy go mijała, usłyszał, jak Martin Faber do niej przemawia. Dziwnymi słowami. Dla Allena niezrozumiałymi. Słowami, które wiatr roznosił po całej okolicy, kiedy to coś przesunęło się koło Nicka obojętnie, jakby na nic nie był potrzebny, i zaczęło wchłaniać jego kolegę.

Więcej go nie zobaczył.

Dlatego teraz, gdy wiedział, że Faber żyje i że satelity jego rządu zlokalizowały go na drugim końcu kontynentu, Nick miał potężny powód, aby żyć.

Koniecznienie musiał pogadać z Martinem. Choćby tylko chwilę. I zapytać go, co się działo w środku tego czegoś.



## ROZDZIAŁ 61

– Poważnie? Mój mąż tam jest... w tej chwili?

Artemi Duchok nie zważał na moje rozpaczliwe dopytywanie. Na monitorze laptopa uważnie oglądał pustynny obszar północno-zachodniej Turcji, jakby widział tam coś, czego nikt inny na świecie nie mógłby pojąć.

– Muszę ci coś powiedzieć... – zawiesił głos.

Na chwilę ogarnął mnie strach. Duchok patrzył nieruchomym wzrokiem. Dlatego gdy dokończył zdanie, poczułam wielką ulgę.

– Znam to miejsce – rzekł w zamyśleniu. – Parę lat temu byłem tam z twoim mężem.

– Naprawdę?

– Tak – wyszeptał drżącymi ustami. – Tam stałem się jego szajchem. Jego mistrzem. Skoro porywacze właśnie tam go zabrali, znaczy, że wiedzą o kamieniach więcej, niż nam się wydawało.

– Dużo więcej?

– Bardzo dużo – odparł sucho. – Przygotuj się. Idziemy.

## ROZDZIAŁ 62

Niedaleko Noii, zaledwie trzy mile morskie od zatoki A Barquiña, nazwanej tak na pamiątkę legendarnego utknięcia na mieliźnie arki Noego w korycie pobliskiej rzeki, na siedemnastometrowym kutrze rybackim Sirena de Lalín usiłowano w tej chwili naprawić zepsuty czterystukonny caterpillar. Na wzburzonym morzu główny silnik się zatarł, a pomocniczy zalała woda, tak że jedenastoosobowa załoga utknęła niedaleko brzegu z ładownią pełną minogów i dorszy, walcząc o to, aby nie pójść ze wszystkim na dno. Na pokładzie nic teraz nie działało. Główny mechanik, brzuchaty Galisyjczyk z Muxii słynący z tego, że łysą głowę nacierał sobie oliwą, aby błyszczała, kazał wyłączyć transformator, a wraz z nim radar, sonar i nawet kuchenkę mikrofalową, chciał bowiem bezpiecznie pracować w trzewiach statku.

I właśnie on pierwszy zauważył, że coś się dzieje.

Miał tę nieznaczną przewagę nad innymi, że akurat leżał na stępce kutra. Prawe ucho przytykał do drewna, nasłuchując, czy śruba reaguje na jego działania, gdy naraz dobiegły go trzy głuche uderzenia jedno zaraz po drugim. Bliskie. Bardzo bliskie.

Łup. Łup. Łup.

Tito – tak go wołali – nie zdążył się nawet zdziwić. Tuż po tych uderzeniach zobaczył coś, czego nie zrozumiał: w odległości metra

od niego dno kutra przebił potężny szpikulec, rozpruwając kadłub z dźwiękiem rozdieranej tkaniny. W jednej chwili do maszynowni wdarła się woda. Okrągła rumiana twarz mechanika zbladła. Ale to nie był koniec. Szpikulec pruł dalej kadłub, wijąc się jak wąż, aż biedak Tito nie mógł nadążyć za nim wzrokiem. Woda wlewała się z takim impetem, że zanim poderwał się na nogi, by uciec schodami na pokład, wessało go przez dziurę, jakby kuter go wydalil niczym łajno.

Na górze wstrząs odczuto w chwili, gdy nieszczęsny marynarz wypuścił resztki powietrza i woda wypełniła mu płuca. Jego trzech koledzy, którzy popijali na górze piwko z kapitanem, pospadali ze stołków jak kukły. Nieco niżej, gdzie mieściły się kajuty, pod wpływem przechyłu kutra pootwierały się wszystkie szafki, ich zawartość wraz z ruchomymi sprzętami huknęła o drewniane ścianki. Tristán, marynarz odpowiedzialny za stawianie sieci, potknął się na jakiejś skrzynce i runął jak długi, waląc potylicą o framugę drzwi. Nawet nie poczuł bólu. Niestety gorzej było z dwoma innymi rybakami, braćmi z Padrónu: fatalne przeznaczenie dopadło ich w ładowni – wpadli do niej i roztrzaskali się na paletach, na których w porcie mieli wyładować połów.

W sumie cztery trupy i siedmiu poturbowanych w sześć i pół sekundy.

Pozostali członkowie załogi nawet kilka godzin później, gdy postanowiono ich wypisać z oddziału ratunkowego w szpitalu Nuestra Señora de la Esperanza w Santiago, nie mieli pojęcia, co ich zaatakowało. A szczegóły zatonięcia poznali z ust kapitana marynarki wojennej, który zmusił ich, by podpisali zobowiązanie o zachowaniu wszystkiego w tajemnicy, jeśli chcą dostać odszkodowanie i na koszt Skarbu Państwa otrzymać nowy kuter

o żelaznym kadłubie.

– Albo podpisujecie wszyscy, albo żaden nie dostanie nawet jednego euro – oświadczył, jakby to oni zawinili.

Tymczasem szpikulec, na który ich kuter nadział się jak sardynka, był ściśle tajnym masztem fonicznym giganta długiego na sto piętnaście metrów. Podwodnego okrętu o napędzie atomowym klasy Virginia ochrzczonego mianem USS Texas. Jednostce tej amerykański Departament Obrony Stanów Zjednoczonych rozkazał podpłynąć do brzegu na wysokości Vigo, na wodach należących do strefy operacyjnej NATO, i wesprzeć akcję ratunkową, której szczegółów nawet dowodzący okrętem admirał nigdy nie pozna.

Kiedy doszło do kolizji, na pokładzie Texasu zasygnalizowały ją czerwone światła alarmowe. Ale było już za późno.

– Nie umiem tego wytłumaczyć, sir – rzekł oniemiały szef pokładowego sonaru trójwymiarowego. – Żaden sensor niczego nie wykrył. Musiała nawalić elektronika.

– Będzie to miało jakiś wpływ na działania lądowe?

W pytaniu kapitana zabrzmiało napięcie.

– Nie, sir. W każdej chwili możemy przystąpić do desantu. Ani systemy łączności, ani śluzы nie mają żadnych uszkodzeń.

– Znakomicie – odetchnął kapitan. – No to do roboty.

Osiem minut po tej rozmowie ocalali członkowie załogi zatopionego kutra dryfujący na jego resztkach patrzyli zdumieni, jak przy wtórze głuchego buczenia ze stalowych trzewi wyłania się łódź motorowa i wskakuje do niej sześciu ludzi uzbrojonych w automaty M4A1 i granatniki, w hełmach z elektronicznymi wizjerami.

Nikt się nie oglądnał, by posłać rozbitkom współczujące

spojrzenie. Szybko wyskoczyli z łódki i pobiegli w głąb hiszpańskiego lądu, zostawiając za sobą złorzeczenia i obelgi w języku, którego nie rozumieli.

## ROZDZIAŁ 63

Artemi Duchok wyszedł na chwilę z kościoła, by wydać polecenia swoim ludziom czekającym na zewnątrz. Nie musiałam znać jego języka, aby wiedzieć, co im rozkazał: by podjęli broń i przygotowali się do powrotu. W Noii nic więcej nie było do roboty.

Na szczęście wszystko odbyło się szybko, cicho i pomyślnie. Zabytkowy kościół nie doznał żadnego uszczerbku – z wyjątkiem sforsowania dwóch zamków łatwych do naprawienia – oczywiście też było, że taszczenie tutaj broni stanowiło lekką przesadę. Szczególnie że Duchok ewidentnie się pomylił co do naszego jedyne go „wroga”, który mógł nam przeszkodzić: pułkownika Allena.

Wiem, że może się to wydać dziwne, ale w tej chwili poczułam spokój po raz pierwszy od wielu godzin. Napięcie opadło. Ta gonitwa, nerwy i świadomość, że nic nie wiem o Martinie, wyczerpały mnie do cna. A teraz, gdy wszystko pomału się klarowało, mój mózg zaczął produkować pierwsze endorfiny.

W trakcie tej nieoczekiwanej chwili błogości dotarło do mnie, że Duchok nazwał siebie mistrzem Martina, i przypomniałam sobie coś, co wydarzyło się parę lat wcześniej. W Londynie. W ekscytujących czasach tuż po naszym ślubie, kiedy poznawaliśmy się nawzajem. Jedno z niewielu zwierzeń Martina

dotyczących jego przeszłości wiązało się właśnie z tym, co przeżył na stoku na północy Turcji, niedaleko miejsca, którego zdjęcie satelitarne oglądaliśmy przed chwilą. Wydarzyło się to w dniu, kiedy poznał swego osobistego szajcha – to słowo pochodzące z arabskiego oznacza „opiekuna” albo „mistrza” i dopiero teraz w pełni zaczynałam rozumieć, jakie treści niesie.

Ich przyjaźń zrodziła się, gdy Martina wbrew jego woli wywieziono w niegościnne miejsce i tego samego dnia stracił towarzysza podróży. Jego kolega, jak mówił, był twardym wytrzymałym facetem, który na oczach Martina znikł podczas burzy w górach. „Wiesz – powiedział Martin – to była taka gwałtowna nawałnica, jakie powstają na większych wysokościach i zawsze mocno rozrabiają”. I na zawsze pozostało dla niego tajemnicą, czy kolega wtedy zginął czy też nie. „Tamta burza, *chérie*, nie była zwyczajna”. Martin mówił, że przyszła znienacka pod postacią szarej nieprzezroczystej ściany, która wychynęła spod ziemi i przesuwała się, aż dotarła do nich. Opowiadając o tym, mój mąż miał przerażenie na twarzy. Minęły lata od tego wydarzenia, lecz Martina ciągle nachodziły koszmary, w których morze pyłu i kamieni sunęło ku nim w górę zbocza. Na samo wspomnienie wstrząsał nim dreszcz. Tamtego dnia, powiedział mi, po raz pierwszy w życiu świat stał się dla niego niezrozumiały. Dziwny. „Czułem się jak w burzy magnetycznej z filmu s.f.”, powiedział.


I w końcu wyznał mi swoją „tajemnicę”.

Opowiedział, że pośród nawałnicy jakieś twarde stalowe ramiona chwyciły go pod pachy i niemiłosiernie nim potrzęsnęły. W pobliżu nie widział żadnych maszyn ani niczego, co by mogło istnienie czegoś takiego tłumaczyć. I zaklinał się, że wcale mu się to nie przyśniło ani nie przywidziało. I że zdołał nawet dojrzeć właściciela

tych kończyn. Poruszało nimi nieludzkie oblicze, geometryczne w kształcie, o czerwonych ślepiach bez wyrazu, które jakimś sposobem pobudzały go do walki. „Jak Jakuba z aniołem, wiesz?”, dodał.

Tyle że Martinowi nie starczyło sił, by stawić opór. Zdezorientowany i oszołomiony, starając się ująć przed prześladowcą, zaczął się czołgać na skraj urwiska. Ale nic z tego nie wyszło, bo pomyliły mu się kierunki i zamiast uciekać przed burzą i tym mechanicznym potworem, pełził prosto na niego. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, było już za późno: znalazł się w czymś na kształt elektrycznej pieczary. Na poły unosił się w powietrzu wśród pojawiających się znikąd iskier i błyskawic, które oślepiająco migotały dokoła.

Na tym Martin urwał opowieść. Myślę, że bał się mówić o innych szczegółach. Albo nic więcej nie pamiętał. Ilekroć bowiem później wracałam czasem do tego tematu, zawsze powtarzał to samo – że uratował się wtedy dzięki temu, który zawsze był obecny w jego życiu: Johnowi Dee. Nie muszę dodawać, że to była jego obsesja. I nie dziwię się temu z powodu, o którym zaraz opowiem.

Otóż w leżu potwora, być może w jego trzewiach, drobny szczegół przywiódł mu skojarzenie z magiem z Mortlake. Nawałnica niosła Martina, który półprzytomny zdołał się z całych sił uczepić występu skalnego. I dostrzec na nim wyryty znak już na pierwszy rzut oka znajomy: . Odkrycie znaku Johna Dee tak blisko Araratu sprawiło, że przypomniał sobie zaklęcie, którego się nauczył od Sheili. Zaklęcie używane przez maga do oddalania burz.

Martin swego czasu tyle razy je powtarzał, że chociaż strasznie zmordowany, zdołał się sprężyć i ile sił w płucach krzyknął: „*Dooaip Qaal, zacar, od zamram obelisong!*”.



Jego słowa porwał wiatr i zdusił, jakby w ogóle nie zostały wypowiedziane. Ale kiedy Martin już otwierał usta, aby powtórzyć zaklęcie, coś się zmieniło.

Błyskające wokół iskry jakby się na mgnienie oka zawahały.

„*Dooaip Qaal, zacar, od zamram obelisong!*”, powtórzył Martin ożywiony nadzieją.

I jeszcze raz.

Wtedy efekty stały się już wyraźne. Jakby zaklęcie uruchomiło wyłącznik – wszystko naraz znikło niczym zły sen. Tyle że wydarzyło się naprawdę. Martin był potłuczony, miał na ciele mniejsze i większe oparzenia i w ogóle ledwie zipał. Kiedy ujrzał, że rozwiało się pole elektryczne, które go schwytało, osunął się na ziemię.

Opowiadał mi z widocznym strachem, że niedługo potem znalazł go jakiś człowiek, zabrał do siebie i pielęgnował przez dobre dwa miesiące. Był tak zdumiony, że cudzoziemiec przeżył atak „Strażnika Ziemi”, aż doszedł do wniosku, że opatrność sprowadziła go w to miejsce. „Skoroś pokonał potwora, jak Gilgamesz pokonał potężne lwy, znaczy, że twardziel z ciebie”, powiedział.

Jak się okazało, właśnie ów skromny i szczodry człowiek zmusił wcześniej Martina, by dotarł aż w to miejsce. Wyzbywszy się początkowego okrucieństwa, wróg przeobraził się w krynicę mądrości i dobroci. Dużo opowiadał Martinowi o tajemniczych strażnikach przysłanych, by uśpione w ukryciu strzegły starego skarbu. Nauczył go także przywoływać żywioły i panować nad strachem. „Być jak Henoch – powiedział – którego porwał wicher, mimo to zdołał go pokonać i wrócić do domu”.

Martin zawsze ciepło się wyrażał o tym człowieku, jak o członku

rodziny. Nazywał go szajchem.

Teraz uzmysłowiłam sobie, że jego prawdziwe nazwisko brzmi Artemi Duchok.

## ROZDZIAŁ 64

Antonio Figueiras dotarł do lotniska w czasie, gdy samolot rejsowy przywożący nieproszone posiłki lądował w Lavacolli. Był podenerwowany. Nie zmrużył oka tej nocy, a otrzymane od wojska wieści na temat lotu śmigłowca nie nastrajały optymistycznie. Obsługa radaru twierdziła, że nad ranem wszystkie urządzenia miały chwilową awarię i nie zarejestrowały niczego w swoim zasięgu.

Tkwił teraz w hali przylotów z wymiętoszonym egzemplarzem „La Voz de Galicia”, czekając na tych facetów. Na dwóch Amerykanów – o dwóch za dużo! – zainteresowanych sprawą. Z kategorycznym poleceniem szefa, że osobiście ma się nimi zająć.

– Inspektor Figueiras? – wyrwał go z zamyślenia kobiecy głos.

Obróciwszy się, o mało nie zemdlał z wrażenia. Stała przed nim świetnie zbudowana młoda brunetka w dopasowanych spodniach i czarnej marynarce od Armaniego, z elegancką teczką.

I z wyciągniętą na powitanie ręką. Ale jaką ręką! O gładziuteńkiej skórze. I długich palcach zakończonych paznokciami z francuskim manikiurem. Dłoń jedwabście wsunęła się w jego szorstkie łapsko.

– Tak... to ja... – wykrztusił po angielsku jako tako. – A pani pewnie...

– Ellen Watson z Biura Wykonawczego Prezydenta Stanów

Zjednoczonych.

– Z biura prezydenta?

Uśmiechnęła się. Miała świadomość, jakie wrażenie wywiera taka prezentacja.

– A to mój kolega, Tom Jenkins – dodała, wskazując oszczędnego w gestach blondyna. – Doradca do spraw wywiadu. Mam nadzieję, że jest pan dyspozycyjny. Musimy wspólnie załatwić pewne sprawy.

„Ach tak?...”

Po tych niezbędnych formalnościach inspektor poprowadził przybyłych na parking. Piękna Ellen skręciła jednak ku stanowiskom wynajmu pojazdów, gdzie załatwiła sobie motocykl z potężnym silnikiem i całym wyposażeniem, jej wysztafirowany kolega natomiast podążył z inspektorem.

„Ja to mam pecha!...”, złościł się w duchu Figueiras.

Amerykanin nie wydawał się zbyt rozmowny. Usiadł w peugeotcie inspektora z przodu w fotelu pasażera, zapiął pas i krótko poprosił jedynie, żeby go zawiózł do pułkownika Allena. Figueiras nie potrzebował więcej, aby sobie uświadomić, że na temat sprawy nic się nie dowie od Jenkinsa, jeśli nie zagadnie go wprost. Tyle że gdy współpracował z zagranicznymi służbami specjalnymi, zwykle ludzie tacy jak ten Amerykanin dbali o własny interes. Co oznaczało, że brali jak najwięcej i dawali jak najmniej.

– Skomplikowana sprawa, prawda? – zagaił inspektor, wyjeżdżając wąską ulicą z lotniska w kierunku miasta. Świtało, dla Santiago prognozy zapowiadały dzień pogodniejszy niż poprzedni. – W nocy zginęli dwaj moi ludzie. Obserwowali śmigłowiec, który potem uciekł z placu katedralnego. Śmigłowiec... zagraniczny. Wie pan coś o tym?

– Odlecieli nim z Julią Álvarez?

– Tak sędę.

Amerykanin uśmiechnął się tylko enigmatycznie.

– Co pana tak bawi?

– A to, że ma pan dzisiaj szczęśliwy dzień – odparł Jenkins, wyjmując z kieszeni komórkę. – W tej chwili obiekt, którego pan szuka, jest w miejscu o współrzędnych: czterdzieści dwa stopnie czterdzieści siedem minut szerokości północnej, osiem stopni pięćdziesiąt trzy minuty długości zachodniej.

Figueiras wzruszył ramionami.

– Nie znam się na mapach.

– Nic nie szkodzi. To koordynaty miejscowości Noia – wyjaśnił Jenkins, wyraźnie nie mając ochoty wdawać się w szczegóły. – Nasze satelity bez przerwy monitorują miejsce pobytu Julii Álvarez. Proszę się nie martwić. Nie pozwolimy jej wywieźć z kraju.

– Niby jak to zrobicie? Jest was dwoje...

Na szczupłej bladej twarzy Jenkinsa znowu pojawiła się nadęta mina.

– Jak pan myśli, dokąd mojej koleżance tak się spieszyło?

– Do... Noii?

Jenkins kiwnął głową.

– Jeśli będzie potrzebowała wsparcia, wie, jak nas powiadomić. Możemy tu na pana liczyć, prawda?

Inspektor zdenerwowany rąbnął pięścią w kierownicę.

– Ci faceci zamordowali dwóch policjantów! Powinniśmy się porozumieć z miejscową komendą i pchnąć tam moich ludzi. Nie można posyłać samotnej kobiety na tych bandziorów!

Amerykanin chwycił go za rękę i przytrzymał ją na kierownicy.

– Niech pan prowadzi, inspektorze, i nie robi głupstw – zbeształ go. – Ta sprawa pana przerasta. Niech pan pozwoli, że będziemy

działać po swojemu, a gwarantuję, że osobiście dostarczę panu morderców.

– Po swojemu? – Figueiras nie mógł zrobić głupszej miny.

Wyjechał na prostą drogę i dodał gazu.

– Mamy w tę sprawę zaangażowane większe siły, niż pan sądzi. Bezpieczeństwo Julii Álvarez i jej męża jest dla nas równie ważne jak dla pana. Słyszysz pan?

– Skoro tak, chyba zamienię się w pański cień – oświadczył Figueiras, strącając dłoń Amerykanina ze swojej i znowu waląc pięścią w kierownicę, aż wóz zadrżał. – Ci zabici policjanci byli moimi kolegami.

– Jestem po pana stronie, inspektorze. Może mnie pan nie odstępować – rzekł Amerykanin flegmatycznie. – Ale teraz, jeśli pan pozwoli, chciałbym się jak najszybciej zobaczyć z pułkownikiem Allenem. Proszę patrzeć na drogę.

Figueiras odruchowo poprawił okulary i wcisnął pedał gazu.

– Ależ proszę bardzo. Będziemy na miejscu za pięć minut – obiecał.

## ROZDZIAŁ 65

Na zewnątrz kościoła Santa María a Nova coś potoczyło się nie tak.

Na ułamek sekundy przed tym, jak Janos runął na ziemię, rozkwaszając sobie nos, jego towarzysz Wasfi, zaufany Artemiego Duchoka, poczuł na twarzy muśnięcie oddechu. Było to osobliwe odczucie, jakby powiew powietrza po przelocie komara z silnikiem odrzutowym w tyłku.

W żyłach zabuzowała mu adrenalina. Strzelają!

Kiedy drobne odłamki odskoczyły od marmurowej płyty, która osłaniała mu plecy, nie miał już cienia wątpliwości: zostali zaatakowani.

Paf, paf, paf.

Z tyłu kolejne trzy strzały trafiły w kamień, czerwona kropka celownika laserowego przesuwiała się od nagrobka do nagrobka.

Janos leżał pięć metrów od niego. Miał zakrwawioną twarz i lewą rękę i zwijał się z bólu przy przedmiocie, na który mówili „amrak”. Kasetą miała rozmiary mniej więcej szachownicy i wszyscy przysięgli, że będą jej bronić nawet za cenę życia.

Chwilę przed wejściem do Santa María a Nova szajch polecił swoim ludziom, żeby ją otworzyli w pobliżu drzwi kościoła. Jeśli znajdą w środku kamień, którego szukali, kasetą będzie mogła go aktywować. Szajch wiedział, że w zamierzonych czasach jedna z

tajemnych wież jego klanu została wzniesiona właśnie tutaj. W miejscu zwanym *finis terrae* przez starożytnych. Wiedział również, że jego ludzie potrafią się posługiwać tajemnym źródłem energii. Mieli otworzyć kasetę i skierować ją ku północnym murom, nieco poniżej niszy niejakiego Pedra Alonsa de Pont. Ale Janos zakwestionował to polecenie. Ten człowiek był najemnikiem, specem w posługiwaniu się substancjami chemicznymi i biologicznymi, szkolonym w obozach Saddama, póki nie odkryto, że jego matka jest Kurdyjką, a ojciec kapłanem jazydzkim. Teraz nie ustawał w narzekaniu, że plan Duchoka jest szaleństwem. Obawiał się, że jeśli z jakiegoś powodu kasetka eksploduje energią jak tej nocy w Santiago, załatwi wszystko w promieniu dziesięciu metrów. Co by oznaczało, że żaden z nich nie wyjdzie z tego żywy.

Wasfi patrzył wtedy na niego bez cienia współczucia. Los – pomyślał – pokarał go za grzeszny opór.

Teraz spokojnie odbezpieczył automat, ustawiając równocześnie wypasiony sterowany elektronicznie celownik na podczerwień. Wiedział, że jego mistrz robi coś ważnego w kościele, a czy skończy się to sukcesem, zależy od nienagannego wykonania obowiązków przez niego, Wasfięgo. Dlatego tak jak go nauczono, ocenił swoje położenie, zanim w ogóle dotknął spustu.

Kiedy zobaczył, że Janos odpełza w bezpieczne miejsce, zostawiając za sobą ślady krwi, wiedział, że jego towarzysz nie będzie mógł się bronić. Jasnoczerwona krew wypływająca mu spod barku świadczyła, że został trafiony w płuco. Duchok z całą pewnością także go nie wesprze, dopóki nie opuści kościoła. Hacı natomiast, drugi towarzysz, znajdował się w tej chwili poza jego polem widzenia. Zajął pozycję w pobliżu kwater przy wejściu na cmentarz.



Wasfi uznał, że tym razem już po nim.

Co jeszcze mogło pójść nie tak?

A właśnie. Amrak.

Parę chwil przed strzelaniną kasetka dziwnie się zachowywała. Janos niechętnie zdjął wtedy ołowianą pokrywę, pozwalając, by powietrze owiało wnętrze. I zerknął do środka. Zobaczył coś niesamowitego, niepodobnego do niczego, co w życiu oglądał: na czarnej chropowatej powierzchni widniały liczne zgrubienia i wypukłości połączone jakby śladami dawnego pisma. Co więcej, kiedy to coś zetknęło się z wilgotnym powietrzem Noii, zaczęło zmieniać kolor. „Płytką” przybrała czerwona barwę i wydała z siebie serię żalostnych jęków, które zaniepokoiły Janosa. Co jest, do diabła?...

Wasfi polecił mu przez komunikator, żeby postawił kasetę przy wskazanym grobie i zapomniał o niej.

Łatwo powiedzieć!

Pocisk trzydziestka trafił go w plecy i powalił na ziemię. Uderzenie było tak silne, że Janosowi serce na kilka chwil stanęło i stracił oddech.

Właśnie wtedy Wasfi zobaczył napastnika biegnącego wzdłuż omszałego kamiennego muru otaczającego cmentarz. Był uzbrojony w broń szturmową. Wyglądał na dobrze wyszkolonego. Biegł zygzakiem zgodnie z techniką poruszania się w terenie, która wydała się Wasfiemu znajoma. Komandosów przysłali?, pomyślał Ormianin, lecz ani drgnął. Zastygł jak posąg, czekając, aż przeciwnik wyjdzie mu na czysty strzał. Niestety, kiedy to się stało, tamten zobaczył również jego.

Nie było wyjścia. Wasfi nacisnął języczek spustu broni, która wyrzucając sześć pocisków na sekundę, cisnęła tamtym o płyty

nagrobne. Trup.

Nie zdążył się ucieszyć. Za plecami znowu usłyszał dźwięk, którego niepodobna pomylić z żadnym innym – butów skradających się po żwirze – i posłał w tamtym kierunku kolejną serię. Tym razem także na ziemię padł człowiek wyposażony w sprzęt używany przez siły specjalne marynarki USA.

Dwóch.

W żyłach Ormianina buzowała już potężna dawka adrenaliny.

Przypomniał sobie naraz Haciego. Przeciwnicy używali co prawda tłumików, lecz musiał przecież usłyszeć strzały jego, Wasfiego. To miejsce było jak amfiteatr wzniesiony z betonu. Teren, na którym stał kościół Santa María a Nova, otaczały budynki mieszkalne, niemal wszystkie przewyższające jego dzwonnice, tak że całkowicie go ogradzały. Tutaj klaśnięcie odbiłoby się zewsząd echem. Załatwili go. Bez dwóch zdań, stwierdził. I natychmiast skupił się na czym innym. Przypomniał sobie, że amerykańskie oddziały specjalne nigdy nie posyłają na akcję dwóch ludzi. Musi ich być minimum sześciu.

– Rzucić broń i wyłazić z rękami do góry!

Głos wzmocniony megafonem, mówiący po angielsku, rozwiął w nim resztkę wątpliwości.

– Jesteście otoczeni! – dodał niewidoczny komandos.

Wasfi nie odpowiedział, tylko padł na ziemię. Podczołgał się parę metrów, aż do starego wysokiego krzyża wyrastającego z kamiennej podstawy, i przycupnął za nim. Wiedział, że nie wszystko jeszcze przepadło. Jeżeli zdoła wyniuchać, skąd mówią, być może nadarzy się jakaś sposobność.

Dostrzegł trzeciego żołnierza zmierzającego ku drzwiom kościoła, w którym ciągle byli Duchok i Julia Álvarez nieświadomi tego, co

się dzieje. Ale ich pochłaniało co innego. Tego jednak Wasfi nie pomyślał. Wymierzył i celnym strzałem przebił hełm. Kula trafiła w ciemność. Na widok padającego trzeciego wroga Ormianin podziękował w duchu Bogu i swemu wujowi, który zaopatrzył go w amunicję wyposażoną w twarde rdzeń zdolny przebić pancierz średniej grubości. Były to naboje najdroższe na rynku, lecz stanowiły cenne zabezpieczenie, gdy nie wiadomo było, jakiemu przeciwnikowi przyjdzie stawić czoło.

– Poddajcie się! Wyłazić! – Ostatni rozkaz zlał się z celnym strzałem Wasfiego. – Jak nie złożycie broni, ostrzelamy was z broni ciężkiej...

Z broni ciężkiej?

Wasfi zmrużył oczy.

Mają artylerię?

Nim dokończył w myślach to pytanie, pięć pocisków trafiło dosłownie trzy centymetry od niego, roztrzaskując w drobny mak starą inskrypcję łacińską. Strzelają, żeby zabić. Ormianin szamotał się z pasem od swojego uzi pokrytego marmurowym pyłem, lecz zdołał przypaść do ziemi, zanim kolejna seria rozkruszyła kamień w miejscu, gdzie chwilę wcześniej opierał głowę.

Padając na plecy, Wasfi zobaczył swojego oprawcę.

Drągała ubranego na czarno, który wodził za nim płamką światła z celownika.

Pocisk trafił w ziemię blisko kolana Ormianina. I jeszcze jeden. I jeszcze. Był na łasce tego drania w kominiarce, który najwyraźniej dobrze się bawił.

– Pomódl się – usłyszał Wasfi makabryczne polecenie stłumione przez kominiarkę.

– Co?

– Pomódl się, jak umiesz, gnoju.

Wtedy Wasfiemu przyszedł na myśl Melek Taus, Anioł Paw, anioł opiekuńczy jego klanu, i kurczowo ujął w ręce kolbę automatu, by przynajmniej umrzeć jak bohater. Ostatnią myśl poświęcił wujowi. Człowiekowi, któremu zawdzięczał przemianę w tego, kim się stał. Szajchowi Artemiemu Duchokowi.

Drażał jednak nie strzelił.

Ze wschodu na zachód cmentarza nad osłaniającą komandosa płytą poleciał zbawczy pocisk, trafiając żołnierza w szyję. Z jego strzaskanej krtani dobył się charkot, który wywarł wrażenie na Wasfim.

Chwała Bogu!

Haci, który powolutku przesunął się ze swojej pozycji aż do wejścia na główny dziedziniec cmentarza, właśnie uratował mu życie.

Czterech, podliczył.

– Jak tam? – usłyszał jego okrzyk.

– W porządku!

Rozradowany Ormianin podniósł się i dał znak towarzyszowi, że spotkają się przy północnej ścianie kościoła. Musieli zabezpieczyć amrak. Haci, niewysoki facet o rozbieganych oczach, mający za sobą lata zaprawy na granicy armeńsko-tureckiej, w mig pokonał dystans, który dzielił go od celu. A tam Janos wciąż próbował się pozbierać. Tuląc do siebie kasetę, ostatkiem sił pełzł do drzwi kościoła pomiędzy kamiennymi nagrobkami, byle ją wynieść w bezpieczne miejsce. W dodatku bał się, żeby nie eksplodowała energią.

– Mówię po raz ostatni! – Ranny Ormianin znowu usłyszał wzmocniony metaliczny głos człowieka, który pozostawał poza jego

polem widzenia. Aczkolwiek tym razem wydało mu się, że jest odleglejszy. – Oddajcie nadajnik, to darujemy wam życie. Macie pięć sekund. Potem po cichutku otworzymy ogień.

Nadajnik? Wyczerpany Janos prychnął w duchu. Tym jest dla nich ta cholerna kaseta?

– Pięć... cztery... – zaczął odliczać ten z megafonem. – Trzy...

Wasfi i Haci rozglądali się nerwowo na wszystkie strony, nie mogąc ustalić, gdzie się przyczaił wróg.

– Dwa... – Głos niepostrzeżenie spowolnił odliczanie, ale go nie przerwał. – Jeden...

W tejże chwili Janos poczuł, że świat się na niego wali. Tuż za nim zadymiło z gwizdem i coś dużego gorącego świsnęło mu koło głowy, po czym wleciało do kościoła. Chociaż odruchowo zatkał sobie uszy, od wybuchu bębni o mało mu nie popękały. To nie chcą kasety? Nie zdążył ochłonąć, gdy posypały się nad nim serie z karabinu maszynowego. Domyślił się, że to jego towarzysze przeczesują teren. Niedługo jednak cieszył się ulgą, kiedy bowiem zdrową ręką zaczął szukać miejsca, gdzie stał amrak, czyjeś silne dłonie chwyciły go pod pachy i zaciągnęły do kościoła.

– Musimy się stąd wydostać! – usłyszał krzyk Wasfiiego. – Natychmiast!

## ROZDZIAŁ 66

Huknęło.

A potem zagrzemiał piekielny łomot, aż wszystko się zatrzęsło, po czym rozszedł się smród pyłu i swąd spalenizny.

Jakby mi anioł zagłady przyłożył złotą trąbą w plecy, rzucając mnie twarzą na komputer Duchoka i dalej, na sarkofag Jana z Estivadas. „Boże!” Przez ułamek sekundy sądziłam, że porywa mnie huragan. Najpierw cisnął mną o kamień i przytrzymał, miażdżąc mi kolana, przedramiona i czoło, a kiedy mnie puścił, padłam jak długa gdzieś pośrodku kościoła.

Myślałam, że wszystko mam połamane. Z powodu bólu i słodko-kwaśnego smaku krwi w ustach żałowałam, że nie straciłam przytomności. Co było dziwne. Po takim uderzeniu powinnam była leżeć bez czucia, tymczasem zamiast oszołomienia czułam pobudzenie wszystkich zmysłów. Dopiero fala uderzeniowa mnie zamroczyła. Naraz wszystko dokoła zaczęło wirować. Leżałam na wznak w poszarpanym ubraniu, bez jednego buta, który poleciał kilka metrów dalej.

Przez kilka chwil ani drgnęłam. Ciało przestało wysyłać alarmujące sygnały do mózgu, który z wolna zaczynał normalnie pracować. I wtedy w całym kościele pojawił się gęsty obłok. Zawisł nade mną i zanim zdałam sobie sprawę, co się dzieje, otoczył mnie

zawszad. Wdychalam te chmure pylu, dymu i drobin krzemu, ktore wywolaly gwaltowny kaszel, zwikszajac bol od potluczen.

– Nic ci nie jest?

Artemi Duchok chwiejnym krokiem wylonil sie naraz spozród tumanu, machajac rekami, by rozproszyć go nieco.

– Julia! Odezwijsię!

Z widocznym napięciem na umorusanej twarzy pochylił się nade mną. Obrzucił mnie baczny wzrokiem, a upewniwszy się, że nic wielkiego mi się nie stało, powiedział coś, co dotarło do mnie z niejakim opóźnieniem:

– Musimy stąd wyjść. – Pociągnął mnie mocno. Nie byłam w stanie się podnieść. – Słyszysz?

– Mamy u... uciec?

– Wiem którądy... Wstawaj.

Za drugim podejściem udało mi się dźwignąć.

Przecierałam oczy, daremnie próbując oczyścić je z pyłu, Duchok tymczasem popychał mnie w stronę ściany, pod którą jeszcze minutę wcześniej stał sarkofag.

„Se-te-da-visionada” rozleciało się w drobny mak.

Szłam ciągle jeszcze otumaniona.

– No chodźże!

Wiedziałam, że w tym miejscu nie ma wyjścia, że Ormianin ciągnie mnie pod nieprzebyty kamienny mur wysoki na sześć metrów. Mimo wszystko ruszyłam za nim. I zaraz potknęłam się o jakiś tłumok, omal nie lądując znowu na twarzy. Kiedy w przeszkodzie rozpoznałam jednego z ludzi Duchoka, zaczęło do mnie docierać, w jakim jesteśmy położeniu. To był ten facet, który skutecznie zajął się zamkiem u drzwi. Janos. Przez cały czas skulony leżał niemal obok mnie z raną w boku, z której obficie

broczył krwią.

– Szybciej! – ponaglił mnie Duchok.

– A on?

– Janos wie, co ma zrobić. Biegiem!

Kiedy Ormianin zniknął w gęstym тумanie, mój umysł potrzebował jeszcze czasu, by uświadomić sobie, co się stało: w kościele wybuchła bomba – albo jakiś pocisk o podobnym działaniu – rozwalając sporo płyt tworzących posadzkę. Najwyraźniej groźny wróg, o którym Artemi Duchok niechętnie mówił, zdołał nas zlokalizować. I dokonał sporych zniszczeń w zabytkowej świątyni. Tysiącletnie płyty nagrobne wyleciały w powietrze, zaścielając gruzem całą nawę. Siła wybuchu dosięgła nawet płyty położonej najdalej na wschód, bardzo starej i bardziej tajemniczej niż inne, która dotąd służyła jako postument posągu zniwiarza. Kamień zwyczajnie się zapadł, odsłaniając sześć czy siedem brudnych wąskich stopni, które wiodły pod ziemię.

W pierwszej chwili pomyślałam, że mam przywidzenia. Że to skutek uboczny przeżytej traumy. W kościele Santa María a Nova nie było podziemnej krypty.

Myliłam się jednak. Ormianin zdecydowanie wszedł na stopnie i kiwał na mnie, żebym zrobiła to samo.

– Zaraz!

Pomachałam rękami, by rozwiać kurz zasłaniający mi widok, i ruszyłam za Duchokiem, dziękując Bogu za ten cud.

Na dole na wprost schodów wyrastał mur, pozostawiając niewielkie pole manewru. Zauważyłam, że jedynym wyjściem stamtąd jest otwór u podstawy ściany wysoki na jakiś metr. Duchok już się przez niego przecisnął.

– Na co czekasz? – usłyszałam z drugiej strony muru.



Przyszło mi do głowy, żeby go nie posłuchać, lecz wtem wyczułam za plecami kroki. Zdecydowane. Kroki żołnierza. Dobiegały z kościoła. Jeśli należały do tych, co zaatakowali kościół albo mieli coś wspólnego ze złodziejami kamieni, przed którymi Martin mnie ostrzegął, lepiej było jednak pójść w ślady Ormianina.

Przytomnie chwyciwszy po drodze swój but, wsunęłam się do tunelu akurat w chwili, gdy z góry doleciał huk kolejnego wystrzału.

Boże drogi! Janos!

Przekonana, że Janos właśnie pożegnał się z życiem, ze ściśniętym sercem szłam na czworakach przez ten piekielny korytarz – jak się okazało, w sumie bardzo krótko. Tunel – a raczej pozostałości dawnego kanału – kończył się jakieś trzydzieści metrów dalej na zachód, pod calle Escultor Ferreiro, gdzie łączył się z innym, szerszym, należącym niewątpliwie do miejskiej sieci kanalizacyjnej. Słabe światło dzienne, które wpadało przez studzienkę burzową, pomogło mi się zorientować w otoczeniu: wydrążony w skale ściek był bardzo stary, cuchnął moczem i zgniłymi jajami, ale pozwalał się oddalić od kościoła Santa María a Nova.

– Co to było? – krzyknęłam do Duchoka, stając na nogi. Próbowałam otrzepać ubranie i równocześnie nałożyć but, który kurczowo ściszałam w ręce. Skutki mojego „odlotu” jeszcze nie całkiem minęły. Miałam nieprzyjemne uczucie, że żołądek podchodzi mi do gardła, i wydawało mi się, że zaraz się przewrócę.

– Znaleźli nas – odparł poważnie.

– Pułkownik Allen?

– Albo jego ludzie. Jakie to ma znaczenie? – burknął, ciągnąc mnie za sobą. – Ważne, że przyszli po ciebie... i po to.

W prawej ręce trzymał mój kamień. W jego wnętrzu wciąż migotały światełka. Resztki energii, która nie mogła się wyczerpać.

– Powiedz... – Przełknęłam ślinę przejęta tym, co miałam na myśli. – Znajdziemy go, prawda?

– Martina? Jasne! Już wiemy, gdzie jest. O rzut beretem od Araratu. Przykro mi, że nie ma czasu, żeby ci lepiej to wyjaśnić, ale jak najszybciej trzeba się stąd zbierać.

– Nie!... Musisz mi powiedzieć! Nie wiem nawet, czy udało się nawiązać to cholerne połączenie z kamieniem! – Sama się zdziwiłam, że wykrzyczałam coś tak głupiego, idąc za nim po pokrytym szlamem śliskim dnie kanału.

– Uspokój się i nie zatrzymuj.

Ależ byłam głupia! Zamiast położyć uszy po sobie i zebrawszy siły, starać się za nim nadążyć, pozwoliłam, by oładnęła mną fala paniki. Zrobiłam trzy kroki, najwyżej cztery i serce mi się rozłomotało. Wpadłam w histerię. Choć raczej moje serce oszalało. Nie byłam w stanie jasno myśleć, chciało mi się wymiotować ze strachu.

– Mam się uspokoić? – przekrzykiwałam Duchoka podniesionym głosem, który dudnił w kanale. – Jak mam się uspokoić? O mało nas nie zabili przez ciebie! Nie widziałeś? O mało nas nie zabili!

– Cicho!

– Nie chcę! – odpaliłam.

Duchok nie zwalniając, ścisnął mi rękę, aż zabołało.

– Nie widzisz, że ścigają nas?

– Chcę stąd wyjść! – Szarpnęłam się, wymachując wolną ręką. – Puszczaj!

– Nie przystawaj!

– Ani my...

I w tej chwili właściwie przypadkowo, nie wiedząc, co robię, wyrwałam mu się akurat na skraju pochyłości, tak że Duchok stracił równowagę. Ustał jednak na nogach dziwnie wygięty, chwiał się chwilę, w końcu padł na kolana.

Rozległo się suche stuknięcie. Jego broń z łoskotem spadła na ziemię i zsunęła się niżej.

Oczy Ormianina na moment zaiskrzyły się gniewnie.

Zalśniła w nich nagle nieokiełznana furia, która mnie zmroziła.

I przez kilka sekund Artemi Duchok patrzył dzikim wzrokiem, jakby chciał mnie skrócić o głowę. Po czym wbrew wszelkiej logice, kiedy stanął na nogi i otrzepywał sobie kolana, ta mina znikła z twarzy ozdobionej wielkimi wąsami. Przeraziłam się. Wtem mój przewodnik podniósł głowę i zastygł w pół ruchu niczym ogar, który zwietrzył w pobliżu zwierzynę.

– Zauważyłaś? – szepnął.

Jego niespodziewana czujność zupełnie zbiła mnie z pantałyku. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Nie zauważyłaś? – dopytywał zapatrzony w tę część kanału, z której przyszliśmy. – Nic nie słyhać!...

– Nic... – powtórzyłam.

– Przestali nas ścigać.

Miał słuszność. W milczeniu nasłuchiwalismy, czy jakiś dźwięk zdradzi obecność wrogów w kanałach. Docierał do nas tylko słaby szmer wody ściekającej po dnie korytarza, lecz te osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt sekund ciszy spłynęło balsamem na nasze dusze. Spokój i chłód panujący w tym miejscu ostudziły nasze emocje. Chociaż ręka wciąż mnie bolała i w skroniach mocno mi pulsowało, oddech zaczynał się wyrównywać, a mięśnie rozluźniać. Zagrożenie jakby się naraz oddaliło.

– Musimy stąd wyjść – przerwał milczenie Duchok, znów stojąc pewnie na nogach.

Prychnęłam.

– Nie martw się, Julio. Wszystko będzie dobrze.

Dobiegające z daleka, sponad kamiennego sklepienia nad naszymi głowami i z pewnością spoza kościoła Santa María a Nova wycie różnych syren sprawiło, że zdecydowałam się ruszyć w dalszą drogę.

– A wiesz? – odezwał się pojednawczo Duchok, idąc teraz spokojniej. – Wykonałaś robotę Jakuba.

– Jakuba? Jakiego Jakuba?

Ormianin się uśmiechnął.

– Patriarchy biblijnego. Jakub miał zadziwiające życie. Kupił pierworództwo od swojego bliźniaczego brata Ezawa. Walczył z aniołem z krwi i kości i zranił go w nogę. Ale przede wszystkim przeszedł do historii dlatego, że dzięki takiemu kamieniowi jak twój doznał niezwyklej wizji drogi do Ziemi Obiecanej.

– Dzięki adamantowi? – Starając się nie wypaść z rytmu jego długiego kroku, zastanawiałam się, jak ten człowiek może w takich okolicznościach myśleć o Piśmie Świętym.

– Pewnego dnia zasnął na kamieniu i miał niesamowity sen – ciągnął Duchok. – Niebiosa nagle się otwarły i zdumiony Jakub ujrzał niedaleko siebie ognistą drabinę. Po chwili zaczął po jej stopniach wędrować w obie strony tłum istot, które nie zważały na jego obecność. Jakub zupełnie nieświadomie za pomocą kamienia zwabił posłańców Bożych i otworzył im drogę na ziemię.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć? – Odetchnęłam. – To właśnie robiłeś z moim adamantem? Otwierałeś schody do nieba?

Artemi Duchok uśmiechnął się po raz pierwszy od dawna.

– Ty to powiedziałaś. Nie ja.

Nagle dobiegł nas odległy łoskot, jakby runął mur w kościele, z którego uciekliśmy, przyspieszyliśmy zatem kroku.

– I kto niby miałby zejść tymi schodami?

– Aniołowie. Świetliste istoty. Posłańcy, o których wspominają wszystkie religie. Kiedy przybywają, pomagają nam pokonać straszne rzeczy, które nam grożą.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Wierzę. I nie tylko ja. – Pociągnął mnie za rękę, kierując się ku jasnemu punktowi, który się otworzył niedaleko po lewej, w miejscu, gdzie zbiegały się kanały. – Martin też.

Odczekałam sekundę, zanim się odezwałam. Nie wiedziałam, czy powinnam to zrobić, zdecydowałam się jednak.

– Skoro o nim wspomniałeś... Nie zdążyłam jeszcze zapytać, czy wiesz, dlaczego porwano Martina.

Duchok odparł bez wahania:

– Z tego samego powodu, z jakiego nas teraz ścigają. Chcą zdobyć wasze kamienie, żeby otworzyć niewidoczne drzwi, o których wspominają wszystkie religie na świecie, drzwi między tamtym światem a naszym. Chcą pierwsi nawiązać rozmowę z Bogiem. I może jako jedyni.

– Same kamienie wystarczą?

– Nie. Potrzebna im będzie też tablica, która je aktywuje.

Ormianin zatrzymał się przy zardzewiałej drabince sięgającej sufitu kanału. Znajdował się tam okrągły otwór, a w nim charakterystyczny profil Wasfiego, który prawdopodobnie czekał na nas już dłuższą chwilę.

– Tablica? Jaka tablica?

– Wyłaż. Szybko – polecił. – Powiem moim ludziom, żeby ci ją

pokazali. Zasłużyłaś na to.

## ROZDZIAŁ 67

Drzwi pokoju 616 na piętrze oddziału intensywnej opieki medycznej szpitala Nuestra Señora de la Esperanza otworzyły się bez pukania. Wyglodniały Nicholas Allen czekał na śniadanie, toteż słysząc szmer zawiasów, usiadł skwapliwie. Ale widok, jaki ujrzał, odebrał mu apetyt. Znowu ten typ, skrzywił się, poznając Antonia Figueirasa podchodzącego do łóżka nonszalanckim krokiem w towarzystwie człowieka, którego Allen nigdy wcześniej nie spotkał. Obaj wyraźnie nastawili się na rozmowę, choć nieznajomy wydawał się bardziej zdeterminowany.

– *Mister Allen...* – zaczął swą nieszczególną angielszczyzną inspektor o zmarnowanej twarzy, odziany w sponiewierany prochowiec. – Rodak przyszedł do pana w odwiedzin.

Pułkownik, wciąż podpięty do kroplówki, popatrzył na przybysza.

– Jeśli w sprawie pogrzebu – mruknął – to może się zabierać. Niech poszuka innego kandydata.

Tom Jenkins zacisnął zęby i rozciągnął usta w uśmiechu.

– Świetnie. Cieszę się, że dopisuje panu humor, pułkowniku – powiedział. – To wróży szybki powrót do zdrowia.

– Nie znamy się, prawda?

– Pracuję w biurze naszego prezydenta. Przyjechałem, żeby w jego imieniu o coś poprosić.

– Fiu, fiu... – gwizdnął Allen. – W biurze prezydenta? Aleś pan szybki...

– Widzi pan, w naszej ambasadzie w Madrycie poinformowano mnie, że mniej więcej osiem godzin temu zostaliście z Julią Álvarez zaatakowani jakąś bronią elektromagnetyczną. Czy pan to potwierdza? Tak było?

Allen popatrzył na faceta z nieskrywaną nieufnością. Miał ten „wypadek” w trakcie tajnej misji, toteż musiał uważać, co mówi osobie zupełnie obcej.

– Kto tak powiedział?

– Szef wywiadu przy ambasadzie, Richard Hale.

– Ach, Rick... – Allen się rozluźnił. – Domyślam się, że dyrektor Owen zaznajomił pana z moim przypadkiem.

Uwagi Toma nie uszła zdziwiona mina inspektora Figueirasa. Niezbyt biegła znajomość angielskiego nie pozwalała mu wychwycić niuansów rozmowy, rozumiał jednak dosyć, aby zdać sobie sprawę z wagi tego, o czym mówili.

Figueiras nie złożył jeszcze raportu o przerwach w dostawie energii elektrycznej z ostatniej nocy i o uruchomieniu silnego urządzenia emitującego fale elektromagnetyczne w centrum Santiago. Nie za bardzo wiedział, do czego Amerykanie nawiązują, aczkolwiek czuł, o co im chodzi.

– A niech pan powie, pułkowniku – ciągnął Jenkins – domyśla się pan może, kto was zaatakował?

– Jasne, że się domyślam. Już o tym mówiłem swojemu szefowi. A jeśli chce pan wiedzieć więcej... – odkaszlnął – ...musi pan poczekać, aż sporządzę raport końcowy.

– Raport dla kierownictwa projektu Elias, którego nigdy nam nie pokażecie, prawda?



Allen nie odpowiedział.

– Pułkowniku, pilnie musimy się zobaczyć z kobietą, która była z panem w nocy – dodał Jenkins. – Nie możemy tracić czasu na biurokratyczne przepychanki.

– Pilnie? A do czegoż to prezydent potrzebuje tej kobiety?

Tom nachylił się do niego i szepnął mu na ucho:

– Wie pan równie dobrze jak my. Chce mieć ten kamień.

Prezydent życzy sobie sprawować pełną kontrolę nad sytuacją. I to już.

Figueiras aż drgnął, kiedy to usłyszał.

Reakcja Allena na te słowa była jeszcze wyraźniejsza. Obojętność przeszła mu jak ręką odjął. Oparł się na poduszkach z oczami jak spodki.

– Nie mam pojęcia, co pan wie o Eliaszu – oznajmił – ale projekt ma najwyższy stopień tajności. Nie mogę mówić na ten temat bez wyraźnego rozkazu przełożonych. I nie powiem ani słowa, rozumie pan?

Tom popatrzył na niego bezwzględny wzrokiem.

– Nieważne, co pan teraz powie, pułkowniku. Będzie pan współpracował...

Prezydencki doradca powiedział to, patrząc na Figueirasa, którzy stał z szeroko otwartymi oczami. Kiedy Jenkins wyszeptał przed chwilą słowo „kamień”, *stone*, inspektor natychmiast przypomniał sobie niedawną rozmowę z Marcelem Muñizem.

– Zrobi pan, jak zechce, pułkowniku – ciągnął tymczasem Jenkins. – My i tak znajdziemy tę kobietę własnymi siłami, a pan i pańscy szefowie wyjdziecie na złych obywateli, którzy ignorują polecenie prezydenta. Proszę o tym pomyśleć.

Zakłopotany Nick Allen poprawił się na łóżku.

– Czy mogę... zadać jedno pytanie, pułkowniku? – z wahaniem odezwał się inspektor, który wyczuł, że ma sposobność dowiedzieć się czegoś więcej o całym tym galimatiasie. Allen obrzucił go niechętnym wzrokiem. – Zna pan skrót TBC? Co pan wie o The Betilum Company? – rzekł, starając się jak najlepiej wymówić nazwę.

Pytanie zdumiało bardziej Toma Jenkinsa niż pułkownika.

– Gdzie pan o tym usłyszał?

– Proszę odpowiedzieć – domagał się Figueiras.

Pułkownik spojrzał na niego stropiony.

– To spółka parasolowa projektu realizowanego przez agencję. Przy nim właśnie pracuję. Rozumie pan, że nie wolno upowszechniać tej informacji. To ściśle tajne.

– A wie pan może, dlaczego ta spółka skupuje pierwsze wydania i manuskrypty niejakiego... – Figueiras zerknął do notesu – ...Johna Dee?

Pułkownik poczuł się przyparty do muru. Na taki ślad nie było łatwo wpaść. Dee – o czym wiedzieli wszyscy w strukturach Eliasza – był osobistą obsesją Martina Fabera. A także jego ojca, pod którego kontrolą Martin pozostawał, póki obydwoj nie odeszli z NSA – wtedy agencja przejęła stery projektu, pułkownikowi Allenowi powierzając część operacyjną. Ostatnio faktycznie Nick zajmował się skupywaniem prac elżbietańskiego maga, chodziło bowiem o zrozumienie, czego dokładnie szukają Faberowie w związku z tą postacią.

– Potrzebowaliśmy... – Nick się zająknął. – Chcieliśmy odszyfrować znaczenie symbolu, który znaleźliśmy na starych fotografiach. W tajnych materiałach, o których nie mogę mówić.

– Na fotografiach? – zainteresował się Tom. – W Madrycie

powiedziano nam o starych zdjęciach góry Ararat, o które Martin poprosił CIA niedługo przed swoim odejściem. O nie chodzi?

– Może – mruknął Allen teraz już z wyraźną niechęcią. Gdyby spróbował podsunąć Figueirasowi trop, który by go zaprowadził w ślepy zaułek, ten facet z biura prezydenta zrujnowałby mu całą strategię.

– Może, mówi pan...? – powtórzył Tom.

– A ten symbol, o który wam chodziło... – drażył Figueiras z ożywieniem. Podsunął Allenowi swój notes. – Czy to było coś takiego?



Nick z obrzydzeniem zerknął na nagryzmołony rysunek. Rozpoznał go i jego surowa żołnierska twarz się ściągnęła. Wziął notes z rąk policjanta, zastanawiając się, jak dużo może powiedzieć. Taka rycina widniała na okładce książki Johna Dee z roku 1564. To nie było tajemnicą. I Figueiras z pewnością już o tym wiedział.

– Identyczny – przyznał, zwracając Hiszpanowi notes.

– A jaki związek ma ten symbol z kamieniami? – wtrącił Jenkins. Figueiras popatrzył na niego z niesmakiem. Jego uczono, żeby nie wtrącać się komuś do przesłuchania.

Allen jednak odwrócił głowę do okna, uchylając się od odpowiedzi.

– Wie pan co, pułkowniku? – zagadnął Tom Jenkins, kładąc mu rękę na okrytych kołdrą nogach. – Może pan teraz nie odpowiadać, bo i tak niedługo powie pan wszystko. Wiemy, gdzie są w tej chwili obydwaj adamanty. Nasze satelity je zlokalizowały. I mamy też informację, dokąd się kierują porywacze Julii Álvarez razem z nią. I jeszcze coś: chcę, żeby mi pan towarzyszył. Pojedzie pan ze mną do Turcji. Zaraz.

– Do Turcji? – obruszył się Allen. – Leżę w szpitalu!

– Ja też mógłbym pojechać! – podchwycił Figueiras z entuzjazmem.

Jenkins gestem odrzucił tę propozycję i zwrócił się do Nicka:

– Pan już kiedyś był tam, gdzie się spotkają kamienie, mówi pan w miejscowym języku i zna oboje porwanych. Żądam pańskiego współdziałania w zadaniu wykonywanym z polecenia prezydenta.

– A jeśli odmówię?

– Jeżeli pan ze mną nie pojedzie, pułkowniku, osobiście zadbam o to, żeby pan stąd nie wyszedł... nigdy.

## ROZDZIAŁ 68

– Co to właściwie jest ta tablica?

Wasfi się uśmiechnął, a wtedy wytatuowany wąż na policzku skurczył się jakby wystraszony. Raczej nie rozumiał ani słowa, tylko po moim zachowaniu zgadywał, że mówię o jego świętości, którą pieczołowicie niósł w nylonowej torbie. W wybuchu nie ucierpiał. Nie miał podartego ani nadpalonego ubrania i w ogóle prezentował się znośnie.

– Tablica? – powtórzył, oglądając najpierw moje obszarpane odzienie, potem wskazując na swój skarb. – Amrak?

Kiwnęłam głową.

– To świętość z czasów Johna Dee – odezwał się Duchok za moimi plecami. – On właściwie nazywał ją „stolikiem wezwań”.

Kiedy wyszedłszy z kanału, otrzepywał z kurzu ubranie i buty, chłopak z tatuażem pozwolił mi zerknąć do torby.

W pierwszej chwili sądziłam, że jest pusta. Dno było ciemne, chropawe i ani przez myśl mi nie przeszło, że to jest rzeczoną świętością Johna Dee. Wpatrzywszy się jednak lepiej, zdałam sobie sprawę z pomyłki. Pewnie, że w środku coś było. Kwadrat czarny jak węgiel z delikatnymi inskrypcjami na wierzchu. Bardzo nadszarpięty zębem czasu. Pęknięcia i wybrzuszenia powstały gdzie bądź, zniekształcając niektóre znaki – chyba jakiś rodzaj

pisma – co najmniej dziwnie.

– Po zniknięciu Arki Przymierza jakiś tysiąc lat przed narodzinami Chrystusa Bóg długo nie dawał nowych instrukcji, jak zbudować jakiś inny święty artefakt, aż w końcu narysował ten, który widzisz.

Duchok podszedł do nas spokojnie, jakby nic się nie stało i jakby cały czas miał wszystko pod kontrolą.

– I ty wierzysz, że to Bóg...?

– Archanioł Uriel. – Uśmiechnął się. – Tak przedstawił to John Dee w swojej księdze „De Heptarchia Mystica”. Uriel objawił mu się pod postacią istoty o głowie jasnej jak słońce, z długimi włosami, przewiązany sznurem i z oślepiającym światłem w lewej ręce. Przekazał mu kilka kamieni umożliwiających zaklinanie, a potem udzielił wskazówek, jak wykonać tablicę albo stolik wezwań.

– I to właśnie było ukryte w Biddlestone, prawda?

– Zgadza się. Martin znalazł ten przedmiot i postanowił aktywować w dniu waszego ślubu. Od tej pory tablica nie przestaje dawać oznak życia.

– Co to za oznaki?

– Na przykład ma stałą temperaturę osiemnastu stopni Celsjusza. W przeciwieństwie do innych kamieni.

– Nie wydaje mi się, żeby to był ważny szczegół.

– Każdy szczegół jest ważny.

– A jak myślisz, czemu aniołowie dali coś takiego Johnowi Dee? Ormianin podszedł bliżej z pobłażliwą miną.

– Dobrze pytanie. Często zastanawialiśmy się nad tym z Martinem i w końcu doszliśmy do dosyć wstrząsającego wniosku. Widzisz, Dee w ostatnich latach życia miał obsesję na punkcie

czegoś, co nazywał Księgą Natury. Wierzył, że cały wszechświat można odczytywać jak karty grymuaru. Wierzył nawet, że można nim dowolnie manipulować, jeśli się zna język, którym napisano Stworzenie, i jeśli się wie, jakie słowa i gdzie należy dodać. Rzecz w tym, że aniołowie, którzy go odwiedzili, wydawali się bardzo podenerwowani, powierzając mu sposób wykonania tablicy. Z jakiegoś powodu bardzo im zależało, żeby Dee jak najszybciej opanował ten tajemny język, tę „kabałę”, która miała mu pozwolić na modyfikowanie dzieła Boga. Musiało to wyglądać mniej więcej jak uczenie genetyki jedenastolatka. I nie udało im się. Postraszyli go więc, że nastąpią okropne zmiany klimatu i na świat spadną potworne klęski, jeżeli nie zdoła opanować posługiwania się tablicą i językiem, który ją aktywuje... Ale Dee zmarł, zanim się tego nauczył.

– A co z klęskami?

– Oj, były, moja droga, były – westchnął.

– Poważnie?

– Niedługo po jego śmierci, około połowy siedemnastego wieku, w Europie wystąpiły największe zmiany klimatyczne w ciągu ostatnich dziewięciu tysięcy lat. Temperatury były tak niskie, że całe plony wymarzały. Ludzie marli tysiącami od chorób, z głodu i zimna. Dziś wiemy, dlaczego do tego doszło. Wszystko przez Słońce – ciągnął. – Aktywność magnetyczna naszej gwiazdy osiągnęła wtedy najniższy poziom w historii. W literaturze astronomicznej ten okres jest nazywany minimum Maundera, a jego straszne skutki ludzkość odczuwała jeszcze w początkach osiemnastego wieku. Myślę, że właśnie przed tym aniołowie chcieli ostrzec Johna Dee, tylko on nie potrafił tego zrozumieć.

– A ty? Uważasz, że poradzisz sobie lepiej niż on?

– Cóż... – Uśmiechnął się. – Skoro tamci ludzie potrafili nawiązać łączność za pośrednictwem kamieni, jestem pewien, że my zrobimy to lepiej. W odróżnieniu od czasów, w których żył John Dee czy Mojżesz, w naszej epoce mamy do dyspozycji język nauki i uda nam się dokładniej odczytać ostrzeżenia. Dlatego kamienie powinny pozostać u nas, nie mogą trafić w ręce tych, którzy by tylko nimi kupczyli i wykorzystywali połączenia z aniołami w Bóg wie jakich niejasnych intencjach.

– Czyli nie robicie tego z powodów religijnych ani z żądzy władzy?

– My nie, Julio. Robimy to wyłącznie dla przetrwania. Nauczyliśmy się już, że aniołowie przemawiają przez tablicę i adamanty tylko wtedy, kiedy mają dla nas naprawdę poważne ostrzeżenie. I obecna chwila to żaden wyjątek. Tego jestem pewien.



## ROZDZIAŁ 69

Kiedy opancerzony Cadillac prezydenta stanów Zjednoczonych wjechał na parking Białego Domu, szary księżyc w pełni srebrzył cudownie główne monumenty. Cień obelisku wzniesionego ku pamięci Jerzego Waszyngtona zaczynał się niczym włócznia wydłużać w stronę ogrodów przy rezydencji. Castle uznał to za złą wróżbę. I z tym uczuciem szedł po dywanach Gabinetu Owального, zastanawiając się, co zrobi, jeśli ludzie Owena wyprzedzą jego doradców w Hiszpanii i zdobędą pierwszy kamień, który spowodował anomalie wykryte przez NRO. Czy będzie mógł wierzyć w to, co przekaże mu dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego? I z kim, do diabła, ma przegadać dręczące go wątpliwości, skoro przysiągł, że nie wyjawি nikomu tego, co wie na temat projektu Eliasz?

Nigdy jeszcze nie czuł się taki samotny.

Zwłaszcza teraz.

Był pewien, że ani wiceprezydent, ani nikt z członków jego ekipy nie pojawiłby, dlaczego trwoni czas, by zaspokoić osobistą konieczność ciekawości. Tak to bowiem z boku wyglądało. Chociaż wcale nie kierowała nim prywatnie.

Przynajmniej wiem, że Eliasz istnieje, pocieszył się.

I po tej myśli przyszła mu do głowy następna, naznaczona

ogromną tęsknotą: Tato był tego pewny.

Prawie zapomniał o przyjęciu, na którym w trakcie oficjalnej wizyty gościli Indianie Hopi w siedzibie gubernatora w Santa Fe. Jak dziwnie działa pamięć! Dźwięk, zapach albo smak może przenieść człowieka w zamierzchłe czasy, o których dawno nie myślał. Tym razem w jego wypadku stymulantem było słowo. Nazwisko, ściśle mówiąc. Chestera Arthura. Ostatni raz usłyszał je właśnie z ust Indian Hopi. I chociaż szczegóły tamtego spotkania wyleciały mu z głowy, doskonale pamiętał, o czym głównie rozmawiali. Biały Niedźwiedź, rosły mężczyzna o kocim spojrzeniu i twarzy zrytej głębokimi zmarszczkami, jakich dorabia się człowiek zmuszany przez życie do podejmowania trudnych decyzji, kilkakrotnie powtórzył, że w roku 1882 prezydent Arthur podpisał rozporządzenie wykonawcze, które przyznawało Indianom Hopi dwa i pół miliona akrów ziemi w samym sercu Arizony, gdzie dzisiaj mieści się ich imponujący rezerwat. „Ale to był zatruty podarunek – narzekał Biały Niedźwiedź. – Do tej pory wszyscy prześladowali mój szczep: koloniści nas nienawidzili, a katoliccy misjonarze ciągle naciskali, żebyśmy się nawrócili na ich wiarę. Obietnica własnej ziemi, gdzie moglibyśmy się rządzić, była jak deszcz z nieba podczas suszy”. „No i gdzie tu trucizna?”, zapytał Castle, wzruszając ramionami. Wiedział, że prezydent Arthur, człowiek czuły na punkcie mniejszości etnicznych, pragnął wyprowadzić rdzennych Amerykanów z Nowego Meksyku i Nevady i osiedlić w jakimś neutralnym miejscu, gdzie nikt by ich nie nękał. Jednakże zdaniem Białego Niedźwiedzia to wcale nie było dobre rozwiązanie.

Stary wódz indiański miał osiemdziesiąt pięć lat, kiedy gościł w Santa Fe – przybył tam z historią, którą przed śmiercią pragnął

opowiedzieć wpływowemu białemu człowiekowi. Wybór padł na Castle'a.

– Wie pan co, gubernatorze? – powiedział. – Wzruszają mnie wysiłki polityków, którzy tak się troszczą o swoich wyborców.

– Czemu pan tak mówi? Nie podobało się przyjęcie?

– Och, podobało – uśmiechnął się Biały Niedźwiedź. – Ja nie dlatego. Pomyślałem, że gdyby pan wiedział, co mówili nasi przodkowie o przyszłości czekającej ludzkość, pewno nie zadawałby pan sobie tyle trudu i spędzał więcej czasu z rodziną.

– Chce pan, żebym już przeszedł na emeryturę? – zażartował Castle.

– Nie. Chcę, żeby pan się przygotował. Przepowiednie wyraźnie to mówią.

– Przepowiednie? Pańskiego ludu? – Castle poczekał, aż obsługa naleje mu kawy. – A co mówią?

– Że jesteśmy na ostatniej prostej czwartego świata, gubernatorze. Może my będziemy widzieli, jak znika ta cywilizacja, a może zobaczą to dopiero nasze dzieci.

– Czwarty świat? Znam tylko...

Starzec uśmiechnął się życzliwie.

– O dwóch pierwszych niewiele wiemy. Najpierw człowieka jeszcze nie było, więc nie widział erupcji i ruchów ziemi, które naznaczyły pierwszy cykl planety. Nie oglądał też na szczęście drugiego cyklu, lodowcowego. Ale o trzecim dużo wiemy... Wtedy ludzie dużo wycierpieli.

– Czyżby?

– Trzeci świat zniszczyła gigantyczna powódź.

– A, mówi pan o potopie!

Starzec przytaknął.

– Wy, chrześcijanie, tak to nazywacie. Chociaż stale zapominacie o tym, co się wydarzyło przed katastrofą. Hopi o tym pamiętają. Starsi nadal znają nazwę stolicy starożytnego świata. Ówczesny Waszyngton nazywał się Kaskara, gubernatorze. Kaskara leżała na lądzie pośród oceanu i została zniszczona, kiedy wody wezbrały.

– Znam tę legendę.

– Wszyscy ją znają – odparł stary wódz. – Pytanie, czy w nią wierzą... Mieszkańcy Kaskary – ciągnął – byli ostatnimi, którzy dostąpili przywileju oglądania i dotykania dawnych bogów i rozmawiania z nimi. Nazywali ich Kaczynami, „godnymi poważania szacownymi mędrkami”, i otrzymali od nich rozległą wiedzę. Kaczyni przez tysiąclecia byli prawdziwymi władcami Ziemi. Dysponowali latającymi maszynami, umieli porozumiewać się na odległość, wywoływać deszcz albo suszę, a nawet w jedną noc zniszczyć cały kraj. Kiedy prezydent Arthur dowiedział się o Kaskarze i stwierdził, że bardzo przypomina Atlantyde, uznał lud Hopi za depozytariusza wiedzy, która go interesowała, i zaproponował, że w zamian za nią obdaruje nas ziemią na własność. Dlatego powiedziałem, że jego dar był zatruty.

Biały Niedźwiedź nie zważał na niedowierzające spojrzenie gubernatora i jego żony. Gdyby Castle wtedy wiedział o fascynacji Chestera Arthura Atlantydą i „wielką tajemnicą”, bardziej by się skupił na tym, co mówił stary Indianin.

– Chociaż Kaczyni byli na tak wysokim stopniu rozwoju, mieli rozległą wiedzę i wspaniałą technikę – ciągnął Biały Niedźwiedź – nie zdołali powstrzymać tamtego potopu. Dlatego kiedy zrozumieli, że katastrofa jest nieuchronna, postanowili uratować niektórych ludzi. Przygotowali ich do przyjęcia podarunku, który mądrze używany miał nam się przydać w przyszłości, gdy nadejdzie koniec

kolejnego świata, a Kaczynów nie będzie, żeby nam pomóc.

– Łódź ratunkową?

– Święty kamień, gubernatorze – odparł z powagą Biały Niedźwiedź. – A dokładniej mówiąc, nieduży zestaw kamieni, które przewieziono w cztery strony świata i ukryto w świętych miejscach.

– Kamień to taki sobie podarunek.

– Proszę nie oceniać po pozorach. Tutaj, w Nowym Meksyku i Arizonie, znalazł się kamień o wielkiej mocy. Obrobili go Kaczyni i złożyli w tajemnym miejscu, do którego tylko wódz każdego plemienia ma wstęp od czasu do czasu. Wódz odwiedza kamień, żeby sprawdzić, czy ma nam coś do przekazania. Złą wieść.

Prezydent Arthur wiedział o kamieniu od mojego przodka i kilka razy zasięgał jego rady. Ja ostatni raz go widziałem w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym. I muszę powiedzieć, że nadal jest ukryty w tym stanie, gubernatorze.

– A pan z nim kiedyś rozmawiał? – spytał Castle z uśmiechem, dość stropiony tymi indiańskimi przesadami.

– Coś panu powiem: jeszcze w zeszłym tygodniu sądziłem, że umrę, nie usłyszawszy go. W gruncie rzeczy byłaby to dla mnie ulga. Wolałbym, żeby tę odpowiedzialność wziął na siebie mój następca... Ale coś się wydarzyło.

Castle odstawił kawę na stół.

– No słucham, słucham.

– Panie gubernatorze, w ostatnich latach były bardzo niskie opady, strumienie i rzeki w rezerwacie wysychają. Właśnie przez to parę dni temu udałem się do kryjówki kamienia. I tym razem, po trzech tysiącach lat milczenia, kamień przemówił.

– Poważnie?

– Nie zwariowałem. – Twarz Indianina spochmurniała. – Proszę

wierzyć albo nie, ale z tego co usłyszałem, koniec czwartego świata nadejdzie wkrótce. Może za parę lat. Moi przodkowi przysięgli lojalność rządowi Stanów Zjednoczonych, kiedy podpisywali porozumienia z prezydentem Arthurem, a ja na ich mocy zwracam się do pana. Wiem, że gubernator może powiadomić Biały Dom, zanim wszystko się rozpęta. I powinien pan to zrobić jak najszybciej. Co więcej, przedtem musi pan porozmawiać z kamieniem! Zyska pan argumenty, żeby przekonać niedowiarków.

## ROZDZIAŁ 70

Starszy sierżant Jerome Odenwald poczuł, że ze złości serce szybciej mu bije, kiedy w celowniku teleskopowym swojego granatnika M72 zobaczył obiekt. Te skurwysyny, które zabiły czterech towarzyszy i raniły piątego, zasługiwały na nauczkę. Przez nich będzie musiał stanąć przed trybunałem wojskowym i tłumaczyć się, dlaczego „nieprofesjonalny ostrzał” zredukował jego oddział do minimum i dlaczego, na litość, centrum miasteczka na północnym wybrzeżu Hiszpanii, w samym środku terenów należących do NATO, zamienili w pole bitwy będące zagrożeniem dla ludności cywilnej. Będzie miał szczęście, jeśli nie skończy się to dla niego sądem wojennym.

Odenwald był wściekły. Rozwiała się już euforia po tym, jak odstrzelił łeb typkowi, którego znalazł rannego przy wejściu do kościoła. Teraz rozumiał, że zabicie go było błędem. Powinien był strzelić mu w brzuch i zostawić, żeby się wykrwawił jak wieprz i skonał w mękach. Chociaż to także by nie rozwiązało problemu, nad którym teraz się biedził. Skąd ten skubaniec wytrzasnął broń snajperską, którą miał przy sobie? I w jakim obozie terrorystów przeszedł szkolenie?

Odenwald pewny był tylko jednego: goście, do których właśnie celował, nie byli żadnymi terrorystami. A przynajmniej nie należeli

do klasy ludzi „o niskim profilu agresji”, których dowództwo poleciło mu unieszkodliwić.

Starszy sierżant wyłączył radio, żeby nic go nie rozpraszało, i skupił się na tym, co widział w celowniku.

– Mam was – wyszeptał.

Trzej faceci i kobieta – Duchok, Wasfi, Haci i Julia Álvarez – wyłaniali się właśnie kolejno ze studzienki kanalizacyjnej tuż przy kolumnadzie teatru Noela. Komandos natychmiast ich rozpoznał. Uciekali z dala od zamieszania, które powstało w uliczce położonej niżej, gdzie zjechała się chmara radiowozów i ambulansów i wciąż jeszcze usiłowano zrozumieć, co właściwie się stało.

Ale tym czworgu dopisało szczęście. Starszy sierżant już miał otworzyć do nich ogień, lecz naraz coś sobie uświadomił: mimo wyraźnych oznak zmęczenia grupka z ożywieniem rozprawiała nad czymś, co znajdowało się w ciemnej torbie spoczywającej na asfalcie.

„Kaseta!”

Źrenice mu się rozszerzyły. Przecież rozkaz mówił, że właśnie ten przedmiot jego oddział ma odzyskać!

Jerome Odenwald zdjął palec ze spustu i wymacał na kadłubie broni inną wymyślną zabawkę: *whisper detector*, rodzaj kierunkowego elektronicznego ucha wbudowanego w celownik i połączonego za pomocą Bluetooth ze słuchawkami, które miał ukryte pod kominiarką. Przy dobrym ustawieniu czujnik mógł wzmocnić dźwięk wydawany w promieniu pięciuset pięćdziesięciu metrów. Cel Odenwalda był bliżej. Uruchomił urządzenie i niepostrzeżenie dla tamtych zaczął podsłuchiwać ich rozmowę.

– ...moja droga... – Poważny głos Artemiego Duchoka, który dla Odenwalda zabrzmiał jakoś po wojskowemu, dochodził do



słuchawek bez żadnych zakłóceń. – Stoisz przed najstarszym na świecie nadajnikiem radiowym. Ma cztery tysiące lat i działa jak pierwszego dnia.

„Cztery tysiące lat”. Odenwald zwiększył głośność.

– Poświęciliśmy z Martinem dużo czasu, żeby go odnaleźć – ciągnął Duchok. – W końcu twój mąż odkrył miejsce, gdzie został schowany, kiedy odczytał jedną z tablic z anielskimi imionami, które Dee spisał przed śmiercią.

– I mówisz, że dzięki temu można rozmawiać z Bogiem? – Dziewczyna kręciła głową, nie odrywając oczu od torby.

– Legenda mówi, że z tej tablicy korzystał prorok Jeremiasz, żeby wysłuchać Słowa Bożego i napisać księgę przepowiedni, którą włączono do Pisma Świętego. Za jej pośrednictwem dowiedział się o potwornościach, jakie spadną na Jerozolimę, o podboju Nabuchodonozora i niewoli babilońskiej. Dlatego nie chcąc, by coś tak cennego wpadło w ręce pogan, Jeremiasz zabrał amrak jak najdalej: wywiózł go na Wyspy Brytyjskie i tam ukrył.

Julia zmarszczyła brwi.

– I w ten sposób tablica w końcu trafiła do Biddlestone...

– Właśnie. Dziś wiemy, że ten przedmiot aktywuje się tylko w polu energetycznym adamantu w pewne specjalne dni i że potrzebny jest do tego ktoś taki jak Jeremiasz, kto odegra rolę katalizatora. Ty nieświadomie uruchomiłaś go już dwa razy. Tego jeszcze z nikim nie udało nam się osiągnąć.

Odenwald dość już wysłuchał. Miał pewność, że przedmiot, który rozkazano mu odzyskać, jest w zasięgu ręki. To było więcej, niż potrzebował. Jeśli nie spudłuje – a nie widział powodu, żeby tak się stało – tej czwórce pozostaną najwyżej trzy sekundy życia, po czym amrak trafi do niego.

Może mimo wszystko jego sytuacja nie przedstawia się tak beznadziejnie.

## ROZDZIAŁ 71

Mimo że wynajęty motocykl BMW K1200 miał podgrzewane manetki i kanapę, Ellen Watson i tak przemarzła. Instynkt jej podpowiedział, że powinna się zaopatrzyć w pojazd szybki i lekki, jak ten. Wiedziała, że nie ma czasu do stracenia, jeśli chce dotrzeć do Julii Álvarez i jej porywaczy, zanim opuszczą Noię. A to rybackie miasteczko leżało około czterdziestu kilometrów od Santiago na końcu mglistej wilgotnej doliny. Dotarcie tam zajęło jej blisko godzinę. Autostrada, która miała połączyć Noię z Santiago, od lat czekała na skończenie, toteż gdyby Ellen wybrała samochód zamiast motocykla, jechałaby tu znacznie dłużej.

To był strzał w dziesiątkę.

Brakowało ledwie dwudziestu minut do dziewiątej, kiedy silnik o mocy stu dziesięciu koni zawarczał na calle Juan de Estivadas. Jeśli pojedzie tą ulicą, dotrze wprost do historycznego centrum miasteczka. Serce mocno jej zabiło. GPS podłączony za pomocą Bluetooth do słuchawek w różowym kasku z włókna szklanego poinformował ją, że już niewiele ma do przejechania. Dziwiło ją tylko, że mimo nie takiej wczesnej godziny wszystkie sklepy są pozamykane, a ulice zupełnie puste.

Co jest? Nikt tu nie wychodzi z domu?

Wjechawszy za zakretem na ostatnią pochyłość, która ją dzieliła

od celu wpisanego do nawigacji satelitarnej, Ellen wreszcie zauważyła ludzką postać. Nie było w niej nic szczególnego: młody chłopak ubrany w dopasowane czarne ciuchy – może również motocyklista – stał pochylony nad maską furgonetki dostawczej. Pewnie odpoczywał. W następnej jednak chwili w Ellen obudziła się czujność. Ten człowiek miał na nosie Eagle-1, specjalne okulary z włókna węglowego dla amerykańskich strzelców wyborowych. Znała je doskonale. I zdała sobie sprawę, że patrzy na OOPART. *Out-of-Place-Artifact*. Obiekt nie na miejscu. W ułamku sekundy spostrzegła, że wełniana czapka zakrywa mu dużą część twarzy, a pod koszulą niknie czarny przewód – kabel od komunikatora.

A niech to wszyscy diabli!...

Zahamowała gwałtownie, ustawiła motor na stopce i jak szalona rzuciła się do bocznego kufra. Serce skakało jej w piersi, podchodząc aż do gardła.

Będzie strzelał! – denerwowała się. – Muszę go powstrzymać!

Słusznie się domyśliła. Chłopak spokojnie unosił właśnie zieloną końcówkę granatnika, mierząc w punkt w głębi ulicy. W punkt – jak oceniła Watson – położony niemal w tym samym miejscu, które wskazała satelicie jako swój cel.

Muszę go powstrzymać!, powtórzyła sobie.

Zanim facet skończył ustawiać celownik, Ellen wzięła go na muszkę.

– Stój! Ręce do góry! – krzyknęła.

Facet jakby nie słyszał. Nie ruszając się z miejsca, lekko skorygował położenie broni i położył palec na spuście. Nie zdążył go nacisnąć. W następnej sekundzie ciszę miasteczka zburzyły dwa strzały z beretty, którą Ellen wyjęła z kufra. Bang. Bang. Dopiero wtedy, już spokojnie, zdjęła kask, wciągnęła głęboko powietrze

pachnące prochem i morską bryzą i obejrzała człowieka, którego zastrzeliła: muskularnego mężczyznę w ciemnym kombinezonie komandosa przeznaczonym do nocnych akcji. Jego krew wsiąkała w bruk liczący nie wiadomo ile wieków.

Szlag!... To nasz żołnierz!

Obydwa jej strzały były celne. Jeden, bardziej efektowny, trafił w szyję, przechodząc na wylot. Drugi okazał się śmiertelny – kula przeszła w okolicy nerek do płuc.

W dole ulicy, tam gdzie kończyła się jezdnia, cztery postacie – jedyne widoczne w tej chwili – taszcząc czarną torbę, zajmowały pozycje wyraźnie obronne. Trzej uzbrojeni mężczyźni i rudowłosa kobieta. Ellen Watson poznała ją. Widziała jej zdjęcia w Madrycie. Julia Álvarez! Strzały z beretty oczywiście nie uszły ich uwagi.

Ellen Watson, wytrenowana w podejmowaniu decyzji w rekordowym czasie, kalkulowała teraz, jak stawi czoło ludziom, którzy wedle tego, co usłyszała niedawno w ambasadzie, posiadają jakąś wypasioną broń elektromagnetyczną i najpierw uwięzili Martina Fabera, a potem pojmali jego żonę.

## ROZDZIAŁ 72

Zaczęłam drżeć jak osika.

Jeszcześmy się dobrze nie otrząsnęli po wybuchu w kościele Santa María a Nova, a już kilka metrów od nas znowu padły dwa strzały. Natychmiast je rozpoznałam: suche głośnie trzaski, a po nich na ziemię zwałił się ubrany na czarno typ, który ukrywał się za furgonem.

– *Anvrep kragoj!* – wrzasnął mi Wasfi za plecami.

– Snajper! – przetłumaczył zaraz Duchok. – Padnij!

Jednakże ku mojemu zdziwieniu ich słowa wcale się nie odnosiły do motocyklisty, który stał w połowie ulicy z krótką bronią jeszcze dymiącą po strzałach. Nie. Przeraził ich facet właśnie zastrzelony.

– Ukryj się! Szybko! – ponaglił mnie Duchok.

Rozdygotana przypadłam za niebieskim samochodem.

– Co... co to... jest? – wyjąkałam.

Ściskając w garści swoją groźną broń, wyprowadzony z równowagi Ormianin wyrzucił z siebie:

– Nie wiem!... Nie wiem!

## ROZDZIAŁ 73

Dziewięć tysięcy kilometrów od wybrzeża Galisyjskiego superkomputer Narodowego Biura Rozpoznania gromadził i analizował każdą informację przesyłaną z przestrzeni kosmicznej przez satelitę HMBB.

– Na Boga! A teraz kto strzelał do S23?

S23 było kryptonimem sierżanta Odenwalda. Kropla zimnego potu spłynęła po zachmurzonym czole Michaela Owena, który postanowił zostać przed monitorami w sali kontroli, by śledzić rozwój sytuacji z tą przeklętą emisją elektromagnetyczną. Na szczęście prezydent tego nie widział, pomyślał. Ikonka widniejąca pod kryptonimem żołnierza zapłonęła czerwienią. S23 nie żył. Informacje docierające w czasie rzeczywistym z północnego wybrzeża Hiszpanii nie mogły być gorsze. Wkurzony dowódca USS Texas zakończył właśnie wideokonferencję, wściekły, że nie otrzymał zgody na wysadzenie na ląd kolejnego oddziału u ujścia rzeki w Noii. Owen wolał nie ryzykować. Musiałbym się jeszcze gęściej tłumaczyć przed Castle'em, rzekł sobie.

Obok niego zdziwiony Edgar Scott zdjął okulary, by przetrzeć oczy płócienną chusteczką.

– Sir... – zagadnął dyrektor NRO, który wyglądał na wyczerpanego. Niełatwo mu było udawać przed samym

prezydentem i nie udzielić mu żądanych informacji. – Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało niestosownie, ale nie sądzi pan, że powinniśmy powiedzieć Castle’owi wszystko, co wiemy?

– Co pan rozumie przez wszystko?

– Przypominam, że nie tylko to źródło promieniowania magnetycznego – rzekł, stukając palcem we wskaźnik na wielkim monitorze – wykryliśmy w ostatnich godzinach. Przecież podobne emisje, chociaż słabsze, zarejestrowane zostały w innych punktach świata. W Jerozolimie. Arizonie. Przypadek Noyon we Francji nad ranem był znaczący.

– I już jest pod kontrolą, Scott. Nie dopuścimy chyba znowu do kryzysu takiego jak ten z dziewięćdziesiątego dziewiątego roku z katedrami, prawda?

Dyrektor NRO nie wyglądał na przekonanego.

– To było dawno temu...

Jednakże to, co Owen określił mianem „kryzysu z katedrami”, przywołało ponure wspomnienia. Wtedy, w roku 1999, gdy Nicholas Allen i Martin Faber w Eczmiadynie usiłowali zdobyć jeden z kamieni magnetycznych z rodziny adamantów, pewien naukowiec z CNES, Państwowego Ośrodka Badań Kosmicznych w Tuluzie, przeglądając obrazy z satelity serii ERS, odkrył sześć emisji „kategorii X” wychodzących z podziemi kilku kościołów gotyckich na północy Francji. „Wczesnogotyckich”, uściślił. Problem w tym, że ten miły skądinąd inżynier nazwiskiem Michel Témoïn natknął się na opór ze strony przełożonych w odniesieniu do przypadkowego odkrycia przypominającego to, co spostrzegli teraz ludzie Scotta. Nikt wtedy nie chciał zbadać tej sprawy, toteż inżynier w końcu zajął się nią na własną rękę, a jego poszukiwania okazały się nadzwyczaj niewygodne. Nikt go nie uprzedził, że ma to związek ze



ściśle tajnym projektem, w którego ramach badane są anomalie energetyczne tej klasy. Francuski naukowiec z fasady kościoła w Amiens wydobył kamień, którego bez pozwolenia kierownictwa Eliasza nigdy nie powinien był ujrzeć. I wprowadził wszystkich zainteresowanych w spore zakłopotanie. Nikt nie chciał, by coś, co mogło wzbudzić niezdrową ciekawość naukowców, historyków i polityków, stało się powszechnie znane. Szczęśliwie dla Eliasza w roku 1999 niewiele jeszcze było oznak zmian klimatycznych, także media nie zwróciły większej uwagi na te anomalie. Teraz jednak sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Jeśli znowu jakiś niezależny naukowiec połączy aktywację wszystkich kamieni z nadchodzącym wydarzeniem geologicznym dużej mocy – eufemizm, zważywszy na globalną skalę kataklizmu – mogą się pojawić problemy. I to poważne.

– Nie wolno do tego dopuścić! – uciął Owen kategorycznie. – W dziewięćdziesiątym dziewiątym wzięto nas przez zaskoczenie. Emisje nastąpiły zaraz po anomaliach w koronie słonecznej wzmocnionych przez sierpniowe zaćmienie nad Francją. To, które przewidział Nostradamus, pamięta pan? W Noyon, chociaż to ta sama strefa, emisja mogła być pojedynczym zdarzeniem. Odkrywamy emisję. Wysyłamy ekipę. I już w nasze ręce trafia kamień magnetyczny, który ktoś schował w krypcie katedry. Sprawa zamknięta.

– A z tym to samo pan zrobi? – spytał Scott, wskazując ekran, na który HMBB zrzucał wyniki swojego przeszukiwania północnych wybrzeży Hiszpanii.

Satelita skończył przetwarzać ostatnie informacje. Owen patrzył zdumiony.

– Niemożliwe...

Edgar Scott pozwolił sobie nie zgodzić się z szefem NSA.

– Ależ możliwe, sir.

Komputer wyznaczył właśnie pozycję strzelca, który pozbawił życia S23. W obserwowanym miejscu satelita sfotografował postać ubraną w biało-szary jednoczęściowy kombinezon motocyklowy. Zdjęcie już zrenderowano i przepuszczono przez filtr NSA umożliwiającą ustalenie tożsamości. Na widok podobizny, nazwiska i stanowiska Michael Owen zdruzgotany osunął się na fotel.

„Ellen Leonor Watson. Biuro Wykonawcze Prezydenta, Biały Dom, Waszyngton”.

## ROZDZIAŁ 74

Umierałam ze strachu. Niemniej ciekawość pokonała lęk i wyjrzałam zza samochodu na ulicę, na której padły strzały. Minęły ze dwie minuty, odkąd huknął ostatni. I nikt w tym czasie nie nacisnął znowu na spust. Co było dobrym znakiem.

I wtedy ją zobaczyłam.

Motocyklistą była kobieta, która szła pochyłością od strony teatru Noela z podniesionymi rękami. Bardzo wolno stawiała kroki. Była sama.

– Rzuciłam broń! – zawołała bezbłędną angielszczyzną, budząc echa pośród kamiennych ścian okolicznych budynków. – Nie strzelać! Jestem Ellen Watson. Pracuję w biurze prezydenta Stanów Zjednoczonych! Chcę tylko pomówić z Julią Álvarez!

Wzdrygnęłam się, słysząc swoje nazwisko.

Powiedziała, że pracuje dla prezydenta Stanów Zjednoczonych?

– Trzymaj ręce w górze i nie rób gwałtownych ruchów – rozkazał Duchok, wystawiając lufę broni nad maskę samochodu, za którą się ukrył. – Słyszałaś?

Kobieta przytaknęła.

Szajch spytał, czy znam tę kobietę. Zaprzeczyłam. W życiu jej nie widziałam. Smagła dziewczyna była bardzo atrakcyjna, nie wyrzuciłabym jej tak łatwo z pamięci, gdybym ją kiedyś spotkała.

– Mogę wam pomóc! – krzyknęła. – Wiem, gdzie jest Martin Faber. Mam zamiary na to miejsce. Chcę się tylko upewnić, że z panią Faber wszystko w porządku i że macie kamień, którego szukają agenci projektu Eliasza.

– Co wiesz o projekcie? – zainteresował się Duchok.

Ellen się uśmiechnęła. Trafiła w dziesiątkę.

– Jestem doradczynią prezydenta. Wiem, że on nie wyraził zgody na tę operację. Macie problem z tymi ludźmi, ale my też.

Tym razem uśmiechnął się Duchok. Odniosłam wrażenie, że wpadł na jakiś pomysł. Wszedł naraz z ukrycia i z opuszczoną bronią ruszył w stronę dziewczyny.

– A jeśli powiem ci wszystko, co prezydent chce wiedzieć o Eliaszu? – rzekł. – Zagwarantujesz nam jego ochronę, póki nie zakończymy naszej misji?

– Misji? Jakiej misji?

– Musimy się dostać do Turcji, odbić Martina Fabera i zabezpieczyć adamanty. To wszystko.

– Zabierzecie mnie?

– Jeśli chcesz, proszę bardzo.

Ellen wyciągnęła do niego rękę. To było najlepsze rozwiązanie – pozwalało jej znaleźć się w pobliżu kamieni.

– Umowa stoi. Z kim mam przyjemność?

– Artemi Iwanowicz Duchok. Baba szajch prześwietnej starożytnej wiary w Malak Tausa. Jesteśmy jazydami.

– Słyszałam o waszej religii...

– No to teraz poznasz nas lepiej. Zabierajmy się stąd!

## ROZDZIAŁ 75

„Kto ma prawo komunikować się z bogiem?”

Rogerowi Castle'owi z głowy się dymiło, kiedy wybierał dziesięciocyfrowy numer w Nowym Meksyku, pragnąc jak najszybciej się połączyć. Poprosił swojego sekretarza o bezpieczną linię i polecił, żeby mu przez piętnaście minut nie przeszkadzano, musi bowiem załatwić sprawę osobistą.

I co ciekawego może Mu powiedzieć zwykły człowiek?

Siedząc w fotelu ze wzrokiem zapatrzonym w ogrody Białego Domu, słuchał sygnału łączenia, który rozległ się natychmiast. Po trzecim dzwonku po drugiej stronie odebrano.

– Andrew, to ty?

Andrew Bollinger figurował w prywatnym adresowniku prezydenta od ponad dwudziestu lat. I to na pierwszych stronach, w dziale „astronomowie”. Znali się jednak od czasów szkolnych, grali nawet razem w drużynie koszykarskiej. Poznali się w roku 1982 i Castle był świadkiem, jak Południowiec o dumnych rysach twarzy przeobraża się w prawdziwego geniusza matematycznego i fizycznego. Takiego, za jakiego wtedy uchodził również on. Bollinger był człowiekiem, który przy odrobinie szczęścia i dysponując odpowiednimi funduszami, mógłby pomóc krajowi wysłać człowieka na Marsa. Kto ich widział razem w tamtych

czasach w kampusie w Albuquerque, gotów był się założyć, że młody Bollinger zajdzie dużo wyżej. Tak było, dopóki Castle nie zajął się polityką. Jego przyjaciel w wieku dwudziestu trzech lat zrobił doktorat z astrofizyki i wkrótce po obronie objął kierownictwo nad dwudziestoma siedmioma antenami obserwatorium Very Large Array w Socorro. Pod jego zwierzchnictwem VLA przekształciło się w miejsce słynne na cały świat. Stało się modne, odkąd na ekrany wszedł film „Kontakt” z Jodie Foster, chociaż jego anteny nigdy nie szukały sygnałów radiowych wysyłanych przez cywilizacje pozaziemskie. Jeśli chodzi o projekty badawcze, Andrew doprowadził do tego, że finansowali je nie tylko filantropi i przedsiębiorstwa telekomunikacyjne, ale także hordy ciekawych, którzy kupowali firmowe koszulki VLA bądź zwiedzali obserwatorium z Bollingerem jako przewodnikiem. Wszyscy ciągnęli tam jak muchy wabieni tym, czym VLA się zajmowało: nasłuchiwaniami płynących z głębin kosmosu „dźwięków” – kwazarów, supernowych, naturalnych fal radiowych emitowanych przez gwiazdy. Odebrało też sygnał sondy Voyager 2, kiedy mijala Neptuna.

Słusznie zatem Castle postanowił właśnie jemu zadać pytania, których ciągle przybywało. Lepszego kandydata by nie znalazł.

– Andrew? Andrew Bollinger? – upewnił się prezydent. Czuł się lekko podekscytowany: dzwonił przecież bezpośrednio do zwykłego obywatela, chociaż byli przyjaciółmi.

Po sekundzie męski głos odpowiedział:

– Boże drogi! Roger?... Roger, co się dzieje?

– Brawo! – zawołał Castle. – Całe szczęście, że jeszcze pamiętasz starego kumpla.

– Jakżebym miał nie pamiętać? Oglądam cię co dzień w

wiadomościach. – Zaśmiał się nerwowo. – Ile to czasu minęło od naszej ostatniej rozmowy? Cztery lata? Pięć?...

– Nawet więcej, wiem. I bardzo cię przepraszam, Andy.

– Powiedz, co mogę zrobić dla swojego prezydenta. Chyba państwo nie jest w potrzebie?

Andrew lubił pożartować. Za dużo czasu spędzał sam na sam z komputerami, toteż chwile, które poświęcał na „kontakty międzyludzkie”, starał się doprawiać pewną dozą humoru.

– Sam ocenisz. Muszę cię o coś zapytać.

– Śmiało, prezydencie. Pewnie to coś ważnego, skoro dzwonisz osobiście.

– Jest ważne. Pamiętasz Białego Niedźwiedzia?

Na łączach na moment zapadła cisza.

– Białego Niedźwiedzia? – powtórzył Andrew. – Tego wodza Hopi?

– Właśnie.

– Jasne, że pamiętam. Szczególnie po tej surrealistycznej wycieczce we trzech do rezerwatu... czy gdzie to tam było... Nie powiesz chyba, że zmartwychwstał? Bo przecież nie żyje, prawda?

– Tak. Od lat. Ale chciałbym cię poprosić, żebyśmy wspólnie odtworzyli tamtą wycieczkę. Możesz to zrobić? Pamiętasz ją?

Jakże zapomnieć tamto słoneczne wiosenne popołudnie, kiedy wybrali się na południe od Carlsbadu w Nowym Meksyku, goniąc za czymś tak absurdalnym jak gadający kamień.

Biały Niedźwiedź umówił się z nimi punktualnie o piątej na skrzyżowaniu drogi międzystanowej 62 z drogą 285, w pobliżu granicy z Meksykiem, aby im pokazać swoją największą świętość. Roger Castle, wówczas gubernator, przyjął zaproszenie Indianina, stawiając wszakże jeden warunek: chciał, aby mu towarzyszył

zaufany naukowiec. Ktoś, kto pomógłby mu osądzić to, co zobaczą. Na ścieżce kariery politycznej nauczył się bowiem, że trzeba się opierać na ekspertach. Są najlepszą polisą ubezpieczeniową. Tylko oni pozwalają politykowi nie popełniać błędów wobec wyborców, a jeśli coś pójdzie nie tak, cała wina spada na nich.

Stary Indianin nie widział w prośbie nic niestosownego, skorzystał jednak z okazji, by w zamian też o coś poprosić Castle'a: otóż i on, i ten jego naukowiec zostaną dowiezieni na miejsce z zawiązanymi oczami i nikomu nie pisną słowa o wyprawie. Ani wcześniej, ani później.

Gubernator Castle wyraził zgodę.

W marcu, gdy urzędy funkcjonowały na pół gwizdka z powodu katolickiego Wielkiego Tygodnia, Castle i Bollinger oddali się w ręce Indian Hopi. W poniedziałek trzynastego gubernator zostawił zwięzłą notatkę w swoim kalendarzu o miejscu spotkania oraz pół żartem, pół serio wiadomość dla swojego asystenta, że jeżeli nie odezwie się w ciągu dwudziestu czterech godzin, urząd ma zawiadomić Gwardię Narodową.

Na szczęście nie było takiej potrzeby. A gwardziści mieliby problemy ze zlokalizowaniem ich głównie dlatego, że trzy razy przesiadali się do innego pojazdu i większość trasy pokonywali drogami prywatnymi, polnymi traktami oddalonymi od głównych szos. I nigdzie nie płacili kartami kredytowymi. Najpierw jechali czarnym sedanem, potem furgonetką, a na koniec dużą terenówką, którą przebyli spory dystans polami. Biały Niedźwiedź i jego ludzie stale przypominali gościom, że nie mogą wiedzieć, dokąd jadą. „To święte miejsce. Biały człowiek nie jest tam mile widziany”, mówili. Castle i Bollinger potulnie poddali się temu wymogowi. Kiedy wreszcie stanęli w miejscu ukrycia gadającego kamienia, mieli za



sobą drogę z tyloma zakrętami, że nawet za sto lat nie zdołaliby wskazać tego punktu na mapie.

Przypuszczali, że znajdują się na terenie jakiejś kopalni. W słabo oświetlonym prądem z generatora chłodnym korytarzu prowadzącym do dużej pieczary.

– Niech się panowie niczego nie obawiają – rzekł Biały Niedźwiedź, wyczuwając ich niepokój.

– I ten kamień... – szepnął Castle z niedowierzaniem. – Ten kamień jest tutaj?

– Owszem – przytaknął wódz uprzejmie. – Ma go pan przed sobą. Jeden z towarzyszących im Indian oświetlił coś, co połyskiwało w odległości około metra.

Patrzyli na rodzaj kryształu wielkości ćwierćdolarówki. Brzegi miał nieregularne bez widocznych żyłek. Był nieprzezroczysty, lśnił jak obsydian i sprawiał wrażenie, że niedawno został wyłuskany ze skały macierzystej. Wyglądał jak kawałek krzemienia. Indianie trzymali go na wierzchu, nie w żadnej szkatułce czy pudełku. Położono go po prostu na warstwie suchych liści w samym centrum amfiteatralnej jaskini. Castle i Bollinger zwrócili uwagę na pięciu chłopców otaczających kamień. Byli niemal nieruchomi. Wyglądali wręcz jak posągi. Z głowami opartymi kilka cali od kamienia nucili jakąś monotonną smutną melodię tak cicho, że ledwie było słycać.

– Co oni robią? – spytał zaintrygowany Bollinger.

Biały Niedźwiedź skinął, by podeszli bliżej. Kiedy to zrobili, coś jeszcze bardziej ich zdumiało. To nie był śpiew chłopców, lecz kamienia! Jego melodia, wyjaśnił stary wódz, działa jak fala nośna modulowana w regularnych odstępach czasu przez jakiś niewidoczny mechanizm.

– Ci chłopcy mają wyjątkowy dar, gubernatorze – oświadczył

Biały Niedźwiedź. – Oni tylko słuchają kamienia. Jeśli w jego śpiewie pojawi się najdrobniejsza choćby zmiana, natychmiast mnie powiadomią.

Andrew pozostał niewzruszony. W naturze nie ma czegoś takiego, pomyślał.

– I co, gubernatorze? Wierzy mi pan teraz? – nadał się Biały Niedźwiedź. – Już ponad tydzień kamień tak do nas mówi.

– Mówi?

Zaciekawiony astrofizyk podszedł bliżej tej osobliwości. Wyjął słuchawki i wolniutko przysuwał czujnik do kamienia, aż go dotknął. Następnie za przyzwoleniem indiańskiego wodza przystawił kamień do ust. Nikt mu nie bronił tego robić. Również to coś, co nadal „śpiewało”, nie zważając na Bollingera. Hopi bez słowa patrzyli, jak goście biorą kamień do ręki, ważą go w dłoni, mierzą czy stukają palcem albo przytykają do policzka. To ich badanie – chwilami niekoniecznie delikatne – trwało dobre pół godziny. I przez cały ten czas melodia nie ustała ani na moment. Chociaż jednak oglądali kamień ze wszystkich stron i potrząsali nim, niczego nie dociekli w kwestii jego natury. Nie był urządzeniem mechanicznym – brakowało mu źródła zasilania czy choćby głośników. Nie był także grzybem, kawałkiem metalu ani niczym innym, a już w żadnym razie czymś, co może wydawać dźwięk. Tymczasem z całą pewnością to czynił.

Przysiedli potem z Białym Niedźwiedziem na zewnątrz, by chwilę pogadać o tym, co ujrzeli. Rozmowa się przeciągnęła do blisko dwóch godzin, a jej efektem było jeszcze więcej wątpliwości niż pewników.

– Ten dźwięk to rozmowa, którą kamień prowadzi ze światem bogów – rzekł w pewnym momencie Indianin.

– Pan ją rozumie?

Stary Hopi popatrzył na Bollingera z politowaniem.

– Oczywiście. Wszyscy z mojego szczepu rozumieją.

– I o czym opowiada kamień?

– Mówi o dniu ostatnim.

– Poważnie? A podaje datę?

– Owszem, gubernatorze. Co rusz. Ale nie używa takiego kalendarza, do jakiego panowie są przyzwyczajeni. W bezmiarze kosmosu czasu nie mierzy się według drogi Ziemi po orbicie naszej malutkiej gwiazdy. Muszą to sobie panowie uświadomić.

– A jakim czasem się posługuje?

– Czasem słonecznym.

– O jezu Roger! Minęło ponad dwadzieścia lat! – zaprotestował Andrew Bollinger na drugim końcu linii. – Chyba wolę tego nie wspominać.

– Nigdy potem się tym nie zajmowałaś? Co z ciebie za naukowiec?

Bollinger nie roześmiał się na tę sarkastyczną uwagę kolegi.

– Cała sprawa, Roger, zakończyła się wtedy burzą elektromagnetyczną, którą uraczyło nas Słońce. Było to coś w rodzaju plazmowego huraganu Katrina. Może tego nie kojarzysz, ale mnie się ta data wryła w pamięci. Trzynastego marca osiemdziesiątego dziewiątego roku w Ameryce wydarzyło się wiele dziwnych rzeczy. W San Francisco automatyczne drzwi do większości garaży na przedmieściach samoczynnie podnosiły się i opadały jak w „Duchu”, tym filmie Spielberga. Połowa naszych satelitów się rozprogramowała, nawet prom Discovery zawrócił przed czasem w stronę Ziemi, kiedy powariowały mu wskaźniki zbiorników z wodorem. A wiesz, co było najgorsze?

Castle czekał oniemiały.

– Że zupełnie padło zasilanie w Quebecu. Dwadzieścia jeden i pół tysiąca megawatów w ciągu półtorej minuty zostało wyłączone! I połowa Kanady przez dziewięć godzin była pozbawiona prądu. Parę miesięcy trwało usuwanie awarii, do których wtedy doszło. Kiedy się dowiedziałem o tym wszystkim po powrocie z naszej wycieczki, nie dziwiłem się już nawet, że tamten kamień śpiewał.

– Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

– Nigdy o to nie pytałeś, Roger. Wróciłeś do swoich spraw i długośmy się potem nie widzieli. Byłeś bardzo zajęty.

Prezydent pominął milczeniem delikatny wyrzut przyjaciela.

– Tak się składa, że mam teraz do czynienia z ludźmi, u których są kamienie takie jak tamten Białego Niedźwiedzia – powiedział. – Kamienie, które emitują dźwięki i mogą być nam przydatne w przewidywaniu tego rodzaju katastrof. Mój zespół wie, że te sygnały wzmacniają się wykładniczo i mogą obejmować swoim zasięgiem przestrzeń zewnętrzną, ale nie wiemy, co to może oznaczać.

Astrofizyk nie odezwał się ani słowem.

– Nie wiem, co o tym wszystkim myślisz, Andy – ciągnął Castle – powiem ci jednak, co mnie się wydaje. A jeśli ten cholerny kamień jest... – zawahał się, po czym podjął: – Jeśli jest rodzajem nadajnika, który ostrzega przed czymś jakąś cywilizację pozaziemską? Mógł wykryć zmiany w magnetyzmie ziemskim i zaczął nadawać, żeby zaalarmować Obcych. Jak boja czy coś w tym guście... Ma to jakiś sens twoim zdaniem?

– Żartujesz? Wiesz, jakie musiałyby być spełnione ekstremalne warunki, żeby sygnał przedarł się przez atmosferę i dotarł do odległego punktu kosmosu? Poza tym – mruknął – gdyby nawet tak

było, gdyby ten cudaczny kamień Białego Niedźwiedzia albo jakikolwiek inny wysłał sygnały w przestrzeń, nasza sieć anten i satelitów na pewno by go wykryła.

– Nasze satelity szpiegowskie go wykryły.

– Co?

– Coś z naszej planety wyszło w przestrzeń, Andy, i nie myśmy to wysłali. I muszę wiedzieć, dokąd ten sygnał biegnie. Mógłbyś mi w tym pomóc?

– Jasne. – W głosie Bollingera brakowało przekonania. – Ale to chyba nie będzie łatwe.

– Nie mówiłem, że będzie.

– Nawet jeżeli uda się ustalić kierunek, w jakim płynie sygnał, może być kłopot z określeniem celu. Fala może płynąć ku co najmniej tysiącowi planet poza Układem Słonecznym.

Zinwentaryzowaliśmy gazowe olbrzymy rozmiarów Jowisza położone zbyt blisko swoich słońc, żeby rozwinęło się na nich życie i cywilizacja zdolna odbierać sygnał wysłany z Ziemi. Ale też... – Andrew się zawahał. – No dobra... Prowadzimy tajne obliczenia, z których wynika, że w odległości mniejszej niż sto lat świetlnych od nas może się znajdować jakieś czterdzieści tysięcy układów planetarnych „typu słonecznego”. No wiesz, planet, które krążą wokół gwiazdy typu M, ani za dużej, ani za słabej. I chociaż statystycznie tylko pięć procent może mieć warunki na powierzchni porównywalne do ziemskich, oznacza to, że w tym wycinku kosmosu jest co najmniej dwa tysiące miejsc, gdzie mogło się rozwinąć życie i ktoś odbiera tam teraz ten twój sygnał.

– Aż tyle?

– Może się okazać, że więcej – zauważył Bollinger. – Dlatego twoje pytanie wymagało tej przydługiej odpowiedzi.

– Myślisz, że to możliwe?

– Że są gdzieś inteligentne istoty, które nasłuchują sygnału wyemitowanego przez kamienie?

– Prześlę ci dane o tych sygnałach, Andy. Sprawdzisz, co się da. Pasuje?

– Jasne, prezydencie.

## ROZDZIAŁ 76

Kiedy trzy wirniki stalowego ptaka Artemiego Duchoka zaczęły się obracać nad naszymi głowami, ogarnęła mnie głęboka ulga.

Wróciliśmy do niego tą samą drogą, śmigłowiec znajdował się tam, gdzieśmy go zostawili. To był dobry sygnał. Najważniejsze jednak, że już nie natknęliśmy się na komandosów, którzy o mało nas nie wykończyli w kościele Santa María a Nova. Teraz miałam odzyskany kamień i po raz pierwszy od dłuższego czasu zaczynałam widzieć światło w tunelu. Pewny siebie Duchok obiecywał, że w ciągu kilku godzin – najdalej nazajutrz – zobaczę Martina. I że ani się obejrzę, a cały ten koszmar się zakończy.

– A jeśli ci porywacze okażą się silniejsi od nas? – szepnęłam sceptycznie.

– Po to mamy ją. – Uśmiechnął się, jakby taki rozwój sytuacji w ogóle go nie martwił.

Miał oczywiście na myśli Ellen Watson.

Motocyklistka nie wyglądała na tajną broń, jakiej byśmy potrzebowali w krytycznej chwili. Wydawała mi się dumną, zuchwałą dziewczyną zdolną do wszystkiego, byle osiągnąć cel. Ale szczerze mówiąc, wątpiłam, żeby sama była w stanie zatrzymać grupę terrorystów uzbrojonych po zęby.

– Domyślam się, że jesteś Julia Álvarez?

Jej ciemne oczy zabłysły, spotkawszy mój wzrok w kabinie śmigłowca. Kiedy zapinałam pasy i nakładałam słuchawki, Watson usiadła w fotelu naprzeciwko i nie odrywała ode mnie spojrzenia.

– Zgadza się – odparłam lakonicznie.

– Cieszę się z naszego spotkania...

– Powiedz – przerwałam jej – naprawdę wiesz, gdzie jest mój mąż?

– Oczywiście – potwierdziła. – Jak się wzniesiemy w powietrze, porównamy moje koordynaty ze współrzędnymi Duchoka i myślę, że nie będą się różniły. Twój mąż jest w północno-wschodniej Turcji w pobliżu granicy. Masz kamień przy sobie?

Nie da się ukryć, że dziewczyna bez ceregieli przechodziła do rzeczy.

– Ależ tak.

– A mogę... mogę go zobaczyć?

Watson wyraziła prośbę z niejaką obawą w głosie. Podałam jej kamień, kiedy śmigłowiec odrywał płozy od piasku.

– Jest... prosty i piękny – szepnęła, gładząc leżący na dłoni kamień, który był teraz znowu przygaszony.

– I ma wielką moc. Może porazić, jeśli się nie wie, jak się z nim obchodzić.

– Dziwne, prawda? – wtrącił Duchok, spokojniejszy teraz, gdy maszyna bez przeszkód unosiła się nad rzeką. – Dla tego kamienia tylu ludzi gotowych jest zabijać i umierać...

Ellen odwróciła się do niego.

– Jak na przykład ty.

– Albo wasz prezydent.

Ormianin rzucił to ot, tak, nie zważając na pasażerkę. Podniósł siedzenie jednego z wolnych foteli przed sobą i odsłonił chłodziarkę,



z której wyjął kilka butelek wody mineralnej oraz kanapki, częstując wszystkich ku ogólnemu zadowoleniu. Ja również się ucieszyłam. Moje siły zostały poważnie nadwątlone. Przez całą noc nie zmrużyłam oka, a stres związany z atakiem na kościół Santa María a Nova co prawda trzymał mnie na nogach, ale też wzbudził wielki apetyt. Wcinając kanapkę z homarem i sałatą, przysłuchiwałam się rozmowie Duchoka z Ellen Watson.

– No dobrze – podjęła Watson. – Od kiedy wiesz, że w Stanach prowadzi się operację, której celem jest zdobycie kamienia?

Duchok popatrzył na nią ze zdziwieniem.

– Odkąd ojciec Martina przyjechał do Armenii szukać go. Lata temu...

– Ojciec Martina? Bill Faber? – Omal się nie udławiłam drugim kęsem kanapki.

– William L. Faber. Tak. Znasz swojego teścia?

Ścisnęło mnie w dołku.

– Prawdę mówiąc... – Przełknęłam, co miałam w ustach. – Prawdę mówiąc, nigdy go nie widziałam. Nawet w dniu, kiedy liczyłam, że go poznam w Biddlestone. Nie przyjechał na nasz ślub.

– Och, zdziwiłbym się, gdybym go tam zobaczył! – zaśmiał się Ormianin. – Wiesz, on stroni od ludzi. Przyjechał do mojego kraju w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, niedługo po tym, jak Pentagon otrzymał zdjęcia domniemanej arki Noego na górze Ararat zrobione przez amerykańskie samoloty rozpoznawcze. Przedstawił się w mojej wspólnoty jako młodziutki pielgrzym. Wszystkim opowiadał, że zjawił się u nas, bo szuka świętego kamienia, na który mówił „cintamani”. Najpierw każdy sądził, że to zwykły hipis, póki nam nie powiedział, że bez efektu przemierzył za nim całe Himalaje i ostatecznie doszedł do wniosku, że kamień może być gdzieś

w naszych górach. A kiedy zyskał przychylność mojego ludu, zniknął na długie miesiące i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa ani co robi.

– Przemierzył całą Azję w poszukiwaniu kamienia? – spytałam. – A kto za to wszystko płacił?

– Teraz wiem, że to było w ramach projektu Eliasz. Ale wtedy nikt nie miał o nim pojęcia. Bill mówił, że dowiedział się o istnieniu świętego kamienia dzięki pewnemu Rosjaninowi nazwiskiem Nikołaj Roerich, malarzowi dość wtedy znanemu. Roerich namalował kamień jako instrument umożliwiający komunikację z niebiosami. Później Roerich posunął się jeszcze dalej, twierdząc, że kto posiada kamień, otrzyma klucz, który umożliwi wejście do Szambali.

– Do Szambali?

– To stary mit azjatycki, Julio, szeroko znany w tej części świata. Szambala jest legendarnym królestwem zamieszkiwanym przez wspólnotę ludzi oświeconych, którzy potajemnie zawiadują losami naszego rodzaju. Niedostępnym dla grzesznych rajem na ziemi o niewiarygodnej mocy.

– Ale Tybet przecież leży bardzo daleko od Araratu – zaprotestowała Ellen Watson.

– Nie w takim mieście jak ten. Cintamani, czy jak tam chcecie go nazywać, ma wiele wspólnego z naszym adamantem. Następcy Roericha mówili, że kiedy cintamani ciemniał, miał moc ściągania chmur. Wierzyli, że ilekroć jego ciężar się zwiększa, zapowiada to rozlew krwi. I nierzadko pojawiały się na nim znaki tuż przed jakimiś ważnymi wydarzeniami.

Artemi Duchok przełknął ślinę, po czym mówił dalej:

– W południowej Azji nadal wierzą, że cintamani przybył na

ziemię na grzbiecie skrzydlatego konia, i tak właśnie go przedstawiają w największych świątyniach buddyjskich. Na tych obrazach kamień wygląda jak cebulowata wypukłość błyszcząca w szkatułce i przenoszona na wierzchowcu. To ewidentny znak, że kamień wiele jeździł po świecie! Oczywiście Bill Faber poznał opowieść o lung-ta, „rumaku wiatru”, i podzielił się nią z nami, kiedy byłem jeszcze wyrostkiem.

– Powiedział ci o Eliaszu?

Duchok się uśmiechnął.

– O tak! Rozmawialiśmy o wszystkim. Bardzo zaprzyjaźniliśmy się z Billem. Spędził w Armenii kilka lat, a potem zaprosił mnie na studia w Stanach i do współpracy przy jego projekcie.

– Znaleźliście to, czego szukał?

– Mniej więcej. Kiedy zyskał zaufanie szajchów mojego ludu, powiedzieli mu, że w górze Ararat skrywa się źródło tych wszystkich kamieni. Jego cintamani, mówili, musiało wypaść z arki Noego po potopie. A później zjawili się u nas Rosjanie. Dla sowieckiego politbiura Armenia była nieważną ubogą republiką, w Moskwie jednak się dowiedzieli, że w naszych stronach przebywa „biały kapitalista”, i przyszlizli po niego. Udało mu się uciec, a Rosjanie wykorzystali okazję, żeby nas zarazić swoją propagandą. Powiedzieli nam, że Faber pracował nad tajnym projektem wroga, który chce nas ograbić z minerałów o wielkiej wartości strategicznej. I powiedzieli jeszcze coś – zwrócił się do Watson. – Że ten projekt wspiera ojciec waszego obecnego prezydenta.

– Ojciec Rogera Castle’a wiedział o projekcie Eliasza? Jesteś pewien?

– Na sto procent. William Castle II był wtajemniczony i pracował przy projekcie. Bill Faber też. Później Martin przejął w

dziedzictwie to zadanie i wykonywał je, póki mnie nie poznał.  
Dziwny krąg osób, nie sądzisz?

– Pewnie – przyznała Ellen.

– Dowiedz się, dlaczego wasz prezydent tak się interesuje  
Eliaszem. Myślę, że to, co teraz ci powiedziałem, rozwiewa  
wątpliwości.

– Zapytam go, na pewno.

– I przy okazji – rzekł, podając jej telefon satelitarny i bacznie  
obserwując jej reakcję – dowiedz się też, skąd się wzięli ci ludzie,  
którzy nas zaatakowali. On ich wysłał?

Watson zmierzyła go wzrokiem.

– To akurat wiem.

– Czyżby?

– Ci ludzie to komandosi. Z okrętu podwodnego klasy Virginia,  
który w tej chwili pływa niedaleko stąd, w okolicach ujścia rzeki.

– Żartujesz?

– Skądże. Ten okręt wysłał Eliasze. Co do tego nie mam  
wątpliwości. I nie sądzę, żeby prezydent o tym wiedział.

Duchok zbladł naraz, jakby ostatnie słowa Ellen skrywały coś  
straszego.

– No dzwoń!

Gwałtownym ruchem zamknął chłodziarkę ukrytą pod  
siedzeniem i zastygł w bezruchu. Po ormiańsku wydał jakieś  
polecenie pilotowi, po czym wlepił świdrujący wzrok  
w Amerykankę.

– Na co czekasz, dziewczyno? – zawołał. – Skoro w dole, jak  
mówisz, jest ten okręt, jeszcze tylko przez pięć minut będziemy  
poza zasięgiem jego ognia. Dzwońże, kobieto, na Boga!

## ROZDZIAŁ 77

Michael Owen wiedział, że sprawy się pochrzaniły. Jeśli nie zachowa ostrożności, prezydenckie ogary dopadną adamanty przed nim i cała operacja na samym finiszu weźmie w łeb. Jakby tego było mało, w różnych punktach globu wykryto inne „emisje X” – niczym echa sygnału wysłanego przez kamienie Faberów – a to nie zwiastowało nic dobrego. Coś się zmieniło w ziemskim polu magnetycznym. Może było to ostrzeżenie. Zapowiedź nadejścia „dnia wielkiego i straszego”. Tylko czy jego kraj był do tego przygotowany? A agencja, którą kierował?

Na pewno nie.

Z tego co wiedział, takie wydarzenie raz tylko nastąpiło w przeszłości. Przez lata z najwyższym staraniem dokumentował jedyny „dzień wielki i straszny”, o którym mówiły wszystkie starożytne kroniki. Był pod tym względem kontynuatorem obsesji, która powodowała jego poprzednikami, począwszy od samego Chestera Arthura. Cały ból polegał na tym, że wszystkie materiały na ten temat, wszystkie zgromadzone dowody lądowały w specjalnej teczce. W teczce, której zawartość Owen postanowił przejrzeć po raz enty w zaciszu swego umeblowanego skórzanymi sprzętami gabinetu w Fort Meade w stanie Maryland. Robił to, ilekroć utykał w martwym punkcie. Aby zrozumieć koniec, trzeba

najpierw pojąć początek, mówił sobie.

Kiedy jednak przekroczył próg gabinetu i poczuł, jaką władzę dają mu te cztery ściany, coś wyrwało go z zamyślenia.

– Wiadomości, które docierają z departamentu Oise położonego na północny zachód od Paryża, są niepokojące...

Ogromny telewizor plazmowy włączył się i dźwięk wzmościł na tyle, by ściągnąć jego uwagę.

Owen rzucił marynarkę na sofę chester i słuchał. Gabinet wyposażony był w wielopasmowy system skanowania wiadomości, który ilekroć wyłapał coś interesującego, nagrywał to i uruchamiał odtwarzanie, kiedy wykrył obecność Owena. Tego rana sekretarka, wiedząc, że spędził noc w Narodowym Biurze Rozpoznania z powodu anomalii magnetycznych, zaprogramowała urządzenie tak, by gromadziło wszystko, co się wiąże z tym wydarzeniem.

Plazmowy ekran jeszcze się nagrzewał, gdy prezenterka wiadomości o siódmej w C-SPAN zaczęła czytać informacje z zagranicy. Najbardziej znana twarz kablówki na Kapitolu, Lisa Hartmann, wydawała się bardziej niż zwykle zatroskana.

– Co się stało we Francji, Jack?

Kanciasta twarz Jacka Austina, korespondenta stacji we Francji, znalazła się na pierwszym planie. Owen patrzył z ciekawością.

– Tutaj jest w tej chwili parę minut po dziewiątej i miasteczko Noyon, stolica Pikardii, zachodzi w głowę, co się stało tej nocy. Od kilku godzin bowiem jego mieszkańcy są bez prądu. Spółka EDF, dostawca energii, nie udziela wyjaśnień w sprawie wyłączenia elektryczności w całym mieście, łącznie z koleją i szpitalami. Ta sytuacja zaczyna budzić coraz większą niepewność wśród mieszkańców.

– Czy ludzie się boją? Czy uważają, że chodzi tu o działania

terrorystyczne?

– W tej szczególnej sytuacji władze wypowiedziały się jasno. Przerwa w dostawie energii nie wystąpiła z przyczyn technicznych. Powód leży gdzie indziej, ale na pewno nie był to atak. W ciągu nocy sprawdzono każdą podstację w departamencie i wszystkie są w bardzo dobrym stanie. Nawet przymrozki, które mieliśmy tu w ostatnich dniach, nie poczyniły żadnych szkód.

– A co mówią eksperci? – indagowała Lisa Hartmann ze studia w Waszyngtonie.

– Zebrała się właśnie komisja powołana do zbadania tej sprawy. Wszyscy tu trzymają kciuki, żeby awaria nie przeniosła się na sąsiednie miasta, znacznie większe, jak na przykład Amiens...

Dyrektor NSA popatrzył na zegarek i stwierdził, że tę wiadomość nadano zaledwie sześć minut wcześniej.

Czyżby już się zaczęło?

Odegnął od siebie tę myśl. „Gdyby to była burza magnetyczna, nasze satelity by nie działały”, powiedział sobie. Wyłączył telewizor i skupił się na tym, co zamierzał zrobić. Musiał otworzyć teczkę, którą przysłano mu z archiwum, i z jasną głową przejrzeć jej zawartość.

Podszedł do ekspresu ukrytego za biurkiem. Nalał sobie kawy, posłodził ją cukrem trzcinowym i wziął się do roboty.

Krzepiąco działała nań świadomość, że wie, co znajdzie w teście: plik zdjęć wywołanych na papierze, jakiego już się nie produkuje, i ręcznie pisane dokumenty, niektóre sprzed blisko wieku. Zamówił je w skrytym za pancernymi ścianami archiwum NSA kilka godzin wcześniej, kiedy jego zaufany człowiek w Hiszpanii, Richard Hale, powiedział mu przez telefon, jak bardzo interesował się nimi Martin Faber przed samym odejściem z agencji.

Martin Faber... – mruknął. – Co chciałeś tu znaleźć, stary?

Związane z tymi papierami wspomnienia, które przez te wszystkie lata Owen zgromadził, były niemal bez wyjątku przyjemne. Starzy przyjaciele – jak choćby George Carver, ekspert od zabezpieczeń w CIA zmarły na atak serca w roku 1994 – poświęcili ostatnie lata życia na tropienie chimery, jaką była arka Noego, a jego przekonali, że arka faktycznie istnieje i że należy ją mieć pod ciągłą obserwacją. Owen nie wątpił, że ludzie muszą się jeszcze dużo dowiedzieć o „dniu wielkim i strasznym”, w którym już raz omal nie wyginęli, jeśli chcą stawić czoło drugiemu kataklizmowi takich rozmiarów.

Carver był facetem bardzo zasadniczym. Zainteresował się tą kwestią, kiedy się dowiedział od pewnego profesora uniwersytetu w Richmondzie, jak będąc kadetem w West Point, usłyszał rozmowę przełożonych o satelicie CIA, który przypadkiem sfotografował arkę Noego, przelatując nad górą Ararat. Carver pogrzebał w Langley i ku swemu zdziwieniu odkrył, że ta historia nie jest wyssana z palca. Otóż we wrześniu 1973 roku jeden z trzech satelitów KH-11 uwiecznił na zdjęciu coś nadzwyczaj osobliwego: na północno-wschodnim zboczu Wielkiego Araratu z krawędzi topniejącego lodowca wystawały trzy wielkie wygięte drewniane belki, takie, z jakich ongiś robiło się kadłub łodzi. A jaka inna łódź mogła się znaleźć na tym szczycie, jeśli nie arka Noego?

Carver ze wszystkim konsultował swoje odkrycie. Zadawał pytania. Wnosił petycje, a nawet przekonał kilku senatorów, że należy zbadać tę sprawę dogłębnie. Niestety choroba mu przeszkodziła w dalszych staraniach. Kiedy zmarł, jego przyjaciel, ten profesor, zdwoił wysiłki na rzecz ujawnienia materiałów zgromadzonych na temat arki i nie spoczął, póki nie uzyskał



odtajnienia dużej części dokumentacji graficznej odnoszącej się do „anomalii Araratu”. Stało się to w roku 1995. I oczywiście nie minęły dwadzieścia cztery godziny, a temat trafił na łamy „New York Timesa”, po czym w kręgach wywiadowczych zaczęły krążyć związane z nim dowcipy.

Wśród materiałów odtajnionych znalazły się nie tylko zdjęcia z KH-11, ale także wykonane przez samoloty szpiegowskie U2 i dzielne satelity Corona. Wszystkie zrobiono między 1959 i 1960 rokiem i wszystkie dowodziły, że to cholerstwo w kształcie wielkiej drewnianej skrzyni faktycznie istnieje. I że można je zobaczyć tylko wtedy, gdy pozwolą na to kapryśne lody.

Na pewno jednak nie tylko do tego Martin Faber chciał uzyskać dostęp w archiwach w Langley.

To, o co zabiegał, było częścią znacznie mniejszego dossier, nadal tajnego, o którego istnieniu wiedział mało kto z Eliasza. I właśnie te materiały leżały teraz na biurku dyrektora NSA.

Michael Owen pogładził teczkę ze smutkiem.

Już się domyślał, czego Faber szukał; co sprawiło, że przed porwaniem uciekł na Ararat; zgadywał nawet, czego chciał Duchok. W każdym przypadku chodziło o to samo. I miał tylko nadzieję, że to, co wykryły satelity, nie ma z tym nic wspólnego.

## ROZDZIAŁ 78

– Już?

Rozmowa telefoniczna Ellen Watson była tak krótka, tak wyczerpująca z emocji, że pomyślałam, iż nie udało jej się dogadać z rozmówcą. Dziwne mi się wydawało, że taka młoda dziewczyna może zwyczajnie wybrać numer i rozmawiać z najpotężniejszym człowiekiem na świecie.

– No i? – zagadnął Duchok niecierpliwie. – Co powiedział? Zielonkawoniebieskie oczy Ellen pociemniały.

– Prezydent osobiście zadba o to, żeby USS Texas nam nie przeszkadzał.

– To wszystko?

– Pytał, dokąd się wybieramy i czy zamierzamy lecieć śmigłowcem.

– I co mu powiedziałaś? – drążył.

– Że nasz cel leży w pobliżu Turcji, w miejscu, skąd wyszedł ostatni sygnał adamantu, i że nie mam bladego pojęcia, jak się tam dostaniemy. A ty wiesz?

Twarz Ormianina pojaśniała z dumy.

– Ta maszyna może być w powietrzu przez jedenaście godzin – oznajmił. – Rozwija prędkość do sześciuset kilometrów na godzinę, tak że w ciągu siedmiu, ośmiu godzin dotrzemy na miejsce bez

konieczności lądowania. Mogłabyś załatwić, żeby szybko zatwierdzili plan lotu?

– Jasne. Potrzebujesz koordynaty „emisji X”, które wyznaczyliśmy w Waszyngtonie?

– Nie, dziękuję. – Uśmiechnął się nieco spokojniej, poklepując komputer, który pokazał nam „echo” mojego kamienia. – Sygnał, który pozwolił nam ustalić współrzędne, pochodził z jednego z waszych satelitów. Wierzymy wam.

## ROZDZIAŁ 79

W centrum dowodzenia najnowocześniejszego okrętu podwodnego floty amerykańskiej narastała furia. Na dwóch dużych monitorach z trzech służących jako panel komunikacyjny między „wielorybim brzuchem” a zewnątrz widniały satelitarne przekazy, z których jasno wynikało, że oddział szturmowy został rozbity przez wroga. Na pokładzie panowała konsternacja. HMBB uchwycił dokładnie moment, kiedy niezidentyfikowany pojazd wtargnął w strefę walk i jadący nim człowiek przypieczętował los sierżanta Odenwalda, a zarazem fiasko misji. Jakby tego było mało, dowódca jednostki niegrzecznie przerwał rozmowę z dyrektorem NSA, kiedy usłyszał rozkaz, aby się trzymać z boku.

A teraz otwierał się nowy front.

– Kapitanie, tu sonar.

Na trzecim monitorze obok grafiki, która przedstawiała ujście rzeki Muros i aktualny ruch jednostek w tym miejscu, pojawiła się twarz oficera odpowiedzialnego za systemy echolokacyjne. Kapitan Jack Foyle niemal przytknął nos do plazmowego ekranu, aby lepiej widzieć.

– Co jest?

– Wykryliśmy coś podejrzanego, sir. Śmigłowiec bez oznakowań i z wyłączonym transponderem wystartował parę minut temu

z Noii. Kieruje się na północny zachód.

– I co z tego?

– Właśnie porównaliśmy jego pozycję z koordynatami anomalii przekazanymi przez satelitę. Sir... – mówił oficer grobowym głosem – ten śmigłowiec ma na pokładzie kasetę. Odczyty nie pozostawiają wątpliwości.

– Jak daleko jest od nas?

– Niecałe dziesięć mil.

Ogromny stalowy kiosk z nowoczesną anteną wychwytyjącą sygnały i część grzbietu USS Texas wynurzyły się z wód Atlantyku. Chociaż jednostka płynęła stosunkowo szybko, śmigłowca żadną miarą nie zdołałaby przechwycić.

– Mamy go zestrzelić, sir?

Pytanie jednego z ludzi towarzyszących Jackowi Foyle'owi było echem myśli dowódcy. Zadał je młody bosman, świeżo po akademii, który bez mrugnięcia śledził rozwój sytuacji w centrum dowodzenia.

– Mamy rozkaz odzyskać kasetę nietkniętą, żołnierzu. Jeśli otworzymy ogień, kasetę przepadnie. Poza tym pomyśleliście, co by było, gdybyśmy w kraju sojuszniczym doprowadzili do kolejnych ofiar? Już ci rybacy z rana to aż zanadto...

Bosman nie odpowiedział.

– Sonar, co wiadomo o kursie śmigłowca?

Pytanie dowódcy znowu skierowało uwagę wszystkich na monitory.

– W tej chwili leci wzdłuż wybrzeża, kurs na La Coruñę, sir.

– Na La Coruñę?

– To średniej wielkości miasto na północ od naszej pozycji.

– Jest tam lotnisko?

Oficer nie od razu odpowiedział. Odwrócił się do swojego monitora i wklepał jakieś polecenia do komputera.

– Jest, sir.

– Łączność – rzekł kapitan Foyle, obracając się i wbijając wzrok w brunetkę, która trzymała w ręku telefon bezprzewodowy. – Dzwoncie do NSA i proście, żeby zamknęli lotnisko i zaalarmowali miejscowe władze. Muszą mieć pod kontrolą stacje kolejowe i autokary. Podesłemy im ekipę na miejsce.

Zamiast wrócić na swoje stanowisko i wykonać rozkaz, żołnierka zrobiła krok do przodu, podając dowódcy słuchawkę:

– Telefon do pana, sir.

– Na co czekacie? – zgromił ją.

– Przepraszam, sir. – Pobladła kobieta stała sztywno. – To nie może czekać.

## ROZDZIAŁ 80

Pilot był niesamowity. tak prowadził maszynę, żeby leciała z dala od linii wysokiego napięcia i poza zasięgiem radarów wojskowych. Wiedział, że ten lot nie jest wpisany w rozkład i nie ma autoryzacji kontroli ruchu hiszpańskiej przestrzeni powietrznej, toteż najlepszym sposobem, by przemknąć się niepostrzeżenie dla lokalnych władz wojskowych, będzie nie dać się wykryć urządzeniom. Dlatego zanim zdaliśmy sobie sprawę, oddaliliśmy się od wybrzeża, lecąc na północny wschód nad wsiami i miasteczkami Galicji i rozkoszując się pierwszymi haustami wolności. Nie posiadałam się ze zdumienia, że to uczucie może wezbrać w człowieku tak spontanicznie. Swoją drogą niespecjalnie miałam powody do radości. W nocy nie zmrużyłam oka. Strzelali do mnie dwa razy. Byłam poobijana, bolała mnie szyja i mięśnie nóg, znalazłam się o włos od śmierci, może nawet na trochę umarłam. A wszystko to – czy prawie wszystko – przydarzyło mi się przez faceta, który teraz kierował naszą wyprawą.

Na dodatek świadomość, że przybliżyłam się do Martina, sprawiała, że nie miałam pretensji do Artemiego Duchoka i jego ludzi, a wręcz czułam rosnącą wdzięczność.

Syndrom sztokholmski – pomyślałam. – Ale co tam!

Wszyscy byliśmy rozluźnieni, podziwiając widoki w dole, gdy

naraz jedna z kontrolek w kabinie pilota się zapaliła i rozległ się sygnał dźwiękowy.

– Mistrzu – powiedział Hacı – radar nas zlokalizował.

– Możesz mu uciec?

– Spróbuję.

Sikorsky X4 zszedł niżej, niemal muskając korony eukaliptusów. Maszyna brzęczała jak trzmiel nad szosami i niedużymi zabudowaniami, lecz kontrolka wciąż płonęła pomarańczowym światłem.

– Jak daleko jesteśmy od wybrzeża? – zapytał Duchok.

– Jakieś trzy kilometry.

– Taaa... – Duchok w zamyśleniu skrzyżował ręce. – Zaraz się dowiemy – zwrócił się do Ellen Watson – czy warto było zabrać cię z nami. Jeśli twój szef wydał w porę rozkazy, może uda nam się wyjść z tego cało. Jeśli nie, najpewniej za parę chwil nas zestrzelą. Jesteś tego świadoma, prawda?

– Ufam prezydentowi – odparła Ellen, wytrzymując jego wzrok. – Pomoże nam.

– Na to liczę.



## ROZDZIAŁ 81

– Mówię z kapitanem Jackiem Foyle'em?

Głos, który zatrzeszczał w słuchawce, wydał się znajomy dowódcy USS Texas. Połączenie przekierowano na nieduży aparat w sterówce. Uwagi Foyle'a nie uszło, że pytający o niego rozmówca wyraża się władczo.

– Kapitan Foyle przy telefonie. Z kim mam przyjemność?

– Mówi prezydent Castle, kapitanie.

Foyle'a zatkało.

– Wiem, kto pana wysłał ku wybrzeżom Hiszpanii – rzekł prezydent bez owijania w bawełnę i bez cienia wyrzutu. – Chociaż NSA miała swoje powody, odwołuję wszystkie rozkazy ze skutkiem natychmiastowym.

– Panie prezydencie...

– Jest pan żołnierzem, kapitanie. Wykonuje pan rozkazy i ja to rozumiem. Nie będzie pan miał kłopotów z tego powodu.

– Nie o to chodzi, sir. – Foyle mówił teraz beznamiętnym tonem.

– Zrobiliśmy wypad na ląd i straciliśmy czterech ludzi.

– Zrobiliście wypad na terytorium Hiszpanii?

– Tak jest, sir.

Przez kilka sekund Castle milczał. W końcu zapytał:

– Gdzie są ciała? Wzięliście je na pokład?

– Nie, sir. Przypuszczam, że w tej chwili nasza ambasada pracuje nad zabránieniem ich do kraju. Są w rękach miejscowych władz. Wszyscy czterej zginęli z ręki nieprzyjaciela w czasie potyczki na terenie miejskim.

– Z ręki nieprzyjaciela? – Dotychczasowe zatroskanie w głosie prezydenta ustąpiło niedowierzaniu. – Gdzie?

– W Noii, sir. To miasteczko na zachodnim wybrzeżu.

Castle znowu milczał przez chwilę. Myślami znalazł się bardzo blisko tego miejsca, na pokładzie śmigłowca, z którego telefonowała do niego Ellen Watson.

– Są ofiary wśród cywilów? – zapytał wreszcie.

– Nic o tym nie wiem, sir. Ale narobiliśmy sporo szkód w zabytkowej budowli.

– W porządku, kapitanie – westchnął. – Musi pan wiedzieć, że okoliczności pańskiego zadania diametralnie się zmieniły. Proszę, żeby zrobił pan trzy rzeczy dla kraju.

– Trzy, sir?

– Po pierwsze, od tej chwili nie wolno panu podejmować absolutnie żadnych działań szturmowych ani przechwytyjących. Nie pozwalam, żeby zginął jeszcze choćby jeden żołnierz. Rozumie pan?... Wiem – dodał, nie czekając na odpowiedź – że parę minut temu z Noii odleciał śmigłowiec. Na pewno wasze urządzenia już go wykryły. Na jego pokładzie jest osoba z mojego biura obarczona misją specjalną. Właśnie ona mnie powiadomiła, że jesteście na hiszpańskich wodach terytorialnych. Proszę pozwolić im odlecieć.

– Sir... proszę nie odebrać tego jako sprzeciw, ale tym śmigłowcem lecą ludzie, którzy strzelali do moich żołnierzy.

– Proszę się ograniczyć do wykonania rozkazów, kapitanie – przerwał mu stanowczo Castle. – Druga rzecz, o którą proszę, to

żeby nawiązał pan kontakt z admirałem Szóstej Floty. Otrzyma pan dane do nowego kursu i sporządzi raport z wydarzeń w Hiszpanii. Proszę też powiadomić rodziny poległych i upewnić się, że ciała szybko zostaną dostarczone do kraju. Później proszę opuścić rejon, w którym pański okręt się znajduje.

– A trzecia rzecz, sir?

– Chcę, żeby odpowiedział mi pan na pytanie, które zaraz zadam. I proszę o całkowitą szczerość.

– Tak jest, sir.

– Co właściwie miał pan zrobić w Noii?

Jack Foyle zawahał się na moment. Dyrektor NSA rozkazał mu, aby pod żadnym pozorem nie ujawniał treści zaszyfrowanej wiadomości, w której zlecano mu zadanie. Ale czy pytanie naczelnego wodza wojsk amerykańskich należy traktować w kategorii „pozorów”? Szybko podjął decyzję.

– Panie prezydencie – powiedział – rozkaz mówił, że mamy zdobyć bardzo silne mobilne źródło energii elektromagnetycznej i przewieźć je do kraju, żeby specjaliści je zbadali.

– To wszystko?

– Nie. Mieliśmy też ująć żywą osobę cywilną, niejaką Julię Álvarez, i unieszkodliwić osoby towarzyszące jej.

– Podano powód?

– Tak, sir. Zdaje się, że ci goście planują zamach na skalę globalną. O niespotykanej sile przy użyciu broni elektromagnetycznej.

## ROZDZIAŁ 82

Trzy minuty później pomarańczowa kontrolka w kabinie śmigłowca ucichła i zgasła. Hacı i ja pierwsi zdaliśmy sobie z tego sprawę.

– Uciekliśmy mu, mistrzu – poinformował pilot.

Artemi Duchok niedowierzająco uniósł jedną brew.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Wiązka radarowa już nas nie ściga.

Zadowolony szajch zwrócił się do Ellen Watson:

– Dziękuję bardzo. Oddałaś nam wielką przysługę.

– Skoro dowiodłam woli współpracy – odparła, skrywając ulgę – opowiesz mi o projekcie Eliasza?

Obserwowałam twarz Duchoka. Ormianin był jej winien wyjaśnienia, ja zaś miałam nadzieję, że udzieli ich przy mnie.

– Nie wolisz się przespać parę godzin, zanim dolecimy na miejsce?

– Zdrzemnąć się jeszcze zdążę. Teraz wolałabym się dowiedzieć o tym tajnym programie.

Duchok kiwnął głową.

– W porządku. Zasłużyłaś na to. Mamy przed sobą parę godzin lotu. Nie widzę powodu, żeby się nie podzielić z tobą tym, co wiem.

Ellen poczuła, że nadeszła wyczekiwana przez nią chwila.

– Widzisz – zaczął Duchok – z tego co wiem, projekt Eliasza powstał dawno temu z inicjatywy amerykańskich tajnych służb. Jest chyba najstarszą ciągle prowadzoną operacją, a wiąże się z waszym bezpieczeństwem narodowym. Oczywiście w ostatnich dziesięcioleciach wszedł w fazę znacznie aktywniejszą. My, jazydzi, dowiedzieliśmy się o nim dawno temu. Tak jak mówiłem – zwrócił się do mnie – dzięki twojemu teściowi, ostrzeżeniom Rosjan i starym zdjęciom góry Ararat. Zostały zrobione niedługo po wybuchu rewolucji bolszewickiej podczas ekspedycji, w której brali udział tragarze wyznający naszą wiarę. Od tej pory nikt, kto widział te fotografie, nie pożył na tyle długo, żeby komuś o nich opowiedzieć. A na nich jest cała prawda o tym, czego dotyczy ten projekt...

## ROZDZIAŁ 83

Na wierzchu leżało stare zdjęcie. Niemal historyczne.

Michael Owen wyjął je z teczki i pogładził z szacunkiem. Wiedział, że zostało zrobione przez żołnierzy cara Mikołaja II latem 1917 roku gdzieś na granicy turecko-rosyjskiej. Widniała na nim grupa obdartych mężczyzn. Wyglądali na skrajnie wyczerpanych, przemarzniętych, odziani byli w sukienne mundury i mocno zarośnięci. Trzej stali w pozycji na baczność przed czymś, co przypominało świeżo zniszczony dom zmieciony przez lawinę. Może przez trzęsienie ziemi. W każdym razie na pewno zrujnowany.

Owen wiedział, jakie koszty poniesiono, aby ta fotografia znalazła się w jego archiwum. Służby specjalne okupiły krwią jej transfer do Waszyngtonu. Stało się to czterdzieści lat po tym, jak w pewnych okolicznościach trafiła w ręce bolszewików. Pragnęli jej. Ba! Potrzebowali bardziej niż własnej rewolucji. I nietrudno było zrozumieć dlaczego.

Przy bliższym bowiem przyjrzeniu, jeśli udało się zmniejszyć ziarnistość obrazu, okazywało się, że dom widniejący za żołnierzami jest dość dziwny. Miał trzy poziomy i sprawiał wrażenie, że ścianę frontową stracił całkiem niedawno. Co ciekawe, na odsłoniętych poziomach nie było widać wyposażenia charakterystycznego dla budynku mieszkalnego. Nie było

sprzętów, ubrań, żadnych belek ani cegieł. Tylko puste ciemne pomieszczenia. A wpatrzywszy się dokładnie, dostrzegało się szereg izdebek położonych jedna koło drugiej i ciągnących się w nieskończoność.

W połączeniu z innymi elementami znajdującymi się w teczce układanka stawała się wreszcie zrozumiała. Drugie zdjęcie, zrobione w odległości około trzystu metrów od dziwnego budynku, prawdopodobnie ze zbocza powyżej, zdawało się zawierać klucz. Okazywało się otóż, że ów rzekomy dom jest długą prostokątną konstrukcją uwięzioną w ogromnym lodowcu, który w pewnym momencie przełamał ją na dwie części, odsłaniając wnętrze. Na odwrocie starannym charakterem pisma skreślono po rosyjsku

*Ekspedycja Romanowa. Lipiec 1917*  
*Arka Noego.*

Przez wiele lat znawcy spekulowali na temat istnienia tych zdjęć. Wspominały o nich wszystkie prace dotyczące arki Noego, lecz w żadnej nie zamieszczono reprodukcji. Pisano o wyprawie badawczej na granicy tureckiej przedsięwziętej z polecenia Mikołaja II niedługo przed wydarzeniami, które położyły kres panowaniu cara i wielkości jego rodziny, nie dostarczano jednak dowodów. Wszystkie Owen miał przed sobą. Opowiadały historię grupy około stu żołnierzy, inżynierów, fotografów i rysowników, którzy mieli pecha i podczas schodzenia z góry wpadli w ręce wrogów cara, po czym oskarżono ich o zdradę stanu. Większość rozstrzelano niedaleko Erywania, a nieliczni ocalali nigdy nie mówili o tym, co zobaczyli na szczycie. Dla reżimu ateistycznego pojawienie się relikwii biblijnej było jak bomba z opóźnionym zapłonem. Sam „ojciec rewolucji” ukrył dowody wśród swoich papierów z powodu

mieszaniny fascynacji i wstrętu, które w nim budziły. Co więcej, wydaje się, że kilkakrotnie wysyłał oddział saperów, żeby wysadzili w powietrze arkę, lecz ludzie ci mieli znacznie mniejsze doświadczenie i wytrzymałość niż carscy żołnierze, toteż nie poradzili sobie z ogromną łodzią osiadłą na kompletnym pustkowiu.

A może załatwił to Bóg.

Jakiś czas później doszło do kradzieży.

W roku 1956 pewien podwójny agent uzyskał dostęp do archiwum towarzysza Lwa Trockiego i natrafił na zdjęcia. Zdołał je zwędzić, po czym sprzedał w Berlinie przedstawicielowi ambasady amerykańskiej. Jednakże w chwili finalizowania transakcji we wschodniej części miasta zarówno kupującego, jak i sprzedającego zatrzymało i podziurawiło pociskami Stasi, tajna policja ówczesnej NRD. Dwa dni później pozbawiony skrupułów kapitan straży granicznej przy wsparciu miliona dolarów dokonał cudu: zdjęcia trafiły tam, gdzie pierwotnie miały trafić. Projekt Eliazs je zdobył, chociaż zapłatą była utrata jednego z najsukuteczniejszych agentów.

Kiedy to się działo, Michael Owen był dzieckiem. Dlatego widok tych materiałów nie sprawiał mu przykrości.

Jego uwagę najmocniej przykuwało ostatnie zdjęcie. Zrobiono je w górnej części „budynku”, w strefie nienaruszonej, która wydawała się zamknięta. Nie było na niej widać żadnych pomieszczeń, tylko ścianę pokrytą ciemnymi słojami. Oparty o nią stał facet z oszronionymi brwiami i wąsami. Czy był Rosjaninem, Owen nie dałby głowy. Miał coś kozackiego w oczach zamglonych wódką, zdawał się mówić: „Spróbujcie tylko podejść tutaj, fiuty!”. Tę fotografię Owen najbardziej lubił. Od samego początku. Przede wszystkim dlatego, że żołnierz trzymał dłoń w rękawiczce przy



ścianie i palcem wskazywał wyryte znaki. Wyglądały na inicjały wyrzeźbione w kamieniu. Widoczne były jedynie cztery, chociaż po zdjęciu należało sądzić, że miejsca starczyłoby dla innych. Nieco niżej znajdowało się wyobrażenie jakby uproszczonego ludzika, które Michael znał dobrze. W XVI wieku ktoś go nazwał „Monas Hieroglyphica”. Co ciekawe, żadna z tych niby liter nie należała do alfabetu hebrajskiego. Jeżeli ta konstrukcja była arką Noego, na co wiele wskazywało, biblijny patriarcha nie oznaczył swojej łodzi, posługując się językiem swojego ludu, lecz jakimś innym, nieznanym.

7 M 2 M

Były to glify takie same jak te, które oddał kiedyś do zbadania najlepszemu analitykowi pracującemu przy projekcie, Williamowi L. Faberowi. Dowiedział się wtedy od niego, że należą do obcego alfabetu, który w epoce odrodzenia nazwano „henochiańskim”. W czasach królowej Elżbiety I w całości opracowała go bardzo wąska grupka osób o zdolnościach mediumicznych. Robocza hipoteza Williama Fabera zakładała, że kto zdoła poprawnie wymówić te litery – a do tego trzeba było się nauczyć henochiańskiego, nie było innej opcji – ten zdoła aktywować adamanty i zapanuje nad ich mechanizmem emisyjnym.

Wszystko wskazywało na to, że Faber dopiął swego, ale pechowo miejsce jego pobytu było nieznanne.

Przebywał gdzieś w Turcji.

Prawdopodobnie prowadził poszukiwania syna.

## ROZDZIAŁ 84

To było olśnienie.

Naraz Andrew Bollinger, otoczony puszkami po coca-coli i kubkami z zaschniętymi resztkami kawy, jasno zobaczył, jak ugryźć problem, który wrzucił mu stary przyjaciel Roger Castle. Wydrukował otrzymane z Białego Domu maile z danymi dotyczącymi sygnałów wykrytych w Hiszpanii i Turcji, dotąd jednak nic z nich nie wydedukował. Nic a nic.

Ale w sekundzie to się zmieniło. Zwyczajnie Andrew doznał oświecenia. Czemu wcześniej tego nie zauważył? Te emisje wcale nie były identyczne. Nie szukając daleko: pierwsza nie wychodziła ze stałego punktu, druga owszem. Poza tym pierwsza biegła po wektorze kierunkowym, który zdawał się zmierzać na spotkanie drugiej. Oczywiście w tych wiązkach elektromagnetycznych nie należało się doszukiwać wiadomości wysyłanej w przestrzeń kosmiczną, lecz zlokalizować cel, do którego obydwie podążały. A w żadnym razie nie wyglądało na to, żeby była nim jakaś odległa planeta.

To właśnie Bollingerowi przyszło na myśl.

Czym prędzej ze swojego biura w centrum operacyjnym kompleksu połączył się z szefem anten teleskopu VLA i poprosił, żeby całą moc nasłuchową skoncentrował na specyficznym

segmencie przestrzeni. Zajmie to jakieś pół godziny. Najwyżej godzinę. Należało wyizolować przebywający w tej chwili jonosferę sygnał elektromagnetyczny o określonym natężeniu w paśmie 1420 megaherców na fali o długości 21 centymetrów.

– Zaczniemy od... – Bollinger zerknął na monitor – ...od obszaru 39° 25' N, 44° 24' E. – Musiał dwukrotnie powtórzyć polecenie. – I pamiętaj – uprzedził szefa anten – nie chcę sygnałów przychodzących na tej częstotliwości do tego obszaru, tylko wychodzące z niego. Rozumiesz?

– Na tej częstotliwości?

Bollingera zirytował sceptycyzm technika, który słuchał z niedowierzaniem, jakby uznał, że szefowi odbiło. Lawrence Gómez, pięćdziesięciosześcioletni inżynier, który chyba wszystko już widział, nie mógł pojąć, jak można szukać czegoś w paśmie o częstotliwości 1420 megaherców. A tym bardziej nie mieściło mu się w głowie, że tego rodzaju sygnał może interesować Bollingera, zazwyczaj obojętnego na wszystko, co się wiązało z poszukiwaniami małych zielonych ludzików.

– Wystarczy, jak mi podasz rezultaty – polecił Bollinger. – I zrób to raz-dwa.

Dziewięć minut później dwadzieścia osiem anten VLA, każda o wadze dwustu trzydziestu ton, nastawiało się jak jedna, celując we wschodni horyzont. Po czym system wykonał szczególną operację, przepatrując właściwy obszar, z którego płynął sygnał wykryty przez satelity Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. I ku zdumieniu inżyniera Gómeza natychmiast znalazł to, czego szukał. Przez kolejne dziewiętnaście minut od chwili, gdy anteny dostroiły się do częstotliwości, do analizatora widm płynął głośny sygnał o mocy tysiąca watów. Komputer posłusznie wszystko rejestrował.

Była to niezwykła emisja. Co do tego Gómez nie miał wątpliwości. Inteligentna maszyna zrobiła jednak więcej: wyliczyła mianowicie, do jakiego celu dąży wiązka elektromagnetyczna.

Inżynier pochylił głowę.

– Niemożliwe.

Powtórzył wszystko od nowa. Nastawił anteny. Skalibrował komputer. Ponownie wprowadził odbicie sygnału w warstwie Heaviside' a jonosfery i przeanalizował jego kurs. Wynik jednak otrzymał taki sam: bardzo silny sygnał wychodzący z nieznanego źródła, straty energii nieznaczne. Nie było cienia wątpliwości. Ten strumień elektromagnetyczny celował prosto w... Słońce.

– W Słońce? Jesteś pewien?

Śniada twarz Bollingera pobladła, gdy połączył się z nim inżynier Gómez.

– Przesyłają sygnał modulowany na częstotliwości wodoru, szefie. To nie budzi wątpliwości. Ale najciekawsze, że Słońce jakby odpowiadało emisją o zbliżonych wartościach. Gdybym nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałbym, że sobie rozmawiają.

Bollingerowi zimny dreszcz przebiegł po grzbiecie.

– Udało ci się sprawdzić, czy to sygnał sekwencyjny?

– Chodzi ci o to, czy może być inteligentny?

– Tak.

– Nie, szefie, na to trzeba więcej czasu.

Dyrektor VLA dłuższą chwilę niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w plakat z obrazem Układu Słonecznego zawieszony na ścianie biura. Połowę powierzchni zajmowała ogromna czerwona kula po lewej. Artysta przedstawił ją z wielkimi obłokami wybuchającego helu, które wylatywały w przestrzeń i osiągały malutkiego bezbronnego Merkurego. „Słońce to dziewięćdziesiąt osiem procent

materii Układu Słonecznego”, przeczytał zdanie wypisane u dołu. Teraz te słowa rozbrzmiały Bollingerowi w głowie niczym pogróżka.

Dziwne. Na zewnątrz, w kampusie New Mexico Institute of Mining and Technology, czuło się już zimę. Tej jesieni opady były obfitsze niż zwykle i Bollinger dotąd jak wszyscy marzył, aby słońce litościwie przygrzało i odsunęło nadejście chłodów.

Teraz nagle przestał o tym marzyć.

Usiadł przed komputerem, by napisać dwa maile. Obym się mylił, pomyślał. W Colorado Springs, w 50. Eskadrze Meteorologicznej Sił Powietrznych USA, był cały wydział zajmujący się zmianami w przestrzeni kosmicznej. A w Greenbelt w stanie Maryland, nie tak daleko od Białego Domu, mieściło się Goddard Space Flight Center. Jeżeli doszło do jakiejś anomalii na powierzchni Słońca, któraś z tych instytucji już powinna mieć dane o niej. Tylko pracujący tam specjaliści mogli go uspokoić. Po raz pierwszy i ostatni widział „gadający” kamień niedługo przed wielką burzą słoneczną w roku 1989. Tamta burza pogrążyła Quebec w ciemnościach i spowodowała straty w satelitach oraz w sieciach przesyłowych liczone w miliardach dolarów. Nawet katastrofa tankowca Exxon Valdez, z którego trzydzieści siedem tysięcy ton ropy wyciekło do morza w pobliżu Alaski, mogła zostać spowodowana uszkodzeniem przyrządów nawigacyjnych przez wybuchy na Słońcu. Skoro zdaniem prezydenta inne kamienie zaczęły teraz „gadać”, na pewno nie robiły tego dla przyjemności.

Andrew wiedział, że ilekroć na Słońcu dochodzi do wybuchów, w przestrzeń kosmiczną wyrzucane są miliardy ton plazmy. Przy prędkości ponad dziewięćset mil na sekundę – czyli ponad trzech milionów na godzinę – ta masa może dotrzeć do Ziemi w ciągu dwóch, trzech dni. Lepiej będzie się na to przygotować.

„Pilne – wystukał na klawiaturze. – Wykryliście w ostatnich godzinach CME?” Te trzy literki wprawiały go w ogromny niepokój. Koronalny wyrzut masy. Najgorszy skutek aktywności gwiazdy położonej najbliżej naszego świata.

Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że jest w błędzie.

## ROZDZIAŁ 85

Głowa mi pękała.

Po siedmiu godzinach i czterdziestu minutach lotu – znoszenia monotonnego brzęczenia wirników, ostrzegawczego piszczenia kontrolki, ilekroć przelatywaliśmy przez strefę nadzorowaną przez radar, rutynowych rozmów przez radio zezwalających na wejście w przestrzeń powietrzną Francji, Włoch, Grecji – czułam się jak uwięziona na zjeżdżalni w wesołym miasteczku. Ledwie udało mi się trochę zdrzemnąć. Byłam wykończona wznoszeniem się i opadaniem, zwrotami i turbulencjami, bałam się, że lada chwila moja wytrzymałość fizyczna zupełnie się wyczerpie. Na szczęście zanim do tego doszło, dotarliśmy do celu na północnym wschodzie Turcji. Nie zauważyliśmy nawet, kiedy maszyna wylądowała w jakimś bliżej nieokreślonym miejscu. W plecach łupało mnie jak wszyscy diabli. Moje neurony nie były w stanie przetworzyć ani bita informacji więcej, pragnęłam jedynie wyspać się w łóżku jak Bóg przykazał.

Chyba z tego właśnie powodu Duchok zawrócił i mocno klepnął mnie w ramię, żebym zaczęła reagować.

– Idziemy, idziemy! Już niedaleko! – rzekł zachęcająco.

W Turcji była już pełnia nocy. Nocy czarnej, zimnej, usianej gwiazdami. Kilka minut wcześniej z silnikami przełączonymi

w „tryb cichy” wylądowaliśmy w odległości zaledwie trzystu metrów od celu i teraz pod osłoną ciszy i bezkresnej pustki tej opuszczonej okolicy zamierzaliśmy go zaatakować. Szłam jak zjawą w ogonie grupy, powłócząc nogami, obojętna na smagnięcia lodowatego suchego wiatru, który chłostał mnie po twarzy.

Nie chciało mi się zrobić ani kroku więcej. A tym bardziej w kierunku punktu, który Duchok odkrył za pośrednictwem komputera – miejsca wyglądającego na krater bez dna.

Bałam się.

Mimo otumanienia pamiętałam dobrze rzeczony zapadlisko, pamiętałam też, jak się pokazało na monitorze w Noii w trakcie ustalania pozycji adamantu Martina. Właśnie Duchok mi powiedział, że współrzędne geograficzne wskazują na krater koło Hallaçu. Ale świadomość, że znajduję się tak blisko jego ostrych krawędzi, w dodatku w ciemnościach, napełniała mnie obawami mimo noktowizora i okrycia, w które zaopatrzył nas Ormianin. Powodów do niepokoju bowiem nie brakowało. Lej musiał mieć jakieś czterdzieści metrów głębokości. Był kominem o ścianach zeszkłonych pod wpływem wysokiej temperatury. Pułapką dostępną jedynie dla ekipy wytrawnych grotołazów, których wśród nas nie widziałam. Jakże więc, do diabła, zdołamy opuścić się na dół i wyjść z tego bez szwanku?

– Jeśli idziemy do krateru, ja nie... – szepnęłam do Duchoka, szykując się na najgorsze.

– Nie do krateru, tylko do budynku obok. Sygnał Martina wyszedł stamtąd.

Jego pewność siebie przyprawiła mnie o zimny dreszcz.

– Do... do tamtego budynku?

Taka perspektywa również wcale mi się nie uśmiechała. Jakies



sto metrów od miejsca, gdzie akurat posuwaliśmy się łagodnie nachylonym zboczem, wznosił się ufortyfikowany budynek sporych rozmiarów wyglądający na opuszczony od jakiegoś czasu. Mimo braku światła na jego murach widoczne były dziury, które wyglądały na ślady po pociskach. Nie jestem w tych sprawach ekspertem, ale w trakcie prac konserwatorskich spotykałam się z czymś takim. Po wojnie domowej wiele kościołów w Galicji było podziurawionych jak rzeszoto.

– A co zrobimy, jeżeli porywacze Martina czekają na nas w środku? – szepnęłam do Duchoka, przyspieszając kroku, aby za nim nadążyć.

– To już nasza sprawa. Nie będzie z nimi problemu – uciął Duchok.

– Nie?

– Nie – oświadczył pewnie, zamykając mi usta.

Niebawem dotarliśmy do budynku: Artemi Duchok, jego dwaj uzbrojeni ludzie, Ellen Watson i ja. Właściwie nie był to jeden budynek. Do głównego gmachu przylegały mniejsze obiekty, które także wyglądały na opuszczone. Trzy najokazalsze nadawały kompleksowi wygląd gospodarstwa wiejskiego. To jednak nie było gospodarstwo. Największy budynek, dwupiętrowy o dwuspadowym dachu, miał nawet nieduży minaret. Przed nim rozciągał się dziedziniec służący czasami jako parking, a na wprost dumnie się wznosił drugi obiekt – ten, który ze zdjęć satelitarnych został usunięty i zamiast niego widniała na nich biała plama – z całą pewnością niepospolity.

Wielkie stalowe płyty niedokładnie okrywały coś w rodzaju wieży stanowiącej jedną bryłę. Nie mogłam się jej dokładnie przyjrzeć, ale wyglądała jak gigantyczny kiel wbity w ziemię i w większej części

ukryty pod nią. Nie miała okien, żadnych zdobień ani innych elementów dodatkowych. I chociaż bezsprzecznie emanowała starością, było w niej również coś bardzo dziwnie nowoczesnego.

– Idziemy! – pogonił mnie Duchok, spostrzegłszy, że tak się zapatrzyłam.

– Co to jest? – spytałam.

– Antena.

– Naprawdę?

– Antena wysokich częstotliwości. Nie zatrzymuj się!

– Ale wygląda na bardzo starą – zaprotestowałam.

– Bo jest stara!

Pomaszerowaliśmy do wejścia do największego budynku.

Ustawiliśmy się po obu jego stronach, czekając na znak naszego szefa. Wielkie drewniane drzwi, wzmocnione żelaznymi ćwiekami i okute, były otwarte na oścież, lecz nie widzieliśmy ani nie słyszeli niczego podejrzanego. Ellen Watson, która podobnie jak ja nie miała broni, zaprotestowała:

– Wejdziemy tam ot, tak?

Duchok kiwnął głową. – Tak. Panie pójdą przodem – rzekł, patrząc na nas. – My? – To chyba niedobry pomysł... – To nie jest pomysł – burknął Duchok. – To rozkaz. I wycelował z uzi w mój brzuch.

## ROZDZIAŁ 86

Nawet Dante nie zdołałby wymyślić piekła gorszego niż to.

Długi na sto tysięcy kilometrów wybuch plazmy rozgrzanej do pięciu tysięcy ośmiuset stopni wzbił się majestatycznie nad powierzchnię Słońca. Pierwsze tę anomalię wykryły dwie sondy STEREO, które NASA umieściła na orbicie heliocentrycznej, by badały aktywność słoneczną. Nazywano je Ahead i Behind od zajmowanego położenia względem obserwowanego ciała niebieskiego. Obydwa olbrzymy działały niczym para gigantycznych oczu, przesyłając na Ziemię trójwymiarowe zdjęcia wszystkiego, co się działo na powierzchni Słońca. A ponieważ nie zostały zaprogramowane, aby odbierać sygnały skierowane do Słońca – niby kto by je miał wysyłać? – nie wykryły potężnej wiązki magnetycznej, która nieco wcześniej uderzyła w gwiazdę w okolicach plamy 13057.

Jeszcze pół minuty wcześniej cień obszaru 13057 był zaledwie wielkości Ziemi. Jego silne pole magnetyczne naruszył strumień płynący z Ziemi, tak że jęło mutować, wchłaniając plamy 12966 i 13102. Automatycznie, bez interwencji operatora z Goddard Space Flight Center w Marylandzie, sondy STEREO zaczęły rejestrować ruchy magmy słonecznej i przekazywać pierwsze informacje do centrali. Procesorowi, który kosztował dwa miliony dolarów,

wystarczyło kilka sekund na ustalenie, że za wybuch odpowiada obszar 13057. Jego jajowaty kształt znikł z obrazów rejestrowanych w dalekim ultrafiolecie, urządzenie natomiast zobrazowało płonącego potwora, który sunął wzdłuż nierównej powierzchni Słońca z prędkością trzystu kilometrów na sekundę.

To, co się stało potem, przekroczyło wszelkie znane skale aktywności słonecznej.

Fala plazmy uderzyła w fotosferę na podobieństwo pnia drzewa spadającego do spokojnego jeziora. Tyle że tutaj średnica koncentrycznych fal wywołanych uderzeniem wynosiła ponad milion kilometrów. Powstała magnetyczno-gazowa fala tsunami, rozgrzana do niewiarygodnie wysokiej temperatury, porywała wszystko, co napotkała na swej drodze. Głuchy ryk przebiegł wtedy przez całą gwiazdę, po czym jak w dominie herkulesowych rozmiarów doszła kolejna kostka. Kwintyliony cząstek o dużych energiach, głównie protonów, pchnięte gazową chmurą przyspieszyły i wyleciały z heliosfery. Za nimi ciągnęła karuzela radioaktywna, jakiej sondy STEREO jeszcze nie widziały.

Po czymś takim programowi STEREO, *Solar Terrestrial Relations Observatory*, groziło definitywne przejście do historii.

Jednakże wówczas kamery ultrafioletowe STEREO-A wychwyciły coś jeszcze.

Niczym długie powykręcane palce kosmicznego Nosferatu w ślad za chmurą protonów wystrzelił strumień magnetyczny długości co najmniej czterdziestu tysięcy kilometrów. Poruszał się jak jaszczurczy ogon w prawo i lewo zależnie od pola generowanego przez jego bieguny. Równocześnie na powierzchni gwiazdy otwierały się i zamykały potężne leje rozmiarów pięciokrotnie większych niż Ziemia. Przypominały żarłoczne usta. Diabelskie

gardziele gotowe pożreć wszystko.

W ciągu ośmiu minut promieniowanie dotarło do Ziemi w postaci fali cieplnej. I było tylko wstępem do tego, co miało się stać później.

Jeśli się spełnią przewidywania, w ciągu osiemnastu, najdalej trzydziestu sześciu godzin przyjdzie kolej na deszcz plazmy. Urządzenia pomiarowe sond STEREO w ciągu sekundy obliczą, na które rejony Ziemi spadnie. Miały do czynienia z największym zaobserwowanym dotąd koronalnym wyrzutem masy. Z wybuchem klasy X23. I jego skutków nie sposób było przewidzieć.

Akurat kiedy sonda STEREO-B przesłała swoje prognozy co do miejsca, na które runie magnetyczne tsunami, nadeszło pytanie od dyrektora obserwatorium w Socorro: „Pilne. Wykryliście w ostatnich godzinach CME?”.

Jednakże w Goddard Space Flight Center co innego teraz mieli na głowie. Znali już współrzędne miejsca, w które uderzy plazma.

Musieli natychmiast ostrzec władze tureckie.

## ROZDZIAŁ 87

Pierwsze kroki w środku stawiałam mocno niepewnie.

Nie bez powodu. Wewnątrz nie było światła, po podłodze poniewierał się jakiś gruz, w dodatku nogi się pode mną trzęsły ze strachu. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego Artemi Duchok – przyjaciel Martina, człowiek, który ryzykował życie, aby mnie chronić i przywieźć aż tutaj – grozi mi teraz bronią i patrzy na mnie takim wzrokiem, jakbym była jego najgorszym wrogiem. Idąca obok mnie Ellen Watson też była kompletnie skołowana. Tuż za nią kroczył Haci, który wbijał jej lufę automatu w plecy, w ten nieprzyjemny sposób zmuszając ją, by bez szemrania wykonywała polecenie szefa. Chociaż jednak to wszystko wydawało się absurdalne, dla Ormianina prawdopodobnie miało jakieś znaczenie. Duchok nie był fanatykiem. Nigdy mi na takiego nie wyglądał. W głębi ducha czułam, że powinnam mu wybaczyć. Dlatego też zwróciłam uwagę na jego twarz, na której nie dostrzegłam napięcia, lecz euforię. Trudno mi było uwierzyć, że planuje nas skrzywdzić.

W milczeniu Ormianin prowadził naszą grupkę przez labirynt korytarzy, schodów i pomieszczeń, które się przed nami otwierały, aż na dolnym poziomie dotarliśmy do pokoju, gdzie dla odmiany paliło się światło elektryczne. Oślepiło mnie w pierwszej chwili. Podniosłam ręce, by zasłonić oczy przed blaskiem żarówki

zawieszanej u sufitu, i pottrzymałam je tak kilka sekund. Hacia bronią trącił mnie mocno w plecy.

– Ju-lia Ál-vrez! – powiedział ostro.

Otworzyłam oczy.

Wrażenie było równie potężne jak niespodziewane. A to dlatego, że chociaż znajdowałam się na drugim końcu ziemi w miejscu tak przecież odległym od mojego światka, rozpoznałam to wnętrze.

Ellen również je rozpoznała.

Obróciłam się na pięcie, aby zażądać wyjaśnień od Duchoka, on jednak z pogroźką wypisaną na twarzy kazał mi patrzeć przed siebie.

– Masz tu jeszcze dużo do obejrzenia – mruknął.

Nie miałam wątpliwości: odrapane pokryte brudem ściany, które miałam przed oczami, napisy na trzymających się jeszcze kawałkach tynku, kulawy stół, nawet goła żarówka kołysząca się nad nami – to wszystko było takie samo jak na nagraniu wideo z miejsca uwięzienia Martina. Nakręcono je tutaj! W tym pomieszczeniu o powierzchni ledwie piętnastu metrów kwadratowych!

Do głowy zaczęły mi się cisnąć tysiące pytań.

– No, wreszcie jesteś. Nie znoszę czekać – rozległo się naraz w drzwiach, przez które weszliśmy. Od razu poczułam, że te słowa skierowane są do mnie. Wypowiedział je Anglik z nieskazitelnym akcentem brytyjskim, bez pośpiechu, jakby znajdował przyjemność w spotkaniu z naszą grupką na swoim terenie. – Wszyscy niecierpliwie na ciebie czekają, kotku.

Kotku?

Przez głowę przemknęła mi myśl. Absurdalna, ale tylko w jeden sposób mogłam ją zweryfikować.

Boże!...

Odwróciłam się i oniemiałam z wrażenia.

– Daniel?... Daniel Knight?

Korpulentny facet w butach trekkingowych, opatulony w gruby anorak, z twarzą ukrytą pod rudawym zarostem, który nie dodawał mu urody, stał przede mną i patrzył dziwnie zadowolony.

– Miło mi, że mnie pamiętasz. O nieba, ostatni raz widzieliśmy się pięć lat temu. I przez te pięć lat nie raczyłaś do mnie ani razu zadzwonić.

– Wy... wy się znacie? – wyjąkała Ellen Watson.

Kiwnęłam głową.

– Ten człowiek był na moim ślubie – odparłam z powagą. – To stary przyjaciel mojego męża.

– Jestem kimś więcej, kotku.

– Tak... To prawda. – Uśmiechnęłam się z przymusem. – Szkolił mnie w posługiwaniu się adamantami.

Chociaż Daniel Knight był nieuzbrojony, biło od niego nieodparte wrażenie, że jest tym, który tu rządzi. Nie miałam bladego pojęcia, co tu, do diabła, robi taki jak on mól książkowy ani dlaczego jeszcze nie rozkazał Duchokowi, żeby przestał mierzyć do nas z broni.

– A Martin? – zapytałam ostro. – Wiesz, gdzie on jest?

– Kotku – powiedział, podchodząc i kładąc mi palec wskazujący na ustach – powinnaś bardziej się cieszyć moim widokiem. Koniec końców pomogę ci dokończyć tę układankę. Nadeszła chwila, żebyś poznała odpowiedzi na wszystkie swoje pytania.

– Co z Martinem? Wiesz, gdzie jest? – nie ustępowałam.

– Twój mąż ma się doskonale. Jemu też się dłużyło, kiedy czekał na ciebie. Chcesz herbaty?

– Herbaty???



– Powinnaś uzupełnić płyny w organizmie, kotku. Twoja koleżanka też – dodał, spoglądając na Ellen. – Zadanie, które cię czeka, nie zostawi ci wiele czasu na picie.

– Zadanie? Jakie zadanie?

– Ależ Julio!... – Daniel wolno pokręcił głową, jakby ubolewał, że nie wiem czegoś, co powinnam wiedzieć. – Zadanie, które przyniesie ci odkupienie, bo jest częścią twojego przeznaczenia. Czy tego chcesz czy nie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie wiesz? – Uśmiechnął się. – Odświeżę ci pamięć. Kiedy Martin wyjeżdżał do Turcji, powiedziałaś, że nie będziesz więcej mu pomagać w tych jego „czarach”. Powiedziałaś: „w czarach”, pamiętasz? I że nie chcesz więcej słyszeć o kamieniach, Johnie Dee ani jego apokaliptycznych przepowiedniach... nigdy więcej. Uparłaś się, żeby zejść ze swojej ścieżki. Odsunąć od misji, do której przygotowało cię życie. Na twoje szczęście wraz z tymi tutaj starymi przyjaciółmi postanowiliśmy przywołać cię do porządku.

– Powiedziałaś mu, żeby robił, co chce! – zaprotestowałam. – I żeby mnie nie wciągał w swoje obsesje! To wszystko. – Odwróciłam się. – Martin za tym stoi? Gadaj!

– To nie są obsesje, kotku.

– Poza tym – z nerwów nie mogłam przestać mówić – nie rozumiem, co to ma wspólnego z jego porwaniem... W ogóle nic nie rozumiem!

– Z porwaniem? – Okrągła zarośnięta twarz Daniela pojaśniała. – Proszę cię! Jesteś inteligentną kobietą. Pomyśl o tym, co cię spotkało w ostatnich tygodniach. Najpierw Martin ukrył twój kamień w pewnym miejscu, bo odmówiłaś mu współpracy. Potem skupił się na poszukiwaniach i przyjechał tutaj. Ale ty, moja droga,

wiedziałaś równie dobrze jak on, że wcześniej czy później twoja obecność u jego boku w Turcji stanie się niezbędna. Mylę się?

Oblała mnie fala gorąca, wypływając rumieńcem na twarz.

– Daniel, nie wiem, do czego zmierzasz...

– Julio, Julio – rzekł jeszcze radośniej. Zmarszczki wokół oczu tylko zwiększały jego osobliwy magnetyzm. – Wyszłaś za człowieka, który potrzebował osoby takiej jak ty, żeby wykonać zadanie absolutnie priorytetowe, wypełnić misję nierozzerwalnie związaną z waszym małżeństwem. Martin latami szukał kobiety mającej dar widzenia. Takiej, która mu pomoże, nam pomoże, doprowadzić do końca jego zadanie z kamieniami i zdoła nawiązać kontakt z chórami anielskimi.

– Tak jak robił John Dee z tymi, którzy służyli mu jako media – zaważyłam niechętnie. – Znam tę śpiewkę.

– Owszem, Julio, tak jak robił John Dee.

Danielowi lekko drżała ręka, kiedy nalewał mi herbaty z metalowego naczynia, które stało na stole. Jakoś nie zwróciłam na to uwagi. Skupiona byłam na czym innym: z całych sił próbowałam poukładać sobie te wszystkie absurdalne rzeczy, które w ostatnich godzinach mnie spotkały.

– Czyli – wtrąciła się Ellen nadal stojąca obok mnie – pan sfingował cały ten numer z porwaniem, żeby ściągnąć tutaj Julię?

Okultysta się uśmiechnął.

– Można i tak na to spojrzeć.

– Ale dlaczego? – uniosłam się.

– Gdyby Martin cię poprosił, żebyś dobrowolnie przyjechała z nim na Ararat i zabrała ze sobą swój kamień na ostatnią ceremonię, nie zgodziłabyś się, prawda?

Zawahałam się chwilę. W tych słowach było coś, co naprawdę

mnie zaniepokoiło. Zawołowana insynuacja, która bez cienia wątpliwości potwierdzała, że Martin maczał w tym palce. Tylko dlaczego sam mi tego nie chciał powiedzieć?

Przejęta strachem nabrałam w płuca zimnego wilgotnego powietrza wypełniającego pomieszczenie.

– Potrzebna była silna motywacja, która by cię sprowadziła do nas. I to szybko – ciągnął Daniel. – Bo jeszcze nie wiesz, Julio, że z bardzo ważnych kosmicznych przyczyn trzeba aktywować adamanty właśnie teraz. Musieliśmy cię tu ściągnąć dobrowolnie albo pod przymusem i uznaliśmy, że ten plan będzie dla ciebie najmniej stresujący.

– Najmniej stresujący, taaa...

– Wiem, że kochasz Martina. Miłość to bardzo ludzka słabość. Dlatego odwołaliśmy się do twojego serca. No i jesteś! W samą porę.

– Niech cię szlag trafi, Daniel – wysyczałam. – Przez was o mało mnie nie zabili.

Okultysta upił z kubka herbaty z siorbnięciem, które rozległo się w całym pomieszczeniu. Ellen obdarzyła go zniesmaczonym spojrzeniem. Knight wytrzymał je bez mrugnięcia.

– Naprawdę przepraszam – kajał się, nie odwracając wzroku. – Nie przyszło nam do głowy, że ludzie odpowiedzialni za projekt Eliasza przechwycą nasze nagranie, a tym bardziej że postanowią dotrzeć do ciebie. Na szczęście – dodał, klepiąc po plecach Duchoka, który wciąż trzymał nas na muszce – posłaliśmy do ciebie aniołów stróżów, żeby czuwali nad twoim bezpieczeństwem.

– I co teraz? Co zamierzasz ze mną zrobić? Chcesz mnie zmusić, żebym się znowu przyłączyła do tych waszych zabaw?

Knight znowu pociągnął łyk herbaty.

– Tym razem nie chodzi o zabawę, kotku. Co jakiś czas ta planeta

i jej atmosfera otrzymują potężną dawkę słonecznego promieniowania magnetycznego, które na kilka godzin zamienia nasz świat w jakby kosmiczną latarnię. Latami gromadziłem informacje na ten temat w obserwatorium w Greenwich. Rzadko się zdarza coś takiego. Raptem raz, dwa razy w ciągu stulecia. I krótko trwa. Większość moich kolegów poprzestaje na sporządzaniu wykresów statystycznych, ja natomiast postanowiłem porównać daty wystąpienia tego zjawiska z wydarzeniami historycznymi. Zdałem sobie sprawę, że jeśli się potrafi wykorzystać te siły i skanalizować je za pośrednictwem odpowiednich narzędzi, będzie można wysłać wiadomość do sfer istnienia, których nawet nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, i uzyskać od nich pomoc.

Daniel tajemniczo zmrużył oczy.

– John Dee – ciągnął – nawiązał kontakt z aniołami, ponieważ jego pierwsze próby komunikacji zbiegły się w czasie z jedną z największych burz słonecznych. Pod koniec maja tysiąc pięćset osiemdziesiątego pierwszego Słońce oszalało. Dwudziestego piątego maja jego aktywność osiągnęła szczyt i wtedy zorze polarne widoczne były na zwrotniku Raka. Nigdy wcześniej pole magnetyczne Ziemi nie zostało aż tak zdeformowane z powodu emisji energii. Dziś wiemy, że kiedy to się stało, John Dee modlił się w swojej prywatnej kaplicy w Mortlake. Jakiś hałas sprawił, że podszedł do okna. Być może chrząst zorzy. Tego się nigdy nie dowiemy. Wiadomo za to, że ze zdumieniem zobaczył jakby małego aniołka o promieniejącej skórze. Aniołek unosił się przed nim jakieś trzy metry nad ziemią. John otworzył okno, dotknął go końcem palca i wtedy aniołek wręczył mu kilka kamieni, których później mag używał podczas obrzędu przyzywania. Dee miał wtedy

pięćdziesiąt cztery lata. W tamtych czasach był starcem. I nie ulegał porywom wyobraźni. Ale jakiś czas później dzięki zatrudnionemu medium i przy użyciu kamieni doszło do nawiązania połączenia, co nie udało się nikomu od co najmniej czterech tysięcy lat. Najważniejsze w tym wszystkim... – odchrząknął, przełknął ślinę i odstawił kubek. – Najważniejsze jest to, że właśnie mamy do czynienia ze sprzyjającymi okolicznościami kosmicznymi. Burza słoneczna jest w drodze... a ty masz dar aktywowania kamieni. Czego więcej możemy pragnąć?

Chciało mi się płakać. Wykrzyczęć mu w twarz, że nie obchodzi mnie jego eksperymenty. Że dość długo wytrwałam w Londynie w roli jego królika doświadczalnego i nie zamierzam tego powtarzać. Pohamowałam się jednak. Skoro Daniel – którego dotąd uważałam za niegroźnego intelektualistę – był zdolny do uknuć tego wszystkiego, uznałam, że może lepiej go nie drażnić.

– Wiesz, czego w tym wszystkim nie rozumiem? – odezwałam się w końcu, dusząc w sobie złość. – Waszej obsesji, żeby nawiązać kontakt z aniołami. I obsesji tych ludzi tutaj – dodałam, wskazując Artemiego Duchoka, który bez mrugnięcia słuchał naszej rozmowy.

– Nie rozumiesz, bo nie wiesz czegoś o nas.

– O was? Niby czego?

– Moja droga, jazydzi i moja rodzina należymy do starego anielskiego rodu. Jeszcze to do ciebie nie dotarło?

– Coś podobnego!

Przysięgłabym, że Daniel z rozkoszą napawał się moim zdumieniem. Oparł brodę na obu rękach i nachylając się do mnie, z bliska popatrzył mi w oczy. Nigdy dotąd nie znalazłam się tak blisko Daniela, chociaż to nijak nie tłumaczyło wielkiego zmieszania pod wpływem jego wzroku.

– Wywodzimy się z rodu, który popadł w niełaskę i dąży tylko do tego, żeby się porozumieć ze swoimi i wydostać z tego świata. – Słowa te zabrzmiały uroczyście; a także całkowicie szczerze i bez dwuznaczności. Daniel mówił naprawdę poważnie. – Moja rodzina utknęła w tym świecie przed tysiącami lat. Tak jak mówi Księga Henocha, wymieszaliśmy się z ludźmi i żyliśmy tu z wami. Chociaż jednak tyle pokoleń przeminęło już w czasach przed potopem, nigdy nie zapomnieliśmy, kim jesteśmy ani skąd pochodzimy. – Daniel westchnął głęboko i dodał: – Tak że to, co nazywasz obsesją, dla naszych jest działaniem planowym. Pradawnym wytęsknionym pragnieniem.

Nic nie odpowiedziałam. Nie miałam odwagi.

Ellen również.

– Jak się może domyśliłaś – ciągnął Daniel – Dee także był jednym z naszych. Być może tym, który najdalej się posunął w naszym dążeniu do powrotu do domu. Ale od jego śmierci w tysiąc sześćset ósmym roku poczyniliśmy niewielkie postępy.

– To chyba jakiś żart... – szepnęła Amerykanka oszołomiona równie jak ja, a może nawet bardziej.

– To nie żart, proszę pani. Niech pani spyta jazydów. – Coś w geście Daniela mnie wystraszyło, kiedy wskazał Duchoka. – Przed paroma laty odkryliśmy, że oni też są potomkami tych samych aniołów, które zamieszkały na ziemi dziesięć tysięcy lat temu. Podobnie jak nasi przodkowie przeżyły potop, ale w odróżnieniu od nich lepiej chroniły pamięć o swoim pochodzeniu. Naprawdę doniosłe było dla nas odkrycie, że potrafią się posługiwać siłami, o których myśmy zapomnieli wieki temu. A udaje im się to, ponieważ pozostali wierni ziemi, na której wszystko się zaczęło. Tutaj, w tych górach, przetrwały ostatnie ślady świata z okresu

sprzed potopu. Ostatni na ziemi nietknięty element anielskiej technologii, który może nam pomóc w nawiązaniu kontaktu z domem.

Szczęka mi opadła.

– Domyślam się, że chodzi o arkę Noego...

– Owszem. Pan Bóg polecił Noemu zbudować łódź, ale pracę nadzorowali nasi przodkowie.

– A ten krater skąd się wziął? – wtrąciła Ellen. – To też efekt tej technologii?

Daniel się uśmiechnął. Myślę, że rozbawił go inkwizytorski cierpki ton Amerykanki.

– Z krateru koło Hallaçu pochodziły kamienie, które były fundamentem tej technologii – odpowiedział. – Były tym, czym w dzisiejszych komputerach jest krzem. Dlatego jazydzi od pokoleń strzegą krateru, pilnując, żeby święte kamienie o właściwościach nadawczych nie wpadły w niepowołane ręce.

Popatrzyłam z ukosa na Duchoka.

– Anioły?... Jazydzi?... Co wy bredzicie? Co to za obłąd? Chyba w to nie wierzysz, Julio, prawda? – fuknęła Ellen Watson, nie mogąc się dłużej pohamować. – W życiu nie słyszałam większych idiotyzmów!

– Zapewniam, że nie ma w tym ani krzty kłamstwa, droga pani – odparł Daniel niewzruszenie, jakby mu było obojętne, co Amerykanka o nim myśli, a zależało tylko na tym, aby ta informacja wryła mi się w pamięć. – Może pani wierzyć albo nie, ale część ludzkości pochodzi od istot, które w zamierzchłych czasach wymieszały się z ludźmi. Jesteśmy z krwi i kości. Mamy takie jak wy DNA, nie jesteśmy jednak w pełni tacy sami jak ludzie.

– Akurat! – obruszyła się Ellen. – Jak mogliście tak oszukać Julię? Jak jej własny mąż mógł...

– Już mówiłem, że ta misja jest ważniejsza niż ich małżeństwo. Wy tego nie rozumiecie, ale nasz rodzaj ma moralność dużo bardziej pragmatyczną niż wasza. Może i jesteśmy bardziej nieczuli, może rozum bierze w nas górę nad uczuciami, bez wątplenia jednak dzięki temu jesteśmy skuteczniejsi. I silniejsi.

– Wasz rodzaj? Jaki rodzaj? – Amerykanka ciskała z oczu błyskawice. Pozwoliłam jej się wyładować. – Nigdy o was nie słyszałam!

– Ależ słyszała pani, słyszała – oznajmił Daniel beznamiętnie. – Wszystkie religie mówią o nas i wyjaśniają, jak zostaliśmy skazani na życie w waszym świecie przez wymieszanie się z istotami ludzkimi. Jesteśmy potomkami wygnańców. Tułaczy. Kiedy to, cośmy zrobili, dało impuls waszemu kodowi genetycznemu, który zaczął się upodabniać do naszego, ludzie sami wskazywali nas jako przyczynę swoich nieszczęść i wymyślali mity, takie jak o Lucyferze, Tocie, Hermesie, Enkim czy Prometeuszu, żeby nas opisać. Z jednej strony fascynowały was istoty, które przynosiły światu wiedzę, z drugiej przerażała świadomość, że wcześniej czy później każą sobie jakoś za to zapłacić. Dlatego demonizowaliście nas zawsze. W przeszłości byliśmy prześladowani, oskarżano nas o wszelkie zło. Nazywano nas heretykami, magami, czarownikami, a nawet wampirami. A my tradycyjnie w większości przypadków szukaliśmy ochrony w naukach tajemnych, ponieważ właśnie tam nasi przodkowie zdołali ukryć wiedzę, którą przynieśli z miejsca pochodzenia. To tłumaczy, dlaczego na przestrzeni dziejów ciągle się zaznacza nasza obecność. Musieliśmy strzec tego, cośmy wiedzieli, póki na nowo tego nie odkryjemy i nie nauczymy się



wykorzystywać, by porozumieć się z domem i prosić o zgodę na powrót...

– I udało wam się to odkryć? – zagadnęłam nieufnie.

– Owszem, Julio. – Uśmiechnął się. – Dzięki Martinowi, jego ojcu, Johnowi Dee, mistykom takim, jak Emmanuel Swedenborg, William Blake i wielu innych zrozumieliśmy w końcu „pradawną wiedzę” i wiemy już, jak z niej skorzystać, żeby nawiązać łączność.

– A kto niby miałby po was przybyć? – nie wytrzymała Ellen. – Eskadra skrzydlatych aniołów? Ufoludki w latającym spodku?

Daniel podniósł rękę, gestem prosząc, aby się uspokoiła.

– Ależ nie. Nic z tych rzeczy. Wbrew temu, co ludzie myślą, my, aniołowie, nie mamy skrzydeł. Nie wie pani, że mówi się o tym nawet w Biblii? Na przykład Abraham, Tobiasz czy Jakub spotkali się z nami twarzą w twarz i opisali nas zgodnie z rzeczywistością: jako kobiety i mężczyzn z odległego miejsca, tyle że z psyche rozwiniętą bardziej niż wasza. Mamy inną wrażliwość. Możemy się dostroić do każdej żywej istoty i zrozumieć ją, nie musząc z nią rozmawiać ani oglądać jej pod mikroskopem. Możemy widzieć i słyszeć na tych pasmach spektrum promieniowania elektromagnetycznego, które dla was są niedostępne. I niewiele więcej...

Pokręciłam głową z jeszcze większym sceptycyzmem. Daniel jakby wcale się tym nie przejął.

– Ta psyche, Julio – kontynuował – pozwala nam podziwiać istoty ludzkie takie jak ty. Ty bowiem, o dziwo, masz dar, który myśmy stracili. Gen, który zanikł u aniołów w linii prostej, pozostał natomiast uśpiony w waszym kodzie genetycznym po wymieszaniu się naszego DNA z waszym. Ten gen wyposaża was w zdolność porozumiewania się nadzmysłowego, a budzi się raz na milion

istnień pod wpływem mechanizmów genetycznych trudnych do zrozumienia.

– I aniołowie go stracili? Zapomnieli, jak rozmawiać z Bogiem? – dopytywała Ellen coraz kąśliwiej.

– A tak. Przed wieloma pokoleniami. Na szczęście jednak wcześniej przekazaliśmy wam tę zdolność. Doszło do tego, kiedy synowie Boży wzięli sobie ludzkie córki. Mówi to pani coś? Dlatego u niektórych ludzi – ciągnął wpatrzony we mnie tymi swoimi głębokimi jasnymi oczyskami – od czasu do czasu się rozwija. I dlatego z utęsknieniem szukamy takich ludzi. W pewnym sensie są dla nas jedyną nadzieją na nawiązanie kontaktu z naszym macierzystym miejscem.

– Bardzo to dziwne – rzekłam.

– Wiem – przyznał Daniel. – Rozumiesz teraz, dlaczego Martin tak się ucieszył, kiedy cię spotkał? Pomyślał, że znalazł klucz, który otworzy nam drzwi do nieba.

– Gdzie on teraz jest?

Daniel zerknął z ukosa na Duchoka, który stał obok mnie z uzi w rękach, czujny na każdy ruch. Wyglądał, jakby wraz ze mną czekał na odpowiedź.

– Na górze – odparł wreszcie Daniel. – Przygotowuje się do nawiązania połączenia... Czeka na ciebie.

## ROZDZIAŁ 88

Biuro wykonawcze prezydenta Stanów Zjednoczonych, w skrócie zwane EOP, jest organizmem często niedocenianym. Złożone z ludzi zaufanych i cieszących się autorytetem w społeczeństwie, dzieli się na jednostki administracyjne, których zadaniem jest zapoznawać prezydenta z tematami takimi jak ochrona środowiska, Skarb Państwa czy bezpieczeństwo wewnętrzne. Przy nielicznych okazjach ten, dla którego biuro pracuje, wydaje bezpośrednie polecenie któremuś z urzędników bez wiedzy swojego asystenta, lecz kiedy to robi, czyni wielki zaszczyt wybrańcowi.

Tom Jenkins w ciągu ostatniego półtora roku kilka razy pokosztował tej ambrozji. Należał do nielicznych, którzy mieli osobisty kodowany telefon prezydenta i jego pozwolenie na dzwonienie o każdej porze dnia i nocy. Osób cieszących się tym przywilejem było najwyżej dziesięć – między innymi pierwsza dama, córka pary prezydenckiej i Ellen Watson – toteż Tom starał się go nie nadużywać.

Zaraz po rozmowie z pułkownikiem Allenem w pokoju szpitalnym w Santiago de Compostela Jenkins skorzystał z ostatniej deski ratunku, dzwoniąc do Rogera Castle'a.

– Nie chcę panu zawracać głowy szczegółami tej sprawy, sir – powiedział przepaszająco – ale ktoś musi nacisnąć na NSA, żeby

ten facet z nami współpracował.

Telefon zaskoczył Rogera Castle'a podczas kolacji z ambasadorami europejskimi w Salonie Czerwonym oficjalnej rezydencji przywódcy USA. Prezydent już uratował tyłek Ellen – która dzięki Bogu teraz czuwała z bliska nad Julią i jej porywaczami – jeżeli jednak chciał, by operacja nadal miała status tajnej, wiedział, że musi znowu interweniować i zrobić to, o co prosi Jenkins.

– Nie martw się, Tom. Zajmę się tym.

– Dziękuję, panie prezydencie... – Po czym prezydencki doradca, zwykle zimny jak lód, dodał miękko: – Może nie powinienem tego mówić, ale uważamy z Ellen, że bardzo się pan poświęcił, angażując się w tę sprawę. Dni projektu Eliaz są policzone.

Castle nic na to nie rzekł.

Zdażył rozważyć sprawę, gdy parę minut później, znalazłszy stosowny moment, aby na chwilę opuścić gości, zadzwonił do Michaela Owena.

– Przypuszczam, że już wiesz, co się przydarzyło twojemu człowiekowi, którego wysłałeś do Hiszpanii w sprawie kamienia, prawda?

Niewzruszony dyrektor NSA natychmiast pojął, że Castle próbuje go podejść. Dopiero co skończył czytać wstępny raport, który Nicholas Allen przesłał mu zaszyfrowaną pocztą elektroniczną, wiedział także o porażce drużyny z USS Texas i odwołaniu rozkazów przez prezydenta. Był zatem świadom, że sprawy wcale dobrze nie wyglądają.

– Jestem ze wszystkim na bieżąco, sir. Od uwięzienia Martina mieliśmy już drugi atak z broni elektromagnetycznej w strefie cywilnej. Sytuacja nie jest dobra...

– Dzwonię, Michael, żeby ci coś zaproponować. Chcę, żebyś to potraktował poważnie. Jak pewnie wiesz, dwoje moich ludzi zlokalizowało kamienie i terrorystów, których szukasz. Mam informacje, w jakim kierunku się udali, i mogę się nimi podzielić z twoimi ludźmi, jeśli będziesz współpracował ze mną.

– Ja też mam te informacje, sir. Satelitami, z których pan korzysta, ja zarządzam – odparł Owen oschle.

– Nie rozumiesz, Owen. Walczymy z tym samym przeciwnikiem. Chcę dostać te kamienie tak samo jak ty i wiem, że ludzie z projektu Eliasza wiedzą o nich najwięcej. Proponuję, żebyśmy połączyli siły w celu zdobycia ich. Jeśli ty mnie pomożesz, ja pomogę tobie.

– Mamy połączyć siły w obliczu wspólnego wroga? Jak Reagan i Gorbaczow w Genewie?

Castle się uśmiechnął. Doskonale pamiętał ten epizod. Zimna wojna między Moskwą i Waszyngtonem weszła w bardzo delikatną fazę. Było to jesienią 1987 roku. Ówczesny prezydent USA, Ronald Reagan, miał gotowy tekst traktatu o redukcji arsenałów jądrowych, nie wiedział jednak, czy podpisze go przywódca sowiecki. I wtedy właśnie wygłosił jeden z bon motów, które przeszły do historii: „Nieraz sobie myślę, że różnice między nami raz-dwa by znikły, gdyby doszło do inwazji z kosmosu. Czy aby nie ma już wśród nas obcej inteligencji?”.

– No właśnie – przytaknął Castle. – Jak Reagan i Gorbaczow.

– W porządku. Zapoznał się pan już szczegółowo ze sprawą Eliasza. Nie mam powodów, żeby odrzucać współpracę. Co mam zrobić?

– Skontaktuj się ze swoim człowiekiem w Hiszpanii i każ mu słuchać moich ludzi. Chcę, żeby wytropili i przejęli te cholerne

kamienie.

– Życzy pan sobie, żebym się zajął logistyką? Mój człowiek ma do dyspozycji prywatny samolot, który może wszystkich zawieźć do Turcji.

– To więcej, niż się spodziewałem. Dziękuję, Michael.

– Załatwione – rzekł ulegle Owen tonem zupełnie obojętnym. – I żeby nie miał pan wątpliwości co do chęci współpracy z mojej strony, sir, pozwoli pan, że podzielę się ostatnimi wieściami.

Roger Castle przełożył słuchawkę do drugiego ucha.

– Mianowicie?

– Nie są dobre.

– Ostatnio mamy deficyt dobrych wieści – zauważył prezydent z ubolewaniem.

– Otóż nasze urządzenia właśnie wykryły potężny wybuch powyżej równika Słońca. Nie wiemy jeszcze, czy ma związek z „emisjami X”, które przechwyciliśmy na Ziemi, ale jeśli się potwierdzi, że fala uderzeniowa kieruje się w naszą stronę, będzie tak, jakby ktoś nam odpalił ładunek impulsowy pod samym nosem.

– Ładunek?

Castle wspomniał, co powiedział dowódca okrętu podwodnego, kiedy rozmawiali. O globalnym zamachu. Czego Owen bardzo się obawiał.

– Owszem, sir. Dlaczego pan sądzi, że Eliaz chce mieć te kamienie pod kontrolą? Taki kamień to nie tylko nadnaturalny nadajnik. Źle użyty może wywołać katastrofę.

## ROZDZIAŁ 89

– Aniołowie!... też coś! Chyba nie uwierzyłaś w te brednie?

Ellen wyładowała całe napięcie, ledwie Daniel polecił, żeby nas zaprowadzono do pomieszczenia bez okien, w którym miałyśmy spędzić noc. Oczy miała mocno zaczerwienione i wyglądała na bardzo zmęczoną.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, co o tym myśleć... – szepnęłam, badając posłania w fatalnym stanie. Dwie zardzewiałe od wilgoci żelazne prycze z obszarpanymi siennikami.

– Jak to nie wiesz, co myśleć? – krzyknęła. – Nie rozumiesz? Aniołowie nie istnieją! Ci ludzie natrafili na potężne źródło energii i próbują to zataić, wygłaszając jakieś wyświechtane mitologiczne brednie. Jeśli im okazesz choćby cień zaufania, będą cię oszukiwali bez końca. Co gorsza: wykorzystają to i pozbawią nas tej wiedzy.

– Znaczy jakiej?

– Słyszałaś to zdanie Arthura C. Clarke’a? „Dostatecznie zaawansowana technologia nie różni się od magii”. Chyba trafnie określa sytuację, z którą mamy do czynienia.

– Ach, już rozumiem. – Otworzyłam oczy. – Stany Zjednoczone interesują się kamieniami, bo uważacie, że to część jakiejś wyższej technologii, tak?

– Jeśli ten Duchok mówił prawdę, to mój rząd od ponad stu lat

proceedzi tajny projekt w celu zbadania tej technologii. Prezydent przypadkiem się o tym dowiedział i tak samo jak ty domaga się wyjaśnień. Jesteśmy po tej samej stronie, Julio.

– Tylko że mój mąż i ja jesteśmy pionkami, które nic nie znaczą.

– Nikt tak nie twierdzi. Martin Faber jest obywatelem USA.

– No dobrze... Musimy się uspokoić. Nerwy mamy napięte jak postronki.

Ellen usiadła na pryczy.

– Tak. Słusznie.

– Jutro z rana wejdziemy na górę. Do Martina. Wtedy wszystko się wyjaśni. – Westchnęłam. – Powiedz, dla twojego kraju naprawdę tak ważne są stare kamienie o pewnych właściwościach elektromagnetycznych?

– Dużo ważniejsze, niż nam obu się wydaje.

– A macie jakiś pomysł, skąd może pochodzić ta technologia?

Ellen wyciągnęła się na sienniku i wbiła wzrok w sufit.

– Różne hipotezy chodzą mi po głowie. Że to pozostałości prahistorycznej technologii, która przepadła w trakcie jakiejś katastrofy klimatycznej. Że to spuścizna po cywilizacji z innej planety, część technologii przyszłości, która przez pomyłkę trafiła w nasze czasy...

– Ale w anioły nie wierzysz. Dziwię ci się, Ellen!

– Anioły, przepowiednie, bogowie, duchy... To wszystko słowa, które maskują naszą ignorancję. Gdybyśmy tę żarówkę – rzekła, wskazując sufit, na który patrzyła – mogli przenieść w czasy Marii Tudor, oskarżono by nas o stworzenie świecącego kamienia za pomocą czarów.

– John Dee przeszedł przez to... – szepnęłam. – Może miał słuszość.



– Słyszałaś o kulcie cargo?

Pokręciłam głową.

– To było pod koniec drugiej wojny światowej na wyspach Nowej Gwinei, na których nie stanęła stopa białego człowieka. Nasza armia przygotowywała ofensywę przeciwko Japonii. Zdecydowano, że całe zaopatrzenie znajdzie się w bazach, z których będzie można przypuścić atak... Ale nie chcę cię zamęczać starymi historiami...

– Nie, nie, mów dalej, proszę.

Ellen odetchnęła głęboko.

– No dobra. Zaczęliśmy instalować bazy na atolach południowego Pacyfiku. Wyobraź sobie, jakie to wrażenie zrobiło na tubylcach: ni stąd, ni zowąd pojawiły się tysiące ludzi z grzmiącymi kijami i żelaznymi ptakami, przybysze zajęli okoliczne lasy i zaczęli je przystosowywać do zbudowania instalacji wojskowych. Rdzenna ludność wydedukowała z tego, że jesteśmy bogami i w pełni władamy przyrodą.

– Skąd się wzięła nazwa „kult cargo”?

– Tubylcy, widząc, jak bogowie przywożą z nieba coraz to nowe kontenery z wypisanym na nich słowem „cargo”, uznali, że postanowiliśmy otworzyć bramy raj, żeby podzielić się z nimi bogactwami. W gruncie rzeczy narodziły się wtedy różne religie, których na razie nie potrafimy opisać.

– Poważnie?

– Tak. I wszystko jest skutkiem kontaktu z „zaawansowaną technologią”, która dla tych ludzi była magiczna. Widzisz, do czego zmierzam?

– Widzę tylko, że wolisz materialistyczne podejście do sprawy niż religijne.

– Pewnie. I dobrze wiem, które podejście nas stąd wydestanie. Bo

na pewno nie anielskie.

– Co masz na myśli?

– Od kilku godzin jesteśmy w Hallaçu. Nasze satelity już wyznaczyły pozycję tej świętości Johna Dee. Raczej niedługo pobędziemy same.

## ROZDZIAŁ 90

Zanim minęło popołudnie w Santiago de Compostela, prawie sześć tysięcy kilometrów od Hallaçu, inspektor Antonio Figueiras miał całkowitą pewność, że został oszukany. Amerykanin, który mu obiecał informacje na temat zabójców policjantów, rozwiął się jak kamfora. Figueiras naiwnie uwierzył, gdy Jenkins mu powiedział, że ściga szpiega, który wszczął strzelaninę w katedrze, chce bowiem zamknąć dochodzenie. A także wtedy, gdy zaopatrzony w efektowne listy uwierzytelniające, ubrany w markowe ciuchy i roztaczający wokół woń drogiej wody po goleniu Tom Jenkins przysięgał, że ani Julia Álvarez, ani on nie opuszczą Hiszpanii bez porozumienia z nim.

Przejrawszy teraz na oczy, poczuł się olany.

Z telefonu z posterunku policji na lotnisku w Lavacolli dowiedział się, że jego dwaj Amerykanie wsiedli na pokład nowiutkiego learjeta 45 – tego, którym Nicholas Allen przyleciał do Santiago – i opuścili Hiszpanię raptem godzinę po złożeniu obietnicy. Z hiszpańskiego Ministerstwa Obrony uzyskali zgodę na lot specjalny z międzylądowaniem w Stambule, pozwolenie na dalszy przelot do Karsu i tankowanie do pełna.

Kiedy Figueiras uzyskał te informacje, było już za późno. Jeśli policja na lotnisku się nie pomyliła, Jenkins i Allen od co najmniej

trzech godzin byli u celu, on zaś w tym czasie nie otrzymał nawet jednego esemesa. Zupełnie nic.

A zatem z punktu widzenia inspektora sprawy tak się przedstawiały: jego główny świadek znikł, przewinawszy się przez Noię; amerykańskie wsparcie także się rozplynęło; a wieści docierające z liczącego zaledwie piętnaście tysięcy mieszkańców miasteczka na Costa da Morte nie mogły być gorsze – potwierdzały mianowicie, że bardzo wcześnie rano w okolicach miasta wylądował śmigłowiec morderców, którzy tam również pozostawili po sobie strugi krwi.

W Noii o niczym innym nie mówiono. Ci, którzy przylecieli śmigłowcem, odegrali główną rolę w regularnej bitwie przeciwko żołnierzom amerykańskim, a jej pokłosiem były cztery trupy do zbadania przez lekarzy sądowych oraz poważne uszkodzenia zabytkowej budowli.

Nie mając kogo przesłuchać, Figueiras postanowił wrócić w miejsce, gdzie dla niego zaczął się ten koszmar. Przyszło mu na myśl, że jeśli zdoła się dogadać z dziekanem katedry, być może wpadnie na jakiś szczegół, którego będzie się mógł ucześcić, zanim Amerykanin da znak życia.

Dlatego za kwadrans dziewiąta wieczorem spotkali się przed Świętymi Drzwiami kościoła. Nie robili z tego tajemnicy – nie mieli przecież nic do ukrycia – niemniej nikt ich nie widział.

– Niech mi ksiądz opowie o tym znaku, który się pojawił w katedrze.

Figueiras zadał pytanie z nagłą, ledwie w bladym świetle ulicznych latarni dojrzał postać ojca Benigna Fornésa. Tego wieczoru deszcz nie padał, a słupki termometrów pokazywały ochłodzenie. Prawie zdjęła go litość, kiedy zobaczył na środku placu

dygoczącego z zimna przygarbionego siedemdziesięcioletniego starca, z którym chyba nigdy nie wymienił przyjaznego słowa. W każdym razie nie przypominał sobie tego. A litość faktycznie prawie go zdjęła. Bo zanim zdążył wyjąć ręce z kieszeni płaszcza, zasypał starca pytaniami, które się w nim nagromadziły w ostatnich godzinach.

– Dalej ksiądz wierzy, że to rodzaj sygnału końca świata? Jak by go ksiądz nazwał dzisiaj? Znakiem aniołów apokalipsy?

Benigno Fornés przełknął ślinę. Zmarszczył się, patrząc nieufnie na policjanta, po czym westchnął zrezygnowany, aż para poszła mu z ust, i niechętnie podał mu rękę.

– Późno pan przychodzi – burknął. Wyglądał na zmęczonego i prawdę powiedziawszy, nie był w nastroju do toczenia dysput angelologicznych z komunistą. – Pan w nic nie wierzy, inspektorze. Pan jest ateistą. Człowiekiem, dla którego nie ma nadziei. Czemu miałbym strześć język, tłumacząc rzeczy, które wiążą się z wiarą?

– Nie rozmawiam z księdzem z pobudek religijnych. – Figueiras uśmiechnął się cynicznie. – Próbuję tylko ustalić, dlaczego po wczorajszej strzelaninie i po tym, jak na murze katedry pojawiło się to malowidło, Julia Álvarez została uprowadzona.

Wzrok duchownego pomroczył.

– Uprowadzona? Julia?

– Owszem.

– Nie... nie wiedziałem – wyjąkał duchowny. – Myślałem, że nie przyszła dzisiaj do pracy, bo panowie ciągle ją przesłuchują.

Figueiras nie pociągnął tego wątku. Dochodzenie objęte było tajemnicą, postanowił zatem przejść do sedna:

– Pamięta ksiądz śmigłowiec, który widzieliśmy nad ranem?

– Jakżebym miał zapomnieć!

– Uważamy, że należy do ugrupowania terrorystycznego.

Dziekan katedry popatrzył na niego stropiony. ETA, baskijska organizacja terrorystyczna, podkładała w przeszłości bomby w Santiago, lecz z tego co wiedział, jej bojownicy nigdy nie dysponowali maszynami tej klasy.

– Chodzi o fanatyków działających w różnych krajach – uściślił Figueiras, uzmysłowivszy sobie, że wyraził się dwuznacznie. – Uprawdzili ją do Turcji. Prawdopodobnie to ci sami, co porwali jej męża.

– Ach!... To Martina też porwali?

W słowach księdza zabrzmiało szczere strapienie.

– Tak. Domyśla się ksiądz, dlaczego porwano panią Álvarez?

Fornés, Galisyjczyk czystej krwi, chwilę przeżuwał pytanie. Nie zapominał, że mimo wszystko rozmówca mógłby mu narobić kłopotów, gdyby powiedział coś niewłaściwego.

– A pan? – odparł w końcu. – Pan ma jakieś domysły? Sądzi pan, że porwanie ma coś wspólnego z tym znakiem?

– Albo z jej pracą przy portyku. Nie wiem. Może ksiądz zauważył coś podejrzanego w ostatnich dniach? Dziwne zachowanie pani Faber przy pracy... cokolwiek... Bystrość księdza mogłaby bardzo pomóc. – Uśmiechnął się. – Przynajmniej jej.

Ruszyli wolno ku katedrze, aby schronić się w środku przed chłodem. Dotarli do drzwi służbowych, które Fornés wprawnie otworzył wielkim żelaznym kluczem, i weszli w korytarz.

Kamienna posadzka dudniła pod ich stopami. Starzec szedł drobnym kroczeniem, otwierając jedne po drugich drzwi ozdobione wizerunkiem apostoła Jakuba.

– Co może mi pan powiedzieć o porywaczach Julii, inspektorze? Wie pan, że bardzo cenię tę dziewczynę...

– Szczerze mówiąc, niewiele wiem. Tyle, że szuka ich pół świata.  
– Poważnie?  
– Stany Zjednoczone wszczęły dochodzenie.  
– Logiczne... – zauważył Fornés, otwierając ostatnie drzwi ze wspaniałym przedstawieniem świętego Jakuba Pogromcy Maurów siekącego oburącz mieczem wroga w bitwie pod Clavijo. – Martin jest Amerykaninem. – Namacał włącznik światła w pomieszczeniu i ciężko opadł na krzesło przy wielkim dębowym stole. – I to wszystko? Nic więcej pan nie wie o tych ludziach?

Figueiras po raz pierwszy poczuł onieśmienie. Starzec tak ułożył ręce na stole, jakby miał nadzieję, że inspektor coś w nie włoży.

– Właściwie coś tam wiem – przyznał. – Zdaje się, że przepadli z powodu kamieni. Nie szlachtetnych, ale wygląda na to, że wartościowych. I prócz tego jakoś powiązanych z jeszcze innym symbolem.

– Z innym symbolem? – powtórzył Fornés.

– Yhm... A ponieważ ksiądz jest specem w tej dziedzinie – ciągnął inspektor – może by ksiądz zerknął na niego i podsunął jakiś trop?

– Mogę go zobaczyć?

– Jasne.

Figueiras zaczął grzebać po kieszeniach, szukając czegoś. Wyjął po chwili notes, który otworzył na szkicu zrobionym u Marcela Muñiza, i podsunął go Fornésowi: rogaty bohomas stojący na odwróconej trójce.

– Wie ksiądz, co to może znaczyć?

Duchowny wziął do ręki notes i uważnie się przyglądał rysunkowi.

– Hm... Wygląda na znak nagrobny – mruknął, nie odrywając

oczu od szkicu.

– Znak nagrobny, jasne... – powtórzył inspektor z wyczuwalnym zawodem w głosie.

Fornés nie zwrócił na to uwagi.

– Znaki nagrobne to starodawne sygnatury niewiadomego pochodzenia, inspektorze – ciągnął. – Na pewno robiono je już w czasach prahistorycznych, w czasach między czwartym a dziesiątym tysiącleciem przed naszą erą. W Galicji jest ich pełno. Chyba najwięcej w Europie. Jeśli są wyryte gdzieś na skale, nazywa się je petroglifami. Znajdowane natomiast na murach kościołów uważane są za znak kamieniarza, jak ten tutaj. Najśłynniejsze są w Noii. Zna je pan?

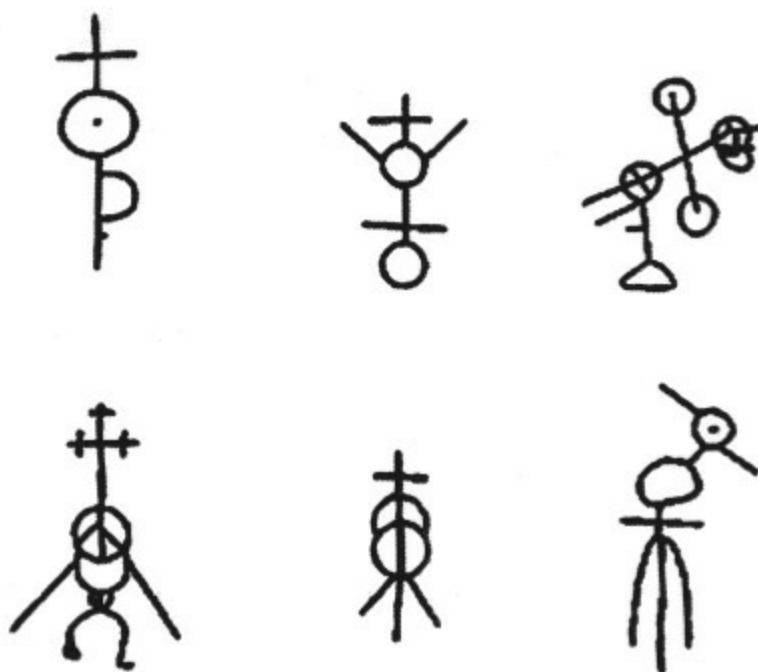
– W Noii? – Figueiras drgnął, co nie uszło uwagi Fornésa.

– Tam jest największa na świecie kolekcja średniowiecznych nagrobków. Na wielu są znaki takie jak ten. Proszę podejść, coś panu pokażę.

Dziekan nachylił się do biblioteczki zamkniętej dwojgiem drewnianych rzeźbionych drzwiczek. Z pęku kluczy, który miał u pasa, wybrał właściwy i otworzył szafkę. Po chwili na stole położył potężne tomisko wypełnione starymi ilustracjami.

– Nikt nie wie na pewno, czy to są litery, ideogramy czy uproszczone wyobrażenia czegoś, ale znaczący jest fakt, że ten rodzaj znaków nigdy się nie pojawiał na budynkach świeckich – mówił, wertując księgę. – To dowodzi, że mamy do czynienia ze swoistymi ikonami religijnymi. Chociaż kolekcja kościoła w Noii przerasta wszystko, może mi pan wierzyć. Proszę spojrzeć.





Na kartach otwartej księgi widniały osobliwe rysunki. Wyglądały jak schematyczne ludziki przedstawione za pomocą krzyżyków i kółek. Podobnie jak u Johna Dee. Inspektor oglądał je uważnie. Miał pewność, że coś znaczą, aczkolwiek nie potrafiłby powiedzieć co.

– Wiadomo, do czego się odnosiły? – mruknął pod nosem w zamyśleniu, przerzucając kolejne karty księgi wypełnione podobnymi obrazkami.

– Nie. Nikt przekonująco nie wyjaśnił ich znaczenia. Każdy historyk ma własną teorię. Ja oczywiście też.

– Naprawdę? Może mi ją ksiądz przybliżyć?

– Znaki złożone, jak te tutaj, z powtarzającym się motywem okręgu z kropką w centrum, mają związek z rodami. Mogły być czymś w rodzaju prymitywnych herbów. Jakby żelaza do piętnowania bydła, tyle że pochodzącego z czasów

prahistorycznych.

– Dość mgliste to wytłumaczenie.

– Ma pan słuszość, ale też niewiele tu jest do tłumaczenia.

– A ten, który księdzu pokazałem?... – Figueiras się zawahał. –

Wie może ksiądz, do jakiego rodu mógł należeć? Z jakiej epoki pochodzi? – Popatrzył niespokojnie na duchownego, który zamknął księgę.

– Chyba wiem, do czego zmierzają pańskie pytania, inspektorze. Obawiam się jednak, że to ślepy zaułek.

– Ale rozpoznaje go ksiądz czy nie? – nalegał.

– Znak, który pana interesuje, jest przeróbką najstarszego zachowanego znaku w Noii. Absolutna rzadkość. I dlatego tak mało o nim wiemy. Powiem panu coś, może się przyda: w Noii wierzą, że symbolizuje patriarchę Noego.

– Noego?

Wokół badawczo patrzących oczu dziekana skóra znowu się mocniej zmarszczyła.

– A wie pan co? Jak tak teraz myślę, może tutaj ma pan powód wprowadzenia państwa Faberów do Turcji.

– Powód? Jaki powód?

Duchowny westchnął, wznosząc oczy do nieba. Ten człowiek naprawdę nie grzeszy rozumem.

– Nie uczą w szkole, że arka Noego wylądowała na najwyższym szczycie w Turcji? Nigdy pan nie słyszał o górze Ararat?

– Nigdy nie lubiłem katechezy, proszę księdza.

## ROZDZIAŁ 91

Zapowiedzi Daniela Knighta wkrótce się spełniły.

Obudził nas tuż przed świtem. Bardzo grzecznie poprosił, żebyśmy włożyły stroje do wspinaczki, które dla nas przygotował, i za pół godziny przyszedł na śniadanie. Obydwie z Ellen posłuchałyśmy bez słowa. Jeszcze zaspane po nocnych pogaduchach o kulcie cargo i naturze aniołów, wciągnęłyśmy grube termiczne kombinezony jednoczęściowe – z włóknem ołowianym, jak stało na etykiecie – obcisłe wełniane skarpety i ciężkie buty trekkingowe, po czym pomaszerowałyśmy za nim.

Trochę już żywsze posiliłyśmy się jogurtem, serem, miodem i suszonymi owocami i zaraz paru mężczyzn, których widziałyśmy pierwszy raz na oczy, poprowadziło nas jeszcze po ciemku do śmigłowca. Wszyscy byli szorstkimi facetami o pobrużdżonych twarzach ubranymi w znoszone galabije, na głowach mieli turbany przetykane złotą nitką. Szli z kałasznikowami opartymi na ramieniu i jak się domyślałyśmy, nie znali słowa po angielsku.

– Szybciej! – ponaglił nas Artemi Duchok od drzwi śmigłowca. – Zaraz się zrobi jasno!

Popatrzyłam na niego niechętnie. Ciągle jeszcze nie mogłam się pogodzić z tym, że mistrz Martina wyciął mi taki oszukańczy numer, aby mnie tu przywieźć.

Ormianin wyglądał na uszczęśliwionego. Najwyraźniej w jego świecie wszystko było w najlepszym porządku: miał adamant, stolik wezwań i... mnie. Byłam zdana na jego łaskę setki kilometrów od miejsca, gdzie mogłabym prosić o pomoc.

Lot trwał krótko.

Zaledwie jakieś trzydzieści kilometrów od krateru koło Hallaçu znajdował się ostatni przed szczytem Wielkiego Araratu obóz dla wspinaczy. Położony był na wysokości czterech tysięcy dwustu metrów, ukryty pod warstwą śniegu, spod którego wystawały jedynie ostre czubki setek bazaltowych skał. Duchok, dużo swobodniejszy niż poprzedniego popołudnia, zwrócił nam uwagę, że dzięki śmigłowcowi oszczędziliśmy sobie dwa dni trudnej wspinaczki – w rakach powyżej dwóch tysięcy metrów, na porywistym wietrze, w deszczu i tumanach drobnego śniegu wzbijanych o tej porze roku w trakcie mozolnego marszu.

– Stąd droga do arki nie jest zbyt trudna – zapewnił, aby nas uspokoić. Ale to mu się nie udało.

Obóz położony na niemal płaskim zboczu Araratu był istną samotnią. W pierwszych promieniach dnia wyłoniły się zarysy sześciu niedużych kopulastych namiotów pokrytych zmarzniętym śniegiem i coś większego, w kształcie indiańskiego tipi, co pewnie służyło jako magazyn wody i żywności. W powietrzu mielonym przez wirniki wszystko kołysało się przed oczami.

– Wiecie, że wielu Kurdów dotąd wierzy, że na tę górę nie da się wejść? – rozległ się w słuchawkach cichy głos Daniela, który się uśmiechał. I wyraźnie miał ochotę mówić.

– Wcale się nie dziwię – rzekłam z niesmakiem.

Na Danielu nie zrobiło to wrażenia.

– Wierzą, że Araratu dotknął palcem Bóg i nikt nie może

profanować świętego skarbu, który skrywa ten szczyt – dodał, częstując nas tabletkami Diamoxu przeciw chorobie wysokościowej. – Tutaj trzeba brać te rzeczy pod uwagę i nie urazić góry, wiecie? My przylecieliśmy od strony południowej, najprzyjaźniejszej. Północne zbocze jest ścianą nie do zdobycia. Nazywają je wąwóz Ahora albo Arghuri, co znaczy „winnica”, chociaż nic tam nie rośnie od tysięcy lat. Wyobraźcie sobie, że ta część Araratu jest bardziej stroma niż Wielki Kanion Kolorado. Ta góra kiedyś była wulkanem...

Coś mnie lekko zaniepokoiło, tak że odwróciłam głowę od okna. Widok tumanów śnieżnego pyłu wzbijanych ruchem wirników przyciągał uwagę, ale też wzbudził we mnie strach. Podniosłam wzrok ku nagiemu szczytowi, nad którym zaczynały się pojawiać pierwsze poranne burzowe chmury.

– Jest aktywny?

– Och, nie... – Daniel pokręcił głową. – Od wieków nie daje oznak życia. Już kiedy Noe tu wylądował, na pewno był nieczynny.

– Coraz lepiej... – sarknęła Ellen.

– Przy tak łagodnym podnóżu – ciągnął Daniel modulowanym głosem – byle erupcja zniszczyłaby szczątki arki. To by było potworne.

– W tysiąc osiemset czterdziestym o mało nie doszło do tego przy okazji trzęsienia ziemi – wtrącił Duchok z kabiny.

– Tu było trzęsienie ziemi? Więc to jest strefa sejsmiczna?

– Tak. Siła tamtego wstrząsu była porównywalna z erupcją Mount St. Helens. Trzęsienie zmiotło kilkanaście okolicznych miejscowości, zabiło dwa tysiące osób i zrównało z ziemią klasztor Świętego Jakuba, w którym przechowywano najważniejsze relikwie z arki Noego. Możecie wierzyć albo nie, ale do tamtego czasu

sporadycznie pielgrzymowano do arki Noego. Zachowało się wiele zapisków wiernych, którzy ją oglądali i modlili się przy niej.

– Naprawdę?

– Ależ tak – zapewnił Daniel. – Wszyscy tu znają te opowieści albo słyszeli o świętych kamieniach, które Noe zabrał na pokład. Kogokolwiek zapytasz, każdy ci opowie o wysoko postawionych osobach, które organizowały wyprawy, żeby zdobyć te skarby po katastrofie. Napoleon Trzeci, Mikołaj Drugi, wicehrabia James Bryce, CIA... Można by wymieniać w nieskończoność. Ale nikt ci nie powie, że liczne adamanty, które się rozpieczęły po świecie, między innymi urim i tummim Salomona, zabrano stąd bez pozwolenia naszych.

– Z arki?

– Z arki, Julio.

Nie mogłam się pozbyć natrętnej myśli, że i Duchok, i Daniel nie wątpią, iż na tych szczytach pokrytych wiecznym śniegiem od tysiącleci spoczywa arka Noego. Ogromna łódź, która według Pisma Świętego mierzyła trzysta łokci długości i pięćdziesiąt szerokości, miała kubaturę około czterdziestu dwóch metrów sześciennych i została zbudowana według planów sprzecznych z elementarnymi zasadami konstrukcji statków. Wyglądała pewnie jak ogromna skrzynia. I chociaż bardzo się starałam, nie potrafiłam sobie wyobrazić czegoś wielkości Titanica osiadłego na wysokości pięciu kilometrów nad poziomem morza.

O ile dotąd trudno mi było uwierzyć w tę historię – z Noem, Utnapisztiem czy Atra-hasisem w roli głównej – o tyle teraz wątpliwości dosłownie mnie opadły. Jak wiele ludzi na Zachodzie, ja także w szkolnych latach kolorowałam rysunki arki Noego i snułam marzenia, ilekroć w prasie pojawiała się informacja, że ją

odnaleziono. W latach osiemdziesiątych, jeszcze jako dziecko, pilnie śledziłam wyprawy Jima Irwina na Ararat. Zakonnice w mojej szkole opowiadały o jego postępkach, pamiętam nawet, że kazały nam się modlić za powodzenie dzielnego astronauty, który przeobraził się w archeologa. Irwin był jednym z dwunastu Amerykanów, którzy postawili nogę na Księżycu w ramach programu Apollo, i skoro mówił, że arka istniała naprawdę, byle smarkula nie miała prawa podawać tego w wątpliwość. Moje poczucie krytycyzmu zostało wtedy uśpione i przebudziło się dopiero w dniu, kiedy usłyszałam w radiu, że w jego poszukiwaniach więcej jest mistycyzmu niż nauki. Irwin utrzymywał, że dla niego równie ważne jak widok człowieka spacerującego po Księżycu jest udowodnienie, iż przed tysiącami lat Bóg robił to samo na Ziemi.

Ostatecznie Irwin poniósł porażkę. Nie znalazł arki. Jego przegrana powiodła mnie do sceptycyzmu.

Ogłaszane w następnych latach w telewizji odkrycia, którym towarzyszyły krzyjące tytuły i górnolotne deklaracje, kończyły się zawsze oskarżeniami o oszustwo lub okazywały się mocno podejrzane. Jeżeli arka faktycznie nadal tkwiła na szczycie Araratu, nikomu dotąd nie udało się jej zobaczyć.

A może jednak?...

Coś mi mówiło, że wkrótce wyzbędę się wątpliwości.

O wpół do dziesiątej rano Daniel i Artemi Duchok uznali, że pora ruszać ku arce.

Chyba od początku czułam, że sama góra nie będzie największym problemem w trakcie wspinaczki. Prawdziwym wrogiem okazała się mgła, zmrożony skrzący się śnieg pod nogami, a przede wszystkim ewidentny brak aklimatyzacji. Każdy doświadczony

wspinacz wie, że niezbędny jest okres adaptacyjny na odpowiedniej wysokości, aby płuca przywykły do mniejszej ilości tlenu w powietrzu i do niższego ciśnienia atmosferycznego. Nam tego czasu nie dano, co zaraz sobie w pełni uzmysłowiłam, kiedy poczułam, że napięła się lina, którą miałam przypiętą do pasa w charakterze elementarnego zabezpieczenia.

Duchok prowadził naszą grupkę w tempie, którego moje serce nie wytrzymało.

Ormianin szedł naprzód w obranym kierunku, dzierżąc w ręce długi kij, którym badał głębokość śniegu przed sobą. Biła od niego pewność, jaką może mieć ktoś znający dobrze drogę, ponieważ już ją kiedyś pokonywał. Patrząc na tego człowieka, który wspinał się w milczeniu ze wzrokiem utkwionym w zjawiskowo biały horyzont, po raz kolejny pomyślałam, jaka byłam głupia. Facet przywłókł mnie aż tutaj, wmówiwszy mi, że razem odkryliśmy drogę, która nas zawiedzie do mojego męża. Ależ ze mnie ciężka kretynka! W dodatku dziwny strach ścisnął mnie za serce teraz, gdy wiedziałam, że Martin jest zdolny do wszystkiego, nawet do narażenia mojego życia, byle zaspokoić te swoje dziwaczne obsesje.

Martin...

Jak zareaguję, kiedy go zobaczę? Zdobędzie się w końcu na odwagę i wyjaśni mi wszystko do końca? Czego się jeszcze dowiem?

Za Ormianinem szła ciężko dysząca Ellen. Od jakiegoś czasu skarżyła się na silny ból głowy, nikt jednak się nią nie przejmował. Dalej podążał Wasfi, potem ja i zaraz za mną Daniel i Haci zamykali pochód, ciągnąc aluminiowe sanie załadowane sprzętem i zapasami żywności. Kroczyliśmy powoli, stawiając nogi w ślady zrobione w śniegu przez Duchoka. Mimo przeżyć z poprzedniej nocy i moich rosnących obaw humory nawet nam dopisywały. Za mną na



przykład zasapany z wysiłku Daniel nie przestawał gadać. Był rozradowany jak dziecko.

– Etymologia toponimów w tej okolicy potwierdza... że właśnie na tej, a nie na innej górze wylądował Noe – mówił, łapczywie chwyając rozrzedzone na tej wysokości powietrze. – Na północnym zboczu... kawałek od tej wielkiej przepaści... jest wioska, która się nazywa Maszer... co znaczy „Dzień Sądu Ostatecznego”. – Zachłysnął się haustem zimnego powietrza. – Stolica Armenii... to Erywań... Podobno to było pierwsze... słowo, które wypowiedział Noe... jak wysiadł z arki... na stały ląd... „Erewac!” Tu jest!... I zaraz niedaleko leży... wioska Szarnah... czyli „wioska Noego”. Albo Tebriz... czyli Łódź... Wszystko tu jest takie... w promieniu stu... kilometrów...

Bardziej się skupiałam na tym, gdzie stawiam nogę, niż na słuchaniu strumienia nieprzydatnych informacji.

Wlekliśmy się zziązani w coraz bardziej ślimaczym tempie, starając się unikać nawianych zasp i stromizn, ale też zachowując ostrożność, którą nam narzucili Ellen Watson i Daniel Knight, okazali się bowiem większymi niezdarami, niżbyśmy się spodziewali. Toteż gdy w końcu pod koniec trzeciej godziny stanęliśmy przed potężną skalną ścianą, poczułam głęboką ulgę. Ściana była imponująca. Przecinały ją niemal pionowe szczeliny gdzieniegdzie skrzyżowane z poziomymi na kształt skrzydeł wiatraka. Wiatr lizał je zachłannie, sprawiając, że szeptały. Niskie chmury nie pozwalały zobaczyć, gdzie ściana się kończy, tak że czuliśmy się jak mrówka u stóp wieżowca. Zrozumieliśmy, że to kraniec jakby skamieniałej fali, Duchok zaś wytłumaczył nam zaraz, że tutaj dobiega gigantyczny lodowiec.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił.

– Na... naprawdę? – wysapała Ellen.

Duchok wbił drąg w śnieg i zerknął na GPS, który miał ze sobą.

– Tak – odparł zwięźle.

Ich głosy zadudniły na tym pustkowiu.

– Tak? – Zamknięty ścianą horyzont działał na mnie przygnębiająco. Zniecierpliwiałam się. – Gdzie jest?

– Zaraz ją pani zobaczy.

– Nie arka – zaprotestowałam. – Martin.

Duchok nie odpowiedział. Przygłodził oszronione wąsy, jakby próbował im nadać wcześniejszy kształt, po czym wziął latarkę i skierował się ku skalnej ścianie stojącej przed nami.

– Dokąd to? – zawołała Ellen stojąca za mną.

– Po odpowiedź na pytania pań – raczył wreszcie odpowiedzieć, po czym rozwiął się jak mgła.

Nawet przez myśl mi wtedy nie przeszło, że czyjeś oczy obserwują każdy nasz ruch przez wojskową lornetkę na podczerwień.

## ROZDZIAŁ 92

– To wejście do lodowej pieczary... nie ma wątpliwości.

Werdykt pułkownika Allena, który nie odrywał lornetki od oczu, wcale nie uspokoił Toma Jenkinsa. Nick twarz miał przemarzniętą i czuł się nadzwyczaj niewygodnie w kombinezonie termicznym. Chociaż ekwipunek wypożyczony w Dogubeyazicie był z górnej półki – ocieplacze z polaru North Face, okulary z filtrem UV, rękawice Marmot – forsowny marsz na szczyt wyczerpał go do cna, tak że miał teraz niemiłe wrażenie, iż ciało odmawia mu posłuszeństwa. W załamaniu duży udział miała świadomość braku sygnału dla telefonów komórkowych – wyglądało na to, że w najbliższym sąsiedztwie Araratu nie działa żadne urządzenie elektroniczne – toteż Allen pogodził się z tym, że na łączność raczej nie będzie mógł liczyć. Bardziej jednak martwiło go, że władze skonfiskowały im broń i narzuciły dwóch przewodników, aby mieli na nich oko. „Proszę zrozumieć – tłumaczono na ostatnim posterunku kontroli tureckiej policji – Ararat nadal jest rejonem wrażliwym. Cały ten obszar to strefa zmilitaryzowana. Jeśli coś pójdzie nie tak w czasie wspinaczki, ani się obejrzycie, jak nasi żołnierze przyjdą wam z pomocą”.

– Zatrzymali się przed pieczarą? – spytał szeptem Tom, który nie miał pojęcia o tego typu działaniach.

– Sądząc po zachowaniu, szykują się do wejścia... – odparł Nick.

– Ilu widzisz ludzi?

– Pięciu. Może sześciu. Niektórzy mają broń. Widzę jeden... dwa automaty. Mam nadzieję, że nie zaczną strzelać. Wywołałoby lawinę...

– Rozpoznajesz kogoś?

Leżący na śniegu Nick przywarł do podłoża, maksymalnie stabilizując szkła. Identyfikacji nie ułatwiała niedostateczna ilość ciepła wydzielanego przez poszczególne osoby.

– Nie. Ale idę o zakład, że do pieczary właśnie weszła Julia Álvarez. To oni, na pewno. Tylko wariat przyszedłby tu w listopadzie. – I po chwili dodał: – Zwróciłeś uwagę, jaki kształt ma ta część szczytu? Wygląda, jakby tam stała jakaś budowla...

– Co masz na myśli?

– Że to może być arka. Na tajnych zdjęciach, które mamy w Eliaszu, widać coś podobnego. Geometryczną wypukłość zasłoniętą masami lodu, który puszcza tylko latem, i to bardzo gorącym... Logiczne – dorzucił – że aby się dostać do tej konstrukcji, trzeba wejść do wnętrza lodowca.

– Arka Noego? Sądysz, że idą do arki Noego?

– Tylko się domyślam. – Wzruszył ramionami i podał Tomowi lornetkę. – Czego innego by tu szukali?

Jenkins przyłożył szkła do oczu, nastawił na maksymalną ostrość.

– Widocznie ta łódź to megaatrakcja, bo już weszli wszyscy.

– I bardzo dobrze. Pora zająć pozycje. Idziesz?

## ROZDZIAŁ 93

Ze ściśniętym serce podeszłam do szczeliny, z której wydobywały się gęste obłoczki. Musiało dochodzić południe, ponieważ mój żołądek domagał się na gwałt jedzenia.

Dopiero kiedy znalazłam się o kilka centymetrów od szczeliny, zrozumiałam, w czym rzecz. Otóż szpara była wystarczająco szeroka, żeby zmieścić się w niej nawet dobrze zbudowany człowiek, toteż biorąc przykład z Duchoka, wsunęłam się w nią, starając się nie dotknąć zwisających sopli lodu i mocno wbijając raki w zmarznięte podłoże, aby się nie pośliznąć.

Przede wszystkim zdziwiło mnie, że w tak ciasnym przejściu jest jasno. Zaraz zrozumiałam dlaczego. Szczelina, która wiodła w głąb lodowca, topiła się i lód był tak cienki, że rozpraszał światło słoneczne jak dyfuzor lampy błyskowej. Chociaż jednak było jasno, zachowywałam czujność, pamiętając, że jestem w miejscu niebezpiecznym. Te ściany wyglądały na kruche. Co nie wróżyło dobrze. Nie był to solidny lód, jakiego należałoby się spodziewać we wnętrzu lodowca liczącego tysiące lat. Przyspieszyłam kroku. Kierując się dźwiękami dochodzącymi z głębin góry, dotarłam do ujścia szczeliny.

Tam zobaczyłam czekające trzy osoby. Pierwszą był Artemi Duchok, który zrzucił plecak i wyciągał do mnie ręce, żeby pomóc

mi wspiąć się na wysoki stopień u wylotu szczeliny. Pozostałych dwóch natomiast nie udało mi się rozpoznać.

– Witaj, kochanie – odezwała się osoba stojąca bliżej. Trzymała latarkę, przez co musiałam zmrużyć oczy. – Tak długo cię nie widziałam!

Serce mi skoczyło w piersi. Choć nie od razu powiązałam głos z twarzą, wszędzie bym rozpoznała ten akcent. Czemu od razu nie przyszło mi do głowy, że skoro Daniel Knight pojawił się w Hallaçu, to i Sheila Graham musi być w pobliżu?

– Sheila!

– No pewnie, skarbie. Któżby inny? – zaśmiała się, opuszczając latarkę.

Stara „strażniczka Graala” prezentowała się olśniewająco. Nieważne, że półdługie włosy miała schowane pod grubą wełnianą czapką. Dowodem jej nieustającej kokieterii były usta perfekcyjnie pociągnięte czerwoną szminką i świeżo umalowane rzęsy. Chłód jakby jeszcze wzmagił jej urodę.

– Przypuszczam, kochanie – powiedziała, gdy ucałowała mnie na powitanie w policzki – że nie znasz Williama, prawda?

Trzecia osoba zrobiła krok w moim kierunku. Człowiek ten podpierał się na lasce – zachwiał się, prostując uprzejmie przede mną. Twarz miał bladą jak śnieg, gładko wygoloną, mocno wystające kości policzkowe. Nie. W życiu go nie widziałam. Mimo to kiedy spojrzeliśmy sobie w oczy, przywitał mnie, jakby mój widok niósł ze sobą dobre wspomnienia.

– Jesteś cudowna, Julio – wyszeptał.

Obecność w takim miejscu starca liczącego około osiemdziesiątki zrobiła na mnie wrażenie. Chociaż Ararat nie wyglądał na górę interesującą dla doświadczonych alpinistów, niezbyt się także

nadawał na spacerzy dla ludzi w tym wieku. Mimo to nie wydawało się, żeby ten mężczyzna czuł się tutaj nie na miejscu. Wręcz przeciwnie. Ubrany był w kombinezon termiczny jak reszta ekipy, na szyi zawiązał rzucający się w oczy jasnozielony szalik, który podkreślał jego arystokratyczny wygląd. Wyrażał się płynnie, jakby nie odczuwał skutków mniejszej ilości tlenu w powietrzu na tej wysokości, poruszał się z wdziękiem.

– Mogę teraz potwierdzić, że wszystko, co o tobie słyszałem, to prawda – rzekł ze zdziwieniem, nie odrywając ode mnie wzroku. – Prawda w stu procentach.

– To William Faber, kochanie – wyjaśniła Sheila, zauważywszy moje zakłopotanie. – Twój teść.

Bill Faber? – Potrzebowałam sekundy, żeby to do mnie dotarło. – Człowiek, który nie chciał przyjechać na mój ślub?

Przez głowę zaczęły mi przepływać strumienie mało zachęcających wspomnień, skutecznie podnosząc ciśnienie krwi.

Ojciec, który nigdy nie dzwonił do syna, nigdy się nie dowiadywał, co u niego słyhać?... Człowiek, który wyjechał do Stanów pracować, powierzony Sheili i Danielowi poszukiwanie kamieni Johna Dee?... Co on tu robi?

Stary William stuknął kilka razy laską w ziemię. Podeszedł i uścisnął mnie oburącz z taką siłą i serdecznością, aż się zdumiałam. Wyglądał naprawdę imponująco. Mimo wszelkich uprzedzeń musiałam przyznać, że bije od niego specyficzna aura. Swego rodzaju majestat, jak u średniowiecznych pantokratorów, którzy sądzili świat z kamiennych tympanonów, zajmujący miejsce z dala od dobra i zła. Przypuszczam, że na to wrażenie wpływał wzrost Billa przewyższającego mnie o głowę, ponadto chociaż mój teść był przygarbiony i z piętnem czasu odcisniętym na twarzy,

skórę miał gładką, bez zmarszczek. Był atrakcyjnym mężczyzną. Pociągającym.

– Czyli jest pan z tych aniołów... – mruknęłam.

William Faber się zaśmiał.

– Chcę ci coś pokazać, moja droga. Wiele lat czekałem na tę chwilę...

Utykający, lecz w doskonałym humorze starzec poprowadził mnie w głąb lodowca. Z dala od ujścia lodowego korytarza była tam wklęsłość o wysokich na dziesięć metrów ścianach, które zwężały się ku górze, tworząc okrągły otwór – widać przez niego było niebo, dochodził mnie też dziwnie znajomy szum. Jednej ze ścian nie pokrywał lód. Wyglądała raczej na występ skalny o geometrycznym kształcie, idealnie równym, ciemnej barwy. Na wprost niej stało kilka składanych metalowych stolików z różnego rodzaju sprzętem elektronicznym.

Laboratorium?... Pięć tysięcy metrów nad poziomem morza?...

Przełknęłam ślinę.

W tej jakby pieczarze panowała temperatura ciut wyższa niż w korytarzach. Widziałam rozmaite komputery – stąd znajomy przyjazny szum – barometr cyfrowy, termograf, czujnik sejsmiczny, czujnik grawitacyjny, zewnętrzny magazyn danych, urządzenie do komunikacji satelitarnej podłączone do anteny o wyglądzie rurki i przede wszystkim stół mikserski podpięty do zestawu ustawionych pod ścianą wzmacniaczy, których użyteczności tutaj nie potrafiłam sobie wyobrazić. Dwie kolumny z PCW i stali tłoczyły gorące powietrze dzięki energii dostarczanej przez generator wielkości lodówki.

Ze strachem popatrzyłam na Billa Fabera.

– Nad tym właśnie pracował Martin, odkąd przyjechał do Turcji



– wyjaśnił.

– Nad tym? A co to właściwie jest?

– Ta ściana – odparł, stukając w nią laską – jest częścią pokładu słynnej łodzi Noego. Cztery tysiące lat czekała na nas zamrożona w lodzie w temperaturze minus czterdziestu stopni. – Umilkł, by ta informacja w pełni do mnie dotarła. Po chwili podjął: – To cud, że zachowała się w tak doskonałym stanie. Wieczny śnieg spetryfikował ją, przekształcił celulozę w to, co tu widzimy: w drewno twarde jak skała. A raczej w skałę, która trochę przypomina drewno.

– Arka... – wykrztusiłam. Chociaż miałam ją przed oczami, wciąż nie dowierzałam.

– Wnętrze jest niedostępne, moja droga – przestrzegł. – Można by podłożyć ładunek wybuchowy, ale byłoby to czyste samobójstwo. Posypałyby się na nas tony lodu i skał, zanim zdążylibyśmy pomyśleć o ucieczce.

Próbowałam sobie wyobrazić wymiary pokładu. W gruncie rzeczy widziałam tylko jego wycinek szerokości sześciu, siedmiu metrów, po obu stronach ginący w zwałach ziemi.

– Dziesiątki lat próbowaliśmy ją zlokalizować – mówił dalej Bill Faber. – Ostatni byli tu Rosjanie. Odkryli ją latem tysiąc dziewięćset siedemnastego roku tylko dlatego, że z powodu wysokich temperatur stopniała część lodowca, na którym jesteśmy. Wtedy też carscy żołnierze dokonali odkrycia, które bardziej nas interesuje. Bo okazało się nadzwyczaj istotne dla naszej sprawy: znaleźli inskrypcję.

Poczułam, że twarz mi stężała.

– Co to za inskrypcja?

Starzec machnął laską i przesunął się w prawo. Najwyżej o pięć

kroków. O tyle, aby się znaleźć przy najbardziej zniszczonej części łodzi. I tam na czymś, co przypominało drzwi zamknięte od nie wiadomo ilu wieków, widniały zarysy czterech dziwnych znaków. Trudno było je dostrzec, jeśli się nie wiedziało, gdzie patrzeć. Kolorem nie różniły się od reszty ściany, a i światło dzienne padało na nie pod takim kątem, że raczej je zlewało z tłem, niż uwypuklało.

Pchana ciekawością nachyliłam się, by obejrzeć je z bliska. Powiodłam po każdym palcem.

7 M 2 M

– Poznajesz?

Nie odpowiedziałam.

– Podobno tak właśnie zapisuje się oryginalne imię Boga. – Uśmiechnął się. – Mówią też, że Bóg objawi całą swoją moc, jeśli wypowie się je poprawnie. Martin wierzy, że te litery to rodzaj klucza. Dzwonka, który otworzy nam przejście dalej, jeśli prawidłowo go wciśniemy.

– A co spodziewacie się znaleźć za przejściem?

– Metaforę.

Oderwałam się od inskrypcji, żądając dokładniejszych wyjaśnień.

– Symbol, Julio – podkreślił. – Potrzebna nam drabina, którą widział Jakub, żebyśmy po niej mogli wrócić tam, skąd przybyliśmy. Tylko tyle.

– Skąd wiadomo, że to drabina?

– Na pewno chodzi o jakąś osobliwość elektromagnetyczną, która się pojawia po wymówieniu tych dźwięków. Musi ją uruchamiać

częstotliwość ich fali akustycznej działającej na zasadzie hasła, włącznika. Wszystko jednak zależy od właściwego wypowiedzenia tego, co tu wyryto. Od brzmienia słowa i od wzmocnienia sygnału przez adamanty.

– I właśnie do tego potrzebujemy ciebie!

Ostatnie słowa nie padły z ust starego Fabera. Odbiły się od ścian pieczary i sprawiły, że żołądek mi się wywrócił. Głos dobiegł z góry, tak że odruchowo wszyscy podnieśliśmy głowy. I wtedy na wysokości jakichś trzech metrów, blisko zewnętrznej części lodowca, zobaczyłam jego.

– Martin!!!

Ścisnęło mnie za gardło. Ubrany w nieprzemakalny czerwony kombinezon i biały sweter z wykładanym kołnierzem Martin przyoblekł twarz w najpiękniejszy uśmiech, przypinając uprząż do liny i zjeżdżając po niej.

– Nareszcie jesteś, Julio!

Zanim odzyskał dech, złapał mnie na ręce, uniósł i okręcił się ze mną.

– Martin... – Próbowałam się wyswobodzić. – Żądam wyjaśnień...

– I otrzymasz je, *chérie*!

Ten Martin w niczym nie przypominał człowieka z nagrania wideo. Tryskał radością, siłą i energią. Ani na twarzy, ani na rękach nie widziałam śladów przypalania, które miał na tamtym filmiku.

– Mam nadzieję, że mi wybaczysz – szepnął mi do ucha, delikatnie stawiając mnie na ziemi. – Potrzebowałam cię właśnie dzisiaj! I przyjechałaś!

Wezbrał we mnie strumień sprzecznych emocji. Były jak rozgrzana magma, która z byle powodu może wybuchnąć.

Odetchnęłam głęboko. Przełknęłam pierwsze łzy, starając się za wszelką cenę zachować spokój. Nie ułatwiało mi tego widok asymetrycznych rysów twarzy mężczyzny, któremu przysięgałam dozoną wierność. Boże!... A przecież to on mnie zdradził! I teraz żądał, żebym mu pomogła!

– Martin... – wyjąkałam. – Ja nie wiem, kim ty jesteś. Nie wiem!  
– wybuchnęłam w końcu. Ucisk w piersiach odrobinę zelżał.

Martin nachylił się do mnie, nie zważając, że patrzą na nas ludzie.

– Zamierzałem ci o tym powiedzieć od pierwszego dnia naszej znajomości, ale zawsze się bałem, że jeszcze nie zrozumiesz.

– Nie wierzę ci.

– Ale uwierzysz, *chérie*. Chociaż poskąpiono ci wiary religijnej, otrzymałaś inne dary i w końcu wszystko zrozumiesz.

Wyciągnął rękę, wsunął mi ją pod włosy i pogłaskał mnie po szyi u nasady głowy.

– A wiesz, że to ciekawe? Chociaż widzieliśmy razem tyle cudów, ty ciągle nie wiesz, czy uwierzyć czy nie. Miotasz się między rozumem a wiarą. Wyzbądź się wątpliwości, Julio. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję, żebyś uwierzyła w siebie i pomogła mi uratować nas.

– Uratować was?

Głębokie spojrzenie swoich lazurowych oczu Martin wbił we mnie. Widziałam, że są przepełnione emocjami jak nigdy. Dziwnie błyszczące. Przysięgłabym, że to był strach. I przez moment go wyczuwałam. Chłonełam nawet.

– *Chérie*, właśnie teraz potężne masy plazmy słonecznej kierują się do Ziemi. Za kilka godzin uderzą w tę część planety i wywołają największą katastrofę geologiczną od czasów Noego. Tylko że tym

razem, Julio, nie mamy schronienia. Nie ma drugiej arki ani żadnego boga, który by nas ostrzegł...

Zauważyłam, że Martin się zawahał, szukając słów, aby właściwie wyrazić to, co chciał powiedzieć.

– Kiedy ta niewidzialna chmura wejdzie w atmosferę i dotrze do Ziemi – ciągnął – naruszy równowagę w jądrze planety i wywoła wstrząsy sejsmiczne, zniszczy elektryczne sieci przesyłowe, spowoduje niemożliwe do przewidzenia zmiany w DNA gatunków najbardziej wystawionych na jej działanie, obudzi nieczynne wulkany, jak na przykład ten. Będą wybuchały, a wyrzucane przez nie pyły na wiele miesięcy zasłonią niebo. To dzień wielki i straszny, o którym mówi Pismo Święte.

Wstrząsnęło mną przerażenie wyczuwalne w jego słowach. Kurczowo wczepiłam się paznokciami w nieprzemakalną tkaninę jego czerwonego kombinezonu, jakbym chciała rozorać mu ciało.

– I... nie da się... temu zapobiec?

Bill Faber stuknął laską w podłogę. Sheila, Daniel i Duchok bez ruchu stali obok niego w milczeniu. Tylko Ellen wierciła się w miejscu niespokojnie.

– Jest jeden sposób – mruknął stary Faber. – Aktywuj kamienie i pomóż nam wezwać Boga.

– Wezwać Boga? Po co?

– Bóg to także metafora, Julio – wtrącił Martin. – Symbol wszechmocnej siły, która przenika cały Wszechświat. Jeżeli zjednoczy się z nami, pomoże nam skompensować skutki energetyczne deszczu plazmy słonecznej.

– Ależ ja nie wiem, jak Go wezwać!

Stary Faber zmarszczył brwi, spoglądając na mnie z surową miną.

– To jak modlitwa, moja droga. Chyba że modlitwę też zapomniałaś?

## ROZDZIAŁ 94

Kontrolka jednej z gorących linii telefonu w Gabinetcie Ovalnym zapaliła się akurat w chwili, gdy Roger Castle miał podnieść słuchawkę. Prezydent zamierzał się połączyć z dyrektorem Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Pierwsze dane przesłane przez sondy STEREO leżały na jego biurku, wołając o szybkie podjęcie decyzji. „STEREO – oznajmiał e-mail przesłany z sali kontroli Goddard Space Flight Center – obliczyły, że pierwsza fala dwóch miliardów ton protonów o wysokiej energii uderzy w półkulę północną w obszar o powierzchni 150 000 km<sup>2</sup> między Turcją a republikami kaukaskimi. Do uderzenia dojdzie w ciągu najbliższych 48–72 godzin”. I dalej: „Zalecamy, aby za pośrednictwem ONZ i dowództwa NATO polecono wyłączyć na tym terenie wszystkie systemy elektryczne i telekomunikacyjne, dopóki nie ustanie burza protonów. Sugerujemy także, by nasze satelity trzymały się jak najdalej od tego sektora”.

Castle niechętnie odebrał połączenie.

– Słucham?

– Mówi Bollinger.

– Andy! – W jednej chwili rozwiała się mgła, która przesłoniła wzrok Rogerowi Castle’owi. – Boże drogi, czytałeś komunikat z Centrum Goddarda?

– Dlatego dzwonię. Ten wybuch nie jest taki jak inne. On został wywołany.

Na linii zapadła ciężka niczym ołów cisza.

– Wiesz, co mam na myśli – ciągnął Bollinger. – Moja ekipa znalazła falę elektromagnetyczną wysłaną przez te cholerne kamienie i odkryła, że wiązka zmierza do konkretnego celu: do Słońca.

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Te sygnały wcale nie płyną na jakąś odległą planetę. Poza tym nie mówię o Słońcu jako o czymś abstrakcyjnym. Sygnały były wycelowane w punkt w okolicach sześćdziesiątego stopnia długości zachodniej. W plamę numer trzynaście tysięcy pięćdziesiąt siedem. W obszar, na którym doszło do wybuchu.

Prezydent znowu przezornie milczał. Czuł, że przyjaciel jeszcze nie skończył.

– Ale dzwonię do ciebie – mówił dalej Bollinger – bo uważam, że wyliczenia Goddarda dotyczące samego wybuchu i pory dotarcia fali do Ziemi są błędne.

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Sondy STEREO oszacowały, że ten wybuch na Słońcu był klasy X23. X23, rozumiesz? Takiego jeszcze nigdy nie było!

– X23?

– Klasyfikujemy rozbłyski słoneczne jako słabe, czyli klasy C, średnie klasy M i silne klasy X. Ten, który w osiemdziesiątym dziewiątym roku pogrążył w ciemnościach połowę Kanady, był klasy X19. Silniejszego dotąd nie wykryliśmy. A ten jest silniejszy o cztery punkty! I wierz mi, może naprawdę narozrabiać, przy nim zorze polarne widoczne na Florydzie albo parę milionów więcej przypadków raka skóry to pikuś...



– Znaczy, że co?

– Pogrzebałem trochę. Zjrzałem do archiwów eskadry meteorologicznej w Kolorado, rozmawiałem z kolegami klimatologami. I uświadomiłem sobie coś bardzo ważnego. – W głosie Bollingera pojawiły się posępne nuty. – W dwa tysiące piątym, kiedy mieliśmy do czynienia ze skokowym wzrostem aktywności Słońca, w początkach roku burze dosłownie w nas waliły i spowodowały ocieplenie Prądu Zatokowego, co wywołało potworne huragany. Pamiętasz Katrinę?

Prezydent bez słowa zacisnął mocniej palce na słuchawce.

– To wszystko spowodowała jedna plama na Słońcu. Jesteśmy w zasadzie pewni, że chodziło o obszar siedemset dwadzieścia. Przeglądałem dane dotyczące tamtej anomalii magnetycznej. Miała rozmiar Jowisza i sklasyfikowaliśmy ją jako X7. No i sumując wszystko, mam złe wieści.

– Wal...

– Co ci powiedziano? Że po jakim czasie protony dotrą do Ziemi?

– Po dwóch, trzech dniach.

Andrew westchnął ciężko.

– To faktycznie standard. Ale w dwa tysiące piątym z przyczyn, których jeszcze nie znamy, wybuch na obszarze siedemset dwudziestym potrzebował tylko pół godziny, żeby do nas dotrzeć. Trzydziestu minut! Zamiast lecieć z prędkością rzędu tysiąca, dwóch tysięcy kilometrów na sekundę, plazma miała prędkość siedemdziesięciu pięciu tysięcy kilometrów! To prawie jedna czwarta prędkości światła! Boże, Roger, ta masa może w nas walnąć w każdej chwili!

– Z tego co na razie wiadomo, nie spadnie na Stany – odparł Castle bez cienia ulgi w głosie. – Trafi w terytorium państwa

zaprzyjaźnionego.

– Pozwól, że zgadnę. W Turcję?

– Tak.

– To dlatego, że koronalny wybuch masy podąża drogą sygnału wysłanego przez kamienie. One pełnią rolę jakby systemu naprowadzającego. Bóg wie, co się może dziać, kiedy protony wejdą w kontakt z nimi.

– Co możemy zrobić?

Pytanie przyjaciela zaskoczyło Andy'ego.

– Niewiele. Czekać i modlić się, prezydencie.

## ROZDZIAŁ 95

– Co wiemy o tych znakach? – Spytałam.

Zebraliśmy się wszyscy w ciepłym laboratorium, aby zdecydować, jakie kroki powinniśmy przedsięwziąć. Na wysokości pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza, przy burzy śnieżnej coraz wścieklej wdzierającej się w szczeliny lodowca, przy akompaniamencie dźwięków idących z lodowych korytarzy, które dudniły niczym piszczałki organów, najlepszym dla mnie wyjściem było okazać chęć współpracy. Nawet z Martinem. Daniel Knight, który z pakunków ułożonych koło sprzętu elektronicznego wyjął sobie krzeselko, pierwszy zdecydował się odpowiedzieć na moje pytanie.

– Chodzi ci o te znaki na arce? Uważamy, że to pradawny język naszych przodków – rzekł poważnie. – Takie pismo znajdowano na wszystkich kontynentach, głównie w jaskiniach i na kamiennych budowlach. Chociaż zawsze łączyło się to z pierwszymi formami komunikacji międzyludzkiej, w większości była to zwykła imitacja pisma aniołów. Te znaki tutaj natomiast są oryginalne.

– Znacie je?

Okultysta kiwnął głową.

– Niestety ich znaczenie zostało zapomniane tysiące lat temu. Właściwie aż do Johna Dee nikomu nie udało się ich odczytać i uporządkować. Jemu się powiodło, bo dzięki kamieniom otrzymał

cały alfabet od tych, z którymi się porozumiewał.

– John Dee... Zawsze John Dee – skomentowałam.

– Teraz rozumiesz, dlaczego tak nas interesuje. To Dee ułożył te znaki w spójną całość. Dzięki swoim rozmówcom odkrył, że od czasów patriarchy Henocha nikt nie został wprowadzony w tajniki tego języka, dlatego postanowił go nazwać henochiańskim. I wiesz co? Henoch nauczył się go po porwaniu do nieba przez swego rodzaju anomalie magnetyczną, która się zdarza w tym regionie. Nazywamy ją Chwałą Boga. Jej epicentrum jest krater koło Hallaçu, chociaż odnotowywano ją także w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, a więc także tutaj.

– Dziewczynie przyda się pewnie informacja – wtrącił Bill Faber – że najpierw Henoch, a potem Dee opracowali inkantacje, które pozwalają aktywować adamanty, i uzyskali dzięki nim niewiarygodne panowanie nad siłami natury. A punktem wyjścia była pierwotna intonacja dźwięków zdolnych współbrzmieć z atomową strukturą materii.

– Zawsze wierzyliśmy – dodał Duchok, przyglądając węża – że tym językiem posługiwano się w raju przed wypędzeniem Adama. Alfabet składa się z dwudziestu jeden liter podzielonych na trzy grupy po siedem, a ich właściwe połączenie wzmocnione siłą kamieni może przyciągnąć uwagę Siły Wyższej.

– I co? Wszyscy jesteście pewni, że to działa? – spytałam, patrząc im kolejno w oczy.

– Widziałem tę siłę, *chérie* – rzekł na to Martin. – Razem z Artemim. Tu, w tych górach, wiele lat temu. Chwała Boga budzi się od czasu do czasu i zapewniam cię, jest wstrząsająca.

– Chociaż za mała na to, do czego jej potrzebujemy – z żalem dodał stary Faber. – Ta łódź – wskazał ścianę, przy której staliśmy

– była w kontakcie z Bogiem przez te wszystkie tygodnie podróży. Nawiązano wtedy stałe połączenie z niebem, a zrobiono to w chwili, gdy ochronną warstwę magnetyczną planety zakłóciło energetyczne uderzenie klasy podobnej do tej, jakiej się spodziewamy.

– Nie rozumiem, panowie – odezwałam się ostro – jak ja mogę wam tu pomóc. Nie znam henochiańskiego czy jak tam go nazywacie! Nie potrafię powiedzieć ani słowa w tym języku! Wy natomiast chyba wszystko o nim wiecie!

Bill Faber postukał laską o podłogę, zanim odpowiedział:

– Nie musisz krzyczeć, moja droga. Chcemy tylko, żebyś zrobiła jedną prostą rzecz: zaintonowała Imię Boże przy kamieniach i przy arce. I wcale nie potrzebujesz do tego gardła...

Popatrzyłam na niego niedowierzająco.

– Nie?

– Widzisz, Julio, mamy w tym laboratorium zaawansowany interfejs, który może połączyć obszar mowy w mózgu z syntezatorem, a syntezator zinterpretuje każdy impuls mózgowy i przekonwertuje go na dźwięk. Działa podobnie do skanera neuronowego. Oczywiście kiedy jesteś w normalnym stanie świadomości, nic z tego nie wyniknie. Ale gdyby twoje fale mózgowo osiągnęły częstotliwość fal delta w przedziale od jednego do czterech herców, czyli tych, które powstają podczas transu mediumicznego, na pewno by nam się udało.

Stary Faber powiedział to tak, jakby mówił o króliku laboratoryjnym.

– A na jakiej podstawie uważa pan, że to coś da?

– To proste – uśmiechnął się. – Edward Kelly, medium, którego John Dee używał do komunikacji z aniołami w szesnastym wieku, posługiwał się henochiańskim w czasie wielu sesji. I zawsze robił to

w obecności trzech elementów, które mamy tutaj: dwóch adamantów i stolika wezwań. Przenikanie ich pól energetycznych wzmocni twój dar, którego potrzebujemy. Twój umysł, wytwarzane przez niego dźwięki neuronowe i te trzy elementy zadziałają jako jeden instrument.

– Amrak...

– Tak. W najszerszym rozumieniu. – Kiwnął głową. – Pełny zestaw. Dlatego mamy duże szanse powodzenia.

– Grozi mi coś?

– Media Johna Dee zawsze wychodziły z tego bez szwanku...

– Ale nigdy nie próbowały robić tego, co pan zamierza dzisiaj, prawda?

Bill Faber wzruszył ramionami.

– Nie masz czym się martwić. Jesteś otoczona aniołami.

– Jasne... – Uśmiechnęłam się z powątpiewaniem. – Prawie o tym zapomniałem.

– No to, moja droga, zaczynajmy jak najszybciej.

## ROZDZIAŁ 96

Tom Jenkins wbił palce w śnieg i podciągnął się na skraj przepaści. Wiedział, że odtąd będzie musiał kalkulować każdy krok co do milimetra, jeśli nie chce, by cała operacja wzięła w łeb, kiedy on wyląduje z połamanymi kośćmi sześć metrów niżej. Odruchowo po raz enty sprawdziwszy telefon satelitarny, niechętnie stwierdził, że nadal nie ma zasięgu.

Jesteśmy sami.

Ze swego miejsca widok na pieczarę miał znakomity. Jednym rzutem oka mógł objąć laboratorium, wejście, a nawet otwór w sklepieniu prowadzący z komory w lodowcu na zewnątrz. Przez chwilę miał wrażenie, że siedzi na kopule rzymskiego Panteonu i jak gołąb zagląda do środka przez słynny oculus. Dlatego niezwykle ostrożnie ułożył się jak najwygodniej na występie, zamocował lornetkę na składanym małym trójnogu i nastawił się na oglądanie widowiska, które rozgrywało się w dole. Nie palił się do działania. Miał zapewnione wsparcie Nicka Allena i ogromną przewagę – w kategoriach wojskowych nieocenioną – w postaci zaskoczenia. Jeśli dobrze to rozegra, niedługo odejdzie stąd ze swoją koleżanką, całymi i zdrowymi Faberami oraz z dwoma kamieniami, które wraz z Ellen obiecali dostarczyć prezydentowi.

Teraz jego główne zmartwienie sprowadzało się do tego, aby

powiadomić Ellen, że kawaleria przybyła z odsieczą. Od tego po części zależał sukces jego planu. Tylko jak to zrobić?

Ellen Watson wyglądała jak skamieniała. Nawet w ubraniu termicznym nie pomyliłby jej sylwetki z żadną inną. Spoglądała na Artemiego Duchoka i młodego faceta w czerwonym jednoczęściowym kombinezonie, którzy ułożyli Julię na noszach, a następnie przenieśli bliżej laboratorium, i wyglądało na to, że nie zamierza interweniować.

– Widzisz to tam? – szepnął Allen do Jenkinsa, wskazując metalową skrzynię kilka metrów na lewo od Ellen. – To chyba skrzynka z bronią...

Tom z roztargnieniem kiwnął głową. W mowie ciała Ellen coś obudziło jego czujność, chociaż nie potrafił tego nazwać.

– Jeśli uda nam się do niej dostać i zdobyć parę sztuk, będziemy panami sytuacji. Co prawda w układzie sześć na dwa, ale ich zaskoczymy.

Jenkins przygryzł wargę niespecjalnie przejęty.

Kiedy szacowali swoje siły, w laboratorium coś się działo. Na płaskim pięćdziesięciocalowym monitorze odliczany był czas pozostały do uderzenia w Ziemię pierwszej fali protonów o wysokiej energii. W NASA na podstawie szacunków Andrew Bollingera kilkakrotnie wyliczano prędkość protonowego tsunami, a ekipa Fabera przejęła te dane dzięki specjalnej antenie zamocowanej na zewnątrz lodowca.

Dwadzieścia minut czterdzieści sekund.

Licznik wskazywał czas do pierwszego zetknięcia z jonosferą i do chwili, kiedy na półkuli północnej ustanie wszelka łączność radiowa.

Mój telefon już padł – z żalem pomyślał Jenkins. – Widocznie



satelity Iridium przestały działać.

Odliczanie trwało nieubłagane. Starzec i Duchok nie odrywali wzroku od monitora. Przy Julii ustawili się Sheila, Daniel i Martin. Ujęli ręce dziewczyny, gdy jeden z pomagierów Ormianina przypinał ją elastycznymi pasami i nakładał jej na głowę kask, z którego wychodziły kable. Fachowo sprawdził potem, czy wszystko gra.

– Co oni robią, do diabła? – mruknął Jenkins, podregulowując ostrość lornetki.

I wtedy zobaczył, jak nosze z Julią przesuwają pod jedną ze ścian lodowca, gdzie na podwyższeniu umieszczono stolik wezwań i adamanty.

– Widzę je! – wyszeptał.

Kamienie już się zaczęły jarzyć bladym światłem. Pulsującym blaskiem, na który Allen spozierał niespokojnie.

– Julio, spróbuj się rozluźnić – rzekł starzec.

Jenkins i Allen wyraźnie słyszeli jego głos. Za sprawą jakiejś anomalii akustycznej z miejsca, gdzie stał, każde słowo docierało bez zakłóceń aż do wylotu w sklepieniu pieczary.

– Mam się rozluźnić? – obruszyła się Julia. – Taka przywiązana?

– To dla twojego bezpieczeństwa, *chérie* – uspokoił ją Martin. – Nie wiemy, czy i jak moc może wpłynąć na twój umysł. Wiesz, że nie chcemy cię skrzywdzić.

– Przypomnij sobie – wtrącił Duchok – co się stało w Noii, kiedy amrak wytworzył pole magnetyczne wokół ciebie. Miałaś szczęście, że nic sobie nie zrobiłaś, kiedy upadłaś.

Starzec podszedł do nich pospiesznie.

– Fala dotrze za osiemnaście minut – oznajmił. – Musimy zaczynać.

– Skąd wiadomo, że to właśnie ta chwila? Że to dzień wielki i straszny?

Daniel Knight szybko podszedł do leżącej Julii. Pod pachą trzymał skoroszyt i długopis, jakby się szykował do robienia notatek z seansu. I on odpowiedział na pytanie Julii, wskazując coś na ścianie.

– John Dee wszystko przepowiedział w „Monas Hieroglyphica”, kotku. – Zmrużył oczy przed światłami jarzącymi się w laboratorium. – Zamieścił w tej księdze znak, który widnieje również na arce.

– John Dee był tutaj?

– Nie. Nie sędzę – odparł Daniel stanowczo. – Wiemy, że Dee dużo podróżował po Europie. Był w Paryżu, Leuven, Brukseli, na Węgrzech, w Czechach, Polsce... Nigdzie jednak nie ma żadnej wzmianki o podróży do Turcji, a tym bardziej tutaj, na tę szerokość geograficzną. Wtedy dla człowieka Zachodu to był niemal koniec świata.

– No to jak poznał ten symbol?

– Pewnie dowiedział się o nim od kogoś, kto przybył z pielgrzymką na Ararat. Bo to ewidentnie jego najstarsze przedstawienie.

– Z pielgrzymką?

– Do roku tysiąc osiemset czterdziestego, kiedy straszne trzęsienie ziemi zniszczyło północne zbocze, do arki często przybywali miejscowi chrześcijanie.

– Uważasz, że ten symbol skrywa jakąś przepowiednię? – dopytywała Julia.

– Na pewno – potwierdził Daniel. – Dee ją odszyfrował, ale z oczywistych przyczyn nie odważył się jej zapisać. Trzeba

pamiętać, że wtedy Inkwizycja na wszystkich miała oko, śledziła więc również każdy jego ruch, a pisma Johna brała pod lupę. Ukrycie wiadomości sprzed tysiącleci w rysunku zrozumiałym tylko dla wtajemniczonych było najpewniejszym sposobem, żeby ją przekazać potomnym.

– Czyli Dee zrobił kopię znaku, który jest tutaj.

– Zgadza się. Noe, tak jak my potomek aniołów, wyrył znak na kadłubie arki, żeby przyszłe pokolenia wiedziały, kiedy spadnie na nas kolejny podobny kataklizm. Moim zdaniem wiedział, że drugi raz już żaden bóg nas nie ostrzeże... Dlatego sam to zrobił. Ten rysunek jest jak znak na drodze ostrzegający przed niebezpiecznym zakrętem... Jeśli wiesz, co oznacza, zwolnisz na jego widok i unikniesz ryzyka. Przypatrzcie mu się dobrze. Macie go przed sobą.

Jenkins ustawił elektroniczną lornetkę na dwustukrotne powiększenie, celując nią w miejsce wskazane przez niezgrabnego drągała o rudawym zaroście i różowej cerze.

– Widzicie?

Julia i Ellen kiwnęły głowami. Jenkins patrzył na wyraźny symbol, uśmiechając się enigmatycznie. Poprosił Allena, żeby też na niego zerknął.



– No proszę – szepnął prezydencki doradca. – To pewnie ten sam znak co na rosyjskich zdjęciach, których tak pilnują wszyscy zaangażowani w projekt Eliasza. Jak myślisz?

Pułkownik kiwnął głową, zwracając mu lornetkę. Pomyślał, że hiszpański policjant, który go przesłuchiwał, nie miał pojęcia, jaki był bliski rozwiązania sprawy.

– Jeśli przyjrzyjecie mu się dokładnie – ciągnął Knight, którego głos dudnił pod pradawnym sklepieniem lodowca – dostrzeżecie kombinację znaków astrologicznych i okultystycznych. Kula z rogami przywodzi na myśl symbol Byka. A w połączeniu z krzyżem w dole nawiązuje pewnie do jakiegoś symbolu pierwiastka żeńskiego. Może Wenus. Z tym że musimy uważać z takimi interpretacjami. Tak to sobie odczytujemy pod wpływem kultury zachodniej, w której pełno jest znaków alchemicznych i astrologicznych. W czasach Noego nic z tego nie istniało. Dlatego rysunek należy interpretować według dużo prostszych zasad. To prosty przekaz. Uniwersalny.

– Przejdź do sedna – wtrącił starzec, kątem oka zerkając na zegar na monitorze. Czternaście minut trzydzieści dwie sekundy.

– W porządku – odparł Daniel. – Okrąg z punktem pośrodku był symbolem Słońca w starożytnym Egipcie, a nawet wcześniej. W zasadzie nawet dziś w astronomii używa się go na oznaczenie naszej gwiazdy. Punkt pośrodku to klucz do wszystkiego. Odnosi się do plam słonecznych. Kiedy w starożytności widoczne były gołym okiem, uważano je za groźny znak. W części z blisko dwustu mitów relacjonujących potop jest mowa o tym, że przed wezbraniem wód Słońce zachorowało. To aluzja do plam. Półksiężyc przecinający okrąg przedstawia natomiast fale plazmy wydzielanej przez plamy. W dawnych czasach nie wiedziano, co to jest. Fale są

niewidzialne. Ludzie jednak odczuwali ich działanie na skórze, dostawali krwotoków wewnętrznych, stanów zapalnych oczu... jakby ich zaatakowała jakaś złowieszcza siła. Rogata.

– A krzyż?

– To nie krzyż, Julio – odparł Knight ze współczującym uśmiechem, jakby przykrość mu sprawiał widok tak pięknej kobiety przypiętej do noszy. – To miecz wbity w bliźniacze wypukłości... Takie jak dwa szczyty Araratu. Całość skrywa ostrzeżenie i nadzieję dla naszego rodzaju: chwila, gdy Słońce skupi swoją moc na tym miejscu, będzie zarazem porą odpowiednią na otwarcie źródła, z którego czerpał Dee, i nawiązanie komunikacji z Bogiem albo z Jego posłańcami. Z Czuwającymi. Naszymi nieupadłymi krewniakami.

– To najstarszy znak – uzupełnił Martin, ujmując Julię za rękę. – Pierwsi potomkowie Noego roznieśli go po świecie jako ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń. Na każdym kontynencie znaleziono takie petroglify.

– A na czym niby ma polegać moja rola w tym wszystkim? – spytała Julia.

– Skup się na stoliku wezwań, *chérie*. To wystarczy. Rozpoznaj każdy sygnał i jego wartość. Połącz je w głowie. Trzymaj kamienie w obu rękach i staraj się skanalizować wszystko, co podpowie ci dusza – instruował ją Martin. – Elektrody, które masz podłączone, zostały tak zaprojektowane, żeby notować najsłabsze nawet zmiany aktywności elektrycznej lewej półkuli mózgowej. Będzie stymulowana przez te sygnały. Jeśli zmiana będzie odpowiadać jakiemuś fonemowi, komputer go zsyntetyzuje i prześle do głośników. Nie ma czystszej formy wydobycia tych informacji. Wibracje akustyczne, które pozyskamy z twojego umysłu, otworzą

„schody do nieba”.

– Daniel, dlaczego sądzisz, że to zadziała?

– Och... – Uśmiechnął się. – To coś, co jest zawarte w ludzkim kodzie genetycznym. Zanim Bóg nas wypędził z raju, nauczył nas języka uniwersalnego. Mówiliście nim aż do pomieszenia języków przy wieży Babel, kiedy to Najwyższy uśpił w waszej pamięci tę pierwotną mowę. My, aniołowie, nigdyśmy go nie znali, bo jako istotom czystym nie był nam potrzebny, żeby się porozumieć.

Dlatego teraz nie mamy innego wyjścia: żeby uruchomić ten rodzaj pradawnego nadajnika i nawiązać kontakt z naszą ojczystą krainą, musimy odnaleźć te fonemy za pośrednictwem któregoś z twoich darów.

– No to od czego mam zacząć? – spytała Julia zrezygnowana.

– Oddychaj głęboko. Spokojnie. Szukaj wewnętrznej równowagi. I pamiętaj, czego jesteś w stanie dokonać dzięki swojemu darowi.

## ROZDZIAŁ 97

„Pamiętaj, czego jesteś w stanie dokonać dzięki swojemu darowi”.

To zdanie dziwnie dźwięczało mi w głowie. Przypięta do noszy i ustawiona prawie pionowo, czułam, że włosy mi się jeżą, a po plecach przebiega miłe łaskotanie. Reakcja była nietypowa, zważywszy na okoliczności. Z jakiegoś powodu nie mogłam rozluźnić mięśni i pozbyć się całkowicie napięcia po ciężkiej nocy spędzonej w kraterze koło Hallaçu, porannej wspinaczce na szczyt Araratu i spotkaniu z Martinem.

Zaczęło mi być dobrze. Sielsko. Bliskość Martina mimo wszystko wzbudzała we mnie zaufanie. W tej kąpieli endorfin rozpoznałam odległy znajomy i jakże krzepiący błogostan, w którym nie pogrążałam się od wieków. I jakoś zupełnie naturalnie, płynnie uzmysłowiłam sobie coś nadzwyczaj istotnego: że poczułam to w chwili, kiedy na moich rękach znalazły się kamienie. Tylko one – a nie żaden narkotyk czy reakcja hipnotyczna – odpowiadały za ten wewnętrzny spokój, który mnie ogarnął.

Jeżeli w ciągu trzydziestu lat życia nauczyłam się czegoś o psychicznej naturze świata, to niewątpliwie tego, że nic się nie dzieje, jeśli wcześniej nie pozwolimy, aby się działo. To błogosławieństwo udzielane dobrowolnie i sprawiające, że „czynnik niewidzialny” rychło wkracza w życie człowieka. Dlatego kiedy

Martin poprosił mnie, żebym pamiętała, co mogę zrobić ze swoim darem, i podzieliła się nim z jego braćmi, ja przez to, że nie odmówiłam, dałam mu swobodę dysponowania sobą. I on o tym wiedział. Toteż na obu dłoniach położył mi po jednym adamancie i poprosił, żebym je aktywowała.

Mogłam zacisnąć pięści i tak je trzymać, lecz rozwarłam je.

Mogłam upuścić adamanty na ziemię. Nie zrobiłam tego.

– Teraz – szepnął mi Martin do ucha. – Pozwól, żeby cię prowadziły. Nie zmuszaj ich do niczego, *chérie*. Patrz na stół wezwań. Znasz już amrak. Patrz na znaki, które są na nim, i na te, które masz na arce. Gdzieś w sobie skrywasz umiejętność właściwego wymówienia ich. Połączenia. Zobaczenia. Pobaw się nimi... Razem ułożą się w idealny dźwięk, który rozbrzmi w tym miejscu i dotrze do Stwórcy jak dziewięć tysięcy lat temu. Masz dar, potrafisz to zrobić.

– Nie wiem, czy zadziała – powiedziałam, lecz bez przekonania. – Dawno mi się nie...

– Zadziała – przerwał mi delikatnie. – Zaufaj nam.

Wiem, że w tamtej chwili się poddałam. Zamknęłam w dłoniach adamanty i zacisnęłam powieki.

Początkowo nie czułam nic szczególnego. Tylko gładkość i ciepło kamieni. Jedynie sekundę wcześniej, kiedy zapamiętywałam znaki wyryte na ścianie, którą miałam przed oczami, wydało mi się, że ich żyłki leciutko rozbłysły. Naprawdę nieznacznie, był to ledwie refleks podobny do tego, jaki zobaczyłam w dniu mojego ślubu, toteż pomyślałam, że nic złego mi się nie stanie, jeśli znowu doświadczę ich mocy.

Byłby to po prostu jeszcze jeden raz.

Ostatni, powiedziałam sobie.



– Wsłuchaj się w ich pulsowanie – odpowiedziała Sheila. Jej głos docierał do mnie przytłumiony. Jakby wychodził z dna studni.

– I szukaj tego, co cię z nimi łączy – dodał Daniel. – Czyste wibracje to jedyny język, który rozumieją moce niebiańskie.

– Sprowadziliśmy cię tutaj, żebyś się z nimi skomunikowała. Pomóż nam, Julio.

„Pomóż nam”.

Prośba odbiła mi się echem w głowie.

„Pomóż nam, Julio”.

Prośba była rozpaczliwa. Przejmująca.

„Pomóż nam”, powtórzyli.

Niemal jak modlitwę. Mantrę. W gruncie rzeczy nie było to dla mnie nic nowego, już to słyszałam kiedyś, wiele lat temu.

W zamierzonych czasach dzieciństwa.

Zamknęłam oczy.

Chociaż urodziłam się w Galicji, na końcu starożytnego świata, i dorastałam, słuchając w domu o widmach i zjawach, o demonach porywających dzieci i duchach, które je chroniły, zawsze bardzo się starałam nie wierzyć w żadną z tych opowieści. Nie dlatego, że uważałam się za sceptyczkę akceptującą tylko to, co nauka jest w stanie wyjaśnić. Nie. Dziewięcioletnia dziewczynka nie kieruje się w swoim myśleniu racjonalizmem, a nauka jest dla niej po prostu jednym ze słów zawartych w podręcznikach. Ja nie wierzyłam w te rzeczy z powodu o wiele bardziej banalnego: ze strachu. Strachu głębokiego, atawistycznego, z którym musiałam żyć od urodzenia.

Otóż kiedyś w Zaduszki, w noc bardzo podobną do tej, która przywiodła mnie do Turcji, stało się coś, co na zawsze pozostało w mojej podświadomości opatrzone etykietą „groza”. Ciotka Noela

i babcia Carmen przyszły do mojego pokoju i zabrały mnie w miejsce, którego nigdy nie zdołałam zapomnieć.

Miałam wtedy prawie dziesięć lat. Ciotka Noela, szwagierka mojej matki, owdowiała niedawno i mama pomyślała, że dobrze by było, gdyby przyjechała do nas na te dni, kiedy odwiedza się cmentarze i uczestniczy w mszach za zmarłych, i rozerwała się w towarzystwie wesołej siostrzenicy męża.

Jak zawsze w tamtych czasach poszłam spać niedługo po kolacji. W domu panował taki ziąb i wilgoć, że najmądrzej było położyć się wcześniej do łóżka i zagrzać pościel, zanim noc kompletnie ją przeniknie. Przy odrobinie szczęścia o dziesiątej już spałam. I tego wieczoru było podobnie. Jednakże stało się coś, czego nie mogłam przewidzieć. Babcia i ciotka Noela zaczekały, aż mama uśnie, po czym przyszły i nic nie mówiąc, wyciągnęły mnie z łóżka w pośpiechu. Nie pozwoliły mi nawet się ubrać. Wydawały się podenerwowane, coś tam szeptały bez ładu i składu, poganiały mnie, jakby im pilno było opuścić dom. Niezdarnie owinęły mnie w stary niebieski anorak i kazały mi bez gadania usiąść na przednim siedzeniu naszego citroëna 2CV.

– Gdzie jedziemy, ciociu? – zapytałam, pocierając zaspane oczy.  
– Chcemy z babcią coś ci pokazać.  
– Coś? – Ziewnęłam. – Co?  
– Chcemy się dowiedzieć, czy jesteś jedną z nas, dziecino. Czy twoje oczy są wyjątkowe.

Popatrzyłam na nie przerażona.

– Nie martw się. Na pewno się uda.

Ciocia Noela nic więcej nie powiedziała.

Gdy po trzech godzinach jazdy krętymi wyboistymi drogami dotarliśmy do celu, z ulgą stwierdziłam, że dobrze znam to miejsce.

Chociaż nigdy nie byłam tam w zimie, a tym bardziej nocą, wiedziałam, że przywiozły mnie na plażę w Langosteirze, nad zatoczkę długości prawie dwóch kilometrów z białym piaskiem ciągnącym się od wiecznie zielonych zachwycających wzgórz niedaleko przylądka Finisterre. Tam był dosłownie koniec świata. Może dlatego poczułam zaskoczenie, gdy w świetle księżyca zobaczyłam, że na plaży jest sporo ludzi. Naliczyłam co najmniej dwadzieścia kobiet i dziewcząt, które kręciły się w tym miejscu mimo późnej pory. Było bardzo zimno. Wiał lodowaty wiatr od morza. Wyglądało na to, że ten tłum coś świętuje. Widziałam koszyki z jedzeniem, napoje, zwykłe butelki wina i oplecione konopiami małe gąsiorki, z których kobiety popijały, tocząc wesołe rozmowy w widmowym świetle nocy.

– Wiesz, co to jest? – zapytała babcia, widząc moje zaciekawienie. Pokręciłam głową.

– Likwor wiedźm, dziecino. Jeśli go wypijesz duszkiem, będziesz mogła polecieć, gdzie tylko zechcesz. Chcesz spróbować?

Nigdy wcześniej nie spojrzałam na babcię z takim zdumieniem jak tamtej nocy. Dotąd znałam jedynie wiedźmy z bajek. Galisyjskie wiedźmy różniły się od czarownic z południa, były ich łagodniejszą wersją, zazwyczaj znachorkami, które leczyły drobne dolegliwości czy skręcenia, działając jako swego rodzaju lekarki rodzinne. Mimo to od czasu do czasu zawisały nad nimi cieniem oskarżenia o herezję. Aż do tej nocy myślałam, że babcia jest przeciwieństwem tego świata. Pobożną wierną swojej parafii. Gorliwą adoratorką Matki Boskiej Fatimskiej i zaufaną naszego proboszcza. Stroiła kościół w kwiaty i zapisywała dzieci, które zgłaszały się na katechezę.

– Jesteś... wiedźmą? – zapytałam zdumiona.

Spojrzała na mnie tymi swoimi wyblakłymi błękitnymi oczami, w których tyle razy widziałam czułość. Potem lekko się uśmiechnęła i usłyszałam najdziwniejszą odpowiedź, jaka kiedykolwiek wyszła z jej ust:

– I od dzisiaj ty też, Julio – powiedziała na poły poważnie.

Tamtego wieczoru przed laty piłam i tańczyłam z babcią i z ciocią Noelą do świtu. Kiedy otrząsnęłam się z pierwszego szoku, poznałam się z moimi rówieśnikami, także wnuczkami wieźm, a nawet po raz pierwszy wykorzystałam dar latania bez skrzydeł. Wtedy poczułam, że ciało nie jest w tym przeszkodą. Że dysponuję możliwościami pozwalającymi zapomnieć o ograniczeniach fizycznych – takimi, o jakich dotąd nawet mi się nie śniło. Okazało się, że napój, który kobiety schłodziły na plaży, to mikstura o niezwykłych właściwościach. Nie powiedziano mi, z czego została sporządzona, ale nie trzeba było wielkiej inteligencji, by zgadnąć, że w gąsiorach pływają w gorzkim alkoholu posiekana pokrzywa, oset i inne paskudne zioła. Teraz wiem, że były to substancje psychotropowe. Naturalne narkotyki mogące zmącić percepcję i wpłynąć na funkcje mózgowe.

Kiedy znalazłam się w stanie upojenia, ciotka uklękła obok mnie i wręczyła mi jakąś kartkę.

– A teraz pomóż nam, Julio.

– Pomóż nam – powtórzyła babcia. Na wymiętej ubrudzonej kartce zobaczyłam jakieś słowa. – Przeczytaj je na głos i powiedz, co czujesz – poleciła.

Zrobiłam to oczywiście. Dziwne były te słowa. Nic mi nie mówiły. Fragmenty zdań w języku, którego nie znałam.

– *Arakib... Aramiel... Kokabiel...*

Kiedy drżąc ze strachu, wymawiałam je głośno, moje usta zaczęły

się wypełniać egzotycznymi smakami. Każde słowo przywoływało inny. Najpierw wyraźnie poczułam nosem zapach mięty.

I rozmarynu. A później paproci. W pewnym momencie zaczęłam widzieć te słowa wypisane świecącymi literami, unoszące się nade mną jak robaczki. Odcinały się wyraźnie w ciemnościach nocy, kołysząc się radośnie, ilekroć ktoś je wymawiał.

Ciocia Noela i babcia Carmen popatrzyły po sobie, spostrzegłszy moją zdziwioną minę.

Po czym nie zważając na mój strach, kazały mi posłuchać tego, co zaśpiewają, i przymrużyć lekko oczy, aby zobaczyć kolor ich głosów. Istny obłąd! Kolejny! Ale ja w tym upojeniu zaczęłam im opisywać, co widzę. Jeśli śpiewały dźwięk „fa”, dostrzegałam rodzaj żółtego cienia, który wychodził z ich ust niczym wydychana para. Przy „do” cień był czerwony. Przy „re” fioletowy. Kolory były widoczne, dopóki rozlegał się dźwięk, obracały się w blasku księżyca i rozwiewały.

– Kochanie – odezwała się babcia z uśmiechem po trzech czy czterech próbach, głaszcząc mnie po włosach barwy marchewki – masz dar widzenia. Co do tego nie ma wątpliwości. Twoje oczy mogą zobaczyć to, czego większość ludzi nie widzi. Jesteś jedną z nas. Należysz do klanu.

Nic nie powiedziałam.

– Posiadanie daru wiąże się z odpowiedzialnością, dziecinko – ostrzegła zadowolona ciocia. – Odtąd twoim zadaniem będzie wykorzystywać go z pożytkiem dla wspólnoty.

– Słyszałaś?

– Ale ja się boję!

– Spokojnie, przejdzie ci.

Po czym poprowadziły mnie ku cypelkowi, gdzie grupka kobiet paliła ognisko. Kiedy ciepło ognia owiało mi policzki, natychmiast

poczułam się lepiej. Ciocia po kolei przywitała się z zebranymi tam kobietami, zwracając się do nich po imieniu i serdecznie je ściskając. Opowiedziała im o mnie i o tym, co się stało. Patrzyłam na nią zawstydzona, modląc się w duchu, by nie zaczęła znowu gadać o tych kolorach i słowach. Nie byłam w stanie ocenić znaczenia tego, co zaszło, i naprawdę strasznie było mi wstyd, że jestem na ustach ich wszystkich z powodu czegoś, co uważałam po prostu za rodzaj gry. Szybko zdałam sobie sprawę, jak bardzo się myliłam. Ilekroć ciocia Noela kończyła opowieść, osoba, która jej słuchała, cofała się o kilka kroków, przez chwilę spoglądała oczami jak spodki, a następnie rzucała się i całowała mnie w czoło i po rękach. Ten rytuał powtórzył się dwadzieścia razy, co potrwało prawie dwie godziny. Przeszedłszy przez niego, kobiety częstowały się likworem wiedzim w plastikowym kubku i krążyły potem wokół mnie, rozprawiając między sobą, lecz nic z tego nie słyszałam.

Jednakże kiedy to się zakończyło, stało się coś niewiarygodnego.

Kobiety, które już poznały mój „sekrety”, ustawiły się rzędem przede mną i poprosiły, żebym na nie patrzyła. Początkowo nie bardzo rozumiałam, o co im chodzi. Miałam patrzeć na nie? Niby po co? Dopiero babcia mi cierpliwie wyjaśniła, że wspólnota chciałaby się upewnić, czy faktycznie w jej łonie przyszła na świat dziewczynka z darem widzenia. Zdolnością szczególną, rzadką, pozwalającą zaledwie kilku osobom w każdym pokoleniu poznawać to, co dla innych jest niewidoczne w teraźniejszości, przeszłości i przyszłości członków wspólnoty. Widzieć dźwięki i słyszeć obrazy. Krótko mówiąc, wchodzić na poziomy postrzegania niedostępne większości ludzi.

– Musisz tylko przymknąć lekko oczy i powiedzieć, co pierwsze zobaczysz – powiedziała.

Zrobiłam, jak mówiła.

Do samego brzasku, który zajaśniał w końcu za naszymi plecami, „patrzyłam” kolejno na wszystkie wiedźmy przy blasku ogniska. Każdą widziałam otoczoną jakby mgłą albo polem światła o różnym natężeniu, które dużo mi mówiło o zdrowiu i stanie ducha danej osoby. „Pomóż nam, Julio”, prosiły ich błyszczące podekscytowane oczy. Bez zastanowienia mówiłam im różne rzeczy i każda kobieta pokornie to przyjmowała. „Uważaj na krążenie”. „Sprawdź swój słuch”. „Idź do lekarza i skontroluj nerki”. Mówiłam to, co podpowiadał mi instynkt. Gdziekolwiek widziałam światło przytłumione, wyczuwałam problem.

Ciocia i babcia uśmiechały się z satysfakcją. „Patrz na aurę naszej dziewczynki!”, powtarzały zachwycone. Przytakiwałam, chociaż nie miałam pojęcia, co to znaczy. W wieku dziesięciu lat wykazywałam się ignorancją iście przysłowiową. Z niewiedzy w głowie mi nawet nie powstało, że w innych czasach taki nimb uznano by za oznakę świętości. Ani że taką światłością emanowali ludzie obdarzeni wyjątkowymi darami w rodzaju tych, o których wcześniej babcia i ciocia wspominały.

– Są wśród nas aniołowie, u których aura jest barwy złota – powiedziała mi staruszka dużo bardziej wiekowa od mojej babci, o twarzy porytej szerokimi głębokimi zmarszczkami. – Szukają dziewczynek takich jak ty. Bo wy jesteście jak te egipskie szakale, które są dla zmarłych przewodnikami w zaświatach...

– Skąd pani wie?

Staruszka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Wiem, córciu, bo w moim wieku o takich rzeczach po prostu się wie...

Aurę tej kobiety także zobaczyłam. Była mocno przytłumiona.

Tak mocno, aż się wystraszyłam, że nie zostało jej wiele życia. Wyglądała jak cienka warstewka oliwy pokrywająca ją całą i jakby czerniejąca. Niemniej ilekroć poruszyło się to leciuteńkie okrycie – a działo się to przy każdym oddechu – w powietrze ulatywały radosne złotawe iskierki.

Ze zdziwienia szeroko otworzyłam oczy.

– Ale pani... – Naraz dotarło do mnie. – Pani jest...?

Uciszyła mnie, przykładając mi do ust sękaty palec, i uśmiechnęła się.

Dwa dni później dowiedziałam się, że umarła. Odtąd zaczęłam się bać swojego daru.



## ROZDZIAŁ 98

Zero minut. Zero sekund.

W lodowej pieczarze zapanowała cisza absolutna. Nawet urywany oddech Williama Fabera przestał rozbrzmiewać w grocie, nad którą się czaili Jenkins i Allen. Prezydenckiego doradcę tak zachwyciło pogodne piękno, którym promieniała Julia Álvarez, że dopiero po chwili zdał sobie sprawę, iż odliczanie się skończyło. Julia z głową w kasku nafaszerowanym elektrodami opartą na poduszeczce, przywiązana do noszy ustawionych prawie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, zdawała się spokojnie drzemać. Wyglądała jak bajkowa Śpiąca Królowa czekająca na przybycie księcia, który pocałunkiem obudzi ją do życia. Jenkinsa zastanowiło, o czym teraz myśli. O czym śni.

Julia nie otworzyła oczu, kiedy licznik zatrzymał się na zerze.

Właściwie nie spodziewała się tego żadna z otaczających ją osób – nawet Ellen Watson, która nadal oszołomiona nie odrywała oczu od arki. Wszyscy czekali, aż nieuchwytny dar Julii uruchomi tajemniczy mechanizm komunikacji i kamienie, które trzymała w dłoniach, odegrają swoją szczególną rolę.

– No, proszę państwa, już pora – oznajmił William Faber, przerywając ciszę. – W tej chwili fala plazmy przechodzi przez jonosferę. Zaraz się dowiemy, czy wysoko naładowane cząstki

zrobią, co do nich należy. Za kilka sekund dostaną się...

Przerwało mu donośne trzeszczenie. Rozległo się gdzieś przy agregacie spalinowym, jakby coś się w nim zapaliło.

Artemi Duchok popatrzył w tamtą stronę, lecz nie zobaczył nic niezwykłego. Jego ludzie, uzbrojeni w wierne uzi, z bronią w ręku daremnie rozglądali się za intruzem. Absurdem byłoby myśleć, że ktoś aż tutaj za nimi przyszedł. Zanim jednak zdążyli wrócić do Julii, świecący niebieski łuk elektryczny trafił z nieba w ziemię kilka kroków od nich. I jeszcze jeden. I jeszcze. W parę sekund spadł deszczyk iskier takich, jakie sypią się ze spawalnicy.

– Co to było? – zaniepokoiła się Ellen.

Żaden z aniołów nie odpowiedział.

Co ciekawe, iskry te nie zgasły w zetknięciu z lodem. Niektóre zaczęły pełzać po ziemi, kierując się ku noszom z medium. Wyglądały jak płaskie nitki makaronu skupione po kilka. Były białe. Mocno świecące. A przede wszystkim zdawały się poruszać zgodnie z jakąś intencją. Inteligentnym zamysłem.

Na ich widok Martin cofnął się o krok. Hacı i Wasfi także.

Te „pająki” – bo ostatecznie właśnie pająki przypominały – dotarły do głowy Julii i tam się podzieliły na trzy grupy. Z każdej wydzielił się nowy kłębek iskier, tak że wkrótce pokryły całą Julię. Najgęściej skupiły się przy dłoniach. Adamanty przyciągały je niczym magnes. Odurzona Julia szarpnęła się raz, drugi, trzeci... i jeszcze trzykrotnie, zanim na powrót przywarła do noszy. Napięła przytrzymujące ją pasy, aż werżnęły jej się w ciało, i opadła na poduszkę sztywna jak trup.

– Co się dzieje? – histerycznie pisnęła Ellen. – Co jest?

Tym razem jednak jej głos był ledwie słyszalny.

Z głośników stojących na wprost nich zaczęło coś dochodzić.

Jakby przenikliwy gwizd, który dłuższą chwilę rozlegał się w powietrzu, zanim do kogokolwiek w ogóle dotarł. Następnie gwizd przerodził się w nieustający szum, podczas gdy elektryczne pająki mnożyły się jak opętane i rozłaziły na wszystkie strony, a cały sprzęt elektroniczny migotał, sygnalizując przeciążenie. Równocześnie stolik wezwań, bacznie obserwowany przez Sheilę i Daniela, zaczął wydzielać słup zielonkawego dymu znikającego pod sklepieniem. Chwilę później jakby na znak skrupulatnego choreografa od roztańczonych tworów wyszły uporządkowane rytmiczne tchnienia, wprawiając Ormian w oczarowanie, Martina zaś, jego ojca i dwoje kolegów wręcz w ekstazę.

*Iossssummmm... Oemaaa...*

– Działa! – zawołała Ellen, z nerwowym chichotem patrząc na aniołów.

*Hasdaaaaeeee... Oemaaa...*

– Działa!

Sześć metrów nad ich głowami Tom Jenkins i Nick Allen nie musieli się porozumiewać, aby wiedzieć, że nadeszła chwila, na którą czekali.

Zerkając kątem oka na to, co się dzieje, i uważając, by nie zakłócić wznoszenia się zielonej chmury, ostrożnie opuścili się na linie kominem blisko wejścia do lodowca. Nikt ich nie zauważył. Jenkins pierwszy stanął na ziemi z krwią pulsującą w skroniach. Pomyślał, że jeśli będą mieli szczęście, w minutę dotrą do skrzynki z bronią. Allen, facet dwa razy większy od niego i chociaż starszy, dużo lepiej przygotowany do tego rodzaju sytuacji bojowych, poczołgał się wzdłuż zachodniej lodowej ściany i przycupnął za metalowymi skrzyniami. Od Haciego dzieliło go raptem pięć kroków, a od broni siedem czy osiem. Jeżeli te elektryczne robaki

dalej będą tamtych hipnotyzowały, bez większych trudności zdobędzie to, po co tu przyszedł.

Kiedy jednak już miał pokonać ostatni odcinek, powstrzymał go błysk.

Zaiskrzyło. Ledwie mignęło świetliście na ścianie, lecz to przywiodło mu wspomnienie czegoś sprzed lat, o czym wolałby zapomnieć. Powietrze zrzędo tak samo jak wtedy, w roku 1999, przy kraterze koło Hallaçu.

Pułkownikowi przeszedł po plecach zimny dreszcz.

Na ścianie arki pojaśniały w tej chwili cztery nieduże powyginane kształty.

Symbole!

Wzrok zmaćiła mu identyczna jak przed laty panika, której doświadczył tak niedaleko stąd w obecności Martina Fabera i Artemiego Duchoka. Nie chciał teraz myśleć o Chwale Boga.

Nigdy więcej!

Tyle że Allen był żołnierzem. Toteż zebrał się w sobie i skupił na wykonaniu zadania.

Z całym impetem, na jaki było go stać, przebiegł dystans dzielący go od broni i zanim zdążył pomyśleć, jaki będzie jego następny ruch, otworzył skrzynkę i spojrzał na zawartość. Podrasowane automaty M16, takie same jak te, których używają amerykańskie oddziały szturmowe, spoczywały równo ułożone. Bez wahania chwycił dwa pierwsze z brzegu, odbezpieczył oba, jeden zarzucił na ramię jako rezerwowy i stanął gotów zmierzyć się z ludźmi Duchoka.

Tym razem to coś nie dopadnie mnie bezbronnego, powiedział sobie dla animuszu.

W tym ułamku sekundy odgłosy wychodzące ze wzmacniaczy

podłączonych do kasku Julii wzmogły się wykładniczo. Długie dźwięki – *Iossssummmm... Oemaaa... Hasdaaaeee... Oemaaa...* – stały się wyższe. I równocześnie w znakomitej z nimi synchronizacji, w przerażającym rytmie jakby odmierzonym sekundnikiem, glify na arce – *L, M, 2* oraz *M.* – zaczęły się na przemian zapalać i gasnąć.

Allen tego nie widział. A raczej nie chciał widzieć. Obróciwszy się na pięcie z bronią gotową do strzału, zobaczył inny widok trudny do zniesienia.

Wszyscy z siedmioosobowej grupy, którą miał unieszkodliwić, naraz zupełnie się przeobrazili. Dopadły ich elektryczne pająki, pokrywając całość siecią drobniutkich wyładowań, które sprawiały, że lśnili miedzianym blaskiem. Najstarszy z tych ludzi stał z rękami uniesionymi ku arce, a ci, którzy byli uzbrojeni, wypuścili z rąk automaty. Wasfi, prawa ręka Duchoka, bez emocji patrzył na wszystko poprzez otaczającą go roziskrzoną zasłonę.

Allen nie czekał dłużej. Zanim zaczęły trzaskać ogniki, które wiązały wszystkich, pułkownik rzucił się na Ellen Watson. W mgnieniu oka język błyskawicy liznął miejsce dotąd wolne od iskier. Jenkins, który w porę to spostrzegł, przytomnie odepchnął Ellen jak najdalej od sprzętu, poza zasięg tego zjawiska. Amerykanka potknęła się i poleciała na ziemię, pociągając kolegę. Tyle dobrze, że ostre ukłucie w lewą kostkę pomogło jej wyrwać się z odrętwienia.

– Tom! – krzyknęła. – To ty!...

Wyglądało na to, że jej niebieskie oczy wreszcie się na nim skupiły.

– Boże, Ellen! – Potrząsnął nią. – Myślałem, że coś ci zrobili!

– Gdzie Julia? – wykrztusiła. – Ma kamienie! Zabierz je!

Jenkins zdał sobie sprawę, że koleżanka nadal jeszcze jest w szoku. Jej niepokój mógł być skutkiem ubocznym przebywania w silnym polu elektromagnetycznym. Znajdowali się na wysokości ponad pięciu tysięcy metrów nad poziomem morza, w miejscu, na które z całą mocą musiał spaść słoneczny deszcz.

– A Martin Faber? – dopytywała Ellen ze spojrzeniem ciągle trochę zagubionym. – To... to jego zasadzka!

Tom poszukał wzrokiem Martina. Chociaż widział człowieka tylko na nagraniu z uwięzienia, natychmiast go rozpoznał. Stał jakieś pięć metrów od niego sztywny jak posąg, cały pokryty iskrami, które od niego zaczęły się słać na ludziach. Jenkins zamierzał zabrać Fabera z pieczary, nie śmiał go jednak dotknąć. Martina więziło coś w rodzaju sieci pod wysokim napięciem, które nie wyrządzało mu żadnej szkody, aczkolwiek nie docierało do niego, co się dzieje dokoła. Był jak zombi, dla którego liczyły się tylko dźwięki dochodzące ze wzmacniaczy. Powtarzały się kolejno, raz głośniejsz, raz ciszej, jakby ktoś z nich zrobił pętlę odtwarzaną bez końca. *Iossssummmm... Oemaaa... Hasdaaaaeeee... Oemaaa.* Ilekroć seria zaczynała się od początku, w którejś części lodowca coś trzaskało. Niewiele już paliło się elektrycznych świateł. Komputery nie działały, posypały się urządzenia do łączności, które jeszcze parę minut wcześniej łączyły ten szczyt z siecią satelitów otaczających planetę.

O dziwo, wyglądało na to, że tylko trzy osoby pozostają odporne na to osobliwe zjawisko: pułkownik Allen, Ellen Watson i on, Tom Jenkins.

Julii nie widział. Prąd więził ją podobnie jak pozostałych. Wyglądała, jakby pochłonęła ogromnego świetlika. Owada, od którego do reszty grupy wybiegały niezliczone przewody i trzymały

wszystkich unieruchomionych, lecz połączonych swoistą pępowiną pod wysokim napięciem.

– Co tu się dzieje, do diabła?

Krzyk Nicka oderwał go od oceniania sytuacji.

– Tym aniołom coś się stało! – Głos Ellen ledwie się dało wysłyszeć pośród wszechobecnego szumu.

Toma zatkało. Ellen była jakaś ociężała, jakby morzył ją sen.

– Aniołom?... Boże drogi, dobrze się czujesz, Ellen?

– Tak powiedzieli Julii – odparła, nie wdając się w wyjaśnienia. – Ci faceci... to wszystko potomkowie upadłych aniołów. Chcą się dodzwonić do domu. Wykorzystują energię burzy słonecznej, żeby....

– Musisz odpocząć, Ellen – przerwał jej zmartwiony Jenkins. – Zaraz cię stąd zabierzemy.

– Nie, poczekaj. – Pierwszy raz spojrzała na niego przytomnie. – Nie możemy wrócić bez kamieni. Obiecaliśmy prezydentowi, że je zdobędziemy.

– Kamienie! – prychnął Allen. – Wystarczy je wziąć.

Zanim pułkownik doszedł do noszy, na których spoczywała Julia, smagnał ich niewidzialny wiatr twardy jak stal, rzucając nimi o ścianę lodowca.

Oszołomiony Allen i potłuczeni prezydency doradcy patrzyli, jak pieczara całkowicie mrocznieje, gdy gasły działające dotąd nieliczne urządzenia elektryczne. W lodowcu zapanowała ciemność.

Świeące pozostały tylko ściana arki, stół wezwań i sześć ciał uwięzionych przez „pająki”. Biła od nich widmowa poświata rozjaśniająca nieco pieczarę. Była przytłumiona, mieniła się wszystkimi barwami tęczy, pulsowała, rozszerzając się i zawężając, jakby oddychała.

Wtem w jednej sekundzie efekty akustyczne ucichły.

Zapadła całkowita cisza.

Ale tylko na chwilę.

Zanim Allen i Jenkins ochłonęli i zdecydowali, co dalej robić, pieczara zadrżała, aż ze ścian posypały się odłamki lodu.

Jezu!..., przeraził się Allen, łapiąc w ręce broń.

Wydawało się, że cały świat otrzymał potężne uderzenie. Ziemia się poruszyła, jakby była z papieru, trzeszcząc pod nogami, a ciemna ściana arki wtopiona w lodowiec zakołysała się w przód i w tył, jak gdyby góra chciała przepędzić uciążliwych gości. Nim zdążyli znaleźć coś, czego mogliby się przytrzymać, sypnęło w nich strumieniem okruchów lodu.

Trzęsienie ziemi!

Ten wstrząs był tylko zapowiedzią. Po nim przyszły trzy czy cztery kolejne i zakołysały pieczarą. Nick runął na ziemię bokiem i pojechał po lodzie aż do stóp jednego z jezorów lodowca, Ellen zaś, której Tom nie utrzymał, padła jak długa kilka metrów od niego, niebezpiecznie blisko naładowanego elektrycznością Williama Fabera. Starzec, zupełnie oderwany od rzeczywistości, wyprostowany stał twardo na ziemi.

Najbardziej ucierpiał Tom Jenkins.

Kiedy Ellen mu się wyrwała z ramion, stracił równowagę i rąbnął twarzą w metalową krawędź stołu. Natychmiast usta wypełnił mu słodkawy smak krwi. Nie miał jednak czasu na rozczulanie się nad sobą. Z miejsca, gdzie się znajdował, dostrzegł, że śnieżna kopuła nakrywająca pieczarę zaczyna pękać, posypały się kawałki zmarzniętego śniegu.

Po czym zobaczył to.

To. Nie znalazł lepszego słowa na określenie tego, na co patrzył.



Na pieczarę niczym kaskada wody zaczęło opadać coś w rodzaju fosforyzującej kurtyny. Odłamki lodu przestały spadać im na głowy. Przestał się też osypywać śnieg. Jenkinsowi brakowało słów, aby to opisać. To coś było delikatne, bez wyraźnych brzegów. Jedwabny szal, eteryczny i nieskończony, który sprawiał wrażenie zrodzonego z promienia wysłanego z nieba. Chociaż wydawał się taki wiotki, był rozpięty na twardych elementach, jakby na poprzeczkach przytwierdzonych do czegoś większego, co było w stanie się składać i kołysać z wiatrem.

Zanim pułkownik Allen i doradcy amerykańskiego prezydenta zdążyli zareagować, ta cieniutka błonka zaczęła się przesuwac, przenikając przez każdego z ludzi uwięzionych przez elektryczne „pająki”. Jakże dziwnie było patrzeć, gdy przechodziła przez ich ciała! Widać było przez nią ciemną masę arki, stół wezwań i wygaszony wielki ekran telewizyjny... ale – i to ich przeraziło – nie ludzi, których wchłaniała.

Pierwszy zniknął William Faber.

Następnie jego syn.

Potem Duchok, chłopak z wytatuowanym na policzku węzem, pilot śmigłowca, drałgal o bujnej czuprynie i jego osobliwa towarzysza.

I wreszcie to coś z ewidentną determinacją, jakby najlepszy kąsek zostawiło sobie na sam koniec, skierowało się ku Julii.

– Kamienie! – wrzasnął Tom, widząc, że błonka zmierza ku noszom. – Nie może ich zabrać!

Dla pułkownika te słowa były niczym cios w splot słoneczny. Poderwał się i podniósłszy automat, plunął z niego ołowiem w sunącą kurtynę.

Po co to zrobił?

Przez kurtynę przeszedł dreszcz w zetknięciu z gorącym metalem. Wydęła się. Skurczyła. I zwinęła w ułamku sekundy, akurat gdy lodowcem znowu potężnie wstrząsnęło. Lodowe ściany runęły częściowo, dokoła zapanował kompletny chaos.

– Wali się! – wrzasnął Allen.

– Wiejemy! – odkrzyknął Tom. Razem podpełzli do Ellen. – Allen, bierz Julię! Bierz ją, na Boga!

Julia Álvarez tkwiła przywiązana do noszy, nie kontaktując z rzeczywistością. A na wprost niej wyzywająco rozwierała się ściana arki, odsłaniając mroczną czeluść zmarzniętego od wieków wnętrza. Allen wolał nie zaglądać do środka. Jeśli skamieniała powłoka łodzi runie na Hiszpankę, Nick straci pierwszą znaną mu osobę zdolną władać adamantami. Tego Michael Owen nigdy by mu nie wybaczył.

Bez namysłu rzucił się ku niej. Musiał ją uratować.

## ROZDZIAŁ 99

Obudził mnie chłód. Kąsający suchy ziąb spowijał mi ręce i zaczynał obejmować całe ciało. Pod wpływem jego niemiłego dotyku wyrwałam się z błogostanu, w którym sobie drzemałam. Po pierwszych dreszczach ogarnęło mnie przykre uczucie, że mam mokre włosy, i pewność, że albo temu jakoś zaradzę, albo szybko zamarznę.

Co gorsza, kiedy wreszcie otworzyłam oczy, przytłumiony blask dnia poraził mi siatkówkę, aż pociekły łzy.

Gdzie ja jestem?

Ostatnie, co pamiętałam, to przywiązywanie mnie do noszy i ciepły wzrok patrzącego na to Martina oraz polecenie, żebym się rozluźniła. Najwyraźniej straciłam przytomność, trzymając kamienie w rękach.

Kamienie!

Zacisnęłam pięści, aby je poczuć. Nie miałam ich. W palcach wyczułam jedynie śnieg.

Leżałam na wznak pod gołym niebem, nad sobą widziałam płaszcz szarej mgły spowijającej wszystko i nie potrafiłam zdecydować, czy powinnam się gdzieś przenieść czy też zostać na miejscu. Z jakiegoś powodu nie byłam w stanie myśleć. Głowę miałam otumanioną, pełną obrazów z dziwnego snu, w którym

byłam świadkiem opuszczenia drabiny Jakubowej. Idiotyzm. Bez pojęcia. Ale najbardziej wkurzające było to, że uporczywie wracał. Przypomniałam sobie tę opowieść z Księgi Rodzaju. Wizję patriarchy Jakuba, który patrzył, jak po drabinie wchodzą i schodzą świetliste istoty, po czym usłyszał głos Boga zapowiadającego, że ich potomstwo rozproszy się po całej ziemi. Znałam dobrze tę historię, ponieważ oglądałam wiele jej przedstawień w kościołach i czytałam o niej w utworach literackich. I chociaż nie miałam pojęcia, dlaczego tak natrętnie mnie prześladowuje, odnosiłam dziwne wrażenie, że wydarzyła się na moich oczach.

Że naprawdę widziałam drabinę.

A nawet idących po niej aniołów.

– Otworzyła oczy! Patrzcie! – rozległ się tuż obok przyjazny głos, ledwie mrugnęłam.

– Julio! Całe szczęście!... Jak się czujesz?

Zobaczyłam nad sobą twarz Ellen Watson. Patrzyła na mnie jak na rybkę w akwarium. Na głowie miała popielatą wełnianą czapkę, szalem owinęła szyję aż po uszy, tak że ledwie można było ją rozpoznać. Znajdowaliśmy się pod gołym niebem. Nie w pieczarze lodowca. To mnie jednak mniej zaskoczyło niż obcy facet, który wychylał się zza Ellen. Koniec nosa miał czerwony z powodu niskiej temperatury, a policzki, wargi i podbródek mocno ściągnięte z zimna. Wyglądał młodo. Patrzył na mnie z szacunkiem, który zniknął, kiedy z telefonem komórkowym przy uchu przestał się mną interesować.

– To jest Tom Jenkins – wyjaśniła Ellen. – Pracujemy razem dla prezydenta. Próbujemy podać nasze współrzędne przez telefon, żeby nas stąd wyciągnęli. Burza słoneczna załatwiła część

satelitów, dlatego są problemy z nawiązaniem połączenia...

– Burza słoneczna?... Jaka burza?... – wyjąkałam, próbując się podnieść. Zauważyłam, że nie jestem już przywiązana pasami do noszy.

– Nie ruszaj się, proszę – powstrzymała mnie Ellen, biorąc za rękę. Zaniepokoiłam się jej miną. – Nie wiemy na razie, czy nie masz jakichś obrażeń.

– Obrażeń???

Kiwnęła głową.

– Niczego nie pamiętasz, prawda?

Pokręciłam głową zdumiona.

– Nicholas Allen. – Wypowiedziała to nazwisko, jakby parzyło ją w usta. – Wiesz, kto to jest?

– Jasne... Poznałam go w Santiago. Był ze mną, kiedy Artemi Duchok i jego ludzie mnie porwali.

– To on cię wyciągnął z lodowca. Mniej więcej godzinę temu pieczara się zawaliła w czasie trzęsienia ziemi, ale pułkownik zdążył cię wynieść. Masz szczęście, że ten człowiek nie zna strachu przed śmiercią...

– Och... Powiedziałaś: trzęsienie ziemi?

Pytanie wyrwało mi się z głębi serca. Może w pierwszej kolejności należało podziękować Allenowi, który wyciągnął mnie z kłopotów, ale mój mózg ciągle nie był w stanie oszacować tego, co się stało.

– Tak. I to silne – przyznała Ellen bez cienia wyrzutu w głosie. – Uważamy, że było powiązane ze zmianą w natężeniu pola magnetycznego spowodowaną przez twoje kamienie i wzmocnioną przez burzę protonów z erupcji słonecznej... Tej samej, która pozbawiła nas satelitów.

Słuchałam, nic nie rozumiejąc.

– Gdzie kamienie?

– Przepadły pod lodowcem.

– A arka?

– Też.

Ledwie miałam odwagę zadać następne pytanie.

– A... Martin?

Reakcja Ellen była podszyta strachem. Dziewczyna odwróciła błyszczące oczy, jakby musiała uważnie dobierać słowa.

– Zanim wszystko zaczęło się sypać, w pieczarze stało się coś... dziwnego... – zaczęła z wahaniem. – Kamienie nadawały niesamowicie mocno. Do pieczary zeszła taka mgła z nieba i...

– Co z Martinem? – powtórzyłam.

– To coś wchłonęło Martina. Zniknął.

Serce podeszło mi do gardła. Tom i Ellen ani drgnęli, czujnie patrząc, co teraz zrobię. Nic nie zrobiłam.

– A pułkownik Allen?

– Trochę poturbowany. Sponiewierało go, kiedy cię ratował, ale czuje się dobrze.

– Co... z pozostałymi?

– Wszystkie anioły zniknęły.

– Jak to?

– Duchok, Daniel Knight, Sheila... wszyscy. Mgła ich zabrała.

– Drabina!

– Proszę?

– Drabina Jakubowa – wyszeptałam. – Ona ich zabrała. Boże drogi!... – Zorientowałam się, że słowa mnie dławią, gdy myślę o losie Martina. – Udało im się. Nie rozumiesz? Dopięli swego... Stało się to, o czym marzyli.

– Dopięli swego? Czyli czego? – Jenkins skulił ramiona, jakby sam już nie wiedział, o co w tym wszystkim biega. Przypuszczam, że oboje się spodziewali, że zacznę płakać czy coś w tym stylu.

– Julia ma rację. Oni wrócili do domu, Tom – wspomogła mnie Ellen.

– O Jezus, obydwie was pogięło. Obydwie – wymamrotał, z nadzieją sprawdzając, czy telefon satelitarny ma zasięg. – To cholerne trzęsienie ziemi odebrało wam rozum.

## ROZDZIAŁ 100

W Gabinetcie Owalnym białego domu panowało wrzenie. Od rozmowy z Andrew Bollingerem prezydent nie stracił ani minuty. Ludzie z obsługi usunęli ze środka gabinetu wygodne białe sofy chester i w zamian ustawili stół z monitorami, dzięki którym prezydent mógł rozmawiać nawet z pięcioma centrami strategicznymi równocześnie. „Czekać i modlić się”, wspomniał. Castle wydał szczegółowe rozkazy, o których jeszcze nie poinformowano Rady Bezpieczeństwa Narodowego, w związku z czym odrzucił sugestię, aby skorzystać z *situation room* w podziemiach budynku, gabinetu dowodzenia przygotowanego na okoliczności wyjątkowe. Takie jak ta.

Gabinet Owalny był znacznie lepszy. Bardziej odizolowany.

Teraz, siedząc za stołem, prezydent mógł widzieć, co się szykuje w centrum monitorowania satelitów w Goddard Space Flight Center, w obserwatorium dysponującym gigantycznym teleskopem w Socorro, w Narodowym Biurze Rozpoznania, a nawet w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Wszyscy od blisko pół godziny bez mrugnięcia wypatrywali tego, co się działo w jonosferze. W większym lub mniejszym stopniu każdego z pracowników tych instytucji wtajemniczono w istnienie kamieni, a także w operację Eliasza. Podobnie jak sekretarza obrony i wiceprezydenta, którzy



stali przed monitorami, dziwiąc się na równi ze swoim szefem.

Póki nie będzie znana skala kryzysu, lepiej działać ostrożnie, uznał Castle.

Andrew Bollinger – chyba najgorzej poinformowany wśród tej niejednorodnej grupy osób – swoją prognozą trafił w dziesiątkę. Dlatego on także się tu znalazł. I dlatego każdy z obecnych wyczekiwał jego ostatecznej diagnozy sytuacji. Deszcz protonów, który jego zdaniem miał dotrzeć do Ziemi z prędkością znacznie większą od normalnej, już bowiem uderzył z całą mocą w górę Ararat.

– I co, doktorze? – zagadnął Castle, z rozmysłem zwracając się do przyjaciela oficjalnie. – Burza już tu jest. Co będzie dalej pańskim zdaniem?

Bollinger odchrząknął.

– Nie było jeszcze burz magnetycznych tej kategorii, sir. Ostatnia duża, ta z marca osiemdziesiątego dziewiątego, była szesnaście razy słabsza i spaliła wielkie generatory, załatwiła nam dwa satelity wojskowe i nieokreśloną liczbę sowieckich orbiterów. A przede wszystkim pozbawiła prądu sześć milionów Kanadyjczyków. Tym razem będzie gorzej. Dużo gorzej.

– Bilans dotychczasowych strat? – zapytał Castle ludzi widocznych na pozostałych monitorach, nie dziękując nawet Bollingerowi za wypowiedź.

– Doktor Bollinger ma słuszość, sir – zabrała głos czarnoskóra kobieta koło pięćdziesiątki zasiadająca w pomieszczeniu Centrum Goddarda. – Pierwsza wielka fala protonów sprawiła, że trzynaście procent satelitów komunikacyjnych straciło łączność z Ziemią albo ma bardzo duże kłopoty. Zgodnie z naszymi wyliczeniami takie straty w orbiterach mogłyby spowodować wzrost aktywności Słońca

o pół procent.

– Jakich innych skutków burzy możemy się spodziewać, doktorze Scott?

Edgar Scott, ukryty za grubymi plastikowymi oprawkami okularów, siedząc w aseptycznym pomieszczeniu Narodowego Biura Rozpoznania, zabrał głos z ociąganiem.

– Nie mamy żadnych punktów odniesienia, żeby dokonywać takich szacunków, sir. Ale jeżeli ten wyrzut protonów potrwa dłużej... – zawahał się. – Cóż, na pewno transmisje na falach krótkich i łączność za pośrednictwem nadajników radiowych zostaną całkowicie przerwane. Trzeba szybko skalkulować wpływ burzy na pole magnetyczne Ziemi. W tej chwili mamy wyraźne zorze polarne na szerokościach bardzo odległych od bieguna północnego. Moim zdaniem, jeśli oczekuje pan mojej opinii, w krótkim czasie dojdzie do skażenia radioaktywnego dużych obszarów. A potem wiadomo: schorzenia narządu wzroku, nowotwory skóry, mutacje roślin, zaburzenia w łańcuchu pokarmowym... i tym podobne.

– To jak trzeci upadek, który przepowiedział prorok Elias, sir – wtrącił Michael Owen ze swojego umeblowanego mahoniem biura w Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. – Zabójcza plaga biblijna.

– Trzeci upadek?

– Hm... panie prezydencie, nie chcę wyjść na tego, który najbardziej kracze, ale w przepowiedniach tego proroka czytamy, że po potopie kolejny koniec świata przyjdzie do nas za sprawą ognia. Trudno tu chyba o trafniejszą metaforę. Opisuje dokładnie to, co załatwiło nam właśnie Słońce, nie uważa pan?

Na twarzy Castle'a pojawiło się napięcie.

– Wie pan coś o przepowiedniach Indian Hopi?

Afroamerykanin przybrał stosowną minę, tymczasem prezydent zauważył, że na sąsiednim monitorze jego przyjaciel Andrew poruszył się niespokojnie.

– No tak... – westchnął Roger Castle. – Byłem gubernatorem Nowego Meksyku i dużo miałem z nimi do czynienia. Chodzi o to, że Hopi, podobnie jak inne ludy amerykańskie, na przykład Majowie, wierzą, że ludzkość skazana jest na zagładę od czasu do czasu, jeśli nie zasłuży na łaskawość bogów. Według Hopi żyjemy w czwartym świecie. Trzy poprzednie zniszczyły ogień, lód i woda. I chociaż niestety o ostatnim kataklizmie wiemy tylko z przekazów ustnych, wygląda na to, że ogniem ludzkość została potraktowana już co najmniej raz...

– Jestem wierząca, panie prezydencie – powiedziała kobieta z Centrum Goddarda. – I wiem, że przy ostatnim upadku, czy jak tam pan to nazywa, otrzymaliśmy pomoc bezpośrednio od opatrności.

– Słuszna uwaga.

– Dziękuję, sir.

– Rzecz w tym, że to, co stoi w Piśmie Świętym, antropologowie znaleźli także w dwustu siedemnastu opowieściach o potopie na pięciu kontynentach. I w żadnej nie ma mowy o tym, że jeśli coś podobnego znowu się powtórzy, będziemy mogli liczyć na jakąś pomoc. Jesteśmy sami wobec tego doświadczenia. Musimy mu stawić czoło i działać stosownie do okoliczności.

Michael Owen wygłosił tę uwagę ze zgnębioną miną. Castle potrafił sobie wyobrazić, co się dzieje w jego głowie. Najnowszy cel projektu Eliasza – nawiązanie kontaktu z „Najwyższą Instancją”, zanim nadejdzie globalny kataklizm, i poproszenie jej o pomoc – spalił na panewce. Inni ich prześcignęli, on zaś nijak nie mógł temu

zapobiec.

– Jeśli tak silne bombardowanie protonami potrwa jeszcze przez kolejne dwanaście godzin – wtrąciła kobieta z Centrum Goddarda – Stany naprawdę mocno ucierpią i nikt nas przed tym nie uratuje.

– Ha! Kto to z państwa mówił o pomocy boskiej? – Edgar Scott zerknął nerwowo na coś, co znajdowało się poza zasięgiem kamery, przed którą siedział. Jego odpowiedzi sprawiały wrażenie, że albo nie uważa na to, co się mówi, albo sygnał wideokonferencji dociera do niego z opóźnieniem. – Mielicie na myśli arkę Noego czy taką łódź, jaka jest opisana w „Eposie o Gilgameszu”?

– Tak... coś w tym rodzaju – mruknął postawny dyrektor NSA. – Ale przed tym nic takiego nas nie uratuje.

– Cóż... – Scott wyraźnie się ożywił. – No... może jednak...

Prezydent poczuł, że traci cierpliwość. Scott wydawał się rozkojarzony. Jakby oprócz rozmowy prowadzonej pięcioma kanałami skupiał uwagę na czymś jeszcze.

– Co pan ma na myśli, doktorze Scott?

– Więc tak... HMBB właśnie nam przesłał bezpośrednio świeże dane o „emisji X” z góry Ararat. Wszystko niestety potoczyło się tak szybko, że nie zdążyliśmy zmienić mu orbity, by nie przelatował nad północnymi rejonami Turcji. I oczywiście nie wydaliśmy mu polecenia, by przestał śledzić częstotliwość, na której nadawały kamienie. Satelitę mógł trafić szlag, tymczasem on dalej działa, toteż...

– Toteż?... – w oczach Owena widniała niecierpliwość. – Niechże pan przestanie owijać w bawełnę i mówi wprost!

– HMBB działa. I nadal prowadzi odczyty ze szczytów Araratu.

– Działa? Na pewno? – Kobieta z Goddarda obróciła się do któregoś z asystentów, na migi polecając, by natychmiast

zweryfikowano tę osobliwość.

Scott zdjął okulary i nerwowo przetarł oczy. Na twarzy miał powagę.

– Owszem. Właśnie przesłał informację o wstrząsie sejsmicznym o sile sześciu i trzech dziesiątych stopnia. Doszło do niego w miejscu, gdzie wznosi się najwyższy szczyt tego pasma. I jeszcze coś: sygnał kamieni znikł... Chmura plazmy też!

Przez moment pięcioro rozmówców milczało.

– Deszcz protonów ustał? Jest pan pewien? – zapytał wreszcie Castle.

– Tak, panie prezydencie.

Roger Castle nie zdążył odetchnąć z ulgą. Nagle zawibrował jego szyfrowany telefon komórkowy leżący na stole. W tych okolicznościach nie zawracałby sobie nim głowy, lecz zelektryzowało go nazwisko, które się pojawiło na wyświetlaczu. Oznaczało bowiem kolejne dobre wieści. Wystarczyło odczytać cyfrowy identyfikator tego, kto usiłował się z nim połączyć.

„Thomas Jenkins. Połączenie przychodzące”.

## ROZDZIAŁ 101

Rozmowa trwała ledwie trzy minuty. Sto osiemdziesiąt sekund serdeczności i radości, którymi natychmiast zarazili się pozostali. Jeszcze nie znając jej szczegółów, Nick i Ellen uściskali się jak starzy przyjaciele. Tomowi udało się połączyć z prezydentem Stanów Zjednoczonych, który obiecał, że przyśle po nas specjalną ekipę. Wyglądało na to, że na zielonych terenach w okolicach Yenidoganu znajduje się baza nasłuchowa NATO, która natychmiast zorganizuje akcję ratunkową. W ciągu trzech, czterech godzin dotrze do nas wyspecjalizowany oddział wysokogórski i zabierze nas z powrotem do cywilizacji. Była to najlepsza wiadomość, jaką Jenkins otrzymał, odkąd podniecony jak dziecko odkrył, że jego telefon wreszcie ma zasięg.

Amerykanie omal nie skakali z radości.

Ja natomiast ciągle próbowałam dojść do siebie.

Za nic nie mogłam pojąć, w jaki sposób wydostałam się z lodowca ani co się stało z aniołami. Z nami nie było żadnego. Chyba tylko mnie się nie spieszyło, by opuścić Ararat. Bardziej byłam zainteresowana czym innym: chciałam przebić wzrokiem mgłę, próbując sobie wyobrazić, gdzie się podział strzaskany lodowiec, w którym widziałam Martina po raz ostatni.

Nie udało mi się dojrzeć zwałów lodu.

Zmysły ciągle miałam otepiałe. Strzępki obrazów i wrażeń przewijały mi się w głowie jak element źle ułożonej łamigłówki. Widziałam Williama Fabera wewnątrz jakby promiennego kokonu. Artemiego Duchoka z ekstazą na twarzy i nastroszonymi wąsami. Martina unoszącego się ku wirowi złożonemu z delikatnych barw, otulonego spokojnym krzepiącym światłem. W oczach miał szczęście i wdzięczność. Kiedy skierował wzrok na mnie tuż przed tym, jak to coś go pochłonęło, zauważyłam, że pierś mu wezbrała niewysłowioną wdzięcznością. Ani przez chwilę nie czułam strachu czy niepokoju, gdy patrzyłam, jak znika. Był – tak sobie powtarzałam raz po raz – dokładnie tam, gdzie chciał być. „Twój dar sprawił, że kamienie przemówiły”, wydało mi się, że słyszę.

– Twój mąż, Julio, był wyjątkowym człowiekiem... – wyrwał mnie z zamyślenia Nicholas Allen.

Zwrócił się do mnie po imieniu, a ton, jakim je wymówił, zelektryzował mnie.

Powiedział to, aby mnie pocieszyć. Jakby Martin zginął pod lodowcem i jakby on, Allen, czuł się w obowiązku złożyć mi kondolencje. Ja tak nie uważałam. Przeciwnie. Popatrzyłam na pułkownika z wyraźnym zadowoleniem, dając mu do zrozumienia, że w moim sercu nie ma miejsca na ból po stracie męża. Nie byłam natomiast w stanie określić, jak głębokie zmiany dokonały się we mnie w czasie tych minut spędzonych pod wpływem energii wydzielanej przez adamanty. Złość i niechęć, które do tamtej chwili żywiłam do Martina i jego towarzyszy za to, że tak mnie wykorzystali, przeobraziły się w akceptację i uszczęśliwienie. A nawet we wdzięczność. Jakimś sposobem pojęłam, że nawiązanie przez anioły łączności z domem było oczekiwane. Że niszcząca energia, która w nas uderzyła, została w samą porę skanalizowana

za sprawą ich prośby. Że pradawna drabina Jakubowa rozłożyła się po raz pierwszy od czterech tysięcy lat, aby zabrać Martina i jego towarzyszy. I że ci potomkowie zdradzieckich aniołów, wygnańcy przeniknięci tęsknotą spłacili tym czynem stary dług wobec naszego rodzaju.

Przyznaję, może takie myślenie nie miało sensu. Byłam przecież ciągle w stanie ducha i umysłu mocno nadwreżonym przez to, co przeżyłam. Ale w tamtej chwili przyniosło mi ukojenie.

– Julio! – zagadnęła Ellen takim tonem, jakbym o czymś zapomniała. – Powinnaś podziękować pułkownikowi. Uratował ci życie.

– To nic takiego... – bąknął stropiony Allen.

Ellen Watson zmarszczyła nos, spoglądając raz na mnie, raz na niego.

– Czyżby? Musisz wiedzieć, że pułkownik zdołał cię wydobyć z pieczary, bo pod nosze podłożył narty z włókna szklanego.

– Pomyślałem, że jeśli odizoluję cię czymś od podłoża w grocie, pole elektryczne przestanie cię więzić.

– Podziałało i żyjesz – podsumowała Ellen z dumą.

– Przykro mi, że nic nie mogłem zrobić dla Martina. – Allen spuścił wzrok. – Naprawdę mi przykro. Tak samo jak ty miałem do niego mnóstwo pytań.

– Dla Martina? – Uśmiechnęłam się od ucha do ucha. – A co byś na przykład zrobił?

Allen popatrzył zaskoczony.

– Nie jesteś smutna, że umarł?

– To nie tak. Znasz historię Henocha i Eliasza? – zapytałam.

– Jasne. – Stary żołnierz w lot pojął, co mam na myśli. – Obaj trafili do nieba, ale nie musieli przejść przez śmierć. Ale chyba nie



wierzysz, że Martin i jego ludzie...?

– Właśnie w to wierzę, Nick. Właśnie w to.

## ROZDZIAŁ 102

### SANTIAGO DE SOMPOSTELA, HISZPANIA, TRZY DNI PÓŹNIEJ

– Ależ z ciebie frajer, Antonio!... Patentowany!

Twarz Marcela Muñiza zdecydowanie poczerwieniała po trzecim piwie i drugim półmisku ośmiornicy *a feira*, którą się raczył ze swoim przyjacielem inspektorem. Jubiler był jedynym niezamieszanym służbowo w „sprawę Faberów” przyjacielem, przed którym Antonio Figueiras mógł się wywnętrzyć.

– Czy ty tego nie widzisz, chłopie? – ciągnął Marcelo. – Mówisz, że Julia Álvarez wróciła z wycieczki do Turcji, i czujesz się dotknięty, że pierwszą osobą, z którą się umówiła na spotkanie, jest ksiądz Fornés, a nie ty.

– A gdzie tu widzisz frajerstwo?

– Przecież ta baba pracuje dla czarnych!

– Ale ja reprezentuję władze!

– Restauruje katedrę – dorzucił Muñiz. – Jest lojalna wobec nich, nie wobec policji, nie rozumiesz? I chociaż Bóg jeden wie, co widziała, jak ją tam trzymali, tobie o niczym słowa nie piśnie bez zgody swoich szefów w sutannach. I nie wiń jej za to – zaśmiał się.

– Chodzisz taki zapuszczony, że ja też bym wolał nie mieć z tobą do czynienia.

– O co ci znowu biega?

– Popatrz na siebie, chłopie. Tygodniowy zarost, worki pod oczami niedługo sięgną kolan, nawet szczęka ci opada. Ta sprawa cię dobija.

– Już nie mam sprawy... – powiedział Figueiras z taką miną, jakby mu wrywali ząb.

– Jak to? Ta dziewczyna ma ci sporo do opowiedzenia. Oczekaj parę dni i zadzwoń znowu...

– Dzwoniłem dziś rano. Czwarty raz, odkąd wróciła. Powiedziała, że ma spotkanie z dziekanem katedry... – Figueiras zerknął na zegarek – właśnie teraz.

– No to powinienes ją zmusić – stwierdził Muñiz, wkładając kolejny kawałek ośmiornicy do ust. – Dziewczyna była w Noii świadkiem zabójstwa czterech ludzi. Czterech amerykańskich komandosów, nie? Załatw jej nakaz i po ptakach.

– Żeby to było takie łatwe! Dochodzenie prowadzi teraz NATO. Nam podziękowali.

– Poważnie? A ty tu siedzisz tak spokojnie?

– Grzecznie poprosili, żebym przypadkiem nie węszył. Rozkaz przyszedł z MSZ. Nic nie mogę zrobić, stary.

– Kurwa!

– Amerykanie zapłacą za naprawy w kościele w Noii i złożą szczerą darowiznę miasteczku. Dadzą też kasę wdowom po gliniarzach zastrzelonych w Santiago. Za to mówią, że żadnych tropów nam nie podsuną, póki sami nie rozwiążą sprawy.

Tajemnica śledztwa. Skurczygnaty.

– Nie wydaje ci się to dziwne?

– To jest dziwne, Marcelo. Zabrali mi dochodzenie. Chociaż coś ci powiem: nie to jest najdziwniejsze w tej sprawie.

– Nie?

Figueiras jednym haustem osuszył kufel do dna, jakby ten prosty gest miał umożliwić zapomnienie o skumulowanych żalach.

– Nie. – Powstrzymał beknięcie. – Bo wiesz, co pierwsze zrobiła Julia po powrocie do Hiszpanii? Zaszła na komisariat policji na lotnisku i wycofała zgłoszenie zaginięcia męża, które złożyliśmy z urzędu.

Marcelo nerwowo zabębnił palcami po blacie stołu.

– Powiedziała dlaczego?

– W formularzu wpisała, że spotkała się z nim w Turcji i że tam postanowili się rozejść za obopólną zgodą.

Muñiz poprawił sobie muszkę z miną świadczącą, że nie do końca to rozumie.

– Wierzysz jej?

– Sam nie wiem – mruknął inspektor. – Nie rozumiem kobiet. Są dziwniejsze niż te twoje historie o talizmanach i symbolach.

– Chłopie! Skoroś o tym zaczął: wiesz, co się stało z kamieniami?

– Pewnie zostały u niego. To kolejny temat tabu. Nikt o tym nie chce rozmawiać.

– A ta Julia wyjaśniła, dlaczego ją uprowadzili do Turcji?

– Ha! To jest najlepsze: teraz mówi, że wcale jej nie uprowadzono. Że zabrali ją na jej prośbę. Jedyne, o co ta facetka mnie poprosiła, to żebym wycofał też zgłoszenie jej porwania. Tego samego zażądało ministerstwo. Nawet ambasada amerykańska rozmawiała z komendantem, żebyśmy im przekazali akta sprawy Faberów!

– A Julia powiedziała ci przynajmniej, co porabiała w tej Turcji?

– A jakże, powiedziała – odparł Figueiras. – Szukała arki Noego. Kurwa mać, Marcel, głupszego kłamstwa już nie mogła wymyślić.

No powiedz sam: czy taka wielka specjalistka od Portyku Chwały, restauratorka galisyjskiej sztuki romańskiej, może czegoś takiego szukać?

– Nie... I też nie umiem sobie tego wytłumaczyć.

## ROZDZIAŁ 103

Nigdy nie myślałam, że takie to będzie dla niego ważne.

Nieduże oczka ojca Fornésa wypełniły się łzami, kiedy skończyłam mu relacjonować, co porabiałam przez ostatnie dni. Nie zauważył nawet, że mu zwilgotniały, a jasne tęczęwki się roziskrzyły. Nie z rozpaczy ani smutku, ale też nie z radości. Były to po prostu łzy wdzięczności. Jakby za pośrednictwem moich słów poczciwy dziekan zaznał pociechy, której szukał od lat.

Spotkałam się z nim czym prędzej ze względów sentymentalnych. On pierwszy zainteresował się mną – a nie kamieniami – kiedy wróciłam do Santiago. Zostawił mianowicie w skrzynce pocztowej kartkę z prośbą, żebym zadzwoniła, jak tylko będę mogła. Jego gest mnie ujął. Droga powrotna do Hiszpanii była usiana trudnościami. Czulałam się wykończona i pozbawiona złudzeń po szesnastu godzinach załatwiania formalności celnych i konsularnych związanych z wyjaśnianiem, dlaczego nie zabrałam ze sobą paszportu, nie wspominając o cennym czasie straconym w jednostce powietrznej numer 6 NATO w Yenidoganie na przekonywaniu, że nie mogę oddać żadnego starożytnego skarbu technologicznego, bo go nie mam. I nie mówiąc o locie samolotami rejsowymi z dwiema przesiadkami, zanim dotarłam do domu.

I jeszcze ta sensacja.

Ararat pochłonał wszystko. Łącznie z moim mężem.

Czytając liścik dziekana – jedno zdanie na wizytówce: „Przyjdź do mojego biura, mam dla Ciebie odpowiedzi” – pomyślałam, że ojciec Benigno pomoże mi zacząć wszystko od nowa.

Ku mojemu zdziwieniu umówił się ze mną przed drzwiami katedry o ósmej, niedługo przed zamknięciem dla zwiedzających. Oczywiście chciał posłuchać szczegółowo o tym, co się działo, lecz nie wywierał na mnie presji. Potrafił sobie wyobrazić, przez co musiałam przejść, i cierpliwie czekał, aż sama zdecyduję się zacząć. Więc powiedziałam, że tak. Że z radością o wszystkim opowiem. Mówienie o tym dobrze mi robi. Pomoże mi uporządkować sobie w głowie to, co zaszło między nocną strzelaniną a ostatnimi chwilami w lodowcu. I zadziało, ponieważ dziekanowi nic, co powiedziałam, nie wydało się fantastyczne czy przesadzone. Nawet opowieść o potomkach upadłych aniołów i ich rozpaczliwym dążeniu do nawiązania kontaktu z niebem. Jako człowiek rozważny i niemający wiele do stracenia, zgodził się ze mną, że „siła”, która objęła nas wszystkich na świętej górze w Turcji, musiała faktycznie mocno nawiązywać do drabiny Jakubowej.

Nie spodziewałam się natomiast – zaklinam się na wszystkie świętości, że nawet mi to przez myśl nie przeszło – że stary duchowny otworzy się przede mną i wyłoży mi swoją wizję tego, co zaszło.

– Ja stoję już nad grobem, Julio, i uważam, że nie powinienem dłużej skrywać swojego drobnego sekretu – rzekł cicho. Byliśmy sami, w katedrze panowała tak przejmująca cisza, aż żal było ją mieć.

– Sekretu? Jakiego znowu sekretu?

– Jego wartość wiąże się nie z posiadaniem, tylko z

umiejętnością użycia.

Oczywiście nie miałam pojęcia, co dziekan ma na myśli.

– Wiesz, dlaczego tyle razy wspierałem cię na duchu podczas prac przy Portyku Chwały? – Ksiądz Benigno wziął mnie za rękę i poprowadził do rusztowań oraz moich komputerów, które stały tak, jak je zostawiłam pięć dni wcześniej. Jakby w tym miejscu czas się zatrzymał. Jakby wszystko, co się wydarzyło, nie było rzeczywiste. – Zawsze dzielnie broniłaś swoich przekonań, córko. Wierzyłaś, że na niszczenie portyku ma wpływ coś tellurycznego, jakaś niewidzialna siła, która emanuje z ziemi i którą się czuje, chociaż jest z nią jak z wiarą: nie można udowodnić jej istnienia. Widziałem, jak się spierasz z Komitetem Naukowym Fundacji Barriego, wypruwasz z siebie flaki w jałowych dyskusjach, i zastanawiałem się, kiedy przyjdzie chwila, że będę mógł ci powiedzieć wszystko, co wiem. I pomóc wykazać tym urzędasom, których interesuje tylko waga i wielkość, jak bardzo się mylą, odrzucając twoje twierdzenia... No i właśnie... – westchnął. – Właśnie ten czas nadszedł.

Ojciec Benigno kroczył zdecydowanie. Kościół zupełnie opustoszał, tylko ekipa prywatnej firmy ochroniarskiej zatrudnionej przez kapitułę katedralną robiła regulaminowy obchód kaplic i wszelkich zakamarków w nadziei, że jeszcze przed dziewiątą będzie można włączyć wolumetryczne urządzenia alarmowe.

– Popatrz na to cudo, Julio – rzekł ojciec Benigno, wskazując Portyk Chwały. – W rzeczywistości nie powinno go tu być.

– Ależ...

– Nie, nie, nie powinno – pokręcił głową. – Jak wiesz, mistrz Mateo zbudował go w roku tysiąc sto osiemdziesiątym ósmym pod



wpływem chciwej kapituły, której zależało tylko na przyciągnięciu tutaj jak największej liczby pielgrzymów. Ówczesni decydenci kierowali się wyłącznie chęcią wzbogacenia diecezji, chociaż za cenę wypaczenia duchowego sensu Szlaku Jakubowego. W tamtych czasach, Julio, w mieście panowały spore napięcia. Część duchownych nie godziła się na takie trywializowanie i postanowiła chronić prawdziwą rację istnienia tego miejsca. Niewiarygodne, córko, jak wiele ma to wspólnego z tym, co przeżyłaś. Zaraz ci wszystko wyjaśnię.

– Mówi ksiądz o szlaku? – Wzruszyłam ramionami. – Naprawdę wierzy ksiądz, że coś go łączy z tym, co opowiedziałam?

– Łączy.

– No to słucham.

– Aż do początków wieku dwunastego wielu z tych, którzy przemierzali Szlak Świętego Jakuba, miało świadomość, że przebywają trasę będącą wielką metaforą ludzkiego życia. Do dzisiaj człowiek lepszej nie wymyślił. Pielgrzymi wyruszali na wędrowkę we francuskich Pirenejach porośniętych bujnymi lasami, obfitujących w zieleni i wodę. To było odwzorowanie dzieciństwa. Potem z biegiem dni dojrzewali, podążając przez tereny bardziej płaskie i urodzajne La Riojy albo Aragonii. Ten etap odnosił się do młodości i wieku dojrzałego. Po wkroczeniu do Kastylii cały dotychczasowy wysiłek przemieniał się w proch. Sucha nierówna droga w Burgos i Leónie była idealnym odpowiednikiem starości i śmierci, dając pątnikom bezcenną lekcję o znikomości życia. Ale Julio, oni wszyscy wiedzieli, że po przebyciu Leónu czeka ich jeszcze jeden etap. Droga przez raj. Zachwyceni przemierzali O Cebreiro i wkraczali do Galicji porośniętej bujną zielenią i lasami z mnóstwem strumieni. Szli teraz w cieniu drzew, aż dochodzili do

Santiago i tutaj, po blisko ośmiuset kilometrach przebytych na nogach, właśnie w miejscu, w którym teraz jesteśmy, stawał się wielki cud.

Przebiegł mnie lekki dreszcz.

– Tutaj, moja droga. W tym portyku – rzekł, stukając obcasem w posadzkę. – Tylko że zanim powstało to, co oboje teraz podziwiamy, zanim mistrz Mateo przebudował portyk, widniał tutaj inny obraz stworzony przez tych, którzy obmyślili trasę Szlaku Świętego Jakuba. Jak pewnie się domyślasz, nie było tu wyrzeźbionej grupy zapowiadającej nadejście apokalipsy albo niebiańskiego Jeruzalem. Nie. Oczom pątników ukazywał się portal, który przywoływał o wiele bardziej transcendentalny symboliczny epizod: przemienienie Jezusa na górze Tabor i wstąpienie do nieba. Ten dawny portal był „fotografią w kamieniu”: uwieczniono niezwykle moment, gdy zmartwychwstały Jezus porzuca ciało i krew, z którymi wrócił z zaświatów, i przemienia się w boską światłość, żeby wejść do domu Ojca. Pielgrzymi po przebyciu szlaku od dzieciństwa do śmierci i dalej docierali tutaj i odkrywali, że oni także mogą się przemienić w światłość i nadal... żyć.

– Co się stało z tym portykiem?

– Rozebrano go i kamienie rozproszyły się po całej Galicji. Sekret, którym chcę się z tobą podzielić, Julio, jest bezpośrednio z nim związany. Dziekani tego świętego miejsca od wieków przekazują go sobie z bardzo ważnego powodu. Ten powód wyjaśnia, dlaczego przesłaś przez to wszystko i wróciłaś do punktu wyjścia.

Zauważyłam, jak bardzo ojciec Benigno jest przejęty, ponieważ wygładził sutannę i zrobił jeszcze krok w stronę zespołu

rzeźbiarskiego na portyku.

– Długo przed narodzinami Chrystusa, długo przed tym, jak zbudowano pierwszy kościół chrześcijański, to miejsce już było święte. Najpierw tajemnicze morskie ludy, a potem Celtowie wybrali te wzgórza przyciągani siłą, która z nich emanowała. Legendy mówią o gigancie, krewniaku Noego imieniem Tubal, który osiadł tutaj, aby oznaczyć swoją świętą ziemię. Zbudował wieżę w najświętszym jej punkcie i zabronił okolicznym mieszkańcom zbliżać się do niej w celu innym niż modlitwa do Boga. Podobne wieże wzniesiono w różnych miejscach na całym świecie. W Jerozolimie. W Rzymie. Na równinach Wiltshire. W Paryżu. Było to długo przed tym, jak nadaliśmy tym miejscom nazwy. Ale wszędzie ściągali tam ludzie wabieni obietnicą, że ze szczytu wieży można rozmawiać z Bogiem. Potem nadeszła epoka wieży Babel, która powstała w związku z takim samym dążeniem. Kiedy runęła, gniew Boży sprowadził potop, a wraz z nim doszło do zniszczenia starego świata. Potem ludzkość już nie była taka sama. Zapomniała wszystko, czego nauczyła się w złotych czasach, kiedy to synowie Boga dzielili się z nią swoją wiedzą, i wkrótce tylko w starych opowieściach i świętych księgach pozostał nam cień wspomnień o tym, co się wydarzyło.

Ojciec Benigno pociągnął mnie do trumeau w Portyku Chwały.

– Te wieże, droga Julio, nie były kaprysem mistyków. Rzeczywiście służyły do wysyłania poza Ziemię sygnałów, które docierały do Najwyższego. Ale można z nich było w ten sposób korzystać pod warunkiem, że miało się klucz materialny, kamień z nieba, *lapis exilis*, który ostatecznie w średniowieczu zaczęto nazywać Graalem, i drugi klucz duchowy, inwokację, słowo, które należało wypowiedzieć. W Santiago ostatnią zaszyfrowaną

instrukcję o użyciu tych kluczy zapisano w księdze prześladowanej przez Inkwizycję, słynnej wśród czarownic i heretyków, znanej jako grymuar świętego Cypriana. Mówiono, że jej oryginał spoczywa gdzieś w tej świątyni przymocowany łańcuchem... Ale nie będę zbaczał z tematu. Wszystko to są symbole, które należy odczytać. Starożytni uciekali się do nich, bo brakowało im słów na opisanie cudów, które czyniła wiedza złotych czasów, czasów sprzed potopu.

– Dlaczego ksiądz mi o tym opowiada?

Ojciec Benigno próbował wyprostować plecy.

– To proste, Julio. Jakimś sposobem na ciebie nie działają pradawne ograniczenia. Symbole odebrałaś jako coś oczywistego. Widziałaś mówiące kamienie. Schody do nieba. A nawet pośredników, którzy kierowali twoimi krokami. Ale do tego wszystkiego brakuje ci jeszcze znajomości jednej rzeczy. Ostatniej. Czegoś, o czym ci powiem, jakżeby inaczej! w miejscu, gdzie się zaczęła twoja przygoda...

– Czyli gdzie? – straciłam cierpliwość. – W miejscu, które Ormianie odkryli w Santiago w tę noc, kiedy była strzelanina? Przy znaku koło Drzwi Złotników?

– Och, nie. To coś lepszego – uśmiechnął się. – Jeśli się nie mylę... chociaż właściwie odkąd opowiedziałaś mi o wszystkim, wiem to na pewno... Otóż jazydzi i klan Faberów pół życia szukali starożytnych wież i próbowali je aktywować, odkrywając znaki, które stanowią część „klucza duchowego”. Tego, który należy poprawnie wypowiedzieć, żeby enklawa uruchomiła swoją energię. Ale nie. Nie o to mi chodzi.

– A o co?

– Od jak dawna pracujesz przy portyku, Julio? – Dziekanowi zabłyśły oczy. – Pół roku? Może więcej?

Kiwnęłam głową.

– I nigdy cię nie zastanowiła dziwna postać, która podtrzymuje trumeau Portyku Chwały?

– Oczywiście, że tak! Wszyscy historycy, którzy studiowali portyk, wspominają o niej w swoich pracach. Wiadomo od początku, że to nie jest postać z Nowego Testamentu. Na pewno – powiedziałam, patrząc w miejsce, o którym rozmawialiśmy.

Doskonale znałam tę figurę. Widziałam ją, ilekroć wchodziłam do katedry.

– Ciekawa, prawda? – Ojciec Benigno poklepał filar.

W dole zwykłej marmurowej kolumny wyznaczającej środek portyku znajdował się surowy mężczyzna z przyciętą w kwadrat brodą poskramiający dwa wyszczerzone lwy. Wykonano go w zupełnie innym stylu niż resztę zespołu i w tej części kolumny tylko jego wyrzeźbiono. Przyjrząwszy się bliżej, patrzący stwierdził, że to rzeźba całego człowieka wspartego na lwach, zaprojektowanego po to, aby reszta kompozycji wspierała się na jego barkach.

– To ważny symbol, Julio. Kolumnę, na której stoi rzeźba, wykonano z materiału niewystępującego w Galicji i przedstawiono na niej drzewo genealogiczne Jezusa od Adama do Pana Boga. Od ośmiu wieków każdy pielgrzym, który tu wchodzi, dotyka w tym miejscu kolumny i odmawia modlitwę dziękczynną. Do dziś ten gest oznacza dla pątnika koniec jego wędrówki do Santiago. Chwilę, w której rodzi się do nowego życia, bardziej uduchowionego. Ale przyjrzyj się dobrze dołowi kolumny: reszta jej trzonu opiera się na barkach postaci zupełnie nieznannej. Chcesz wiedzieć, kto to jest?

– Pewnie.

– Gilgamesz. Heros, który zapanował nad zwierzętami.

– Niemożliwe – obruszyłam się, starając się, by nie zabrzmiało to zbyt szorstko. – Gilgamesz nie jest postacią biblijną.

A w dwunastym wieku jego eposu nie znano na Zachodzie...

Tabliczki z tą opowieścią odnaleziono dopiero w dziewiętnastym.

– Niemniej to on. Chociaż wyda ci się to dziwne, ta rzeźba powstała z inspiracji mezopotamskiej, którą zastosowano w nieistniejącym już Portyku Przemienienia, i tam oczywiście była o wiele bardziej znacząca niż tutaj. Jak wiesz, ten król przez całe życia bez powodzenia wędrował za Utnapisztim, który przetrwał potop. Może tę opowieść usłyszał jakiś pielgrzym. I przejęty przyniósł ją tutaj, dostrzegłszy w niej pierwotną fundamentalną ideę naszej wiary.

– Nie rozumiem.

– To proste, Julio. Gilgamesz poniósł porażkę, próbując pokonać śmierć. Za to kilka tysięcy lat później udało się to komu innemu, człowiekowi, który był w połowie Bogiem. Nazywał się Jezus z Nazaretu i zatriumfował nad śmiercią w sposób niespodziewany: przeobraził swoje ciało fizyczne w światłość.

– I to jest ten księzca sekret?

– Część sekretu, córko. Cały sekret to światło. Symbol doskonały wszystkich otaczających nas tajemnic. Coś niewidocznego, co pozwala nam widzieć. Niewielka cząstka spektrum promieniowania elektromagnetycznego, które obejmuje wszystko co słyszalne, dotykalne i widzialne. Rozumieli to ludzie z czasów sprzed potopu. Tego światła szukał twój mąż. I znalazł je po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat. A to, Julio, oznacza, że coś się zmieniło na tym świecie...

– Chyba tylko siła grawitacji, struktura molekularna materii

Araratu. Sama nie wiem. A i to raptem na parę chwil. Wiem, że wejście Martina nastąpiło w trakcie silnej burzy słonecznej i że góra w tym czasie wchłonęła niewiarygodne ilości energii.

– I ciągle nie rozumiesz, o co mi chodziło, kiedy mówiłem o tych symbolach? – Uśmiechnął się. – To, co ja nazywam przemianą, wyniesieniem do domu Ojca, ty opisujesz naukowo jako pewien proces.

– A jakie to ma znaczenie? Stało się i już. Martin spełnił swoje marzenie. Wiem, że jest mu dobrze.

– Oj, Julio... – westchnął ojciec Benigno, ujmując moje dłonie i poklepując je. – Wiesz, dlaczego przedtem doprowadziłaś mnie do łez?

Popatrzyłam ciepło na staruszkę, nie mając śmiałości mu przerwać.

– Bo pięćdziesiąt lat temu mój poprzednik wyjaśnił mi, czym jest to miejsce, a ja nic nie rozumiałem. Naturalnie jego wytłumaczenie było symboliczne i w związku z tym mogłem je różnie interpretować. Stary dziekan katedry powiedział mi o tym Gilgameszu tutaj, co oznaczał dla ludzi potop, o zapomnianych wieżach i o tej technice przywoławczej, z której skorzystał sumeryjski heros, prorok Henoch czy Jezus z Nazaretu. On też wyjawiał mi, że pod Santiago mamy jedną z tych anten sprzed potopu. Myślałem wtedy, że to po prostu takie mistyczne bajanie. Ale kiedy się dowiedziałem, co cię spotkało, córko, uświadomiłem sobie znaczenie tego, co mi przekazał poprzednik. Wreszcie rozumiałem metaforę.

– I jaki wniosek ksiądz wyciągnął?

– Bardzo prosty, droga Julio. Że tylko anioł może przywołać Boga.

– Anioł?

Skrzywiłam się zawiedziona. W zasadzie nie to spodziewałam się usłyszeć.

– No, no, córko, nie bądź taka rozczarowana – rzekł ojciec Benigno. – Ostatecznie i ty, i ja też jesteśmy aniołami. A może cię nie uczono, że wszyscy jesteśmy owocem związku synów Bożych i ludzkich córek?

– Ksiądz i ja mielibyśmy być aniołami? – zaśmiałam się.

– A nie uważasz, że to wielki sekret?





# POSŁOWIE

Muszę przyznać, że nie jestem pisarzem, który stosuje zbyt ortodoksyjną metodę pisania. Od lat staram się osadzać swoje książki w rzeczywistych realiach historycznych, budować je na faktach możliwych do weryfikacji i dzielić się z czytelnikami fascynacją, w jaką mnie wprawiają odkrycia czynione podczas tego procesu. W przypadku *Upadłego anioła* przy różnych okazjach omal nie przypłaciłem życiem obsesyjnego dążenia do dokładności faktograficznej i prawdziwości opisów. Teraz sądzę, że było warto.

Na przykład nie mogłem postawić ostatniej kropki w tej powieści aż do października 2010 roku, kiedy to w końcu otrzymałem wymaganą zgodę władz tureckich na wejście na górę Ararat. Walczyłem z tym szczytem, który się wznosi na wysokość 5165 m n.p.m., przez trzy zimne, pełne trudu dni. „Góra Bólu” każdego ranka pokazywała mi swój ośnieżony szczyt zapraszająco. Ta prowokująca zachęta trwała jednak krótko. Aczkolwiek wystarczająco długo, żebym się rozkochał w jej malowniczym wierzchołku, zanim na nowo schował się w chmurach. Oczywiście był to nieodparty wabik, i chociaż dla udokumentowania powieści ryzykowałem skręcenie karku, mimo wszystko kontynuowałem wspinaczkę.

Już blisko szczytu, w dniu o magicznej dacie 10.10.10, na

wysokości prawie pięciu tysięcy metrów zrozumiałem wreszcie, dlaczego od tysiącleci ten nieczynny wulkan tak fascynuje ludzkość. Zwłaszcza w czasach kryzysu. Jego masywność, szlachetny wygląd i plątanina krętych ścieżek przysłużyły się zilustrowaniu głównych wątków fabuły, mimochodem wystawiając na próbę granice moich osobistych i literackich poszukiwań. Jeśli na tej planecie istnieje miejsce zasługujące na miano kryjówki arki Noego, a przynajmniej na skanalizowanie naszych marzeń o wybawieniu w obliczu nieszczęścia, na pewno jest nim Ararat.

Ale nie tylko święta góra Turków, Ormian i Kurdów jest rzeczywistym elementem fabuły tej książki. Zdjęcia CIA i z satelity Keyhole istnieją i od piętnastu lat są odtajniane dzięki wysiłkom George'a Carvera i Porchera L. Taylora z University of Richmond w stanie Virginia. Krater koło Hallaçu, położony bardzo blisko tureckiego posterunku granicznego, jest rzadkością ukrytą w strefie zmilitaryzowanej, otoczoną drutem kolczastym. Zwiedzanie go z kamerą na ramieniu przyplaciłem poważnym incydentem z udziałem tureckich żołnierzy.

Co się tyczy katedr w Eczmiadynie i Santiago de Compostela, a także starego kościoła z płytami nagrobnymi w Noii, to wznoszą się oczywiście w tych miejscach, które opisałem, i można je zwiedzać bez ograniczeń. Ten ostatni znajduje się na samym końcu Szlaku Świętego Jakuba, na północnym zachodzie Hiszpanii, ukryty w samym sercu miasteczka. Moja fascynacja silnym związkiem tego miejsca z Noem zrodziła się, kiedy się dowiedziałem, że starożytna legenda o założeniu Noii sytuuje wylądowanie arki Noego na pobliskiej górze Aro w górach Barbanzy. Oczywiście czytelnikowi nie umknie podobieństwo nazw Noia i Noe, Aro i Ararat, podobnie jak inne dziwaczne nazwy,

których używam w tej książce i które – co podkreślam – także nie są owocem mojej wyobraźni, nadane zaś zostały wielu miejscom na południu Europy, łącząc je z mitem o potopie z przyczyn zupełnie dla mnie niepojętych.

Na koniec, aby wszystko było jasne, dodam, że także odwołania do różnych utworów w tekście – od prac Johna Dee i Ignatiusa Donnelly’ego przez Księgę Henocha po *Epos o Gilgameszu* – są zgodne z rzeczywistością. Podobnie jak wzmianki o postaciach takich jak Joseph Smith, założyciel Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich, mistyk Georgij Iwanowicz Gurdzijew, malarz Mikołaj Roerich czy ogólnie jazydzi i Indianie Hopi.

Te wszystkie postacie wprowadziłem do jednej fabuły wyłącznie po to, aby zachęcić czytelnika do wejrzenia w subtelne więzy, które łączą wszystkie ludy i wiele religii, odkąd nasz rodzaj został potępiony przez Boga... albo bogów – zaofiarowano nam tym samym sposobność, może dar, przetrwania mimo kataklizmów i śmierci, zarówno kolektywnej, jak i jednostkowej. Aby tego dostąpić, wystarczy wierzyć.

A ja naturalnie wierzę w anioły.

# PODZIĘKOWANIA

Podczas pisania tej książki niezliczone osoby służyły mi bezinteresowną pomocą. Wszystkie były ważne w tym czy innym momencie, czuję się zatem w obowiązku dać temu dowód na papierze. Oprócz stałego wsparcia ze strony najbliższego otoczenia, czyli rodziny – wsparcia zawsze bezwarunkowego, silnego i bezgranicznie wielkodusznego – często czułem przy sobie anielską siłę moich redaktorek w Hiszpanii i Stanach Zjednoczonych: Any d’Atri, Diany Collado i Johanny Castillo. A także moich agentów, Antonii Kerrigan oraz Toma i Elaine Colchie. Do nich dopisuję: Judith Curr i Carolyn Reidy z nowojorskiego wydawnictwa Simon & Schuster oraz Carlosa Revésa, Marcelę Serras wraz z całą wspaniałą drużyną Editorial Planeta w Madrycie i Barcelonie: poczynając od Marca Rocamory i Paca Barrery, a na Laurze Franch, Loli Sanz i Laurze Verdurze kończąc. Wszyscy oni – i jeszcze wiele innych osób, które niepodobna tu wymienić – dowodzili swojego entuzjazmu i profesjonalizmu, kiedy najbardziej tego potrzebowałem, pomagając mi wierzyć w sens pisania tej powieści.

Nieoceniona była też pomoc kolegów pisarzy i naukowców, jak Juan Martorell, Alan Alford, David Zurdo, Enrique de Vicente, Julio Peradejordi, Iker Jiménez czy Carmen Porter; mojego

webmastera Davida Gombau; i ekspertów takich jak: José Luis Ramos, znawca elektromagnetyzmu z uniwersytetu w Alkali; Luis Miguel Doménech, geolog z Universidad Autónoma w Barcelonie; Pablo Torijano z Wydziału Studiów Hebrajskich w Universidad Complutense w Madrycie. Mam tylko nadzieję, że nie wypaczyłem pozyskanej od nich wiedzy, przystosowując ją do potrzeb fabuły.

Nie zapominam o dobrych chwilach spędzonych z moimi protektorkami, jak Carmen Cafranga, Ana Rejano i Maite Bolaños, czy o podniecie, jaką mi zaserwowała Çagla Cakici z Pasión Turca w Hiszpanii podległego Biuru Spraw Publicznych tureckiego Ministerstwa Turystyki, abym podjął zawsze trudne starania o zgodę na wejście na górę Ararat. Właśnie tam, na dużej wysokości, na moją dozgonną wdzięczność zasłużyli: Mustafa Arsin, César i Bruno Pérez de Tudela oraz Álvaro Trigueros. Przy ich udziale, podobnie jak wielu innych osób, których drogi nieprzypadkowo skrzyżowały się z moimi w ostatnich latach, ta przygoda warta była trudu jak żadna inna.

Wszystkim dziękuję.

# **Upadły anioł**

**Spis treści**

Okładka

# Karta tytułowa



## Dedykacja

Motta

DWANAŚCIE GODZIN WCZEŚNIEJ

# ROZDZIAŁ 1

## ROZDZIAŁ 2

## ROZDZIAŁ 3

## ROZDZIAŁ 4

## ROZDZIAŁ 5

## ROZDZIAŁ 6



## ROZDZIAŁ 7

## ROZDZIAŁ 8

## ROZDZIAŁ 9

## ROZDZIAŁ 10

## ROZDZIAŁ 11

## ROZDZIAŁ 12

## ROZDZIAŁ 13

## ROZDZIAŁ 14



## ROZDZIAŁ 15

## ROZDZIAŁ 16

## ROZDZIAŁ 17

## ROZDZIAŁ 18

## ROZDZIAŁ 19

## ROZDZIAŁ 20

## ROZDZIAŁ 21

## ROZDZIAŁ 22



## ROZDZIAŁ 23

## ROZDZIAŁ 24

## ROZDZIAŁ 25

## ROZDZIAŁ 26

## ROZDZIAŁ 27

## ROZDZIAŁ 28

## ROZDZIAŁ 29

## ROZDZIAŁ 30



## ROZDZIAŁ 31

## ROZDZIAŁ 32

## ROZDZIAŁ 33

## ROZDZIAŁ 34

## ROZDZIAŁ 35

## ROZDZIAŁ 36

## ROZDZIAŁ 37

## ROZDZIAŁ 38



## ROZDZIAŁ 39

## ROZDZIAŁ 40

## ROZDZIAŁ 41

## ROZDZIAŁ 42

## ROZDZIAŁ 43

## ROZDZIAŁ 44

## ROZDZIAŁ 45

## ROZDZIAŁ 46



## ROZDZIAŁ 47

## ROZDZIAŁ 48

## ROZDZIAŁ 49

## ROZDZIAŁ 50

## ROZDZIAŁ 51

## ROZDZIAŁ 52

## ROZDZIAŁ 53

## ROZDZIAŁ 54



## ROZDZIAŁ 55

## ROZDZIAŁ 56

## ROZDZIAŁ 57

## ROZDZIAŁ 58

## ROZDZIAŁ 59

## ROZDZIAŁ 60

## ROZDZIAŁ 61

## ROZDZIAŁ 62



## ROZDZIAŁ 63

## ROZDZIAŁ 64

## ROZDZIAŁ 65

## ROZDZIAŁ 66

## ROZDZIAŁ 67

## ROZDZIAŁ 68

## ROZDZIAŁ 69

## ROZDZIAŁ 70



## ROZDZIAŁ 71

## ROZDZIAŁ 72

## ROZDZIAŁ 73

## ROZDZIAŁ 74

## ROZDZIAŁ 75

## ROZDZIAŁ 76

## ROZDZIAŁ 77

## ROZDZIAŁ 78



## ROZDZIAŁ 79

## ROZDZIAŁ 80

## ROZDZIAŁ 81

## ROZDZIAŁ 82

## ROZDZIAŁ 83

## ROZDZIAŁ 84

## ROZDZIAŁ 85

## ROZDZIAŁ 86



## ROZDZIAŁ 87

## ROZDZIAŁ 88

## ROZDZIAŁ 89

## ROZDZIAŁ 90

## ROZDZIAŁ 91

## ROZDZIAŁ 92

## ROZDZIAŁ 93

## ROZDZIAŁ 94



## ROZDZIAŁ 95

## ROZDZIAŁ 96

## ROZDZIAŁ 97

## ROZDZIAŁ 98

## ROZDZIAŁ 99

## ROZDZIAŁ 100

## ROZDZIAŁ 101

## ROZDZIAŁ 102



## ROZDZIAŁ 103

# POSŁOWIE

## PODZIĘKOWANIA

## Karta redakcyjna

Tytuł oryginału:  
EL ÁNGEL PERDIDO

Copyright © Javier Sierra, 2011

Copyright © 2013 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga  
Copyright © 2013 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz  
Zdjęcie na okładce: Asis G Ayerbe

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan  
Korekta: Joanna Rodkiewicz, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7508-748-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2013



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)

[www.elib.pl](http://www.elib.pl)

JAVIER SIERRA

# UPADŁY ANIOŁ

Rzeczywistość i fikcja,  
nauka i legenda.  
Od Santiago de Compostela  
do Białego Domu

